

CLIVE
BARKER



S
AKRAMENT

BARKER CLIVE

Sakrament

CLIVE BARKER

Sacrament

Przełożył

Robert P. Lipski



Dla Malcolma

*Jestem człowiekiem,
a ludzie są zwierzętami, które
opowiadają historie
To dar od Boga, który powołał nasz
gatunek do istnienia,
lecz pozostawił zakończenie naszej
historii, niedopowiedziane*

Ta zagadka wciąż nie daje nam

spokoju.

Czyż mogłoby być inaczej?

Bez tej ostatniej części,

zastanawiamy się, jak odnaleźć sens

w tym wszystkim, co wydarzyło się

wcześniej,

Innymi słowy, w naszym życiu?

Dlatego sami tworzymy własne historie

gorączkowo, zazdrośnie, na

podobieństwo naszego Stwórcy,

w nadziei, że choćby przypadkiem

opowiemy to,

czego nie dopowiedział Bóg

I dokończywszy naszą historię,

zrozumiemy w jakim celu się

narodziliśmy.

CZEŚĆ

PIERWSZA,

W KTÓREJ

STAJE PRZED

NIE OTWARTYMI

DRZWIAMI

JEDEN

Każda godzina ma swoją tajemnicę.

Świt, zagadki światła i życia. Południe, sekrety trwałości. Godzina trzecia pośród gwaru i upału dnia, wieczorny księżyc stojący wysoko na niebie. Zmierzch, wspomnienia. A północ? Och, ta skrywa całą tajemnicę czasu jako takiego, dnia który nigdy już nie powróci, przechodząc, podczas gdy śpimy, do historii.

Była sobota, kiedy Will Rabjohns zjawił się w osmaganym wiatrem i mrozem, drewnianym baraku na obrzeżach Balthazar. Teraz była niedziela nad ranem, druga siedemnaście, wedle wskazania porysowanego zegarka Willa. Piersiówkę brandy opróżnił już przed godziną, wznosząc toast na cześć zorzy polarnej, która skrzyła się, rozpostarta majestatycznie za zatoką Hudsona, nad brzegiem której leżało Balthazar. Pukał do drzwi baraku niemal bez przerwy, nawołując Guthrie'go i prosząc, by zechciał poświęcić mu choćby kilka chwil. W pewnej chwili wydawało mu się, że tamten jednak mu otworzy; Will usłyszał dobiegające zza drzwi niezrozumiałe mamrotanie, a raz nawet poruszyła się klamka. Jednak Guthrie się nie pojawił.

Will nie dał się zbyć ani nie wyglądał na szczególnie zaskoczonego. Starzec miał opinię szaleńca, za takiego uważali go wszyscy, zarówno mężczyźni jak i kobiety, którzy zdecydowali się zamieszkać w tym zapomnianym zakątku planety. Jeżeli ktokolwiek wie coś na temat szaleństwa, to właśnie oni, skonstatował Will. Cóż, jeśli nie utrata zmysłów, mogło skłonić ludzi, aby założyć osadę, nawet tak niedużą jak Balthazar (liczba mieszkańców wynosiła trzydzieści jeden) na pozbawionym drzew, smaganym wichrami skrawku ziemi, który przez pół roku był skryty pod warstwą śniegu i lodu, a przez dwa spośród pozostałych nawiedzały go polarne

niedźwiedzie, przybywające w te okolice późną jesienią i oczekujące, aż zatoka zamrznie? Fakt, że ci ludzie uważali Guthrie'ego za szaleńca, mógł odzwierciedlać rozmiary jego obłądu.

Will jednak był cierpliwy, potrafił czekać. Większość swego zawodowego życia spędził właśnie na wyczekiwaniu, przesiadując w różnorodnych kryjówkach, jamach, wyschniętych korytach strumieni czy na drzewach, trzymając w pogotowiu aparat fotograficzny i wytyżając słuch, czekając, aż pojawi się obiekt na który polował. Ile z tych zwierząt było, tak jak Guthrie, pogrążonych w szaleństwie i rozpacz? Bez wątpienia większość. Stworzenia, które bezskutecznie próbowały prześcignąć doganiającą je ludzką falę; których życie i miejsca zamieszkania były zagrożone. Jego cierpliwość często szła na marne. Czasami, pocąc się i dygocząc całymi godzinami, a nawet dniami ostatecznie musiał zrezygnować i ruszyć dalej, gdyż przedstawiciele gatunku, których poszukiwał, pomimo swej desperacji, bezradności i rozpacz nie zechcieli ukazać tego w obiektywie jego kamer.

Guthrie natomiast był jak zwierzę w ludzkiej skórze. Mimo że zaszył się za ścianami swego żaloznego, naruszonego przez surowe warunki pogodowe baraku z desek, i starał się widywać z sąsiadami (o ile tak to można określić, gdyż najbliższy dom znajdował się w odległości pół mili) tak często, jak to było możliwe, z całą pewnością zaciekawil go widok mężczyzny stojącego u drzwi jego chaty i czekającego nań pięć godzin na siarczystym mrozie. Will właśnie w tym widział swoje nadzieje – że im dłużej zdoła utrzymać się na nogach i nie zasnąć, tym bardziej prawdopodobne, że szaleniec w końcu ulegnie, ciekawość weźmie nad nim górę i facet zdecyduje się otworzyć drzwi.

Znów spojrzal na zegarek. Już prawie trzecia. Mimo że powiedział swojej asystentce Adrienne, żeby na niego nie czekała, to znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że na pewno już martwi się o niego. Gdzieś tam w ciemnościach kryły się niedźwiedzie, niektóre z tych zwierząt ważyły po osiemset, dziewięćset funtów, charakteryzowały się nienasyconą żarłocznością i były całkowicie nieprzewidywalne, jeżeli chodzi o zachowanie. Za dwa tygodnie wyjdą na kry lodowe, aby polować na foki i wieloryby. Teraz jednak głównie grzebały w śmietnikach albo w cuchnących, zalegających stertach odpadków w osadach Churchill i Balthazar, a także – jak się niestety zdarzało – zabijały ludzi. Istniało spore prawdopodobieństwo, że nawet teraz krążą, węsząc, gdzieś w pobliżu, w ciemnościach, których nie rozpraszał blask żarówki na rozchwierutanym ganku chaty Guthrie'ego, i być może obserwują stojącego przed drzwiami Willa. Ta świadomość nie wzbudzała w nim niepokoju. Wręcz przeciwnie. Czuł lekkie podniecenie na myśl, że jakieś dzikie zwierzę mogło właśnie w tej chwili oceniać jego walory jako potencjalnej przekąski. Przez większość swojego dorosłego życia fotografował dziki, nieokiełznany świat, opisując ludzkiemu plemieniu tragedie, rozgrywające się na terytoriach, o które toczyła się walka. Rzadko kiedy były to ludzkie tragedie. To populacja tego drugiego świata wymierała, zmniejszając się z każdym dniem coraz bardziej. I gdy tak obserwował stopniową, lecz nieubłaganą erozję puszczy, zaczęło narastać w nim pragnienie, by choć na chwilę znaleźć się w tym dzikim świecie, zanim całkiem przestanie istnieć. Zdjął podbitą futrem rękawicę i wyjął z kieszeni anoraka paczkę papierosów. Został tylko jeden. Włożył go między zdrętwiałe wargi i przypalił, brak papierosów doskwierał mu bardziej niż siarczysty mróz czy niedźwiedzie.

–Hej, Guthrie – powiedział, uderzając kostkami palców w osmagane wiatrem i śniegiem drzwi – może jednak wpuścisz mnie do środka, co? Zajmę ci tylko kilka minut. Zlituj się.

Czekał, zaciągając się papierosowym dymem i zerkając przez ramię w ciemność. Jakieś dwadzieścia, trzydzieści jardów za jego dżipem znajdowało się skupisko skał, idealne miejsce, jak stwierdził, gdzie mogły czaić się niedźwiedzie. Czy coś się tam poruszyło? Chyba tak. Cwane skurwiele, pomyślał. Nie śpieszyły się, czekały, aż wróci do samochodu.

–Pieprzę to! – warknął pod nosem.

Czekał dostatecznie długo. Uznał, że odpuści sobie Guthrie'ego, przynajmniej tej nocy. Zamierzał wrócić do swego ciepłego, wynajętego domku na ulicy Głównej (notabene jedynej) w Balthazar, zaparzyć kawę, przyrządzić lekkie śniadanie, a potem przespać się kilka godzin. Oparłszy się pokusie, by po raz ostatni zapukać do drzwi, odstąpił od nich i sięgając do kieszeni po kluczyki, ruszył przez skrzypiący śnieg z powrotem do swego dżipa. W głębi duszy zastanawiał się, czy Guthrie nie jest na tyle zepsutym, starym łajdakiem, że czeka, aż jego gość spąsuje, i dopiero wtedy otwiera drzwi. Okazało się, że tak. Gdy tylko Will znalazł się poza granicą światła płynącego z pojedynczej żarówki na starym, rozlatującym się ganku, usłyszał skrzyp drzwi przesuwających się po oszronionej podłodze, z tyłu, za nim. Zwolnił kroku, ale się nie odwrócił, podejrzewał, że gdyby to zrobił, Guthrie po prostu by te drzwi zatrzasnął. Zapanowała cisza. Will miał dość czasu, by móc zastanowić się, co pomyślały o tym osobliwym rytuale wałęsające się w pobliżu niedźwiedzie. Wreszcie Guthrie znużonym tonem zawołał:

–Wiem kim jesteś i wiem, czego chcesz!

–Doprawdy? – spytał Will, oglądając się przez ramię.

–Nie pozwalam nikomu robić zdjęć ani mnie samego, ani mojego domu – rzucił Guthrie, jakby przed drzwiami jego chaty co dzień stała długa kolejka fotografów.

Dopiero teraz Will odwrócił się. Guthrie cofnął się, stając w progu; żarówka na ganku rzucała wątki blask. Will dostrzegł jedynie sylwetkę bardzo wysokiego mężczyzny rysującą się na tle mrocznego wnętrza baraku.

–Szanuję pańską decyzję – rzekł Will. – Skoro nie życzy pan sobie, aby ktokolwiek go fotografował, rozumiem to. Ma pan prawo do prywatności.

–No dobra, to czego chcesz, do cholery?

–Jak już powiedziałem, tylko pogadać.

Guthrie najwyraźniej przyjrzał się swemu gościowi na tyle dobrze, aby zaspokoić ciekawość, ponieważ cofnął się o krok i zaczął zamykać drzwi. Will wiedział, że w tym przypadku próba przyspieszenia kroku była niewskazana. Nie pozostało mu nic innego jak zagrać swoją ostatnią

kartą. Wypowiedział dwa nazwiska, bardzo cichym, spokojnym głosem:

–Chcę porozmawiać o Jacobie Steepie i Rosie McGee.

Postać wyraźnie drgnęła; przez chwilę było niemal pewne, że mężczyzna zamknie drzwi i na tym wszystko się skończy. Zamiast tego Guthrie wyszedł na ganek.

–Znasz ich?

–Spotkałem ich kiedyś – odparł Will. – Bardzo dawno temu. Pan też ich znał, prawda?

–Jego... ale bardzo słabo. Choć muszę powiedzieć, że nawet to było dla mnie za wiele. Mówiłeś, że jak się nazywasz?

–Will... William... Rabjohns.

–No dobra... włącz do środka, zanim odmroziś sobie jaja.

DWA

W przeciwieństwie do wygodnych, dobrze wyposażonych domów w całej tej maleńkiej osadzie, barak Guthriego był tak prymitywny, że ledwie nadawał się do zamieszkania, zważywszy na to, jak surowe potrafią być tutaj zimy. Jedyne pokoje były ogrzewane markowym grzejnikiem elektrycznym (nieduży zlew i piecyk pełniły funkcję kuchni, a łazienka zapewne znajdowała się na wolnym powietrzu). Meble wyglądały jakby przywieziono je tutaj z wysypiska śmieci. Mieszkaniec chaty wcale nie prezentował się lepiej. Mający na sobie kilka warstw brudnej odzieży, mężczyzna był wyraźnie niedożywiony i wymagał leczenia. Choć Will słyszał, że Guthrie ma najwyżej sześćdziesiąt lat, wyglądał dziesięć lat starzej, jego skóra miejscami była krwistoczerwona, gdzie indziej zaś szara i ziemista, włosy, skądinąd mocno przeredzone, były siwe, lecz trudno było dostrzec ich barwę, z uwagi na pokrywający je brud. Cuchnął chorobą i rybami.

–Jak mnie znalazłeś? – spytał Willa, gdy zamknął za nim drzwi i przekręcił znajdujące się na nich trzy zasuwki.

–Kobieta na Mauritiusie wspomniała mi o panu.

–Chcesz czegoś na rozgrzewkę?

–Nie, dziękuję.

–Co to za kobieta?

–Nie wiem czy pan ją jeszcze pamięta. Siostra Ruth Buchanan?

–Ruth? Chryste. Poznałeś Ruth. No, no. Ta kobieta to miała gadane... – Nalał sporą porcję whisky do obtłuczonego, emaliowanego kubka i opróżnił go jednym haustem. – Zakonnice za dużo mówią. Zwróciłeś na to uwagę?

–Myślę, że właśnie dlatego wymyślono śluby milczenia.

Ta odpowiedź rozbawiła Guthriego. Wybuchnął krótkim, ochryplym śmiechem, po czym wypił kolejną porcyjkę whisky.

–I co o mnie powiedziała? – spytał, zerkając na butelkę, jakby usiłował ocenić, ile zostało w niej jeszcze przynoszącego pocieszenie alkoholu.

–Tylko to, że mówił pan o ginących gatunkach. O tym, że miał pan okazję widzieć ostatnich przedstawicieli kilku z nich.

–Nigdy nie wspominałem jej o Rosie i Jacobie.

–Nie. Przyjąłem jednak, że spotkawszy jedno z nich, mógł pan widzieć także drugie.

–Hmm.

Twarz Guthrieego spochmurniała, gdy pogrążył się przez moment w zamyśleniu. Aby nie zostać przyłapanym na przyglądaniu się swemu gospodarzowi – ten człowiek nie lubił, gdy ktoś zanadto się na niego gapił – Will podszedł do stołu, by zerknąć na walające się tam książki. Gdy podszedł bliżej, usłyszał dochodzące spod stołu ostrzegawcze warczenie.

–Stul pysk, Lucy! – rzucił Guthrie.

Suka zamilkła i wyszła spod stołu, żeby się trochę połasić. Była mieszańcem owczarka niemieckiego i chow, lepiej wykarmionym i prezentującym się bardziej okazale niż jej pan. Przyniosła kość i położyła ją pokornie u stóp Guthrieego.

–Jesteś Amerykaninem? – spytał Guthrie, wciąż nie patrząc na Willa.

–Urodziłem się w Manchesterze. Dorastałem jednak w Yorkshire Dales.

–Anglia zawsze była dla mnie zbyt wygodna i przytulna.

–Nie określiłbym tym mianem angielskich moczarów – rzekł Will. – Co prawda, nie sposób ich porównać z surowością tego miejsca, ale gdy opada mgła, a ty akurat znajdujesz się gdzieś wśród wzgórz...

–A więc to właśnie tam ich spotkałeś.

–Tak. Właśnie tam.

–Angielski bękart – rzekł Guthrie. Dopiero teraz spojrzął na Willa. – Nie ty, Steep. Zimny angielski bękart. – Wymówił te trzy słowa, jakby przeklinał tego mężczyznę, gdziekolwiek on mógł się znajdować. – Wiesz, jak siebie nazwał? – Will wiedział. Mimo to czuł, że będzie lepiej jeżeli pozwoli gospodarzowi dokończyć rozpoczętą myśl. – Zabójcą Istot Ostatnich – rzekł Guthrie. – Był z tego dumny. Słowo daje. Szczycił się tym. – Wlał resztę whisky do kubka, ale go nie opróżnił. – A więc spotkałeś Ruth na Mauritiusie, tak? Co tam robiliście?

–Zdjęcia. Wygląda na to, że tamtejsze pustułki już niebawem wymrą całkowicie.

–Jestem pewien, że były ci wdzięczne, że postanowiłeś poświęcić im swą uwagę – rzucił oschle Guthrie. – No dobra, czego ode mnie chcesz? Nie mogę ci nic powiedzieć na temat Steepa albo McGee. Nic nie wiem, a nawet gdybym wiedział, to i tak dawno wyrzuciłem to z pamięci. Jestem już stary i nie chcę cierpieć.

Spojrzął na Willa.

–Ile masz lat? Czterdzieści?

–Celny strzał. Czterdzieści jeden.

–Żonaty?

–Nie.

–Nie rób tego. To bagno.

–Może mi pan wierzyć, to raczej mało prawdopodobne.

–Ciota, hę? – mruknął Guthrie, lekko przekrzywiając głowę.

–Tak się złożyło.

–Angielska ciota. Coś takiego. Kto by się spodziewał? Nic dziwnego, że dogadałeś się z siostrą Ruth. Z Siostrzyczką Niedotykalską. I przejechałeś taki szmat drogi, żeby się ze mną spotkać?

–Tak i nie. Przyjechałem, żeby fotografować niedźwiedzie.

–No jasne, te pieprzone niedźwiedzie. – Wyczuwalna przez moment odrobina ciepła w jego głosie zniknęła zupełnie. – Większość ludzi jedzie w tym celu do Churchill, nieprawdaż? Czy nie urządzają tam wycieczek, aby można było zobaczyć ich występy? – Pokręcił głową. – Całkiem się staczają.

–Idą tam, gdzie mogą znaleźć darmowy posiłek – odparł Will.

Guthrie spojrział na sukę, która, odkąd otrzymała surową reprimendę, warowała u jego stóp. Wciąż trzymała w pysku kość.

–Tak jak i ty, prawda? – stwierdził. Suka, uszczęśliwiona, że zwrócił się do niej, niezależnie od treści wypowiedzi, zaczęła uderzać ogonem o podłogę. – Artystka, psia jej mać.

Guthrie wyciągnął rękę, jakby chciał odebrać jej kość. Czarne wargi suki rozchyliły się w ostrzegawczym grymasie.

–Jest zbyt bystra, żeby mnie dziabnąć, i zbyt głupia, żeby nie warknąć. Oddaj to, zapchlona suko. – Guthrie wyrwał jej kość z pyska. Nie stawiała oporu. Podrapał ją za uchem i położył kość przed nią na podłodze. – Mam wrażenie, że psy są pochlebcami – stwierdził. – To my je nimi uczyniliśmy. Ale niedźwiedzie... Jezu, niedźwiedzie nie powinny grzebać w naszych śmieciach. Powinny zostać gdzieś tam – wskazał ręką w stronę zatoki – gdzie mogą być tym, czym być powinny zgodnie z zamiarami Boga.

–To dlatego jest pan tutaj?

–Znaczy, żeby podziwiać życie zwierząt? Na Boga, nie. Jestem tutaj, ponieważ mierzi mnie przebywanie wśród ludzi. Nie lubię ich. Nigdy nie lubiłem. Gdy jestem blisko nich, zbiera mi się na mdłości.

–Czy ze Steepem też tak było? – spytał Will.

Guthrie posłał mu zjadliwe spojrzenie.

–Co u licha ma znaczyć to pytanie?

–Tak po prostu spytałem.

–Co za głupie pytanie – mruknął Guthrie. Po chwili nieco złagodniał i rzekł: – Jeżeli chodzi o tych dwoje, przyznam, że było na czym oko zawiesić. Naprawdę. I mam na myśli ich oboje. Rosa, co tu dużo gadać, była naprawdę piękna. Zagailem rozmowę ze Steepem tylko po to, by się do niej zbliżyć. Ale powiedział mi kiedyś, że byłem dla niej za stary.

–A ile miał pan lat? – zapytał Will, równocześnie uświadamiając sobie, że opowieść Guthrie'ego nieznacznie się zmieniła. Twierdził przecież, że poznał jedynie Steepa, a teraz wszystko wskazywało na to, że znał ich oboje.

–Trzydzieści. Jak dla Rosy byłem o wiele za stary. Lubiała naprawdę młode sztuki. I rzecz jasna, lubiała Steepa. To znaczy oni oboje byli jak mąż i żona, brat i siostra, i Bóg wie co jeszcze w jednym. Nie miałem u niej żadnych szans. – Na tym zakończył ten temat i podjął inny. – Chcesz zrobić coś dobrego dla tych niedźwiedzi? – spytał. – Idź na wysypisko i podrzuć tam trochę trucizny. To by je nauczyło. Może te, co by przeżyły, zrozumiałyby, że nie powinny tu wracać. Pewnie trochę by to potrwało, cztery, może pięć sezonów i zginęłoby przy tym wiele niedźwiedzi, ale prędzej czy później zrozumiałyby, co chcemy dać im do zrozumienia. – Dopiero teraz opróżnił kubek i podczas gdy alkohol wciąż jeszcze przepalał sobie drogę przez jego gardło do żołądka, dodał: – Staram się o nich nie myśleć, ale to powraca... – Nie miał na myśli niedźwiedzi i Will doskonale o tym wiedział. – Wciąż ich widzę, tak jakby to było wczoraj. – Pokręcił głową. – Oboje... tacy piękni. Tacy... czyści. – Górna warga Guthrie'ego uniosła się, gdy wymówił to słowo, jakby miał na myśli jego antytezę.

–To musi być dla nich straszne.

–Co takiego?

–Życie w tym plugawym świecie. – Spojrzał na Willa. – To jest dla mnie najgorsze – stwierdził. – Im jestem starszy, tym lepiej ich rozumiem. – Czy faktycznie miał w oczach łzy, pomyślał Will, czy to może jakaś jego starcza dolegliwość? – I nienawidzę siebie za to. Odstawił pusty kubek i z niespodziewaną determinacją w głosie oświadczył: – To wszystko. Nic więcej ze mnie nie wyciągniesz. – Podszedł do drzwi i otworzył wszystkie zasuwki.

–Wynoś się, nic tu po tobie.

–Dzięki za poświęcony mi czas – powiedział Will, mijając staruszkę i wychodząc za nim.

Guthrie puścił mimo ucha tę grzecznościową formułkę.

–Jeżeli jeszcze kiedyś zobaczysz siostrę Ruth...

–Nie zobaczę – odparł Will. – Zmarła w lutym.

–Na co?

–Na raka jajnika.

–Hmm. To cię czeka, gdy nie korzystasz z tego, co otrzymujesz od Boga – skwitował Guthrie.

Suka dołączyła do nich w progu i powarkiwiała głośno. Tym razem nie na Willa, a na coś, co kryło się w mroku nocy. Guthrie nie uciszył jej, wlepił wzrok w ciemność.

–Zwietrzyła niedźwiedzie. Lepiej nie kręć się tutaj.

–Nie zamierzam – rzekł Will, podając rękę Guthriemu.

Mężczyzna spojrział na nią z zakłopotaniem, jakby zapomniał ten prosty rytuał. Wreszcie uścisnął dłoń Willa.

–Powinieneś zastanowić się nad tym, co powiedziałem – stwierdził. – O podłożeniu trutki niedźwiedzim. Wyświadczyłyś im przysługę.

–Wyręczyłbym w ten sposób Jacoba – odparł Will. – Nie po to pojawiłem się na tym świecie. To nie moje zadanie.

–Wszyscy wypełniamy nasze zadanie, w ten sposób, że po prostu żyjemy – mruknął Guthrie. – I powiększamy liczebność tej zafajdanej populacji.

–Ja z pewnością jej nie powiększę – zapewnił Will i ruszył w stronę swojego dżipa.

–Ty i siostra Ruth! – zawołał w ślad za nim Guthrie.

Suka zaczęła szczekać, w jej ujadaniu pojawiła się nowa, alarmująca nuta, którą Will znał aż za dobrze. Słyszał psy w komórce, czyniące podobny jazgot, gdy do obozowiska podchodziły lwy. W tych dźwiękach zawarte było ostrzeżenie i Will zamierzał z niego skorzystać. Przepatrując ciemność na prawo i lewo od siebie, w kilku krokach znalazł się przy swoim dżipie. Nie trwało to dłużej niż kilkanaście uderzeń jego rozkołatanego serca.

Na ganku, z tyłu za nim, Guthrie krzyczał coś; Will nie potrafił stwierdzić, czy wołał swojego gościa z powrotem do chaty, czy może ponaglał go do zwawszego kroku; suka robiła zbyt duży hałas. Will starał się nie słyszeć obu głosów, człowieka i zwierzęcia, i skoncentrował się na prostej czynności włożenia kluczyka do zamka. Palce dłoni zawiodły go i kluczyki wypadły mu z ręki. Przykucnął, aby je podnieść ze śniegu, a ujadanie suki stało się na moment wyjątkowo ochryple i piskliwe. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Rozejrzał się dokoła, macając dłonią po omacku w poszukiwaniu kluczyków. Dostrzegł jedynie skały, ale to ani trochę go nie uspokoiło.

Zwierzę mogło zaiść się w ukryciu i dopaść go w pięć sekund. Widział ich ataki; gdy było to konieczne, potrafiły biegać naprawdę szybko, sunęły na swoją ofiarę jak lokomotywa. Wiedział, jak powinien się zachować w razie ataku niedźwiedzia – uklęknąć, pochylić twarz ku ziemi i osłonić głowę ramionami. Chodziło o to, by stanowić możliwie jak najmniejszy cel i w żadnym wypadku nie nawiązywać kontaktu wzrokowego ze zwierzęciem. Należało zachować milczenie. I całkowity bezruch. Im lepiej będzie się udawać trupa, tym większe ma się szanse na przeżycie takiego spotkania. Zapewne, ktoś, gdzieś, musiał kiedyś przetestować takie zachowanie, choć zapewne była to gorzka i bolesna lekcja. Spróbuj zamienić się w głaz, a śmierć cię ominie.

Jego palce odnalazły upuszczone kluczyki. Wstał, zerkając równocześnie do tyłu. Guthrie wciąż stał na ganku, suka, ze zjeżoną na grzbiecie sierścią, warowała w milczeniu obok niego. Will nie usłyszał, by Guthrie ją uciszał, najwyraźniej znudziła się ostrzeganiem nieroztropnego człowieka, który i tak nic sobie nie robi z dobrych rad i nie chce wracać do chaty, gdy na dworze grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Przy trzeciej próbie kluczyk wślizgnął się do otworu zamka i Will otworzył drzwiczki. W tej samej chwili, po raz pierwszy usłyszał ryk niedźwiedzia. A potem ujrzał wylaniające się spomiędzy skał wielkie zwierzę. Jego zamiary były oczywiste. Drapieżnik wziął Willa na cel. Mężczyzna wskoczył na siedzenie kierowcy, z przerażeniem uświadamiając sobie, jak bezbronny i narażony na atak były jego nogi, i wyciągnąwszy rękę, zatrzasnął za sobą drzwiczki.

Ryk powtórzył się, tym razem znacznie bliżej. Will zablokował drzwi, włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił. Reflektory auta zapłonęły natychmiast, zalewając żółtym blaskiem skutą lodem ziemię, snopy światła sięgały aż do skał, które teraz wydawały się płaskie jak dekoracje teatralne. Po niedźwiedziu nie było śladu. Will spojrzał w stronę chaty Guthriego. Mężczyzna i suka zniknęli za zamkniętymi na trzy spusty drzwiami. Will wrzucił bieg i zaczął wycofywać dżipa. Nagle zza drzew usłyszał gardłowy ryk, a po nim odgłos głuchego uderzenia. Niedźwiedź w przyływie furii zaatakował pojazd i dźwigał się właśnie z ziemi, by stanąć na tylnych łapach i uderzyć ponownie. Will kątem oka dostrzegł tylko wielki, kosmaty, biały kształt. To było naprawdę olbrzymie zwierzę, mogło ważyć dziewięćset funtów, albo nawet więcej. Gdyby udało mu się uszkodzić dżipa na tyle poważnie, że zdołałby go unieruchomić, Will znalazłby się w niezłych opałach. Niedźwiedź chciał go dopaść, i jeśli Will nie zdoła go prześcignąć, zwierzę będzie miało szansę dopiąć swego. A mogło tego dokonać. Pazury i kły były w stanie rozpruć blachę samochodu jak puszkę z ludzkim mięsem. Nadepnął pedał gazu i zawrócił dżipa. Równocześnie, niedźwiedź zmienił taktykę i kierunek ataku, opadł na cztery łapy, by wyprzedzić samochód, i w jednej chwili znalazł się przed maską auta.

Zwierzę stało przez mgnienie oka w świetle reflektorów, jego klinowaty łeb zdawał się mierzyć w przód samochodu. To nie było zwierzę z rodzaju tych żalonych straceńców, o jakich wspominał Guthrie, których drapieżność słabła za sprawą uzależnienia od ludzkich odpadków. To wciąż był drapieżnik w pełnym tego słowa znaczeniu, rzucający dumnie wyzwanie światłu reflektorów i jadącemu samochodowi, na którego drodze się znalazł. Na ułamek sekundy, zanim dżip w niego uderzył, niedźwiedź zniknął, w jednej chwili był przed maską auta, a w następnej już nie, jakby w cudowny sposób rozplął się w powietrzu, albo był zjawą wywołaną przez noc i mróz.

W drodze powrotnej do wynajętego przez siebie domku Will po raz pierwszy uświadomił sobie, że zawód, który wykonuje, tak naprawdę jest nieopłacalny. Klepał biedę, choć nie chciał się do tego przyznać. A przecież w swojej zawodowej karierze wykonał dziesiątki tysięcy zdjęć, niektóre w najdziwniejszych zakątkach Ziemi: na Torres de Paine, wyżynie tybetańskiej i Gunung Leuser w Indonezji. Fotografował tam ostatnich przedstawicieli wymierających gatunków, rozpaczliwie usiłujących przedłużyć swój marny żywot samotników i ludojadów. Nigdy jednak nie udało mu się uchwycić tego, co ujrzał w snopach światła reflektorów dżipa, zaledwie kilka minut temu: potęgi i chwały niedźwiedzia, ryzykującego życie, aby rzucić mu wyzwanie i spróbować go dopaść. Być może Will nie miał do tego dostatecznego talentu, a jeżeli tak, to nie uda się to nikomu.

Zgodnie z tym, co o nim mówiono, był najlepszym z najlepszych. Tyle tylko, że przyroda była lepsza od niego. Podobnie jak on wykorzystywał swój geniusz, by uchwycić to, co sobie zamierzył i na co czekał długimi godzinami, przyroda w przebłysku swego geniuszu w mig ukazywała mu wszelkie mankamenty jego dzieła. Samotniki i ludojady wymierały, jeden po drugim, lecz tajemnica wciąż trwała, nierozwikłana. I będzie trwać, konstatawał Will, tak długo, jak będą istnieć samotnicy, tajemnice oraz ludzie, którzy dla jednych i drugich byli skończonymi głupcami.

TRZY

Cornelius Botham siedział przy stole, z kącika jego przesłoniętych jasnymi wąsami ust wystawał skręt, obok dłoni stało trzecie tego ranka piwo, mężczyzna utkwiał wzrok w leżącym przed nim rozbebeszonym Pentaksie.

–Co z nim jest? – dopytywał się Will.

–Zepsuty – odparł krótko Cornelius. – Uważam, że powinniśmy wykuć dziurę w lodzie, owinąć aparat w majtki Adrianny i tam go pogrzebać, aby kiedyś odkopały go przyszłe pokolenia.

–Nie dasz rady naprawić?

–Pewno, że dam – odrzekł Cornelius. – Po to tu jestem. Potrafię naprawić wszystko. Wolałbym jednak wykuć dziurę w lodzie, owinąć ten szmelc w majtki Adrianny...

–Ten aparat dobrze mi służył.

–Podobnie jest z nami wszystkimi. Ale prędzej czy później, o ile będziemy mieli szczęście, zawiną nas w majtki Adrianny.

Will stał przy piecu, przyrządzając sobie omlet.

–Masz jakąś obsesję.

–Wcale nie.

Will przełożył omlet na talerz, dorzucił dwie kromki czerstwego chleba i usiadł przy stole, naprzeciw Corneliusa.

–Wiesz, co jest nie tak z tym miastem? – spytał Cornelius.

–Powiedz mi to w punktach: A, B lub C.

To była ich popularna zabawa, polegająca na wymyślaniu alternatyw, wiarygodniejszych od prawdy.

–Nie ma sprawy – rzekł Cornelius. Upił łyk piwa, po czym powiedział: – No dobrze. Zaczynamy od A. W promieniu dwustu mil nie ma żadnej naprawdę atrakcyjnej kobiety poza Adrianną, a to byłoby jak rżnięcie własnej siostry. Jasne? Wobec tego B. Nie ma tu przyzwoitego kwasu. A teraz C...

–Stawiam na B.

–Zaczekaj, jeszcze nie skończyłem.

–Nie musisz.

–Kurwa, stary. Mam świetne C.

–Stawiam na kwas – rzekł Will. Nachylił się do Corneliusa. – Zgadłem?

–Taa. – Zerknął na talerz Willa. – Co to jest, u licha?

–Omlet.

–Z czego? Z jajek pingwina?

Will wybuchnął śmiechem i wciąż jeszcze się śmiał, kiedy wróciła Adrianna.

–Wiecie co, przy śmietniku znów są niedźwiedzie – rzekła z południowym akcentem, doskonale współgrającym z jej wyglądem i zachowaniem, począwszy od fatalnej fryzury, a skończywszy na ciężkich buciorach. – Jest ich co najmniej czwórka. Dwa młode, samica i olbrzymi samiec. – Spojrzała najpierw na Willa, potem na Corneliusa i znów na Willa. – Czy mogę liczyć na odrobinę entuzjazmu? Bardzo proszę.

–Daj mi kilka minut – odparł Will. – Muszę najpierw wypić parę kubków kawy.

–Musisz zobaczyć tego samca. – Z trudem dobierała słowa. – To największy niedźwiedź, jakiego widziałam w życiu.

–Może to ten sam, którego widziałem ubiegłej nocy – powiedział Will. – Właściwie widzieliśmy siebie nawzajem. Pod chatą Guthriego.

Adrianna rozpięła suwak kurtki i usiadła na skrzypiącej, starej kanapie, odrzucając na bok podomkę i koc.

–Spędziłeś z nim trochę czasu – powiedziała. – Musieliście sporo rozmawiać. Jaki jest ten stary pomyleniec?

–Nie bardziej szalony niż każdy, komu przyszłoby mieszkać w rozpadającym się baraku na zadupiu.

–Samotnie?

–Ma tylko swoją sukę. Wabi się Lucy.

–Hej – wtrącił Cornelius. – Czyżby ten facet miał zbunkrowany towar?

Uśmiechnął się i wybałuszył oczy.

–Tylko ktoś, kto lubi sobie czasem przypalić, nazwałby swoją sukę Lucy[1].

–Chryste! – zawołała Adrianna. – Mam już serdecznie dość tego twojego głądzenia o prochach.

Cornelius wzruszył ramionami.

–Nieważne.

–Przyjechaliśmy tu, bo mamy robotę do wykonania. – I zrobimy co trzeba – zapewnił Cornelius. – Uwiecznimy na kliszy każdy godny pożałowania poniżający czyn, do jakiego jest zdolny niedźwiedź polarny. Nie przeoczymy niczego. Będą niedźwiedzie bawiące się wśród uszkodzonych rur kanalizacyjnych. I misiaczące się na środku wielkiego wysypiska śmieci.

–No dobrze, już dobrze – powiedziała Adrianna. – Wystarczy. Odwróciła się do Willa. – Nadal chciałabym, żebyś zobaczył mojego niedźwiedzia.

–Teraz to już twój niedźwiedź? – spytał Cornelius.

Zignorowała go.

–Rzuć tylko okiem – poprosiła Willa. – Nie rozczarujesz się.

–Jezu – mruknął Cornelius, opierając stopy o blat stolika. – Dajże mu wreszcie spokój. On nie chce oglądać żadnego pieprzonego niedźwiedzia. Nie dociera to do ciebie?

–Nie mieszaj się do tego – ucięła Adrianna.

–Ależ jesteś uparta – odparł Cornelius. – Przecież to tylko niedźwiedź.

Adrianna podniosła się z kanapy i w dwóch krokach podeszła do Corneliusa.

–Mówiłam: nie mieszaj się do tego – warknęła i pchnęła Corneliusa w ramię tak mocno, że aż się przewrócił. Upadł, zwalając obcasem buta połowę rozbabranego, leżącego na blacie Pentaxa.

–Chodźmy – rzekł Will, odkładając talerz z omletem na bok, na wypadek eskalacji wrogości.

Gdyby do tego doszło, wcale by się nie zdziwił. Widywał już podobne sytuacje. Przez dziewięć dni z dziesięciu Cornelius i Adrianna współpracowali jak zgrane rodzeństwo. Dziś jednak Cornelius nie był w nastroju na utarczki słowne czy siłowe przepychanki. Podniósł się z podłogi, odgarnął z oczu długie jak u hipisa, proste włosy i chwiejnym krokiem ruszył w stronę drzwi, zabierając po drodze swój anorak.

–Na razie – rzucił do Willa. – Idę rzucić okiem na wodę.

–Przepraszam – powiedziała Adrianna, kiedy wyszedł. – To moja wina. Pogodzę się z nim, gdy wróci.

–Nieważne. Zrobisz co zechcesz.

Adrianna podeszła do pieca i naląła sobie pełen kubek kawy.

–I czego się dowiedziałeś od Guthrie’go?

–Niewiele.

–Po co w ogóle chciałeś się z nim spotkać?

Will wzruszył ramionami.

–Chodzi o... pewne wydarzenie... z dzieciństwa... – rzekł.

–To wielka tajemnica?

Will uśmiechnął się szeroko.

–Olbrzymia.

–Nie zdradzisz mi jej?

–To nie ma nic wspólnego z naszym pobytem tutaj. To znaczy i tak, i nie. Wiedziałem, że Guthrie mieszka nad zatoką i postanowiłem upiec dwie pieczenie na jednym ogniu... – powiedział łagodnym tonem.

–Zamierzasz zrobić mu zdjęcie? – spytała, podchodząc do okna.

Dzieci Tegelstromów, mieszkające po drugiej stronie ulicy, bawiły się na śniegu, głośno dokazując. Spojrzała na nie.

–Nie – odparł Will. – I tak naruszyłem jego prywatność.

–Tak jak ja naruszam twoją?

–Nie to miałem na myśli.

–Ale w zasadzie o to chodzi, prawda? – spytała półgłosem. – Nigdy nie dowiem się czegoś bliższego na temat dzieciństwa Willa Rabjohnsa?

–To dlatego...

–Że nie chcesz mi powiedzieć. – Powoli rozgrzewała się, by rozpocząć swój monolog. – Wiesz... taki sam byłeś wobec Patricka.

–Nieuczciwy.

–Doprowadzaleś go do szaleństwa. Bywało, że dzwonił do mnie i zaczynał rzucać epitetami...

–To prawdziwa królowa melodramatu – rzekł w zamyśleniu Will.

–Mówił, że jesteś tajemniczy. I faktycznie, jesteś. Twierdził, że jesteś skryty. To również prawda.

–Czy to nie to samo?

–Nie zaczynaj rozważań natury intelektualnej. To mnie wkurza.

–Rozmawiałaś z nim ostatnio?

–Teraz ty zmieniasz temat.

–Wcale nie. Najpierw TY wspomniałaś o Patricku, a teraz ja o nim mówię.

–Mówiłam o tobie.

–Ten temat mnie nudzi. Rozmawiałaś ostatnio z Patrickiem?

–Jasne.

–Co u niego?

–Na przemian, euforia i depresja. Próbował sprzedać mieszkanie, ale nie udało mu się uzyskać żądanej ceny, więc na razie wciąż w nim wegetuje. Twierdzi, że mieszkanie w samym środku Castro śmiertelnie go przygnębia. Zbyt wielu wokół wdowców, jak mówi. Ale ja uważam, że to lepiej, że nadal tam mieszka. Zwłaszcza gdyby jego stan się pogorszył. Ma spora grupę przyjaciół, którzy go wspierają.

–Czy ten, jak mu tam, wciąż kręci się koło niego? Ten dzieciak z tlenionymi rzęsami?

–Znasz jego imię, Will – rzuciła Adrianna, odwracając się i mrużąc lekko powieki.

–Carlos – powiedział Will.

–Rafael.

–Prawie trafiłem.

–Tak. Wciąż jest w pobliżu. I wcale nie tleni sobie rzęs. Ma piękne oczy. W gruncie rzeczy to wspaniały dzieciak. Z całą pewnością, mając dziewiętnaście lat, nie byłam zdolna do takich poświęceń ani nie umiałam tak kochać jak on. Ty zresztą, jak przypuszczam, także nie.

–Nie pamiętam, jaki byłem, mając dziewiętnaście lat – odparł Will. – Ani tego, co robiłem jako

dwudziestolatek. Jak przez mgłę pamiętam wiek dwudziestu jeden lat... – Zaśmiał się. – W końcu jednak osiągasz taki pułap haju, powyżej którego już nie podskoczysz.

–I to było, kiedy miałeś dwadzieścia jeden lat?

–To był świetny rok, do jazdy na kwasie.

–Żałujesz tego?

–*Je ne regrette rien* – wycedził Will, wywracając oczami. – Nie, skłamałem. Zmarnowałem mnóstwo czasu w barach gdzie podrywali mnie faceci, do których nic nie czułem i za którymi nie przepadałem. Oni zresztą zapewne też by mnie nie polubili, gdyby tylko zechcieli zadać sobie odrobinę trudu, aby mnie poznać.

–Czy można cię nie lubić?

–Byłem namolny. Pragnąłem, żeby mnie kochano. Zasługiwałem na to, by mnie kochano. W każdym razie uważałem, że zasługuję na miłość. Ale nie zasługiwałem. I dlatego zacząłem pić. Gdy piłem, to mniej bolało. – Zamyślił się, wpatrując się w przestrzeń. – Masz rację co do Rafaela. Jest lepszy dla Patricka, niż ja kiedykolwiek byłem.

–Pat cieszy się, że ma partnera, który stale jest przy nim – ciągnęła Adrianna. – Ale nadal nazywa cię miłością swego życia.

Will poruszył się niespokojnie.

–Nie cierpię tego.

–Ale już tego nie zmienisz – odparła Adrianna. – Powinieneś się cieszyć. Większość ludzi nigdy czegoś takiego nie doświadcza.

–A skoro mowa o miłości i uwielbieniu, co u Glenna?

–Glenn się nie liczy. Chodzi mu tylko o dzieci. Mam szerokie biodra, duże cycki, a on uważa, że powinnam być płodna.

–Kiedy zaczynacie?

–Nie zdecyduję się na to. Ta planeta i tak już ledwo zipie, nie zamierzam wydawać na świat kolejnych gąb do wykarmienia.

–Naprawdę tak uważasz?

–Właściwie sama już nie wiem co mam myśleć – odrzekła Adrianna. – Kiedy jestem z nim, pogrążam się często w zadumie. Ogarniają mnie ponure myśli. Waham się. Czekam na dzień, kiedy, no wiesz, może jednak się ugnę.

–Z pewnością to uwielbia.

–Jest bliski załamania. Wiem, że w końcu odejdzie. Znajdzie sobie Matkę Rodzicielkę, która będzie chciała mieć z nim dużo dzieci.

–Nie moglibyście zaadoptować? Czy to nie uszczęśliwiłoby obojga?

–Rozmawialiśmy o tym, ale Glenn uparł się, że chce przedłużyć ród. Twierdzi, że podpowiada mu to jego zwierzęcy instynkt.

–Urodzony facet, nie ma co.

–I to mówi ktoś, kto żyje z grania w kwartecie smyczkowym.

–Co w tej sytuacji zamierzasz zrobić?

–Pozwolę mu odejść. Znajdę sobie mężczyznę, który nie będzie przejmował się tym, że jest ostatni ze swego rodu, a mimo to będzie chciał się pieprzyć w sobotni wieczór jak tygrys.

–Wiesz co?

–Wiem, powinnam być ciotą. Stanowilibyśmy wspaniałą parę. A teraz może zechciałbyś w końcu ruszyć tyłek? Ten cholerny niedźwiedź nie będzie na nas czekać w nieskończoność.

CZTERY

1

Kiedy popołudniowy blask zaczął przygasać, wiatr nad zatoką Hudsona zmienił się na północno-wschodni, silne podmuchy dudniły o szyby i drzwi baraku Guthrie'go jak samotna, nieszczęśliwa, niewidzialna istota pragnąca zasiąść z nim przy wspólnym stole, w nadziei że odnajdzie ukojenie.

Starzec siedział w swoim skórzanym fotelu i z miną konesera wsłuchiwał się w zawodzenie wichury. Już dawno temu przestał zachwycać się walorami ludzkiego głosu. Zwykle zawierał on w sobie same kłamstwa i półprawdy, a przynajmniej tak mu się wydawało; gdyby do końca swego życia nie usłyszał już nigdy głosu innego człowieka, wcale by się tym nie przejął, właściwie nic by nie stracił. Jedyne, czego potrzebował, to odgłosy, które właśnie słyszał. One niosły ze sobą wszelkie niezbędne dla niego informacje. Smętne, żalosne zawodzenie wiatru wydawało się przepełnione głębszą mądrością niż jakikolwiek psalm, modlitwa czy wyznanie miłości, które miał okazję kiedykolwiek słyszeć.

Tej nocy jednak owe dźwięki jak nigdy dotąd, nie przyniosły mu ukojenia. Wiedział dlaczego. Winę za to ponosił gość, który odwiedził go poprzedniej nocy. Zakłócił spokój i równowagę wewnętrzną Guthrie'go, przywołując widmowe twarze, które tak rozpaczliwie starał się wypłenić ze swego umysłu.

Jacob Steep ze swymi oczami koloru złota i sadzy, czarną brodą i bladymi dłońmi poety; i Rosa, wspaniała Rosa, która złoto oczu Steepa miała w swoich włosach, a czerń jego brody w mrocznym spojrzeniu, i która była równie namiętna i wyuzdana cielesnie jak on niewzruszony i beznamiętny.

Guthrie znał ich bardzo krótko, dawno temu, lecz zachował ich w swej pamięci do tego stopnia, jakby widział ich nie dalej jak tego ranka. Znalazło się tam także miejsce dla Rabjohnsa, z jego zielono-mlecznymi oczami, nazbyt łagodnym spojrzeniem, zmierzwionymi włosami podwijającymi się na karku i szerokim, przystojnym obliczem z dwiema bliznami, na czole i policzku.

Nie miał wielu blizn, pomyślał Guthrie, a więc wciąż jeszcze była dla niego nadzieja. Po cóż miałby zadawać pytania, jeżeli nie liczył, że znajdzie na nie odpowiedzi. Dowie się, o ile pożyje dostatecznie długo. Zrozumie, że nie ma odpowiedzi. A w każdym razie nie takie, które miałyby jakikolwiek sens.

Silniejszy podmuch wiatru załomotał w okno, obluzowując jedną z desek, którą Guthrie zabezpieczył zbitą szybę. Podniósł się ze swego wygodnego fotela i sięgając po rolkę taśmy, którą przyklepił deskę do okna, odseparowując się od świata, przez chwilę wyglądał na zewnątrz przez brudną szybę. Dzień chylił się ku końcowi, gęstniejące wody zatoki miały barwę rdzy,

skąły poczerńały. Wciąż patrzył przed siebie, w dokończeniu pracy przeszkodził mu nie tyle widok, jaki się przed nim rozciągał, co nawiedzające go wspomnienia, nieujawnione, niechciane, których jednak nie potrafił się pozbyć.

Najpierw słowa. Właściwie ciche mamrotanie. Ale to wszystko czego potrzebował.

„Tych już więcej nie będzie...”.

Steep mówił powoli majestatycznym głosem.

„Ani tego. Ani tego...”.

Gdy wymawiał te słowa, przed przepelnionymi smutkiem oczami Guthriego pojawiły się kolejne stronicie, strony z przerażającej księgi Steepa. Widział ten przepiękny rysunek przedstawiający ptasie skrzydło, perfekcyjnie oddany był każdy odcień jego niezwyklej barwy...

„Ani tego...”.

A na tej stronie, chrabąszcz, naszkicowany już po jego śmierci, każdy detal zarejestrowany dla potomności: żuwaczki, pancerzyk i segmentowane odnóża.

„Ani tego...”.

–Jezu – wychlipał, a rolka taśmy wypadła mu z drżących palców.

Dlaczego Rabjohns nie mógł zostawić go w spokoju? Czy nie było na świecie zakątka, gdzie człowiek mógł wsłuchiwać się w zawrozenie wiatru, nie obawiając się, że któregoś dnia ktoś go rozpozna i przypomni jego winy? Odpowiedź na to pytanie najwyraźniej brzmiała „nie”, a w każdym razie dotyczyło to ludzi takich jak on, którzy nigdy nie dostąpią odkupienia. Nie mógł liczyć, że kiedykolwiek zapomni, a w każdym razie do czasu, kiedy Bóg odbierze mu życie i pamięć. Ta perspektywa wydawała mu się znacznie mniej przerażająca niż życie – dzień po dniu, w trwodze, że kolejni Rabjohnsowie zjawiają się u drzwi jego chaty, wypowiadając pewne nazwiska.

„Ani tego...”.

–Milczeć – wymamrotał do swoich wspomnień.

Mimo to kartki w jego głowie wciąż się przewracały. Jeden rysunek po drugim, jak w jakimś upiornym bestiariuszu. Cóż to była za ryba, która już nigdy nie posrebrzy błyskiem łusek toni oceanu? Cóż to za ptak, który nigdy nie wzniesie swego trelu do nieba?

Stronicie przesuwwały się, jedna za drugą, a on patrzył, wiedząc, że palce Steepa dotrą wreszcie do strony, na której on sam pozostawił swój ślad. Nie uczynił tego piórem ani pędzlem, lecz za

pomocą małego, lśniącego scyzoryka.

A wtedy z jego oczu popłyną strumienie łez i niezależnie od tego, jak silnie wiałby północno-wschodni wiatr, nawet jego najpotężniejsze podmuchy nie były w stanie zabrać ze sobą tchnienia przeszłości.

Adrianna nie skłamała, mówiąc o niedźwiedziach. Kiedy ona i Will dotarli na skąpane w promieniach dogasającego dnia wysypisko, ujrzeli zwierzęta, pływające się w swej podupadającej chwale. Młode – jedno z nich było samicą o najwspanialszych proporcjach, jakie mieli okazję ujrzeć – grzebały wśród odpadków, starsza samica badała zardzewiały wrak samochodu, samiec natomiast, którego tak bardzo Adrianna chciała pokazać Willowi, lustrował swoje cuchnące królestwo ze szczytu jednego z kilkunastu usypanych na wysypisku pagórków.

Will wysiadł z dzipa i podszedł bliżej. Adrianna, która w takich sytuacjach zawsze miała pod ręką strzelbę, szła dwa, trzy kroki za nim. Poznała już sposób działania Willa: nie lubił marnować kliszy na ujęcia z daleka, podchodził najbliżej jak tylko mógł, aby nie zaniepokoić zwierząt, i czekał. Czekał i czekał, zdawałoby się bez końca. Nawet wśród jego kolegów po fachu fotografujących dziką przyrodę, dla których tydzień czekania na zrobienie zdjęcia znaczył tyle co nic, na temat jego cierpliwości i wytrwałości krążyły legendy.

Pod tym i pod innymi względami stanowił prawdziwy paradoks. Adrianna widywała go na rautach i przyjęciach, kiedy po pięciu minutach pogawędki z innymi uczestnikami gali zaczynał z nudów zgrzytać zębami. Wszelako tu, obserwując cztery niedźwiedzie polarne na spłachetku zlodowacialej ziemi, był w stanie czekać bez słowa skargi tak długo, jak to będzie konieczne, dopóki nie nadejdzie chwila, którą zechce uwiecznić.

Nie ulegało wątpliwości, że nie interesowały go młode ani samica. To właśnie starego samca chciał sfotografować. Spojrzał na Adriannę i wskazał ręką drogę, którą zamierzał pokonać, tak by wejść pomiędzy pozostałe zwierzęta i podejść do obranego przez siebie obiektu najbliżej jak się da. Gdy tylko skinęła głową, Will ruszył przed siebie pewnym krokiem, mimo że ziemia pod jego stopami była oblodzona. Młode nie zwróciły na niego uwagi. Samica jednak, na tyle potężna, że gdyby tylko zechciała mogłaby zabić Willa lub Adriannę jednym uderzeniem łapy, przerwała badanie starej, zardzewiałej ciężarówce i zaczęła węszyć. Will zastygł w bezruchu, Adrianna również; trzymała w pogotowiu strzelbę, nacisnęłaby spust gdyby tylko niedźwiedzica spróbowała zaatakować. Być może dlatego, że w pobliżu wysypiska niedźwiedzica poczuła woń wielu ludzi, ten szczególny zapach jej nie zaciekawiał. Wróciła do rozpruwania siedzeń w ciężarówce, a Will znów zaczął przesuwać się w stronę samca.

Adrianna domyśliła się o jakie ujęcie chodzi Willowi – z dołu, pod kątem, tak by niedźwiedź znalazł się na tle nieba, niczym król-błazen zasiadający na tronie z nieczystości. Właśnie takie fotografie i ujęcia ugruntowały reputację Willa. Na tym polegał cały paradoks – uchwycić na kliszy obraz tak niezatarty i nieuchronny, że sprawiał wrażenie, iż stanowi dowód na potajemną zmowę Willa z Bogiem. Zwykle tego rodzaju szczęśliwe wypadki były owocami obsesyjnej obserwacji. Od czasu do czasu, tak jak dawniej, okazje były mu dawane niczym prezenty. Jedyne, co musiał zrobić, to najzwyczajniej w świecie je wykorzystać.

Rzecz jasna (czasami przeklinała w duchu jego machismo) zamierzał zbliżyć się do podstawy

pagórka tak, że w razie ataku niedźwiedzia znalazłby się w poważnych opałach. Podkradając się nisko, tuż przy ziemi znalazł upatrzone przez niego miejsce. Zwierzę najwyraźniej nie dostrzegło go lub nie zwracało nań uwagi i na wpół odwrócone, zlizywało brud z łap.

Adrianna wiedziała z doświadczenia, że takie zachowanie mogło być niebezpiecznie zwodnicze. Przyroda nie zawsze lubiła, gdy ją obserwowano, nawet dyskretnie i z pewnej odległości. Fotograficy znacznie mniej awanturniczy od Willa stracili kończyny, a nawet życie, opacznie przyjmując obojętność zwierzęcia za oznakę jego łagodności lub uznając, że z jego strony nic im nie grozi. A spośród wszystkich stworzeń, które fotografował Will, żadne nie mogło poszczycić się bardziej zatrważającą reputacją niż niedźwiedź polarny. Gdyby samiec zdecydował się zaatakować Willa, Adrianna musiałaby powalić zwierzę jednym strzałem.

Will tymczasem znalazł zagłębienie u podnóża pagórka, nadające się w sam raz dla niego. Niedźwiedź wciąż oblizywał łapę, był teraz niemal całkowicie odwrócony tyłem do Willa. Adrianna spojrzała na pozostałe zwierzęta, wszystkie trzy beztrudnie kontynuowały poprzednie zajęcia, co wszelako wcale nie poprawiło jej humoru. Wysypisko było urządzone tak, że mogło się na nim znajdować dużo więcej buszujących wśród śmieci stworzeń, których dotąd po prostu nie dostrzegli. Nie po raz pierwszy żałowała, że nie urodziła się z oczami, umieszczonymi po bokach głowy, jak u kameleona, mogącymi poruszać się niezależnie jedno od drugiego.

Przeniosła wzrok na Willa. Podkraść się nieznacznie w górę zbocza z aparatem gotowym do działania. Niedźwiedź tymczasem zaprzestał oblizywania łap i leniwie lustrował swą żalną domenę. Adrianna usiłowała nakłonić go telepatycznie, aby przesunął zad, odwrócił się o dwadzieścia stopni, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, i pozwolił Willowi zrobić mu zdjęcie. Zwierzę jednak tylko uniosło pokryty bliznami pysk i ziewnęło, rozchylając czarne, aksamitne wargi. Kły niedźwiedzia, podobnie jak skóra, nosiły ślady stoczonych przez niego walk. Wiele z nich było popękanych, kilku brakowało, dziąsła były zaognione, ropiejące. Bez wątplenia niedźwiedź bardzo cierpiał, co z pewnością nie poprawiało jego nastroju.

Ziewnięcie drapieżnika umożliwiło Willowi przesunięcie się trzy, cztery kroki w lewo, aż niedźwiedź znalazł się dokładnie naprzeciw niego. Ostrożność, z jaką się poruszał, świadczyła, że zdawał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa. Gdyby zwierzę, zamiast spoglądać w niebo, zdecydowało się spuścić wzrok, Will miałby w najlepszym razie kilka sekund, by wziąć nogi za pas.

Jednakże dopisało mu szczęście. Po niebie przelatywały akurat hałaśliwe dzikie gęsi i niedźwiedź spojrział na nie leniwie, pozwalając Willowi zająć upatrzone miejsce, i dopiero wówczas zwiesił łeb i potoczył posępnym wzrokiem po wysypisku. Adrianna usłyszała w końcu znajomy trzask migawki i odgłos przesuwającej się kliszy. Kilkanaście zdjęć, wykonanych błyskawicznie jedno po drugim. Niedźwiedź opuścił łeb. Czyżby zwietrzył Willa? Migawka trzasnęła znowu, cztery, pięć, sześć razy. Niedźwiedź ryknął ogłuszająco. To było wyraźne ostrzeżenie. Adrianna uniosła strzelbę. Will trzaskał kolejne zdjęcia. Niedźwiedź się nie poruszył. Will zrobił jeszcze dwa zdjęcia, po czym wolno, bardzo wolno, zaczął się podnosić. Niedźwiedź postąpił krok w stronę mężczyzny, ale warstwa śmieci pod jego łapami była śliska i

zamiast podążać za swoją ofiarą, zwierzę postanowiło zostać na miejscu. Will obejrzał się na Adriannę. Na widok jej uniesionej strzelby dał znak, by opuściła broń, po czym wycofał się cichcem. Dopiero gdy znalazł się w połowie drogi między pagórkiem a Adrianną, wymamrotał:

–Ten samiec jest ślepy.

Znów spojrzała na zwierzę. Wciąż tkwiło na szczycie pagórka, kręcąc pokierszowanym łbem w tę i z powrotem, ale Adrianna w mig zorientowała się, że Will miał rację. Zwierzę było niemal całkiem lub zupełnie ślepe, stąd też jego wahanie i niechęć do podjęcia pościgu, gdy nie miało solidnego gruntu pod łapami.

Will znów znalazł się obok niej.

–Chcesz sfotografować któreś z pozostałych? – spytała. Młode poszły gdzieś dalej, ale samica wciąż węszyła przy ciężarówce.

–Nie – odparł krótko; miał to, o co mu chodziło. I odwróciwszy się, by jeszcze raz spojrzeć na wielkiego samca dodał:

–Kogoś mi przypomina, ale nie mam pojęcia kogo.

–Ktokolwiek to jest, nie mów mu tego.

–A to czemu? – spytał Will, przyglądając się zwierzęciu. – Myślę, że mnie to by schlebiało.

PIĘĆ

Kiedy wrócili na Main Steet, Peter Tegelstrom był przed domem; stał na drewnianej skrzyni, przymocowując halloweenowe lampki do nisko zwieszającego się dachu. Jego dzieci, pięcioletnia dziewczynka i starszy o rok chłopiec biegały dokoła, radośnie dokazując, klaszcząc w dłonie i pokrzykując, w miarę jak ojciec, rozciągając przewody, rozwieszał kolejne lampki w kształcie dyń i czaszek. Will podszedł, by porozmawiać z Tegelstromem, Adrianna podążyła za nimi. Przez ostatnie półtora tygodnia zaprzyjaźniła się z dziećmi i zaproponowała Willowi, aby sfotografował całą rodzinę. Żona Tegelstroma była czystej krwi Inuitką, a jej uroda odzwierciedlała się u obojga dzieci. Obraz tej zdrowej, szczęśliwej ludzkiej rodziny mieszkającej o dwieście jardów od wysypiska powinien, zdaniem Adrianny, stanowić silny kontrast dla wykonywanych przez Willa zdjęć niedźwiedzi. Pani Tegelstrom była jednak zbyt nieśmiała, nie chciała nawet porozmawiać z gośćmi, w przeciwieństwie do jej męża, który w mniemaniu Willa był złakniony nawet najkrótszej pogawędki.

–Zrobiłeś już tyle zdjęć, ile sobie zaplanowałaś? – dopytywał się.

–Prawie.

–Powinieneś pojechać do Churchill. Mają tam znacznie więcej niedźwiedzi.

–I mnóstwo turystów, którzy robią im zdjęcia.

–Mógłbyś sfotografować turystów fotografujących niedźwiedzie – rzekł Tegelstrom.

–Tylko w przypadku gdyby któryś z nich został pożarty.

Peter był tym wszystkim mocno rozbawiony. Skończył montowanie oświetlenia, zszedł ze skrzyni i zapalił lampki. Dzieci zaklaskały w rączki.

–Nie mają tu wiele rozrywek – powiedział. – Czasem jest mi ich szkoda. Na wiosnę przeprowadzamy się do Prince Albert. – Skinął głową w stronę domu. – Żona tego nie chce, ale dzieci powinny mieć lepsze życie niż ta wegetacja tutaj.

Dzieci tymczasem bawiły się z Adrianną i za jej namową pobiegły do domu po halloweenowe maski. Po chwili znów się pojawiły, pohukując i warcząc, by wzbudzić tym większą grozę.

Maski, jak przypuszczał Will, były dziełem pani Tegelstrom. Nie przedstawiały klasycznych wampirów czy ghuli, lecz znacznie bardziej niepokojące istoty, pozszywane ze skrawków foczych skór, kawałków futer i kartonu; całość pomalowano pośpiesznie czerwoną i niebieską farbą. W połączeniu z drobnymi ciałkami dzieci te maski wyglądały dziwnie niepokojąco.

–Chodźcie i stańcie tu przy mnie, dobrze? – powiedział Will, przywołując je i ustawiając do zdjęcia na tle frontowych drzwi domu.

–Czy ja też będę na zdjęciu? – spytał Tegelstrom.

–Nie – odparł Will.

Tegelstrom posłusznie oddalił się poza kadr, a Will przykucnął przed dziećmi, które tymczasem przestały hałasować i stanęły obok siebie na progu domu. Zapadła głucha cisza. W powietrzu wyczuwało się napięcie. To nie był radosny, rodzinny portret, o który chodziło Adriannie. Zdjęcie przedstawiało dwa posępne duchy, uchwycone o zachodzie słońca, w świetle plastikowych, halloweenowych lamp. Will był zadowolony z tej fotografii znacznie bardziej niż ze zdjęć, które zrobił na wysypisku śmieci.

Cornelius nie wrócił jeszcze do domu, co skądinąd nikogo nie zdziwiło.

–Pewnie jara trawę z Braćmi Grimm – zauważył Will.

Miał na myśli dwóch Niemców, z którymi Corneliusa łączyła przyjaźń oparta na wspólnym paleniu jointów i picciu piwa. Mieszkali w absolutnie najwytworniejszym domu w całej osadzie, mieli nawet sporych rozmiarów telewizor. Poza trawą, jak wyznał Cornelius, dysponowali także kolekcją filmów z zapasami kobiet, tak zasobną, że warta była poświęcenia jej szerszej uwagi.

–To jak, skończyliśmy już tutaj? – spytała Adrianna.

Przygotowała już wódkę z martini, którą na koniec zawsze wspólnie się raczyli. Rytuał ten wziął swój początek od żartu w błotnistej jamie w Botswanie, gdzie z rąk do rąk podawali sobie piersiówkę z wódką, udając, że sączą wytrawne martini w Savoyu.

–Skończyliśmy – odparł Will.

–Jesteś rozczarowany.

–Jak zawsze. Nigdy nie wychodzi tak, jak bym sobie tego życzył.

–Może zbyt wiele oczekujesz.

–Już o tym rozmawialiśmy.

–Porozmawiajmy jeszcze raz.

–Nie mam ochoty – mruknął Will monotonnym głosem, który Adrianna znała doskonale.

Nie podjęła więcej tego tematu, koncentrując się na innym.

–Czy mogłabym wziąć sobie kilka tygodni wolnego? Chciałabym wybrać się do Tallahassee, żeby odwiedzić matkę.

–Nie ma sprawy. Wracam do San Francisco. Chcę poświęcić trochę czasu zdjęciom, muszę zacząć poszukiwać związków.

To było jego ulubione stwierdzenie, opisujące proces, którego Adrianna nigdy w pełni nie pojmowała. Obserwowała go, gdy to robił – rozkładał na podłodze dwieście, a czasem nawet trzysta zdjęć, krążył wśród nich przez kilka dni, przekładając je, zmieniając układ, tworząc najbardziej nieprawdopodobne kombinacje, w nadziei że coś zaiskrzy i wściekając się na siebie, gdy jego wysiłki spełzały na niczym; czasami wypalał skręta i przez całą noc, aż do rana medytował nad swoim dziełem. Gdy związki zostały w końcu odkryte, a fotografie ułożone w, jego zdaniem, właściwej kolejności, pojawiała się w nich jakaś dotąd niewyczuwalna energia i moc. Jednakże ból, jaki nieodłącznie wiązał się z tym procesem, był, zdaniem Adrianny, niewspółmierny do wyników tej pracy. To istny masochizm, stwierdziła w myślach, jego ostatnia, rozpaczliwa próba znalezienia sensu w tym co bezsensowne, zanim przekaże zdjęcia w obce ręce.

–Pański koktajl, sir – rzekła Adrianna, stawiając martini obok ręki Willa.

Podziękował jej, podniósł kieliszek i stuknął się z nią.

–To niepodobne do Corneliusa, on nigdy nie przeoczy okazji, aby się napić – zauważyła Adrianna.

–Szukasz pretekstu do odwiedzenia Braci Grimm – rzekł Will.

Adrianna nie zaprzeczyła.

–Gert sprawia wrażenie, że może być całkiem niezły w łóżku.

–To ten z mięśniami piwnym?

–Tja.

–Jest twój. Poza tym uważam, że oni wszystko robią w duecie. Nie możesz mieć tylko jednego z nich, albo obaj, albo żaden.

Will sięgnął po papierosy i poszedł do frontowych drzwi, zabierając ze sobą martini. Zapalił światło na ganku, otworzył drzwi, oparł się o framugę i przypalił papierosa. Dzieciaki Tegelstromów o tej porze zapewne leżały już w swoich łóżkach, ale lampki rozwieszane na ganku przez Petera wciąż się paliły; jasny nimb przerażających dyń i białych czaszek okalający dom kołysał się lekko pod wpływem podmuchów wiatru.

–Mam ci coś do powiedzenia – rzekł Will. – Chciałem zaczekać na Corneliusa, ale... wydaje mi się, że ten album będzie moim ostatnim.

–Wiedziałam, że coś cię trapi. Myślałam, że może chodzi o mnie.

–Na Boga, nie – zaprotestował Will. – Jesteś najlepsza, Adie. Bez ciebie i Corneliusa rzuciłbym ten szajs już dawno temu.

–Ale dlaczego właśnie teraz?

–To wszystko przestało mnie bawić – odparł. – To, co robimy, niczego nie zmienia. Pokazujemy zdjęcia niedźwiedzi, a jedynym tego efektem jest to, że przyjeżdża jeszcze więcej ludzi, by zobaczyć, jak te zwierzęta wtykają nosy do słoików z majonezem. To tylko strata czasu, nic więcej.

–Czym zamierzasz się zająć w zamian?

–Nie wiem. To trafne pytanie. Czuję, że... sam nie wiem.

–Co czujesz?

–Że wszystko zaczyna się sypać. Mam czterdzieści jeden lat i wrażenie, że widziałem zbyt wiele, odwiedziłem zbyt wiele miejsc, to wszystko zlewa się w jedną, rozmytą plamę. Nie ma już w tym ani krzty magii. Prochy już nie działają. Moja miłość się wypaliła. Przerosłem Wagnera. To wszystko na co było mnie stać. I wcale nie jest to takie wspaniałe, jak się tego spodziewałem.

Adrianna podeszła i stanęła obok Willa, przy drzwiach, opierając podbródek na jego ramieniu.

–Och, Will, mój ty nieszczęśniku – rzekła miódopłynnym tonem. – Jesteś taki sławny, taki znamienity i tak bardzo, wręcz śmiertelnie znudzony.

–Drwisz sobie z mojego znudzenia?

–Tak.

–Tak przypuszczałem.

–Jesteś zmęczony. Powinieneś zrobić sobie roczną przerwę. Posiedzieć na słoneczku z pięknym chłopcem. To rada doktor Adrianny.

–Znajdziesz mi chłopaka?

–O Boże. Czyżbyś był aż tak wyczerpany?

–Nie byłbym w stanie poderwać w barze faceta, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

–W takim stanie nie rób tego. Wypij jeszcze jedno martini.

–Nie. Mam lepszy pomysł – rzekł Will. – Ty przygotuj drinki, a ja pójdę po Corneliusa. A potem we trójkę upijemy się na smutno.

SZEŚĆ

Cornelius spędził niemal całe popołudnie z braćmi Lauterbach i wyśmienicie się bawił, oglądając zapaśniczki i paląc skręty. Wyszedł po zapadnięciu zmroku, zamierzając wrócić do domu, aby wypić parę kieliszków wódki, ale w połowie Main Street zdał sobie sprawę, że wcale nie ma ochoty na spotkanie z Adrianną. Nie był w nastroju do przeproszania i usprawiedliwiania swoich poczynań, to przyprawiłoby go o depresję. Zamiast wrócić do domu, wyjął okazałego jointa, którego zwędził Gertowi, i udał się nad wodę żeby go wypalić.

Gdy tak szedł, lawirując między domami, niesione wiatrem od zatoki płatki śniegu omiatały mu twarz. Zatrzymał się pod jedną z latarni oświetlających teren pomiędzy zaleczkami domów nad brzegiem i uniósł wzrok, obserwując syjące się z nieba białe, wilgotne płatki.

–Piękne... – mruknął pod nosem.

Na pewno piękniejsze od niedźwiedzi. Kiedy wróci, powie Willowi, że powinien odpuścić sobie niedźwiedzie i zacząć fotografować płatki śniegu. Są zdecydowanie o wiele bardziej zagrożonym gatunkiem, stwierdził z rozbawieniem wywołanym wypaloną trawą. Przecież gdy tylko wszędzie słońce, przestaną istnieć, nieprawdaż? Cała ich doskonałość przypadnie, stopi się. To prawdziwa tragedia.

Will nie dotarł do domu Lauterbachów. Przemaszerował sto jardów w głąb Main Street – wiatr z każdą chwilą coraz bardziej przybierał na sile, niesiony jego podmuchami śnieg gęstniał – gdy nagle dostrzegł Corneliusa, kręcącego się w kółko, z uniesioną głową. Z pewnością był na haju, i to wcale nie zdziwiło Willa. Cornelius zawsze w ten sposób radził sobie z życiem, a Will sam miał zbyt wiele potknięć, by móc go za to obwiniać. Mimo to na tego rodzaju ekscesy powinien być właściwy czas i miejsce, a Main Street w Balthazar, w sezonie niedźwiedzi, na pewno nim nie była.

–Cornelius! – zawołał Will. – Cornelius? Słyszysz mnie?

Najwyraźniej nie słyszał. Cornelius wciąż tańczył pod latarnią, jak derwisz. Will ruszył wzdłuż ulicy w jego stronę, klnąc w żywy kamień. Nie marnował oddechu na wołanie kumpla, choć już w połowie drogi pożałował, że tego nie zrobił, gdyż Cornelius, bez ostrzeżenia, przestał wirować i zniknął pomiędzy domami. Will przyśpieszył kroku, choć kusilo go, by, zanim podąży dalej za Corneliusiem, wrócić do domu po strzelbę. Jednakże gdyby to zrobił, mógłby na dobre go zgubić, a sądząc po płaczących się nogach Corneliusa, mężczyzna nie był w stanie, w którym powinien włączyć się samotnie nocą po osadzie. Will nie tyle martwił się niedźwiedziem, co raczej bliskością zatoki. Cornelius kierował się w stronę brzegu. Gdyby poślizgnął się na oblodzonych korzeniach, mógłby wpaść do wody, tak lodowatej, że szok termiczny spowodowałby zatrzymanie akcji serca.

Dotarł do miejsca, gdzie tańczył Cornelius. Podążył za nim, opuszczając terytorium oświetlone blaskiem latarni i wkraczając na mroczną ziemię niczyją pomiędzy domami a brzegiem zatoki. Uśmiechnął się na widok Corneliusa, którego widmową postać spostrzegł o niecałe pięćdziesiąt jardów dalej. Już się nie kręcił, nie patrzył w niebo, stał w całkowitym bezruchu, spoglądając ku mrocznemu brzegowi.

–Hej, stary! – zawołał do niego Will. – Nabawisz się zapalenia płuc.

Cornelius nie odwrócił się. Nie poruszył nawet jednym mięśniem. Czego on się naćpał? – zastanawiał się Will.

–Con! – zawołał jeszcze raz. Od Corneliusa dzieliło go nie więcej niż dwadzieścia jardów. – To ja, Will! Wszystko gra? Odezwij się, stary.

Dopiero teraz Cornelius przemówił. Jedno bełkotliwie wycedzone słowo sprawiło, że Will nagle znieruchomiał.

–Niedźwiedź.

Spomiędzy ust Willa wypłynął obłoczek pary. Odczekał, równie nieruchomy jak Cornelius, aż biały opar się rozwieje, po czym zlustrował okolicę, aż do granic pola widzenia. Najpierw w lewo. Brzeg był pusty, jak okiem sięgnąć. Potem w prawo. Tak samo. Odważył się zadać jedno jedyne pytanie.

–Gdzie?

–Przede mną – odparł Cornelius.

Will bardzo wolno postąpił krok w bok. Cornelius mimo narkotycznego otępienia, nie zmyślał. Rzeczywiście, jakieś szesnaście, siedemnaście jardów przed nim znajdował się niedźwiedź, jego sylwetka niemal całkiem rozmywała się wśród coraz bardziej sypiącego śniegu.

–Jesteś tam jeszcze, Will? – spytał Cornelius.

–Tak.

–Co mam, kurwa, robić?

–Zacznij się wycofywać, Con. Tylko bardzo, bardzo powoli.

Cornelius obejrzał się przez ramię, na jego obliczu malowało się przerażenie. Niespodziewanie wytrzeźwiał.

–Nie patrz na mnie – rzucił Will. – Nie spuszczaaj wzroku z niedźwiedzia.

Cornelius ponownie spojrział na zwierzę, które ociężałym, wolnym krokiem nieubłaganie

zbliżało się ku niemu. To nie było jedno ze skorych do zabawy młodych z wysypiska, ani ślepy, stary wojownik, którego sfotografował Will. To była wyrosnięta samica, ważąca co najmniej sześćset funtów.

–Kurwa mać... – wymamrotał Cornelius.

–Nie przestawaj się cofać – ponaglił go Will. – Nic ci się nie stanie. Tylko nie pozwól, aby uznała, że jesteś zdobyczą, którą warto ścigać.

Cornelius zrobił trzy niepewne kroki wstecz, ale po szaleńczym, wirującym tańcu pod latarnią miał problemy z utrzymaniem równowagi i przy czwartym kroku poślizgnął się na oblodzonym gruncie. Zachwiał się, lecz nie upadł, jednak to, czego próbował uniknąć, już się stało. Sycząc gniewnie, niedźwiedzica ruszyła w jego stronę. Cornelius odwrócił się i rzucił do ucieczki. Niedźwiedzica, rycząc, pognąła za nim, jej ciało rozmyło się w niewyraźną plamę. Nie mając przy sobie broni, Will mógł jedynie zejść Corneliusowi z drogi i zacząć przeraźliwie krzyczeć ochryplym głosem, w nadziei że to odstraszy zwierzę. Niedźwiedzicy chodziło jednak o Corneliusa. Dwoma susami zmniejszyła o połowę dzielący ich dystans, rozdziawiła szeroko paszczę, szykując się do...

–Padnij!

Will spojrzał w stronę, skąd dobiegł głos, i Bogu dzięki, ujrzał stojącą opodal Adriannę trzymającą uniesioną i gotową do strzału strzelbę.

–Con! – krzyknęła. – Na glebę, kurwa!

Zrozumiał, rzucił się na oblodzoną ziemię, wielka niedźwiedzica znajdowała się zaledwie o długość ciała za nim. Adrianna wypaliła, trafiając zwierzę w bark, zatrzymując niedźwiedzicę, zanim zdążyła dopaść swą ofiarę. Zwierzę dźwignęło się w górę, z rykiem bólu i cierpienia, na brudnobiałej sierści pojawiła się krew. Cornelius wciąż jednak znajdował się w zasięgu potężnych łap, gdyby tylko niedźwiedzica zamachnęła się na niego. Skulony, by stanowić możliwie jak najmniejszy cel, Will podpełzł do niego i objąwszy ramionami jego rozdygotany tors, odciągnął mężczyznę od niedźwiedzicy. W nozdrza uderzyła go drażniąca woń fekaliiów.

Spojrzał na niedźwiedzicę. Nie była ciężko ranna, bynajmniej. Rycząc tak głośno, że od tego dźwięku trzęsła się ziemia, ruszyła w stronę Adrianny, która ponownie złożyła się do strzału i pociągnęła za spust, trafiając w cel oddalony o niespełna dziesięć jardów. Ryk zwierzęcia ucichł jak ucięty nożem, niedźwiedzica znów dźwignęła się w górę, wielka, biała, upstrzona plamami szkarłatu, zachwiała się przez chwilę. Wreszcie znów opadła na cztery łapy i wyraźnie utykając, zrejterowała, by po chwili rozpląnąć się w ciemnościach.

Całe to spotkanie – od chwili gdy Cornelius zidentyfikował swoją nemezis – trwało niespełna minutę, ale równocześnie na tyle długo, by Will pogrążył się w stanie niezwykłego delirium.

Wstał chwiejnie, płatki śniegu sypiące się z nieba przywodziły na myśl wirujące gwiazdy, i

podszedł do miejsca, gdzie na łodzi pozostał ślad krwi niedźwiedzicy.

–Wszystko w porządku? – spytała Adrianna.

–Tak.

Delikatnie mówiąc, minął się z prawdą. Nie został ranny, ale wcale nie czuł się dobrze. Miał wrażenie, jakby to, czego przez chwilę był świadkiem, pozbawiło go części duszy, która pognała w mrok, śladem niedźwiedzicy. Musiał za nią podążać.

–Zaczekaj! – zawołała Adrianna.

Odwrócił się, by na nią spojrzeć, starając się nie słyszeć mamrotanych przez łzy słów przeprosin Corneliusa i krzyków ludzi, którzy zwietrzywszy krew, wylegli na Main Street. Adrianna patrzyła mu prosto w oczy. Wiedział, że stara się odgadnąć jego myśli.

–Nie rób głupstw, Will – rzekła.

–Nie mam wyboru.

–Wobec tego weź przynajmniej strzelbę.

Spojrzał na nią, jakby to on sam otrzymał przed chwilą ciężki postrzał.

–Nie będzie mi potrzebna – powiedział.

Odwrócił się plecami do niej, do świateł, ludzi na ulicy i ich kretyńskich pytań. A potem pobiegł w stronę wybrzeża, podążając krwawym tropem pozostawionym przez niedźwiedzicę.

SIEDEM

Czekał przez tyle lat. Podczas gdy coś nieopodal umierało, czekał i patrzył beznamiętnie, by zarejestrować tę śmierć jak wierny, rzetelny świadek. Zachowywał niezbędny dystans i spokój. Dość już tego. Niedźwiedzica dogorywała i on by też umarł, gdyby pozwolił jej teraz odejść i skonać samotnie, gdzieś tam, pośród ciemności. Coś w nim pękło. Nie wiedział czemu tak się stało. Może spowodowała to rozmowa z Guthriem, która obudziła w nim bezmiar uspiętego bólu; a może to efekt spotkania ze ślepy m niedźwiedziem na wysypisku śmieci, lub po prostu przyszedł na to czas. Nadeszła odpowiednia chwila. Dostatecznie długo wisiał na gałęzi, dojrzewając. Przyszła pora, by spaść, zgnić i stać się czymś innym. Czymś nowym.

Podążał tropem niedźwiedzicy wzdłuż brzegu, równoległe do ulicy, czując narastającą rozpacz. Nie miał pojęcia co robić, kiedy już dogoni zwierzę, wiedział tylko, że musi być świadkiem jego agonii i cierpienia, do którego on sam, poniekąd się przyczynił. Bądź co bądź to on sprowadził tu Corneliusa z jego nałogami. Niedźwiedzica po prostu robiła to co zwykle, w przypadku napotkania jakiegokolwiek zagrożenia. Została postrzelona za postępowanie zgodne z jej dziką naturą. Żaden myślący pedał nie mógłby cieszyć się, że przyłożył rękę do czegoś takiego.

Empatia, jaką Will odczuwał wobec niedźwiedzicy, nie zdołała w pełni zabić w nim instynktu samozachowawczego. Choć szedł za tropem jak pies gończy, kiedy dotarł do skał, ominął je szerokim łukiem, w obawie przed mogącymi czańc się tam innymi niedźwiedziami. Pozostawiwszy za sobą latarnie przy Main Street, znalazł się na terenie, gdzie panował nieprzyjemny, posępny półmrok. Coraz trudniej było mu odnajdywać ślady krwi. Musiał przystawać i wpatrywać się w ziemię, by je dostrzec, ale cieszył się z każdej takiej przerwy. Lodowate powietrze paliło go w płucach i gardle, zęby bolały, jakby borowano je wszystkie naraz, trzęsły mu się nogi.

Skoro on czuł się słabo, z niedźwiedzicą musi być jeszcze gorzej, skonstatował. Traciła coraz więcej krwi, jej koniec był bliski.

Gdzieś niedaleko zaczął ujadać pies, Will znał te odgłosy.

–Lucy... – rzekł do siebie Will.

Unosząc wzrok, pośród wirującego śniegu spostrzegł oddalony o zaledwie dwadzieścia jardów barak Guthriego. W pościgu za niedźwiedzicą dotarł aż tutaj. Usłyszał krzyki starca, usiłującego uciszyć sukę, a potem trzask otwieranych tylnych drzwi.

Płynące zza nich światło rozjaśniało mrok. Było słabe w porównaniu z blaskiem latarni, pół mili dalej, ale wystarczyło, by Will zobaczył ścigane zwierzę.

Znajdowało się teraz w pobliżu Willa, stojąc na czterech łapach i kołysząc się; śnieg wokół pociemniał od krwi.

–Co się tu, kurwa dzieje? – rzucił Guthrie.

Will nie spojrzął na starca, przez cały czas wzrok miał skierowany na niedźwiedzicę, która podobnie obserwowała jego, krzyknął tylko na Guthrie'go, aby natychmiast wrócił do swojej chaty.

–Rabjohns? To ty?

–Jest tu ranna niedźwiedzica! – zawołał Will.

–Widzę ją – odparł Guthrie. – To ty ją postrzeliłeś?

–Nie! – Kątem oka Will dostrzegł, że Guthrie wyszedł ze swojej chaty. – Wróć do środka, dobra?

–Jesteś ranny? – krzyknął Guthrie.

Zanim Will zdążył odpowiedzieć, niedźwiedzica podniosła się i odwróciwszy swe wielkie cielsko w stronę Guthrie'go, zaatakowała. Gdy zaryczała na starca, Will zdołał jeszcze zdziwić się, dlaczego wybrała Guthrie'go, a nie jego; czyżby przez te kilka sekund, kiedy nawzajem na siebie patrzyli, zrozumiała, że nie stanowi dla niej zagrożenia: że jest, podobnie jak ona, zranioną istotą uwięzioną pomiędzy ulicą a morzem? Zaraz potem dźwignęła się i machnęła łapą, trafiając Guthrie'go i odrzucając go dobre pięć jardów do tyłu. Wylądował ciężko na ziemi, lecz wskutek przeżytego szoku i solidnej dawki adrenaliny już po chwili poderwał się na nogi, wrzeszcząc coś niezrozumiale do zwierzęcia, które go zraniło. Dopiero wówczas jego ciało pojęło ogrom szkód poczynionych w nim przez drapieżnika. Mężczyzna uniósł dłonie do piersi, pomiędzy jego palców buchnęła krew. Już nie krzyczał, spojrzął na niedźwiedzicę, stali tak przez kilka sekund, wpatrując się w siebie nawzajem, oboje broczący krwią i chwiejący się na nogach. Wtem Guthrie przełamał ten impas i osunął się twarzą do dołu na ośnieżoną ziemię.

Wciąż stojąca na progu Lucy zaczęła rozpaczliwie ujadać, ale mimo że czyniła straszny hałas, nie starała się zbliżyć do swego pana.

Guthrie wciąż żył, próbował przewrócić się na wznak, a przynajmniej tak to wyglądało, wodził prawą ręką po oblodzonej ziemi, usiłując wstać.

Will rozejrzał się, w nadziei że zobaczy kogoś, kto zechciałby mu pomóc. Na brzegu nie było żywego ducha, być może jacyś ludzie zbliżali się od strony ulicy.

Nie mógł jednak pozwolić sobie czekać na nich, nie miał chwili do stracenia. Guthrie potrzebował natychmiastowej pomocy. Niedźwiedzica znów stanęła na czterech łapach, a sądząc po tym, jak się chwiała, lada moment powinna się przewrócić. Nie spuszczać z niej wzroku, podszedł do miejsca gdzie leżał Guthrie. Delirium, które nim oładnęło, minęło jak ręką odjął. Czuł jedynie nieprzyjemne palenie w żołądku. Zanim dotarł do Guthrie'go, tamten zdołał o własnych siłach odwrócić się na wznak i już na pierwszy rzut oka było widać, że nic nie

zdola go uratować, miał rozszarpaną klatkę piersiową, szklisty wzrok i krew na ustach. Mimo to sprawiał wrażenie, jakby dostrzegał Willa, a przynajmniej wyczuwał jego bliskość. Gdy Will pochylił się nad nim, wyciągnął rękę i zacisnął palce na jego kurtce.

–Gdzie Lucy? – spytał.

Will uniósł wzrok. Suka wciąż stała przy drzwiach. Przestała szczekać.

–Nic jej nie jest.

Guthrie najwyraźniej nie usłyszał odpowiedzi, gdyż mocniej przyciągnął Willa do siebie; był niewiarygodnie silny.

–Jest bezpieczna – zapewnił Will, nieco głośniejszym tonem.

Gdy się odezwał, usłyszał ostrzegawcze parsknięcie. Spojrzał w stronę niedźwiedzicy. Całym jej ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze, jakby i ona, podobnie jak Guthrie, była bliska ostatecznej kapitulacji. Niemniej jednak, nie zamierzała skonać tam gdzie stała. Postąpiła niepewnie krok w stronę Willa, obnażając kły.

Guthrie chwycił Willa za ramię. Znowu coś mówił. Jego słowa były zupełnie pozbawione sensu, a przynajmniej w tym momencie Will nie był w stanie ich zrozumieć.

–Tego... już... więcej... nie... będzie... – wykrztusił.

Niedźwiedzica zrobiła drugi krok, jej ciało zakolysało się w przód i w tył. Will powoli zaczął uwalniać się od Guthrie, lecz mężczyzna trzymał go niewiarygodnie mocno. Zbyt mocno.

–Niedźwiedzica... – rzekł Will.

–Ani tego... – wymamrotał Guthrie – ani tego...

Na jego okrwawionych wargach wykwitł słaby uśmiech. Czy wiedział co robi? Czy zdawał sobie sprawę, że unieruchamia mężczyznę, który przybył doń z posępnymi wspomnieniami, a teraz przytrzymuje go, czyniąc zeń łatwy dla niedźwiedzicy cel?

Will nie miał wyboru; jeżeli chciał uniknąć ataku niedźwiedzicy, musiał pociągnąć Guthrie'ego ze sobą. Zaczął się podnosić, dźwigając go w górę – konającego, wątłego staruszka. Guthrie wydał przeciągły jęk bólu i ucisk jego palców na ramieniu Willa nieznacznie się rozluźnił. Will zrobił krok w bok, w stronę baraku, na wpeł wlokąc Guthrie'ego ze sobą, niczym partnera w jakimś upiornym tańcu. Niedźwiedzica zatrzymała się i obserwowała ten dance macabre czarnymi jak guziki ślepiami. Will postąpił jeszcze krok w bok, a Guthrie znów zawył z bólu, lecz tym razem o wiele ciszej i nieoczekiwanie puścił Willa, który nie miał dość sił, aby go podtrzymać. Guthrie miękko osunął się na ziemię, jakby wszystkie kości w jego ciele zmieniły się w wodę, i w tej samej chwili niedźwiedzica zaatakowała. Will nie miał szans, by się uchylić,

ani tym bardziej uciec. Zwierzę dopadło go jednym susem, uderzając weń jak rozpedzone auto, pod wpływem tego ciosu jego kości popękały jak zapalki, a cały świat zmienił się w rozmytą oślepiająco białą plamę bólu i śniegu.

Uderzył głową w oblodzoną ziemię i na kilka sekund stracił świadomość. Gdy ją odzyskał, uniósł rękę, zauważył, że śnieg pod nim jest czerwony. Gdzie się podziała niedźwiedzica? Rozejrzał się w lewo i w prawo, wypatrując drapieżnika. Nie było po nim śladu. Jedną rękę miał przygniecioną własnym ciałem i całkiem bezwładną, ale druga była na tyle silna, że zdołał się podnieść. Ten ruch sprawił, że z bólu zebrało mu się na mdłości i obawiał się, że znowu straci przytomność, lecz stopniowo, bardzo wolno uniósł ciało do pozycji siedzącej.

Z lewej dobiegł go jakiś dźwięk. Odgłos sapania i węszenia. Spojrzał w tę stronę, mrugając powiekami. Niedźwiedzica szturchała nosem zwłoki Guthrie'ego, wdychając zapach jego ciała. Uniosła łeb, pysk miała cały we krwi.

Oto śmierć, pomyślał Will. Oto śmierć dla całej naszej trójki. Wszyscy umrzemy. Oto śmierć. To jest to co fotografowałeś tak wiele razy. Utopiony delfin zaplątany w sieci, małpka dogorywająca w konwulsjach wśród swoich martwych pobratymców, patrząca nań żalonym wzrokiem, którego Will nie mógł ścierpieć i który potrafił wytrzymać jedynie przez obiektyw swego aparatu. W tej szczególnej chwili byli tacy sami, jednakowi, on i małpka, on i niedźwiedzica. Byli efemerycznymi, ulotnymi istotami, których czas dobiegł końca.

I wtedy niedźwiedzica znów go dopadła, jej pazury rozszarpały mu bark i plecy, szczęki rozchyliły się, by dosięgnąć jego gardła. Gdzieś daleko, w miejscu do którego już nie należał, usłyszał, jak jakaś kobieta woła go po imieniu, a leniwy, senny głos w jego myślach skwitował to krótko: Adrianna tu jest, słodka Adrianna...

Usłyszał strzał, zaraz potem drugi. Poczul na sobie ciężar niedźwiedziego cielska, przyszpilający go do ziemi, spływającą po twarzy krew.

Czy został ocalony? – zastanawiał się mgliście. Gdy ta myśl zaświtała mu w głowie, jakaś inna jego cząstka, pozbawiona oczu i uszu, niedbająca o to, że nimi nie dysponowała, opuściła to miejsce; a zmysły, których istnienia nigdy u siebie nie podejrzewał, przeniknęły przez zasłone burzowych chmur, kontemplując gwiazdy powyżej. Odniósł wrażenie, że czuje ich żar, że ich gorejące serca i jego duszę dzieli zaledwie odległość myśli i że gdyby tylko zechciał, mógłby znaleźć się na którejś z nich, na każdej z nich i poznać ich najgłębsze sekrety. Coś go jednak przed tym powstrzymywało. Jakiś głos w jego głowie, znajomy głos, którego wszakże nie potrafił zidentyfikować.

DOKĄD SIĘ WYBIERASZ? – spytał głos.

Pobrzmiwała w nim nuta rozbawienia. Starał się dopasować do tego głosu twarz, ale dostrzegał jedynie drobne fragmenty. Jedwabiste rude włosy, ostry nos, komiczny wąsik.

JESZCZE NIE MOŻESZ ODEJŚĆ – stwierdził intruz.

„Ale ja chcę” – powiedział. To tak bardzo boli. Pobyt tutaj jest okropnym cierpieniem. Nie mam na myśli umierania, lecz samo życie.

Intruz słyszał jego skargi, ale nie zwracał na nie uwagi.

UCISZ SIĘ – powiedział. WYDAJE CI SIĘ, ŻE JESTEŚ PIERWSZYM CZŁOWIEKIEM NA TEJ PLANECIE, KTÓRY UTRACIŁ WIARĘ? TO WSZYSTKO JEST TEGO CZĘŚCIĄ, MUSIMY ODBYĆ POWAŻNĄ ROZMOWĘ, TY I JA. W CZTERY OCZY. JAK MĘŻCZYZNA Z...

„Jak mężczyzna z kim?”.

JESZCZE DO TEGO DOJDZIEMY – odparł głos. Powoli zaczął cichnąć.

„Dokąd idziesz?” – dopytywał się Will.

TAM GDZIE BĘDZIESZ MÓGŁ MNIE ODNALEŹĆ, GDY NADEJDZIE CZAS – odrzekł nieznajomy. A ON NADEJDZIE, MÓJ NIEWIERNY PRZYJACIELU. TO RÓWNIE PEWNE JAK TO, ŻE BÓG DAŁ DRZEWOM CYCKI.

Wypowiedziawszy te słowa, odszedł.

Nastąpiła chwila kojącej ciszy i Will pomyślał, że może jednak mimo wszystko umarł, a teraz powoli lecz nieubłaganie odpływa w zapomnienie. I wtedy usłyszał Lucy, nieszczęsną, osieroconą Lucy, wyjąca przeraźliwie gdzieś blisko niego. A pośród jej skowytu rozlegały się ludzkie głosy, nakazujące mu, by się nie ruszał, aby leżał nieruchomo, a wszystko będzie w porządku.

–Słyszysz mnie, Will? – spytała Adrianna.

Czuł płatki śniegu padające mu na twarz, jak wilgotne, zimne pióra. Sypały się na jego czoło, rzęsy, usta i zęby.

A potem, co było mniej przyjemne od śniegu, poczuł przybierający na sile palący ból w klatce piersiowej i czaszce.

–Will – odezwała się Adrianna. – Powiedz coś do mnie.

–Ta... ak – wychrypiał.

Ból stawał się nie do zniesienia i co gorsza wciąż się wzmagał.

–Wyjdiesz z tego – zapewniła Adrianna. – Pomoc jest już w drodze. Wyjdiesz z tego.

–Chryste, ale jatka – powiedział ktoś.

Will rozpoznał ten akcent. To z pewnością jeden z braci Lauterbach; Gert, lekarz pozbawiony prawa do wykonywania zawodu za niewłaściwą dystrybucję leków. Mężczyzna wydawał rozkazy jak dowódca na polu bitwy: koce, bandaże, dawać je tu, ale migiem!

–Will? – Trzeci głos, rozlegający się tuż przy jego uchu. To Cornelius. Mówił przez łyżę. Płakał jak bóbr. – Spieprzyłem sprawę, stary. Chryste, tak mi przykro...

Will chciał go uciszyć, powiedzieć, żeby przestał się obwiniać, teraz i tak była to musztarda po obiedzie, ale język w jego ustach wydawał się całkiem zdrętwiały i Will nie był w stanie wymówić ani słowa. Tylko jego powieki uniosły się odrobinę, przełamując warstewkę śniegu, która się na nich zebrała. Nie widział Corneliusa, Adrianny ani Gerta Lauterbacha. Jedynie sypiący śnieg, spirale białego, wirującego puchu.

–Żyje – rzuciła Adrianna. – Wciąż jest przytomny.

–O Boże, o Boże – szlochał Cornelius. – Dzięki Ci, Boże!

–Trzymaj się. – Adrianna zwróciła się do Willa. – Zaraz cię stąd zabierzemy. Słyszysz mnie? Nie umrzesz, Will. Nie pozwolę ci na to, rozumiesz?

Ponownie zamknął oczy. Ale śnieg wciąż padał pod jego czaszką, spowijając coraz grubszą warstwą bieli, jak grubym, miękkim kocem, odgradzającym go od bólu i cierpienia. Stopniowo ból zaczął się od niego oddalać, głosy rozplynęły się gdzieś w przestrzeni, a on, spowity śniegiem, pograżył się we śnie i śnił o całkiem innych czasach.

CZEŚĆ
DRUGA,
W KTÓREJ
ŚNI, ŻE JEST
KOCHANY
JEDEN

Przez kilka niezapomnianych miesięcy po śmierci starszego brata Will był najszcześliwszym chłopcem w całym Manchesterze. Rzecz jasna, nie okazywał tego publicznie. Szybko nauczył się jak robić smutną minę, a niekiedy nawet uronić łezkę, gdy zatroskany krewny pytał go, jak się czuje. To wszystko było jednak zwyczajnym udawaniem. Nathaniel nie żył, a on cieszył się z tego. Złoty chłopiec nie będzie już nim rządził. Obecnie tylko jedna osoba zachowywała się wobec niego po ojcowsku, protekcjonalnie – jego ojciec.

Tatko miał po temu powód. Był wspaniałym człowiekiem, filozofem. Inni trzynastolatkowie mieli ojców hydraulików albo kierowców autobusu, gdy tymczasem ojciec Willa, Hugo Rabjohns napisał jak dotąd aż sześć książek, których treści nie zdołałby zrozumieć chyba żaden hydraulik czy kierowca autobusu. Świat, rzekł Hugo do Nathaniela, pewnego dnia, w obecności Willa, został stworzony przez wielu mężczyzn, lecz ukształtowało go tylko kilku. Najważniejsze było to, żeby stać się jednym z tych nielicznych, odnaleźć miejsce, w którym mogłeś zmienić powtarzające się wzorce wielu, dzięki politycznym wpływom i dysputom intelektualnym, a gdyby te środki zawiodły, zawsze pozostawała jeszcze łagodna perswazja.

Will uwielbiał słuchać, gdy ojciec tak mówił, mimo że nie wszystko jeszcze rozumiał. Ojciec natomiast bardzo lubił opowiadać o swoich ideach. Choć Will słyszał jak ten wpadł kiedyś we wściekłość, kiedy Eleanor, matka Willa nazwała swego męża nauczycielem.

–Nie jestem, nie byłem i nigdy nie będę nauczycielem! – ryknął Hugo, a jego i tak zwykle rumiane oblicze, jeszcze poczerwieniało. – Dlaczego zawsze starasz się umniejszyć to co robię?

Co na to odpowiedziała Eleanor? Coś niejasnego. Zawsze wyrażała się niejasno. Zwykle patrzyła wtedy na niego, na coś, co znajdowało się za oknem, albo krytycznym wzrokiem lustrowała wykonaną przez siebie kompozycję kwiatową.

–Filozofii nie można się nauczyć. – mówił Hugo. – Ona może być dla nas jedynie inspiracją.

Być może ta wypowiedź trwała nieco dłużej, aczkolwiek Will szczerze w to wątpił. Krótki wybuch, a potem spokój: to stało się niemal swoistym rytuałem. Niekiedy wymiana zdań była ciepła i życzliwa, ale zdarzało się to nader rzadko. Na twarzy matki zawsze widniał ten sam nieobecny wyraz, niezależnie, czy tematem rozmowy była filozofia, czy też uczucia.

A kiedy zginął Nathaniel, nawet te wymiany zdań także się urwały.

Zginął w czwartkowe popołudnie, pod kołami taksówki, gdy przechodził przez ulicę; kierowca spieszył się, chcąc dowieźć swego pasażera na czas na Manchester Piccadilly Station, aby ten mógł zdążyć na pociąg. Odrzucony przez rozpędzony samochód, Nathaniel rozbił szybę wystawową w salonie obuwniczym, przy czym doznał licznych skaleczeń i obrażeń wewnętrznych. Nie umarł na miejscu. Walczył o życie przez dwa i pół dnia na oddziale intensywnej opieki medycznej Royal Infirmary, nie odzyskał jednak przytomności. Trzeciej nocy jego ciało po prostu przestało walczyć i skonał.

W preferowanej przez Willa, nieco zmitologizowanej wersji tego zdarzenia jego brat, pogrążony w śpiączce, w którymś momencie podjął decyzję, że nie wróci już do tego świata. Choć kiedy zmarł miał ledwie piętnaście lat, zasmakował od świata więcej pochwał niż najbardziej sędziwi ludzie, którzy kiedykolwiek stąpali po ziemi; uwielbiany przez tych, którzy go spłodzili, był obdarzony obliczem, którego nie sposób było nie pokochać. Nathaniel postanowił rozstać się ze światem, dopóki ten jeszcze go miłował. Był dostatecznie adorowany i dostatecznie kochany. To go znudziło. Najwyższy czas odejść, nie oglądając się wstecz.

Po pogrzebie Eleanor prawie nie ruszała się z domu. Zawsze lubiła spacerować i oglądanie sklepowych wystaw. Teraz całkiem z tym skończyła. Miała krąg przyjaciółek, z którymi co najmniej dwa razy w tygodniu wychodziła na lunch. Obecnie nawet nie odbierała ich telefonów, nie chciała z nimi rozmawiać. Jej twarz zupełnie straciła dawny blask. Nieobecny wyraz niemal nie opuszczał jej oblicza, trawiące ją obsesje narastały z każdym dniem. Nie rozsuwała zasłon w salonie, w obawie by nie ujrzeć jadącej ulicą taksówki. Jadała posiłki wyłącznie z białych talerzy. Nie była w stanie zasnąć dopóki wszystkie drzwi i okna nie zostały pozamykane na cztery spusty. Często się modliła, cicho, po francusku, czyli w jej ojczystym języku. Will usłyszał, jak któregoś dnia powiedziała tacie, że duch Nathaniela jest przy niej cały czas, czy Hugo nie dostrzega go, w jej obliczu? Mieli niemal identyczne rysy twarzy. Takie same, francuskie rysy i strukturę kostną. Nawet w wieku lat trzynastu Will przyjmował świat bez zbędnych sentymentów, nie próbował oszukiwać samego siebie, w związku z tym co działo się z jego matką. Popadała w obłąd. Tak przedstawiała się ta smutna, nieuchronna prawda. Przez kilka tygodni w maju nie mogła przebywać w domu sama i Will był zmuszony porzucić szkołę (co przyjął bez większego żalu), aby dotrzymać jej towarzystwa – choć nie wolno mu było jej widywać (nie życzyła sobie oglądania twarzy będącej jedynie gorszą kopią doskonałego oblicza Nathaniela), kiedy jednak próbował otworzyć frontowe drzwi i wyjść na dwór, natychmiast przywoływała go z powrotem, głośno szlochając. Wreszcie w połowie sierpnia Hugo odbył z Willem męską rozmowę, stwierdził, że życie w Manchesterze stało się nie do zniesienia dla nich trojga i będą musieli się przeprowadzić.

–Twojej matce potrzeba przestrzeni i świeżego powietrza – wyjaśnił.

Trud miesięcy, jakie upłynęły od tragicznego wypadku, odcisnął głębokie piętno na jego twarzy. Jak sam stwierdził, miał twarz zawodowego pięściarza, jej kamienna surowość była niczym lita skała, z której wyrastają pnącza myśli i po której spływają strumyki słów. I faktycznie tak było. Nawet proste zadanie opisanie wyjazdu ich rodziny z Manchesteru zmieniało się w prawdziwą lingwistyczną przygodę.

–Zdaję sobie sprawę, że ostatnie miesiące były dla ciebie bardzo ciężkie – rzekł Hugo do Willa. – Manifestacje smutku mogą być żenujące dla nas wszystkich, a ja nie jestem w stanie udawać, że rozumiem, dlaczego żal trawiący serce twojej matki objawił się w tak osobliwej formie. Nie możesz jednak jej osądzać. Nie odczuwamy tego samego co ona. Nikt z nas nie potrafi odczuwać bezmiaru emocji drugiego człowieka. Możemy się tego jedynie domyślać. Snuć na ten temat domniemania. I to wszystko. Co dzieje się tutaj – postukał się w skroń – należy tylko i wyłącznie do niej.

–Może gdyby zechciała o tym porozmawiać... – zaczął niepewnie Will.

–Słowa nie potrafią oddać najsztudniejszych emocji. Już ci o tym mówiłem, pamiętasz? To, co mówi twoja matka i co ty słyszysz, to dwie różne rzeczy. Rozumiesz to, prawda?

Will pokiwał głową, choć pojmował zaledwie drobną część tego, co do niego mówiono.

–I właśnie dlatego musimy się przeprowadzić – dodał Hugo, najwyraźniej usatysfakcjonowany, że udało mu się wyjaśnić synowi dość trudne, skądinąd pojęcie natury filozoficznej.

–Dokąd pojedziemy?

–Do małej osady w Yorkshire, o nazwie Burnt Yarley. Będziesz musiał zmienić szkołę, ale to nie powinno stanowić dla ciebie większego problemu, prawda?

Will zapewnił, że nie i faktycznie była to prawda. Nie znosił swojej szkoły.

–Na pewno dobrze ci zrobi odrobina słońca i świeżego powietrza. Jesteś taki blady.

–Kiedy wyjeżdżamy?

–Za niecałe trzy tygodnie.

DWA

1

Przeprowadzka nie odbyła się zgodnie z planem. Dwa dni po rozmowie Hugona z Willem, całkiem bez ostrzeżenia, Eleanor złamała swoje zasady i rankiem wyszła z domu, by błąkać się po okolicy. Późnym wieczorem została odprowadzona do domu. Odnaleziono ją szlochającą na ulicy gdzie został potrącony Nathaniel. Przeprowadzkę odroczone, a przez następne dwa tygodnie Eleanor znajdowała się pod opieką pielęgniarek i psychiatry. Lekarstwa zrobiły swoje. Już po kilku dniach jej nastrój poprawił się, wręcz tryskała humorem i zajęła się pakowaniem rzeczy. W drugi weekend września opóźniona przeprowadzka doszła wreszcie do skutku.

Podróż z Manchesteru trwała ponad godzinę, ale mogło się wydawać, że dwupojazdowy konwój znalazł się całkiem w innym kraju. Pozostawiwszy za sobą niezbyt ciekawe uliczki Oldham i Rochdale, wyjechali na otwarty teren, rozległe podmokłe łąki i trzęsawiska stopniowo ustępowały tu miejsca bardziej stromym pagórkom, których zielone stoki były miejscami odarte aż do posępnego, szarego kamienia. Na wzgórzach wiał silny wiatr, jego podmuchy omiały furgonetkę, w której siedział Will. Z mapą w ręku, najlepiej jak potrafił, starał się kontrolować trasę przejazdu, odrywając wzrok od szosy tylko wówczas, gdy przejeżdżali przez osady o wyjątkowo zagadkowych nazwach: Kirkley, Malzeard, Gammersgill, Horton-In-Ribblesdale, Yochenthwaite, Gartwaite i Rottenstone Hill. Te nazwy brzmiały nader obiecująco.

Ich punkt docelowy, wioska Burnt Yarley wydała się Willowi nie do odróżnienia od tuzina innych osad, które mijali po drodze: skupiska prostych, kanciastych domków i chat, wznoszących się na wapiennym podłożu i pokrytych dachówką; zaledwie kilka sklepów (spożywczy, rzeźnik, kiosk z gazetami, poczta, pub), kościół otoczony rozległym trawnikiem i garbaty mostek wznoszący się nad wąską jak jednopasmowa droga rzeczka. Jednakże na obrzeżach wioski znajdowały się trzy lub cztery prawdziwe rezydencje. Jedna z nich miała być ich nowym domem. Will o tym wiedział. Był to największy dom w Burnt Yarley, tak piękny, że jak twierdził ojciec Willa, na samą myśl iż mieli w nim zamieszkać, Eleanor rozpląkała się ze szczęścia. Tu będziemy szczęśliwi, zapewnił Hugo, nie tyle z nadzieją, co raczej z napomnieniem w głosie.

Pierwsza oznaka tego szczęścia czekała na nich przed bramą: korpulentna, uśmiechnięta kobieta w średnim wieku, która przedstawiła się Willowi jako Adele Bottrall i powitała ich wszystkich ze szczerą, nieskrywaną radością. Natychmiast zabrała się za rozładunek samochodu: furgonetki przeprowadzkowej, nadzorując poczynania swego męża, Donalda i syna Craiga, ponurego szesnastolatka o byczym karku, należącego do tego typu chłopców, których Will obawiał się w swojej starej szkole, zwykle bowiem zbierał od nich bolesne cięgi. Ten nastolatek jednak był prawdziwym wołem roboczym, ze spuszczonego wzrokiem, bez słowa skargi wnosił do domu kolejne pudła i meble. Pani Bottrall poczęstowała Willa lemoniadą,

następnie Will obszedł cały dom, aby mu się przyjrzeć, po czym stanął przed wejściem i obserwował harującego z móżdżkiem Craiga.

Popołudnie było parne, Adele zapewniła, że wieczorem będzie burza i powietrze stanie się rześkie, Craig rozebrał się do wyświechtanej kamizelki, pot ściekał mu strużkami po szyi i twarzy, kark i ramiona, w miejscach gdzie za bardzo sprzążyło je słońce, oblażyły ze skóry. Will zazdrościł tamtemu muskulatury, kręconych włosów pod pachami i rzadkich baczków, które zaczął zapuszczać nastolatek. Udając, że przejmuje się, jak Craig radzi sobie z dźwiganiem stołów i lamp, leniwie, jakby od niechcienia, krążył za nastolatkiem od pokoju do pokoju, obserwując go przy pracy. Od czasu do czasu Craig robił coś, czego jak sądził Will nie powinien był oglądać, choć były to zgoła niewinne gesty – muśnięcie językiem kędzierzawych wąsów, przeciągnięcie ramion i uniesienie ich nad głową, opryskanie twarzy wodą przy kuchennym zlewie. Raz czy dwa Craig spojrział w jego stronę, nieco rozbawiony uwagą, jaką mu poświęcono. Willowi wydawało się że dostrzega wówczas na jego twarzy wyraz obojętności, który tak często przepełniał oblicze jego matki.

Rozładunek trwał aż do wczesnego wieczora, dom, niezamieszkały od dwóch lat – subtelnie opierał się ponownym zasiedlinom. Wewnętrzne drzwi okazały się zbyt wąskie dla kilku skrzyń do przewozu herbaty, a pokoje za małe, by pomieścić niektóre meble z domu w mieście. W miarę upływu czasu nastroje coraz bardziej się zaogniały. Nie obyło się bez szkód, otartych kłykci, zdartej do krwi skóry z dłoni i goleni, poobijanych palców. Eleanor przez cały ten czas zachowywała stoicki spokój; siedziała przy wielkim oknie, skąd rozciągał się przepiękny widok na panoramę doliny, i sączyła ziołową herbatkę, podczas gdy jej mąż podejmował decyzje co do urzędzenia i wystroju pokoi, na co wcześniej nigdy by nie pozwoliła. W pewnej chwili, gdy przytrzasnął sobie palce pomiędzy jednym z pudeł a ścianą, Craig wybuchnął potokiem przekleństw, które uciszyło uderzenie otwartą dłonią w potylicę, zadane przez Adele. Will był świadkiem całego zdarzenia i widział, jak po otrzymanym ciosie w oczach Craiga pojawiły się łzy. Will zrozumiał, że pomimo mięśni, wąsów i baczków tamten był tylko chłopcem, i jego zainteresowanie wysiłkami Craiga natychmiast prysło.

To wszystko działo się w sobotę. Wieczorem, wbrew zapowiedziom Adele, nie było burzy, a następnego dnia znów było parno i duszno, gdy dzwon kościoła św. Łukasza wezwał wiernych na modlitwę. Adele zjawiała się na mszy, jej mąż i syn nie. Zanim ich nadzorczyjni ponownie się pojawiła, przez dwa tygodnie mozolili się, niezdarnie, rozładowując skrzynie do przewozu herbaty z takim zapalem, że kilka talerzy i chińska waza porozbijały się w drobny mak.

Aby nie pogarszać i tak już nie najlepszej atmosfery, Will postanowił trzymać się od nich na dystans. Podczas gdy Bottrallowie trudzili się na dole, on pozostawał na piętrze, w pokoju z ukośnym, podpartym belkami sufitem, który miał należeć do niego. Pokój ten znajdował się na tyłach domu, i to bardzo mu odpowiadało. Ze swego okna, z szerokim parapetem miał doskonały widok na nieskalany stok wzgórza; jak okiem sięgnąć nie było tam żadnego domu ani chaty, jedynie kilka targanych wiatrem drzew i niewielkie stado owiec.

Przypinał właśnie na ścianie mapę świata, kiedy usłyszał osę, która zaczęła krążyć wokół jego głowy. Sięgnął po książkę i zamachnął się, trafiając owada, który ogłuszony odleciał w bok, lecz zaraz wrócił, brzęcząc jeszcze donośniej. Znów machnął książką, ale osa jakimś cudem uniknęła uderzenia i podfrunawszy bliżej, użądliła go poniżej lewego ucha. Pisnął z bólu i podbiegł ku drzwiom, podczas gdy owad jął zataczać nad jego głową triumfalne kręgi. Nie próbował po raz trzeci go trafić, tylko otworzył drzwi i płacząc z bólu, zbiegł po schodach. Nie doczekał się przejawów współczucia. Jego ojciec prowadził właśnie zażartą dyskusję z Donaldem Bottrellem i gdy chłopiec podszedł bliżej, Hugo spiorunował go wzrokiem, uciszając wszelkie słowa skargi. Łykając łzy, Will poszedł, by poszukać ukojenia u matki. Znów siedziała przy oknie, na oparciu fotela stała buteleczka z pigułkami. Otworzyła właśnie drugą z nich i wysypawszy zawartość na dłoń, liczyła pigułki.

–Mamo? – powiedział.

Uniosła wzrok, na jej twarzy malował się ledwie dostrzegalny wyraz rozpacz.

–Co się stało? – zapytała.

Powiedział jej.

–Jesteś nieostrożny – stwierdziła. – Jesienią osy zawsze są niebezpieczne. Nie powinieneś ich drażnić.

Chciał zaprotestować, powiedzieć, że nie drażnił tej osy, że jest niewinny, ale po wyrazie jej twarzy domyślił się, że uznała rozmowę z nim za skończoną. W chwilę później znów zaczęła przeliczać pigułki. Czując się osamotniony, opuszczony i sfrustrowany, czym prędzej się oddalił.

Użądlenie bolało go coraz bardziej, gniew jeszcze wzmacniał ten palący ból. Wszedł do

łazienki, znalazł w apteczce maść przeciwko użądleniom owadów i starannie posmarował bolące miejsce. Następnie umył twarz, usuwając z niej ślady łez. „Już nie będę płakał – rzekł do swego odbicia w lustrze – to było głupie”. Zresztą i tak nikt go nie słuchał.

Nie czując się przez to ani trochę szczęśliwszy, wrócił na dół. Niewiele się tu zmieniło. Craig obijał się w kuchni, miał pełne usta i energicznie przeżuwał coś, co przygotowała dla niego Adele. Eleanor siedziała na fotelu ze swymi pigułkami, Hugo nadal kłócił się z Donaldem, który sprawiał wrażenie dostatecznie tępego, aby zasłużyć na otrzymaną burę; obaj wyszli do ogrodu przed domem i tam, czerwoni z wściekłości, przekrzykiwali się nawzajem. Nikt nie zwrócił uwagi na Willa, który ruszył wolnym krokiem w stronę wioski, a jeżeli nawet ktoś to zauważył, nikt nie przejął się tym faktem na tyle, by go zatrzymać.

TRZY

Ulice Burnt Yarley były wyludnione, sklepy pozamykane. Nawet mały sklepik ze słodyczami, gdzie Will spodziewał się ukoić swą frustrację i ochłodzić spierzchnięte gardło lodami, także był zamknięty. Zajrzał przez szybę do środka, osłaniając twarz dłońmi. Wnętrze było niewielkie, lecz na półkach, od podłogi aż po sufit, znajdowały się najróżniejsze towary, w większości przeznaczone dla turystów i przyjezdnych, którzy celowo bądź przypadkiem zawitali do tej osady; pocztówki, mapy, a nawet plecaki. Zaspokoiwszy ciekawość, Will poczłapał na most. Nie był duży, mierzył około dwunastu stóp długości, zbudowano go z tego samego szarego kamienia, co małe domki, stojące w pobliżu. Usiadł na niskim murku i wlepił wzrok w rzekę, lato było upalne i obecnie wśród kamieni poniżej wił się jedynie wąski strumyk, lecz na obu brzegach roilo się od nagietków i niecierpków. Wokół tych ostatnich kłębiły się w powietrzu dziesiątki pszczoł. Will obserwował je z rozleniwieniem, gotów wziąć nogi za pas, gdyby zdecydowały się skierować w jego stronę.

–To wszystko jest takie głupie – wymamrotał.

–Co takiego? – spytał ktoś za jego plecami.

Will odwrócił się i ujrzał wpatrzony w siebie nie jedną, lecz dwie pary oczu. Osoba, która się do niego odezwała, była jasnowłosa, piegowatą dziewczynką o bardzo jasnej cerze, niewiele starszą od niego; stała na wzniesieniu mostu, podczas gdy jej towarzysz kuczał pod murem, naprzeciwko Willa, i dłubał w nosie. Chłopiec bez wątpienia był jej bratem – zdradzało to podobieństwo rysów ich twarzy i jednakowy szary kolor pełnych powagi oczu. W przeciwieństwie do dziewczynki, ubranej schludnie, jakby odświętnie, jej brat prezentował się fatalnie, miał na sobie pomięte, brudne odzienie, a jego buzia była umorusana i upačkana sokiem z jagód. Spojrzał na Willa spode łba.

–Co jest głupie? – powtórzyła dziewczynka.

–To miejsce.

–Wcale nie – zaoponował chłopiec. – To ty jesteś głupi.

–Cicho bądź, Sherwood – rzuciła dziewczynka.

–Sherwood? – powtórzył Will.

–Tak, Sherwood – odparł buńczucznie chłopiec. Wstawał powoli, jakby się szykował do walki, na nogach miał strupy, zaschnięte ślady zadrapań. Jego dziarskie zachowanie trwało zaledwie kilka sekund. W końcu powiedział: – Chcę pójść pobawić się gdzieś indziej. – Jego zainteresowanie Willem najwyraźniej wygasło. – Chodź, Frannie.

–To nie jest moje prawdziwe imię – wtrąciła dziewczynka, zanim Will zdążył się odezwać. –

Jestem Frances.

–Sherwood to kretyńskie imię.

–Co ty nie powiesz? – mruknął Sherwood.

–Ano tak.

–Kim ty właściwie jesteś? – spytała Frannie.

–To dzieciak Rabjohnsów – odparł Sherwood.

–Skąd wiesz? – zdziwił się Will.

Sherwood wzruszył ramionami.

–Słyszałem – odrzekł z chytrym uśmiechem. – Bo ja potrafię słuchać.

Frannie wybuchnęła śmiechem.

–Tylko nie tego co trzeba – zauważyła.

Sherwood zachichotał, zadowolony, że go doceniono.

–Tylko nie tego co trzeba – powtórzył śpiewnym tonem. – Tylko nie tego co trzeba, nie tego co trzeba.

–Dowiedzieć się jak ktoś się nazywa to jeszcze nic takiego – odparował Will.

–Wiem o wiele więcej.

–To znaczy?

–Wiem, że przyjechałeś z Manchesteru i że miałeś brata, ale on umarł. – Ostatnie słowo wypowiedział z emfazą. – A twój tata jest nauczycielem. Zerknął na swoją siostrę. – Frannie twierdzi, że nie cierpi nauczycieli.

–Ale on wcale nie jest nauczycielem – zaproponował Will.

–Nie? Wobec tego kim? – dopytywała się Frannie.

–Jest... doktorem filozofii.

Zabrzmiało to dość chępliwie i na kilka chwil na moście zapadła cisza. Wreszcie Frannie powiedziała:

–Naprawdę jest doktorem?

Podjęła temat, którego Will pragnął uniknąć, nie rozumiał bowiem, co miał oznaczać tytuł jego ojca. Mimo to postanowił robić dobrą minę do złej gry.

–Tak jakby – odparł. – Pisze książki... i sprawia, że ludzie czują się dzięki nim lepiej.

–To głupie – wycedził Sherwood, z lubością powtarzając słowo, od którego zaczęła się ich rozmowa. Wybuchnął śmiechem, rozbawiony całą tą sytuacją.

–Twoje zdanie ani trochę mnie nie obchodzi – uciął z drwiącym uśmiechem Will. – Każdy, kto mieszka na tym zadupiu, musi być największym głupcem na świecie. I to właśnie ty nim jesteś...

Sherwood odwrócił się do Willa plecami i zaczął pluć do wody. Will dał sobie z nim spokój i ruszył różnym krokiem w stronę domu.

–Zaczekaj... – usłyszał za sobą głos Frannie.

–Frannie – jęknął Sherwood. – Daj mu spokój.

Tymczasem Frannie już zrównała się z Willem.

–Sherwood czasami zachowuje się jak głupek – stwierdziła niemal przeproszającym tonem. – Ale jest moim bratem i muszę go pilnować.

–Któregoś dnia ktoś mu przyłoży. I to solidnie. Co więcej, tym kimś mogą być ja.

–Stale ktoś to robi – odparła Frannie – ponieważ ludzie uważają, że ma coś nie w porządku z głową – dorzuciła, biorąc głębszy oddech.

–Fraaannnieee! – zawołał Sherwood.

–Lepiej idź do niego, bo jeszcze spadnie z mostu.

Frannie, zaniepokojona, spojrzała na brata.

–Nic mu nie jest. Wiesz, tu wcale nie jest tak źle – powiedziała.

–Mam to gdzieś – odrzekł Will. – Zamierzam stąd prysnąć.

–Naprawdę?

–Przecież przed chwilą to powiedziałem.

–Dokąd?

–Jeszcze się nie zdecydowałem.

Rozmowa przestała się kleić. Will miał nadzieję, że Frannie wróci teraz do swego gamoniowatego braciszka, dziewczynka jednak wciąż szła obok niego, najwyraźniej postawiwszy sobie za cel kontynuowanie ich znajomości.

–Czy to prawda, co powiedział Sherwood? – spytała łagodniejszym tonem. – O twoim bracie?

–Tak. Został potrącony przez taksówkę.

–To musiało być dla ciebie straszne – rzekła Frannie.

–Niezbym go lubiłem.

–Niemniej jednak... gdyby coś takiego kiedyś spotkało Sherwooda...

Dotarli do rozwidlenia dróg. Po lewej miał drogę wiodącą do domu, a po prawej mniej uczęszczaną ścieżkę znikającą za gęstym żywopłotem nieopodal. Will zawahał się, rozważając swoje możliwości.

–Powinam już wracać – stwierdziła Frannie.

–Nie zatrzymuję cię – odparł Will.

Frannie nie poruszyła się. Spojrzał na nią i dostrzegł w jej oczach tak wiele bólu, że natychmiast odwrócił wzrok. W pewnej chwili, błędząc spojrzeniem, zauważył jedyny widoczny budynek stojący przy ścieżce po prawej i, bardziej, by złagodzić swą okrutną postawę niż ze szczerej ciekawości, spytał Frannie co to takiego.

–Wszyscy nazywają ten budynek Sądem – odparła. – Ale nie jest nim i nigdy nie był. Został zbudowany przez człowieka, który chciał chronić swoje konie, czy coś takiego. Nie znam całej tej historii.

–Kto tam mieszka? – zapytał Will.

O ile potrafił to stwierdzić z tej odległości, była to naprawdę imponująca budowla; wyglądała trochę jak świątynia z jednego ze zdjęć z podręcznika historii, tyle tylko że wzniesiono ją z ciemnego kamienia.

–Nikt tam nie mieszka – odparła Frannie. – W środku jest naprawdę strasznie.

–Byłaś w środku?

–Sherwood raz się tam ukrył. On wie o tym miejscu więcej niż ja. Powinieneś zapytać jego.

Will zmarszczył nos.

–Nie – mruknął z przekonaniem, jakby podjął próbę pojednania i mógł teraz odejść, bez

wyrzutów sumienia.

–Fraaannnieee! – wrzasnął ponownie Sherwood. Wspiął się na murek na moście, a teraz spacerował po nim, jak linoskoczek.

–Złaź stamtąd! – zawołała Frannie i pożegnawszy się z Willem zdawkowo, wróciła pospiesznie na most, by wyegzekwować swoje żądanie.

Zadowolony, że dziewczynka odeszła, Will ponownie ją się zastanawiać, w którą stronę ma się udać. Gdyby teraz wrócił do domu, mógłby zaspokoić pragnienie i narastający głód. Kiszki grały mu już marsza. Tyle tylko, że musiałyby znosić atmosferę niezgody tam panującą. Lepiej będzie, jak jeszcze trochę się przejdę – pomyślał – sprawdzę, co jest za zakrętem i za tym żywopłotem.

Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Frannie ściągnęła brata z mostu; Sherwood znów siedział oparty plecami o mur, obejmując rękami podciągnięte do piersi kolana, podczas gdy jego siostra stała opodal, patrząc w stronę Willa. Pomachał do niej nieśmiało, po czym ruszył wzdłuż tajemniczej ścieżki, zastanawiając się przy tym, że gdyby okazała się ona dostatecznie kusząca, mógłby obrócić swoje słowa w czyn i, tak jak chełpliwie zapowiedział Frannie, iść tą drogą dokąd oczy poniosą, aż po Burnt Yarley zostanie w jego umyśle tylko mgliste wspomnienie.

CZTERY

Budynek Sądu znajdował się dalej, aniżeli przypuszczał Will. Szedł i szedł, a za każdym pokonanym zakrętem pojawiał się następny, za kolejnym żywopłotem jeszcze jeden, aż chłopiec doszedł do wniosku, że musiał mylnie oszacować rozmiary budowli. Nie była mała i nie znajdowała się blisko, stała daleko i musiała być ogromna. Zanim się do niej zbliżył i spojrzął ponad krawędzią żywopłotu na rozległy plac, na którym stała, upłynęło równe pół godziny. Dzień stał się jeszcze bardziej duszny i parny, od północnego wschodu napływały ciemne, burzowe chmury. Wszystko wskazywało na to, że zapowiedziana przez Adele Bottrall burza w końcu nadejdzie, na ugorach bowiem pojawiły się mroczne cienie. Może powinienem przełożyć tę awanturniczą wyprawę na inny dzień, pomyślał; uządlenie na szyi znów dawało mu się we znaki, tępe pulsowanie przenikało aż do wnętrza czaszki. Czas wracać do domu, niezależnie od tego co wcześniej mówił.

Tyle tylko że przeszedł już szmat drogi i szkoda mu było zawrócić. Jeszcze pięć minut i zostawi żywopłot za sobą, przejdzie przez pole i dotrze do tajemniczego budynku. Kolejne pięć i wejdzie do mrocznej budowli, zobaczy, co jest w środku, a potem ruszy w drogę powrotną, skrót, przez pola, zadowolony, że nie maszerował tak daleko na próżno.

Z takim postanowieniem odnalazł prześwit między gałęziami głogu, dostatecznie szeroki, by się tamtędy przecisnąć. Nie wyszedł z tej próby bez szwanku, jednak widok, jaki się przed nim roztoczył, był wart kilku zadrapań. Trawa na łące otaczającej gmach Sądu sięgała mu prawie do piersi, wszystko zdawało się tętnić życiem. Spod jego stóp umykały w popłochu czajki; zające, które tylko słyszał, pierzchały trwożliwie na odgłos jego kroków.

Natychmiast zapomniał o bólu głowy i ruszył przez gęstą trawę, jak zagubiony podróżnik na sawannie podczas safari, czując dziwny, wywołany podnieceniem ucisk w żołądku. Może jednak to nie będzie takie złe miejsce? – stwierdził w myślach – może fajnie byłoby tu zamieszkać, z dala od brudnych ulic i taksówek, w miejscu gdzie mógłby być kimś innym, kimś nowym?

Od Sądu dzieliło go już tylko kilka jardów, wszelkie wątpliwości co do przybycia tutaj przysły jak mydlane bańki. Wspiął się po zarośniętych stopniach, przeszedł pod kolumnami (grubymi jak Donald Bottrall), otworzył na wpół zmurszałe drzwi i wszedł do środka.

Wewnątrz było chłodniej i ciemniej, niż się spodziewał. Mimo że od paru tygodni panował upał, a rzeka wyschła tak, że przypominała wąty strumyk, w domu było czuć wilgoć, jakby budynek w bliżej nieokreślony sposób wysysał wilgoć z ziemi, na której go wzniesiono, a wilgoci tej towarzyszyła woń zgnilizny i robactwa.

Pomieszczenie, w którym się znalazł, było naprawdę niezwykle: przypominało półkolistą westybul z wykutymi w ścianach, licznymi niszami, w których być może miały kiedyś stać posągi. Podłogę wyłożono wykwintną mozaiką, przedstawiającą zbiór osobliwych wzorów, niektóre z nich Will zdołał rozpoznać, inne nie. Były tu winogrona, cytryny, kwiaty i główki czosnku; coś co wyglądało jak poleć mięsa, ale wylaziły zeń tłuste, białe robaki i Will uznał, że

to jednak nie mogło być mięso. Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie zadałby sobie tyle trudu, by wznieść tak wspaniałą budowlę i później umieścić na mozaice wątpliwą ozdobę w kształcie zepsutego steku. Nie zastanawiał się nad tym dłużej. Odległy grzmot był tak donośny i głęboki, że przeniknąwszy solidne mury budynku, przypominał chłopcu o nadchodzącej burzy. Will musiał opuścić to miejsce w ciągu zaledwie kilku minut, o ile chciał zdążyć do domu przed deszczem.

Ruszył dalej w głąb budowli, szerokim, wysoko sklepionym korytarzem (zarówno korytarz, jak i drzwi po obu jego stronach wyglądały jakby były stworzone dla gigantów) i pokonawszy kolejne, nieco mniejsze drzwi, znalazł się w komnacie centralnej. Gdy przestąpił próg, spośród cieni przed nim dobiegł jakiś dźwięk i serce podeszło mu do gardła. Rzucił się z powrotem w stronę drzwi i byłby zawrócił, jego żądza przygód osłabła natychmiast, ale w chwilę później dobiegło go ciche beczenie owcy. Zlustrował całe pomieszczenie wzrokiem.

Pośrodku kopułowego sklepienia znajdował się okrągły świetlik, słabe promienie słońca spływały w dół, na brudną posadzkę, niczym pojedynczy świetlny filar mający utrzymać niszczącą bezpowrotnie świetność tego miejsca. Światło padało także na kamienne trybuny okalające salę, docierało do połaci szarych ścian ponad nimi. Dostrzegł na nich jakieś płaskorzeźby – ktoś mógł wiedzieć co przedstawiały? Zapewne jakieś sceny myśliwskie, na jednej z nich dostrzegł konie, a na drugiej psy rwące się ze smyczy. Beczenie się powtórzyło. Will podążył wzrokiem w stronę źródła tego dźwięku i spostrzegł zaiste żałosny widok. Dorosła owca, choć przeraźliwie wychudzona, ze zmierzwionym runem zwieszającym się z jej zapadniętych boków, kulila się w niszy pomiędzy dwiema trybunami, gdzie skryła się, gdy Will wszedł do pomieszczenia.

–Kiepsko wyglądasz – powiedział do zwierzęcia. I nieco łagodniejszym tonem dodał: – Już dobrze... Nic ci nie zrobię.

Zaczął się do niej zbliżać. Owca patrzyła na niego trwożliwie, wybałuszając ślepią, ale się nie poruszyła.

–Ugrzęzłaś tam, prawda? – spytał. – Nie jesteś owca tylko baran. Zaklinowałaś się tam, a teraz nie możesz się wydostać.

Im bardziej zbliżał się do zwierzęcia, tym żałośniejszy wydawał mu się jego stan. Łeb, nogi i boki owcy były pokryte mnóstwem ran, było widać, że rozpaczliwie próbowała wydostać się z opresji. Jedna rana, tuż przy szczęce, wyglądała szczególnie paskudnie. Wokół niej właśnie uganiało się najwięcej much.

Will nie zamierzał nawet dotknąć owcy. Gdyby jednak udało mu się ją spłoszyć i tym prostym sposobem skierować we właściwą stronę, może po wyjściu z budynku zdołałaby odnaleźć jakąś drogę do domu. Pomysł okazał się trafny. Gdy wszedł na jedną z trybun, nieszczęsne zwierzę natychmiast rzuciło się do ucieczki i kopyta zagrzechotały o mozaikową posadzkę. Owca dotarła do drzwi i minęła je. W trwodze zaczęła kręcić się w kółko, becząc żałośnie. Will naparł

barkiem na drzwi i uchylił je szerzej. Owca wróciła na środek sali i przystanąła w kręgu światła, obserwując Willa. Ciężko robiła bokami. Will wyjrzał na korytarz, w stronę frontowych drzwi, które wciąż pozostawały otwarte na oścież. Owca powinna je chyba zobaczyć, prawda? Na zewnątrz wciąż było jasno, świeciło słońce, trawa falowała, kołysząc się kusząco i zachęcająco w podmuchach wiatru.

–No idź! – rzekł Will. – Zobacz! Jedzenie!

Owca tylko na niego patrzyła swymi wyłupiastymi oczami. Will znów wyjrzał na korytarz i zauważył, że w kilku miejscach jedna ze ścian zaważyła się, kamienne bloki osypały się na posadzkę. Wszedł z sali, znalazł kamień, który był w stanie udźwignąć, i poturlawszy go przed sobą, przystawił go pod otwarte drzwi jak klin. Następnie wszedł do sali, zaszedł owcę od tyłu i głośno pokrzykując, pognął ją przed sobą, ku wyjściu. Dopiero teraz wychudzone zwierzę zrozumiało o co chodziło chłopcu. Chwiejąc się na nogach, pognęło w głąb korytarza i pokonawszy frontowe drzwi, wydostało się na wolność. Will był z siebie zadowolony. Nie takiej co prawda przygody spodziewał się w tym osobliwym, mrocznym miejscu, ale czuł, że odwalił kawał dobrej roboty.

–Może zostanę farmerem – powiedział do siebie. A potem wyszedł na zewnątrz, na spotkanie mijającego dnia.

PIĘĆ

Zdarzenie z owcą sprawiło, że zabawił w gmachu Sądu dłużej, niż zamierzał, i kiedy w końcu wyszedł na zewnątrz, słońce skryło się już za chmurami, a podmuchy wiatru, tak silnego że kołysały wierzchołkami drzew, niosły ze sobą pierwsze krople deszczu. Wiedział, że nie uniknie przemoczenia do suchej nitki, ale nie zamierzał zawracać. Miast tego ruszył na skróty przez pole, kierując się w stronę domu. Dotarł do narożnika budynku Sądu, usiłując określić cel, do którego zmierzał, ten jednak znajdował się poza zasięgiem jego wzroku. Mimo to Will wiedział, w którą stronę ma iść, musiał tylko zdać się na instynkt.

Ulewa przybierała na sile, ale on na nią nie zważał. Powietrze niesło w sobie metaliczny posmak błyskawic rozrzedzony słodkim aromatem wilgotnych traw, upał wyraźnie zelżał. Pomiedzy chmurami przebijały się ostatnie promienie słońca, rozjaśniając stoki wzgórz na wprost niego.

Zdawałoby się, że tak jak burza wypełniła dolinę, tak samo zostały wypełnione jego zmysły: deszczem, trawą, zapachami, blaskiem słońca i odgłosami grzmotów. Nie pamiętał, by kiedykolwiek czuł się tak jak teraz, jakby on i otaczający go świat byli ze sobą w jakiś sposób złączeni. Miał ochotę krzyczeć ze szczęścia, czuł się taki pełny, taki odrodzony. Zupełnie jakby po raz pierwszy w życiu coś nieludzkiego, co istniało na tym świecie, zdało sobie sprawę z jego istnienia.

Radość i euforia dodały mu sił. Pobiegł jak szalony przez wysoką, chłuszczącą trawę, pokrzykując i wymachując rękami, podczas gdy szczelina w chmurach zamknęła się, odcinając promieniom słońca dostęp do doliny.

Najlepiej jak umiał starał się zachować obrany kierunek, ale ulewa rychło przerodziła się w prawdziwe oberwanie chmury, i zbocza, które jeszcze przed chwilą widział bardzo wyraźnie, w ciągu kilku chwil zniknęły mu z oczu, skryte wśród czerni i strug wody. To zresztą nie był jego jedyny problem. Pierwszy żywopłot, jaki napotkał na swojej drodze, okazał się zbyt mocny i gęsty, by zdołał się przezeń przedrzeć, i zbyt wysoki, by mógł się nań wspiąć, toteż musiał odnaleźć w nim furtkę. Przejście skrajem pola wprawilo go w dezorientację i trochę potrwało, nim odnalazł dogodne dla siebie przejście, nie furtkę, lecz drzwi, przez które przelazł górą, a kiedy się obejrzał i popatrzył w stronę Sądu, stwierdził, że z tego miejsca nie było widać budynku.

Nie wpadł w panikę. W całej dolinie było wiele rozrzuconych to tu, to tam, niewielkich farm, gdyby się zatem zgubił, zawsze mógł udać się do najbliższej z nich i zapytać o drogę. Na razie zmierzał do celu, kierując się instynktem, przeszedł przez pole rzepaku, a następnie pastwisko, na którym pasły się krowy – kilka z nich skryło się w cieniu ogromnego jaworu. Przez chwilę kusilo go, by zrobić to samo, ale przypomniał sobie, że czytał kiedyś, że podczas burzy nie należy chować się ani stać pod drzewem, toteż pomaszerował dalej, przez furtkę na ścieżkę, która, rozmyta, zmieniła się w wąski potok, a po chwili, pokonawszy kolejne drewniane

drzwiczki, znalazł się na opuszczonym, rozmytym polu. Ulewa ani trochę nie osłabła i Will do tego czasu przemókł do suchej nitki. Najwyższa pora, by poszukać pomocy, stwierdził. Gdy napotka następną ścieżkę, pójdzie wzdłuż niej, aż znajdzie jakąś farmę i być może zdoła przekonać jakąś dobrą duszę, żeby odwiozła go do domu.

Szedł przez kolejne dziesięć, może piętnaście minut, nie napotkawszy żadnej, nawet najmniejszej ścieżki, a jako że teren stawał się coraz bardziej stromy, niebawem musiał się zacząć wspinać. Przystanął. Nie. To na pewno nie była właściwa droga. Na wpół oślepiiony przez lodowatą ulewę wykonał pełny obrót, usiłując zorientować się w otoczeniu, ale ze wszystkich stron otaczały go szare ściany deszczu, toteż nie zastanawiając się długo, odwrócił się plecami do zbocza i zawrócił po własnych śladach. Tak przynajmniej mu się wydawało. Jakimś cudem musiał znów wykonać zwrot, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, bo już pięćdziesiąt jardów dalej grunt pod jego nogami znów zaczął się stawać stromy, a po głązach wystających ze zbocza spływały kaskady wody. Chłód i dezorientacja dość już dawały mu się we znaki, lecz znacznie bardziej niepokoiło go coraz ciemniejsze niebo. To nie chmury sprawiały, że robiło się coraz bardziej szaro, po prostu zapadał zmierzch, za kilka minut będzie ciemno, i to na pewno ciemniej niż na którejkolwiek z ulic Manchesteru.

Miał silne dreszcze i głośno szcząkał zębami. Bolały go nogi, a jego poobijana strugami deszczu twarz była cała odrętwiała. Próbował wzywać pomocy, ale zmitygował się. Już po chwili zdał sobie sprawę, że jego wołanie nikło zupełnie wśród odgłosów szalejącej burzy. Musiał oszczędzać siły. Uznał, że odczeka, aż burza przejdzie, i wówczas bez większego trudu odnajdzie drogę do domu. To powinno być względnie proste, zwłaszcza gdy w wiosce zapalą się światła a prędzej czy później bez wątpienia tak się stanie.

Wtem usłyszał krzyk i coś wyprysnęło spomiędzy strug deszczu, przecinając mu drogę...

–Łap go! – usłyszał czyjś głos.

Instynktownie rzucił się, by pochwycić coś, co rozpaczliwie próbowało uciec. Owo coś musiało być jeszcze bardziej wyczerpane i dezorientowane niż on, gdyż jego dłonie zacisnęły się na czymś smukłym i kosmatym, co piszczało i wiło się w jego uścisku.

–Trzymaj go, chłopcze! Trzymaj mocno!

Mówiąca te słowa osoba pojawiła się nieco wyżej, na zboczu. To była kobieta, ubrana od stóp do głów na czarno i trzymająca w dłoni lampę, wewnątrz której migotał wysoki, żółto-biały płomyk. W jego świetle Will stwierdził, że ma przed sobą najpiękniejszą kobietę, jaką widział w życiu, blady owal twarzy okalała burza rudych włosów.

–Prawdziwy z ciebie skarb – rzekła do Willa, stawiając lampę na ziemi. W jej głosie pobrzmiwał obcy akcent, przypominający nieco cockney. – Potrzyj tego zajęcia jeszcze przez chwilę, muszę sięgnąć po mój worek.

Odsunęła lampę i po chwili gmerania w kieszeniach płaszcz wyjęła z jednej z nich nieduży

worek. Podeszła do Willa i błyskawicznie wyłuskała z jego rąk piszczące zwierzątko. Po chwili zając znalazł się w worku, który został mocno związany.

–Złoty z ciebie chłopak – zapewniła kobieta. – Gdybyś nie był dość szybki, pan Steep i ja przymieralibyśmy dziś głodem. Położyła worek na ziemi. – O, Boże, wyglądasz okropnie – rzekła, nachylając się, by lepiej przyjrzeć się Willowi. – Jak ci na imię?

–William.

–Miałam kiedyś Williama – zauważyła kobieta. – To cudowne imię. Gdy nachyliła się jeszcze bardziej, Will poczuł na twarzy jej gorący oddech. – Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że miałam ich aż dwóch. Obaj byli precudowni. Wyciągnęła rękę i dotknęła policzka Willa. – Och, ależ jesteście zziębnięty. Przemokłeś do szpiku kości.

–Zgubiłem się.

–To straszne. Straszne – powtórzyła, gładząc go po twarzy. Jak to możliwe, by jakakolwiek szanująca się matka pozwoliła sobie choć na chwilę stracić cię z oczu? Powinna się wstydzić. Naprawdę. Powinna się bardzo wstydzić.

Will miał ochotę wyprowadzić ją z błędu, ale ciepło przesączające się z palców kobiety do jego twarzy było niezwykle kojące i działało nań usypiająco.

–Rosa? – rozległ się czyjś głos.

–Tak? – odparła kobieta i jej głos stał się nagle uwodzicielski. – Tu jestem, Jacobie.

–Dziękowałam właśnie temu chłopcu. – Rosa odsunęła dłoń od twarzy Willa. Nagle znów poczuł palący chłód. – Złapał dla nas kolację.

–Doprawdy? – spytał Jacob. – Może zechciałaby pani się odsunąć, pani McGee, abym mógł go zobaczyć?

–Mówisz i masz – odparła Rosa; wstając, podniosła z ziemi worek i zeszła nieco dalej w dół zbocza.

W ciągu dwóch lub trzech minut, jakie upłynęły, odkąd Will złapał zająca, niebo mocno pociemniało; gdy spojrział w stronę Jacoba Steepa, ledwie go widział. Nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna był wysoki i nosił długi płaszcz z błyszczącymi guzikami. Miał brodę i włosy dłuższe od pani McGee. Jednak rysy jego twarzy wydawały się niewyraźne, jakby rozmazane.

–Powinieneś być w domu – powiedział.

Will zadrzał, ale tym razem nie z zimna, taki efekt wywarło na nim ciepło głosu Steepa.

–Chłopiec taki jak ty, sam jeden, mógłby w ten czy w inny sposób zrobić sobie krzywdę.

–Zgubił się – wtrąciła pani McGee.

–W taką noc jak dziś wszyscy jesteśmy po trosze zagubieni. – rzekł Steep. – To nic wielkiego.

–Może powinien pójść z nami do domu – zasugerowała Rosa. – Mógłbyś rozpalić dla niego jeden ze swoich ogni.

–Ucisz się – rzucił Jacob. – Nie zamierzam mówić o ogniu, gdy ten chłopiec jest tak zziębnięty. Czyś ty rozum postradała?

–Jak sobie chcesz – odparła kobieta. – Dla mnie to bez znaczenia. Ale powinieneś był widzieć jak on złapał tego królika. Rzucił się na niego jak tygrys, naprawdę.

Pan Steep wziął głęboki oddech i ku ogromnemu zadowoleniu Willa zszedł ze zbocza jeszcze o jard lub dwa.

–Czy możesz wstać? – zwrócił się do Willa.

–Oczywiście, że tak – odparł Will i tak właśnie zrobił.

Choć pan Steep o połowę zmniejszył dzielący ich dystans, ciemność zgęstniała jeszcze bardziej i jego twarz wciąż była dziwnie rozmyta i niewyraźna.

–Patrząc na ciebie, zastanawiam się, czy nie było nam pisane spotkać się na tym wzgórzu – powiedział półgłosem. – Zastanawiam się, czy to szczęśliwy traf dla nas wszystkich. Will wciąż starał się przeniknąć mrok i lepiej przyjrzeć Steepowi, przypisać twarz temu głosowi, który tak mocno go poruszył, ale jego oczy nie były w stanie sprostać wyzwaniu. – Zając, pani McGee.

–Co z nim?

–Powinniśmy go wypuścić.

–Po tak długim pościgu? – odparła Rosa. – Chyba oszalałeś.

–Jesteśmy mu to winni, za to, że doprowadził nas do Willa.

–Podziękuję mu, gdy go oskóruję, Jacobie, i to jest moje ostatnie zdanie w tej kwestii. Mój Boże, jesteś taki niepraktyczny. Wyrzucać dobre jedzenie. Nic z tego.

Zanim Steep zdążył ponownie zaprotestować, zarzuciła sobie worek na ramię i ruszyła żwawo w dół zbocza. Dopiero teraz, obserwując, jak schodzi, Will zorientował się, że burza znacznie osłabła. Ulewa zamieniła się w siąpiącą mżawkę, mrok się przerzedzał i Will dostrzegł nawet światła w dolinie. Odczuł ulgę, lecz nie tak silną, jak się tego spodziewał. Perspektywa powrotu do domu ucieszyła go, lecz oznaczało to rozstanie z mrocznym mężczyzną, który stał z tyłu za nim, a teraz położył na jego ramieniu przyobleczoną w grubą, skórzaną rękawicę dłoń.

–Czy możesz stąd zobaczyć swój dom? – zwrócił się do Willa.

–Nie... jeszcze nie.

–Ale stopniowo, jak się trochę rozejrzysz, w końcu go dostrzeżesz?

–Tak – odparł Will, który dopiero teraz zaczął odzyskiwać orientację w terenie.

Podczas marszu na oślep przebył połowę obwodu doliny i patrzył teraz na wioskę pod całkiem nieoczekiwanym kątem. Niecałe trzydzieści jardów od półki, na której stał, ciągnęła się rozmyta ścieżka, którą, jak podejrzewał, powinien dostać się do drogi wiodącej do gmachu Sądu. Wybierając lewą odnogę przy rozwidleniu drogi, dojdzie do Burnt Yarley, a gdy tylko zobaczy wioskę, choć zmęczony i strudzony, z łatwością wróci do domu.

–Powinieneś już iść, chłopcze – rzekł Jacob. – Bez wątpienia chłopiec tak wspaniały jak ty ma kochających opiekunów. – Dłoń w rękawiczce ścisnęła go za ramię. – Zazdrozczę ci tego, bo, widzisz, ja nie pamiętam swoich rodziców.

–Przykro mi... – rzekł Will z pewnym zażenowaniem, nie wątpił bowiem, że mężczyzna tak silny i zdecydowany jak Jacob Steep nie oczekiwał ani nie wymaga współczucia. A jednak jego troska nie pozostała bez odpowiedzi.

–Dziękuję, Will. To ważne, by mężczyzna potrafił okazywać współczucie. Śmiem twierdzić, że nasza pleć często o tym zapomina. Przez zaniedbanie, jak sądzę. – Will usłyszał miękki szept oddechu Steepa i spróbował zrównać z nim swój własny rytm.

–Powinieneś już iść – powiedział Steep. – Rodzice będą się martwić o ciebie.

–Nie będą – odparł Will.

–Z pewnością...

–Nie będą. Nie zależy im na mnie.

–Nie wierzę.

–To prawda.

–Wobec tego musisz być kochającym synem, na przekór nim – powiedział Steep. – Ciesz się, że oczyma duszy jesteś w stanie wyobrazić sobie ich twarze. I że, gdy zawołasz, w odpowiedzi usłyszysz ich głosy. To lepsze niż pustka, możesz mi wierzyć. To lepsze niż cisza.

Zdjął rękę z ramienia Willa i dotknąwszy jego pleców, popchnął go leciutko do przodu.

–Idź – rzekł półgłosem. – Jeżeli szybko nie wrócisz do domu, zamarzniesz na śmierć. A jak wówczas mielibyśmy spotkać się ponownie?

Usłyszawszy te słowa, Will natychmiast się ożywił.

–A moglibyśmy?

–Oczywiście, o ile okażesz dość wysiłku i hartu ducha, by mnie odnaleźć. Tylko zrozum jedno, Will, nie szukam pieska pokojowego, którego mógłbym trzymać na podółku. Potrzebny mi wilk.

–Mógłbym być wilkiem – zapewnił Will. Chciał obejrzeć się przez ramię, by spojrzeć na Steepa, ale uznał, że adept do roli wilka nie powinien zachowywać się w ten sposób.

–W takim razie zrób co powiedziałem. Znajdź mnie – powiedział Steep. – Będę w pobliżu. To rzekłszy, raz jeszcze szturchnął Willa w plecy, zmuszając go, by ruszył w dół zbocza.

Will nie obejrzał się, dopóki nie dotarł do ścieżki, a gdy to uczynił, nie zobaczył niczego. A przynajmniej niczego żywego. Wzgórze odcinało się czernią na tle przejaśniającego się nieba. Pomiędzy chmurami pojawiły się gwiazdy. Ich wspaniałość jednak była niczym w porównaniu z obliczem Jacoba Steepa; twarzą, której prawie nie widział, ale która w jego umyśle przybrała sto różnych kształtów, zanim wrócił do domu, a każda kolejna wizja wydawała się wspanialsza od poprzedniej. Steep – szlachcic o delikatnych rysach, pełen werwy i fantazji. Steep – żołnierz z bliznami odniesionymi w dziesiątkach wojen. Steep – mag z przenikliwym, pełnym mocy spojrzeniem. Może był każdą z tych postaci. A może żadną. Willowi było to obojętne. Liczyło się tylko to, by mógł znów go spotkać i lepiej poznać.

A tymczasem dotarł do domu, z okien płynęła ciepła, złocista poświata, w kominku buzował ogień. Nawet wilk potrzebuje od czasu do czasu ogrzać się przy ogniu, skonstatował Will i zapukawszy do frontowych drzwi, został wpuszczony do środka.

SZEŚĆ

1

Will nie poszedł następnego dnia na wzgórze, aby odnaleźć Jacoba, dzień później również. Gdy dotarł do domu, usłyszał tak potworną awanturę – matka była cała we łzach, przekonana, że Will nie żyje, a ojciec szalał z wściekłości, stuprocentowo pewien, że nic mu nie jest – że bał się nawet przestąpić próg. Hugo nie miał skłonności do przemocy. Szczycił się zdroworozsądkowym podejściem do życia. Tym razem jednak uczynił wyjątek i zbił syna tak mocno – książką, jeśli chodzi o ścisłość – że obaj ostatecznie wybuchnęli łzami, Will z bólu, a jego ojciec w przypiływie frustracji, że dał się do tego stopnia wyprowadzić z równowagi.

Wyjaśnienia Willa ani trochę go nie interesowały. Powiedział wprost, że podczas gdy jemu jest obojętne, czy Will będzie wałęsał się gdzieś przez resztę swego marnego żywota, to matka martwiła się o niego; a czyż nie dość się już naciępiła?

Tak więc Will pozostał w domu, kurując się z siniaków i tłumiąc gniew. Po czterdziestu ośmiu godzinach matka spróbowała zawrzeć z nim pokój, mówiąc, jak bardzo się bała, że spotkało go coś złego.

–Dlaczego? – spytał ponurym tonem.

–Jak mam to rozumieć?

–Pytam, dlaczego miałabyś martwić się, że coś mi się stanie? Nigdy dotąd nie...

–Och, Williamie... – szepnęła. W jej głosie pojawiła się oskarżycielska nuta. Ale przede wszystkim brzmiał w nim głęboki smutek.

–Nie martwiłaś się o mnie – rzekł ze spokojem. – I dobrze o tym wiesz. Myślałaś tylko o nim. – Nie musiał wymieniać jego imienia. I tak było wiadomo o kogo chodzi. – Nie jestem dla ciebie ważny. Sama tak mówiłaś. – Willowi niezupełnie o to chodziło. Nigdy nie powiedziała mu tego wprost. Mimo to kłamstwo zabrzmiało dość przekonująco.

–Na pewno nie chciałam tego powiedzieć – rzekła. – Tyle tylko że było mi tak ciężko odkąd umarł Nathaniel... – Uniosła dłoń do twarzy Willa i delikatnie pogłaskała go palcami po policzku. – On był taki... taki...

Prawie jej nie słyszał. Myślał o Rosie MacGee, o tym jak dotknęła delikatnie jego twarzy i przemówiła doń łagodnym tonem. Tylko że ona, mówiąc do niego, nie opowiadała o zaletach jakiegoś innego chłopca. Miała na myśli jego, Willa, twierdząc, że jest prawdziwym skarbem, bystrym, żywym i użytecznym. Ta kobieta, jeszcze nie znając jego imienia, odkryła w nim walory, których nie potrafiła dostrzec jego własna matka. To go zasmuciło i rozgniewało

równocześnie.

–Dlaczego wciąż o nim mówisz? – spytał Will. – Przecież on nie żyje.

Palce Eleanor odsunęły się od twarzy Willa. Spojrzała na niego przez łzy.

–Nie – odparła – on nigdy nie umrze. Nie dla mnie. Nie spodziewam się, że to zrozumiesz. Bo niby jak? Ale twój brat był dla mnie kimś szczególnym. Kimś cennym. Dlatego dla mnie on nigdy nie umrze.

W tym momencie w sercu Willa coś pękło. Iskierka nadziei, którą hołubił w sobie od dnia wypadku, zgasła na zawsze. Will wstał i odszedł, pozostawiając ją we łzach.

Po dwóch dniach domowego aresztu poszedł do szkoły. Była ona mniejsza niż St. Margaret, co przypadło mu do gustu, budynki wyglądały na starsze, boisko otaczały drzewa zamiast wysokiej siatki. Przez pierwszy tydzień trzymał się od innych na dystans, prawie z nikim nie rozmawiał. Jednakże na początku drugiego tygodnia, podczas przerwy na lunch pojawiła się przed nim znajoma postać Frannie.

–Tu jesteś – powiedziała, jakby go szukała.

–Cześć – mruknął, rozglądając się wokół, by sprawdzić, czy gdzieś w pobliżu czaił się jej nieznośny braciszek, Sherwood. Okazało się, że nie.

–Myślałam, że do tej pory już cię tu nie będzie. Że wyruszysz w drogę, tak jak mówiłeś.

–Mam taki zamiar – zapewnił. – To tylko kwestia czasu.

–Wiem – rzekła szczerze Frannie. – Po pierwszym spotkaniu stwierdziłam, że może ja też powinnam stąd odejść. Nie z tobą – dodała pośpiesznie. – I może kiedyś po prostu opuszczę to miejsce.

–Wyjedź stąd, najdalej jak tylko się da – rzucił Will.

–Najdalej jak tylko się da – powtórzyła Frannie, a te słowa zabrzmiały jak sekretne przysięgi. – Właściwie to nie ma tu nic ciekawego – ciągnęła – chyba że pojedziesz, no, sam wiesz gdzie...

–Możesz mówić o Manchesterze – powiedział Will. – To, że zginął tam mój brat... nie stanowi dla mnie tabu. Bo, rozumiesz, tak naprawdę on wcale nie był moim bratem. W umyśle Willa zrodziło się wyborne kłamstwo. – Jestem adoptowany.

–Naprawdę?

–Nikt nie wie kim są moi prawdziwi rodzice.

–Ojej. Czy to tajemnica?

Will skinął głową.

–Wobec tego nie mogę powiedzieć o tym nawet Sherwoodowi – stwierdziła.

–Lepiej nie – odrzekł Will z powagą w głosie. – On mógłby to niechcący wypaplać i byłoby po sekrecie.

Rozległ się dzwonek, przywołujący ich do klas. Sroga pani Hartley, potężnie zbudowana

kobieta, której najcichszy szept brzmiał nad wyraz groźnie, patrzyła spode łba na Willa i Frannie.

–Frances Cunningham! – zagrzmiała. – Może łaskawie się pośpieszysz?

Frannie kiwnęła potulnie głową i pobiegła do budynku, pozostawiając pannę Hartley sam na sam z Willem.

–A ty jesteś...

–William Rabjohns.

–Ach, tak – mruknęła posępnie, jakby słyszała co nieco na jego temat i nie było to nic dobrego.

Stał w bezruchu, czując osobliwy spokój. W jego przypadku było to raczej dziwne. W St. Margaret kilkoro nauczycieli budziło w nim nieklamany lęk, miał nieodparte wrażenie, że wszyscy oni należeli do klanu jego ojca. Ta kobieta natomiast wydała mu się absurdalna, ze swym tłustym karkiem i w dodatku dusząco-słodkimi perfumami. Z jej strony nie miał się czego obawiać. Być może zauważyła, że nie wywarła na nim spodziewanego wrażenia, bo posłała mu wypróbowane, srogie spojrzenie i skrzywiła się z dezaprobatą.

–Co cię tak śmieszy? – spytała.

Nie zdawał sobie sprawy, że się uśmiecha, dopóki mu tego nie uświadomiła. Poczł przyplw osobliwego rozbawienia i odparł krótko.

–Pani.

–Co takiego?

Zmienił uśmiech w lekki grymas.

–Pani mnie śmieszy – wyjaśnił rzeczowo.

Spiorunowała go wzrokiem. On wciąż się uśmiechał i rozmyślał jednocześnie, co sprawiło, że wyszczerzył do niej zęby, jak wilk.

–Gdzie... gdzie powinieneś teraz być?

–Na sali gimnastycznej – odparł.

Wciąż na nią patrzył. I nadal się uśmiechał. W końcu to ona odwróciła wzrok.

–To lepiej już tam idź... no, zmykaj... – rzuciła niepewnie.

–Jeżeli to wszystko o czym chciała pani ze mną porozmawiać – odparował, licząc, że wciągnie

ją w rozmowę.

–Tak. To wszystko – odrzekła.

Will poczuł się zawiedziony.

Nie chciał oderwać od niej wzroku. Uczynił to z wahaniem. Był przekonany, że gdyby patrzył tak jeszcze przez chwilę, w końcu prześwidrowałby ją wzrokiem na wylot, przepalił, jak promień słońca przepuszczony przez soczewkę wypala dziurę w kartce papieru.

–Nie znoszę takiego zachowania – stwierdziła. – A już na pewno nie pozwolę, aby podskakiwał mi jakiś nowy chłopak. Jazda do klasy.

Nie miał wyboru. Odszedł. Kiedy jednak ją mijał, wyszeptał łagodnym tonem:

–Dziękuję, pani Hartley. – Był prawie pewien, że kobieta na dźwięk jego głosu wyraźnie się wzdrygnęła.

SIEDEM

Coś się z nim stało. Z dnia na dzień można było dostrzec kolejne oznaki tej zmiany. Spojrzał w niebo i ogarniało go zagadkowe rozbawienie, jakby jakaś jego część wzbijała się w powietrze, wyrrywając się z jego głowy.

Czuwał do późna, nie zasypiał jeszcze długo po północy, nawet gdy było wyjątkowo chłodno, siadał przy otwartym oknie i wsłuchiwał się w odgłosy świata tonącego w ciemnościach, wyobrażając sobie, jak musi on wyglądać z lotu ptaka. Dwukrotnie wypuścił się na nocną przechadzkę, krążąc po wzgórzu za domem, w nadziei, że spotka gdzieś tam obserwującego gwiazdy Jacoba albo panią McGee, goniącą zająca. Jednakże nie było po nich śladu i choć będąc w wiosce, przysłuchiwał się każdej obfitej w plotki rozmowie (odbierając kotlety wieprzowe dla Adele Bottrall, która miała później przyrządzić je z jabłkami dla taty, albo kupując czasopisma dla matki), nie napotkał ani jednej wzmianki o Jacobie albo Rosie. Doszedł do wniosku, że mieszkają w jakimś sekretnym miejscu, gdzie nie są niepokojeni przez prozę codziennego życia.

Wątpił, by ktokolwiek prócz niego wiedział o ich istnieniu. Nie usychał z tęsknoty za nimi. Jeszcze ich odnajdzie – albo oni znajdą jego, gdy nadejdzie odpowiednia pora. Był o tym przekonany. A na razie wciąż przeżywał chwile osobliwych uniesień. Wszędzie wokół niego świat ukazywał cudowne znaki, czytelne wyłącznie dla niego; pojawiały się w zawijasach szronu na szybie, rankiem gdy wstawał z łóżka, w układzie stada owiec wspinających się na zbocze pagórka i w szumie rzeki, która z nadejściem jesieni mocno wezbrała po silnych ulewach i prezentowała się teraz w całej swej krasie.

W końcu musiał podzielić się z kimś tymi sekretami. Wybrał Frannie, nie dlatego że miał pewność iż zdoła to zrozumieć, lecz dlatego, że była jedyną osobą, której dostatecznie ufał.

Siedzieli w salonie domu Cunninghamów, przylegającego do złomowiska należącego do ojca Frannie. Dom był nieduży, ale przytulny, schludny i ciepły, w przeciwieństwie do tego co znajdowało się na pobliskim podwórzu; nad kominkiem wisiała oprawiona w ramki makatka modlitewna, z błogosławieństwem dla wszystkich, którzy się przy nim zgromadzili, na stole stała skrzynia na herbatę zrobiona z tekowego drewna, elegancki choć nie wyeksponowany serwis do herbaty, prosty mosiężny zegar, a obok niego misa z rżniętego szkła, z brzoskwiniami i pomarańczami. Właśnie tu, w tej oazie wszystkiego co pewne i oczywiste, Will opowiedział Frannie o odczuciach, które wezbrały w nim w ostatnim czasie, i o tym że wzięły one swój początek od spotkania tych dwojga. Zrazu nie wspomniał o Jacobie i Rosie, tym sekretem nie miał ochoty dzielić się z nikim, ale opowiedział jej o swojej wyprawie do budynku Sądu.

–Wiesz, spytałam moją mamę o ten dom – rzuciła Frannie. – I opowiedziała mi tę historię.

–Jaką historię? – spytał Will.

–Był kiedyś pewien mężczyzna imieniem Bartholomeus – wyjaśniła. – Mieszkał w dolinie,

kiedy jeszcze wciąż roilo się tu od kopalni ołowiu.

–Nie wiedziałem, że tu kiedyś były kopalnie.

–No, były. I on sporo na nich zarobił. Ale miał coś nie tak z głową, tak przynajmniej twierdzi mama, ponieważ doszedł do wniosku, że ludzie nie traktują zwierząt jak należy, i stwierdził, że jedynym sposobem, żeby ludzie przestali być wobec nich okrutni, będzie stworzenie jedynego w swoim rodzaju sądu dla zwierząt.

–Kto był tam sędzią?

–On sam. Odgrywał także zapewne rolę ławy przysięgłych. – Wzruszyła ramionami. – Nie znam całej historii, tylko niektóre fragmenty...

–I dlatego zbudował Sąd.

–Wybudował, ale nie zdołał go ukończyć.

–Zabrakło mu pieniędzy?

–Mama mówi, że najprawdopodobniej zamknęli go u czubków za to co robił. Bo, rozumiesz, nikt nie chciał, żeby ten człowiek sprowadzał do swego sądu zwierzęta i tworzył prawa mówiące, jak ludzie mają postępować, aby zwierzęta miały lepszy żywot.

–Tym się właśnie zajmował? – spytał Will z lekkim uśmiechem.

–Mniej więcej. Nie wiem, czy ktokolwiek ma co do tego absolutną pewność. On nie żyje od stu pięćdziesięciu lat.

–To smutna historia – powiedział Will, przejęty niezwykłością szalonego projektu Bartholomeusa.

–Dobrze się stało, że zamknęli go w domu wariatów. Tak było dla wszystkich bezpieczniej.

–Bezpieczniej?

–Chodzi mi o to, co mogłoby się stać, gdyby zaczął oskarżać ludzi o niewłaściwe traktowanie zwierząt. Wszyscy to robimy. To całkiem normalne. I naturalne.

Gdy to mówiła, przypominała swoją matkę. Sprawiała wrażenie pogodnej i niewzruszonej zarazem. Gdy tak jej słuchał, jego entuzjazm i chęć podzielenia się z nią rewelacjami o tym, co miał okazję zobaczyć, zaczęły z wolna słabnąć. Może jednak mimo wszystko nie byłaby go w stanie zrozumieć. Może uznałaby, że jest taki sam jak Bartholomeus i należałoby zamknąć go w pokoju bez klamek. Teraz, gdy skończyła opowiadać o Sądzie, dziewczynka zapytała:

–O czym zacząłeś mówić?

–O niczym – odparł Will.

–Ależ nie, zaczęłaś coś opowiadać, tylko weszłam ci w słowo.

–Ee, to na pewno nie było nic ważnego – rzekł Will. – W przeciwnym razie już bym sobie przypomniał. – Podniósł się z krzesła. – Chyba lepiej już pójdę.

Frannie wydawała się bardziej niż tylko trochę zakłopotana, ale on udał, że nie dostrzega wyrazu zdziwienia na jej twarzy.

–Do zobaczenia jutro – powiedział.

–Czasami jesteś naprawdę dziwny – przyznała. – Zdajesz sobie z tego sprawę?

–Nie bardzo.

–Myślę, że jednak tak – rzuciła oskarżycielskim tonem. – I wydaje mi się, że nawet to lubisz.

Will nie był w stanie powstrzymać uśmiechu, który pojawił się na jego ustach.

–Może i tak – przyznał.

W tej samej chwili drzwi otwały się na oścież i do pokoju wmaszerował Sherwood. Miał wplecione we włosy piórka.

–Wiecie kim jestem?

–Kurczakiem – odparł Will.

–Nie jestem żadnym kurczakiem – obruszył się Sherwood.

–Ale tak właśnie wyglądasz.

–Jestem Geronimo.

–Kurczak Geronimo. – Will wybuchnął śmiechem.

–Nienawidzę cię – burknął Sherwood – i wszyscy inni w naszej szkole też cię nie znoszą.

–Cicho bądź, Sherwood – odezwała się Frannie.

–Ale to prawda – zaperzył się Sherwood. – Uważają, że jesteś stuknięty, i za twoimi plecami nazywają cię Stuknięty Will. – Teraz to Sherwood się zaśmiał. – Stuknięty Will! Stuknięty Will!

Frances próbowała go uciszyć, lecz na próżno. Jej brat sam musiał się uspokoić.

–Nic mnie to nie obchodzi! – zawołał Will przekrzykując Sherwooda. – Jesteś kretyńcem i nie

obchodzi mnie co mówisz!

To rzekłszy, wziął kurtkę i minąwszy Sherwooda, który zaczął tańczyć w rytm powtarzanych przez siebie śpiewnym głosem słów, ruszył szybkim krokiem w stronę drzwi. Frannie wciąż usiłowała uciszyć brata, ale nic to nie dało. Sherwood szalał jak w amoku, podskakując i pokrzykując donośnie.

Prawdę mówiąc, Will cieszył się z tego co się stało. Miał dzięki temu doskonałą wymówkę, by zwinąć żagle i zrobić to nader skwapliwie, zanim Frannie zdążyła uciszyć niesforne go brata. Nie musiał się martwić. Wyszedł z domu, minął złomowisko i dotarł do krańca Samson Road, a mimo to wciąż słyszał dobiegający z salonu, ochrypły głos drwiącego zeń Sherwooda.

OSIEM

1

–Przeprowadziliśmy się tutaj, ponieważ chciałaś zmienić klimat, Eleanor. Nie zapominaj o tym. Przybyliśmy tu z twojego powodu.

–Wiem, Hugonie.

–No i co? Chcesz powiedzieć, że znów mielibyśmy się przenieść?

Will nie słyszał pełnej rozpaczy odpowiedzi matki. Jej słowa były stłumione przez szloch. Usłyszał natomiast odpowiedź ojca.

–Boże, Eleanor, musisz przestać płakać. Nie jesteśmy w stanie normalnie porozmawiać, skoro na byle wzmiankę o Manchesterze, natychmiast uderzasz w szloch. Jeżeli nie chcesz tam wracać, to w porządku, ale musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań. Tak nie może być. Łykasz pigułki jak cukierki. Podejrzewam, że nawet ich już nie liczysz. To nie jest życie, Eleanor.

Czy powiedziała: wiem? – pomyślał Will, choć przez drzwi nie łatwo było ją usłyszeć.

–Chcę dla ciebie jak najlepiej. Dla ciebie i dla nas wszystkich.

Dopiero teraz Will usłyszał ją wyraźnie.

–Nie mogę tu zostać – powiedziała.

–Dobrze, wobec tego pytam konkretnie: Czy chcesz wrócić do Manchesteru?

W odpowiedzi znów usłyszał:

–Wiem tylko, że nie mogę zostać tutaj.

–W porządku – mruknął Hugo. – Przeprowadzimy się z powrotem. To nieważne, że sprzedaliśmy dom. Nieważne, że wydaliśmy tysiące funtów na przeprowadzkę. Po prostu wrócimy tam. Jego głos przybierał na sile, podobnie jak szloch Eleanor. Will usłyszał dostatecznie dużo. Cofnął się od drzwi i chyłkiem przemknął na górę, zanim jego ojciec, sposepniały i wściekły jak osa, szybkim krokiem wyszedł z salonu.

Ta rozmowa wprawiła Willa w stan bliski paniki. Nie mogli wyjechać, nie teraz. Przecież po raz pierwszy w życiu czuł, że wszystko zaczyna się klarować. Powrót do Manchesteru był dla niego jak wyrok. Równie dobrze mógłby położyć się i umrzeć.

Czy miał jakąś alternatywę? Tylko jedną. Ucieknie, tak jak to zapowiedział Frannie w dniu, kiedy się poznali. Starannie wszystko zaplanuje, aby nie pozostawić niczego przypadkowi, dopilnuje, by zabrać ze sobą trochę pieniędzy i ubrań, musi też z góry wytyczyć sobie cel ucieczki. Spośród tych trzech rzeczy ostatnia sprawiła mu najwięcej trudności. Pieniądze mógł ukraść (wiedział gdzie matka trzyma zaskórniaki), a ubrania wyjąć ze swojej szafy i spakować co trzeba, ale dokąd miałyby się udać? Spojrzał na mapę wiszącą na ścianie w sypialni, przypominającą te, które pokazywano w telewizji lub w czasopiśmie. Skandynawia? Za zimno i zbyt ciemno. Włochy? Może. Tylko że nie znał włoskiego, a nie miał talentu do języków. Znał trochę francuski i w jego żyłach płynęła francuska krew, ale Francja nie leżała dostatecznie daleko. Skoro miał wybrać się na tułaczkę, musiał wybrać coś bardziej odległego niż rejs promem. Może Ameryka? Tak, to niezła myśl. Przesuwał palcem po mapie, od jednego stanu do drugiego, delektując się nazwami: Mississippi, Wyoming, Nowy Meksyk, Kalifornia. Ta perspektywa poprawiła mu humor. Potrzebował jedynie dobrej rady, w jaki sposób mógł wy dostać się z kraju, a wiedział kto będzie mógł mu jej udzielić. Jacob Steep.

Następnego dnia wybrał się na poszukiwanie Jacoba i Rosy. Była połowa listopada i dni stawały się już krótkie, ale wykorzystał każdą godzinę, przez trzy kolejne dni wagarując i włócząc się po wzgórzach, wypatrując jakichkolwiek śladów osobliwej pary. Bardzo zmarzł przez te dni; choć śnieg jeszcze nie spadł, na wzgórzach zalegała gruba warstwa szronu, którego nie były w stanie roztopić słabe promienie słońca.

Owce zeszły już na niższe pastwiska, by tam skubać trawę, ale Will nie był wcale osamotniony podczas swej wędrówki po wzgórzach. Zające, lisy, a niekiedy nawet jeleni, pozostawiały wyraźne ślady na zamarznętej trawie. To były jedyne oznaki życia, jakie napotkał. Jeżeli chodzi o Jacoba i Rosę, ujrzał tylko ślady ich stóp.

Wreszcie, pod wieczór trzeciego dnia, w jego domu zjawiała się Frannie.

–Nie wyglądasz, jakbyś miał gripę – rzekła do Willa. (Sfałszował liścik, w którym tak właśnie tłumaczył swoją nieobecność w szkole).

–Czy dlatego właśnie przyszedłeś? – spytał. – Aby mnie sprawdzić?

–Nie wygłupiaj się – rzuciła z emfazą. – Przyszedłam, bo muszę ci coś powiedzieć. To bardzo dziwne.

–Co takiego?

–Pamiętasz jak rozmawialiśmy o Sądzie?

–Jasne.

–Bo widzisz, ja tam poszłam. I wiesz co?

–Co?

–Ktoś tam mieszka.

–W budynku Sądu?

Skinęła głową. Po wyrazie jej twarzy było widać, że to, co ujrzała, mocno nią wstrząsnęło.

–Weszłaś do środka?

Pokręciła głową.

–Zobaczyłam tę kobietę przy drzwiach.

–Jak wyglądała? – zapytał Will, starając się nie rozbudzać w sobie wielkich nadziei.

–Była cała ubrana na czarno...

To ona, pomyślał. To pani McGee. A skoro była tam Rosa, czyż Jacob mógł być daleko?

Frannie dostrzegła błysk ożywienia w jego oczach.

–O co chodzi? – spytała.

–Raczej o kogo – poprawił.

–No dobrze, o kogo. Kto to jest? Czy to ktoś, kogo znasz?

–Troszeczkę – odparł. – Ma na imię Rosa.

–Nigdy dotąd jej nie widziałam – rzekła Frannie. – A mieszkam tu od urodzenia.

–Oni trzymają się na uboczu – odparł Will.

–Oni? Jest jeszcze ktoś?

Niewiele brakowało, a powiedziałby jej wszystko. Bądź co bądź przyniosła mu tę wspaniałą wiadomość. Był jej coś winien.

–Jest ich dwoje – wyjaśnił Will. – Kobieta nazywa się Rosa McGee. Mężczyzna to Jacob Steep.

–Nigdy o nich nie słyszałam. To Cyganie, albo może bezdomni?

–Jeśli są bezdomni, to wyłącznie z własnego wyboru – mruknął Will.

–Ale w tym domu musi być strasznie zimno. Powiedziałaś, że w środku było całkiem pusto.

–To prawda.

–A więc oni ukrywają się w tym starym, pustym domu? – Pokręciła głową. – To dziwne – dodała. – Skąd ich znasz?

–Poznałem ich, gdy włóczyłem się po okolicy – odparł, co było bardzo bliskie prawdy. – Dzięki, że mi o tym powiedziałaś. Bo ja... mam teraz bardzo dużo spraw do załatwienia.

–Zamierzasz się z nimi zobaczyć, prawda? – dopytywała się Frannie. – Chciałabym pójść z tobą.

–Nie!

–Dlaczego nie?

–Ponieważ oni nie są twoimi przyjaciółmi.

–Twoimi też nie są – odparowała Frannie. – Spotkałeś ich zaledwie raz. Sam tak powiedziałaś.

–Nie chcę, żebyś tam szła – powiedział stanowczo Will.

Frannie mocno zacisnęła usta.

–Wiesz co, nie musisz robić z tego takiej afery – powiedziała.

Will nie odezwał się słowem. Patrzyła na niego, jakby pragnęła wzrokiem zmusić go do zmiany decyzji. On wciąż milczał, nie zrobił nic. Zupełnie. W chwilę później zrezygnowała i bez słowa ruszyła w stronę frontowych drzwi.

–Już wychodzisz? – spytała Adele.

Frannie otworzyła drzwi. Jej rower stał oparty o bramę. Nie odpowiedziawszy Adele, dziewczynka wskoczyła na siodelko i po chwili już jej nie było.

–Co ją tak zdenerwowało? – dopytywała się Adele.

–Nic ważnego – odrzekł Will.

Zmierzchało i było chłodno. Bolesne doświadczenie powinno nauczyć go, aby wychodząc na mróz, odpowiednio się ubrał, jednak trudno mu było skoncentrować myśli na ocieplanych butach, rękawicach i swetrze, gdy uszy rozsadzał mu szum krwi tętniącej w żyłach, a jedyna myśl, która mu się tłukła po głowie, brzmiała: Znalazłem ich, znalazłem ich, znalazłem.

Ojciec jeszcze nie wrócił z Manchesteru, a matka pojechała dziś do Halifaxu, z wizytą do swego lekarza, toteż jedyną osobą, która mogła zobaczyć go wychodzącego, była Adele. Pitrasła coś w kuchni i nawet nie zapytała dokąd się wybierał. Dopiero gdy trzasnął drzwiami, zawołała, żeby wrócił najpóźniej o siódmej. Nie odpowiedział. Ruszył różnym krokiem w stronę gmachu Sądu. Droga, którą szedł, pogrążała się w gęstniejącym mroku, a przeczucie podpowiadało Willowi, że Jacob go oczekuje.

DZIEWIĘĆ

Dusza, która przybrała nazwisko Jacob Steep, stała na progu Sądu, przytrzymując się framugi. Zmierzch był zawsze porą słabości zarówno dla niego, jak i dla pani McGee. Dzisiejszy zmierzch także nie stanowił wyjątku. Jacob czuł pulsowanie w skroniach, drżenie warg i nieprzyjemny ucisk w żołądku. Sam widok ciemniejącego nieba, mimo że wielce malowniczego, zmieniał go w małe dziecko.

Tak samo było o świcie. Oboje ogarniało wówczas tak silne zmęczenie, że z trudem mogli utrzymać się na nogach. Tego wieczoru Rosa była w naprawdę kiepskim stanie. Wróciła do Sądu i położyła się. Raz po raz pojękiwała i nawoływała go. Nie poszedł do niej. Został przy drzwiach i czekał na znak.

Oto paradoks tej niezwyklej godziny! Właśnie teraz, gdy był u kresu sił, istniało największe prawdopodobieństwo, że zostanie wezwany, by wypełniać swoje obowiązki, jego serce zabójcy zaczynało bić żywszym rytmem, krew burzyła się w żyłach. Tego wieczoru łaknął nowych wieści. Zwlekali dostatecznie długo. Najwyższy czas przestać się lenić i ruszyć w drogę. Najpierw jednak musiał poznać swój cel, miejsce przeznaczenia, a to oznaczało, że był zmuszony obserwować przytłaczający w swym majestacie zachód słońca.

Nie wiedział dlaczego właśnie ta pora była tak zgubną dla ich organizmów, ale stanowiło to jeszcze jeden dowód – gdyby go potrzebował – że nie zaliczali się do zwyczajnych, pospolitych istot. W mroku nocy, kiedy świat ludzi zasypiał i przyzywał swe miłkie, prymitywne sny, on był żwawy i energiczny jak dziecko, a jego ciało wydawało się niezmordowane. O tej porze potrafił dawać z siebie wszystko, posługiwać się nożem szybciej niż najwprawniejszy oprawca, albo jeszcze lepiej – gołymi rękami. Właśnie tak najbardziej lubił pozbawiać inne istoty życia. Za dnia, gdy na niebie wisiało bezlitosne słońce, rażące ziemię swymi palącymi promieniami, był równie niezmordowany. Był doskonałym pomocnikiem śmierci, szybkim i nieubłaganym. Prawdę mówiąc, bardziej lubił dzień niż noc, za dnia bowiem było dostatecznie jasno, by mógł sporządzać swoje rysunki, a on, zarówno jako rysownik, jak i zabójca, przejawiał wyjątkową dbałość o szczegóły. Krągłość skrzydła, krzywizna pyska, najcichszy szloch, barwa... To wszystko było nader ważne w jego badaniach.

Niezależnie jednak od tego, czy świat pogrążony był w mroku nocy, czy skąpany w promieniach słońca, Jacob Steep sprawiał wrażenie energicznego i zwinnego jak istota dziesięć razy od niego młodsza. Jedynie w porze szarówki dopadała go słabość, a wówczas, by nie upaść, musiał się czegoś przytrzymać. Nie cierpiał tego rodzaju doznań, ale nawet nie jęknął. Takie zachowanie było dobre dla kobiet i dzieci, nie dla żołnierzy. Nie chodzi o to, że nie słyszał jęków żołnierzy, wprost przeciwnie. Żył dostatecznie długo, by widzieć wiele wojen wielkich i małych, i choć nigdy nie stanął na polu bitwy, to, czym się zajmował, niejednokrotnie przywiodło go do miejsc gdzie toczyły się walki. Widział, jak ludzie będący w oblężeniu reagowali na ból i cierpienie. Widział, jak płakali, jak błagali o łaskę i wzywali swoje matki.

Jacoba nie interesowało miłosierdzie, nie okazywał łaski i nie spodziewał się jej od innych. Stawiał czoło sentymentalnemu światu, jak przystało na czystą, niepohamowaną potęgę, nie przejawiając w tym co robił ani łagodności, ani okrucieństwa. Drwił sobie z pociechy modlitwy i zwodniczej wyobraźni, pokpiwał ze smutku, podobnie jak z nadziei. Z ironią traktował także rozpacz. Sławił natomiast cierpliwość, towarzyszyła jej bowiem świadomość, że wszystko przemija. Niebawem słońce zniknie za horyzontem, a słabość w jego ciele zastąpi poczucie siły. Musiał jedynie czekać.

Z wnętrza domu dobiegło jakieś poruszenie. W chwilę potem rozległ się głos Rosy.

–Wspominałam – rzekła.

–Nieprawda – zaoponował. Czasami cierpienia, jakich doznawała o tej porze, sprawiały, że zaczynała majaczyć.

–Właśnie, że tak. Przysięgam – zapewniła. – Przychodzi mi do głowy wyspa. Pamiętasz wyspę? Z rozległymi białymi brzegami? Bez drzew. Wypatrywałam drzew, ale żadnego nie zauważyłam. Och...

Jej słowa znów przerodziły się w jęk, a te z kolei w zduszony szloch.

–Och, w takich chwilach pragnęłabym umrzeć. Mogłabym umrzeć. Naprawdę.

–Nie. Wcale nie.

–Przyjdź tu i pociesz mnie.

–Nie mam ochoty.

–Musisz, Jacobie. Och... O Boże w niebiesiech... dlaczego tak cierpimy?

Choć nie chciał zbliżyć się do Rosy, nie był w stanie dłużej ignorować jej rozpaczliwego szlochu. Odwrócił się plecami do dogorywającego dnia i ruszył korytarzem w stronę Sali Sądowej. Pani McGee leżała na ziemi, wśród swoich szalów i woali. Otoczyła się kręgiem świec, jakby ich blask był w stanie złagodzić nieco cierpienia, które przeżywała.

–Połóż się przy mnie – rzekła, spoglądając na niego.

–To nam nie pomoże.

–Moglibyśmy mieć dziecko.

–To także nic nam nie da – odparł – i wiesz o tym równie dobrze jak ja.

–Wobec tego po prostu połóż się tutaj i mnie utul – błagała. – Tak bardzo cierpię. Rozdzielenie z tobą, Jacobie, sprawia mi potworny ból.

–Przecież jestem tutaj – rzucił oschłym tonem. – Całkiem blisko.

–Nie dość blisko – odparła z lekkim uśmieszkiem.

Podszedł i stanął u jej stóp.

–Wciąż... nie dość blisko – rzekła. – Czuję się taka słaba, Jacobie.

–To minie. Wiesz, że minie.

–W takich chwilach nie wiem zupełnie nic – odparła – poza tym, jak bardzo cię pragnę. – Sięgnęła ręką i podkasała spódnicę, ani na chwilę nie spuszczając zeń wzroku. – Blisko mnie – wyszeptała. – We mnie.

Nie odpowiedział.

–Czyżbyś był za słaby, Jacobie? – spytała, wciąż podciągając spódnicę. – Czy ta tajemnica cię przerasta?

–To żadna tajemnica – odparł. – Nie po tylu latach.

Teraz to ona się uśmiechnęła i podkasała spódnicę do połowy ud. Miała piękne nogi, silne, umięśnione, skóra w blasku świec lśniła perłowo. Z westchnieniem wsunęła dłoń pod spódnicę i zaczęła się pieścić, wypychając biodra przy każdym ruchu ręki.

–Tu jest głęboko, ukochany – powiedziała. – I ciemno. I wilgotno. Tylko dla ciebie. – Zadarła spódnicę aż do pasa. – Spójrz. – Rozłożyła nogi szeroko, aby mógł się jej przyjrzeć. – Nie mów, że nie wygląda przepięknie. To śliczna, mała szparka.

Skierowała wzrok na jego krocze.

–Podoba ci się, mimo że nie chcesz się do tego przyznać.

Naturalnie, miała rację. Gdy tylko zaczęła podnosić spódnicę, poczuł podniecenie i sztywnienie członka, domagającego się spełnienia swojej powinności. Zupełnie jakby jego ciało nie było wcale słabe, mimo że jeszcze niedawno ogarniała je niemoc.

–Jestem ciasna, panie Steep.

–Nie wątpię.

–Jestem jak dziewczyna w noc poślubną. Spójrz, ledwo mieści się w niej najmniejszy palec. Przypuszczam, że będziesz musiał użyć odrobiny przemocy. – Wiedziała, jak działają na niego takie słowa.

Przeszył go dreszcz podniecenia. Zdjął płaszcz.

–Rozepnij spodnie – powiedziała znużonym tonem pani McGee. – Pokaż, co tam masz.

Cisnął płaszcz w kąt i zaczął niezdarnie rozpinać guziki ubłoconych spodni. Obserwowała z lekkim uśmiechem, jak wyjmował członek.

–No proszę – rzekła z podziwem. – Chyba chciałby zagłębić się w mojej szparce.

–Chce więcej niż tylko się w niej zagłębić.

–Doprawdy?

Ukląkł pomiędzy jej nogami i odsunął ręką szczupłą dłoń pani McGee, by lepiej się jej przyjrzeć. Patrzył przez chwilę.

–O czym myślisz? – spytała.

Przez chwilę pieścił ją palcem, po czym powiódł zwilżonym opuszką aż do jej odbytu.

–Myślę – odparł – że wolałbym dzisiaj znaleźć się tutaj.

–Naprawdę?

Lekko wsunął palce w jej odbyt. Zaczęła się wić.

–Pozwól mi wejść w ciebie z tej strony – poprosił. – Choćby tylko samą żołądź.

–Z kochania się w ten sposób dzieci nie będzie – stwierdziła.

–Nie obchodzi mnie to – odparł. – Tego właśnie chcę.

–A ja nie – ucięła.

Uśmiechnął się do niej.

–Roso – rzekł półgłosem. – Nie możesz mi odmówić.

Wsunął dłonie pod jej kolana i uniósł je.

–Powinniśmy przestać myśleć o dzieciach – mruknął. – Pora porzucić płonne nadzieje – rzekł, wpatrując się w ciemny pączek pomiędzy jej pośladkami. – Zawsze kończy się tak samo. Są nic niewarte.

Nie odpowiedziała.

–Słyszysz mnie, kochanie? – Spojrzał na jej twarz.

Była zasmucona.

–Nigdy więcej dzieci? – spytała.

Splunął na dłoń i zwilżył członek. Splunął raz jeszcze, nieco obficie, po czym zwilżył jej odbył.

–Nigdy więcej dzieci – powiedział, przyciągając ją ku sobie. – To czysta strata uczuć, marnować miłość dla istoty, która nie potrafi odwzajemnić się tym samym.

W tych słowach była zawarta fundamentalna prawda, bo pomimo że splodzili wspólnie wiele dziesiątków dzieci, on, dla jej dobra, zaraz po porodzie odbierał je od pani McGee i uwalniał od wszelkich cierpień, o ile ci kretyńscy wiedzieli w ogóle, czym jest cierpienie. Wracał posłusznie już po dokonaniu sekcji i pozbyciu się szczątków, by za każdym razem przynieść jej tę sama smutną wiadomość. Mimo że potomstwo wyglądało na udane, wewnątrz ich czaszek znajdował się tylko krwawy śluz. Nie było ani śladu mózgu, nawet strzępka szarej materii.

Wszedł w nią.

–Tak jest lepiej – powiedział.

Zaszlochała cichutko. Nie wiedział, czy zrobiła to z rozkoszy, czy ze smutku, i w tym momencie było mu to obojętne. Naparł na ciasną otoczkę jej ciepłych mięśni, pogrążając cały członek w jej wnętrzu. Och, to było naprawdę cudowne.

–Wobec... tego... nie... będzie... więcej... dzieci – wysapała pani McGee.

–Żadnych dzieci!

–Nigdy?

–Już nigdy.

Sięgnęła ręką, chwyciła go za koszulę i przyciągnęła ku sobie.

–Pocałuj – poprosiła.

–Uważaj o co prosisz...

–Pocałuj – powtórzyła, unosząc głowę.

Nie próbował się wzbraniać. Dotknął wargami ust Rosy i pozwolił, by jej zwinnie języczek przesunął się po jego obolałych zębach i pomiędzy nimi. Zawsze miał bardziej sucho w ustach niż ona. Jego spierzchnięte wargi i gardło przyjęły ją z lubością, szepcząc czule, równocześnie naparł na nią jeszcze mocniej, ich wzajemny uścisk stał się nagle gwałtowny i spazmatyczny. Sięgnęła dłońmi do jego szyi, twarzy, a następnie dotknęła pośladków, wbijając go w siebie jeszcze głębiej, podczas gdy Jacob zaczął rozpinać guziki bluzki, by móc dotknąć jej piersi.

–Kim jesteś? – spytała.

–Kimkolwiek zechcesz – wychrypiał.

–Kim?

–Pieterem, Martinem, Laurentem, Paolem...

–Laurentem. Lubiłam Laurenta.

–On tu jest.

–Kim jeszcze?

–Nie pamiętam pozostałych imion – wyznał Jacob.

Rosa uniosła obie ręce i mocno chwyciła go za głowę.

–Przypomnij sobie, dla mnie – poprosiła.

–Był pewien cieśla imieniem Bernard...

–O, tak. Traktował mnie bardzo brutalnie...

–I Darlington...

–Właściciel sklepu tekstylnego. Bardzo czuły. – Zaśmiała się. – Czy jeden z nich nie owijał mnie w jedwabie?

–Robił to?

–I rozlewał śmietanę na moje łono. Mógłbyś nim być, kimkolwiek on był.

–Nie mamy śmietany.

–Jedwabiu też nie. Pomyśl o kimś innym.

–Mógłbym być Jacobem.

–Zapewne mógłbyś – stwierdziła – ale to żadna zabawa. Przypomnij sobie kogoś innego.

–Byli jeszcze Josiah. I Michel. I Stewart. I Roberto...

Poruszała ciałem w rytm jego litanii. Tak wielu mężczyzn, których imiona i zawody zapożyczał, by wzbudzić w niej podniecenie, przybierając ich tożsamość na godzinę, dzień, a niekiedy nawet na dłużej.

–Lubiłem tę grę – przyznał.

–Ale teraz już nie?

–Gdybyśmy wiedzieli, kim i czym byliśmy...

–Ucisz się.

–Może nie cierpielibyśmy tak bardzo.

–To bez znaczenia – stwierdziła. – Przynajmniej dopóki jesteśmy razem. Dopóki jesteś we mnie.

Byli tak bardzo zespoleni, tak mocno ze sobą spleceni, wymieniając uściski i pocałunki, jakby nigdy nie mieli się rozdzielić. Znow zaczęła pochlipywać z każdym pchnięciem. Na jej ustach pojawiły się kolejne imiona, ale teraz pozostały z nich jedynie fragmenty, niewyraźne strzępy.

–Sil... Be... Han...

Zatraciła się w doznaniach, w pchnięciach jego członka, w pocałunkach. Jacob milczał. Czowała tylko na skórze jego oddech, jakby z każdym kolejnym pchnięciem starał się ją wskrzesić. Miał otwarte oczy, ale nie widziała już jego twarzy, ani świateł, które trzęsły się wokół nich. Miast nich były tylko rozmyte kształty, splachetki światła i czerni pulsujące na wprost niego, mrok w górze i światło poniżej.

Ten widok sprawił, że mężczyzna jęknął głośno.

–Co się stało? – spytała Rosa.

–Nie... wiem... – odparł.

To, co widział przed sobą, sprawiło mu ból, nie pojmował na co właściwie patrzy, to wszystko było jak fragmenty melodii, której nie potrafił odgadnąć, której nie umiał nazwać, mimo że dźwięki uporczywie rozlegały się w jego głowie. Ale mimo cierpienia, jakie przy tym odczuwał, nie chciał, by te obrazy zniknęły. Było w nich coś, co ożywiało pewne sekretne miejsce, o którym nigdy nie rozmawiał, nawet z Rosą. To miejsce było zbyt delikatne, zbyt czułe, zbyt kruche.

–Jacob?

–Tak?

Spojrzał na nią i widmowy obraz przygasł.

–Już po wszystkim? Tak szybko?

Wsunęła dłoń między uda i chwyciła jego członek. Wciąż tkwił w niej do połowy, ale szybko wiotczał. Spróbowała włożyć go z powrotem, lecz zaczął giąć się jak wąż w jej ciemnym wnętrzu i po kilku nieudanych, mało przekonujących próbach, wyszedł z niej zupełnie. Spiorunowała go wzrokiem.

–To wszystko? – spytała.

Zapiął rozporek i wstał.

–Na razie – odparł.

–Coś podobnego, czyżbyś zamierzał rznąć mnie w odcinkach? – spytała, opuszczając spódnicę i siadając. – Pozwalam ci się zerznąć w tyłek, a ty nawet nie masz na tyle przyzwoitości, żeby zrobić to jak trzeba.

–Coś mnie wytrąciło z równowagi – odparł, podnosząc płaszcz i wkładając go.

–Co?

–Szczерze mówiąc, sam nie wiem – uciął Jacob. – Na Boga, kobieto, to był tylko seks. Szybki numer. Nie pierwszy i nie ostatni. Będą kolejne.

–Nie sądzę – odparła gniewnie.

–Och?

–Myślę, że już najwyższy czas, abyśmy zrezygnowali z seksu. Skoro nie chcemy mieć więcej dzieci, to po co niby mamy w ogóle to robić?

Spojrzał na nią.

–Naprawdę tak uważasz?

–Owszem. Tak. Naprawdę tak myślę.

–Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?

–Oczywiście.

–Będziesz tego żałować.

–Nie sądzę.

–Będziesz błagać, żebym cię przeleciał.

–Uważasz, że zależy mi na seksie z tobą? – spytała. – Boże, oszukujesz sam siebie. Jestem z

tobą, Jacobie, to wszystko. Udaję podniecenie, ale wcale cię nie pragnę.

–To nieprawda – mruknął.

Usłyszała nutę bólu i żalu w jego głosie i mocno ją to zdziwiło. To była rzadkość i jak każda rzadkość, bardzo cenna. Udając, że tego nie zauważyła, sięgnęła po swoją poobijaną, starą skórzaną torbę, wyjęła lusterko i przykucnąwszy przy świecach, by w ich świetle móc lepiej się przejrzeć, spojrzała na swoje odbicie.

–To prawda – powiedziała po krótkiej chwili. – Cokolwiek było pomiędzy nami, umiera, Jacobie. Jeżeli nawet kiedyś cię kochałam Jacobie, zapomniałam jak to się robi. I szczerze mówiąc, wcale nie chcę, by mi to ktoś przypominał.

–Dobrze – mruknął pod nosem.

Dostrzegła jego odbicie w szkłe i wyraz strapienia malujący się na twarzy. To była prawdziwa rzadkość.

–Też się cieszę – szepnęła.

–Myślę, że...

–Tak?

–Chyba chciałbym... zostać przez pewien czas sam.

–Tutaj?

–Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Pstryknął palcami i z ich koniuszków buchnęły pióropusze ognia gasnącego w powietrzu nad jego głową. Nie miała ochoty oglądać pokazu jego niezwykłych umiejętności. Ona także posiadała pewne nabyte uzdolnienia, podobnie jak w przypadku Steepa, jak pokrzywka czy zasłyszany dowcip gdzieś po drodze, na szlaku. Skoro chce pomedytować w samotności, to proszę bardzo, pomyślała. Nie ma sprawy.

–Czy później będziesz głodny? – spytała, naśladowując ton głosu zatroskanej żony (to zawsze wzbudzało w niej perwersyjną rozkosz).

–Wątpię.

–Gdybyś miał na coś ochotę, proponuję pasztet.

–O co ci chodzi? – spytał.

–Przecież możemy nadal zachowywać się jak osoby cywilizowane, nieprawdaż? – spytała.

Sprawił, że z opuszka kolejnego palca buchnął wysoki płomień.

–Nie wiem – mruknął – może.

W chwilę potem odeszła, pozostawiając go samego, pozwalając, by pogrążył się w posępnej rozpacz.

DZIESIĘĆ

W połowie drogi od rozstajów do gmachu Sądu Will usłyszał za sobą pisk źle naoliwionych kół. Obejrzał się przez ramię, by ujrzeć w oddali za sobą światła nie jednego, lecz dwóch rowerów. Zmełł w ustach przekleństwo, przystanął i zczekał, aż Frannie i Sherwood dotrą do niego.

–Wracajcie do domu – powiedział, gdy tylko zatrzymali się przy nim.

–Nie – zaproponowała zdyszana Frannie. – Postanowiliśmy, że pojedziemy z tobą.

–Ale ja nie chcę – rzucił Will.

–To wolny kraj – wtrącił Sherwood. – Możemy robić co chcemy, no nie, Frannie?

–Zamknij się – wycedziła Frannie. I odezwała się do Willa: – Chciałam tylko upewnić się, że nic ci nie jest.

–Wobec tego czemu zabrałaś ze sobą jego? – spytał Will.

–Ponieważ... mnie poprosił – odparła Frannie. – On nie będzie nam przeszkadzał.

Will pokręcił głową.

–Nie chcę, żebyście wchodzili do środka – stwierdził.

–To woln... – zaczął ponownie Sherwood, ale Frannie uciszyła go.

–Dobrze, nie wejdziemy tam – zgodziła się. – Zaczekamy na zewnątrz.

Widząc, że to wszystko co zdoła utargować, Will ponownie ruszył w stronę gmachu Sądu. Frannie i Sherwood trzymali się nieco z tyłu. Zdawał się nie dostrzegać ich obecności, dopóki nie znalazł się przy żywopłocie rosnącym przy starym budynku Sądu. Dopiero wtedy odwrócił się i szeptem wyjaśnił, że jeśli choć pisną, wszystko zniweczą, a wówczas już nigdy się do nich nie odezwie. Udzieliwszy im tego ostrzeżenia, przepelzł przez szczelinę między krzakami głogu i zaczął piąć się po łagodnej stromiźnie łąki w stronę budowli. Nocą wydawała się większa niż za dnia, niczym olbrzymie mauzoleum, widział jednak migoczące wewnątrz światło, toteż z sercem przepelnionym coraz większą radością pomaszerował wzdłuż ścieżki w jej stronę.

Jacob siedział w fotelu sędziego, na stole naprzeciw niego płonęło niewielkie ognisko. Uniósł wzrok, gdy usłyszał skrzypnięcie drzwi, a w blasku ognia Will ujrzął twarz, którą od wielu dni przywoływał w myślach. Zawiódł, jeśli o to chodzi, pod każdym względem. Nie był w stanie wyobrazić sobie dostatecznie szerokiego i wysokiego czoła, głęboko osadzonych oczu ani włosów Steepa, których kędziory opadały kaskadą na jego ramiona, a na czubku głowy przeradzały się w splechetek czerni. Nie umiał wyobrazić sobie połysku jego brody i wąsów i delikatności warg, które często oblizywał, tak jak teraz, zanim się odezwał.

–Witaj, Will. Zjawiasz się o niezwyklej porze.

–Czy to znaczy, że mam sobie iść?

–Nie. Bynajmniej. – Dorzucił kilka szczap do ogniska. Ogień strzelił nieco wyżej, rozległy się trzaski i buchnęły iskry. – Wiem, że przyjęte jest tuszowanie smutku uśmiechem, udawanie radości nawet gdy jej nie czujesz. Ja jednak nie cierpię udawania i nieszczerości. Prawda jest taka, że dzisiejszej nocy ogarnął mnie melancholijny nastrój.

–Co to znaczy... melancholijny? – spytał Will.

–Dzięki za szczerść – powiedział Jacob. – Melancholia to swego rodzaju smutek, i coś więcej zarazem. To coś, co odczuwamy, gdy rozmyślamy o świecie i o tym, jak niewiele pojmujemy, gdy zastanawiamy się nad tym co nas czeka.

–Masz na myśli umieranie i całą resztę?

–Głównie umieranie – odparł Jacob. – Choć nie to dziś mnie zasmuca. – Skinął na Willa. – Podejź bliżej, przy ogniu jest cieplej.

Will uznał, że ogień jest zbyt słaby, aby mógł dawać dużo ciepła, ale nie omieszkał podejść bliżej.

–Czemu więc jesteś smutny? – zapytał.

Jacob rozparł się wygodnie w starym fotelu, wbijając wzrok w płomienie.

–Chodzi o sprawy między mężczyzną a kobietą – odparł. – Nie będzie cię to dotyczyć jeszcze przez jakiś czas i z tego powodu możesz się tylko cieszyć. Odwlekaj to możliwie jak najdłużej.

Mówiąc to, sięgnął do kieszeni i wyjął nowy opał do swego małego ogniska. Tym razem Will był dostatecznie blisko, by zauważyć, że ten opał się rusza. Z fascynacją i odrazą równocześnie Will podszedł do stołu i dostrzegł, że Steep trzymał dwoma palcami, kciukiem i palcem wskazującym, za skrzydła pokaźną ćmę. Owad poruszał gorączkowo czułkami i odnóżami, gdy ciśnięto go w płomienie. Przez chwilę wydawało się, że bijące w górę gorące powietrze uniesie go na bezpieczną wysokość, zanim jednak to się stało, skrzydełka ćmy zajęły się ogniem i runęła w dół.

–Żywi i umierający podsycamy ogień – rzekł półgłosem Steep. – Oto cała melancholijna prawda o tym jak się rzeczy mają.

–Tyle tylko, że to właśnie ty podsyciłeś teraz ogień – rzekł Will, zdumiony własną elokwencją.

–Bo musimy to robić – odrzekł Jacob. – W przeciwnym razie zapanowałyby tu ciemność. A jak wówczas moglibyśmy się nawzajem zobaczyć? Śmiem twierdzić, że wolałbyś opał, który nie

wije się i nie wyrywa, gdy podsycasz nim ogień.

–Owszem... tak... – przyznał Will.

–Jadasz kielbasę, Will?

–Tak.

–Jestem pewien, że nawet ją lubisz. Smakowitą, pachnącą kielbasę wieprzową. Albo krwisty stek, czy może cynaderki?

–Tak. Lubię je.

–Czy jednak myślałeś kiedykolwiek o zwierzęciu, któremu ze strachu puszczają zwieracze, gdy jest prowadzone na rzeź? Gdy wisząc za jedną nogę, wciąż wierzga, a krew bucha mu z rozplatanego gardła? Myślałeś kiedyś o tym?

Will niejednokrotnie słyszał, jak jego ojciec rozmawiał na ten temat, i wiedział, że był tu jakiś haczyk.

–To nie to samo – zaprotestował.

–Bynajmniej. To dokładnie to samo.

–Wcale nie. Potrzebuję pożywienia, żeby żyć.

–To jedz rzepę.

–Ale ja lubię kielbasę.

–Światło też lubisz.

–Tam są świece – wtrącił Will.

–A żyjąca ziemia daje nam wosk i materiał na knoty, żebyśmy mieli z czego je zrobić – rzekł Steep. – Wszystko, co żyje, prędzej czy później zostaje pochłonięte. Żywi i umierający podsycamy ogień. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Usiądź – dodał łagodnym tonem. – No, dalej. Tutaj jesteśmy równi. I obaj jesteśmy w podobnie melancholijnym nastroju.

Will usiadł.

–Nie jestem w melancholijnym nastroju – zaproponował, używając z lubością nieznanego mu dotąd słowa. – Jestem szczęśliwy.

–Doprawdy? Miło mi to słyszeć. Co sprawiło, że jesteś szczęśliwy?

Will czuł się skrępowany, wyznając prawdę, ale skoro Jacob był wobec niego szczery, on musiał odpłacić mu tym samym.

–Cieszę się, że cię tu zastałem.

–To naprawdę cię ucieszyło?

–Tak.

–Ale już za godzinę znudzisz się moim towarzystwem.

–Nieprawda.

–A smutek wciąż będzie w pobliżu, tylko czekając, aby cię ogarnąć.

W tej samej chwili ogień zaczął przygasać.

–Czy chcesz podsycić ogień, Will? – spytał Steep.

Jego słowa miały w sobie niezwykłą moc. Zupełnie jakby w tym przygasaniu chodziło o coś więcej niż o wygaśnięcie niewielkiego ognia. Te płomienie zmieniły się nagle w jedyne źródło światła pośród zimnego, pozbawionego słońca świata i wydawało się, że jeśli ktoś już wkrótce ich nie podsyci, konsekwencje mogą okazać się zgubne.

–To jak, Will? – spytał Jacob, sięgając do kieszeni i wyjmując drugą ćmę. – Masz. – Podał mu owada.

Will zawahał się. Słyszał ciche odgłosy wydawane przez ogarniętą paniką ćmę. Spojrzał na trzymającego ją mężczyznę. Oblicze Jacoba było całkiem beznamienne.

–No i jak? – ponownie spytał Jacob.

Ogień prawie wygasł. Jeszcze kilka sekund i będzie za późno. Pomieszczenie pogrąży się w ciemnościach, a twarz widniejąca naprzeciw Willa, z jej osobliwymi płaszczyznami i przenikliwym spojrzeniem rozplynie się w mroku.

Ta myśl okazała się dla niego nie do zniesienia. Will przeniósł wzrok na ćmę, na jej poruszające się spazmatycznie odnóża i czułki. A potem, przepełniony niepojętą, cudowną zgrozą, wziął podanego mu przez Jacoba owada.

JEDENAŚCIE

–Zimno mi – poskarżył się po raz dziesiąty Sherwood.

–To idź do domu – odparła Frannie.

–Sam? Po nocy? Nie każ mi tego robić.

–Może powinnam wejść do środka i poszukać Willa – mruknęła Frannie. – Może się poślizgnął albo...

–Dlaczego po prostu go tu nie zostawimy?

–Ponieważ jest naszym przyjacielem.

–Moim nie jest.

–W takim razie zaczekaj tutaj – rzekła Frannie, wypatrując prześwitu w żywopłocie.

Chwilę potem poczuła, jak Sherwood chwyta ją za rękę.

–Nie chcę tu zostać – powiedział cicho.

Prawdę mówiąc, nie była niezadowolona z faktu, że chciał jej towarzyszyć. Bała się, a jego obecność dodała jej otuchy. Wspólnie przecisnęli się przez szczelinę w żywopłocie i trzymając się za ręce, wspięli po zboczu w stronę gmachu Sądu. Dopiero wtedy poczuła, jak jej brat zadrżał z niepokoju; zerkając na niego w półmroku, ujrawszy jego przerażony wzrok, poszukujący w niej spokoju, otuchy i ukojenia, zrozumiała, jak bardzo go kocha.

Ćma była wielka i choć Will trzymał ją mocno za skrzydła, tłuste, obłe cielsko wiło się jak szalone, przebierając odnóżami. Owad budził w nim wstręt, co ułatwiało mu czynność, którą miał wykonać.

–Nie zamierzasz się wycofać, prawda? – spytał Jacob. – Chyba się nie boisz?

–Nie... – odparł Will nieswoim głosem.

–Zabijałeś już wcześniej owady?

Oczywiście. Palił mrówki, przypiekając je przez lupę promieniami słońca, deptał żuki i miażdżył pająki, posypywał ślimaki solą i tłukł packą muchy. To była tylko ćma i płomień. Jedno nierozzerwalnie związane z drugim.

I pokrzepiony tą myślą, zrobił co do niego należało. Poczł pod sercem ukłucie żalu gdy płomień zwęglił odnóża owada, po czym upuścił go w ogień i żal przerodził się w fascynację, gdy Will patrzył, jak żywioł pochłania jego ofiarę.

–I co ci mówiłem? – rzekł Steep.

–Żywi i umierający... podsycamy ogień – wymamrotał Will.

Stojąc w drzwiach sali sądowej, Frannie nie była w stanie dostrzec, co działo się w środku. Widziała Willa pochylającego się nad stołem i przyglądającego czemuś jasnemu, w tym samym świetle ujrzła twarz siedzącego naprzeciw niego mężczyzny. I to wszystko.

Puściła dłoń Sherwooda i przykładając palec do ust, nakazała mu, by zachowywał się cicho. Skinął głową, to dziwne, ale nie wydawał się już tak przerażony jak jeszcze niedawno w mroku nocy na zewnątrz. Znow spojrzła w stronę Willa. Gdy to zrobiła, usłyszała, jak mężczyzna po drugiej stronie stołu zapytał:

–Chcesz jeszcze jedną?

Will nawet nie spojrział na Steepa. Wciąż patrzył, jak ogień pożera ciało ćmy.

–Czy zawsze tak jest? – wymamrotał.

–Tak, to znaczy jak?

–Najpierw zimno i ciemno, a potem ogień odpiera wszystko, aby znow po jakimś czasie powróciły mrok i chłód...

–Dlaczego pytasz?

–Ponieważ chciałbym zrozumieć – odrzekł Will. – A tylko ty jeden znasz odpowiedź.

Bądź co bądź, to była prawda. Jego ojciec z pewnością nie znał odpowiedzi na tego rodzaju pytania, matka również, podobnie jak żaden z nauczycieli czy nikt, kogo wypowiedzi słyszał w telewizji. To była sekretna wiedza i czuł się uprzywilejowany, mogąc znajdować się w towarzystwie kogoś, kto ją posiadał, nawet jeśli ten ktoś nie zamierzał się nią z nim podzielić.

–Chcesz jeszcze czy nie? – spytał Jacob.

Will skinął głową i wziął ćmę od Steepa.

–Czy któregoś dnia nie zabraknie nam rzeczy i istot do spalenia? – zastanawiał się.

–O mój Boże. – Z cieni wyłoniła się pani McGee. – Posłuchaj co on mówi.

Will nie spojrział na nią. Był zbyt zajęty oglądaniem kremacji drugiej ćmy.

–Owszem, zabraknie – odparł półgłosem Steep. – A kiedy wszystko szczeźnie i przeminie, cały świat spowiją niewyobrażalne ciemności. To nie będzie mrok śmierci, ponieważ śmierć nie jest nigdy całkowita.

–To gra w kości – wtrąciła kobieta.

–Właśnie – mruknął Jacob. – Śmierć to gra w kości.

–Wiemy co nieco o śmierci, pan Steep i ja.

–O tak, w rzeczy samej.

–Dzieci, które nosiłam i utraciłam. – Mówiąc to, stanęła za Willem i wyciągnawszy rękę, delikatnie pogłaskała go po włosach. – Patrzę na ciebie, Will, i powiadam ci, byłabym skłonna oddać wszystkie swoje zęby, abyś tylko mógł należeć do mnie. Jesteś taki roztropny...

–Robi się ciemno – wtrącił Steep.

–W takim razie daj mi jeszcze jedną ćmę – zażądał Will.

–Jaki gorliwy – zauważyła pani McGee.

–Szybko – ponaglił Will. – Zanim ogień zgaśnie!

Jacob sięgnął do kieszeni i wyjął kolejną ćmę. Will wyłuskał ją spomiędzy jego palców, ale w pośpiechu nie zdążył złapać owada za skrzydła i ćma wzbiła się w powietrze, ponad stołem.

–Cholera! – wycedził Will.

Odsuwając do tyłu krzesło oraz panią McGee, wstał i spróbował pochwycić umykający opał. Dwa razy był bliski schwywania ćmy, lecz w obu przypadkach chybił celu. Rozwścieczony, jął wymachiwać rękoma, w nadziei że zdoła złapać owada.

Z tyłu, za nim, rozległ się głos Jacoba.

–Zostaw, dam ci inną.

–Nie! – warknął Will, podskakując, by złapać ćmę. – Chcę tę.

Jego wysiłek został nagrodzony. Przy trzecim skoku ćma znalazła się w jego dłoni.

–Mam! – zawołał i już miał wrzucić owada do ognia, gdy nagle usłyszał głos Frannie.

–Co robisz, Will?

Uniósł wzrok i spojrzął na nią. Stała w drzwiach sali, jej postać wydawała się rozmyta i odległa.

–Idź stąd – rzucił.

–Kto to? – spytał Jacob.

–No idź! – warknął Will, czując narastające rozdrażnienie. Nie chciał, by te osoby, należące do dwóch różnych światów, w których przyszło mu żyć, zwracały się do niego równocześnie. Zaczęło kręcić mu się w głowie. – Proszę – powiedział, w nadziei że zdoła nakłonić ją do wyjścia z tego domu. – Nie chcę, żebyś tu była.

Światło z tyłu, za nim, zaczęło przygasać. Jeżeli się nie pośpieszy, ogień zgaśnie zupełnie. Musiał go podsycić, zanim to nastąpi. Nie chciał jednak, by Frannie to zobaczyła. Jacob nigdy nie podzielił się swoją wiedzą – tą wiedzą, którą byli w stanie pojąć jedynie najwięksi mędracy – dopóki Frannie będzie się znajdowała w pobliżu.

–Wynoś się! – zawołał.

Jego krzyk nie przestraszył dziewczynki, ale Sherwoodowi napędził niezłego stracha. Sherwood wziął nogi za pas i pognął w stronę wyjścia z gmachu sądu.

Frannie była wściekła.

–Sherwood miał rację! – powiedziała do Willa. – Nie jesteś naszym przyjacielem. Przyszliśmy tutaj, bo baliśmy się, że mogło ci się stać coś złego...

–Roso... – Will usłyszał szept Jacoba -...ten drugi chłopiec... – Kątem oka dostrzegł, jak pani McGee rozplywa się w ciemnościach, ruszając w pościg za Sherwoodem.

Willowi zakręciło się w głowie. Frannie krzyczała, Sherwood szlochał, Jacob szeptał, a co gorsza ogień przygasał i wraz z nim zanikało światło...

To jest teraz najważniejsze, stwierdził i odwróciwszy się plecami do Frannie, wyciągnął rękę, by wrzucić ćmę do ognia. Jacob jednak zdołał go uprzedzić. Włożył w dogasające płomienie całą rękę, która na tę chwilę zmieniła się w klatkę dla uwięzionych w niej owadów. W klatce znajdowała się nie jedna, lecz kilka ciem, które natychmiast zajęły się ogniem; trzepocząc szaleńczo w panice gorejącymi skrzydłami, przenosiły płomień z jednej na drugą. Spomiędzy palców Jacoba płynął niezwykle blask, a Will uznał, że to, co teraz widzi, nie jest w żadnej mierze naturalne... to była magia w swej najczystszej formie. Blask spowił twarz Jacoba i przydał mu nowych osobliwych cech.

Nie chodziło o piękno. Jacob nie wyglądał jak gwiazda filmowa albo model z okładki

kolorowego pisma. Nie było mowy o pięknych zębach, dołeczkach w brodzie i policzkach, czy o gładkiej cerze. Jacob zdawał się płonąć jaśniej niż ćmy, zupełnie jakby zapragnął stać się ogniem samym w sobie i dokonał tego cudu. Przez krótką chwilę (bo tyle to trwało) Will ujrzał samego siebie, idącego u boku Jacoba ulicą jakiegoś miasta, a ze wszystkich porów ciała Jacoba bił jasny, oślepiający blask; ludzie, których spotykali, płakali z wdzięczności, że Steep zechciał przybyć do nich i rozproszyć otaczający ich mrok swą światłością. A potem, nagle cała ta sytuacja go przerosła. Tego wszystkiego było dla niego zbyt wiele. Nogi ugięły się pod nim i runął ciężko na ziemię, jakby dosięgnął go cios niewidzialnej pięści.

DWANAŚCIE

Sherwood zamierzał wycofać się do westybulu, z dala od sali sądowej i panującego tam swądu, od którego skręcało go w żołądku. Jednak w ciemnościach zmylił drogę i zamiast dotrzeć do wyjścia, znalazł się w labiryncie korytarzy wielkiego gmachu. Chciał zawrócić, ale za bardzo się bał, by myśleć racjonalnie. Mógł jedynie brnąć na oślep przed siebie, łzy płynęły mu z oczu, w miarę jak w korytarzu robiło się coraz ciemniej.

I nagle błysk światła. To nie mogło być światło gwiazd, było zbyt ciepłe, ale i tak skierował się w jego stronę i trafił do niewielkiej komnaty, w której ktoś pracował. Stały tam fotele; nieduże biurko, a na nim lampka, rzucająca blask na kilka różnych przedmiotów. Ocierając łzy, Sherwood podszedł, by się im przyjrzeć. Zobaczył około tuzina kałamarzy z atramentem, parę piór i pędzli, a między nimi otwartą księgę, wielkości podręcznika szkolnego, ale znacznie grubszą. Grzbiet był poplamiony i popękany, jakby z księgi korzystano od lat. Sherwood wyciągnął rękę, nim jednak zdążył to zrobić, ktoś o miękkim głosie spytał:

–Jak ci na imię?

Uniósł wzrok i w drzwiach po drugiej stronie pomieszczenia dostrzegł kobietę z sali sądowej. Sherwood na jej widok poczuł lekki dreszcz rozkoszy. Bluzkę miała u góry rozpiętą, jej skóra lśniła delikatnie.

–Ja mam na imię Rosa – przedstawiła się.

–A ja Sherwood.

–Jesteś dużym chłopcem. Ile masz lat?

–Prawie jedenaście.

–Podejdiesz tu, bym mogła ci się przyjrzeć?

Sherwood wahał się. Było coś niedwuznacznie podniecającego w sposobie, w jaki na niego patrzyła i uśmiechała się; może gdyby podszedł bliżej mógłby zobaczyć wyraźniej co miała pod bluzką. Pokusa była spora. Naturalnie, sporo się dowiedział od kolegów o „tych rzeczach”, widział również zdjęcia w mocno sfatygowanych pismach, które oglądano potajemnie. Niestety, koledzy w szkole nie dopuszczali go do najciekawszych rozmów, i to go trochę martwiło. Co by powiedzieli, zastanowił się w duchu, gdyby im wyznał, że miał okazję na własne oczy widzieć prawdziwe nagie piersi?

–Ojej, ależ ty się gapisz – rzekła Rosa.

Sherwood zarumienił się.

–Właściwie to nic wielkiego – przyznała. – Chłopcy powinni móc zobaczyć możliwie jak

najlepiej to, na co patrzą. O ile tylko potrafią to docenić.

To rzekłszy, rozpięła kolejnych kilka guzików. Sherwood próbował przełknąć ślinę, ale nie był w stanie. Teraz już wyraźnie widział wzniesienie jej piersi. Gdyby podszedł bliżej, zobaczyłby także sutki, a sądząc po wyrazie twarzy, ta kobieta nie miałaby nic przeciwko temu.

Podszedł do niej.

–Zastanawiam się na co cię stać – powiedziała. – Gdybym dała ci wolną rękę.

Nie całkiem rozumiał o co jej chodziło, ale zaczynał się domyślać.

–Polizalbyś moje piersi? – spytała.

Poczuł tępe pulsowanie w skroniach i ucisk w kroczu, tak silny, że bał się, że się zmoczy. A na wypadek gdyby jej słowa nie były dostatecznie podniecające, kobieta rozchyliła bluzkę szerzej, odsłaniając sutki, duże i różowe, po czym zaczęła je leciutko pocierać i przez cały czas uśmiechała się do niego.

–Pokaż mi swój język – poprosiła.

Zrobił to.

–Będziesz musiał trochę się wysilić – stwierdziła. – Twój język jest mały, a moje piersi duże, zgadza się?

Skinął głową. Znajdował się o trzy kroki od niej i poczuł zapach jej ciała. Był silny, nigdy dotąd nie czuł niczego podobnego, ale nawet gdyby cuchnęła łajnem, nic nie byłoby go teraz w stanie powstrzymać. Wyciągnął ręce i dotknął palcami jej piersi.

Westchnęła. A potem przyłożył usta do sutków i zaczął je lizać.

–Will...

–Nic mu nie jest – zapewnił mężczyzna w zakurczonym, czarnym płaszczu. – To efekt nadmiernego podniecenia. Czemu go nie zostawisz i nie uciekniesz do domu?

–Nie odejdę stąd bez Willa – rzekła z udawaną pewnością siebie Frannie.

–On nie potrzebuje twojej pomocy – odparł złowieszczym tonem mężczyzna. – Jest naprawdę szczęśliwy. – Spojrzał na Willa. – Po prostu trochę go to wszystko przytłoczyło.

Nie odrywając wzroku od mężczyzny, Frannie przykucnęła obok Willa i wyciągnawszy rękę, brutalnie nim potrząsnęła. Chłopiec jęknął, a dziewczynka zerknęła na niego ukradkiem.

–Wstawaj – rzuciła. Wyglądał na mocno zamroczonego. – Wstawaj! – powtórzyła.

Tymczasem mężczyzna w czerni wrócił na swoje miejsce i wytrząsnął na stół to co ścisnął w dłoni. Na blat spłynął deszcz jasnych, płonących szczątków. Will, mimo że nie zdołał jeszcze wstać, odwrócił się w jego stronę.

–Wróć tutaj – rzekł do Willa mężczyzna.

–Nie... – przerwała Frannie.

Ogień na stole przygasał, pomieszczenie pogrążało się w ciemnościach. Frannie poczuła lęk, przerażenie, jakie ogarniało ją wyłącznie w snach.

–Sherwood! – krzyknęła.

–Nie słuchaj – szepnęła kobieta, przyciskając Sherwooda do piersi.

–Sherwood!

Nie mógł zignorować wołania siostry, zwłaszcza że w jej głosie brzmiała nuta paniki. Odsunął się od gorącej skóry Rosy, pot ściekał mu po twarzy.

–To Frannie – powiedział, odstepując o krok od kobiety i uwalniając się z jej uścisku.

Zauważył, że dziwnie wyglądała, miała rozchylone usta, przyspieszony oddech, a jej powieki drżały. To go zaniepokoiło.

–Muszę iść... – zaczął, ale ona zacisnęła palce na połach bluzki, jakby chciała rozchylić ją jeszcze bardziej i pokazać mu coś więcej.

–Wiem co chciałbyś zobaczyć – powiedziała.

Zaczął się cofać, sięgając jedną ręką za siebie, jakby w obawie, że wpadnie na ścianę.

–Chcesz zobaczyć co mam pod spodem – stwierdziła, podciągając spódnicę.

–Nie – wychrypiał.

Uśmiechała się do niego i w dalszym ciągu zadzierała spódnicę. Ogarnięty paniką i niezliczonymi, częstokroć sprzecznymi emocjami, zaczął się wycofywać, w pewnej chwili potknął się i wpadł na biurko. Mebel przewrócił się. Książki, pióra, kałamarze, a co najgorsze lampa, posypały się na podłogę. Przez chwilę obawiał się, czy ogień nie zgaśnie, lecz płomień buchnęły ze zdwojoną mocą, pożerając rozsypane wokół biurka przedmioty.

Pani McGee puściła spódnicę.

–Jacobie! – krzyknęła. – Boże drogi, Jacobie!

Sherwood miał więcej niż ona powodów do paniki – był otoczony łatwopalnymi materiałami. Nawet teraz, oszołomiony wiedział, że musi jak najszybciej się stąd wydostać, w przeciwnym razie jego także pochłonie ogień. Najłatwiej byłoby mu opuścić pomieszczenie tą samą drogą, którą tu przybył, czyli przez drzwi wejściowe.

–Jacobie! Przyjdź tu zaraz, dobrze? – zawołała Rosa i spojrzawszy w stronę Sherwooda, opuściła pokój, by odnaleźć swego towarzysza.

Pożar przybierał na sile, dym i żar wypełniły pomieszczenie, zmuszając Sherwooda do odwrotu. Zanim jednak rzucił się w stronę wyjścia, drżący po wydarzeniach ostatnich minut, dostrzegł książkę leżącą na podłodze. Nie miał pojęcia, co zawierała, ale potrzebował dowodów. Gdyby któryś z kolegów w szkole podał w wątpliwość jego słowa, pokaże mu tę książkę i powie: „Byłem tam. Robiłem to wszystko o czym wam opowiedziałem, a nawet więcej”.

Nie zważając na ogień, schylił się i podniósł książkę z ziemi. Była odrobinę okopcona, nic więcej. W chwilę potem Sherwood ruszył przez labirynt korytarzy, w stronę, skąd dobiegał głos jego siostry.

–Sherwood!

Frannie i Will stali przy drzwiach sali sądowej.

–Nie chcę stąd odchodzić – warknął Will, usiłując wyrwać się z uścisku Frannie.

Nie puściła go jednak. Trzymała go za rękę tak mocno, że pomyślał, iż na pewno zrobią mu się sińce, i przez cały czas nawoływała brata po imieniu.

Tymczasem Jacob wstał od stołu, zaniepokojony odgłosami pożogi a niebawem także widokiem rozchełstanej, przerażonej pani McGee ponaglającej go, by szedł za nią, już, teraz, zaraz, natychmiast. Poszedł za nią, rzucając przez ramię jedno, jedyne spojrzenie na Willa i skinął lekko głową, jakby chciał powiedzieć: „Idź z nią. To nie jest odpowiednia pora”. Chwilę później już go nie było. Odszedł wraz z Rosą, by ugasić pożar.

Will, gdy tylko stracił go z oczu, poczuł, że sływa nań niezwykle spokojny. Nie próbował się już wyrwać, nie walczył z Frannie. Mógł pójść za nią, wyjść na zewnątrz, świadom, że nadejdzie taki dzień, ta właściwa pora, kiedy on i Jacob znów się spotkają.

–Nic mi nie jest – odezwał się do Frannie. – Nie potrzebuję niczyjej pomocy.

–Muszę znaleźć Sherwooda – powiedziała dziewczynka.

–Tu jestem! – dobiegło z wypełnionej dymem ciemności.

Po chwili ujrzeli go, twarz miał lśniąca od potu i potwornie umorusaną. Obyło się bez zbędnych słów. Pobiegli wzdłuż korytarza w stronę frontowych drzwi, wypadli na zewnątrz, minęli kolumny i zbiegli po schodach na chłodną trawę. Dopiero gdy przegramolili się przez szczelinę w żywopłocie i znaleźli na świecie poza nim, przystanęli, by zaczerpnąć tchu.

–Nie mówcie nikomu, co tam widzieliśmy, dobrze? – wysapał Will.

–A to czemu? – dopytywała się Frannie.

–Bo wszystko byście zepsuli – odparł Will.

–Oni są źli, Will...

–Nic o nich nie wiesz.

–Ty również.

–Nieprawda. Ja ich znam. Widziałem ich już wcześniej. Chcą, bym z nimi odszedł.

–Naprawdę? – wtrącił piskliwym tonem Sherwood.

–Zamknij się, Sherwood – ucięła Frannie. – Nie będziemy więcej o tym rozmawiać. To głupie. Oni są źli. Ja to wiem i już. – Odwróciła się do brata. – Will może robić co zechce – stwierdziła. – Nie mogę go powstrzymać. Ale ty, Sherwood, nigdy więcej tu nie przyjdiesz. Ja zresztą też nie.

To rzekłszy, podeszła do swego roweru, wskoczyła na siodełko i ponagliła Sherwooda, by zrobił to samo. Chłopiec pokornie wypełnił polecenie.

–A więc nikomu o tym nie powiesz? – spytał błagalnie Will.

–Jeszcze nie wiem – odparła Frannie. – Muszę się zastanowić – dodała z przekąsem.

W chwilę później ona i Sherwood odjechali, pedałując zawzięcie.

–Jeżeli komuś powiesz, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę! – zawołał w ślad za nią Will.

Dopiero gdy zniknęli mu z oczu, zdał sobie sprawę, że były to czcze pogrożki, bo przecież płynęły z ust chłopca, który stwierdził otwarcie, że któregoś dnia odejdzie stąd na zawsze.

CZEŚĆ
TRZECIA,
W KTÓREJ
GUBI SIĘ I ZOSTAJE
ODNALEZIONY
JEDEN

1

–Czy on śni? – zapytała pewnego wiosennego dnia Adrianna, zwracając się do doktora Koppelmana, gdy podczas swej wizyty u Willa w szpitalu natknęła się na robiącego obchód lekarza.

Od wydarzeń w Balthazar upłynęły prawie cztery miesiące, a okrutnie pokiereszowane, zmasakrowane ciało Willa w niemal cudowny sposób zaczęło się goić. Mężczyzna wciąż jednak pozostawał w stanie głębokiej śpiączki. Nawet najłżejsze poruszenie nie zakłócało jego przypominającego paraliż stanu. Pielęgniarki odwracały go regularnie, aby nie nabawił się odleżyn, o jego fizyczne potrzeby dbały kroplówki i katetery. On wszakże wciąż się nie budził. Adrianna, odwiedzając go w tę posępną winnipegską zimę, patrząc na jego spokojne oblicze, wielokrotnie zastanawiała się: Co teraz robisz? Stąd jej pytanie. Zazwyczaj miała alergię na lekarzy, lecz doktor Koppelman, który nalegał, by nazywać go Bernie stanowił wyjątek od reguły. Był mężczyzną po pięćdziesiątce, ze sporą nadwagą, a sądząc po plamach od nikotyny na palcach (i oddechu przesyconym wonią miętówek), kopcił jak lokomotywa. Poza tym był szczery i przyznawał się do swej niewiedzy, co spodobało się Adriannie, mimo że oznaczało, że nie potrafi udzielić odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

–Błądzimy w ciemnościach, podobnie jak sam Will – ciągnął. – Być może znajduje się on w stanie całkowitego wygaszenia świadomości. Z drugiej jednak strony istnieje możliwość, że znalazł dostęp do wspomnień na tak głębokim poziomie, że nie potrafimy wykryć u niego aktywności mózgu. Po prostu nie wiem.

–Ale on może z tego wyjść – rzekła Adrianna, popatrując na Willa.

–Oczywiście – zapewnił Koppelman. – Właściwie to w każdej chwili. Z tym tylko że niczego nie mogę pani zagwarantować. W jego głowie zachodzą obecnie procesy, których, szczerze mówiąc, nie rozumiemy.

–Czy uważa pan, że moja obecność tutaj może cokolwiek zmienić?

–Czy on i pani byliście sobie bliscy?

–Pyta pan, czy byliśmy kochankami? Nie. Pracowaliśmy razem.

Koppelman zaczął skubać paznokieć.

–Spotkałem się z przypadkami, w których obecność pewnych osób znanych pacjentowi pomogła w jego powrocie do zdrowia. Jednakże...

–Nie uważa pan, żeby w tym przypadku to pomogło.

Koppelman wyglądał na zatroskanego.

–Chce pani znać moje zdanie? – spytał, zniżając głos. – Szczerze?

–Tak.

–Ludzie muszą żyć dalej. Korzystać z życia. Zrobiła pani więcej niż wiele innych osób, przychodząc tu dzień w dzień. Nie mieszka pani w tym mieście, prawda?

–Mieszkam w San Francisco.

–Otóż to. Mówiono już o przeniesieniu tam Willa, nieprawdaż?

–W San Francisco umiera wielu ludzi.

Koppelman miał ponurą minę.

–Co mogę pani powiedzieć? – mruknął. – Możliwe, że będzie tu pani przesiadywać jeszcze przez sześć miesięcy, rok, a on wciąż będzie pogrążony w śpiączce. To strata czasu. Marnowanie pani życia. Wiem, że pragnie pani dla niego tego co najlepsze, ale... rozumie pani, co chcę powiedzieć?

–Oczywiście.

–Wiem, że to, co mówię, jest dla pani bolesne.

–To ma sens – przyznała. – Tyle tylko że nie wyobrażam sobie, bym mogła go tutaj zostawić samego.

–On i tak nie ma o niczym pojęcia.

–Czemu więc mówi pan szeptem?

Zbity z tropu, Koppelman uśmiechnął się krzywo.

–Chcę tylko powiedzieć, że gdziekolwiek on się teraz znajduje, może nie dbać o nasz świat, ten w którym żyjemy. – Spojrzał w stronę łóżka. – I wie pani co? Może jest szczęśliwy?

Może jest szczęśliwy. Te słowa nie dawały Adriannie spokoju. Przypomniały jej, jak często rozmawiała z Willem – gorąco, z pasją na temat szczęścia, i jak bardzo brakowało jej tych rozmów.

Często powtarzał, że szczęście nie jest mu pisane. Raczej zadowolenie, a ono niejednokrotnie przypomina sen. Lubił dyskomfort, wręcz go poszukiwał (jakże często musiała tkwić w jakiejś paskudnej, cuchnącej kryjówce, dygocząc z zimna lub ociekając potem z gorąca, a gdy na niego spojrziała, dostrzegała, że uśmiechał się od ucha do ucha? Fizyczne niedogodności przypominały mu, że żyje, a życie, o czym wielokrotnie jej powtarzał, było jego obsesją).

Nie wszyscy odnajdywali dowody tej afirmacji w działaniach Willa. Recenzje jego albumów i wystaw zawierały zarówno gorące pochwały, jak i ostrą krytykę. Reakcje bywały skrajne. Kilku krytyków kwestionowało talent Willa. Czemu, skarżyli się, mając temperament wizję i środki, aby stać się wielkim fotografem, musi tworzyć tak posępne, ponure dzieła. Dlaczego prezentuje obrazy przywodzące na myśl rozpacz i śmierć, skoro w świecie przyrody jest tak wiele prawdziwego piękna.

„Mimo że możemy podziwiać spójność wizji Willa Rabjohnsa” – pisał krytyk z Time'a o „Podsycając Ogień” – „jego sposób ukazania ludzkości dewastującej i niszczącej bezpowrotnie królestwo przyrody staje się coraz bardziej natarczywy i bezkompromisowy, grając na wrażliwości tych, którzy odnajdą w sobie odrobinę współczucia lub chęć do działania. W obliczu jego dzieł widz porzuca wszelką nadzieję. Z sercem przepelnionym rozpaczą obserwujemy zagładę gatunków. Cóż, panie Rabjohns, osiągnął pan swój cel i pogрузzył nas w bezdennej rozpacz. Co dalej?”.

To samo pytanie zadawała sobie Adrianna, kiedy doktor Koppelman udał się na dalszy obchód. Co dalej? Płakała, klęła, jako wychowana w duchu religii katolickiej odmówiła nawet kilka modlitw, nic jednak nie pomogło i Will w dalszym ciągu nie otwierał oczu. A tymczasem jej życie miało bezpowrotnie. Chodziło o coś więcej. Znalazła tu dla siebie, w Winnipeg, kochanka (kierowcę karetki), niejakiego Neila; to nie był jej ideał faceta, ale bez wątpienia czuł do niej miętę. Była mu winna odpowiedź na pytanie, które zadawał jej co noc: Dlaczego nie mogą zamieszkać razem, choćby na kilka miesięcy, aby przekonać się czy im się uda?

Usiadła na łóżku obok Willa, ujęła jego dłoń w swoje i wyznała mu wszystko. Powiedziała mu to co leży jej na sercu.

–Wiem, że jeśli zostanę tu na dłużej, wciągnę się na dobre w ten kretyński związek z Neilem, a on jest raczej w twoim typie niż w moim. To prawdziwy misiek. Nie ma owłosionych pleców – dodała pospiesznie – wiem, że lubisz owłosione plecy, ale jest duży, na swój sposób seksowny, a mimo to nie mogę z nim być. Po prostu nie mogę, Will. I nie mogę tu zamieszkać. Zrozum, jestem tu dla niego i dla ciebie, a ty w ogóle nie zwracasz na mnie uwagi, nie dostrzegasz mnie, on z kolei za bardzo zaczyna się angażować, to mnie przeraża. Nie tak powinno być. Życie to

nie próba w teatrze, nieprawdaż? Czy nie tak brzmi jedna z mądrości Corneliusa? Nawiasem mówiąc, on wrócił już do Baltimore. Nie odzywa się i pewnie tak jest lepiej, bo zawsze cholernie mnie wkurzał. Tak czy owak, stwierdził kiedyś, że życie to nie próba w teatrze, i w tym przypadku miał rację. Jeśli tu zostanę, zamieszkam z Neilem, zżyję się z nim, a wtedy nadejdzie dzień, w którym otworzysz oczy – bo ten dzień kiedyś w końcu nadejdzie – i stwierdzisz, że jedziesz na Antarktydę.

A Neil powie mi na to: „Nie, Adrianno. Nie jedziesz”. Wtedy ja mu powiem: „Nic z tego. Jadę”. I wszystko skończy się łzami, ale to nie ja będę je ronić. Nie mogę mu tego zrobić, zasługuje na coś lepszego.

Zastanawiam się... do czego zmierzam? Otóż, zamierzam zabrać Neila na piwo, i na tym spotkaniu powiem mu, że nic z tego, że to się nam nie uda, że wracam do San Francisco, bo muszę się jakoś pozbierać, wziąć się w garść, ponieważ dzięki tobie, mój mały, jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak bardzo rozbita i zagubiona.

Zniżyła głos do szeptu.

–Wiesz dlaczego. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, a gdybyś miał teraz otwarte oczy, nie powiedziałabym ci tego, bo i po co? A jednak powiem to: Kocham cię, Will. Bardzo cię kocham i zwykle nie było w tym nic złego, bo przecież razem pracujemy i w gruncie rzeczy mam wrażenie, że i ty troszkę mnie kochasz, rzecz jasna na swój sposób. No dobra, nie tak bym to sobie wyobrażała, ale nie mam wyboru, więc biorę to co jest mi dane. I to wszystko na co ty możesz liczyć. Nie spodziewaj się niczego więcej! A jeśli to słyszysz, wiedz, mój drogi przyjacielu, że gdy się obudzisz, zaprzeczę każdemu wypowiedzianemu przed chwilą słowu. Wyprę się tego. Jasne?

Wstała, czując, że do oczu napływają jej łzy.

–Niech cię diabli, Will – wycedziła. – Jedyne, co musisz zrobić, to otworzyć oczy. To nic trudnego. Tyle mógłbyś zobaczyć, Will. Jest zimno jak cholera, ale wszystko spowija czyste białe światło. To powinno ci się spodobać. Więc zrób to. Otwórz oczy. Czekala i patrzyła, jakby wierzyła, że jest w stanie siłą woli zmusić go do przebudzenia się ze śpiączki. Nie dostrzegła jednak nawet najlżejszego poruszenia, jeżeli nie liczyć mechanicznego unoszenia się i opadania klatki piersiowej.

–W porządku. Zrozumiałam aluzję. Pójdę już. I wyjadę stąd. Ale zanim wyjadę, jeszcze cię odwiedzę. – Nachyliła się i delikatnie pocałowała go w czoło. – Powiadam ci, Will, gdziekolwiek jesteś, tam z pewnością nie jest tak miło i wspaniale jak tutaj. Wróć i zobacz mnie, raz jeszcze, zobacz świat, dobrze? Tęsknimy za tobą. Brakuje nam ciebie.

DWA

Rankiem po wydarzeniach w Sądzie Will obudził się w fatalnym stanie, obolały od stóp do głów. Spróbował zwlec się z łóżka, ale po nocnej eskapadzie nogi odmówiły mu posłuszeństwa i runął z krzykiem (bardziej zaskoczenia niż bólu), a kiedy matka wpadła do pokoju, zastała go rozciągniętego na podłodze i szczękającego zębami. U Willa stwierdzono gripę i położono go do łóżka, gdzie został nakarmiony aspiryną i jajecznicą.

Nocą rozpadało się i deszcz siekł o szyby prawie cały dzień. Will chciał znów znaleźć się w jego strugach. Był tak rozpalony, że, jak sądził, gorączka odparowałaby każdą kroplę deszczu, która dotknęłaby jego ciała. Wróciłby do gmachu Sądu, jak jedno z tych biblijnych dzieci, które wtrącono do pieca, by tam spłonęło, a które wyszło stamtąd żywe; buchając parą, przemaszerowałyby po błotnistej ścieżce do miejsca gdzie zaszyli się tajemniczy Jacob i Rosa. Nago, tak, poszedłby tam nago, przecisnąłby się przez szczelinę w żywopłocie, nie bacząc na zadrapania, aż dotarłby do gmachu, w którym Jacob przekazałby mu swą wiedzę, Rosa zaś z lubością chwaliłaby jego niepospolite walory. Wszedłby do gmachu Sądu, do samego serca ich sekretnego świata, gdzie wszystko było miłością i ogniem, ogniem i miłością.

I dokonałby tego, gdyby tylko zdołał wstać z łóżka. Jego ciało okazało się jednak zawodne. Oszukało go. Mógł jedynie doczłapać do toalety, a nawet wówczas musiał się przytrzymywać jedną ręką umywalki, a drugą trzymać penis, który teraz wyglądał na mocno skurczony i pomarszczony, jakby sam siebie się wstydził; w przeciwnym razie Will niechybnie by upadł, tak bardzo kręciło mu się w głowie. Tuż po lunchu odwiedziła go lekarka. Była to mówiąca bardzo cicho kobieta o krótkich, siwych włosach – choć wcale nie wyglądała staro – i łagodnym uśmiechu. Powiedziała mu, że wydobrzeje, o ile tylko pozostanie w łóżku i będzie przyjmował przepisane mu lekarstwa, po czym zapewniła jego matkę, że nim minie tydzień, chłopiec będzie zdrów jak rydz.

Tydzień? – pomyślał Will. Nie mógł czekać tak długo na ponowne spotkanie z Jacobem i Rosą. Gdy tylko lekarka i matka wyszły, wstał i chwiejnie podszedł do okna. Padał teraz śnieg z deszczem, wierzchołki odległych wzgórz pobielały. Will patrzył, jak jego oddech zasnuwa zimną szybę i postanowił, że odzyska siły, był w stanie nakłonić się do tego mentalnie.

Zaczął od razu: Będę silny. Będę silny. Będę...

Przerwał w pół słowa, usłyszawszy głos taty, dobiegający z sieni poniżej, a potem jego kroki na schodach. Już miał wrócić do łóżka, kiedy drzwi otwarły się i ojciec wpadł do pokoju, z obliczem bardziej chmurnym niż niebo za oknem.

–W porządku – rzucił bez słowa przywitania. – Myślę, mój chłopcze, że jesteś mi winien pewne wyjaśnienie, i ostrzegam cię, nie próbuj kłamać. Domagam się prawdy.

Will milczał.

–Wiesz, dlaczego wróciłem wcześniej do domu? – spytał ojciec. – Czy wiesz?

–Nie.

–Był u mnie pan Cunningham. Ten cholerny szajbus odwiedził mnie w środku dnia. Odnalazł mnie, tak właśnie stwierdził – ODNALAZŁ MNIE, ponieważ jego syn jest w strasznym stanie. Ten chłopiec wciąż płacze, ryczy jak bóbr z powodu czegoś, co spotkało go z twojej winy.

Hugo podszedł do łóżka Willa.

–A teraz chcę się dowiedzieć, jakie głupie historie wcisnąłeś temu gnojkwowi do głowy, i nie zaprzeczaj, młody człowieku, nie rozmawiasz teraz ze swoją matką. Żądam odpowiedzi i chcę poznać prawdę, słyszysz?

–Sherwood... ma nie całkiem po kolei – odparł Will.

–Co to ma znaczyć, u licha? – warknął Hugo, a na jego ustach pojawiła się ślina.

–Nie do końca zdaje sobie sprawę z tego co mówi.

–Nie obchodzi mnie co jest nie tak z tym gówniarzem. Po prostu nie życzę sobie, aby jego ojciec odwiedzał mnie i oskarżał, że mój syn jest skończonym durniem! Skądinąd, być może ma rację. Czyżbyś postradał rozum, chłopcze?

Will poczuł, że do oczu napływają mu łzy.

–Sherwood to mój przyjaciel – wykrztusił.

–Ale sam powiedziałeś, że ma nie całkiem po kolei w głowie.

–To prawda.

–Wobec tego, w jakim świetle stawia to ciebie? Skoro się z nim zadajesz, to kim musisz być? Nie masz za grosz rozsądku? Coś ci się poprzestawiało pod kopułą? Co ty kombinowałeś?

–Łazikowaliśmy trochę, tu i tam, a on... wystraszył się... to wszystko.

–Dziwnie pojmujesz zabawę, ładując biednemu dzieciakowi do głowy jakieś kretyńskie androny. – Hugo pokręcił głową. – Skąd to wszystko się u ciebie bierze? – mruknął, ale w duchu uznał tę rozmowę za zakończoną.

Najwyraźniej wcale nie chciał poznać odpowiedzi, choć Will chętnie udzieliłby mu przynajmniej jednej: „Nie wiesz tego co ja, nie widzisz tego co ja, nie potrafisz tego pojąć...”.

Naturalnie, nie powiedział tego głośno. Spuścił wzrok i pozwolił, by spłynęła nań cała wylewana przez ojca pogarda.

Nieco później matka przyniosła mu lekarstwa do zażycia.

–Słyszałam, że ojciec rozmawiał z tobą – powiedziała. – Wiesz, że czasem bywa oschlejszy niż powinien.

–Wiem.

–Mówi rzeczy, których wcale nie chciałby powiedzieć.

–Wiem co mówi i co pragnie w ten sposób wyrazić – odparł Will. – Wolałby, żebym to ja zginął, a nie Nathaniel. Podobnie jak ty.

Wzruszył ramionami, tak łatwo przyszło mu wypowiedzieć te słowa, wyrzucić z siebie cały ból, świadomość tego, że był dla nich ciężarem. Zrzuciwszy z siebie to brzemię, odczuł wyraźną ulgę. I radość.

–To nic wielkiego – mruknął. – Przykro mi, że nie dorównuję Nathanielowi, ale nic na to nie poradzę.

Mówiąc, cały czas spoglądał na matkę, ale zamiast niej widział Jacoba, podającego mu ćmę do spalenia, Jacoba uśmiechającego się do niego.

–Przestań – rzekła matka. – Nie zamierzam tego słuchać. Bądź grzeczny. Weź lekarstwo. – Nagle stała się dziwnie obca i beznamietna, jakby nie poznawała chłopca leżącego w łóżku, tuż obok niej. – Jesteś głodny?

–Tak.

–Każę Adele odgrzać dla ciebie zupę. Tylko nie wstawaj z łóżka. Leż i wygrzewaj się. I weź lekarstwo.

Zanim wyszła z pokoju, rzuciła synowi niemal tak trwożliwe spojrzenie, jak pani Hartley w szkole. W chwilę potem już jej nie było. Will połknął pigułki. Wciąż był obolały i kręciło mu się w głowie, ale podjął już decyzję – nie zamierzał czekać tak długo, kiedy tylko odzyska siły, wstanie z łóżka i opuści to miejsce. Wypije bulion (potrzebował czegoś, co go wzmocni przed czekającą go wyprawą), a potem ubierze się i wróci do gmachu Sądu. Opracowawszy plan, ponownie wstał z łóżka, by sprawdzić, czy nogi są go w stanie utrzymać. Tym razem go nie zawiodły. Mimo to wciąż jeszcze miał miękkie kolana. Ale, jak tylko trochę okrzepnie i nabierze sił, poniosą go tam gdzie pragnął dotrzeć.

TRZY

Choć Frannie nie była chora, następnego dnia po nocnej wizycie w gmachu Sądu cierpiała nie mniej niż Will. Zdołała cichcem wślizgnąć się wraz z Sherwoodem do domu i doprowadzić się do porządku, zanim zdybali ich rodzice. Już myślała, że wszystko dobrze się skończy, gdy wtem Sherwood niespodziewanie zaczął płakać. Na szczęście nie potrafił powiedzieć wprost, co go do tego skłoniło, i choć matka i ojciec wzięli ją w krzyżowy ogień pytań, odpowiedzi, jakich udzielała, były niejasne i mgliste. Nie lubiła kłamać, przede wszystkim dlatego że nie potrafiła przekonująco łąć, ale wiedziała, że Will nigdy by jej nie wybaczył, gdyby nawet przypadkiem zdradziła, co wydarzyło się tamtej nocy. Jej ojciec stał się zimny i oschły, gdy minął mu pierwszy gniew, matka natomiast nie dała się łatwo zbyć. Wypytywała ją, powodowana mrocznymi podejrzeniami, dopóki nie uzyskała w miarę przekonujących odpowiedzi.

Tak oto Frannie była zmuszona przez półtorej godziny tłumaczyć stan Sherwooda. Stwierdziła, że poszli, by pobawić się z Willem, ale zgubili się w ciemnościach i nielecho się wystraszyli. Matka najwyraźniej wątpiła w każde jej słowo, jednak zarówno ona, jak i jej córka były równie nieugięte. Im częściej pani Cunningham powtarzała swoje pytania, tym bardziej zdecydowane wydawały się odpowiedzi Frannie. Wreszcie jej matka przestała ukrywać złość.

–Nie życzę sobie, abyś spotykała się z chłopakiem Rabjohnsów – powiedziała. – Uważam, że to nicpoń. Nie pasuje do tego miejsca i ma na ciebie zły wpływ. Szczerze mówiąc, dziwię ci się Frances. I jestem tobą rozczarowana. Zwykle jesteś o wiele bardziej odpowiedzialna. Wiesz, że twój brat bywa nieznośny, ale powinnaś o niego dbać. Nie jest taki jak ty. Jest o wiele bardziej delikatny. A spójrz, w jakim teraz znajduje się stanie. To okropne. Nigdy go takim nie widziałam. Wciąż płacze. Ani na chwilę nie przestaje. To twoja wina.

Tego wieczoru na tym ich rozmowa się zakończyła. Jednak tuż przed świtem Frannie obudziła się, by usłyszeć, jak jej brat znów zaczyna żałośnie pochlipywać, a wówczas matka weszła do jego pokoju, rozległy się cicho szeptane słowa, płacz ucichł na chwilę, ale zaraz rozległ się na nowo, próba ukojenia cierpień chłopca zakończyła się niepowodzeniem. Frannie leżała w ciemnościach swego pokoju, powstrzymując łzy. Przegrała jednak tę bitwę. Łzy popłynęły jej z oczu, poczuła słony smak w nosie, palący żar pod powiekami i gorące strużki na policzkach. Oplakiwała Sherwooda, któremu, jak zdawała sobie sprawę, najtrudniej było poradzić sobie z bliżej nieznanymi koszmarami, jakie spotkały go w gmachu Sądu. Oplakiwała również siebie, swoje kłamstwa, oddalające ją od matki, która tak bardzo ją kochała. Oplakiwała także, choć w inny sposób, Willa którego początkowo uważała za swego przyjaciela, bliską osobę, tak ważną w tej zapadłej dziurze, i którego jednak, jak wszystko na to wskazywało, właśnie utraciła.

Wreszcie nieuniknione. Usłyszała skrzyp otwieranych drzwi i głos matki.

–Frannie? Śpisz?

Nie próbowała udawać, lecz usiadła na łóżku.

–Co się stało?

–Sherwood powiedział mi właśnie coś bardzo dziwnego.

Opowiedział matce wszystko o wyprawie do Sądu w pogoni za Willem, o mężczyźnie w czerni i kobiecie w woalach. I całą resztę także. Wspomnił też o nagiej kobiecie i pożarze. Czy to wszystko było prawdą? – dopytywała się matka Frannie. A jeżeli tak, czemu Frannie jej o tym nie opowiedziała?

Pomimo prośby Willa nie miała wyboru, musiała wyznać prawdę. Tak, w gmachu Sądu były jeszcze dwie osoby, o których wspomnił Sherwood. Nie, nie wiedziała, kim byli ci ludzie, nie widziała, żeby kobieta się rozbierała, ani nie miała pewności, czy dołączyłyby ich jeszcze kiedyś rozpoznać (to nie było do końca zgodne z prawdą, ale nie było także kłamstwem). Było ciemno, przyznała, a ona bardzo się bała, nie tylko o siebie, o całą ich trójkę.

–Grozili ci? – zapytała matka.

–Niezupełnie.

–Ale powiedziałaś, że się bałaś.

–Bo to prawda. Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś takiego.

–Jacy oni byli?

Zabrakło jej słów; ponownie stało się to, gdy przyszedł ojciec i zapytał o to samo.

–Ile razy ci mówiłem, żebyś nie zbliżała się do nieznajomych?

–Pojechałam za Willem. Bałam się, że coś mu się stanie.

–Nawet gdyby tak się stało, to byłaby jego sprawa, a nie twoja. On nie zrobiłby dla ciebie tego samego. Jestem o tym święcie przekonany.

–Nie znasz go. On...

–Nie odszczekuj się – uciął ojciec. – Jutro rozmówię się z jego rodzicami. Niech się dowiedzą jakiego mają synalka kretyna.

To rzekłszy, odszedł, zostawiając ją sam na sam z myślami.

A jednak wydarzenia tej nocy wcale nie dobiegły końca. Kiedy w domu wreszcie zapadła

cisza, Frannie usłyszała ciche pukanie do drzwi sypialni i ujrzała w nich Sherwooda, tulącego do piersi grubą księgę. Głos mu się łamał, wciąż płakał.

–Chciałem ci coś powiedzieć – powiedział i podszedł do okna, by rozsunąć zasłony.

Blask latarni przed domem wpłynął przez mokrą od deszczu szybę, rozjaśniając blade, zapuchnięte oblicze Sherwooda.

–Nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

–O czym ty mówisz?

–Ona po prostu leżała, a gdy ją zobaczyłem, z miejsca zapragnąłem ją mieć. – Mówiąc to, pokazał siostrze księgę. – To tylko stara książka – powiedział.

–Ukradłeś ją?

Skinął głową.

–Skąd? Z Sądu?

Jeszcze raz skinął głową. Wyglądał na tak przerażonego, jakby lada chwila znów miał wybuchnąć płaczem.

–Już dobrze – powiedziała. – Nie jestem na ciebie zła. Po prostu jestem zaskoczona. Nie widziałam tej książki.

–Schowałem ją do kieszeni kurtki.

Opowiedział jej o biurku, kałamarzach i piórach, a ona tymczasem wzięła od niego księgę i podeszła z nią do okna. Poczula dziwną woń emanującą z książki. Uniosła ją do twarzy – niezbyt blisko – i pociągnęła nosem, chłonąc zastanawiający zapach. Pachniała zimnymi ogniami, popiołem zmoczonym deszczem i dziwnymi, rzadkimi przyprawami korzennymi, których nie uświadczy się na półce w zwykłym supermarkecie. Ta woń sprawiła, że Frannie zawahała się przed otwarciem księgi, ale jakże mogła by tego nie uczynić, wiedząc, skąd pochodzi? Podkładając jedną dłoń pod grzbiet księgi, drugą wolno uniosła okładkę. Na pierwszej stronie widniał prosty krąg nakreślony czarnym, lub może ciemnobrązowym tuszem. Żadnego napisu. Żadnego tytułu. Tylko idealnie nakreślony krąg.

–To jego książka, prawda? – spytała Sherwooda.

–Chyba tak.

–Czy ktoś wie, że ją wzięłeś?

–Raczej nie.

Dobre i to. Odwróciła stronę. W przeciwieństwie do poprzedniej, ta była gęsto zapisana, linijka po linijce, delikatnym, zwartym, drobnym pismem, słowa zlewały się ze sobą, tworząc nieprzerwany ciąg liter. Odwróciła stronę. To samo. Podobnie było z następną. I z kilkoma kolejnymi. Spróbowała odcyfrować pismo, ale treść książki zapisano w języku innym niż angielski. Co dziwniejsze, litery, z których składały się słowa, także nie należały do znanego jej alfabetu. Wyglądały całkiem ładnie i zgrabnie, ot, nieduże wyszukane znaki nakreślone pieczołowicie i z wielką precyzją.

–Co to wszystko znaczy? – spytał Sherwood, zaglądając siostrze przez ramię.

–Nie wiem. Nigdy nie widziałam czegoś takiego.

–Czy uważasz, że to może być jakaś opowieść?

–Chyba nie. Nie została wydrukowana jak normalna zwykła książka. – Frannie polizała palec wskazujący i dotknęła kilku liter. Na opuszcze palca pojawił się ślad. – Została napisana przez niego.

–Przez Jacoba? – wysapał Sherwood.

–Tak.

Przewróciła kilka kolejnych stron i w końcu napotkała ilustrację. Przedstawiała jakiegoś owada – chyba żuka – i jak zapisy na innych stronach, chrząszcza odwzorowano wyjątkowo starannie, z dbałością o każdy szczegół, począwszy od głowy, poprzez odnóża aż po opalizujące skrzydła, do tego stopnia, że wyglądał jak żywy w tym rozmytym świetle. Mogło się wydawać, że lada chwila wzbije się z kartki papieru, na której przysiadł.

–Wiem, że nie powinienem był brać tej książki – rzekł Sherwood – ale teraz nie zamierzam jej zwrócić, bo już nigdy nie chcę go widzieć.

–Nie będziesz musiał – zapewniła Frannie.

–Obiecujesz?

–Obiecuję. Nie masz się czego bać, Sher. Tu jesteśmy bezpieczni, rodzice troszczą się o nasze bezpieczeństwo.

Sherwood objął ją. Poczowała, że chłopiec drży.

–Ale oni nie zawsze tu będą, prawda? – spytał niemal beznamiętnie, jakby najstraszliwszą z perspektyw można było wyrazić jedynie po odarciu jej z wszelkich emocji.

–Nie – powiedziała. – Nie będą tu stale.

–I co się wtedy z nami stanie? – spytał.

–Ja będę się tobą opiekowała – odparła Frannie.

–Obiecujesz?

–Obiecuję. A teraz już najwyższy czas, żebyś wrócił do łóżka.

Ujęła brata za rękę i oboje cichutko przeszli krótkim korytarzem do jego sypialni. Gdy już ułożył się w łóżku, otuliła braciszka kocem i powiedziała, by nie myślał więcej o księdze, Sądzie ani o tym, co się tam wydarzyło tej nocy, tylko żeby spokojnie zasnął. Dopelnivszy tej powinności, wróciła do swojej sypialni, zamknęła drzwi, zaciągnęła zasłony i ukryła księgę w szafce pod swetrami. Szafki nie zamykało się na klucz, ale gdyby był w niej zamek, na pewno by to zrobiła. Następnie wślizgnęła się do chłodnego już łóżka, przykryła kocem aż po szyję i zapaliła nocną lampkę, na wypadek gdyby żuk zechciał w którymś momencie, nim ta noc dobiegnie końca, przypelznąć do niej ze stronic księgi, co po wydarzeniach minionego wieczoru wcale nie wydawało się jej niemożliwe ani nieprawdopodobne.

CZTERY

1

Will potulnie zjadł zupę, a kiedy tylko Adele zmierzyła mu temperaturę, zabrała tacę i zeszła na dół, szybko wstał i się ubrał. Było późne popołudnie, śnieg z deszczem nieco osłabł, ale Will nie zamierzał odkładać swojej wyprawy do jutra. W salonie ktoś włączył telewizor, chłopiec usłyszał spokojny głos prezentera pogody, a potem, kiedy jego matka zmieniła kanał, głośny śmiech i oklaski. Te dźwięki go ucieszyły. Zagłuszą ewentualne skrzypienie schodów, kiedy będzie schodził na dół. Owinął szyję szalikiem, włożył anorak, rękawiczki, buty i omal nie wpadł, kiedy ojciec zawołał z gabinetu do Adele, domagając się zamówionej herbaty. Co się dzieje? – pytał. Czyżby pojechała do Chin, by osobiście zebrać najświeższe liście? Adele nie odpowiedziała, a jego ojciec posępny i chmurny pomaszerował do kuchni, żeby się przekonać co jest przyczyną takiego opóźnienia. Miał dość czekania. Nie zauważył jednak swego syna w ciemnym korytarzu i kiedy udał się do salonu, by zganić Adele za opieszałość, Will otworzył frontowe drzwi i uchyliwszy je lekko, aby nie zdradził go nawet najłżejszy podmuch powietrza, wysłiznął się na dwór, wyruszając na wieczorną wyprawę.

2

Rosa nie ukrywała satysfakcji, jaką wzbudzało w niej zniknięcie księgi. Spłonęła w pożarze, i to wszystko co ma na ten temat do powiedzenia.

–A więc straciłeś jeden ze swych bezcennych dzienników – powiedziała. – Może w przyszłości będziesz bardziej czuły i współczujący, kiedy ogarnie mnie tęsknota za dziećmi.

–To kiepskie porównanie – rzekł Steep, wciąż przeszukując popioły w *antichambre*.

Z jego biurka zostały jedynie żarzące się szczapy. Kałamarze i pióra przepadły, pudełko z akwarelami zmieniło się nie do poznania, atrament wyparował. Jego torba, w której przechowywał wcześniejsze dzienniki, znajdowała się poza zasięgiem ognia, zatem nie wszystko przepadło. Jednakże to, co robił obecnie, owoc osiemnastu lat ciężkiej pracy, zostało bezpowrotnie utracone. W dodatku próba porównania przez Rosę jego straty z tym, co czuła, kiedy musiał uwalniać od cierpień któreś z jej przeklętych bachorów, sprawiła, że zebrało mu się na mdłości.

–To dzieło mojego życia – stwierdził.

–W takim razie to żalotne – odparowała. – Pisać książki! To żalotne! – Nachyliła się ku niemu. – Dla kogo ją piszesz? Na pewno nie dla mnie. Nie interesują mnie ani trochę.

–Wiesz po co je piszę – rzucił ponuro Jacob. – Aby dać świadectwo. Kiedy nadejdzie Bóg i zażąda, abyśmy przedstawili mu swe dokonania, będziemy musieli dać świadectwo.

Opowiedzieć wszystko. W najdrobniejszych szczegółach. Dopiero wtedy dostąpimy... Jezu, po co ja ci to w ogóle wyjaśniam?

–Powiedz to. Wymów to słowo. Dostąpimy przebaczenia. Mówiłeś to wielokrotnie. Dostąpimy przebaczenia. – Podeszła do niego. – Ale ty już w to nie wierzysz, prawda? – Uniosła ręce i delikatnie dotknęła jego twarzy. – Powiedz mi, ukochany, ale powiedz szczerze – dokończyła półgłosem.

–Wciąż... w dalszym ciągu wierzę, że nasze życie ma jakiś cel – odparł Jacob. – Muszę w to wierzyć.

–A ja nie – rzuciła Rosa. – Uświadomiłam to sobie po naszych nieudanych karesach dziś po południu. Nie mam już żadnych zdrowych pragnień. Żadnych. Nie będzie więcej dzieci. Nie będzie domu z kominkiem. I nie będzie dnia przebaczenia, Jacobie. To pewne. Jesteśmy sami i posiadamy moc, by czynić to, co tylko zechcemy. – Uśmiechnęła się. – Ten chłopiec...

–Will?

–Nie. Ten młodszy, Sherwood. Lizał moje piersi, a ja pomyślałam, że to chore, czerpać przyjemność z czegoś takiego. Ale, na Boga, czy masz świadomość, że właśnie dlatego to sprawiało mi jeszcze większą rozkosz? I że kiedy ten dzieciak odszedł, pomyślałam, co jeszcze mogłoby sprawić mi rozkosz? Co najgorszego mógłbyś ze mną zrobić?

–I?

–Długo się nad tym zastanawiałam – odparła z uśmiechem. – Naprawdę. Możliwości było mnóstwo. Skoro i tak nie dostąpimy przebaczenia, po co mamy udawać kogoś, kim nie jesteśmy? – Świdrowała go wzrokiem. – Po co miałabym marnować oddech w nadziei na coś, co nigdy nie będzie nam dane.

Jacob odsunął twarz od jej dłoni.

–Nie skusisz mnie – rzucił. – Nie marnuj swego czasu. Mam własne plany...

–Księga spłonęła – ucięła Rosa.

–Sporządzę następną.

–A jeśli i ta spłonie?

–Jeszcze jedną! I kolejną! Ta strata doda mi sił.

–Mnie również – zapewniła Rosa; jej oblicze, pozbawione ciepła było zimne i blade jak u nieboszczyka. – Od tej pory będę inną kobietą. Będę czerpać rozkosz na wszelkie możliwe sposoby i jak tylko zdołam. A jeśli ktoś uczyni mnie brzemienną, pozbędę się płodu sama,

choćbym miała usunąć go ze swego łona za pomocą zaostzonego patyka.

Ta myśl ją rozbawiła. Zaśmiała się krótko, ochryple, po czym odwróciła się do Jacoba i splunęła w popiół.

–Pluję na twój dziennik – wycedziła. I splunęła raz jeszcze. – A także na przebaczenie. Splunęła po raz trzeci. – I plwam na Boga. Nie może spodziewać się ode mnie niczego innego.

Nie powiedziała nic więcej. Nie sprawdzając, jaki wpływ wywarły na jej towarzyszu te słowa, (spotkałoby ją rozczarowanie, bo jego oblicze wyglądało jak wykute z kamienia), wyszła na zewnątrz. Dopiero wtedy Jacob pozwolił sobie uronić kilka łez. Męskich łez, jakie mógłby uronić dowódca, którego armia zostaje rozbita, albo ojca, który staje przy grobie syna. Nie oplakiwał jedynie swojego dziennika – choć to także się do tego przyczyniło – lecz samego siebie. Rosa – jego ongiś ukochana Rosa – z którą dzielił swe najskrytsze ambicje, podąży dalej swą hedonistyczną ścieżką, on zaś obierze własną drogę, drogę noża, pióra i nowego dziennika pełnego czystych stronic. To będzie trudne, zwłaszcza po tylu przeżytych wspólnie latach, ale dzieło, jakie miał przed sobą, było zaiste monumentalne, a granicę stanowiło tylko niebo.

Wtem zaświtała mu w głowie pewna myśl: Dlaczego nie miałbym jej zabić? Bez wątpienia sprawiłoby mu to wielką satysfakcję. Szybkie cięcie po gardle, po pulsującej tętnicy, i padłaby jak zaszlachtowana jałówka. Pocieszałby ją aż do samego końca, do ostatniej chwili, powiedziałby, jak bardzo ją kochał i że to właśnie jej poświęci dzieło swego życia, a potem uczyni wszystko, by się wypełniło. Oczyszczając każde gniazdo, każdą jamę i norę, będzie mówił: „To dla ciebie, moja Roso, i to, i to”, aż jego dłonie, ociekające krwią i żółcią nie zakończą swego żmudnego dzieła.

Wyjął nóż zza pasa, wyobrażając sobie dźwięk, z jakim ostrze prześliznie się po jej skórze, usłyszał świst powietrza wypływającego przez rozplątane gardło, szum krwi buchającej z rany. A potem wyszedł za nią na dziedziniec.

Czekała, odwrócona twarzą ku niemu, ze swymi ulubionymi sznurami – które określała mianem różańców – oplatającymi czule jej ramiona i falującymi niczym węże. Jeden uniósł się, gdy Jacob podszedł bliżej, i wyprysnął naprzód, owijając się wokół jego nadgarstka, kierowany siłą woli Rosy, i zaciskając się tak mocno, że Steep aż jęknął z bólu.

–Jak śmiesz? – wycedziła.

Drugi sznur przeciął powietrze i opasując jego szyję, owinał się wokół ręki, w której Jacob trzymał nóż, i unieruchomił ją za jego plecami. Mrugnęła powieką, a sznur zadzierzgnął się mocniej, kierując ostrze ku jego twarzy.

–Chciałeś mnie zamordować.

–Na pewno bym spróbował.

–Nie jestem ci już potrzebna jako łono, więc równie dobrze możesz rzucić mnie na pożarcie krukowi i wronom?

–Nie. Ja tylko... chciałem uprościć pewne sprawy.

–To całkiem nowa wymówka – stwierdziła nieomal z podziwem. – Które oko wybierasz?

–Co takiego?

–Zamierzam wyłupić ci oko, Jacobie. Twoim własnym nożem... – Zadzierzgnęła sznury nieco mocniej. Zaskrzypiały cichutko. – To jak, które wybierasz?

–Jeżeli mnie zranisz, rozpętasz między nami wojnę.

–A ponieważ wojna to domena mężczyzn, więc na pewno ją przegram? To chcesz powiedzieć?

–Wiesz, że tak będzie.

–Nie wiem na swój temat nic, podobnie jak ty, Jacobie. Nauczyłam się wszystkiego, obserwując kobiety i ich zachowanie. Może okażę się całkiem niezłą wojowniczką. Może wojna, która rozpęta się między nami, będzie jak miłość, tyle że bardziej krwawa. Przekrzywiła głowę.

–Które oko wybierasz?

–Żadne – odparł drżącym głosem Jacob – potrzebuję obojga oczu, aby kontynuować swoje dzieło, Roso. Jeśli wyłupisz mi choć jedno, równie dobrze możesz całkiem odebrać mi życie.

–Domagam się zadośćuczynienia! – wycedziła przez zęby. – Chcę, żebyś cierpiał za to, co właśnie próbowałeś zrobić.

–Wszystko, tylko nie oko.

–Wszystko?

–Tak.

–Rozepnij spodnie.

–Co takiego?

–Słyszałeś co powiedziałam. Rozepnij i zdejmij spodnie.

–Nie, Roso.

–Chcę jedno twoje jądro, Jacobie. Albo ono, albo oko. Wybieraj.

–Przestań – rzucił półgłosem.

–Czy powinnam teraz zmięknąć? Złagodnieć? Okazać ci współczucie?

Pokręciła głową.

–Zdejmij spodnie – rozkazała.

Sięgnął wolną ręką do krocza.

–Możesz to zrobić sam, jeżeli sprawia ci to jakąś różnicę. To jak? Zrobisz to?

Skinął głową. Nieznacznie rozluźniła oplot sznura na jego nadgarstku.

–Nawet nie będę patrzeć – powiedziała. – Co ty na to? Wówczas, nawet gdyby w ostatniej chwili zabrakło ci odwagi, nie będzie o tym wiedział nikt oprócz ciebie.

Sznury opadły z jego ręki. Powróciły do Rosy i owinęły się wokół jej szyi.

–Zrób to.

–Roso?

–Jacobie?

–A jeżeli to zrobię?

–Tak?

–To nigdy nikomu o tym nie powiesz?

–O czym?

–No, wiesz... że czegoś mi brak...

Rosa wzruszyła ramionami.

–A kogo to obchodzi? – spytała.

–Po prostu zgódź się.

–No dobrze, zgadzam się. – Odwróciła się do niego plecami. – Niech będzie lewe – powiedziała. – Zwisa nieco niżej, a więc musi być dojrzsze z nich dwóch.

Gdy odeszła, stanął w korytarzu, czując w dłoni rękojeść noża. Zlecił wykonanie go w Damaszku, w rok po śmierci Thomasa Simeona, i od tej pory używał go niezliczoną ilość razy. Choć w osobie jego twórcy nie było nic nadnaturalnego, przez lata nóż nabrał wprawy i

płynności. Jacob odniósł wrażenie, że z każdym odebranyim życiem stawał się coraz ostrzejszy. To, czego chciała od niego ta wiedźma, nie powinno sprawić mu większej trudności, a potem... cóż go to mogło obchodzić? To, co ścisnął teraz w dłoni, i tak nie było mu do niczego potrzebne. Dwa obłe kształty obleczone w skórę, jak dwa jajka w ciepłym gnieździe. Przyłożył czubek ostrza do skóry i wstrzymał oddech. W sali sądowej Rosa zaczęła nucić jedną ze swych paskudnych, chorych kołysanek. Odczekał chwilę, a kiedy z jej ust popłynęły wysokie dźwięki, wykonał szybkie, zdecydowane cięcie.

PIĘĆ

Will nie próbował dotrzeć do Sądu na skróty, lecz wybrał znaną mu drogę prowadzącą z wioski. Na rozstaju dróg znajdowała się budka telefoniczna. Gdy ją zobaczył, pomyślał, że powinienem pożegnać się z Frannie. Nie chciał tego robić z uwagi na łączącą ich przyjaźń, a raczej pragnął się jej pochwalić i zdradzić swoje zamiary. Powiedzieć: „Odchodzę, tak jak zapowiedziałem.

Odchodzę na zawsze". Wszedł do budki, sięgnął do kieszeni po drobne, a potem jeszcze raz (nawet mimo rękawiczek miał zgrabiące palce), by znaleźć numer Cunninghamów w starej, podniszczonej książce telefonicznej. To było proste. Znalazł go bez trudu. Wybrał numer i przygotował się do zmiany głosu na wypadek gdyby to ojciec Frannie odebrał telefon. Słuchawkę podniosła matka dziewczynki i z rezerwą w głosie poprosiła ją do telefonu. Will od razu przeszedł do sedna. Poleciał Frannie, by zachowała to, co jej powie, w tajemnicy, a potem wyznał, że odchodzi.

–Z nimi? – wyszeptała.

Powiedział, że to nie jej sprawa. Po prostu odchodzi. I już.

–Ale... ja mam coś, co należy do Steepa – wykrztusiła.

–Co?

–To nie twoja sprawa – odparowała.

–W porządku – rzekł Will. – Tak, odchodzę z nimi. Gorączkowy ton jego głosu nie pozostawiał żadnych wątpliwości. – No dobrze... co masz?

–Nie możesz im niczego powiedzieć. Nie chcę, żeby tu przyszli w poszukiwaniu tej rzeczy.

–Nie przyjdą.

Zamilkła na chwilę. Po czym dodała:

–Sherwood znalazł książkę. To chyba własność Steepa.

–Tylko tyle? – spytał Will. – Książkę?

Komu może zależeć na jakiejś książce? Uznał jednak, że potrzebowała jakiejś pamiątki z tej przygody, czegokolwiek, nawet zwykłej drobnostki.

–To nie byle jaka książka – odparła z naciskiem. – To...

Will uznał tę rozmowę za zakończoną.

–Muszę już iść – powiedział.

–Zaczekaj, Will.

–Nie mam czasu. Żegnaj Frannie. Pożegnaj ode mnie Sherwooda, dobrze?

Odłożył słuchawkę. Był z siebie zadowolony. Po chwili opuścił względnie przytulne wnętrze budki telefonicznej i ruszył w dalszą drogę do gmachu Sądu.

Śnieg zamarznął, tworząc skrzącą się pokrywą na drodze na wprost niego, a w miarę upływu czasu formowała się na niej nowa warstwa świeżego, syckiego puchu. Piękno to było przeznaczone tylko dla jego oczu i jedynie on mógł je docenić. Mieszkańcy Burnt Yarley byli tej nocy w swoich domach, przy kominkach, bydło w oborach, świnie w chlewikach, konie w stajniach, a kurczęta, kury i koguty w kurnikach.

Przybierająca na sile śnieżycy sprawiała, że na wprost niego z wolna formowała się rozmyta ściana bieli, ale miał dość oleju w głowie, by wypatrywać szczeliny w żywopłocie, któredy wcześniej przedostał się na pole, i odnalazłszy ją, przecisnął się przez wąski prześwit. Gmachu Sądu rzecz jasna nie było widać, wiedział jednak, że jeśli pójdzie prosto przez łąkę, prędzej czy później dotrze do starego budynku. To było znacznie trudniejsze niż marsz po drodze, i jego ciało, pomimo niezłomnej determinacji, zaczęło przejawiać oznaki osłabienia. Coraz szybciej tracił siły. Trzęsły mu się nogi i z każdym krokiem pragnął usiąść na śniegu, aby choć przez chwilę odpocząć. Teraz widział już budynek Sądu, wyłaniający się spośród wirującego śniegu.

Przepelniony euforią, otarł odrętwiałą twarz z wilgotnych, zimnych płatków, dzięki czemu lepiej można było ujrzeć gorejący w jego oczach ogień. Cała skóra Willa zdawała się płonąć. Zaczął piąć się po schodach. Dopiero gdy znalazł się na najwyższym, uświadomił sobie, że widzi Jacoba stojącego w drzwiach, jego sylwetka odcinała się na tle ognia płonącego w westybulu. To było prawdziwe wielkie ognisko, nieporównywalne z tym, które podsycał Will. Ani przez chwilę nie wątpił, że użyto do niego żywego opału. Nie wiedział co to było, ani niespecjalnie go to obchodziło. Pragnął ujrzeć swego idola i aby on zobaczył – i być może także przytulił – jego. Jednakże Jacob nie poruszył się i Will przeraził się, że opacznie pojął słowa tamtego, możliwe, że wcale nie był tu milej widziany niż w domu, który właśnie opuścił. Zszedł o stopień niżej i czekał na decyzję Jacoba. Bezskutecznie. Nie miał nawet pewności, czy Steep w ogóle go zauważył.

Wtem z ciemności wyłoniła się posępna twarz i chłopiec usłyszał surowy, ochrypły głos.

–Nie wiedziałem co mnie tu sprowadza, ale teraz już wiem. Szukałem ciebie.

Will wykrztusił:

–Mnie?

Jacob skinął głową.

–Właśnie ciebie – rzekł i rozłożył szeroko ręce.

Will pragnął rzucić mu się w ramiona, ale jego ciało było zbyt słabe, aby zdołał dotrzeć do celu. Pokonując ostatni stopień, potknął się, a wyciągające się do przodu ręce były zbyt wolne, by ochronić głowę chłopca przed uderzeniem o zimny, kamienny podest. Upadając, usłyszał jeszcze cichy okrzyk Steepa, a potem chrzęst butów na oszronionym podejściu – odgłos kroków mężczyzny spieszącego mu na pomoc.

–Nic ci nie jest? – zapytał.

Will nie był pewien czy odpowiedział na to pytanie. Poczł jednak pod sobą ramiona Steepa, gdy ten go podniósł, i ciepło oddechu mężczyzny na swojej zmarzniętej twarzy. Jestem w domu, pomyślał i stracił przytomność.

SZEŚĆ

1

We czwartek na kolację u Cunninghamów podano pyszną, pieczoną jagnięcinę z tłuczonymi ziemniakami, masłem i marchewką. Jak zawsze, posiłek poprzedziła krótka modlitwa. „Dziękujemy ci panie za to jadlo, które dziś spożywać będziemy”. Przy stole panowała niemal całkowita cisza, ale nie było w tym nic niezwykłego – George Cunningham święcie wierzył, że na wszystko jest odpowiedni czas i miejsce. Przy stole powinno się jeść, a nie rozmawiać. Jedyna dłuższa wymiana zdań nastąpiła, gdy George, zauważywszy, że Frannie bawi się jedzeniem, ponaglił ją, by wzięła się ostrzej do roboty.

–Nie jestem głodna – odrzekła Frannie.

–Coś cię gnębi? – spytał. – Po wczorajszym to wcale by mnie nie zdziwiło.

–George – rzuciła jego żona, zerkając z przerażeniem na Sherwooda, który także nie przejawiał apetytu.

–Spójrzcie na siebie – powiedział George nieco łagodniejszym tonem. – Wyglądacie jak para potopionych szczeniąt. – Poklepał dłoń córki. – Wszystkim zdarza się popełniać błędy i nie ulega wątpliwości, że ty także się przed nim nie ustrzegłaś, ale z mojego i matki punktu widzenia ta sprawa została już zakończona. Grunt, abyś wyciągnęła wnioski z tej nauczki. No, jedz już. I uśmiechnij się do tatusia. – Frannie spróbowała. – Tylko na tyle cię stać? – Ojciec zachichotał. – Po przespanej nocy na pewno poprawi ci się humor. Masz dużo zadane?

–Trochę.

–Wobec tego idź teraz i odrób pracę domową. Mama i Sherwood zajmą się zmywaniem.

Odeszła od stołu z zadowoleniem, po czym udała się na górę, zamierzając przygotować się do testu z historii, ale treść podręcznika wydała się jej równie niezrozumiała jak treść dziennika Jacoba, i o wiele mniej pociągająca. W końcu odpuściła sobie historię życia Anny Boleyn i dręczona wyrzutami sumienia wyjęła z ukrycia dziennik, by raz jeszcze go przewertować. Ledwo go otworzyła, gdy zadzwonił telefon i matka, po krótkiej rozmowie zawołała ją do holu. Włożyła dziennik pomiędzy podręczniki i wyszła na podest.

–Dzwoni ojciec Willa – rzekła jej matka.

–Czego chce? – spytała Frannie, choć знаła już odpowiedź na to pytanie.

–Will zniknął – odparła matka. – Czy wiesz dokąd mógł pójść?

Frannie zastanawiała się przez chwilę. Usłyszała szum wiatru omiatającego niosącymi płatki

śniegu podmuchami okno na piętrze i pomyślała o Willu, który był gdzieś tam, na mrozie.

Naturalnie, wiedziała doskonale dokąd poszedł, ale ponieważ obiecała, że dochowa tajemnicę, postanowiła dotrzymać słowa.

–Nie wiem – odparła.

–Nie mówił gdzie jest, gdy do ciebie dzwonił? – spytała matka.

–Nie – odrzekła bez wahania.

Te informacje zostały niezwłocznie przekazane ojcu Willa, a Frannie potulnie wróciła do sypialni. Nie była już jednak w stanie skupić się na żadnej z książek. Wciąż powracała myślami do Willa, który lekkomyślnie uczynił ją swoją współpracowniczką, zwracając się do niej, że zamierza uciec z Burnt Yarley. Gdyby coś mu się stało, ona także byłaby za to częściowo odpowiedzialna, a przynajmniej tak właśnie by się czuła, czyli na jedno wychodziło. Pokusa wyznania wszystkiego co wiedziała, choć nie było tego wiele, wydawała się nader ponętna, w ten sposób pozbyłaby się brzemienia spoczywającego na jej barkach. Tyle tylko że obiecała Willowi. Obietnica to obietnica.

Will podjął decyzję – chciał wyruszyć w świat, znaleźć się daleko stąd. Czyż ona sama po części nie zazdrościła mu tego? Wiedziała, że dopóki żyje Sherwood, nigdy nie podjęłaby tej decyzji. Kiedy rodzice zestarzeją się albo umrą, ktoś będzie musiał się nim opiekować, a tym kimś, zgodnie z obietnicą, będzie właśnie ona.

Podeszła do okna i wytarła zaparowaną szybę wnętrzem dłoni. W świetle latarni wirowały płatki śniegu, tańczące drobiny białego ognia niesione wiatrem, który zawodził wśród przewodów telefonicznych i hulał wokół podstrzeszy. Jej ojciec już przed miesiącem mówił, że farmerzy ostrzegali go, że zima będzie tego roku bardzo sroga. Ta noc zdawała się potwierdzać owe przepowiednie. Nie najlepsza pora na ucieczkę, pomyślała, ale co się stało, to się nie odstanie. Will podjął decyzję. Dokonał wyboru. Miała jedynie nadzieję, że jego decyzja nie okaże się fatalna w skutkach.

Sherwood leżący w wąskim łóżku, w wąskim pokoju obok sypialni Frannie, nie spał. To nie burza nie pozwalała mu zmrużyć oka. Sprawiały to wizje Rosy McGee: świetliste, roziskrzone obrazy, tak barwne, że w porównaniu z nimi wszystko inne zdawało się czarno-białe. Tej nocy kilkakrotnie odnosił wrażenie, że była tuż obok niego, w tym pokoju, tak silne było jej wspomnienie. Widział ją wyraźnie, jej piersi i sutki błyszczące od śliny. I choć na koniec go wystraszyła, zadzierając spódnicę, właśnie ten moment wspominał najczęściej, w nadziei że zdoła wydłużyć go choćby o kilka sekund i tym razem Rosa McGee podkasze spódnicę aż do pępka, a on ujrzy to, co pragnęła mu pokazać.

Miał pewne podejrzenia, co to mogło być – coś jakby odwrócone usta, gąszcz włosów (możliwe, że zielonych, jak mały krzaczek) i prosty, okrągły otwór. Jakąkolwiek jednak przybierało to formę, zawsze było wilgotne – tego był pewien, a niekiedy chyba dostrzegał nawet drobne krople przezroczystej cieczy spływające po wewnętrznej stronie jej ud. Rzecz jasna nikomu nie opowiedział o tych wspomnieniach.

Nie byłby w stanie chęlnie się tym, co go spotkało z Rosą, w towarzystwie kolegów z klasy i z całą pewnością nie zdradziłby tego nikomu z dorosłych. Już i tak ludzie mieli go za dziwaka. Kiedy chodził z mamą po zakupy, przyglądali mu się, choć udawali, że na niego nie patrzą, i wymieniali półgłosem krytyczne komentarze. Mówili, że jest dziwny, że coś jest z nim nie tak, że brak mu piątej klepki, że stanowi prawdziwe utrapienie, istny krzyż pański, i jak to dobrze, że jego matka jest prawą chrześcijanką. Słyszał to wszystko. W tej sytuacji jego wspomnienia musiały pozostać w ukryciu, gdzie nikt nie będzie ich w stanie dostrzec, w przeciwnym razie byłoby więcej szeptanych rozmów i kręcenia głowami.

Nie przejmował się tym. Było mu to obojętne. Prawdę mówiąc, cieszył się, mogąc zamknąć wspomnienie Rosy w swoim umyśle, gdzie było dostępne tylko dla niego. Może z czasem wymyśli sposób, aby ją przekonać, nakłonić do podniesienia spódnicy jeszcze wyżej, trochę wyżej, aż zdoła zobaczyć jej sekretne miejsce.

A na razie ocierał się brzuchem i biodrami o skotłowane koce i prześcieradła, przytykając jedną rękę do ust, jakby jego dłonie były piersiami Rosy, a on znowu mógł je lizać, i choć ostatnio płakał tak długo i często, że zabrakło mu łez, wspomnienie, które w sobie hołubił, sprawiło, że do reszty o nich zapomniał. Nie było już smutku, rozpaczony ani łez, a jedynie dziwny, przybierający na sile żar w kroczu.

–Rosa – mamrotał w otwartą dłoń. – Rosa, Rosa, Rosa...

SIEDEM

Zanim Will otworzył oczy, ogień, który wcześniej, gdy chłopiec tu dotarł, buzował w najlepsze, zmienił się w dogasające popioły. Jacob podprowadził tam jednak swego gościa, a wątle płomienie wciąż jeszcze były dość silne, by przegnać chłód ze skostniałego ciała Willa. Chłopiec usiadł i zorientował się, że pod wojskowym płaszczem, w który otulił go Jacob, był całkiem nagi.

–To było bardzo odważne – powiedział ktoś stojący po drugiej stronie ogniska.

Will przymrużył powieki, by móc go lepiej zobaczyć. Tym kimś był naturalnie Jacob. Opierał się o ścianę i patrzył przez płomienie na Willa. Wydaje się trochę niezdrów, pomyślał Will, jakby empatycznie odbierał zmęczenie i utratę sił przez chłopca; jednakże w przypadku Willa choroba znacznie go osłabiła i wycieńczyła. Steep natomiast pławił się w swoim bólu, jego blada skóra błyszcziała, lśniące kędziory włosów przylepiały się do grubych, węzlastych mięśni szyi. Szorstką, szarą koszulę miał rozpiętą aż do pępka, jego tors porastały ciemne włosy podkreślające tarkę mocno zarysowanych mięśni brzucha. Kiedy się uśmiechnął, jego oczy i zęby zabłysły, jakby były wykonane z tego samego, niezniszczalnego tworzywa.

–Jesteś chory, a jednak odnalazłeś drogę tutaj, pośród śnieżycy. To dowód wielkiej odwagi.

–Nie jestem chory – zaproponował Will. – To znaczy... byłem... troszeczkę... ale już mi lepiej...

–Wyglądasz całkiem nieźle.

–I tak też się czuję. Jestem gotów odejść kiedy tylko zechcesz.

–Dokąd?

–Dokądkolwiek zechcesz – odparł Will. – Jest mi to obojętne. Nie boję się mrozu ani zimna.

–Och, to żaden mróz – mruknął Jacob. – Ta suka i ja przeżyjemy wiele znacznie surowszych zim, to jeszcze nic... kiedyś to były zimy...

Spojrzał w stronę sali sądowej, i pośród dymu Will zauważył na twarzy mężczyzny pogardliwy grymas. Jedno uderzenie serca później znów skierował wzrok na Willa i w jego spojrzeniu pojawiło się nowe przenikliwe napięcie.

–Wydaje mi się, Will, że Bóg, lub może jakaś inna istota przysłała cię do mnie, abyś mi towarzyszył. Bo widzisz, od dziś nie będę już dłużej wędrował z panią McGee. Postanowiliśmy, że się rozstajemy.

–Od... jak dawna podróżujecie razem?

Jacob pochylił się lekko i jął rozgarniać ognisko patykiem. W popiołach wciąż jeszcze tlił się

żar i ogień ponownie strzelił w górę.

–Dłużej, niż chciałbym pamiętać.

–Czemu więc miałbyś akurat teraz to zmieniać?

W świetle pelgających, trzaskających płomieni (cokolwiek tu spłonęło, było bardzo tłuste) Will dostrzegł, że Jacob się skrzywił.

–Ponieważ jej nienawidzę – odparł. – A ona nienawidzi mnie. Gdybym okazał się nieco szybszy, jeszcze tej nocy zabiłbym ją. A potem rozпалиłbym dla nas ognisko. Wielki ogień. Naprawdę wielki. Taki, który byłby w stanie ogrzać połowę Yorkshire.

–Naprawdę zabiłbyś ją?

Jacob uniósł lewą dłoń do światła. Była lepka od czegoś, co wyglądało jak krew, ale było zmieszane z płatkami srebrnej farby.

–To moja posoka – stwierdził. – Musiałem ją przelać, bo nie byłem w stanie utoczyć jej krwi. – Zniżył głos do szeptu. – Tak, zabiłbym ją. Choć, jak sądzę, potem bym tego żałował. Ona i ja jesteśmy ze sobą związani w sposób, którego do końca nie pojmuję. Gdybym zrobił jej coś złego...

–Musiałbyś skrzywdzić także siebie? – spytał Will.

–Rozumiesz to? – mruknął niemal ze zdumieniem. I nieco ciszej dodał: – Na Boga, cóż ja odnalazłem.

–Miałem brata – odrzekł Will, gwoli wyjaśnienia. – Kiedy umarł, cieszyłem się z tego. No, może to nie do końca było tak. To brzmi okropnie...

–Jeżeli byłeś z tego powodu szczęśliwy, powiedz mi to – wtrącił Jacob.

–No, tak. Właściwie tak. – przyznał Will. – Cieszyłem się, że on umarł. Ale od jego śmierci coś się we mnie zmieniło. I kto wie, czy w taki sposób jakiego bym sobie życzył.

–Ja też tego nie wiem – odparł półgłosem Jacob. – W jakim wieku był twój brat?

–Miał piętnaście i pół roku.

–I nie kochałeś go? – Will pokręcił głową. – Cóż, sprawa jest raczej oczywista – mruknął Jacob.

–Czy ty miałeś braci? – spytał Will. – Teraz to Jacob pokręcił głową. – A może siostry?

–Nie. A jeżeli nawet miałem, to ich nie pamiętam.

–Jak można nie pamiętać, czy się miało rodzeństwo?

–Można. A także nie pamiętać swego dzieciństwa. Rodziców. Narodzin.

–Ja nie pamiętam swoich narodzin – wtrącił Will.

–Pamiętasz, na pewno pamiętasz – mruknął Jacob. – Tyle że w głębi serca. – Poklepał się po torsie. – Gdzieś tam kryją się wszystkie ważne wspomnienia, sęk w tym, żebyś wiedział, jak je z siebie wydobyć.

–Może one są także w tobie? – podsunął Will.

–Szukałem ich – przyznał Jacob. – Tak głęboko, jak tylko się odważyłem. Bywało, że wydobywałem ich strzępy, drobny posmak tego, co po nich zostało, i to wszystko. Krótka chwila uniesienia i nic więcej.

–Co to jest uniesienie? – spytał Will.

Jacob uśmiechnął się, zadowolony, że może udzielić mu wyjaśnienia.

–Chwila błogości, całkowitego zapomnienia – odparł. – To coś sprawia, że nie wiadomo dlaczego zdaje ci się, że rozumiesz wszystko i wiesz wszystko co wiedzieć powinienes. Znasz i rozumiesz wszystkie tajemnice.

–Chyba nigdy dotąd nie przeżyłem czegoś takiego.

–Nawet gdyby tak było, niekoniecznie musiałbyś to pamiętać. Takie chwile bywają ulotne. A bywa i tak, że zapamiętanie ich, zatrzymanie w sobie, jest gorsze od ich całkowitego zapomnienia.

–Dlaczego?

–Ponieważ cię kuszą. Przypominają, że jest coś, czego warto wypatrywać i nasłuchiwać.

–Opowiedz mi o jednym takim uniesieniu – zażądał Will.

Jacob uśmiechnął się.

–To ma być rozkaz?

–Nie. Ja tylko...

–Nie zaprzeczaj, skoro wiesz, że mam rację – uciął Jacob.

–No dobrze. Nie będę zaprzeczał – rzekł Will, zaczynając dostrzegać pewien schemat w tym, jak traktuje i czego żąda od niego Jacob. – Chcę, abyś opowiedział mi o jednym ze swoich

uniesień.

Jacob przegarnął ognisko, po czym znów oparł się o ścianę.

–Pamiętasz, jak mówiłem, że przeżyłem znacznie surowsze zimy niż ta?

Will skinął głową.

–Jedna była najgorsza ze wszystkich. Zima roku tysiąc siedemset trzydziestego dziewiątego. Ja i pani McGee byliśmy wtedy w Rosji...

–Tysiąc siedemset trzydziestego dziewiątego?

–Żadnych pytań – uciął Jacob. – Albo nie dowiesz się ode mnie nic więcej. To była najsurowsza zima, z jaką się zetknąłem. Ptaki zamarzały w locie i spadały z nieba jak kamienie. Ludzie marli milionami i układano ich rzędami obok siebie, bez pochówku, bo ziemia była za bardzo zmarznięta, aby można było wykopać dla nich groby. Nie wyobrażasz sobie... a może jednak mógłbyś sobie wyobrazić... – Uśmiechnął się w dziwny sposób do Willa. – Potrafiłbyś to sobie wyobrazić?

Will pokiwał głową.

–Jak dotąd, tak – odparł.

–Dobrze. Ale do rzeczy. Byłem wtedy z panią McGee w Petersburgu. O ile sobie przypominam, nie chciała ze mną jechać, ale mieszkał tam pewien uczonek, nazwiskiem Chrusłow, który twierdził, że ta zima to zapowiedź nowej epoki lodowcowej, która stopniowo, akur za akrem, dusza po duszy, jeden gatunek po drugim, ogarnie całą ziemię. – Mówiąc te słowa, Jacob zacisnął zaplamioną dłoń w pięść, aż zbieleły mu kłykcie. – Aż nie pozostanie na niej nic żywego.

Rozwarł pięść i delikatnie zdmuchnął srebrzysty pył zeschniętej krwi w popioły gorącego ogniska.

–Szczерze mówiąc, chciałem dowiedzieć się, co ten człowiek ma do powiedzenia. Na nieszczęście zmarł, zanim tam dotarłem.

–Z zimna?

–Z zimna – przytaknął Jacob, nie obrażając się na to pytanie, wbrew wcześniejszej zapowiedzi. – Już miałem opuścić to miasto – ciągnął, ale pani McGee chciała jeszcze trochę tam zabawić. Caryca Anna, dokonawszy niedawno egzekucji swych licznych kochanków, zapragnęła dać swym załamany poddanym jakieś zajęcie i zleciła budowę wielkiego pałacu z lodu. Pani McGee kocha wszystko co sztuczne. Jedwabne kwiaty, owoce z wosku, porcelanowe koty. Ten pałac miał być największym sztucznym obiektem, jaki mógł stworzyć z lodu

człowiek. Architekt nazywał się Eropkin. Znałem go dość krótko. Latem następnego roku caryca kazała ściąć go pod zarzutem zdrady – bo widzisz, ta zima nie była ostatnią zimą dla całego świata, lecz jedynie dla niego. Pałac przetrwał jednak wiele długich miesięcy, stojąc na brzegu rzeki pomiędzy pałacem Admiralicji i Zimowym, a jego twórca stał się najbardziej podziwianym, uwielbianym i hołubionym mężczyzną w całym Sankt Petersburgu.

–Dlaczego? – spytał Will.

–Ponieważ stworzył arcydzieło, Will. Nie przypuszczam, abyś miał okazję widzieć kiedyś pałac z lodu? Nie. Ale rozumiesz co mam na myśli. Rzeka była tego roku skuta lodem tak mocno, że mogłaby przemaszerować po niej cała armia. Wycinano stamtąd bryły lodu, które ociosywano i z tych bloków, tak jak ze zwykłych cegieł, zbudowano jedyny w swoim rodzaju pałac.

Tamtej nocy Eropkin ujawnił cały swój geniusz. Zupełnie jakby ta budowla miała być zwieńczeniem jego kariery. Jakby ku temu zmierzał przez całe swoje życie. Pozwalał murarzom używać jedynie najwspanialszych brył lodu, o białym i błękitnym zabarwieniu. W ogrodach wokół pałacu powstawały rzeźbione lodowe drzewa, na ich konarach siedziały lodowe ptaki, a pośród krzewów czaiły się lodowe wilki. Po obu stronach frontowych drzwi prężyły się lodowe delfiny wyglądające, jakby wyskakiwały ze spienionych fal, na schodach zaś dokazywały psy. Była tam też suka, a młode tuliły się do niej. W środku zaś...

–Można było wejść do środka? – przerwał zdumiony Will.

–Ależ oczywiście. Była tam sala balowa z kandelabrami. I komnata z ogromnym kominkiem, w którym falowały lodowe płomienie. Była tam też sypialnia, a w niej łoże z baldachimem. Schodziły się tam tysiące ludzi, by ujrzeć to чудо. Nocą prezentowało się jeszcze okazalej niż za dnia, ponieważ wówczas rozpalono wokół mnóstwo latarni i ognisk, a ponieważ ściany były przezroczyste, można było dostrzec wszystko, co znajdowało się w środku...

–Jakby się miało rentgenowski wzrok.

–Właśnie tak.

–Czy właśnie wtedy doznałeś tego... jak to nazwałeś...

–Uniesienia? Nie. To się stało później.

–A co się stało z pałacem?

–Jak sądzisz?

–Roztopił się.

Jacob skinął głową.

–Późną wiosną wróciłem do Sankt Petersburga, dowiedziałem się bowiem, że odkryto tam dokumenty doktora Chrusłowa. Tak było, ale jego żona spaliła je, biorąc plik papierów za listy do kochanki. To się stało na początku maja, do tego czasu po pałacu nie było już śladu.

Poszedłem nad Newę, by zapalić papierosa, odlać się, czy coś w tym rodzaju, i gdy patrzyłem na rzekę, poczułem coś osobliwego, coś co przeszło mnie do głębi duszy – o ile ją posiadasz – i pomyślałem o tych wszystkich cudach, wilkach, delfinach, wieżyczkach, kandelabrach, ptakach i drzewach, które są gdzieś tam w wodzie i czekają cierpliwie. I które mógłbym w niej dostrzec, gdybym wiedział jak należy to zrobić... – Nie patrzył na Willa, wbił wzrok w dogasające ognisko. – To wszystko tam było... gotowe, by ożyć. I pomyślałem sobie, że gdybym rzucił się do rzeki, gdybym w niej utonął i rozłożył się w tej wodzie, w przyszłym roku, zimą, gdy rzeka zamrznie, a caryca Anna rozkaże wznieść nowy pałac, stanowiłbym jego fragment, byłbym w każdej jego części. Jacob w ptaku. Jacob w wilku. Jacob w drzewie.

–Ale żadna z tych rzeczy nie byłaby żywa.

Jacob uśmiechnął się.

–I właśnie to wydało mi się najwspanialsze, Will. Nie żyć. Oto cała istota doskonałości. Stałem na brzegu i ogarnęła mnie tak wielka radość, błogie... niepojęte... bezgraniczne... zapomnienie. Nawet Bóg nie mógłby być szczęśliwy bardziej niż ja w tej właśnie chwili. Właśnie to było to uniesienie, o którym mówiłem, jeśli chcesz wiedzieć...

Jacob urwał i zamyślił się. Towarzyszył im jedynie delikatny trzask ognia. Will radował się ciszą, potrzebował czasu, by przemyśleć to, co właśnie usłyszał. Opowieść Jacoba wywołała w jego umyśle lawinę obrazów. Widział rzeźbione lodowe ptaki na cyzelowanych, lodowych gałązkach, bardziej żywe niż te prawdziwe, sypiące się z nieba jak złodowaciale ulegalki. Wyobrażał sobie ludzi, niezadowolonych poddanych carycy Anny, wpatrujących się ze zdumieniem i podziwem w iglice i światła, zafrapowanych do tego stopnia, że zapomnieli o śmierci wielkich ludzi. Rozmyślał także o rzece, wiosną następnego roku, na brzegu której siedział Jacob i wlepiając wzrok w przepływające fale, pogrążył się w błogim uniesieniu. Gdyby ktoś zapytał go, co to wszystko miało oznaczać, nie potrafiłby odpowiedzieć. Ale wcale się tym nie przejął. Jacob wypełnił istniejącą w nim pustkę tymi obrazami i Will był mu wdzięczny za ten cenny dar.

Wreszcie Jacob otrząsnął się z zamyślenia i po raz ostatni, jakby od niechcenia przegrzebawszy ognisko, rzekł:

–Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił.

–Co tylko zechcesz.

–Czy czujesz się silny?

–Raczej tak. Czuję się świetnie.

–Możesz wstać?

–Oczywiście.

Will zrobił to, dźwigając płaszcz, którym go otulono. Szynel okazał się jednak cięższy, niż chłopiec przypuszczał, i gdy wstał, zsunął się mu z ramion. Will nie próbował go podnieść. Światło było za słabe, aby Jacob mógł ujrzeć nagość Willa. A zresztą, czyż kilka godzin temu sam go nie rozebrał i nie ułożył przy ogniu? On i Jacob nie mieli już przed sobą żadnych tajemnic.

–Czuję się świetnie – powtórzył Will, rozprostowując zdętwiałe nogi.

–Tam – powiedział Jacob. Wskazał na ubranie Willa, które leżało z drugiej strony przy ognisku i schło. – Ubierz się. Czekają nas mozolna wspinaczka.

–A co z panią McGee?

–Tej nocy nie jest nam do niczego potrzebna – odparł Jacob. – Ani tej, ani innej, gdy dokonamy na wzgórzu tego, czego mamy dokonać.

–Dlaczego nie mielibyśmy już jej potrzebować? – spytał Will ze zdumieniem.

–Ponieważ odtąd nie będzie mi już towarzyszyć. Bo i po co? Przecież mam ciebie.

OSIEM

1

Burnt Yarley było zbyt małą osadą, aby mogło pozwolić sobie na własnego policjanta. Gdy potrzebna była interwencja stróża prawa, co zdarzało się nader rzadko, radiowóz przyjeżdżał tu ze Skipton. Tego wieczoru zgłoszenie przyjęto przed dwudziestą, zaginięcie trzynastolatka, który uciekł z domu, i radiowóz z posterunkowymi Maynardem i Harperem zjawił się przed domem Rabjohnsów około wpół do dziewiątej. Policjanci nie dowiedzieli się wiele od rodziców. Chłopiec zniknął ze swojej sypialni między osiemnastą a dziewiętnastą. Ani gorączka, ani lekarstwa nie mogły wywołać u niego delirium, nic też nie wskazywało na porwanie, toteż należało przypuszczać, że odszedł z własnej woli, w pełni świadomy tego co robi. Rodzice nie mieli pojęcia dokąd mógł się udać. Ojciec, którego protekcyjny ton i zachowanie nie przypadły policjantom do gustu, domniemywał, że chłopiec wyruszył w drogę do Manchesteru.

–Niby po co miałyby to robić? – spytał Doug Maynard, który nie próbował ukrywać swej antypatii wobec Rabjohnsów.

–Ostatnimi czasy sprawiał wrażenie nieszczęśliwego – odparł Hugo. – On i ja trochę się posprzeczailiśmy. Padły ostre słowa.

–Jak ostre?

–Pan coś sugeruje? – prychnął Hugo.

–Niczego nie sugeruję, zadałem tylko pytanie. Pan pozwoli, że wyrażę się jaśniej. Czy złoł pan synowi skórę?

–Na Boga, nie. I pragnę jedynie dodać, że czuję się urażony...

–Pańskie uczucia możemy sobie na razie darować. Odlóżmy to na później, dobrze? – rzucił Maynard. – Będzie mógł pan czuć się urażony do woli, kiedy już odnajdziemy chłopca. Jeżeli faktycznie błąka się gdzieś tam, na mrozie, mamy niewiele czasu. Temperatura wciąż spada...

–Czy zechciałby pan łaskawie mówić trochę ciszej? – syknął Hugo, spoglądając w stronę otwartych drzwi. – Moja żona i tak jest już w ciężkim stanie.

Maynard skinął głową do swego partnera.

–Porozmawiasz z nią, Phil?

–Ona wie tyle samo co ja – odparł Hugo.

–Zdziwiłby się pan, ilu rzeczy dzieci nie mówią ojcom, a zwierzają się swoim matkom, albo na

odwrót – rzekł Maynard. – Phil, tylko delikatnie, dobra?

–Oczywiście... – zapewnił Phil i oddalił się.

–A więc nie podniósł pan na niego ręki? – ponownie spytał Maynard Hugona. – Padły jednak pewne słowa...

–Zachował się jak skończony idiota.

–Co takiego zrobił?

–Właściwie nic wielkiego – odparł Hugo – któregoś popołudnia wyszedł z domu...

–A zatem uciekał już wcześniej?

–To nie była ucieczka.

–Może tylko panu tak powiedział?

–Nie okłamałby mnie – uciął Hugo.

–Skąd pan wie?

–Ponieważ znam tego chłopca i potrafię go przejrzeć na wylot – odparł Hugo, obrzucając Maynarda spojrzeniem, jakie rezerwował zwykle dla najbardziej tępych spośród swoich uczniów.

–Dobrze. A zatem, kiedy tamtego popołudnia wyszedł z domu, czy domyśla się pan, dokąd mógł się udać?

–W żadne konkretne miejsce, jak zwykle.

–Jeżeli miał pan z synem taki kontakt, jak ze mną, to wcale się nie dziwię, że uciekł – skomentował Maynard. – Dokąd mógł pójść?

–Nie potrzeba mi wykładów na temat powinności rodzicielskich od kogoś takiego jak pan – odparował Hugo. – Chłopiec ma trzynaście lat. Skoro ma ochotę poszwendać się po okolicznych wzgórzach, to jego sprawa. Nie pytam go o szczegóły. Rozzłościłem się na syna tylko dlatego, że Eleanor denerwuje się i martwi o niego.

–Uważa pan, że poszedł na wzgórze?

–Tak przypuszczam.

–I dzisiejszego wieczoru mógł zrobić to samo?

–Chyba musiałby do reszty postradać rozum, aby udać się tam w taką noc, nie sądzi pan?

–To zależy do jakiego stopnia jest zdesperowany, nieprawdaż? – odrzekł Maynard. – Szczerze mówiąc, gdybym ja miał takiego ojca, przejawiałbym tendencje samobójcze.

Hugo już miał wysmażyć jakąś gniewną ripostę, ale w tej samej chwili Maynard wyszedł z pokoju. Zastał Phila w kuchni, pijącego herbatę.

–Czeka nas przeszukiwanie okolicznych wzgórz, Phil. Lepiej zacznij zwoływać mieszkańców. Przyda się każda pomoc. – Wyjrzał przez okno. – Robi się coraz paskudniej. W jakim stanie jest matka chłopca?

Phil skrzywił się.

–Da sobie radę – odparł. – Wzięła tyle pigułek, że można by nimi ułagodzić całą tę wioskę. Musiała być kiedyś niezłą ślicznotką.

–To dlatego robisz jej herbatę – odparł Doug, szturchając go w żebra. – Poczekaj, niech no tylko powiem o tym Kathy.

–Trochę to dziwne, nie uważasz?

–Co takiego?

–Rabjohnsowie, ona i ten dzieciak. – Wsypał łyżeczkę cukru do herbaty i zamieszał. – Jakoś nie wydaje mi się, żeby ta rodzina była naprawdę szczęśliwa.

–Do czego zmierzasz?

–Do niczego – odparł Phil, odkładając łyżeczkę na spodeczek. – Po prostu nie wydaje mi się, żeby ta rodzina była naprawdę szczęśliwa. To wszystko.

W dolinie już nie po raz pierwszy organizowano grupę poszukiwawczą. Co najmniej raz, dwa razy do roku, zwykle wczesną wiosną lub późną jesienią zdarzało się, że wędrujący po okolicznych wzgórzach nie docierali na umówione miejsce spotkania, i jeśli sytuacja wyglądała naprawdę poważnie, zwoływano zespół ochotników, by odnaleźć zaginionych. O tej porze roku wzgórze bywały zdradliwe, nadciągające nagle opary mgieł zasnuwały drogę, skalne półki i uchwyty dla rąk stawały się śliskie i niepewne. Zazwyczaj tego typu zdarzenia kończyły się szczęśliwie. Ale nie zawsze. Bywało, że ciało znoszono ze wzgórz na noszach. Czasem, choć nadzwyczaj rzadko, po zaginionym ginął wszelki ślad, ofiara przepadała na zawsze w jakiejś szczelinie czy jamie i nikt jej nigdy więcej nie widział.

Parę minut po dwudziestej drugiej Frannie usłyszała samochody na ulicy i wstała z łóżka, żeby zobaczyć co się dzieje. Nietrudno było się domyślić. Na środku ulicy debatowała grupka kilkunastu ciepło ubranych mężczyzn. Choć znajdowali się w pewnej odległości od niej i wciąż sypał gęsty śnieg, rozpoznała kilku z nich. Na przykład pana Donnelly'ego, który miał sklep mięsny (w wiosce nie było drugiego takiego grubasa jak on, a jego syn, Neville, z którym Frannie chodziła do szkoły, także miał już sporą nadwagę). Rozpoznała także pana Suttona, właściciela pubu, jego ruda broda rzucała się w oczy podobnie jak kałdun rzeźnika. Wypatrywała swego ojca, ale nigdzie nie było go widać.

W ubiegłym roku, grając w piłkę, złamał nogę w kostce i wciąż jeszcze utykał. Frannie uznała, że z uwagi na bolącą nogę (a może za namową mamy) zrezygnował z udziału w poszukiwaniach.

Mężczyźni podzielili się na cztery trzyosobowe i jeden dwuosobowy zespół. Patrzyła, jak rozchodzą się do swoich aut i wsiadają do nich, pokrzykując między sobą. Na środku ulicy zrobił się niewielki zator, dopóki auta nie zawróciły, kierowcy nawet teraz wymieniali między sobą ostatnie instrukcje i zadania, ale w końcu droga opustoszała i ryk silników aut rozpląnął się w ciszy, kiedy poszukiwacze rozjechali się w różnych kierunkach. Frannie stała przy oknie, patrząc, jak śnieg zaciera ślady opon na ulicy, i poczuła nieprzyjemny ucisk w gardle. A gdyby któremuś z tych mężczyzn coś się stało, jak by się wówczas czuła, mając świadomość, że od początku wiedziała dokąd naprawdę udał się Will?

– Jesteś paskudny, Willu Rabjohns – wycedziła, dotykając wargami zimnej szyby. – Jeśli jeszcze kiedyś cię zobaczę, pożałujesz. – Rzecz jasna były to czcze pogróżki, ale poczuła się nieco lepiej, mogąc wyrazić swój gniew wobec tego, który wpakował ją w tę kabałę. I który, co gorsza, porzucił ją, tak jak to wcześniej zapowiedział. Czuła na barkach ciężące jej brzemię milczenia, ale nie potrafiła mu wybaczyć, że tak po prostu odszedł, uciekł w świat, po tym jak zadała sobie tyle trudu, by się z nim zaprzyjaźnić.

Gdy wróciła do łóżka, usłyszała dochodzący z dołu głos ojca. A więc nie pojechał z tamtymi.

Dobre i to, aczkolwiek mizerna to była pociecha. Nie usłyszała, co mówił, lecz jego spokojny głos przyniósł jej ukojenie i podziałał na nią niczym najcudowniejsza kołysanka, albowiem w kilka chwil później odegnała od siebie wszelkie troski i najzwyczajniej w świecie usnęła.

DZIEWIĘĆ

1

Wspinaczka nie była dla Willa uciążliwa, bo miał obok siebie Jacoba. Gdy zbocze stawało się zbyt strome, lub śliskie, wystarczyło, że mężczyzna przyłożył dłoń do karku chłopca, i część siły Steepa przepływała przez palce do ciała Willa, pozwalając mu pokonywać najtrudniejsze nawet odcinki stoku. Bywało, że po takim dotknięciu Will odnosił wrażenie, że nie tyle się wspina, co przepływa w powietrzu, ponad śniegiem i kamieniami.

Wiał zbyt silny wiatr, aby mogli rozmawiać, lecz niejednokrotnie czuł bliskość umysłu Jacoba. Gdy tak się działo, jego myśli kierowały się tam, dokąd nakazano mu się zwrócić: w górę zbocza, gdzie od czasu do czasu było widać cel ich wędrówki, i w dół, w głąb doliny, z której uciekli, doskonale widocznej odkąd śnieżycy ustała. Willa nie zdziwiła ta zażyłość i mentalna bliskość. Steep nie był taki jak inni – Will zrozumiał to od samego początku. Żywi i umierający podsycamy ogień – to mądrość dostępna jedynie wybranym. Połączył siły z niezwykłym mężczyzną, którego sekrety zostaną z wolna ujawnione, w miarę upływu czasu, gdy będą wspólnie podróżować.

To będzie nieograniczona wiedza, nieograniczona mądrość – myśl ta zaświtała w jego głowie wyraźniej od innych i był pewien, że Steep zdołał ją wychwycić. Czegokolwiek zażąda od niego ten mężczyzna, Will to zrobi. Od tej pory tak właśnie będzie w kontaktach między nimi. Tyle przynajmniej mógł zrobić dla kogoś, kto dał mu więcej niż jakikolwiek inny człowiek na tym świecie.

2

W gmachu Sądu, poniżej, Rosa siedziała w ciemnościach, nasłuchując. Słuch zawsze miała wyostrzony, niekiedy nawet ją to drażniło. Bywały takie dni, a nawet tygodnie, kiedy celowo się upijała (zazwyczaj dżinem, choć nie gardziła również szkocką), by zagłuszyć dźwięki dochodzące do niej ze wszystkich stron. To nie zawsze się udawało. Prawdę mówiąc, kilka razy skończyło się fatalnie, zamiast bowiem wytłumić jej kontakt ze światem, alkohol pozbawił ją samokontroli.

To były straszne czasy, potworne, mroczne czasy. Szalała wtedy, grożąc, że zrobi sobie coś złego, usiłując uszkodzić sobie uszy lub wyłupić oczy, i zapewne dopięłaby swego, gdyby Jacob nie ułagodził jej szybkim numerkiem. To zwykle pomagało. W przyszłości będzie musiała ograniczyć picie, skonstatowała, przynajmniej dopóki nie znajdzie następcy Steepa. Szkoda, że chłopiec był jeszcze mały, w przeciwnym razie zabawiłaby się z nim trochę.

Gdy, niekiedy, zdarzało się jej zabrać ze sobą do łóżka innego mężczyznę, prócz Steepa, zawsze przeżywała srogie rozczarowanie. Niezależnie jak jurni, silni i podnieceni się wydawali,

żaden z nich nie był w stanie sprostać Jacobowi pod względem wytrzymałości i sprawności fizycznej. Do licha, jednak będzie go jej brakować. Był dla niej więcej niż mężem, więcej niż kochankiem; stanowił obiekt seksualny, materiał do wykorzystania, był jej partnerem, z którym przełamywała wszelkie możliwe tabu, dla którego nie istniały żadne zahamowania i w porównaniu z którym błędy wszelkie inne jej osiągnięcia czy fascynacje, przeżyte w towarzystwie zarówno człowieka, jak i zwierzęcia.

Zwierzę. Tak, to niezła myśl. Może powinna zacząć szukać kochanka w królestwie zwierząt. Próbowала tego już wcześniej – szczęściarzem, który dostąpił tego zaszczytu, był ogier o imieniu Tallis. Nie dopuściła jednak, by ten związek w pełni się rozwinął; używając przenośni, mogłaby rzec, iż ściągnęła mocniej wodze swego kochanka. Uznała, że parzenie się z ogierem jest, po pierwsze, niewygodne, a po drugie, niehigieniczne. Tyle że po odejściu Jacoba będzie musiała wymyślić jakiś sposób, by poszerzyć gamę erotycznych doznań. Może przy odrobinie cierpliwości znajdzie istotę równą jej pod względem wytrzymałości i być może będzie to jakieś zwierzę.

Tymczasem nasłuchiwała z uwagą – wsłuchiwała się w odgłos płatków śniegu spadających na dach i podest przed domem, na trawę, na drogę, na domy, na wzgórze, na ujadającego psa, na krowy w oborze, w bełkotliwe dźwięki płynące z telewizorów, płacz dzieci i niewyraźne słowa (nie potrafiła powiedzieć, czy pochodziły z ust mężczyzny, czy kobiety), które jakiś staruszek lub staruszka mamrotał cicho przez sen.

Nagle usłyszała coś jeszcze. Znacznie bliżej. Kroki na oblodzonej drodze, oddech dobywający się spomiędzy spierzchniętych warg. Nie, to nie był jeden lecz dwa oddechy. Oba męskie. Po chwili jeden z mężczyzn odezwał się.

–A co z Sądem? – Uznała, że mówiący te słowa musiał odznaczać się sporą tuszą.

–Chyba powinniśmy tam zajrzeć – odparł drugi, bez większego entuzjazmu. – Jeżeli ten dzieciak ma choć trochę oleju w głowie, powinien schronić się przed zimnem.

–Gdyby miał choćby odrobinę oleju w głowie, to po pierwsze, nie uciekłby z domu.

Idą tu, pomyślała pani McGee, podnosząc się z sędziowskiego fotela. Szukają chłopca, mężczyźni pełni współczucia, jakże ona kochała współczujących mężczyzn! – i uznali, że być może znajdą go właśnie tutaj. Odgarnęła włosy z czoła i kilkoma uszczypnięciami zaróżowiła sobie policzki. To jedyne co mogła zrobić.

Potem zaczęła rozpinąć guziki sukni, aby zawrócić ich uwagę, gdy się tu zjawią. Może mimo wszystko obejdzie się bez szukania uciech seksualnych w brudnej, cuchnącej stajni. Może ci dwaj zastąpią tego, którego utraciła, przynajmniej dzisiejszej nocy.

Śnieżyca i zawierucha odeszły na dobre, na południowy zachód, nim Will i Jacob ujrzeli w końcu szczyt wzgórza. Przez rzednący śnieg Will zobaczył rozległy zagajnik. Drzewa rzecz jasna były pozbawione liści (tym, czego nie dokonała pora roku, na dobre zajęła się zeszłej nocy wichura), ale rosły tak gęsto, i było ich tyle, że musiały w przeszłości wzajemnie się chronić, aż koniec końców utworzyły spory zagajnik. Teraz, gdy wiatr trochę ucichł, Will zapytał:

–Czy tam właśnie zmierzamy?

–Tak – odrzekł Jacob, nie patrząc na niego.

–Po co?

–Ponieważ mamy tam coś do zrobienia.

–Ale co? – spytał Will.

Chmury rozwiały się i w chwili, gdy zadał to pytanie, za drzewami pojawił się splachetek ciemnego, upstrzonego gwiazdami nieba. Zupełnie jakby po drugiej stronie lasu otwarto drzwi; widok był na tyle zdumiewający, że Will w głębi duszy podejrzewał, że była to kuglarska sztuczka, sprytnie zaaranżowana przez Jacoba. A może, i to wydawało się znacznie bardziej prawdopodobne, całkiem przypadkowo dotarli tu właśnie w tej chwili; mieli po prostu szczęście i tyle.

–Wśród tych drzew żyje ptak – ciągnął Jacob. – Właściwie to para ptaków. A ja chciałbym, żebyś je dla mnie zabił.

Powiedział to bez żadnych szczególnych nacisków, jakby to, o czym mówił, było nic nieznaczącą błahostką.

–Mam nóż i chciałbym, żebyś zrobił to właśnie nim. – Dopiero teraz spojrzał na Willa przenikliwym wzrokiem. – Jako chłopiec z miasta zapewne nie masz takiego doświadczenia z ptakami jak z ćmami czy innymi owadami.

–To fakt. Nie mam – przyznał Will, mając nadzieję, że w jego głosie nie zabrzmiała nuta wahania czy powątpiewania. – Ale przypuszczam, że to dość proste.

–Zakładam, że jadasz drób – rzekł Jacob.

Oczywiście, że tak. Uwielbiał smażonego kurczaka i świątecznego indyka. Zjadł kiedyś nawet gołąbka przyrządzonego przez Adele, choć jak mu wyjaśniła, nie robi się ich z tych brudnych ptaków, których jak w każdym mieście, pełno było także w Manchesterze.

–Tak. Przepadam za nim – przyznał, a zadanie, jakie mu wyznaczył Jacob, wydało mu się prostsze, gdy pomyślał o kurzym udku z grilla. – Skąd mam wiedzieć, jakie ptaki mam dla ciebie...

–Powiedz to.

–Zabić?

–Bez obawy, wskażę ci je. Jak sam powiedziałeś, to proste. – Powiedział to, czyż nie? Teraz musiał tylko sprostać wyzwaniu. – Uważaj z tym – rzekł Jacob, podając mu nóż. – Jest wyjątkowo ostry.

Will przyjął nóż z radością i narastającą ekscytacją. Czy tylko mu się wydawało, czy z ostrza wypłynął silny prąd, który przeniknął go do szpiku kości? Chyba tak. Wrażenie było bez wątpienia bardzo subtelne, ale kiedy jego dłoń zacisnęła się na rękojeści, odniósł wrażenie, jakby ten nóż był jego przyjacielem, jakby to ostrze i on znali się doskonale, i to od bardzo dawna.

–Świetnie – rzekł Jacob, widząc, że Will bez lęku wziął nóż do ręki.

–Wygląda na to, że mówiłeś szczerze.

Will uśmiechnął się. Nie miał co do tego wątpliwości. Zrobi co do niego należało. Użyje noża zgodnie z jego przeznaczeniem. Pokaże na co go stać. Znaleźli się na skraju lasu, chmury całkiem się już rozwiały i okoliczne drzewa zdawały się błyszczeć w bladym świetle gwiazd. Will wciąż jeszcze odczuwał lekki niepokój związany z tym co miał niebawem zrobić, a raczej z jego własnymi kompetencjami dotyczącymi tego czynu – nie wątpił, że jest w stanie zabić wskazane ptaki – ale nie okazywał swego wahania przed Jacobem. Wszedł między drzewa, idąc o krok przed swoim towarzyszem, i natychmiast ogarnęła go cisza, tak dostojna i niezmaczona, że aż wstrzymał oddech, w obawie, by jej nie zakłócić.

Idący za nim Jacob powiedział:

–Powoli. Nie spiesz się. Raduj się chwilą.

Mimo to dłoń Willa, tę ściskającą nóż, przepełniało niezwykle mrowienie, bliżej niesprecyzowane podniecenie i ożywienie. Nóż chciał już teraz, zaraz, dokonać krwawego dzieła.

–Gdzie one są? – wyszeptał Will.

Jacob położył mu rękę na karku.

–Po prostu patrz – mruknął.

Choć przed nimi z pozoru nic się nie zmieniło, na dźwięk słów Jacoba Will zdołał wejrzeć poza płataninę gałęzi drzew i krzewów, poprzez pełen splendoru roziskrzony szron i powietrze przesycone blaskiem gwiazd aż do samego serca tego miejsca. A raczej do miejsca, które w tej chwili uznał za serce zagajnika: przy pniu starego drzewa, pod sękatym korzeniem kulily się dwa ptaki. Oczy miały rozszerzone i żywe (widział, jak mrugały, choć dzieliło go od nich ponad dziesięć jardów), główki lekko przekrzywione.

–Widzą mnie – wysapał Will.

–Ty też je widzisz.

–Zgadza się.

–Patrz na nie.

–Patrzę.

–A teraz skończ z nimi. No, idź już.

Jacob pchnął go leciutko, a Will beznamiętnie jak duch ruszył naprzód, zdawało się, że przepłynął w powietrzu nad ośnieżoną ziemią. Nie odrywał wzroku od pary ptaków. Wyglądały całkiem zwyczajnie. Dwa kłębki nastroszonych burych piór, ich skrzydła miały nieznacznie srebrnawy połysk. Nie wyglądają okazalej niż ćmy, które zabiłem w Sądzie, skonstatował. Zbliżał się do nich powoli. Nie spieszył się. Chłonał każdą chwilę, choć dłoń z nożem drżała ze zniecierpliwienia, miał wrażenie, jakby płynął ku swemu celowi przez wąski, czarny tunel, i prócz dwóch ptaków przed sobą nie widział niczego więcej. Były razem z nim w tym tunelu. Uwięzione jego wolą, wolą myśliwego. Tylko one i on. I nic więcej. Nawet gdyby wzbiły się teraz w powietrze, nie mogłyby mu uciec, był o tym przekonany. Mogły próbować odfrunąć, dziobać, ale niezależnie od tego co zrobią i tak odbierze im życie.

Znajdował się o niespełna trzy kroki od drzewa, unosząc rękę, by podciąć im gardła, kiedy jeden z ptaków poderwał się do ucieczki. To, co zrobiła dłoń, w której trzymał nóż, całkiem go zaskoczyło. Ręka wystrzeliła w górę, przecinając powietrze przed jego twarzą, jak rozmazana, szara smuga, i zanim się zorientował, ostrze noża przebiło ptaka na wylot. Choć w gruncie rzeczy nie było to jego dziełem, poczuł nagły przypływ dumy z tego co się stało.

Spójrz na mnie! – pomyślał, wiedząc, że Jacob mu się przygląda. Czyż to nie było szybkie? Czyż to nie było piękne?

Drugi ptak wzbił się w powietrze, podczas gdy pierwszy trzepotał skrzydłami jak zabawka na patyku. Will nie miał czasu, by uwolnić ostrze. Sięgnął lewą ręką tak jak wcześniej prawą. Wystrzeliła w górę niczym pięciopalczasta błyskawica, by strącić ptaka na ziemię. Ptak runął brzuchem do góry, u stóp Willa. Uderzenie chłopca przetrąciło mu kark. Stworzenie zatrzepotało skrzydłami i sfajdało się. A potem skonało.

Will spojrzął na przebitego nożem ptaka. W ciągu tych kilku chwil, jakie zajęło mu zabicie drugiego ptaka, ten także wyzionął ducha. Struga gorącej krwi spłynęła po nożu na dłoń chłopca.

To proste, pomyślał. I rzeczywiście tak było. Jeszcze przed chwilą mrugały oczami i przekrzywiały główki, a ich serca biły. Teraz oba były martwe, pogruchotane i okrwawione. To było proste.

–To, czego przed chwilą dokonałeś, jest nieodwracalne – rzekł Jacob, kładąc dłonie na ramionach Willa i stając za nim. – Zastanów się nad tym. – Jego dotyk nie był już delikatny i lekki. – Na tym świecie wskrzeszenia nie są na porządku dziennym. One odeszły. Na zawsze.

–Wiem.

–Nie. Nie wiesz – rzekł Jacob. Słowa przez niego wypowiedane były równie ciężkie jak jego ręce. – Nie wiesz. Nie masz pojęcia. Widzisz je bez życia, ale żebyś zrozumiał co to oznacza, potrzeba trochę czasu. – Zdjął lewą dłoń z ramienia Willa i sięgnął do przodu. – Czy mogę odzyskać mój nóż? O ile już skończyłeś, ma się rozumieć.

Will zsunął ptaka z ostrza, okrwawiając sobie przy tym palce drugiej dłoni, i cisnął truchło obok drugiej martwej istoty. Następnie wytarł nóż do czysta o rękaw swojej kurtki, nonszalanckim – jak mu się wydawało – gestem i oddał broń Jacobowi równie ostrożnie, jak wcześniej ją przyjął.

–A gdybym ci powiedział – rzekł Jacob cichym, niemal posępnym tonem – że te dwa stworzenia leżące u twoich stóp, które tak skutecznie i sprawnie uśmiercałeś, były ostatnimi przedstawicielami swojego gatunku?

–Ostatnimi ptakami?

–Nie – odparł Jacob z oburzeniem. – Nic równie ambitnego. Po prostu ostatnimi takimi ptakami.

–A są nimi?

–A gdyby były? Jak byś się poczuł?

–Nie wiem – odparł sennie Will. – Przecież to tylko ptaki.

–Och – mruknął z przekąsem Jacob. – Zastanów się.

Will zrobił to. I jak to mu się już kilkakrotnie zdarzyło w obecności Steepa, jego własny umysł wydał mu się obcy, przepełniony myślami, które wcześniej były dla niego niewyobrażalne. Spojrzął na swoje dłonie i krew, która zdawała się na nich pulsować, jakby posoka wciąż pamiętała, jak tętniła w cienkich, ptasich żyłach. I gdy tak patrzył, zastanowił się nad słowami

Steepa.

A gdyby były ostatnie, naprawdę ostatnie, to, co zrobił, było przecież nieodwracalne. Nie będzie cudownego wskrzeszenia. Ani tej nocy, ani nigdy. A gdyby były ostatnie, błękit i brąz. Ostatnie, które tak kiedykolwiek podskakiwały, fruwały, śpiewały, zalecały się do siebie i płodziły młode; podskakujące, fruujące, śpiewające i zalecające się w ten sam sposób.

–Och – mruknął. Dopiero teraz zaczął pojmować. – Ja... chyba troszkę zmieniłem świat, zgadza się? – Odwrócił się i spojrzął na Jacoba. – Mam rację, prawda? To właśnie zrobiłem! Zmieniłem świat.

–Być może... – powiedział Jacob. Na jego ustach wykwitł delikatny uśmiezek zadowolenia, ucieszył się, że ma tak bystrego ucznia. – Gdyby one naprawdę były ostatnie, możliwe, że nawet bardziej niż trochę.

–A są ostatnie? – spytał Will. – No, jak? Czy naprawdę są ostatnie?

–Chciałbyś, żeby były? – spytał Jacob.

Will chciał tego tak bardzo, że aż zabrakło mu słów. Mógł jedynie pokiwać głową.

–Może któreś innej nocy – dodał Jacob. – Na pewno nie dziś. Przykro mi, że muszę cię rozczarować, ale te ptaki – wskazał na leżące na trawie ciała – są równie pospolite jak ćmy.

Will poczuł się tak, jakby właśnie otrzymał prezent i stwierdził, że pudełko jest puste.

–Wiem, jak to jest, Will. Wiem co teraz czujesz. Dłonie mówią ci, że dokonałeś czegoś cudownego, ale rozglądasz się wokół i okazuje się, że nic się nie zmieniło. Mam rację?

–Tak – odparł.

Nagle zapragnął zmyć z dłoni tę bezwartościową krew. Były takie zwinne i szybkie, zasłużyły na coś lepszego. Na krew jakiegoś rzadkiego stworzenia, którego śmierć nie pozostanie niezauważona. Która coś zmieni. Schylił się, po czym, zerwawszy garść trawy, zaczął ścierać posokę z dłoni.

–I co teraz? – zapytał, nie przerywając znużonej czynności. – Nie chcę zostawać tu dłużej. Chciałbym...

Nie dokończył, bo w tej samej chwili powietrze wokół nich zafalowało, jakby ziemia wydała z siebie delikatne tchnienie. Przerwał wycieranie dłoni i powoli się wyprostował, upuszczając na ziemię pęk trawy.

–Co to było? – zapytał szeptem.

–Ty to zrobiłeś, nie ja – odrzekł Jacob.

Will nigdy jeszcze nie słyszał takiego tonu w jego głosie, i to go zaniepokoiło.

–Co ja zrobiłem? – zapytał Will, rozglądając się wokół w poszukiwaniu wyjaśnienia tego zjawiska. Nie zobaczył jednak nic niezwykłego. Wyłącznie śnieg, drzewa i gwiazdy.

–Nie chcę tego – wymamrotał Jacob. – Słyszysz? Nie chcę tego.

W jego głosie brzmiały niepewność i niepokój.

Will spojrział na niego. Dostrzegł trwogę malującą się na jego obliczu.

–Czego nie chcesz? – zwrócił się do niego Will.

Jacob przeniósł wzrok na Willa. Było widać, że się czegoś boi.

–Masz w sobie więcej mocy, niż przypuszczasz, chłopcze – powiedział. – Dużo więcej.

–Ale ja nic nie zrobiłem – zaprotestował Will.

–Jesteś przewodnikiem.

–Czym?

–Do licha, dlaczego wcześniej się nie zorientowałem? Czemu nie potrafiłem tego dostrzec? – Cofnął się o dwa kroki od Willa, gdy powietrze ponownie zafalowało, znacznie silniej niż poprzednio. – Boże w niebiosach. Nie chcę tego.

Jego cierpienie sprawiło, że Will poczuł, jak ogarnia go pustka. Nie takich słów oczekiwał od swego idola. Nie to pragnął usłyszeć. Zrobił wszystko, o co go poproszono. Zabił ptaki, oczyścił i zwrócił nóż, nawet starał się ukryć swoje rozczarowanie. Czemu więc jego opiekun odsuwał się od niego jak od wściekłego psa?

–Proszę... – odezwał się do Steepa. – Ja nie chciałem, cokolwiek zrobiłem, przepraszam...

Jacob jednak wciąż się przed nim cofał.

–Nie chodzi o ciebie, lecz o nas. Nie chcę, by twoje oczy ujrzały to co ja widziałem. A już na pewno nie to. Nie jego. Nie Thomasa...

Znów zaczął mamrotać coś bez ładu i składu, a Will, przekonany, że jego wybawca zamierza wziąć nogi za pas, i pewien, że gdy tamten odejdzie, to, co ich połączyło, dobiegnie końca, wyciągnął rękę i chwycił go za ramię. Jacob krzyknął i szarpnął mocno, usiłując się uwolnić, ale gdy to zrobił, dłoń Willa, szukając lepszego uchwytu, zacisnęła się wokół jego palców. Dotyk przydał Willowi sił, nigdy jeszcze nie czuł się równie mocny; dzięki dotykowi Jacoba wspiał się na to wzgórze równie szybko i zwinnie jak kozica. Jednakże zajście z nożem i krwawe dzieło, którego dokonał, coś w nim zmieniły. Nie był już biernym biorcą mocy. Jego okrwawione palce

posiadały własne umiejętności i nie był w stanie ich kontrolować. Znowu usłyszał krzyk Jacoba. A może to był jego własny głos? Nie, to były głosy ich obu. Dwa szlochy przybierające na sile i sprawiające wrażenie jakby dobywały się z jednego gardła.

Jacob lękał się nie bez powodu. To samo nieregularne tchnienie, które nie pozwoliło Willowi doprowadzić ręk do porządku, powróciło wzmocnione po stokroć i tym razem owionęło miejsce, w którym obaj stali. Ziemia i niebo zadygotały i w mgnieniu oka zrekonfigurowały się, pozostawiając każdego z nich, przerażonego na swój własny, intymny sposób – Will płakał, ponieważ nie wiedział co się dzieje, Jacob zaś na odwrót – szlochał, zdawał sobie bowiem sprawę, co zaraz nastąpi.

DZIESIĘĆ

1

Później, kiedy rzeźnik Donnelly już nie żył, Geoffrey Sauls, który owej nocy towarzyszył mu w wyprawie do gmachu Sądu, po wielokroć opowiadał skróconą wersję wydarzeń, jakie się tam rozegrały. Czynił to przez pamięć na nieboszczyka, który od siedemnastu lat był jego kumplem od kieliszka i strzałek, a także ze względu na wdowę po Donnellym, dla której cała prawda o śmierci męża mogłaby okazać się nie do zniesienia i tylko spotęgowałaby jej smutek i żal.

A prawda przedstawiała się następująco: weszli po schodach starego budynku sądu, przekonani, że być może zostaną tej nocy bohaterami. W środku ktoś był, to nie ulegało wątpliwości, i przypuszczalnie był to poszukiwany przez nich zbieg. Kto inny mógłby tam być? – debatowali.

Donnelly szedł krok lub dwa przed Saulsem i właśnie dlatego on pierwszy wszedł do sali sądowej. Sauls usłyszał, jak tamten bąknął coś pod nosem, zaskoczony, a gdy znalazł się obok niego, ujrzał kobietę stojącą pośrodku pomieszczenia. Na ziemi, obok miejsca gdzie stała, umieszczono dwie lub trzy grube świece. W ich blasku zauważył, że kobieta jest na wpół rozebrana. Piersi błyszczące od potu miała obnażone, a kiedy chwilę potem podkasła spódnicę i wsunęła pod nią rękę, aby zacząć pieścić się między udami, na jej ustach wykwitł uśmiech rozkoszy. Choć ciało miała jędrne (i piersi sterczące jak u osiemnastolatki), rysy twarzy zdradzały spore doświadczenie. Nie chodziło o to, że miała zmarszczki czy wyglądała staro – jej skóra wydawała się nieskazitelna. Mimo to coś w jej ustach i pewności siebie przeczyło tej niezwyklej gładkości czoła i policzków. Krótko mówiąc, Sauls już na pierwszy rzut oka wiedział, że ma do czynienia z kobietą, która wie czego chce i może to uzyskać. To wcale mu się nie spodobało.

Donnelly'emu odwrotnie. Zanim wyruszyli na poszukiwania, wypił parę podwójnych brandy i to rozluźniło mu język.

– Jesteś piękna – rzekł z podziwem. – Nie jest ci zimno?

Kobieta udzieliła odpowiedzi, na którą bez wątplenia liczył:

– Wyglądasz postawnie, duży z ciebie mężczyzna – powiedziała, na co rzeźnik zachichotał. – Może podejdiesz i spróbujesz mnie trochę ogrzać?

– Del – ostrzegł go Sauls, chwytając kolegę za ramię. – Nie przyszedliśmy tu na podryw. Mamy znaleźć chłopaka.

– Biedny Will – rzekła kobieta. – Zagubiona owieczka.

–Wiesz, gdzie on jest? – spytał Geoffrey.

–Może wiem, a może nie – odrzekła kobieta. Nie odrywała wzroku od Donnelly'ego i równocześnie wciąż zabawiała się ze sobą.

–Czy jest gdzieś tutaj? – zapytał Sauls.

–Może jest, a może nie.

Ta odpowiedź zaniepokoiła Saulsa bardziej niż wszystko inne. Czy to oznaczało, że więziła chłopaka gdzieś tutaj? Boże, dopomóż mu, jeśli tak było. Jej oczy błyszczały szaleństwem, a to w jaki sposób się zaspokajała także nie wyglądało normalnie. Choć szczerze lubił Delberta, żadna normalna kobieta nie powinna go była zapraszać, aby jej dotykał, tak jak ona teraz to robiła, zadzierając sukienkę tak wysoko, że widać było jej srom i palce zagłębione w wilgotną szczelinę aż po drugie kłykcie.

–Na twoim miejscu, Delbercie, nie zbliżałbym się do niej – poradził Sauls.

–Ona chce się tylko trochę zabawić – odparł Del, zmierzając kołyszącym krokiem w stronę kobiety.

–Chłopak jest gdzieś tutaj – rzekł Sauls.

–Więc go znajdź – odrzekł rozmarzonym głosem Donnelly, unosząc swe wielkie dłonie i paluchami grubymi jak serdelki dotykając piersi kobiety. – Ja zajmę się panią.

–Mogę zająć się wami dwoma, jeżeli zechcecie – zasugerowała kobieta.

Delbert jednak nie zamierzał się nią dzielić.

–No idź, Geoffrey – ponaglił go groźnym tonem. – Wielkie dzięki. Sam sobie z nią poradzę.

Geoffrey tylko raz miał okazję bić się z Delbertem (poszło o grę w strzałki, ma się rozumieć) i nie wyszedł z tego starcia zwycięsko. Rzeźnik nie był wielkim pięściarzem, ale miał sporą przewagę, jeżeli chodzi o ciężar ciała nad wątłym jak chucherko Geoffreyem, i po niecałych trzydziestu sekundach Sauls wylądował na wznak w rynsztoku. Skoro nie mógł marzyć o fizycznym odciążeniu Dela od jego obiektu pożądania, nie pozostawało mu nic innego, jak tylko uczynić to, co polecił mu kolega, i poszukać dzieciaka. Zrobił to natychmiast, aby nie opuszczać na długo sali sądowej. Przyświecając sobie latarką, jął systematycznie przeczesywać kolejne korytarze i sale starego budynku, nawołując chłopca jak zagubionego psa.

–Will? Gdzie jesteś? Już dobrze! Możesz wyjść. Will?

W jednym z pomieszczeń natknął się na coś, co musiało zapewne należeć do dziwki – dwie lub trzy torby, kilka rozrzuconych bezładnie sztuk odzieży oraz mnóstwo, sądząc po kształcie,

erotycznych utensyliów. (Nie miał czasu przyjrzeć im się bliżej. Jednakże kilka miesięcy później, kiedy bolesne wspomnienia tamtej nocy nieco zatrać się w jego pamięci, wciąż będzie powracał myślami do tych walających się w całym pokoju przedmiotów; aż stanie się to dlań swoistą obsesją i długo będzie się zastanawiał nad prawdziwym przeznaczeniem najeżonych kolcami walców oraz jedwabnych sznurów). W innym pomieszczeniu natknął się na jeszcze dziwniejszy widok. Poprzewracane meble, popioły na posadzce, fragmenty zwęglonych przedmiotów. Nie znalazł tu jednak chłopca, w pozostałych izbach także nie było żywego ducha. Układ budynku wydał mu się dość dziwny, trudno się w nim było połapać, zwłaszcza teraz, gdy Sauls był zaniepokojony i poruszony. Mógłby zgubić się w tym labiryncie pomieszczeń i korytarzy, gdyby nie usłyszał krzyku – lub może szlochu – Delberta – tak to był szloch – i podążył za tym dźwiękiem, do jego źródła, przez kolejne korytarze, komnatę ze spalonymi meblami i bluźnierczy buduar, aż w końcu znów znalazł się w sali sądowej.

Tu rzecz jasna dochodzimy do tego fragmentu opowieści, który starał się pominąć w całości, ryzykując raczej oskarżenie o łgarstwo niż zniesławienie dobrego imienia przyjaciela. Delbert nie leżał, jak zezna później Sauls, w bezruchu na podłodze, błagając o ocalenie życia. To fakt, leżał na wznak, z opuszczonymi do kostek spodniami i gaciami, a głowę i ręce miał odchyłone do tyłu. Jednak w jego głosie nie było nawet cienia trwogi, być może dlatego że siedziała na nim okrzakiem niemal całkiem naga kobieta i wbijając palce w jego tłusty, piegowaty brzuch, ujeżdżała go, z każdym ruchem bioder coraz mocniej i coraz gwałtowniej.

–Jezu, Del – wychrypiał Sauls, przerażony tym widokiem.

W małych oczach Delberta malowała się niepoohamowana rozkosz.

–Odejdź – powiedział.

–Nie, nie... – wysapała kobieta, przywołując Geoffreya do siebie i pokazując mu sterczące piersi. – On mi się przyda.

Jednakże nawet na wpół przytomny z podniecenia Donnelly nie tracił instynktu samca. – Spieprzaj, Geoffrey – warknął, odwracając lekko głowę, by spojrzeć na potencjalnego rywala. – Ja zobaczyłem ją pierwszy.

–Chyba już najwyższy czas, żebyś się zamknął! – ucięła kobieta.

Dopiero teraz Geoffrey zauważył, że wokół szyi Dela jest coś owinięte. W pierwszej chwili wyglądało to jak cienki sznur z nanizanymi na całej jego długości, w różnych odstępach, koralikami, tyle tylko że ten sznur się poruszał, zaczął falować jak wąż, jego ogon przesunął się, muskając lekko ciało Dela pomiędzy jego różowymi sutkami, a potem rozciągnął się, wzmacniając uścisk na szyi rzeźnika. Del wydał nagle z siebie zdławiony jęk i uniósł dłonie do szyi, usiłując uwolnić się od sznura. Jego zwykle rumiane oblicze poczerwieniało jeszcze bardziej.

–A teraz podejdź tutaj – poleciła Geoffreyowi kobieta, słodkim tonem.

Pokręcił głową. Jeśli miał wcześniej ochotę, by dotknąć tej istoty, to właśnie na dobre ją stracił. Był za bardzo przerażony.

–Nie będę powtarzać – rzekła kobieta do Saulsa. Po czym, zerkając na Delberta, wymamrotała: – Chciałbyś mocniej?

Spomiędzy warg tamtego dobył się bulgoczący, żaloszny charkot, ale węzolina przyjęła to za potwierdzenie i posłusznie wzmogła uścisk.

–Przestań! – krzyknął Sauls. – Zabijesz go!

Spojrzała na niego, jej oblicze było równie beznamienne jak piękne. Powtórzył rozkaz, na wypadek gdyby ta parząca się suka nie zdawała sobie sprawy z tego co robił. Ale ona zrozumiała. Pojął to, ujrzawszy wyraz rozkoszy malujący się na jej ustach, gdy leżący pod nią nieszczęsny Delbert zaczął miotać się i szamotać jak oszalały. Saulus musiał ją powstrzymać, i to szybko, w przeciwnym razie Del umrze.

–Czego chcesz? – spytał, podchodząc do niej.

–Pocałuj mnie – powiedziała.

Jej oczy zwęziły się w szparki, a twarz stała się dziwnie prosta, jakby w ciągu kilku chwil niewidzialny rzeźbiarz ociosał ją na gładko. Wolalby raczej pocałować swoją teściową niż tę dziwkę z piekła rodem, jednak z każdym jego oddechem Del był coraz bliższy śmierci. Jeszcze kilka chwil i będzie po nim. Zbierając się na odwagę, przywarł wargami do odpychającego ciała jej warg, ale ona schwyciła go za włosy i odciągawszy mu głowę do tyłu wycedziła:

–Nie, tam! – Te słowa wypłynęły z jej ust z ciepłym, wonnym oddechem, tak słodkim, że na moment zapomniał o strachu.

–Tutaj! Tutaj!

Przycisnęła jego twarz do swego łona, kiedy jednak pochylił się, by ją obsłużyć, rozpaczliwie wymachujący rękami Delbert złapał go za prawy but i pociągnął. Runął do tyłu, z przeświadczeniem, że to wszystko przypomina bardziej farsę niż tragedię, a gdy spróbował się czegoś złapać, paznokciami rozorał nieskazitelną skórę na ciele kobiety. I tak nic mu to nie dało. Klapnął ciężko na tyłek i na kilka chwil stracił oddech.

Kiedy uniósł głowę, zauważył, że kobieta zeszła z Delberta i zacisnęła palce na swojej piersi.

–Spójrz co zrobiłeś – rzekła, pokazując ślady pozostawione przez jego paznokcie. Na swą obronę stwierdził, że to był wypadek. – Naznaczyłeś mnie!

Z tyłu, za nią, Delbert zaczął coraz gwałtowniej charczeć, nie wymachiwał już rękoma ani nawet nie wierzgał nogami. Geoffrey zauważył, że drugi z dziwnych sznurów tej kobiety oplótł

przyrodzenia rzeźnika, owijając się wokół podstawy penisa, który stał sztywno wyprężony, nawet teraz, gdy z mężczyzny wolno, lecz nieubłaganie uchodziło życie.

–On umiera – powiedział Sauls do kobiety.

Spojrzała na ciało leżące na ziemi.

–To prawda – przyznała. Znow przeniosła wzrok na Geoffreya. – Ale dostał to, czego pragnął, zgadza się? Tak więc teraz pytanie brzmi: Czego ty chcesz?

Nie zamierzał kłamać. Nie zamierzał powiedzieć, że pragnął jej ciała. Skończyłby tak jak Del. Dlatego powiedział prawdę.

–Chcę żyć – odparł. – Chcę wrócić do domu, do żony i dzieci, i udawać, że nic się nie stało.

–To ci się nie uda.

–Uda mi się! – rzucił z naciskiem. – Przysięgam, że mi się uda!

–Nie będziesz chciał wziąć na mnie odwetu za zabicie twego przyjaciela?

–Nie zabijesz go – rzekł Geoffrey.

Uznał, że być może udało mu się odnaleźć jakąś nić porozumienia i zdoła wyjść cało z tej kabały. Bądź co bądź ta kobieta już się zabawiła, nieprawdaż? Skutecznie napędziła strachu im obu, zmieniając go w żywą galaretę, a Delberta w ludzki wibrator. Czego mogła więcej chcieć?

–Chyba jest już za późno, aby go ocalić – odparła kobieta.

Stała teraz pomiędzy nogami Geoffreya, a on czuł się przeraźliwie bezbronny.

–Pozwól przynajmniej, że pomogę Delbertowi – poprosił. – On nie zrobił ci nic złego. To dobry człowiek, domator, głowa rodziny i...

–Na świecie jest takich pełno – parsknęła pogardliwie.

–Na miłość boską, on nie zrobił ci nic złego.

–O Jezu – rzuciła z rozdrażnieniem. – Pomóż mu, jeśli naprawdę musisz.

Obserwował ją niepewnie, podnosząc się z ziemi. Spodziewał się, że lada chwila otrzyma silny cios lub kopnięcie. Ale tak się nie stało. Pozwoliła mu podejść do Delberta, którego twarz stała się purpurowa, na wargach można było dostrzec krwawą ślinę, a gałki oczne wywróciły się w oczodołach, pod drgającymi powiekami. Wciąż miał jeszcze trochę powietrza, lecz nie zostało mu go już wiele, jego pierś poruszała się, w próżnych wysiłkach zaczerpnięcia tchu przez zaciśniętą tchawicę. Obawiając się, że bitwa jest już przegrana, wcisnął palce pomiędzy sznur i

ciało i pociągnął. Del zaczerpnął powietrza, ale ten słaby, urywany oddech był jego ostatnim.

–Nareszcie – rzekła kobieta.

Geoffrey uznał, że chodziło jej o śmierć Dela, ale gdy spojrział na krocze mężczyzny, zdał sobie sprawę z pomyłki. In extremis Del wytrysnął. Ejakulacja była potężna.

–Chryste Panie – rzekł Geoffrey, czując, że zbiera mu się na mdłości.

Kobieta podeszła, by przyjrzeć się temu widowisku.

–Mógłbyś spróbować pocałunku życia – powiedziała. – Kto wie, może sztuczne oddychanie by go wskrzesiło.

Geoffrey utkwił wzrok w twarzy Dela, ustach pokrytych pianą i wychodzących z orbit oczach. Być może istniała niewielka szansa, że zdołałby zmusić jego serce, by ponownie zaczęło bić – i może przyjaciel lepszy niż on podjąłby taką próbę – ale w tej chwili nic na ziemi nie byłoby w stanie nakłonić go, by dotknął wargami ust Delberta Donnelly'ego.

–Nie? – spytała kobieta.

–Nie – odrzekł Geoffrey.

–A zatem pozwoliłeś mu umrzeć. Nie mogłeś się zmusić, by go pocałować, a teraz on nie żyje.

Odwróciła się do Saulsa plecami i odeszła. To nie było ulaskawienie, a jedynie odroczenie egzekucji. Geoffrey zdawał sobie z tego sprawę.

–Święta Mario, Matko Boża – rzekł półgłosem Geoffrey. – Wspomóż mnie w godzinie próby...

–Dziewica Maryja nie jest ci teraz potrzebna – rzekła kobieta – potrzebujesz kogoś trochę bardziej doświadczonego. Kogoś, kto wie co dla ciebie najlepsze.

Geoffrey nie odwrócił się, by na nią spojrzeć. Był pewien, że w jakiś sposób zdołała zahipnotyzować Dela, i gdyby ich spojrzenia się spotkały, w ten sposób dostałaby się także do jego głowy. Musiał jakoś się stąd wydostać, nie patrząc na nią. No i nie mógł zapomnieć o tych jej cholernych sznurach. Ten, którym zgarotowała Dela, już odpełził. Saulus nie chciał zerkać na krocze Dela, by sprawdzić, co stało się z drugim, ale musiał założyć, że gdzieś się tu kręcił. Wiedział, że będzie miał tylko jedną, jedyną szansę ucieczki. Jeżeli nie okaże się dość szybki, straci zimną krew albo zgubi drogę i nie trafi do wyjścia, ta kobieta go dopadnie. Choć zdawała się nie zwracać na niego uwagi, nie pozwoli mu uciec, nie po tym co zobaczył.

–Znasz historię tego miejsca? – zwróciła się do niego.

Zadowolony, że może zająć ją rozmową odparł, że nie.

–Ten gmach zbudował człowiek, który bardzo przejmował się panującą na świecie niesprawiedliwością.

–Och?

–Znaliśmy go, pan Steep i ja, wiele lat temu. Prawdę mówiąc, on i ja byliśmy ze sobą, aczkolwiek bardzo krótko.

–Szczęściarz – odparł Geoffrey, licząc, że to pochlebstwo okaże się skuteczne. Naturalnie, jej słowa były zwykłymi urojeniami.

Choć nie wiedział zbyt wiele na temat tego budynku, był pewien, że Sąd musiał mieć co najmniej sto lat, a może nawet więcej.

–Nie pamiętam go dobrze – ciągnęła w zadumie. – Jedyne jego nos. Miał największy nos, jaki kiedykolwiek widziałam. Gigantyczny. Przysięgał, że to właśnie ten nos uczynił go tak otwartym i wyczulonym na cierpienia zwierząt...

Podczas gdy kobieta kontynuowała swój szaleńczy monolog, Geoffrey rozejrzał się ukradkiem na prawo i lewo, by lepiej zorientować się w otoczeniu. Mimo że nie widział drzwi prowadzących ku wolności, domyślił się, że są z tyłu, za jego lewym ramieniem. Kobieta mówiła dalej:

–One są bardziej wyczulone na zapachy niż my. Pan Bartholomeus z powodu swego nosa twierdził, że miał zmysł powonienia bardziej jak zwierzę, niż jak człowiek. I wychwytywał konkretne zapachy. Aromat piżma, woń ambrozji, mefityczny fetor. Dzielił zapachy na kategorie, którym nadawał konkretne nazwy, gnilny, piżmowy, balsamiczny. Innych nie pamiętam. Jego też zapomniałam, za wyjątkiem tego nosa. To zabawne, co pamiętamy, jeśli chodzi o różnych ludzi, nieprawdaż? – Przerwała. I po chwili spytała: – Jak się nazywasz?

–Geoffrey Sauls.

Czy usłyszał za plecami kroki? Musiał wiać, w przeciwnym razie go dopadnie. Zlustrował przestrzeń przed sobą, wypatrując zabójczych różańców kobiety.

–A masz drugie imię?

–Ach, tak. Tak.

Nie zauważył żadnego poruszenia, ale to nie oznaczało, że ich tam nie było, ukrytych gdzieś w ciemnościach.

–Aleksander.

–To ładniejsze imię niż Geoffrey – powiedziała.

Jej głos dochodził z bliska. Spojrzał na twarz Dela, by dodać sobie motywacji, po czym zerwał się i rzucił w stronę drzwi. Jego przypuszczenia okazały się słuszne. Drzwi znajdowały się dokładnie na wprost niego. Kątem oka dostrzegł kobietę i poczuł na sobie jej palący wzrok. Nie pozwolił, by go spętała „złym okiem”. Pobiegnął dalej. Wydając okrzyk, którego nauczył się w wojsku (gdy szkolono go do walki wręcz i ataku na bagnety, a teraz wykorzystał go podczas ucieczki, ale co tam, grunt żeby spełnił swoje zadanie), pognął co sił w nogach do wyjścia. Od dzieciństwa jego zmysły nie były równie wyostrzone, ciało przepełnione adrenaliną wychwytywało każdy nawet najdrobniejszy impuls z otoczenia. Usłyszał świst różańców tnących powietrze, a gdy obejrzał się przez ramię, ujrzał, jak lecą w jego stronę niczym ozdobione koralikami błyskawice. Uskoczył w prawo, pochylił się i zobaczył, jak przelatują tuż obok i uderzają w drzwi. Wiły się przy nich przez mgnienie oka, a on tymczasem zacisnął dłoń na klamce i otworzył drzwi na oścież. Zdumiała go jego własna siła. Chociaż drzwi były ciężkie, a zawiasy zardzewiałe i skrzypiące, otworzył je tak energicznie, że aż huknęły o ścianę.

–Aleksandrze – zawołała jedwabistym głosem kobieta. – Wróć. Słyszysz, Aleksandrze?

Pobiegnął w głąb korytarza, niewzruszony jej wołaniem i miał po temu ważki powód. Tylko matka, której z całego serca nienawidził, zwracała się do niego, używając tego imienia. Ta kobieta mogła nawoływać go syrenim śpiewem, nawet do końca świata, dopóki będzie nazywać go Aleksandrem, był całkowicie bezpieczny. Wybiegł na dwór, zbiegł po schodach i przedarł się przez żywopłot, ani razu się nie oglądając. Rozgarniając zarośla, wypadł na drogę, czując palący ból w płucach i serce nieomal wyrywające się z piersi, ale przepełniało go nieopisane szczęście, to doznanie było tak niezwykle, że cieszył się, że prócz niego w okolicy, jak okiem sięgnąć, nie było żywego ducha. Później, kiedy będzie wspominał to zdarzenie, opíše je tonem pełnym powagi i dostojeństwa. Cichym, posępnym głosem opowie o tym, jak stracił przyjaciela. Teraz jednak krzyczał, śmiał się i czuł cudownie (to straszne, ale tak właśnie było). Cieszył się, że zdołał uciec tej dziwce z piekła rodem, śmierć Dela bowiem uświadomiła mu, w jak wielkim znalazł się niebezpieczeństwie, i ta świadomość uczyniła przepełniającą go euforię tym bardziej dojmującą.

Pokrzykując na całe gardło i potykając się, wrócił do swego samochodu, zaparkowanego około pięćdziesięciu jardów dalej, i nie zważając na oblodzoną drogę (teraz już nic nie mogło mu się stać, był nietykalny), wrócił do wioski, gnając jak szalony, by czym prędzej ogłosić alarm i zwołać ludzi.

Rosa, w gmachu Sądu, bynajmniej nie była zadowolona. Miała dobry nastrój, dopóki nie zjawili się Aleksander i jego korpulentny kolega, kiedy wspominała wspanialsze miejsca i znacznie lepsze dni. Teraz jednak została brutalnie wyrwana z rozmarzenia i musiała podjąć kilka szybkich decyzji.

Wiedziała, że już wkrótce pod gmach Sądu przybędzie żądna krwi tłuszcza – zadba o to Aleksander. Tłum będzie pałał słusznym gniewem i bez wątpienia spróbuje wyrzucić jej krzywdę, o ile ona, Rosa, wcześniej się stąd nie ulotni. Nie po raz pierwszy miała tego rodzaju kłopoty.

Zaledwie rok temu nastąpił wyjątkowo nieprzyjemny incydent w Maroku, kiedy to małżonka jednego z jej ówczesnych, krótkoterminowych kochanków wypowiedziała jej otwartą wojnę, ku szczeremu rozbawieniu Jacoba. Małżonek, podobnie jak leżący teraz u jej stóp tłuszcioch, zmarł in flagrante delicto, lecz w przeciwieństwie do Donnelly'ego z błogim uśmiechem na twarzy. To właśnie ten uśmiech tak rozsierdził żonę. Fakt, że do niej mąż nigdy tak się nie uśmiechał, wprowadził ją w morderczy nastrój.

A potem, w Mediolanie, och, jakże uwielbiała Mediolan. To, co się tam stało, było jeszcze gorsze. Spędziła w nim kilka tygodni, podczas gdy Jacob udał się na południe i dołączyła do grupy transwestytów świadczących swe usługi w niebezpiecznej okolicy Parco Sempione. Kochała wszystko co sztuczne, a te ślicznotki, które udawały przed mężczyznami prawdziwe kobiety (miejscowi nazywali je viados – czyli jelonki), oczarowały ją na dobre. W ich towarzystwie czuła dziwną bliskość i więź, i zapewne pozostałaby w tym mieście, gdyby jeden z alfonsów, prymitywny sadysta nazwiskiem Henry Campanella, nie zasłużył sobie na jej gniew. Usłyszawszy, że dokonał wyjątkowo brutalnego pobicia jednej z „siostr” ich stadka, Rosa wpadła we wściekłość. To zdarzało się rzadko, ale gdy już do tego dochodziło, nigdy nie obyło się bez rozlewu krwi. Zadławiła skurwiela tym, co dumnie uważał za swą męskość, i pozostawiła zwłoki w miejscu publicznym, na Viale Certosa. Jego brat, również alfons, zgromadził małą armię rzezimieszków i typów spod ciemnej gwiazdy i byłby ją zabił, gdyby nie uciekła na Sycylię, gdzie odnalazła spokój i pocieszenie w ramionach Steepa.

Mimo to często myślała o swoich „siostrach” plotkujących o operacjach i silikonie; wykorzystujących całą masę typowo kobiecych czynności i ogólnie bardzo przypominających kobiety.

Na myśl o nich westchnęła przeciągle.

Dość tych wspomnień, zdecydowała. Pora zwinąć żagle, zanim zjawią się dwu- i czworonożne psy podążające jej śladem. Wyniosła świece do swojej małej garderoby i spakowała rzeczy, przez cały czas wyęzając wszystkie zmysły. W pewnej chwili odniosła wrażenie, że słyszy podniesione głosy, i uznała, że Aleksander dotarł do wioski i, jak to z mężczyznami bywa, zaczął rozpowiadać o tym co się stało. Pospiesznie dokończyła pakowania, pożegnała się z

ciałem Delberta Donnelly'ego i przywoławszy do siebie różańce, opuściła budynek.

Zamierzała udać się wzdłuż doliny na północny wschód, aby możliwie jak najbardziej oddalić się od wioski i zamieszkujących ją kretynów. Kiedy jednak wyszła na dwór, na śnieg, natychmiast pomyślała o Jacobie. Była skłonna pozostawić go w błogiej niewiedzy o konsekwencjach jej ostatniego dokonania. W głębi serca czuła, że była mu winna to ostrzeżenie, choćby z czysto sentymentalnych pobudek. Spędzili ze sobą wiele dekad, kłócąc się, cierpiąc i na swój osobliwy sposób darząc się wzajemnie uczuciem. Choć przez jego żalosne, niedawne wyczyny była nim solidnie rozczarowana, nie mogła go opuścić, dopóki nie dopełni tego ostatniego obowiązku.

Zwracając się twarzą w stronę wzgórz wyłaniających się spośród słabnących tumanów wirującego śniegu, błyskawicznie go odnalazła. Nie potrzebowała do tego żadnego ze zmysłów. Oboje mieli w sobie coś przypominającego wewnętrzny kompas, dla którego każde z nich z osobna stanowiło odpowiednik północy, wystarczyło, że uruchomiła igłę tego kompasu, i natychmiast go namierzyła. Zarzucając na ramię bagaż, zaczęła piąć się po zboczu, zmierzając w stronę Jacoba. Wiedziała, że pozostawia na śniegu ślad, którego z pewnością nie przeoczą jej prześladowcy. Nie ulegało wątpliwości, że pójda za nią właśnie po tych śladach. No i dobrze, stwierdziła. Jeżeli mają przyjść, to niech przyjdą. A jeśli ma dojść do rozlewu krwi, to, zważywszy na to, w jakim się znajdują obecnie nastroju, dokonam tego z dziką rozkoszą.

JEDENAŚCIE

Nagle nadeszła wiosna. Tchnienie wyplęło i wróciło do ziemi, zabierając ze sobą zimę. Drzewa w cudowny sposób obsypały się liśćmi i pąkami, zamarznęta ziemia wypuściła źdźbła trawy, dzwonki, zawilce i melancholijny oset; wokół tańczyły promienie słońca. Wśród gałęzi wily gniazda ptaki, a z gęstwiny krzewów wyłonił się rudy lis i zmierzwszy Willa nieulekłym spojrzeniem, oddalił się; jego wąsy i sierść błyszcząły w słońcu.

–Jacob? – rozległ się niepewny głos na lewo od Willa. – Nie sądziłem, że tak szybko znów cię zobaczę.

Will odwrócił się do mówiącego te słowa i ujrzał mężczyznę stojącego kilka jardów dalej, opierającego się o smukły jesion. Drzewo prezentowało się lepiej od niego – był przyodziany w poplamioną koszulę, drelichowe spodnie i fatalne sandały, o wiele brzydsze od migoczących liści. Poza tym mężczyzna i drzewo mieli ze sobą wiele wspólnego. Obaj, mężczyzna i jesion, byli smukli, mocni i na swój sposób doskonali. Mężczyzna miał jednak coś, czego brakowało drzewu, oczy o tak niezwykłym odcieniu błękitu, jakby samo niebo zagnieżdziło się w jego czaszce.

–Muszę powiedzieć, przyjacielu – powiedział, patrząc nie na Jacoba, lecz na Willa – że jeśli nadal liczysz, że zdołasz przekonać mnie, abym poszedł z tobą, to grubo się mylisz. Szkoda zachodu. Nie marnuj oddechu. To i tak ci się nie uda.

Will rozejrzał się wokół, spodziewając się, że Jacob zdoła mu to jakoś wytłumaczyć, ale nigdzie go nie było.

–Wczoraj powiedziałem ci prawdę. Nie mam już nic, co mógłbym oddać Rukenuowi. I nie dam się urzec opowieściami o Domus Mundi...

Odchodząc od drzewa, mężczyzna podszedł do Willa i, jakby dla dodania kolejnej tajemnicy do piętrzących się tu zagadek, Will uświadomił sobie, że choć nieznajomy był starszy od niego o kilka lat, szczupły i znacznie wyższy, właściwie stali oko w oko, co oznaczało, że Will musiał w jakiś sposób urosnąć co najmniej o stopę.

–Nie chcę poznawać świata w ten sposób, Jacobie – mówił mężczyzna. – Pragnę postrzegać go własnymi oczami.

Jacobie? – pomyślał Will. Patrzy na mnie i nazywa Jacobem. To oznacza, że jestem w ciele Steepa. Patrzę na świat jego oczami! Ta myśl nie przeraziła go, wprost przeciwnie. Przeciągnął się lekko i wydawało mu się że czuje, jak pracują otaczające go prężne mięśnie, zwinne, silne i sprawne. Pociągnął nosem i poczuł woń własnego potu. Uniósł dłoń i pogładził kosmyki jedwabistej brody. To było niesamowite uczucie. Choć to on opętywał, sam czuł się opętany, jakby poprzez fakt znalezienia się w ciele Steepa sprawił, że Jacob znalazł się w jego jaźni.

Czuł w łądzwiach i głowie nowe nienasycone, nieznanne mu dotąd pragnienia. Chciał odejść, zostawić tego melancholijnego młodzieńca i sprawdzić, jak będzie się sprawować jego nowe ciało w promieniach słońca i strugach deszczu, pragnął biec, aż zabraknie mu tchu, aż płuca zaczną palić żywym ogniem, rozciągnąć mięśnie i ścięgna aż do bólu. Paradować nago, by móc podziwiać to nowe, piękne ciało i by także jego podziwiano.

Czyż to nie byłoby wspaniałe? Jeść w nim, oddawać mocz, dotykać tych długich, mocnych kończyn. Lecz nie on miał nad nim władzę, a wspomnienia.

Mógł podrapać się po brodzie albo w kroczu, ale nie mógł stąd odejść, musiał zrobić to, po co przybył do tego miejsca Jacob Steep. Innymi słowy, mógł patrzeć oczyma Jacoba i wsłuchiwać się w słowa wypowiedane w ten słoneczny dzień. Wyglądało na to, że wyczarował owo spotkanie wbrew woli Steepa. „Nie chcę tego” – powtarzał bez końca Jacob, a jednak ta niechciana scena rozgrywała się przed nim, nabierając coraz większego rozpędu, on natomiast nie zamierzał rezygnować z tego, co zostało mu dane, w obawie by nie utracić prostej radości z przebywania w ciele mężczyzny, który tak mu imponował.

–Czasami, Thomasie – mówił Jacob – patrzysz na mnie, jakbym był samym diabłem.

Mężczyzna pokręcił głową, przetłuszczone włosy opadały mu na czoło. Odgarnął je dłonią o długich palcach, pokrytych czerwonymi i niebieskimi plamami.

–Gdybyś był diabłem, nie byłbyś teraz pupilem Rukenua, zgadza się? – odparł. – Nie pozwoliłbyś, żeby wyznaczał ci zadania w rodzaju sprowadzenia z powrotem zbiegłego malarza. A gdybyś po mnie przyszedł, nie byłbym w stanie ci nic przeciwstawić. Ale mogę to zrobić, Jacobie. To trudne, ale potrafię tego dokonać. – Uniósł dłoń nad głowę i przyciągnąwszy ku sobie ciężką od liści gałąź, przez chwilę chłonał ich aromat. – Ubiegłej nocy, gdy odszedłeś, miałem sen. Przyśniło mi się, że jestem w niebie, ponad najwyższymi chmurami, spoglądam stamtąd na ziemię i ktoś jest obok mnie, szepcząc mi do ucha. To był łagodny głos, ani kobiecy, ani męski.

–Co mówił?

–Że w całym wszechświecie była tylko jedna planeta tak doskonała, błękitna i jasna jak ta. Tylko jedna tak cudowna w obfitości stworzenia. I że jej chwała była istotą samego Boga.

–Chyba szaleństwem Boga, Thom. To nie może być nic innego.

–Nie, posłuchaj! Spędziłeś zbyt wiele czasu z Rukenuem. To, co nas teraz otacza, nie jest sztuką Boga. – Pieścił trzymaną gałąź, a ta miękko, płynnie wróciła na swoje miejsce. Kilka płatków posypało się na głowę i barki Thomasa. Nie zwrócił na to uwagi. Był za bardzo pochłonięty snem i opowieścią o nim. – Bóg poznaje świat za naszym pośrednictwem, Jacobie. Wielbi go naszymi głosami. Usprawnia naszymi rękoma. A nocą patrzy naszymi oczami, lustruje cały jego bezmiar i nadaje imiona gwiazdom, abyśmy kiedyś, któregoś dnia, mogli ku nim pożeglować. Opuścił głowę. – Oto co mi się przyśniło.

–Powinieneś powiedzieć to Rukenauowi. On uwielbia rozszyfrowywać znaczenie słów.

–Tu nie ma co rozszyfrowywać – odparł Thomas, wpatrując się z uśmiechem w ziemię. – Na tym polega jego geniusz, nie rozumiesz? – Znów spojrzał na Willa, błękit nieba w jego oczach pozostawał niezmacony. – Biedny Rukenau. Odmawia swoje liturgie od tak dawna, że umiłował je bardziej niż prawdziwy sakrament.

–Czyli co?

–To – odrzekł Thomas, zdejmując z ramienia płatek. – Masz tu Największą Świętość, Arkę Przymierza, Św. Graala, Wielką Tajemnicę, oto ona, balansująca niepewnie na opuszku mojego małego palca. Spójrz! – Pokazał mu trzymany na palcu płatek. – Gdybym mógł namalować tę doskonałość – mówiąc to, wlepił wzrok w płatek, jakby zahipnotyzowany jego widokiem – przenieść ją na papier, tak by oddać całe jej piękno, cały splendor, wszystkie freski ze wszystkich kaplic w Rzymie, wszystkie iluminacje każdej z Godzinek, każdy ze szkiców, jakie zrobiłem do przeklętych inwokacji Rukenaua, to wszystko byłoby... – przerwał, szukając najodpowiedniejszego słowa – niepotrzebne. – Zdmuchnął z palca płatek, a ten, nim opadł miękko na ziemię, jeszcze przez chwilę unosił się w powietrzu. – Ale nie potrafię namalować czegoś tak doskonałego. Staram się. Pracuję bez ustanku. Ale na próżno. Nic mi nie wychodzi. Jezu, wiesz, Jacobie, czasami pragnąłbym urodzić się jako kaleka, bez palców.

–Cóż, jeżeli nie potrafisz ich należycie wykorzystać, to wypożycz mi je. Chętnie skorzystam z twoich palców – powiedział Jacob.

–Pozwól, że wykorzystam je, by tworzyć obrazy o wiele gorsze od twoich, które jednak uczynią mnie najszczęśliwszym mężczyzną na ziemi. Chodzi mi o sam proces ich powstawania. – Thomas uśmiechnął się i spojrzał na Jacoba z ukosa.

–Mówisz dziwne rzeczy.

–Ja mówię dziwne rzeczy – odparł Jacob. – Powinieneś usłyszeć sam siebie. Dziś lub któregoś innego dnia. – Zaśmiał się, a Thomas po chwili mu zawtórował, zapominając na chwilę o swojej porażce.

–Wróć ze mną na wyspę – rzekł Jacob, podchodząc ostrożnie do Thomasa, jakby obawiał się, że może go spłoszyć. – Dopilnuję, aby Rukenau nie zagonił cię do kieratu.

–Nie o to chodzi.

–Wiem, że on chce, by wszystko było zawsze po jego myśli, i nieraz dał ci z tego powodu w kość. Nie dopuszczę do tego. Naprawdę, Thom. Przysięgam.

–Od kiedy masz tak wielką władzę?

–Odkąd powiedziałem mu, że ja i Rosa odejdziemy, porzucimy go, jeżeli nie da nam choć

odrobiny swobody. Nawet my musimy się czasem trochę zabawić. „Nie ośmielilibyście się mnie opuścić” – powiedział. „Znam prawdę o waszym pochodzeniu, a wy nie. Znam waszą naturę. Jeżeli odejdziecie, nigdy nie dowiecie się kim i czym jesteście, a także, skąd się wzięliście”.

–A co ty na to?

–Byłbyś ze mnie dumny. Odparłem: „To prawda, nie wiem skąd się wzięłem. A jednak zostałem stworzony i stworzono mnie z miłości. To świadomość, która pozwala mi istnieć dalej w błogim zapomnieniu”.

–O Boże, chciałbym tam być i widzieć wyraz jego twarzy.

–Nie był zadowolony. – Jacob zachichotał. – Ale cóż mógł powiedzieć? To przecież prawda.

–I tak to pięknie powiedziałaś. Powinieneś być poetą.

–Nie. Chciałbym malować, tak jak ty. Chciałbym, abyśmy pracowali wspólnie, abyś nauczył mnie postrzegać zmiany w rzeczach, tak jak ty to robisz. Wyspa jest taka piękna, mieszka na niej zaledwie garstka rybaków, zbyt przerażonych, aby próbowali zbliżyć się do takich jak my. Moglibyśmy żyć jak w Rajskim Ogrodzie, ty, ja i Rosa.

–Pozwól mi się zastanowić – rzekł Thomas.

–Jeszcze jeden argument.

–Nie. Już wystarczy.

–Poczekaj. Posłuchaj. Wiem, że nie ufasz gnozie Rukenaua i szczerze mówiąc, mnie też maćci ona w głowie, ale Domus Mundi nie jest iluzją. On istnieje i jest naprawdę wspaniały, Thomasie. Zdziwisz się, gdy wejdiesz tam i poczujesz, jak on wnika w głąb ciebie. Rukenau twierdzi, że to wizja przenicowanego świata...

–A ile laudanum wypileś, zanim ty doświadczyłeś tej wizji?

–Ani kropelki. Przysięgam. Nie okłamałbym cię, Thom. Gdybym uznał, że to kolejna iluzja, kazałbym ci zostać tutaj i malować płatki. Ale tak nie jest. To coś boskiego, coś co moglibyśmy poznać, o ile nasze serca okażą się dostatecznie silne. Na Boga, Thom, wyobraź sobie płatki, które mógłbyś namalować, gdybyś najpierw miał okazję studiować je na etapie nasionka. A później pędu albo pączka.

–To właśnie pokazuje ci Domus Mundi?

–Szczerze mówiąc, nie odważyłem się wejść daleko w głąb niego. Ale tak przynajmniej twierdzi Rukenau. A gdybyśmy byli razem, moglibyśmy wejść naprawdę daleko w głąb niego. Przysięgam. Moglibyśmy ujrzeć Nasiono Nasion.

Thomas pokręcił głową.

–Nie wiem, czy mam czuć się podniecony, czy przerażony – powiedział. – Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, to znaczy, że Rukenau odnalazł drogę do Boga.

–Chyba tak – przyznał Jacob. Przypatrywał się Thomasowi, który już na niego nie patrzył. – Nie będę nakłaniał cię do odpowiedzi. Nie musisz się spieszyć. Ale do jutra w południe chcę wiedzieć, czy przyjmujesz moją propozycję, czy nie. I tak zabawiłem tu dłużej, niż zamierzałem.

–Do jutra podejmę decyzję.

–Nie poddawaj się melancholii, Thom – rzekł Jacob. – Chciałem cię w ten sposób zainspirować twórczo.

–Może nie jestem gotowy na takie objawienie.

–Jesteś gotowy – zapewnił Jacob. – Z całą pewnością bardziej niż ja. Zapewne bardziej niż Rukenau. On powołał do istnienia coś czego nie rozumie. Śmiem twierdzić, Thom, że mógłbyś mu pomóc. Ale na dziś już wystarczy. Nie mówmy o tym więcej. Obiecay mi tylko, że rozpatrując moją propozycję, nie upijesz się i nie popadniesz w minorowy nastrój. Boję się o ciebie za każdym razem, gdy ogarnia cię przygnębienie.

–Bez obawy – zapewnił Thomas. – Będę radował się myślami o całej naszej trójce, spędzającej dni na wyspie nago i folgującej sobie na wszelkie możliwe sposoby.

–Świetnie – rzekł Jacob, nachylając się, by pocałować nieogolony policzek Thomasa. – Jutro się obudzisz i będziesz się zastanawiał dlaczego zwlekałeś tak długo.

To rzekłszy, odwrócił się do Thomasa plecami i ruszył wolno przed siebie. Jeżeli to miał być koniec wspomnień, pomyślał Will, trudno mu było pojąć dlaczego Jacob nie chciał przeżyć go raz jeszcze. Ale cienie przeszłości jeszcze się nie rozproszyły. To nie było wszystko co miał zobaczyć. Przy trzecim kroku Will znów poczuł tchnienie świata i światło słoneczne niespodziewanie przygasło. Spojrzał w górę poprzez kwitnące gałęzie. W jednej chwili nieskazitelne niebo zasnęło się chmurami, a podmuch wiatru niosący ze sobą krople deszczu omiółł mu twarz.

–Thomasie? – powiedział i obrócił się na pięcie, spoglądając w stronę miejsca, gdzie stał malarz. Nigdzie nie było go widać.

Stało się jutro, pomyślał Will. Przyszedł po odpowiedź.

–Thomasie?! – zawołał ponownie Jacob. – Gdzie jesteś? – W jego głosie było słycać niepokój, a w żołądku zaległa mu lodowata gula, jakby zdawał sobie sprawę, że coś jest nie tak.

Zarośla na wprost nieco się poruszyły, a potem jego oczom ukazał się rudy lis, tego dnia czerwiejszy niż wczoraj. Zwierzę oblizało pyszczek długim szarym jęzorem. I odeszło.

Jacob nie odprowadził go wzrokiem, ale podszedł do kępy dzikiej róży i leszczyny, skąd wyłoniło się zwierzę.

„O Jezu”, wymamrotał głoś. „Nie patrz. Słyszysz?”.

Will usłyszał, ale wciąż przepatrywał wzrokiem gąszcz. Na ziemi za krzewami coś leżało, nie potrafił rozpoznać co.

„Nie patrz, do cholery!” – zagrzemiał Steep. „Słyszysz mnie, chłopcze?”.

Jemu chodzi o mnie, pomyślał Will, i mówi do mnie.

„Szybko!” – rzucił Steep. „Masz jeszcze czas!”. Jego gniew przerodził się w bolesne błaganie. „Nie musimy tego oglądać”, powiedział. „Odpuść to sobie, chłopcze. Odpuść sobie”.

Może ta próba miała na celu zdekoncentrowanie go i zatuszowanie próby przejęcia nad nim kontroli, bo w chwilę później Will poczuł w głowie głośny szum, a obraz przed zamigotał i zgasł. Zaraz potem znalazł się w zimowym lesie, zgrzytając zębami i czując w ustach miedziany smak krwi z przygryzionej, wargi. Jacob wciąż stał przed nim, z jego oczu płynęły łzy.

–Wystarczy – powiedział.

Ale dekoncentracja, celowa lub nie, trwała tylko chwilę. Niespodziewanie świat znów się zatrząsł, a Will ponownie znalazł się w rozdygotanym ciele Jacoba, stojącego w strugach deszczu.

Dopiero teraz Jacob przestał stawiać opór. Choć mężczyzna podczas ich krótkiego ponownego spotkania odwrócił wzrok od gęstwiny krzewów, Will musiał jedynie zażądać mentalnie, by ciało podeszło na powrót do kępy leszczyny, a ono posłusznie wykonało polecenie. Z ust mężczyzny dobył się ostatni krótki dźwięk, być może desperacka próba protestu. Jeżeli nią była, Will puścił ją mimo uszu. Teraz to on władał ciałem, w którym się znajdował, oczyma, nogami i tym co znajdowało się pomiędzy nimi. Mógł z nim uczynić, co tylko zechciał, a na razie nie miał ochoty uciec, odlać się ani pożywić. Chciał zobaczyć. Rozkazał stopom Steepa, by się poruszyły, a one poniosły go naprzód, aż ujrzał to co znajdowało się pośród zarośli.

Rzecz jasna, był to malarz – Thomas. Któżby inny? Leżał na wznak na mokrej trawie, obok niego wały się jego sandały, spodnie i poplamiona koszula, jego ciało stało się paletą własnych intymnych barw. W miejscach, które malarz od lat wystawiał na działanie promieni słonecznych – na twarzy, szyi, ramionach, stopach – był mocno opalony, jego ciało miało kolor rdzawej sjeny. Inne miejsca były białe jak płótno. Tu i ówdzie, na klatce piersiowej, podbrzuszu i pod pachami skórę porastały rude włosy. Ale na jego ciele widniały także inne, o wiele bardziej szokujące barwy. W kroczu rozlała się kałuża szkarłatu, w miejscu gdzie lis wyżarł mu penisa i

jądra. Podobne dwie kałuże czerwieni wypełniły oczodoły, pozbawione przez żarłoczne ptaki gałek ocznych. Z boku zwisał płat skóry odsłaniający warstwę tkanki tłuszczowej, zdarty dziobem lub zębami zwierzęcia, które zapragnęło dobrać się do jego wątroby. Tkanka była bardziej żółta niż jaskier.

„Zadowolony?” – wymamrotał Jacob.

Will nie odważył się zapytać, czy to było skierowane do niego, czy do leżącego na ziemi trupa. Wbrew woli Jacoba przywołał go tutaj, by ponownie ujrzeć ten wstrząsający widok, a teraz najzwyczajniej w świecie się zawstydził. Pożałował swego czynu. I zbierało mu się na mdłości. Nie na widok nieboszczyka. Tym zbytnio się nie przejął, to nie wyglądało gorzej niż półtusza wisząca na haku u rzeźnika. Zapragnął odwrócić wzrok, kiedy uświadomił sobie, że właśnie tak mógł wyglądać Nathaniel. Co najwyżej jego rany wyglądały nieco inaczej. Will zawsze wyobrażał sobie Nathaniela doskonałego i nienaruszonego nawet po śmierci, jego obrażenia zostały starannie zatuszowane sprawnymi dłońmi przedsiębiorcy pogrzebowego, by matka na zawsze pamiętała go nieskalanego. Teraz zrozumiał, że prawda była inna. Nathaniel przebił ciałem wystawę sklepu obuwniczego. Nic nie było w stanie zatuszować tak głębokich ran. Nic dziwnego, że Eleanor płakała przez wiele miesięcy i zamiast zjadać normalne posiłki, żywiła się pigułkami. Will nie zdawał sobie sprawy, jakie to musiało być dla niej straszne, siedzieć przy łóżku Nathaniela, gdy powoli gasło w nim życie. Ale wreszcie to pojął. Kiedy to zrozumiał, zawstydził się, uświadomiwszy sobie ogrom swego okrucieństwa. Miał dość. Pora zrobić to, co Steep próbował uczynić od samego początku, i odwrócić wzrok. Ale klamka zapadła i Steep doskonale o tym wiedział.

„Chcesz przyjrzeć się bliżej?” – usłyszał Will i w chwilę później Steep przykucnął obok ciała Thomasa, przypatrując się kolejno wszystkim ranom. Tym razem to Will się wzdrygnął, jego ciekawość została bardziej niż zaspokojona. Ale Jacob nie zamierzał spasować.

„Spójrz na niego”, wymamrotał Steep, kierując wzrok ku okaleczonemu kroczu Thomasa. „Ten lis miał niezłą przekąskę, co?”.

W tonie głosu Jacoba brzmiało fałszywe rozbawienie. Był równie poruszony jak Will, może nawet bardziej.

„Dobrze mu tak. Powinien był czerpać rozkosz ze swego przyrodzenia, dopóki je posiadał, żaloszny Thomas. Rosa nie raz usiłowała go uwieść, ale on nie potrafił stanąć na wysokości zadania. Powiedziałem mu:»Skoro nie chcesz Rosy, która ma wszystko, czego mężczyzna może pragnąć od kobiety, to znaczy, że wcale nie pragniesz kobiety. Jesteś sodomitą, Thom«. Odparł, że bardzo to upraszczam”.

Steep nachylił się i uważniej przyjrzał ranie. Ostre jak igły zęby lisa spisały się na medal. Gdyby nie krew i kilka strzępów tkanek, można by pomyśleć, że ten mężczyzna przyszedł na świat jako istota bezpłciowa.

–Teraz ty uprościłeś wszystko, Thom. A przynajmniej wyglądasz na uproszczonego – rzekł Steep, przenosząc wzrok z okaleczonego krocza na puste oczodoły trupa.

Dopiero teraz Will spostrzegł jeszcze jedną barwę – wargi malarza, jego zęby i język miały niebieskawy odcień.

–Otrułeś się, prawda? – powiedział Steep. Nachylił się nad twarzą Thomasa. – Dlaczego zrobiłeś coś tak głupiego? Na pewno nie ze względu na Rukenaua. Ochroniłbym cię przed nim. Czyż ci tego nie obiecałem? – Wyciągnął rękę i przesunął wierzchem dłoni po policzku nieboszczyka, jak w dniu ich rozstania. – Czy nie powiedziałem, że ze mną i z Rosą będziesz bezpieczny? Na Boga, Thom, nie pozwoliłbym, żebyś cierpiał. – Odsunął się od ciała i głóśniejszym tonem oznajmił: – To wina Rukenaua. Oddałeś mu swój geniusz, on odpłacił ci szaleństwem. To czyni go złodziejem lub kimś jeszcze gorszym. Od tej pory nie będę mu służył. I nigdy mu nie wybaczę. Może zostać na zawsze w tym swoim przeklętym domu, ale ja nie będę mu już towarzyszył. Rosa też nie. Wstał. – Żegnaj, Thom – rzucił nieco ciszej. – Spodobałoby ci się na wyspie. – Odwrócił się do trupa plecami, tak jak dzień wcześniej odwrócił się od żyjącego człowieka, i odszedł.

Równocześnie obraz zaczął migotać, strugi deszczu, róże i leżące na ziemi zwłoki, w czasie jaki zajmuje jedno uderzenie serca, rozmyły się. Kiedy jednak ruszyli, Will dostrzegł lisa stojącego wśród drzew i patrzącego na niego. Spomiędzy deszczowych chmur wypłynął promyk słońca i odnalazł zwierzę, złocisty blask podkreślił jego smukłe boki, spiczasty łeb i długie, lśniące wąsy. Na ułamek sekundy, zanim wizja całkiem się rozviała, Will odnalazł dumne, zuchwałe spojrzenie zwierzęcia. W tym wzroku nie było ani cienia wstydu czy niepewności. Lis nie miał żadnych oporów wynikających z faktu, że pożywił się czyjąś męskością.

Jestem zwierzęciem – zdawało się mówić jego spojrzenie – nie waż się mnie osądzać. A potem promień słońca i lis zniknęli, a Will wrócił do ciemnego zagajnika nad Burnt Yarley. Miał przed sobą Jacoba i nadal trzymał go za rękę.

–Wystarczy? – spytał Steep.

Zamiast udzielić odpowiedzi, Will puścił jego dłoń. Tak, już wystarczy. Miał dość. Rozejrzał się, by nabrać pewności, że nic z tego, co przed chwilą ujrzał, nie pozostało tu na dłużej, i to, co zobaczył, dodało mu otuchy. Drzewa znów były bezlistne, ziemia pokryta szronem, a na niej ciała dwóch ptaków – jednego przebitego nożem, drugiego z przetrąconym karkiem. Właściwie wszystko wskazywało, że był to dokładnie ten sam las.

–Czy to się... stało... tutaj? – spytał, przenosząc wzrok na Jacoba. Oblicze tamtego było przepełnione wyrazem otępienia, z oczu wciąż ciekły mu łzy. Dopiero po chwili odzyskał panowanie nad sobą i zorientował się, że chłopiec zadał mu pytanie. – Nie – odrzekł w końcu. – Simeon mieszkał wtedy w Oxfordzie.

–Kim jest Simeon?

–Thomas Simeon, mężczyzna, którego właśnie spotkałeś.

Will wymówił powoli to nazwisko:

–Thomas Simeon...

–To było w maju tysiąc siedemset trzydziestego. Miał dwadzieścia trzy lata. Otruł się pigmentami, które sam mieszał. Arszenik i błękit pruski.

–Skoro to się stało gdzie indziej – rzekł Will – dlaczego powróciłeś wspomnieniami do tego właśnie wydarzenia?

–Przez ciebie – odrzekł półgłosem Jacob. – Ponieważ mi go przypominasz, i to pod wieloma względami. Odwrócił wzrok od Willa, spoglądając w stronę doliny. – Poznałem go, gdy był w twoim wieku. Był dla mnie jak syn. Zbyt delikatny, aby móc żyć w tym świecie iluzji. To doprowadziło go do obłądu, ta konieczność znalezienia drogi pośród trawionego rozwiązłością Stworzenia. – Znowu spojrzął na Willa przenikliwym wzrokiem. – Bóg to tchórz i uwielbia się popisywać. Zrozumiesz to za parę lat, Will. Ukrywa się za krzykliwymi przejawami swoich dzieł, chępiąc się ich doskonałością. Ale Thomas miał rację. Nawet w tak żalonym stanie był mądrzejszy od Boga. – Jacob uniósł rękę przed twarzą chłopca, wysuwając do przodu mały palec. Znaczenie tego gestu było oczywiste. Brakowało jedynie płatka. – Gdyby świat był prostym miejscem, nie gubilibyśmy się w nim – stwierdził. – Nie pragnęlibyśmy nowych rzeczy, nowych doznań. Nie łaknęlibyśmy zmian! Żylibyśmy tak, jak tego pragnął Thomas, zaaferowani trzymaniem płatka. – Zdawało się, że Steep wychwycił tęskną nutę w swoim głosie, bo nagle jego ton stał się lodowaty. – Popełniłeś błąd, chłopcze. – powiedział, zaciskając dłoń w pięść. – Wypileś coś, czego nie powinieneś być tknąć. Moje wspomnienia są teraz w twojej głowie. Podobnie jak Thomas. I lis. Oraz szaleństwo.

To ani trochę nie przypadło Willowi do gustu.

–Jakie znowu szaleństwo? – spytał.

–Nie możesz oglądać tego, co właśnie ujrzałeś, ani wiedzieć tego, co obaj wiemy, nie płacąc za to żadnej ceny. – Przyłożył do głowy kciuk. – Zajrzałeś do mego wnętrza i odtąd żaden z nas nie będzie taki jak przedtem. Nie bój się. Masz przerażoną minę. Byłeś tak dzielny, że dotarłeś ze mną aż tutaj...

–Ale tylko dlatego że ty byłeś ze mną...

–Skąd przypuszczenie, że po czymś takim kiedykolwiek się rozstaniemy?

–Chcesz powiedzieć, że mimo wszystko wciąż możemy odejść razem?

–Nie. To nie będzie możliwe. Muszę trzymać się od ciebie na dystans... na duży dystans... dla dobra nas obu.

–Ale przecież przed chwilą powiedziałaś...

–Że już nigdy się nie rozstaniemy. I to prawda. Ale to nie znaczy, że będziesz obok mnie. Obu nas czeka cały bezmiar bólu i nie życzę ci tego, podobnie jak samemu sobie.

Mówił to, jakby miał do czynienia z dorosłym, Will o tym wiedział, i to nieznacznie złagodziło gorycz rozczarowania. Ta wzmianka o bólu, który wspólnie przyjdzie im dzielić, o miejscach, do których Jacob nie chciał zaglądać. Tak rozmawiają między sobą dorośli. Wcale by nie stracił w oczach Jacoba, gdyby zareagował na to jak rozdrażnione dziecko. A poza tym to i tak niczego by nie zmieniło. Jacob już podjął decyzję i nic nie mogło tego zmienić.

–W takim razie, dokąd teraz pójdziesz? – zapytał Will, siląc się na obojętny ton głosu.

–Zajmę się swoją pracą.

–Czyli czym? – zapytał Will. Jacob kilkakrotnie wspominał o swoim dziele, o swojej pracy, ale nigdy nie sprecyzował na czym miała ona polegać.

–I tak wiesz już za dużo – odparł Jacob. – Więcej wiedzy mogłoby zaszkodzić nam obu.

–Potrafię dochować tajemnicy.

–Wobec tego zachowaj w sekrecie to, co już wiesz – rzekł Jacob. – Zatrzymaj to tutaj – przyłożył pięść do piersi – gdzie tylko ty będziesz mieć do tego dostęp.

Will zacisnął odrętwiałe palce w pięść i powtórzył gest Jacoba. Tamten uśmiechnął się do niego.

–Dobrze – powiedział. – Dobrze. A teraz... idź do domu. To były słowa, których Will w głębi duszy nigdy nie chciał usłyszeć. Miał nadzieję, że ich nie usłyszy. Ale właśnie padły i poczuł palące łzy napływające do oczu. Mimo to powiedział sobie, że się nie rozpłacze, nie mógł się rozkleić, nie tutaj, nie teraz, i po dłuższej chwili zdołał się opanować. Być może Jacob zorientował się, jak wiele wysiłku go to kosztowało, ponieważ jego oblicze, dotąd srogie i chmurne, rozpodziło się.

–Może któregoś dnia znów się spotkamy, gdzieś tam, na szlaku.

–Tak sądzisz?

–To możliwe – odparł. – A teraz idź do domu. Chcę pograć się w rozmyślanie nad tym co utraciłem. Westchnął. – Najpierw dziennik. Później Rosa. Teraz ty. – Podniósł nieznacznie głos. – No, idźże już.

–Straciłeś dziennik? – spytał Will. – Sherwood go ma. Will czekał, w śmiałej nadziei, że ta informacja spowoduje odroczenie wyroku. W najgorszym razie czekała go jeszcze godzina w

blóгим towarzystwie Jacoba.

–Jesteś pewien?

–Jasne, że tak! – odparł Will. – Bez obawy! Pójdę i odbiorę mu go. Wiem, gdzie on mieszka. To bułka z masłem.

–Nie próbuj mnie okłamać – ostrzegł Jacob.

–Nie zrobiłbym tego – odrzekł Will, urażony tym oskarżeniem. – Przysięgam.

Jacob pokręcił głową.

–Wierzę ci – powiedział. – Bardzo byś mi się przysłużył, gdybyś odzyskał dla mnie ten dziennik.

Will uśmiechnął się.

–Niczego więcej nie pragnę, jak tylko tego, by ci służyć.

DWANAŚCIE

1

Zejsście nie miało w sobie żadnej magii, nie było pełnego napięcia wyczekiwania ani dodającego sił dotyku dłoni Jacoba na karku Willa pomagającego chłopcu przejść po śliskich, ośnieżonych korzeniach. Jacob już go nie dotykał. Will musiał sam zadbać o siebie, co oznaczało, że wielokrotnie się przewracał. Dwukrotnie przeszorował kilka jardów na tyłku, objając się i rozdrapując sobie skórę do krwi na ukrytych pod śniegiem skałach, gdy rozpaczliwie próbował się zatrzymać. To była zimna, bolesna i upokarzająca wyprawa. Pragnął z całego serca, by już się zakończyła.

W połowie zbocza jednak jego cierpienie wzmogło się jeszcze bardziej. Sprawilo to ponowne pojawienie się Rosy McGee. Wyłoniła się z ciemności, nawołując Jacoba z tak wielkim niepokojem w głosie, że Steep, zanim odpowiedział, nakazał Willowi, by się zatrzymał i zaczekał tu na niego. Rosa była wyraźnie zdenerwowana. Choć Will nie słyszał, o czym rozmawiali, dostrzegł, że Jacob uspokajającym gestem położył dłoń na jej ramieniu, pokiwał głową, przez chwilę nasłuchiwał, po czym odpowiedział, nachylając się w jej stronę. Mniej więcej po minucie wrócił po Willa i wyjaśnił:

–Rosa miała drobne kłopoty. Musimy być ostrożni.

–Dlaczego?

–Nie pytaj – odparł Jacob. – Uwierz mi na słowo. – Wskazał w dół zbocza. – Musimy się pospieszyć.

Will postąpił zgodnie z poleceniem i przyspieszył kroku. Jeden jedyny raz zerknął przez ramię na Rosę i zauważył, że przykucnęła na płaskim kamieniu, z którego zdawała się spoglądać na gmach Sądu. Czy musiała tu zostać? Czy dlatego była tak zdenerwowana? Tego zapewne Will nigdy się nie dowie. Coraz bardziej zmęczony i strudzony marszem kontynuował schodzenie. Na ulicach wioski widział spory ruch, kilka aut z włączonymi światłami, grupki ludzi gromadzące się to tu, to tam. Drzwi wielu domów były otwarte, ludzie stali w drzwiach, w piżamach, obserwując przebieg wydarzeń.

–Co się dzieje? – zastanawiał się głośno Will.

–Nic, czym powinniśmy się przejmować – odparł Jacob.

–Chyba nie chodzi im o mnie? To nie mnie szukają, prawda?

–Nie, nie chodzi im o ciebie – odrzekł Jacob.

–Chodzi o nią, zgadza się? – ciągnął Will, rozwiązawszy w końcu tajemnicę Rosy. – O Rosę.

–Obawiam się, że tak – odparł Jacob. – Napytała sobie biedy. Ale ona umie o siebie zadbać. Nieraz już wychodziła z cięższych opresji. Może przystanęlibyśmy na chwilę i zastanowili nad alternatywami, jakie mamy do wyboru?

Will posłusznie przystanął, a Jacob zrobił jeszcze dwa kroki, by stanąć nieco niżej. Dzięki temu dzieliła ich odległość zaledwie kilku jardów. Tylko w lesie zbliżył się do Willa na mniejszą odległość.

–Czy możesz zobaczyć stąd, gdzie mieszkają twoi przyjaciele?

–Tak.

–Pokaż mi to miejsce, dobrze?

–Widzisz zakręt, przy którym stoi radiowóz?

–Tak.

–A ulicę biegnącą za zakrętem w lewo?

–Widzę.

–To Samson Road – rzekł Will. – Oni mieszkają w domu przy złomowisku.

Jacob w milczeniu przez kilka chwil przypatrywał się rozciągającemu się przed nim pejzażowi. Uważnie lustrował ukształtowanie terenu.

–Mogę przynieść ci tę książkę – przypomniał Will, na wypadek gdyby tamten postanowił pójść po nią samemu.

–Wiem – mruknął Jacob. – I zdaję sobie sprawę, że nie zawiódłbyś mnie. Jednak nie wydaje mi się, by przemarsz nas dwóch przez sam środek wioski był w obecnej chwili rozsądnym posunięciem.

–Możemy dotrzeć tam od tyłu – zaproponował Will.

Wskazał drogę, której pokonanie zajęłoby im kolejne pół godziny, ale dzięki temu mogliby dostać się na miejsce prawie niepostrzeżenie.

–To wydaje mi się najrozsądniejszym rozwiązaniem – przyznał Jacob.

Zdjął prawą rękawicę i sięgnął za pazuchę po nóż.

–Bez obawy – zapewnił, dostrzegając strwożony wyraz twarzy Willa. – Nie skalam go ludzką krwią, o ile to nie będzie absolutnie konieczne.

Will wzdrygnął się. Godzinę temu podczas wycieczki z Jacobem był szczęśliwy jak nigdy wcześniej w całym swoim życiu; dotyk tego noża sprawił, że jego dłoń zadrżała z rozkoszy, a małe śmierci, które zadał, przepełniły go dumą. Teraz to wszystko wydawało mu się odległe i nierealne, jak zdarzenia z innego świata, coś co spotkało całkiem innego Willa.

Spojrzał na swoje dłonie. Nie doczyścił ich jak należy i nawet w półmroku widział, że wciąż ma na nich ptasią krew. Zasepił się, przepełniony odrazą do samego siebie. Gdyby mógł wtedy uciec, zapewne by to zrobił. To jednak oznaczałoby, że Jacob sam zacznie poszukiwać swego dziennika, a takiego ryzyka Will nie był w stanie podjąć, nie, dopóki tamten miał przy sobie nóż.

Will wiedział z doświadczenia, jak opętana żądzą mordy była ta broń, jak bardzo łaknęła rozlewu krwi.

Odwracając się plecami do mężczyzny z nożem, ruszył dalej w dół zbocza, nie kierując się prosto do wioski, lecz obchodząc ją bokiem, aby obaj mogli dotrzeć niepostrzeżenie do domu Cunninghamów.

Kiedy Frannie się obudziła, zegar przy łóżku wskazywał piątą dwadzieścia pięć. Mimo to wstała, wiedząc, że jej ojciec, ranny ptaszek, także obudzi się za niecały kwadrans.

Zastała go w kuchni – co trochę ją zdziwiło – był ubrany, nalał sobie filiżankę herbaty i palił papierosa. Uśmiechnął się do niej na powitanie.

–Coś się stało – rzekł, wsypując cukier i mieszając herbatę łyżeczką. – Zamierzam pójść tam i zobaczyć co się wydarzyło.

–Zjedz najpierw tosta – powiedziała.

Nie czekała na odpowiedź i wyjęła bochenek chleba z pojemnika, wyciągnęła z szuflady nóż, po czym podeszła do tosterka i pokroiła chleb. Przez cały czas jednak dziwiła się, jakim cudem jest w stanie udawać, że świat ani trochę się nie zmienił, skoro w głębi serca wiedziała, że to nieprawda.

Jej ojciec w końcu się odezwał, wyglądając przez okno:

–Nie wiem – mruknął. – To co się ostatnio dzieje... – pokręcił głową – dorośli byli jak dotąd bezpieczni.

Frannie włożyła dwie grube kromki chleba do tosterka, po czym wyjęła z kredensu ulubiony kubek i nalała sobie herbaty. Tak jak ojciec, mocno ją posłodziła. Oboje mieli słabość do słodczy.

–Czasami martwię się o ciebie – rzekł ojciec, przenosząc wzrok na Frannie. – Zważywszy na to, co się teraz dzieje. Boję się ku czemu zmierza ten świat.

–Dam sobie radę, tato – zapewniła.

–Wiem – odparł bez przekonania. – Wszyscy damy sobie radę. – Rozłożył szeroko ręce, a ona mocno przytuliła się do niego. – Tyle tylko że, gdy dorośniesz, przekonasz się – ciągnął ojciec – że na świecie jest o wiele więcej zła niż dobra. To dlatego tak się staramy, by ten świat był bezpiecznym miejscem dla ludzi, których kochamy. Takim, w którym można zamknąć drzwi na klucz. – Zakołysał się w jej uścisku. – Jesteś moją księżniczką, wiesz o tym, prawda?

–Wiem – odparła, uśmiechając się do niego.

Obok domu przejechał z włączoną syreną policyjny radiowóz. Wyraz zadowolenia zniknął z twarzy George'a Cunninghama.

–Posmaruję tosty masłem – rzekła Frannie, poklepując go po torsie. – Jak zjemy, od razu poczujemy się lepiej. – Wyjęła kromki z tosterka i przewróciła. – Chcesz marmolady?

–Nie, dziękuję – odparł, obserwując, jak krząta się po kuchni; podeszła do lodówki po masło, i do tosterki, by wyłożyć kromki na talerze. Posmarowała chleb masłem, tak jak lubił.

–Proszę – rzekła, podsuwając talerz w jego stronę.

Zaczął pałaszować z apetytem.

Potrzebowała jeszcze tylko odrobiny mleka do herbaty. Karton był pusty, ale mleczarz powinien się do tego czasu pojawić, toteż podreptała w stronę drzwi, by wnieść mleko do domu.

Co niezwykle, drzwi były pozamykane na oba zamki, górny i dolny. Najwyraźniej rodzice, zanim położyli się na spoczynek, byli mocno zdenerwowani. Frannie odblokowała górną zasuwkę, po czym schyliła się, by otworzyć dolny zamek. Otworzyła drzwi.

Dzień jeszcze nie nadszedł. Niebo nadal pozostawało ciemne. Zanosilo się na jeden z tych zimowych dni, kiedy światło ledwie muska świat, aby ponownie zgasnąć. Przestał padać śnieg i ulica w świetle latarni wyglądała jak starannie posłane łóżko – biały gęsty puch przywodzący na myśl pierzynę zaścielał chodniki i asfalt. Ten widok był tak piękny, że dodał jej otuchy. Przypomniała sobie, że już niedługo Boże Narodzenie i wraz z nim znów nastanie czas kolęd, śmiechu, radości i szczęścia.

Próg był pusty, mleczarz spóźniał się dziś z dostawą. No cóż, pomyślała, obejdę się bez mleka.

Wtedy właśnie usłyszała na śniegu odgłos kroków. Uniosła wzrok i ujrzała kogoś, kto zmierzał w jej stronę z drugiego końca ulicy. Ktokolwiek to był, znajdował się poza zasięgiem światła latarni, ale tylko przez kilka sekund. Gdy przybysz uświadomił sobie, że został zauważony, wszedł w krąg światła rzucanego przez latarnię i pokazał się jej. To był Will.

TRZYNAŚCIE

1

Rosa czekała na skale, nasłuchując. Wkrótce dotrą tu tropiący ją prześladowcy. Słyszała każdy ich krok, najcichszy chrzęst miazdzonego pod butami śniegu, gdy po ścieżce biegnącej wśród wzgórz nieubłaganie kierowali się w jej stronę. Jeden z nich – było ich czterech – palił, pnąc się pod górę (widziała tłący się koniuszek papierosa, żarzący się nieco jaśniej za każdym razem, gdy mężczyzna zaciągał się dymem), drugi był młody, oddychał swobodniej niż jego kompani, a następny raz po raz pociągał z piersiówki; gdy częstował kolegów, głos miał przepity, bełkotliwy i niewyraźny. Czwarty był cichszy od pozostałych, ale czasem, gdy wytężyła słuch, słyszała jak mamrotał coś do siebie. Nie wychwyciła słów, ale podejrzewała, że była to jakaś modlitwa.

Jej rozmowa z Jacobem była krótka i konkretna. Od razu przyznała mu się do tego, co zrobiła w gmachu Sądu, i uprzedziła, by na siebie uważał. Nie chciała, żeby wpadł w łapy rozwścieczonego tłumu, który w końcu się tam zjawi. Odparł, że nie zamierza jeszcze opuszczać tej okolicy, miał coś do załatwienia w wiosce. Gdy zapytała o szczegóły, powiedział, że nie będzie się dzielił swoimi sekretami z kobietą, która zapewne jeszcze przed świtem będzie przesłuchiwana.

–Czy to wyzwanie, panie Steep?

–Chyba możesz tak to potraktować – odrzekł.

–Chciałbyś, żebym miała na sumieniu ich śmierć? – spytała, na co wycedził z niedowierzaniem:

–Na jakim sumieniu?

Jego odpowiedź mocno ją rozbawiła, i w kilka chwil później, gdy stała na wzgórzu obok Jacoba, poczuła się jak dawniej.

–No dobrze – mruknęła – nie mów, że cię nie ostrzegałam.

–To wszystko na co cię stać? – odparował Jacob. – Ostrzegasz mnie, a potem zwijasz żagle?

–Sugerujesz inne rozwiązanie? – szepnęła z lekkim uśmiechem.

–Chciałbym, żebyś dopilnowała, by oni po mnie nie przyszli.

–Wobec tego powiedz to – wyszeptała. – Powiedz! Zabij ich dla mnie, Roso. Nachyliła się ku niemu, a jego serce zabiło żywiej. Usłyszała to głośno i wyraźnie.

–Jeżeli chcesz ich śmierci, Jacobie, wystarczy, że poprosisz. – Usta Rosy niemal dotykały jego

ucha. – Nikt się nie dowie. Tylko my będziemy to wiedzieć.

Milczał kilka sekund, po czym zrezygnowanym głosem wypowiedział słowa, które chciała usłyszeć:

–Zabij ich dla mnie.

A potem on i chłopiec ruszyli w drogę.

Teraz, już znacznie szczęśliwsza, czekała cierpliwie. Choć zaledwie kilka godzin temu chciał ją zabić, coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że dla nich obojga byłoby lepiej, gdyby się pogodzili. Wzięła na nim odwet za próbę odebrania jej życia, była więc gotowa puścić ten incydent w niepamięć, gdyby tylko stosunki między nimi trwale się poprawiły. A mogło się tak stać, potrzeba było do tego jedynie odrobiny wysiłku i cierpliwości. Może nigdy nie będzie między nimi tak jak dawniej – nie będą już starać się o dzieci, na dobre z tego zrezygnowała – ale zdrowy związek małżeński polega na ustępliwości i przebaczeniu. Jest płynny i stale się zmienia. Pogłębia się i dojrzewa. Tak właśnie mogłoby z czasem być pomiędzy nią a Jacobem.

Nauczą się na nowo szacunku względem siebie i wzajemnego okazywania sobie dowodów oddania.

To ponownie przywiodło jej myśli do celu owego czuwania wśród skał. Czyż może być doskonalszy sposób okazania miłości, z jej strony, aniżeli popełnienie dla niego morderstwa?

Wstrzymała oddech i nasłuchiwała z uwagą. Mężczyzna o bełkotliwym głosie skarżył się na wspinaczkę, twierdził, że nie jest już w stanie iść dalej. Będą musieli kontynuować marsz bez niego.

–Nie, nie – wymamrotała pod nosem.

Była gotowa odebrać życie czterem osobom i tak się właśnie stanie. Żadnych wymówek. Podczas gdy mężczyźni debatowali, Rosa podjęła decyzję. Dość czekania. Skoro oni się ociągali, musiała wziąć sprawy we własne ręce i wyjść im naprzeciw. Zaczerpnąwszy głęboko tchu, wstała z płaskiego kamienia, na którym kuciała, ześlizgnęła się ze skały i niemal chichocząc jak mała dziewczynka, zniecierpliwiona i podekscytowana, ruszyła wzdłuż ścieżki, ku miejscu gdzie zatrzymały się jej ofiary.

Will wyglądał fatalnie. Twarz miał szarą jak popiół, ubranie podarte i przemoczone, wyraźnie utykał. Wyglądał jak trup, a w każdym razie tak zdaniem Frannie mógł wyglądać nieboszczyk. Ktoś, kto umarł, ale powrócił w środku nocy, by się pożegnać. Odegnęła od siebie tę kretyńską myśl. Will potrzebował pomocy – tylko to się teraz liczyło. Choć była boso, przestąpiła próg i ruszyła w jego stronę, jej nogi aż po łydki zagłębiły się w śniegu.

–Wejź do środka, ogrzejesz się – powiedziała.

Pokręcił głową.

–Nie mam czasu – odparł. Głos pasował do jego wyglądu. – Przyszedłem tylko po to, by odebrać dziennik.

–Powiedziałeś mu?

–Tak... musiałem – odparł Will. – To jego dziennik, Frannie, i on chce go odzyskać.

Zatrzymała się, dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo była naiwna. Will nie przyszedł tu sam. Towarzyszył mu Jacob Steep. Choć niewidoczny, czekał gdzieś tam w ciemnościach, poza granicą światła płynącego z latarni, ale w miarę blisko. Czy właśnie dlatego Will tak źle wygląda? – zapytała się w myślach. Czy Steep zrobił mu coś złego? Nie odwracając głowy, usiłowała przeniknąć wzrokiem ciemności za Willem. Musiała wymyślić jakiś sposób, by zwabić go do swego domu, nie wzbudzając przy tym podejrzeń Steepa.

–Dziennik jest na górze – rzuciła jakby mimochodem. – Wejź do środka i zaczekaj, zaraz go przyniosę.

Will pokręcił głową, ale zrobił to z takim wahaniem, że pomyślała, iż przy odrobinie nacisku z jej strony dałby się skusić na wejście do ciepłego pomieszczenia.

–Chodź – rzekła. – To zajmie mi tylko minutę, góra dwie. Mamy herbatę. I tosty z masłem (wiedziała, że te proste przyjemności domowego życia nie mogły równać się z tym, co zapewne usłyszał od Steepa, i prawdopodobnie tylko się zblądziła, proponując mu je. Ale nie dysponowała żadnymi mocniejszymi atutami).

–Nie chcę... wchodzić do środka – powiedział.

Frannie wzruszyła ramionami.

–W porządku – rzekła pogodnie. – To pójdę i przyniosę ten dziennik.

Zawróciła w stronę domu, zastanawiając się, co zrobi, gdy wejdzie do środka. Czy powinna zostawić drzwi otwarte, w nadziei że Will jednak się skusi i przestąpi próg, czy raczej je

zamknąć dla ochrony domu i jej rodziny przed mężczyzną czającym się w ciemnościach?

Ostatecznie pozostawiła je lekko uchylone, na wypadek gdyby Will zmienił zdanie. Potem, szcękając zębami, pomaszerowała na górę. Z kuchni dobiegł ją głos ojca:

–Masz mleko?

–Zaraz zejść na dół, tato – zawołała i pobiegła do swego pokoju.

Oczywiście wiedziała gdzie jest dziennik, przecież sama go tam schowała. W kilka sekund znalazł się w jej rękach, ale gdy wyszła na korytarz, usłyszała głos Sherwooda:

–Co robisz?

Spojrzała w stronę podestu piętra, usiłując schować dziennik, by brat nie zdołał go dostrzec. Nie była jednak dostatecznie szybka.

–Dokąd go zabierasz? – spytał, podbiegając do schodów i puszczając się za nią w pościg.

–Nie schodź na dół! – rozkazała, naśladując najsroższy ton ich matki. – Ja nie żartuję, Sherwoodzie!

Jej słowa nie wywarły na nim większego wrażenia. Co więcej, sprawiły, że ojciec wyszedł z kuchni, aby ją uciszyć.

–Frannie, obudzisz mamę! – Powiódł wzrokiem od schodów w stronę drzwi, które wiatr otworzył na oścież. – Nic dziwnego, że jest taki przeciąg! – mruknął, podchodząc, by je zamknąć.

Ogarnięta paniką Frannie zbiegła po schodach, aby go uprzedzić.

–Ja je zamknę! Nic się nie stało! To nic takiego.

Było już jednak za późno. Ojciec okazał się szybszy, doszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. I zobaczył stojącego na śniegu Willa.

–Co się tu dzieje, u licha? – spytał, zerkając na Frannie, która znajdowała się zaledwie o jard za nim. – Wiedziałaś, że on tu jest?

–Tak, tato.

–Boże Wszechmogący! – rzucił, podnosząc głos. – Czy wy dzieciaki nie macie za grosz rozumu? Williamie! Natychmiast wejdź do środka. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Frannie widziała Willa ponad ramieniem ojca i przez chwilę łudziła się, że chłopiec usłucha. On jednak cofnął się o kilka kroków.

–Wracaj tu! – zawołał ostro George, wychodząc na próg przed domem, by swoim słowom dodać władczy tonu.

–Tato, nie... – zaczęła Frannie.

–Zamknij się! – uciął ojciec.

–Tato, on nie jest sam – ciągnęła Frannie.

To sprawiło, że ojciec wreszcie zaczął jej słuchać.

–O czym ty mówisz?

Frannie stanęła przy wejściu.

–Proszę, zostaw go. Daj mu spokój!

Jej ojciec znów poddał się emocjom. I tym razem wzięły one nad nim górę.

–Do środka! – krzyknął. – Słyszysz, Frances?

Była pewna, że go słyhać w całej okolicy. To tylko kwestia czasu, zanim ludzie zaczną wylegać na ulicę i zadawać pytania. Dla nich wszystkich byłoby lepiej, gdyby przekazała dziennik Willowi i pozwoliła, by chłopiec oddał go Steepowi. Bądź co bądź, to była własność Steepa. Dla nich wszystkich będzie lepiej, jeżeli dziennik powróci do swego prawowitego właściciela. Zanim jednak zdołała przeciwstawić się żądaniu ojca i wyjść na dwór, dopadł ją Sherwood.

–Kto tam jest? – zapytał. Miał nieświeży oddech i wilgotne dłonie.

–To tylko Will – skłamała.

–Oszukujesz, Frannie. To oni, prawda? – Wpatrywał się, gdzieś poza nią, w ciemność. – Rosa? – rzucił półgłosem. A potem dodał: – Ja wezmę książkę!

Próbował wyrwać ją z rąk Frannie. Nie oddała mu jej. Z całej siły pchnęła brata w pierś, odwracając się w głąb sieni. Pani Cunningham schodziła właśnie po schodach, dopytując się, co się dzieje, ale Frannie zignorowała ją i wyszła na śnieg, by ujrzeć, jak jej ojciec podchodzi do Willa, który najwyraźniej nie miał już sił dalej się wycofywać. Jego szare jak popiół oblicze zwiotczało, słaniał się na nogach.

–Nie...

Frannie usłyszała, jak wyrzucił z siebie to krótkie słowo, gdy jej ojciec wyciągnął do niego rękę. Kiedy tylko dłoń pana Cunninghama dotknęła go, upadł jak podcięty, a jego oczy wywróciły się w oczodołach.

Frannie nie przystanąła, by upewnić się, w jakim Will jest stanie. Minęła ojca, który podtrzymując bezwładnego Willa, nie zdołał jej zatrzymać, i wyszła na środek ulicy. Równocześnie uniosła dziennik nad głową, aby Steep mógł go zobaczyć.

–Tego właśnie chcesz – rzekła niemal szeptem. – Podejdz i weź to sobie.

Obróciła się wokół osi, czekając, aż się pokaże. Na progu domu pojawiła się jej matka, żądając kategorycznie, żeby dziewczynka w tej chwili weszła do środka. Ich sąsiadka, pani Davies, stanęła przy furtce, a jej paskudny terier Benny zaczął ujadać jak oszalały. Mleczarz Arthur Rathbone wysiadł z furgonetki, z wyrazem zdumienia na twarzy; kiedy Frannie rozpoczęła drugi obrót, pojawił się Steep. Zbliżał się do niej miarowym, równym krokiem, wyciągając do przodu urękawiczoną dłoń, by przyjąć oferowaną nagrodę.

Chciała zachować możliwie jak największy dystans pomiędzy wrogiem a jej domem, toteż nie zaczęła aż podejście bliżej, tylko przeszła na drugą stronę ulicy, by tam się z nim spotkać. To dziwne, ale prawie się nie bała. Ta ulica to był jej świat – z wrzeszczącą matką, ujadającym psem, mleczarzem i całą resztą. Nawet po zmierzchu on nie miał tu zbyt wiele do powiedzenia.

Dzieliło ich tylko kilka jardów. Teraz lepiej mogła przyjrzeć się jego twarzy. Ujrzała malującą się na niej radość, wyraz nieskrywanego szczęścia, gdy wpatrywał się jak urzeczony w trzymaną przez nią księgę.

–Grzeczna dziewczynka – mruknął i wyłuskał dziennik z jej dłoni tak zręcznie, że nawet nie zorientowała się, kiedy to nastąpiło.

–On nie chciał go zabrać! – zawołała w ślad za nim, na wypadek gdyby Steep żywił z tego powodu urazę wobec Sherwooda. – Nie wiedział, że to może być coś ważnego. – Steep pokiwał głową. – Ale to jest coś ważnego, prawda? – dodała, w próżnej nadziei że udzieli jej jakiegokolwiek, choćby nawet mglistej odpowiedzi co do zawartości księgi.

Jeżeli nawet Steep pojął jej zamiar, najwyraźniej nie zamierzał zdradzić dziewczynce swoich sekretów. Zamiast tego powiedział:

–Przekaż Willowi, żeby uważał na Lorda Lisa, dobrze?

–Lorda Lisa?

–On zrozumie – odparł Steep. – Teraz on także jest częścią tego szaleństwa.

To rzekłszy, odwrócił się do niej tyłem i odszedł w głąb ulicy, mijając podwórze ich domu, Arthura Rathbone'a, który roztropnie zszedł mu z drogi, skrzynkę na listy na rogu i po chwili zniknął jej z oczu.

Jeszcze przez kilka sekund patrzyła za nim, nie słysząc szlochu, krzyków i ujadania. Poczowała niewysłowiony żal i przygnębienie. Tajemnica wymknęła się jej z rąk i teraz nigdy nie zdoła jej

rozwikłać. Jedyne, co jej pozostało, to wspomnienie tych stron i widniejących na niej hieroglifów, przywodzących na myśl mur mający nie dopuścić, by ujrzała, co znajduje się po jego drugiej stronie.

–Frannie?

Głos jej matki.

–Wracaj do środka, słyszysz?

Nawet teraz, gdy po Steepie dawno nie było już siadu, trudno jej było odwrócić wzrok.

–Ale już! Natychmiast! Słyszysz, Frannie?

Z wielkim wahaniem skierowała się w stronę domu. Ojciec ni to doniósł, ni to dociągnął Willa do wejścia, matka stojąca w pokoju tuliła do siebie płaczącego Sherwooda.

Teraz dopiero się zaczęło, pomyślała Frannie. To będzie istne piekło. Niekończące się pytania. Nie było mowy, żeby udało się im cokolwiek ukryć czy zataić. Ale po tej nocy to i tak już nie będzie miało znaczenia. Will wrócił, jego przygoda dobiegła końca, zanim jeszcze na dobre się rozpoczęła. Nie musiała ochraniać go kłamstwami. Pozostało im już tylko powiedzieć prawdę, jakkolwiek dziwna mogła się ona wydawać, a następnie ponieść ewentualne konsekwencje. Z ciężkim sercem i pustymi rękoma ruszyła w stronę domu, w progu którego stała jej matka, z wtulonym w nią Sherwoodem, szlochającym tak głośno i rozpaczliwie, jakby nie miał już nigdy przestać.

CZTERNAŚCIE

Trzy godziny później, kiedy nadszedł świt szarego dnia i rozszalała się kolejna śnieżycą, Jacob i Rosa odnaleźli się wzajemnie na drodze do Skipton kilka mil na północ od doliny. Nie umawiali się tam na spotkanie, a jednak przybyli w to samo miejsce (z różnych stron: Jacob od strony doliny, Rosa ze wzgórz) w odstępie pięciu minut jedno po drugim, jakby to rendez-vous zostało uprzednio ustalone.

Rosa dość mgliście tłumaczyła, co zrobiła swoim prześladowcom, ale nie ulegało wątpliwości, że przerodziło się to w długi i uciążliwy pościg.

–Jeden z nich uciekał bez końca – powiedziała. – A kiedy go wreszcie dopadłam, byłam tak wściekła, że... że... – przerwała i zmarszczyła brwi. – Wiedziałam, że to jest straszne, bo on był jak dziecko, rozumiesz? Tak to już z nimi jest. – Zaśmiała się. – Mężczyźni – ciągnęła – są jak małe dzieci. No, może nie wszyscy. Nie ty, Jacobie.

Podmuch wiatru przyniósł ze sobą płatek śniegu i jęk syren.

–Musimy ruszać – rzekł Jacob, przepatrując autostradę, w jedną i w drugą stronę. – W którą stronę chciałabyś pójść?

–W tę co ty – odparła.

–Chciałabyś pójść ze mną?

–A ty nie?

Jacob wytarł ciekący nos wierzchem rękawicy.

–Chyba tak – odparł – przynajmniej dopóki nie przestaną nas szukać.

–Och, niech przychodzą – rzuciła Rosa z kwaśnym uśmiechem. – Chciałabym porozrywać im gardła, nie oszczędziłabym nikogo.

–Nie możesz zabić ich wszystkich – odrzekł Jacob.

Jej uśmiech poszerzył się.

–A we dwoje? Czy we dwoje zdołalibyśmy tego dokonać? – zapytała, wściekła jak małe dziecko, na cały świat.

To rozbawiło Jacoba. Uśmiechnął się, wbrew sobie. Zawsze potrafiła zrobić coś, czym go rozbawiała. Rosa – uczennica. Rosa – rybaczka. Rosa – poetka. A teraz Rosa – zabójczyni, tak pochłonięta mordowaniem, że nie pamiętała co komu zrobiła. Skoro nie było mu jeszcze dane wędrować samemu, to z kim, jeśli nie z kobietą, która tak dobrze go znała?

Dopiero następnego dnia, czytając Daily Telegraph w kafejce w Aberdeen, dowiedzieli się niektórych szczegółów tego, co właściwie zrobiła Rosa, ale nawet autor artykułu okazał w tym względzie niezwykłą, żeby nie powiedzieć: podejrzaną, powściągliwość. Dwa ciała spośród czterech znalezionych na wzgórzach były rozdarte na strzępy, a fragmentów jednego w ogóle nie odnaleziono. Jacob nie zapytał, czy brakujące części zostały przez nią zjedzone, pogrzebane, czy może rozrzucone podczas ucieczki, na pastwę tamtejszej zwierzyny. Po prostu przeczytał relację i podał gazetę Rosie.

–Mają nasze rysopisy, i to bardzo dokładne – zauważył.

–Od tych dzieciaków – stwierdziła.

–Tak.

–Powinnam wrócić i je pozabijać – warknęła. – W ich własnych łóżkach.

–Sami ściągnęliśmy to na siebie – mruknął Jacob. – To nie koniec świata. – Uśmiechnął się do swego guinnessa. – Chociaż mogę się mylić.

–Głosuję za tym, abyśmy ruszyli na południe.

–Nie mam nic przeciwko temu.

–Sycylia.

–Jakiś szczególny powód?

Wzruszyła ramionami:

–Wdowy, kurz. Sama nie wiem. Przyszło mi na myśl, że to odpowiednie miejsce, żeby się zaszyć, ukryć, przyczać, o ile faktycznie tego chcesz.

–Nie na długo – rzekł Jacob, odstawiając pustą szklanę.

–Masz przecucie?

–Tak, mam przecucie.

Zaśmiała się.

–Uwielbiam te twoje przecucia – rzekła półgłosem, ujmując go za rękę. – Wiem, że ostatnio padło w rozmowach między nami wiele ostrych słów.

–Roso...

–Nie. Nie. Wysłuchaj mnie. Bądźmy wobec siebie szczerzy, w rozmowach między nami padały

naprawdę ostre słowa i wypowiedzieliśmy je w pełni świadomie, z rozmysłem. Ale... Kocham cię.

–Wiem.

–Zastanawiam się, czy wiesz, jak bardzo cię Kocham? – spytała, nachylając się lekko ku niemu. – Ponieważ ja sama nie wiem. Wyglądał na zakłopotanego. – To, co do ciebie czuję, jest ukryte tak głęboko we mnie... sięga tak daleko w głąb mojej duszy, Jacobie, tkwi w samym sercu mojej jaźni, tego kim jestem. Nie potrafię dostrzec tego w pełni. – Spoglądała mu głęboko w oczy. Odnalazł jej spojrzenie. Patrzył na nią. Nawet nie mrugnął powieką. – Nie rozumiesz, o czym mówię?

–Szczерze mówiąc...

–Jeżeli nie rozumiesz, to nie mów.

–Przysięgam, że to prawda – odparł Jacob. – Nie pojmuję tego bardziej niż ty, ale muszę przyznać, że należymy do siebie nawzajem.

Nachylił się i ucałował jej nie uszmińkowane wargi. Miały smak dżinu, a także czegoś innego, żadne inne usta, prócz Rosy, nie smakowały w ten sposób. Gdyby w tym momencie jakiś mężczyzna zarzucił Rosie, że była daleka od ideału, Steep zabiłby łajzę bez chwili namysłu. Zdumiewała go, gdy postrzegał ją taką jak teraz, w pełnej krasie. A on sam był najszczęśliwszym mężczyzną na ziemi, mogąc wędrować w jej towarzystwie. I co z tego, gdyby nawet zakończenie jego dzieła miało potrwać kolejne sto lat? Miał obok siebie Rosę, wiecznie obecny znak tego, co czekało go u kresu tego przedsięwzięcia.

Pocałował ją jeszcze mocniej, a ona na jego karesy odpowiedziała swoimi pocałunkami, głębokimi, żarliwymi, które z kolei jego zainspirowały do natychmiastowego odzewu i koniec końców ich ciała splotły się w tak namiętym uścisku, że nikt w tym momencie nie śmiałby nawet na nich spojrzeć, w obawie, by nie zapłonąć się rumieńcem.

Później przenieśli się na splechetek nagiej ziemi przy torach kolejowych. Tam, z nadejściem zmierzchu i kolejnej śnieżycy, dokonali akt seksualny rozpoczęty jeszcze w gmachu Sądu. Tym razem nie próbowali powstrzymać przepelniającej ich oboje pasji; byli spleceni ze sobą tak misternie, że pasażer któregoś z licznych pociągów przejeżdżających obok, w trakcie ich długiej kopulacji, zobaczywszy ich tarzających się po ziemi, mógłby pomyśleć, że byli nie dwiema, lecz jedną istotą, nienazwanym zwierzęciem czającym się przy torach i czekającym na dogodny moment, by przejść na drugą stronę.

PIĘTNAŚCIE

1

Will wiedział, że to nie jawa. Choć pozornie leżał w swoim łóżku, w swoim pokoju, mimo że słyszał dobiegający z dołu głos matki – to wszystko tylko mu się śniło. I co było tego dowodem? Jego matka nie mówiła, lecz śpiewała po francusku słodkim, wysokim głosem. To czysty absurd. Jego matka nie lubiła śpiewać. Podczas śpiewania hymnów w kościele tylko po cichu wypowiadała ich słowa. Były również inne, jeszcze bardziej przekonujące dowody. Światło przebijające przez szczeliny między zasłonami miało barwę, jakiej nigdy nie widział: złocisto-fiołkowo-różową, która sprawiała, że wszystko, na co padł ów blask, zdawało się wibrować, jakby owa światłość śpiewała swoją własną pieśń. A tam, dokąd nie docierała, panował niezgłębiony bezruch, cienie zaś miały swoje własne, niezwykle kolory.

–To doprawdy jest najdziwniejsze w snach – powiedział ktoś.

Will usiadł na łóżku.

–Jest tu kto?

–Zgodzisz się ze mną, prawda? Mam na myśli sny w snach. One są najdziwniejsze.

Will zlustrował wzrokiem ciemność u stóp łóżka, skąd wypływał głos, i lekko zmrużył oczy, by wyraźniej ujrzeć mówiącego.

Ten ktoś był ubrany na czerwono. Może miał futro? I spiczastą czapkę?

–Ja jednak przypuszczam, że to jest tak jak z tymi rosyjskimi lalkami, matrioszkami – ciągnął mężczyzna w futrze. – Wiesz o czym mówię? Oczywiście, że wiesz. Chodzi mi o lalki, które są wkładane jedna do drugiej. Taki światowiec jak ty musi to wiedzieć. Tak wiele widziałeś. Jeżeli chodzi o mnie, widziałem tylko nieduży kawałek trzęsawisk, o powierzchni pięciu mil kwadratowych. – Przerwał na chwilę, by coś przeżuć... – Wybacz, że tak hałasuję – powiedział – ale jestem cholernie głodny... O czym to ja mówiłem?

–O matrioszkach.

–Ach, tak. Matrioszki. Rozumiesz to porównanie? Te sny są jak matrioszki, zawierają się w sobie nawzajem. – Przerwał i znów żuł przez kilka chwil. – Ale w tym tkwi pewien haczyk – dodał – ponieważ to działa w obie strony.

–Kim jesteś? – zapytał Will.

–Nie przerywaj. Może to trochę naciągane, ale wyobraź sobie, że znajdujemy się w jakimś równoległym wszechświecie, w którym udało mi się przetrwać i przewartościować wszystkie

prawa fizyki...

–Chcę zobaczyć z kim rozmawiam – nalegał Will.

–Nie rozmawiasz z nikim. Śpisz. Przetworzyłem wszystkie prawa fizyki i każda z matryoszek pasuje do siebie nawzajem, niezależnie od rozmiarów.

–To głupie.

–Kogo nazywasz głupcem? – spytał nieznajomy i w przypiływie gniewu wyłonił się spośród cieni.

To nie był mężczyzna w futrze i spiczastej czapce – lecz lis. Lis ze snu, o błyszczącej sierści, wąsach jak igły i czarnych ślepiach, które niczym czarne gwiazdy lśniły w jego smukłym pyszczku. Zwierzę stało dumnie na tylnych łapach, a poduszki jego przednich łap były nieznacznie wydłużone, tak że przypominały ludzkie palce.

–No i teraz mnie widzisz – powiedział lis.

Will dostrzegł tylko jeden szczegół łączący tę istotę ze snu z dzikim zwierzęciem, którym był; rozbryźnięty ślad krwi na białej sierści, na piersi lisa.

–Bez obawy – rzekł lis, spoglądając na ślady posoki. – Już jadłem. Ale ty pamiętasz przecież Thomasa.

Thomasa...

Martwego, leżącego wśród traw, z wyżartymi genitaliami...

–Nie próbuj mnie osądzać – zbeształ go lis. – Robimy to, co musimy. Jeżeli jest coś, co masz, a czym mogę się pożywić, biorę to. I zaczynam od najdelikatniejszych kąsków. Och, spójrz tylko na siebie. Na swoją twarz. Uwierz mi, zanim dorośniesz, ty też, niejeden raz będziesz brał to, o czym mówię, do buzi, i to ze smakiem. – Znów się zaśmiał. – Na tym polega wielkość tej chwili, rozumiesz? Mówię do chłopca, ale słucha mnie mężczyzna. Zastanawia mnie, czy naprawdę to wszystko ci się przyśniło, wtedy, wiele lat temu. Czyż to nie ciekawa zagadka? Czy, mając lat jedenaście, leżysz i śniesz o mnie, przychodzącym, by opowiedzieć ci o mężczyźnie, którym się staniesz, mężczyźnie, który pewnego dnia będzie spoczywał pogrążony w śpiączce i śnił o tobie, leżącym w swoim łóżku i śniącym o lisie – wzruszył ramionami – i tak dalej. Nadążasz za mną?

–Nie.

–To tylko przemyślenia. Twój ojciec zapewne ucieszyłby się, mogąc podyskutować na taki temat, tyle tylko że musiałby podyskutować o tym z lisem, a nie przypuszczam, by to pasowało do jego sposobu widzenia świata. No cóż... jego strata.

Lis stanął z boku łóżka, w miejscu gdzie promienie światła padały na jego futro.

–Dziwię się, jak mogłeś – powiedział, przyglądając się bacznie Willowi. – Nie wyglądasz na tchórza.

–Bo nim nie jestem – zaprotestował Will. – Sam zaniósłbym mu ten dziennik, ale moje nogi...

–Nie mówię do chłopca, którym byłeś – rzekł lis, świdrując go wzrokiem. – Lecz do mężczyzny, którym jesteś.

–Nie jestem... mężczyzną. – zaprotestował słabo Will. – Jeszcze nie.

–Och, dajże spokój. To nużące. Wiesz doskonale, że jesteś dorosłym facetem. Nie możesz w nieskończoność ukrywać się w przeszłości. Być może przez pewien czas to wydaje się wygodne, ale prędzej czy później cię zabije. Już czas, abyś się obudził mój drogi.

–Nie wiem o czym mówisz.

–Chryste, jesteś taki uparty! – uciał lis, zrywając z pozorami życzliwości i łagodności. – Nie rozumiem, dokąd ma cię zaprowadzić ta twoja nostalgia. Liczy się przyszłość. – Nachylił się do Willa, tak że ich gałki oczne niemal się zetknęły. – Słyszysz mnie? – zagrział.

Miał cuchnący oddech, ta woń przypominała Willowi, czym pożywiła się istota i z jakim zadowoleniem oddaliła się od ciała Simeona. Świadomość, że to tylko sen, nie dodała mu bynajmniej odwagi; gdyby lis zaczął obwąchiwać mu krocze, Will spróbowałby podjąć walkę, ale miał marne szanse na jej wygraną, wykrwawiłby się na śmierć we własnym łóżku, podczas gdy lis pożarłby go żywcem.

–O, Boże – jęknął lis. – Widzę, że przymusem niczego nie zyskam. Cofnął się o dwa kroki od łóżka, węszył przez chwilę i rzekł: – Czy mogę ci opowiedzieć pewną anegdotę? Cóż, i tak ją opowiem. Któregoś dnia, w miejscu gdzie zwykle poluję, natknąłem się na psa. Zazwyczaj nie zadaję się z udomowionymi gatunkami, ale tym razem nawiązaliśmy luźną pogawędkę, tak jak to czasem bywa z wami, i ten pies powiedział: „Lordzie Lisie” – nazywał mnie Lordem Lisem – powiedział tak: „Niekiedy mam wrażenie, że my, psy, popełniłyśmy wielki błąd, pokładając w nich zaufanie”. Miał na myśli twój gatunek, chłopcze. Ja mu na to: „Jak to? Nie musisz żywić się odpadami, jak ja. Nie musisz spać na ziemi”. On na to, że to jest nieistotne z punktu widzenia Wielkiego Planu. Zaśmiałem się, bo co taki pies mógł wiedzieć o Wielkim Planie? Choć muszę przyznać, że ten kundel był po trosze myślicielem. „Dokonałiśmy wyboru” – stwierdził. „Polujemy dla nich, strzeżemy ich stad i potomstwa. W pewnym sensie pomogliśmy im stworzyć tę ich cywilizację, nieprawdaż? I po co?”. Odparłem, że nie wiem, to mnie przerastało. „Ponieważ” – odparł – „sądziliśmy, że oni wiedzą, jak należy się wszystkim zająć. Jak sprawić, by świat stale był pełen mięsa i kwiatów”. „Kwiatów?” – spytałem (psy bywają bardzo pretensjonalne, rozumiesz). „Nie wygłupiaj się”. Mięso, owszem. To oczywiste, że pies chce, aby twój gatunek dbał o mięso dla nich, od kiedy jednak psu może zależeć na zapachu kwiatów? Bardzo się wówczas rozsierdził. „Koniec rozmowy” – powiedział i się oddalił.

Lis znowu stanął w nogach łóżka Willa.

–Zrozumiałeś o co mi chodzi? – zapytał Willa.

–Poniekąd.

–Nie ma czasu na spanie, Will. Świat tam na zewnątrz potrzebuje pomocy. Zrób to dla psów, jeśli musisz. Ale zrób to. Przekaż to mężczyźnie, który jest w tobie. Każ mu, by się obudził. A jeżeli tego nie zrobisz... – Lord Lis nachylił się nad oparciem w nogach łóżka i przymrużył lśniącego ślepią. – Wrócę kiedyś w środku nocy i wyjrę twoje najdelikatniejsze części. Rozumiesz mnie? Wrócę tu. To pewne jak to, że Bóg dał drzewom cycki. – Rozwarł lekko szczęki i Will poczuł bijący pomiędzy nich nieświeży oddech. – Rozumiesz mnie?

–Tak – odparł Will, starając się nie patrzeć na zwierzę. – Tak! Tak! Tak!

–Will.

–Tak! Tak!

–Will, masz koszmary sen. Obudź się. Obudź się.

Otworzył oczy. Leżał na łóżku w swoim pokoju, ale Lorda Lisa już nie było, podobnie jak niezwykłego światła. Zamiast nich pojawiła się jakaś inna, ludzka postać. Na skraju łóżka siedziała doktor Johnson, która właśnie go obudziła. A w drzwiach dostrzegł matkę. Na jej twarzy malował się znacznie mniej współczujący wyraz niż na obliczu lekarki.

–Co ci się śniło, u licha? – dopytywała się doktor Johnson. Dotykała jego czoła wierzchem dłoni. – Pamiętasz?

Will pokręcił głową.

–No cóż, masz wysoką gorączkę, mój chłopcze. Nic dziwnego, że miewasz dziwne sny. Ale niebawem wyzdrowiejesz. Wypisała receptę. – Będzie musiał poleżeć trochę w łóżku – powiedziała, wstając z krzesła. – Co najmniej przez trzy dni.

Tym razem Will nie miał kłopotów z podporządkowaniem się rygorowi. Był tak słaby, że gdyby nawet chciał uciec z domu (a nie miał takiego zamiaru), nie byłby w stanie zwlec się z łóżka.

Teraz, kiedy Jacob odszedł, nie miał powodu, by iść gdziekolwiek. Jedyne, czego pragnął, to położyć sobie poduszkę na głowę i odciąć się od całego świata. A gdyby się przy okazji udusił, to co z tego? Nie miał po co żyć, prócz pigulek, rekryminacji i snów o Lordzie Lisie.

Jeżeli sytuacja wydawała się kiepska, kiedy się obudził, to ten stan jeszcze się pogorszył w kilka godzin później, gdy zjawilo się dwóch policjantów, by zadać mu kilka pytań. Jeden z nich, mundurowy, siedział w kącie sypialni, siorbiąc herbatę, którą przyniosła mu w kubku Adele. Drugi, zgarbiony i dziwnie senny, cuchnący kwaśnym potem, usiadł na brzegu łóżka Willa i przedstawił się jako detektyw Faraday, po czym zaczął zasypywać go pytaniami.

–Chcę, abyś dobrze się zastanowił, zanim odpowiesz, synu. Nie życzę sobie kłamstw ani konfabulacji. Chcę wyłącznie prawdy. To nie gra, synu, zginęło pięciu ludzi.

To było coś nowego. Will dotąd o tym nie wiedział.

–To znaczy, że... zostali zabici?

–Zamordowani, przez kobietę towarzyszącą mężczyźnie, który cię porwał. – Will miał ochotę zaprzeczyć: „On wcale mnie nie porwał, poszedłem z nim z własnej woli”. Nabral jednak wody w usta i pozwolił, by Faraday mówił dalej. – Chcę, żebyś powiedział mi wszystko, co od niego usłyszałeś, nawet jeśli on kazał ci zachować to w tajemnicy. Nawet jeśli o niektórych z tych rzeczy... trudno jest ci mówić. – Faraday zniżył głos, jakby chciał upewnić Willa, że ta rozmowa zostanie wyłącznie pomiędzy nimi. Willa to nie przekonało, ale odpowiedział na wszystkie zadane przez Faradaya pytania.

Potrwało to godzinę i piętnaście minut. Faraday i konstabl zapisywali skrupulatnie jego odpowiedzi. Will wiedział, że część tego, co mówił, brzmiała co najmniej dziwnie, a część, zwłaszcza fragment z paleniem ciem, czyniła zeń, w ich oczach, bezlitosnego okrutnika. Mimo to opowiedział o tym wszystkim, w głębi serca czując, że jego zeznania nie pomogą tym tępym mężczyznom odnaleźć Jacoba i Rosy. Nie wiedział, gdzie mieszkali Steep i McGee ani dokąd mogli się udać. Wiedział tylko, i to martwiło go najbardziej, że nie jest z nimi.

Kolejne przesłuchanie odbyło się w dwa dni później, tym razem spotkał się z nim mężczyzna, który chciał porozmawiać z Willem o niektórych spośród historii opowiedzianych Faradayowi, zwłaszcza o tym, jakoby chłopiec widział Thomasa, żywego i martwego. Jego rozmówca

nazywał się Parsons, ale poprosił, by Will mówił do niego po imieniu, Tim, czego Will stanowczo odmówił, i bardzo go interesowało w jaki sposób Jacob dotykał chłopca.

Will odparł możliwie jak najprościej – powiedział, że gdy wspinali się na wzgórze, Jacob położył mu rękę na ciele i wówczas poczuł się silny. Później, jak wyjaśnił, już w zagajniku, to on dotknął Steepa.

–I właśnie wtedy poczułeś, jakbyś znalazł się w skórze Jacoba, zgadza się?

–Wiedziałem, że to się nie dzieje naprawdę – odparł Will. – To było jak sen, tylko że ja nie spałem.

–Wizja... – rzekł pod nosem Parsons.

Willowi spodobało się brzmienie tego słowa.

–Tak – powiedział – to była wizja. – Parsons zapisał coś. – Powinien pan pójść na tamto wzgórze i się rozejrzeć – rzekł do niego Will.

–Myślisz, że ja także mógłbym mieć wizję?

–Nie – odparł Will. – Ale mógłby pan znaleźć te ptaki, o ile nie pożarły ich lisy... albo coś innego...

Dostrzegł wyraz przerażenia na twarzy mężczyzny. Nie pójdzie na wzgórze, żeby poszukać ptaków, ani tego dnia, ani nigdy. Pomimo pełnych zrozumienia spojrzeń i łagodnej perswazji wcale nie chciał ujrzeć ani poznać prawdy. A dlaczego? Ponieważ się bał. Tak samo było z Faradayem i konstabłem. Oni wszyscy się bali.

Następnego dnia lekarka powiedziała, że jego stan poprawił się na tyle, że Will może już wstać z łóżka i pochodzić trochę po domu. Oglądając telewizję, natknął się na wzmiankę o morderstwach w Burnt Yarley, reporter stał na ulicy przed sklepem mięsnym Donnelly'ego. Z całego kraju zjechali się ciekawscy, nawet kiepska pogoda nie była w stanie powstrzymać ich przed odwiedzeniem tego miejsca, gdzie zdarzyła się tak okropna tragedia.

–Ta niewielka osada – mówił reporter – w ciągu ostatnich czterech ostatnich dni przeżyła istny najazd turystów. Przez pół wieku w najupalniejsze lata nie było ich aż tylu.

–Im szybciej wyjadą, tym prędzej wszystko wróci do normy – wtrąciła Adele, wychodząc z kuchni z tacą, na której stał talerz zupy jarzynowej oraz kanapki z serem i wędliną. Postawiła tacę na podółku Willa, ostrzegając, że zupa jest bardzo gorąca. – To takie straszne – powiedziała, gdy reporter zadawał pytania któremuś z przyjezdnych. – Po co tu się zjawili? Żeby oglądać coś takiego? Czy ci ludzie nie mają za grosz przyzwoitości?

To rzekłszy wyszła do kuchni, by dokończyć cynaderki, które szykowała, Will wciąż patrzył w

ekran, w nadziei że ktoś wspomni o nim choćby słowem, ale na tym przekaz z Burnt Yarley dobiegł końca, a dziennikarz w studio zakończył zaprezentowany materiał informacją, że poszukiwania Jacoba i Rosy sięgają aż na kontynent. Pojawiły się dowody, że osoby odpowiadające ich rysopisom mają kluczowy związek z popełnionymi w ciągu ostatnich pięciu lat zbrodniami w Rotterdamie i Mediolanie, ostatni raport pochodził z północnej Francji, gdzie Rosa McGee była zamieszana w zabójstwo trzech osób, w tym także pewnej nastolatki.

Will wiedział, że powinien się tego wstydzić, ale czuł radość, słysząc całą litanię czynów popełnionych przez tych dwoje. Nie był w stanie stłumić w sobie tej radości, Jacob nauczył go, by szczerze wyrażać wszystkie swoje uczucia, choć w tym przypadku wyrażał je sam przed sobą. A jak przedstawiała się prawda? Otóż, prawda była taka, że gdyby nawet Jacob i Rosa okazali się najbardziej bezlitosną parą seryjnych zabójców w historii, nie żałował, że spotkał ich na swojej drodze. Stanowili dla niego pomost łączący go z czymś więcej aniżeli życie, które wiódł do tej pory, i trzymał się tego wspomnienia jak najwspanialszego podarunku.

Ze wszystkich osób, które rozmawiała z nim podczas rekonwalescencji, to właśnie matka, o dziwo, najlepiej pojmowała o czym myślał. Nie był w stanie potwierdzić tego słowami, mówiła zawsze krótko i rzeczowo. Jednak wyraz jej oczu, zwykle zmęczonych i mętnych, zmienił się nagle w wyostrzony i czujny. Nie patrzyła już na niego jak na powietrze, jak miała w zwyczaju. Przyglądała mu się z uwagą (kilka razy przyłapała ją na tym, gdy sądziła, że jej nie widzi) z dziwnym błyskiem w oczach. Wiedział co to było. Faraday i Parsons bali się tajemnic o których mówił. Matka obawiała się jego samego.

–Obawiam się, że to obudziło wszystkie złe wspomnienia – powiedział mu któregoś dnia ojciec.
– Tak dobrze się nam układało, i teraz to.

Zawołał Willa do swego gabinetu, by odbyć z nim krótką rozmowę.

–Naturalnie, to absolutnie irracjonalne, ale twoja matka ma w sobie odrobinę południowej krwi. – Jak dotąd spojrział na Willa zaledwie raz, przez cały czas patrzył za okno, na strugi śniegu z deszczem, i mówił pogrążony w głębokiej zadumie. Jak Lord Lis pomyślał Will, uśmiechając się do siebie. – Wydaje się jej że... coś... nie wiem jak to powiedzieć... że w jakiś sposób śmierć dotarła za nami aż tutaj, do tego miejsca. – Obracał między palcami ołówek, a teraz cisnął go na blat swego uporządkowanego biurka. – To stek bzdur – mruknął – ale ona patrzy na ciebie i...

–Obwinia mnie za wszystko.

–Nie, nie – zaproponował Hugo. – Nie obwinia. Raczej szuka w tobie związków. Właśnie tak. Szuka związków. To jest teraz dla niej najważniejsze... związki. – Pokręcił głową i burknął coś gniewnie pod nosem – W końcu jej przejdzie – powiedział – Ale do tego czasu musimy jakoś z tym żyć. Bóg nam dopomoże.

Dopiero teraz odwrócił swój skórzany fotel i spojrział na Willa spomiędzy stert papierów.

–Tak więc na razie, proszę, postaraj się nie wyprowadzać jej z równowagi.

–Ale ja nic nie...

–...nic nie zrobiłeś. Wiem. A kiedy cały ten tragiczny nonsens dobiegnie końca, matka znów zacznie wracać do zdrowia. Wciąż jednak jest wyjątkowo wrażliwa i ogólnie przeczulona.

–Będę uważał.

–Dobrze – powiedział Hugo. Powrócił wzrokiem do szarówki za oknem. Uznając rozmowę za zakończoną, Will wstał. – Naprawdę powinniśmy pomówić bardziej szczegółowo o tym co ci się przytrafiło – rzekł Hugo, ale obojętny ton jego głosu sugerował, że nie było mu do tego spieszno. Will czekał. – Kiedy wydobrzejesz – dokończył Hugo. – Wtedy o tym pomówimy.

Do rozmowy nie doszło. Will odzyskał siły, przesłuchania dobiegły końca, reporterzy przenieśli się w inny zakątek Anglii, a za nimi podążyły tłumy ciekawskich. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem Burnt Yarley znów wyglądało tak jak dawniej, a Will przestał się znajdować w centrum wydarzeń. Jego piętnaście minut sławy minęło. W szkole stał się ofiarą złośliwych przytyków i żartów, ale ani trochę na nie nie zważał; kiedy koledzy zorientowali się, że dokuczliwe przezwiska i plotki nie robią na nim żadnego wrażenia, zostawiono go w spokoju. Tylko jedno wciąż go dręczyło, że Frannie trzymała się od niego na dystans. Zamieniła z nim zaledwie kilka słów, tuż przed Bożym Narodzeniem.

–Mam dla ciebie wiadomość – rzekła.

Zapytał od kogo, ale nie wyjawiała tego, kiedy jednak powiedziała mu to, co miała do powiedzenia, zrozumiał, kto był jej autorem. Informacja zresztą także nie była mu potrzebna. Odwiedziny Lorda Lisa miał już za sobą. Wiedział, że dopóki żyje, będzie stanowił część tego szaleństwa. Jeżeli chodzi o Sherwooda, wrócił do szkoły dopiero w trzecim tygodniu stycznia, a i wówczas był w nie najlepszym stanie. Zupełnie jakby coś w nim pękło, ten element, który zmieniał jego brak umiejętności kojarzenia faktów w swego rodzaju osobliwy atrybut. Był blady i niespokojny; kiedy Will próbował z nim porozmawiać, nabierał wody w usta albo zalewał się łzami. Will szybko zorientował się w czym rzecz i pozwolił Sherwoodowi, by wracał do zdrowia w swoim własnym tempie. Cieszył się, że chłopiec ma Frannie, która troszczy się o niego. Broniła Sherwooda jak lwica, kiedy ktoś próbował się z niego naigrawać.

Niebawem wszyscy dowcipnisie przyswoili sobie tę lekcję i, tak jak wcześniej Willa, zostawili w spokoju Sherwooda i Frannie. Powolny powrót do normalności, był na swój sposób równie dziwnym okresem, jak poprzedzające go wydarzenia. Kiedy tylko ucichł gwar w mediach (nawet gazety w Yorkshire, na początku lutego z braku innych sensacji opublikowały kilka artykułów na ten temat), życie powróciło do normy, jakby nie stało się nic niezwykłego. Rzecz jasna od czasu do czasu powracano do tych zdarzeń (głównie w formie krążących po szkole niewybrednych żartów) i w wiosce nastąpiły pewne drobne zmiany (po pierwsze, nie było tu już sklepu mięsnego, a w niedzielę do kościoła przychodziło więcej ludzi). Zima, tego roku szczególnie sroga, dała wszystkim czas na pogrzebanie dręczących ich smutków i omówienie tego, co się stało, rzecz jasna za zamkniętymi drzwiami; kiedy śnieżyce ustały, mieszkańcy mieli już czas żałoby za sobą i byli gotowi rozpocząć wszystko na nowo.

Dwudziestego szóstego lutego nastąpiła zmiana pogody, tak nagle, że można ją było potraktować jak omen. Zrobiło się trochę cieplej, a nocą, po raz pierwszy od dziewięćdziesięciu dni nie było mrozu. Malkontenci prorokowali, że to nie potrwa długo, że taka pogoda się nie utrzyma. Każda roślina, która odważy się wychylić z ziemi, już wkrótce zwiędnie, gdy wróci ochłodzenie. Jednak następny dzień był równie ciepły, kolejny również i jeszcze jeden. Stopniowo niebo zaczęło się wypogadzać i w pierwszym tygodniu marca nad wioską pojawiły się kołujące ptaki, dzięki czemu malkontenci wreszcie się uciszyli. Nadeszła wiosna, czas wysiłku,

wyęzzonego ruchu i pracy mięśni.

Choć Will przeżył jedenaście wiosen w mieście, było to niczym w porównaniu z tym, co ujrzał w marcu tego roku w Burnt Yarley. A raczej z tym co poczuł. Jego zmysły pracowały na najwyższych obrotach, jak tamtego pierwszego dnia, przed Gmachem Sądu, kiedy poczuł niezwykłą więź ze światem. Jego nastrój, do tej pory ponury, znacznie się poprawił.

Nie wszystko było stracone. Głowa Willa była pełna wspomnień, a wśród nich kryły się wskazówki dotyczące tego, co powinien teraz robić, jak ma postępować dalej: rzeczy, których nikt inny nie był go w stanie nauczyć i których być może nikt inny na całym świecie nie potrafiłby zrozumieć.

ŻYWI I UMIERAJĄCY PODSYCAMY OGIEŃ

A GDYBY ONE BYŁY OSTATNIE

JACOB W PTAKU, JACOB W WILKU, JACOB W DRZEWIE

Każda z tych rzeczy była kluczem do uniesienia. Od tej pory będzie szukał własnych uniesień. Znajdzie je, gdy na chwilę się zatrzyma, a ziemia wciąż będzie kręciła się w kółko, wówczas odniesie wrażenie jakby patrzył na świat oczyma Boga. Aż do tego czasu będzie grał rolę uważnego, ostrożnego syna, o co prosił go Hugo. Nie powie niczego, co mogłoby zdenerwować jego matkę czy wzbudzić w niej przypuszczenia, że śmierć dotarła za nimi do tej małej, spokojnej wioski. Jednakże z jego strony będzie tylko gra. Nie należał do nich, ani trochę. Od tej pory będą dlań jedynie tymczasowymi opiekunami, spod kurateli których czmychnie, przy pierwszej, lepszej okazji. Kiedy tylko odnajdzie swoją własną drogę, w tym wielkim, niespokojnym świecie.

4

W Niedzielę Wielkanocną zrobił coś, co odwlekał od czasu poprawy pogody. Odbył tę samą drogę, którą przebył wcześniej z Jacobem, od gmachu Sądu aż do zagajnika, gdzie zabił ptaki. Budynek sądu w ubiegłym roku budził tak wielkie zaciekawienie przyjezdnych, że ostatecznie ogrodzono go parkanem, na siatce widniały liczne tablice, ostrzegające, że wejście na teren budynku grozi sankcjami karnymi. Willa kusilo, by przepełznąć pod siatką i zajrzeć do budynku. Ale dzień był zbyt piękny, żeby marnować go w starych murach, i zaczął się wspinać. Wiał przyjemny, ciepły wietrzyk, przeganiający białe chmury po niebie ponad doliną. Na stokach owce, dezorientowane nagłym nadejściem wiosny, obserwowały go, nie zaniepokojone, rzuciły się do ucieczki dopiero kiedy zaczął na nie pokrzykiwać. Wspinaczka była trudna (brakowało mu dotyku dłoni Jacoba, na karku), ale za każdym razem, kiedy przystawał, by się rozejrzeć, panorama rozszerzała się, a łagodne stoki rozciągały, jak okiem sięgnąć.

Pamiętał las z niesamowitą dokładnością. Jakby – pomimo choroby i zmęczenia – tej nocy wzrok miał nadludzko wyostrzony. Na drzewach pojawiły się już pąki, gałęzie unosiły się dumnie ku górze. A tam, gdzie jeszcze niedawno rozciągał się zmarznięty kobierzec, widać było źdźbła świeżej, soczystej trawy. Udał się od razu na miejsce gdzie zabił ptaki. Nie było po nich śladu. Nie została nawet jedna kosteczka. Kiedy jednak tam stał, poczuł tak głęboką tęsknotę i smutek, że na chwilę zaparło mu dech w piersiach. Był taki dumny z tego co zrobił. (Czyż to nie było szybkie? Czyż to nie było piękne?). Teraz jednak ogarnęły go mieszane uczucia. Spalenie ciem, by powstrzymać mrok, to jedno, ale zabicie ptaków, tylko dlatego że było to przyjemne? To już nie wydawało mu się takie odważne, nie dziś, kiedy drzewa okryły się pąkami, a w górze rozpościerał się bezmiar nieba. Dziś to było raczej niechcianym, plugawym wspomnieniem i poprzysiągł sobie, że nigdy więcej nie opowie nikomu tej historii. Gdy tylko Faraday i Parsons umieścili jego zeznanie w aktach i poszły one w zapomnienie, wraz z nimi pogrzebał również te wspomnienia. Zupełnie jakby to wszystko nigdy się nie wydarzyło.

Przykucnął, aby po raz ostatni poszukać śladów swoich ofiar, lecz gdy tylko to uczynił, zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Poczł lekkie drzenie w powietrzu, a gdy uniósł wzrok, stwierdził, że las wygląda tak samo jak dotychczas, z jedną tylko różnicą. Nieopodal stał Lis i przyglądał mu się z wyteżoną uwagą. Stał na czterech łapach, jak każdy lis, ale w jego spojrzeniu było coś, co wzbudziło w Willu podejrzliwość i niepokój. Widział już wcześniej to zuchwałe spojrzenie, leżąc w swoim łóżku, które wbrew pozorom wcale nie było tak bezpieczne, jak dotychczas sądził.

–Wynocha! – zawołał.

Lis tylko gapił się na niego, niewzruszony i beznamiętny.

–Słyszałeś?! – ryknął na całe gardło Will. – Sio!

Jednakże to, co działało w przypadku owiec, najwyraźniej nie skutkowało na lisy, a przynajmniej na tego lisa.

–Zrozum – rzekł Will. – Nękanie mnie w snach to jedno, ale ty tutaj nie pasujesz. To nie jest twoje miejsce. To świat rzeczywisty. Realny.

Lis pokręcił łbem, wzmacniając wrażenie prawdziwości. Każdy prócz Willa pomyślałby, że zwierzę usiłowało wytrząsnąć z ucha pchłę, ale Will znał prawdę, zwierzę zaprzeczało jego słowom.

–Chcesz powiedzieć, że to także mi się śni? – zapytał.

Zwierzę nie zadało sobie trudu, by pokiwać łbem. Patrzyło tylko na Willa przyjaźnie, podczas gdy on usilnie zastanawiał się nad całą tą sprawą. W pewnej chwili przypomniał sobie mgliście coś, o czym wspominał w swoich dywagacjach Lord Lis. Co takiego powiedział? Była tam wzmianka o rosyjskich lalkach, matrioszkach, ale nie one stanowiły sedno jego wypowiedzi. Anegdota o rozmowie z psem – nie, to też nie to. Gość Willa wspominał jeszcze o czymś. O jakiejś wiadomości, którą miał przekazać. Ale jak ona brzmiała? Jak?

Lis najwyraźniej znudził się nim na dobre. Nie patrzył już w stronę Willa, lecz węszył w poszukiwaniu kolejnego posiłku.

–Zaczekaj chwilę! – powiedział Will. – Jeszcze minutę temu chciał, by zwierzę odeszło. Teraz bał się, że faktycznie tak się stanie, zanim on, Will, zdoła rozwiązać zagadkę jego pojawienia się w tym miejscu. – Nie odchodź jeszcze. Przypomnę sobie. Daj mi tylko szansę...

Za późno. Utracił zainteresowanie zwierzęcia. Lis oddalił się, kołyszając kitą.

–Och, dajże spokój – rzekł Will, podnosząc się, by podążyć za nim. – Robię co mogę.

Drzewa rosły bardzo blisko siebie i kiedy pobiegł za lisem, kilkakrotnie otarł się o ich szorstką

korę i podrapał sobie twarz o sterczące gałęzie. Nie przejął się tym ani trochę. Im szybciej biegł, tym mocniej pracowało jego serce, a im mocniej ono biło, tym lepiej funkcjonowała jego pamięć...

–Zaraz sobie przypomnę! – zawołał do lisa. – Zaczekaj na mnie, dobrze?

Wiadomość była tuż-tuż, miał ją na końcu języka, ale lis znacznie go wyprzedził, lawirując ze zdumiewającą płynnością pomiędzy drzewami. I nagle, w jednej chwili doznał równocześnie dwóch objawień. Po pierwsze, że zwierzę, które ścigał, nie jest Lordem Lisem, a jedynie zwykłym śmiertelnie wystraszoną rudzielcem. Po drugie, wiadomość, którą miał przekazać, brzmiała: „Obudź się, obudź się ze snów o lisach, Lordach i nie tylko, obudź się i powróć do świata...”.

Biegł teraz tak szybko, że drzewa wokół niego rozmyły się w jasną plamę.

Na wprost niego zaś, tam gdzie drzewa się przerzedzały, nie było wzgórz, lecz przybierająca na sile jasność; nie przeszłość, lecz coś o wiele bardziej bolesnego. Nie chciał tam iść, ale było już za późno, by mógł spowolnić tempo tego biegu, a co dopiero mówić o całkowitym zatrzymaniu się. Drzewa rozmyły się w szarą plamę, ponieważ nie były już drzewami, a ścianami tunelu, w głąb którego spadał, porzucając czas dzieciństwa i zachowane z tamtego okresu wspomnienia.

Na końcu tunelu ktoś wymawiał jego imię. Nie udało mu się wychwycić słów, ale sądząc po tonie, ten ktoś starał się dodać mu otuchy i odwagi, jak wycieńczonemu maratończykowi, zbliżającemu się do linii mety.

Zanim jednak ją przekroczył, nim powrócił do świata jawy, postanowił raz jeszcze rzucić okiem na przeszłość. Odrywając wzrok od światłości przed sobą, obejrzał się przez ramię i przez kilka bezcennych sekund miał okazję ujrzeć świat, który opuszczał. Był tam las, lśniący w promieniach wiosennego słońca, każdy pączek zawierał w sobie obietnicę rozkwitającej zieleni. I Lis. Był tam również Lis, przemierzający chaszcze w sobie tylko znanym celu. Will wyteżył wzrok, usiłując dostrzec coś więcej, wiedział, że zostało mu tylko kilka chwil, i zobaczył to czego pragnął, jego spojrzenie podążyło w dół zbocza, ku wiosce w dolinie. Jedno spojrzenie zawierające w sobie miliard najdrobniejszych szczegółów. Roziskrzony nurt rzeki, popadający w ruinę gmach Sądu, błyszczące, pokryte gontami spadziste dachy domów w wiosce, most, budynek poczty i budkę telefoniczną, z której tamtej nocy, dawno temu dzwonił do Frannie, by powiadomić ją, że ucieka.

I tak właśnie było. Uciekał. Powracał do życia, w którym już nigdy nie ujrzy tych cudownych widoków, tak doskonałych i tak pięknych...

Znów ten zew. Wołanie z teraźniejszości.

–Witaj z powrotem, Will... – usłyszał czyjś ciepły, łagodny głos.

Zaczekajcie, chciał im powiedzieć. Nie witajcie mnie jeszcze. Dajcie mi jeszcze choć chwilę, bym mógł dośnić mój sen. Biją dzwony, kończy się niedzielna msza. Chcę zobaczyć ludzi. Chcę ujrzeć ich twarze, gdy będą wychodzić z kościoła. Chciałbym zobaczyć...

Znowu ten głos, tym razem nieco bardziej naturalny.

–Will. Otwórz oczy.

Nie miał już czasu. Dotarł do mety. Przeszłość została pochłonięta przez oślepiające światło. Rzeka, most, kościół, domy, wzgórze, drzewa i lis zniknęły, a oczy, które chłonęły wszystkie te widoki, osłabione upływem czasu, choć nie mniej żarłoczne i spragnione podobnych scen, otworzyły się, by ujrzeć, kim się stał.

CZEŚĆ
CZWARTA,
W KTÓREJ
SPOTYKA OBCEGO
W SWOJEJ SKÓRZE
JEDEN

1

–Trochę potrwa, nim zdoła pan wstać i znów zacznie normalnie się poruszać – rzekł do Willa doktor Koppelman w kilka dni po jego przebudzeniu. – Ale jest pan jeszcze młody, silny i wytrzymały. I gdy to się stało, był pan w dobrej kondycji. To daje panu spore atuty w tej grze.

–Czy tym to właśnie będzie? – spytał Will. Siedział na łóżku, pijąc osłodzoną herbatę.

–Grą? Nie, obawiam się, że nie. Obawiam się, że proces rehabilitacji będzie chwilami bardzo bolesny.

–A cała reszta?

–Co najmniej nieprzyjemna i uciążliwa.

–Jak na lekarza ma pan raczej dziwne poczucie humoru. Czy ktoś to panu mówił?

Koppelman wybuchnął śmiechem.

–To się panu spodoba.

–Kto tak twierdzi?

–Adrianna. Powiedziała mi, że w głębi duszy jest pan masochistą. Uwielbiał pan dyskomfort – to jej słowa. Był pan szczęśliwy tylko wtedy, gdy brodził po szyję w trzęsawisku.

–Czy mówiła coś jeszcze?

Koppelman posłał Willowi łobuzerski uśmiech.

–Nic z czego nie byłby pan dumny – odparł. – To prawdziwa dama.

–Dama?

–Obawiam się, że jestem staroświeckim szowinistą. Nawiasem mówiąc, jeszcze do niej nie dzwoniłem, by przekazać dobrą nowinę. Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli usłyszy to od pana.

–Chyba tak – przyznał Will bez większego entuzjazmu.

–Czy chciałby pan zrobić to jeszcze dzisiaj?

–Nie, ale proszę zostawić mi jej numer. Zrobię to, kiedy dojrzeję do tej decyzji.

–Kiedy poczuje się pan lepiej. – Koppelman wydawał się odrobinę zakłopotany. – Zastanawiam się, czy zechciałby pan wyświadczyć mi drobną przysługę? Siostra mojej żony Laura pracuje w księgarni. Jest wielką miłośniczką pana zdjęć. Gdy dowiedziała się, że się panem opiekuję, nieomal zagroziła, że mnie zabije, jeśli nie postawię pana jak najszybciej na nogi. Czy podpisze pan dla niej jeden ze swoich albumów, jeśli go przyniosę?

–To będzie dla mnie prawdziwa przyjemność.

–Miło mi go ujrzeć.

–Co takiego?

–Pański uśmiech. Ma pan powód, aby uważać się za szczęśliwca, panie Rabjohns. Nie dałbym głowy, że pan z tego wyjdzie. Nie spieszyło się panu.

–Błądziłem... tu i tam. – odparł Will.

–W znajomym miejscu?

–W wielu miejscach.

–Gdyby chciał pan o tym porozmawiać, to przyślę do pana terapeutę.

–Nie ufam terapeutom.

–Z jakiegoś konkretnego powodu?

–Spotykałem się kiedyś z jednym. To był najbardziej szurnięty facet, jakiego kiedykolwiek poznałem. Poza tym, czy zadaniem terapeutów nie jest usuwanie bólu? Czemu u licha miałbym tego pragnąć?

Kiedy Koppelman wyszedł, Will powrócił myślami do ich rozmowy, a raczej jej ostatniej części. Już od dawna nie myślał o Eliocie Cameronie, terapeutce, z którym się kiedyś spotykał. To był krótki romans, rozgrywający się, za naleganiem Eliota za zamkniętymi na klucz drzwiami pokoju hotelowego, wynajętego na fałszywe nazwisko. Początkowo to ukrywanie

podobało się uwielbiającemu wszelkie gierki Willowi, wkrótce jednak stało się uciążliwe, wskutek poczucia winy, dręczącego zakłopotanego swymi skłonnościami i orientacją seksualną Eliota. Często się kłócili, niekiedy nawet ostro, i po wspaniałym seksie dochodziło między nimi do gwałtownych sprzeczek; w ruch szły nawet pięści. Wreszcie na rynku pojawił się pierwszy album Willa – Transgresja, zbiór zdjęć połączonych wspólną tematyką, wypieranie przez ludzi zwierząt z ich naturalnego środowiska. Album nie zwrócił uwagi krytyków i zapewne przemknąłby bez echa i popadł w zapomnienie, gdyby pewien publicysta z Washington Post nie postanowił na jego przykładzie ukazać, w jaki sposób homoseksualni artyści kalają wszelkie podejmowane przez siebie tematy.

„To wyjątkowy przykład braku dobrego smaku” – pisał ów publicysta – „że tragedie ekologiczne wykorzystywane są w charakterze politycznej metafory, ale staje się on tym bardziej rażący, gdy weźmie się pod uwagę dwuznaczną naturę podejmowanego tematu. Pan Rabjohns powinien się wstydzić. Usiłował zmienić swoje prace w irracjonalną, strasznie udramatyzowaną metaforę ukazującą miejsce homoseksualistów w Ameryce; czyniąc to, upodlił nie tylko swój kunszt, swoją orientacją seksualną, ale, co najgorsze i niewybaczalne – same zwierzęta, których agonię, cierpienia i gnijące truchła fotografował z takim zapamiętaniem”.

Artykuł wywołał liczne kontrowersje i w ciągu czterdziestu ośmiu godzin Will znalazł się w samym sercu burzliwej debaty z udziałem ekologów, zwolenników praw gejów, krytyków sztuki i żądnych sławy polityków. Wtedy też oczywistym stał się pewien fenomen. Patrząc na niego, wszyscy widzieli to co sami chcieli zobaczyć. Dla jednych był jak kij wkładany między szprychy koła estety. Dla innych zwykłym, złym chłopakiem o przystojnym obliczu i dziwnym, nawiedzonym spojrzeniu. Jeszcze inni postrzegali go jako seksualnego outsidera, którego zdjęcia miały mniejsze znaczenie aniżeli fakt, że ich twórca przełamywał pewne, dotąd nienaruszalne tabu. Jak na ironię, mimo że on sam nigdy nie stawiał sobie za cel dokonywania przypisywanych mu nowatorskich czynów, kontrowersje uczyniły zeń to, co wedle „Post-u” robił ze swymi tematami – przeistoczyły go w metaforę.

Rozpaczliwie poszukując miłości, napotkał Eliota. Ten jednak stwierdził, że nie chce, by związek z Willem doprowadził do ujawnienia całemu światu jego preferencji, i schronił się w Vermont. Kiedy Will pokonał wreszcie labirynt, jaki przebył terapeuta, aby znaleźć się poza zasięgiem reflektorów i prasy, Eliot wyznał, że najlepiej będzie, jak Will zostawi go na pewien czas samego. Bądź co bądź – wyjaśnił na swój szczerzy, choć pokrętny sposób – przecież w gruncie rzeczy nigdy nie byli kochankami, prawda? Przespali się tylko ze sobą kilka razy i to wszystko. Sześć miesięcy później, kiedy Will robił zdjęcia na masywie Ruwenzori, do jego rąk trafiło wymiętoszone zaproszenie na ślub Eliota. Dołączono do niego krótki liścik od przyszłego pana młodego, w którym pisał, że zdaje sobie sprawę, iż Will nie będzie mógł uczestniczyć w ceremonii, ale nie chce, by poczuł się zapomniany. Pod wpływem heroicznie perwersyjnego impulsu Will spakował wcześniej swoje rzeczy i wrócił samolotem do Bostonu, by zdążyć na ślub. Koniec końców, na weselu spił się jak świnia i wdał w długą dyskusję ze szwagrem Eliota, także terapeutą, w której głośno i wyraźnie zmieszał z błotem całą tę profesję. „Terapeuci to politolodzy duszy” – stwierdził – „przejawiają niezdrowe zainteresowanie do babrania się w

cudzym głównie". W tydzień później Eliot zadzwonił do niego i w krótkich, żołnierskich słowach polecił Willowi, by trzymał się z daleka od całej jego rodziny, i na tym doświadczenia Willa z terapeutami dobiegły końca. Nie. To nie całkiem było tak. Przeżył krótki romans ze wspomnianym wcześniej szwagrem Eliota, ale to już inna historia. Od tej pory nie rozmawiał z Eliotem, choć ich wspólni przyjaciele mówili mu, że jego małżeństwo kwitnie. Nie mieli dzieci, ale za to posiadali już parę domów.

–Jak długo to potrwa? – spytał Will Koppelmana, gdy doktor odwiedził go ponownie.

–Ale co? Postawienie pana na nogi i sprawienie, że znów będzie mógł pan chodzić?

–Postawienie na nogi, żebym zaczął chodzić i mógł się stąd wynieść.

–To zależy od pana. Od tego, jak mocno będzie pan nad tym pracował.

–Mówimy o dniach, tygodniach...?

–Minimum sześć tygodni – odrzekł Koppelman.

–Skróczę ten termin o połowę – zapewnił Will. – Trzy tygodnie i zabieram się stąd.

–Niech pan to powie swoim nogom.

–Już to zrobiłem. Odbiliśmy poważną rozmowę.

–Nawiasem mówiąc, zadzwoniła do mnie Adrianna.

–Cholera. I co jej pan powiedział?

–Nie miałem wyboru, musiałem powiedzieć prawdę. Powiedziałem, że wciąż jest pan jeszcze bardzo słaby i nie ma ochoty na rozmowy, ale chyba jej nie przekonałem. Lepiej niech się pan z nią pogodzi.

–Najpierw pełni pan funkcję lekarza, a teraz jeszcze staje się głosem mojego sumienia.

–Nie da się ukryć.

–Zadzwonię do niej. Jeszcze dziś.

Sprawiła, że poczuł się nieswojo.

–To ja popadam w depresję, myśląc, że wciąż leżysz w śpiączce, a ty co? Odzyskujesz przytomność, powoli wracasz do zdrowia, ale nie masz chwili czasu, żeby do mnie zadzwonić i powiadomić mnie o tym?

–Przepraszam. Przykro mi.

–Nieprawda. Wcale nie jest ci przykro. Nigdy w życiu niczego nie żałowałeś.

–Czułem się fatalnie. Z nikim nie rozmawiałem.

Cisza.

–Pokój?

Wciąż cisza.

–Jesteś tam jeszcze?

–Jestem.

–To jak, pokój?

–Słyszałam, co powiedziałeś za pierwszym razem. Jesteś pieprzonym egocentrycznym sukinsynem, zdajesz sobie z tego sprawę?

–Koppelman powiedział, że uważasz mnie za geniusza.

–Nigdy nie nazwałam cię geniuszem. Mogłam powiedzieć, że jesteś utalentowany, ale, ponieważ sądziłam, że wkrótce umrzesz, potraktowałam cię wielkodusznie.

–Płakałaś.

–Nie aż tak wielkodusznie.

–Chryste, ależ twarda z ciebie baba.

–No dobra, popłakałam trochę. Ale tylko troszkę. Nie myśl jednak, że jeszcze kiedyś popełnię ten błąd, nawet gdybyś dał się rozszarpać całemu stadu pieprzonych polarnych niedźwiedzi.

–A skoro o tym mowa. Co z Guthriem?

–Martwy i pogrzebany. Uwierz lub nie, ale w Timesie wydrukowano nawet nekrolog.

–Guthriego?

–Był dość znany. A więc... kiedy zamierzasz wrócić?

–Koppelman nie potrafi powiedzieć nic pewnego. Jego zdaniem to minimum parę tygodni.

–Ale przyjedziesz stamtąd bezpośrednio do San Francisco, prawda?

–Jeszcze nie podjąłem ostatecznej decyzji.

–Wiele osób martwi się o ciebie. Dajmy na to Patrick. Zawsze o ciebie pyta. O sobie już nie wspomnę, ale jest jeszcze Glenn...

–Znów jesteś z Glennem?

–Nie zmieniaj tematu. Tak, znów jestem z Glennem. Pójdę do twojego mieszkania i trochę je ogarnę, żebyś po powrocie poczuł się naprawdę jak w domu.

–Do domu wracają tylko ci, którzy mają do czego wracać – odparł Will. Nigdy nie lubił tego domu, w gruncie rzeczy nie przepadał za żadnym miejscem, w którym przyszło mu mieszkać.

–Wobec tego będziesz musiał trochę poudawać – ucięła Adrianna. – Wyluzuj. Daj sobie trochę czasu na ponowny rozruch.

–Zastanowię się. A co u Patricka?

–Widziałam się z nim w zeszłym tygodniu. Przybrał trochę na wadze od naszego ostatniego spotkania.

–Zadzwońisz do niego w moim imieniu?

–Nie.

–Adrianno...

–Sam do niego zadzwoń. On by tego chciał. W gruncie rzeczy tak właśnie mógłbyś zadośćuczynić to, co zrobiłeś, telefonując do Patricka, a potem powiadamiając mnie, że wszystko z nim w porządku.

–To doprawdy skrajnie pokrętna logika.

–To nie logika. To sposób na uporanie się z poczuciem winy. Nauczyłam się tego od mojej matki. Masz numer telefonu Patricka?

–Chyba tak.

–Żadnych wymówek. Zapisz sobie. Masz długopis? – Sięgnął po pióro leżące na stoliku obok łóżka. Podała mu numer, a on skrzętnie go zapisał. – Zamierzam jutro z nim porozmawiać, Will – rzekła Adrianna. – Jeżeli dowiem się, że do niego nie zadzwoniłeś, będziesz miał nie lada kłopoty.

–Zadzwońię, zadzwonię, Boże...

–Rafael go opuścił, więc ani słowa o tym małym kutasie.

–Sądziłem, że go lubisz.

–Och, on potrafił być czarujący – przyznała Adrianna – ale w głębi serca był bardzo niedojrzały. Rozumiesz, co mam na myśli – skakanie z kwiatka na kwiatek i nieustanne imprezy.

–Jest młody. Ma do tego prawo.

–Podczas gdy my...

–Jesteśmy starzy, napuszeni i przepełnieni mądrością.

Adrianna zachichotała.

–Tęskniłam – powiedziała.

–Wiem.

–Patrick znalazł sobie guru, nazywa się Bethlynn Reichle. Uczy go medytacji. To raczej nostalgiczne. Teraz, gdy spotykam się z Patrickiem, siadamy na podłodze w pozycji lotosu, palimy trawę i przekazujemy sobie nawzajem znak pokoju.

–Cokolwiek mówi na ten temat, Patrick nigdy nie był dzieckiem-kwiatem. Lato miłości między innymi nigdy nie dotarło do Minneapolis.

–On pochodzi z Minneapolis?

–Z przedmieścia. Jego ojciec ma tam chlewnię.

–Co takiego? – spytała Adrianna, z udawanym oburzeniem. – Twierdził, że jego ojciec jest malarzem pejzażystą.

–Który zmarł na guz mózgu? Tak, wszystkim to mówi. Ale to nieprawda. Jego ojciec żyje i ma się świetnie, babrząc się w świńskim łajnie na wsi, gdzieś w Minnesocie. I dodam tylko, że na tym świńskim interesie zarabia niezłe kokosy.

–Pat to skończony skurwiel. Nie mogę się doczekać, żeby mu o tym powiedzieć.

Will zachichotał.

–Nie licz na jego skruchę. On nie jest z tych, co przyznają się do swoich błędów. A jak ci się układa z Glennem?

–Jakoś leci – odparła bez większego entuzjazmu. – Powiedziałabym, że lepiej niż większości ludzi. Tyle tylko że naszemu związkowi brak prawdziwych uniesień. Zawsze pragnęłam wielkiego, płomiennego romansu. Obopólnego, ma się rozumieć. Teraz wydaje mi się, że jest już na to za późno. – Westchnęła. – Boże, wysłuchaj mnie!

–Potrzeba ci tylko koktajlu, to wszystko.

–Wolno ci już pić alkohol?

–Zapytam Berniego. Nie wiem. Nawiasem mówiąc, czy próbował cię uwieść?

–Kto? Koppelman? Nie. Czemu pytasz?

–Wydaje mi się, że czuje do ciebie miętę, ot i wszystko. Można się tego domyślić po sposobie, w jaki o tobie mówi.

–Czemu więc nie powie mi tego wprost?

–Zapewne go onieśmielasz.

–Ja? Taka mała? Nie. Przecież wiesz, że jestem tylko słabą kobietką. Nie oznacza to jednak, że przystałabym na jego propozycję, gdyby mi ją złożył. Rozumiesz, mam swoje zasady. Nie jest ich wiele i zdarza się mi je naginać, ale mimo wszystko muszę się ich trzymać. Żyję w zgodzie z nimi i jestem z tego dumna.

–Czy nie brałaś pod uwagę zmiany zawodu? – spytał Will. – Bo widzisz, mogłabyś zostać komediantką. Śmiem twierdzić, że w tym fachu zrobiłabyś wielką karierę...

–Chcesz powiedzieć, że to, co powiedziałeś w Balthazar, jest prawdą? Że zamierzasz rzucić to wszystko?

–Odnoszę wrażenie, że jest dokładnie na odwrót – odparł Will. – To fotografowanie mnie rzuciło, Adie. A poza tym oboje widzieliśmy już tyle cmentarzysk. Wystarczy nam tego do końca życia.

–I co teraz będzie?

–Skończę album. Złożę go u wydawcy. Wiesz, jak lubię czekać. I wypatrywać.

–Czego, Will? Czego będziesz wypatrywać tym razem?

–Sam nie wiem. Czegoś osobliwego.

Następnego dnia, zainspirowany rozmową z Adrianną, przesadził z fizjoterapią, zmuszając swoje ciało do większego wysiłku, aniżeli było w stanie znieść, i poczuł się gorzej niż kiedykolwiek, odkąd wyszedł ze śpiączki. Koppelman przepisał mu środki przeciwbólowe, tak silne, że wprawiły go w stan lekkiego oszołomienia, i właśnie na takim „rauszu” zadzwonił do Patricka. To nie Patrick odebrał telefon, ale Jack Fisher, Murzyn, który przez ostatnie pięć lat to pojawiał się, to znikał z kręgu przyjaciół Pata. Były tancerz, o ile dobrze pamiętał Will. Szczupły, o długich kończynach, i bardzo bystry. Zamienił kilka słów z Willem.

–Wiem, że chce z tobą porozmawiać, ale akurat teraz śpi.

–W porządku, Jack. Zadzwonię kiedy indziej. Co z nim?

–Walczy z zapaleniem płuc – odrzekł Fisher. – Ale już mu lepiej. Radzi sobie jak może, rozumiesz. Słyszałem, że z tobą było kiepsko.

–Dochodzę do siebie – rzekł Will.

Miał wrażenie, jakby uniósł się w powietrzu. Środki przeciwbólowe wprawiły go w stan łagodnej euforii. Zamknął oczy, wyobrażając sobie mężczyznę na drugim końcu łącza.

–Zamierzam odwiedzić Pata za kilka tygodni. Może wypijemy razem parę piw.

–Jasne – powiedział Jack, nieco zaskoczony słowami Willa. – Z przyjemnością.

–Teraz ty opiekujesz się Patem?

–Nie. Wpadłem tylko w odwiedziny. Znasz Patricka. Lubi otaczać się ludźmi. A ja świetnie robię masaż stóp. Wiedziałaś o tym? Słyszę, że Patrick mnie woła. Podam mu słuchawkę. Miło było z tobą pogadać, bracie. Odezwij się, jak już zjawisz się w mieście. Hej, Patrick! Zgadnij, kto dzwoni! – Will usłyszał stłumioną wymianę zdań. A chwilę później w słuchawce znów rozległ się głos Jacka: – Oddaję mu słuchawkę, bracie.

Will usłyszał nieśmiały głos Patricka:

–Will? To naprawdę ty?

–Tak. To ja.

–Jezu. To takie dziwne. Siedziałem przy oknie, ciesząc się sjeścią, i mógłbym przysiąc, że śniłem o tobie.

–Dobrze się bawiliśmy?

–Nic nie robiliśmy. Ty... po prostu tu byłeś... w jednym pokoju... ze mną. I to mi się podobało.

–Cóż... niedługo naprawdę się tam zjawię. Właśnie mówiłem Jackowi, że powoli staję na nogi.

–Czytałem artykuły o tym co cię spotkało. Matka wycinała je z różnych gazet i mi przysyłała. Nie należy nigdy ufać polarnemu niedźwiedziowi, prawda?

–To była niedźwiedzica. I zrobiła to instynktownie – odrzekł Will. – A co u ciebie?

–Jakoś się trzymam. Straciłem parę funtów, ale ostatnio znów zacząłem przybierać na wadze, niewiele tego co prawda, ale od czegoś trzeba przecież zacząć. Krok po kroku dojdę do siebie. Tyle że to piekielnie trudne. Czasami jestem tak zmęczony, że mówię sobie: Zbyt wiele z tym wszystkim zachodu.

–Nawet o tym nie myśl.

–Teraz mogę już tylko myśleć. Spać i myśleć. Kiedy tu dotrzesz?

–Niebawem.

–Pospiesz się. Urządzimy imprezę. Jak za starych dobrych czasów. Zobaczymy, kto ze znajomych jest jeszcze na tym...

–My jeszcze jesteśmy, Patricku – odrzekł Will.

Smutek wciąż obecny w tle tej rozmowy zmienił jego łagodną euforię w stan elegijnego rozmarzenia. Żyli w świecie kresu, przedwczesnych i nieoczekiwanych pożegnań, przywodzącym na myśl czasy, które wspominał pogrążony w śpiączce. Poczul dziwny ucisk w piersiach i przeraził się, że lada moment się rozklei.

–Chyba muszę już kończyć – powiedział, nie chcąc zdenerwować Patricka. – Odezwę się ponownie, tuż przed wyjazdem.

Patrick nie pozwolił mu zakończyć tej rozmowy tak gładko.

–Ale... jeżeli chodzi o te imprezę... myślisz, że dasz radę?

–Jasne...

–To doskonale. W takim razie rozpocznę niezbędne przygotowania. Dobrze jest mieć coś na co czekasz... jakieś plany na przyszłość?

–Jak zawsze – mruknął Will ze ściśniętym gardłem.

–W porządku. To na razie, stary druhu – odrzekł Patrick – Dzięki, że zadzwoniłaś. To pewnie przez tę sjęstę, zgadza się?

–Pewnie tak.

Zapadła cisza, a Will zdał sobie sprawę, że Patrick wychwycił tłumione wzruszenie w jego głosie.

–Jest dobrze – powiedział półgłosem do Patricka. – Grunt, że rozmawiamy. I dlatego jest dobrze. To na razie.

I rozpląnął się, pozostawiając Willa wsłuchanego w szum przerwane połączenia w słuchawce. Opuścił dłoń, w której trzymał słuchawkę, nie był już w stanie dłużej powstrzymać łez, stracił kontrolę nad swoim ciałem. W pewnym sensie to było jak ekspiacja, całkowite oczyszczenie. Siedział przez dziesięć, może piętnaście minut, szlochając jak dziecko i z trudem łapiąc oddech, a gdy już myślał, że jest po wszystkim, ogarnęła go kolejna fala rozdzierającego, wyciskającego łzy żalu.

Oplakiwał nie tylko Patricka oraz tych, którzy nie pojawią się już na planowanej imprezie. Oplakiwał siebie, chłopca, którego ponownie spotkał w śpiączce, Willa, który jakimś cudem wciąż tkwił w jego wnętrzu, był gdzieś tam i wciąż w nim krążył. Było tam również oglądane przez chłopca niebo, wzgórze i lis, które na zawsze zapisały się w jego pamięci.

Nie potrafił na razie rozwiązać pewnej zagadki. Uwierzył bowiem, że skoro przyszło mu żyć w epoce wymierania gatunków, i właśnie on z własnej woli stał się kronikarzem opisującym zagładę niektórych spośród nich, jego pamięć powinna stać się księgą obrazującą całe jego życie w tak doskonały sposób, że jedyne co powinien zrobić to wyśnić je, przywołać w myślach, a one winny jawić się jakby nigdy nie popadły w zapomnienie, jak gdyby – czy odważył się w to uwierzyć? – odchodzenie w niebyt dni, zwierząt i ludzi, których kochał, było jedynie okrutną iluzją, a pamięć kluczem do jej rozszyfrowania.

Nazajutrz, choć nie przypuszczał, że to w ogóle możliwe, potraktował się jeszcze brutalniej niż dzień wcześniej. Lis miał rację. Świat czekał na niego, miał dla niego zadanie do wykonania – Will musiał spotkać się z pewnymi ludźmi, rozwikłać trapiące go tajemnice, a im szybciej jego ciało nabierze sił i wróci do formy, tym prędzej będzie mógł wyruszyć w drogę.

Niebawem upór Willa zaczął przynosić efekty. Dzień po dniu, sesja po sesji, jego kończyny odzyskiwały siły, rosła także wytrzymałość; czuł się odmłodzony i zregenerowany. Pomimo drwiących komentarzy Koppelmana zdecydował się na uzupełnienie swojej diety kilkoma lekami homeopatycznymi i nie wątpił, że one także przyczyniły się do jego szybszego powrotu do zdrowia. Koppelman musiał przyznać, że nigdy dotąd nie spotkał się z podobnym przypadkiem.

W ciągu dziesięciu dni Will zaczął snuć plany swojej podróży powrotnej do San Francisco. Zadzwoił do Adrianny, prosząc, by zajrzała do jego domu przy Sanchez Street i trochę go przewietrzyła (czym już się zajęła), do swojego wydawcy w Nowym Jorku – aby powiadomić ją o planowanym przyjeździe, i rzecz jasna, raz jeszcze zatelefonował do Patricka. Tym razem odebrał niezrównany Rafael, powrócił do Pata i najwyraźniej doczekał się przebaczenia. „Nie”, wyjaśnił. „Patricka nie ma w domu, pojechał do szpitala na badanie krwi”. Rafael nie wiedział kiedy Patrick wróci. Oczywiście, że przekaże wiadomość. „Dopilnuj, aby ją otrzymał”, rzekł Will, na co Rafael odburknął oschle: „Nie jestem głupi” i rzucił słuchawkę.

–Muszę przyznać, że bardzo szybko wraca pan do zdrowia, ale mimo wszystko nie powinien pan się tak forsować. – To była pożegnalna mowa Koppelmana. – Żadnych wyjazdów na Antarktydę w ciągu kilku najbliższych miesięcy. Żadnego brożenia po szyję w trzęsawisku.

–Miałbym zrezygnować z rozrywek? – spytał Will. – To co mam robić?

–Niech pan od czasu do czasu pomyśli jakim jest szczęściarzem – odrzekł Koppelman. – Ach... mało brakowało, żebym zupełnie zapomniał... moja szwagierka...

–Laura.

Koppelman rozpromienił się.

–Zapamiętał pan? Przyniosłem jeden z pańskich albumów, żeby go pan dla niej podpisał. – Sięgnął do torby, którą miał ze sobą. Wyjął z niej egzemplarz „Granic”. – Przeglądałem go wczorajszej nocy – stwierdził. – Ponura rzecz.

–Och, od tamtej pory fotografowałem jeszcze gorsze rzeczy – odparł Will, wyjmując pióro z kieszonki fartucha Koppelmana i biorąc od niego album. – Kilka gatunków, które przedstawiłem

w tej książce, przegrało swoją walkę.

–Wymarły?

–Jak dodo. Otworzył album na stronie tytułowej i nagryzmolił swój podpis.

–Co pan u licha nabazgrał?

–Dla Laury. Z najlepszymi życzeniami.

–A ten zawijas później to pański podpis?

–Tak.

–Pytam, bo chciałbym wiedzieć, co jej mówić.

Wyjechał dwa dni później. Nie było bezpośrednich lotów do San Francisco, toteż był zmuszony do przesiadki na pokład innej maszyny w Chicago. Była to jedynie drobna niedogodność i ucieszył się, mogąc znów znaleźć się w tłumie ludzi na lotnisku. To było nawet całkiem przyjemne. Późnym popołudniem znów znalazł się na pokładzie maszyny, która miała przetransportować go dalej, na zachód, i aby to uczcić, usadowiwszy się przy oknie, zamówił szklaneczkę whisky. Od kilku miesięcy nie miał w ustach alkoholu i whisky natychmiast uderzyła mu do głowy. Przyjemnie odurzony, pozwolił, by zmorzył go sen, kiedy niebo na horyzoncie przed nim pociemniało. Kiedy się obudził, dzień dawno już dobiegł końca, a daleko w dole migotały światła wielkiego miasta.

TRZY

1

San Francisco nie było pierwszym portem, do którego zawinął Will, gdy zjawił się w Ameryce. Ten zaszczyt przypadł w udziale Bostonowi, dokąd udał się, mając lat dziewiętnaście, kiedy stwierdził, że tego, czego pragnie, nie znajdzie w Anglii. Jednakże nie odnalazł tego również w Bostonie. Tyle tylko że w ciągu czternastu miesięcy, które tam spędził, narodził się nowy Will, na początku nieśmiały, ale stopniowo nabierający odwagi, która z czasem przerodziła się w pozbawioną lęku żywiołowość. Na długo zanim opuścił Anglię był świadom swoich preferencji seksualnych. Kilka razy dał nawet upust swoim pragnieniom, choć nigdy nie na trzeźwo. W Bostonie natomiast nauczył się jak być szczęśliwym pedałem i przemodelował siebie, na swoją własną nadwrażliwą modłę. Nie był z gruntu amerykańskim ślicznym chłopcem, typem macho, brutalem w skórze, ani lalą noszącą damskie ciuszki. Był indywidualnością i właśnie dlatego tak go pożądanego. Tego rodzaju walorów, które pozostałyby niezauważone w barze w Manchesterze (niektóre z nich tak oczywiste, jak np. akcent, były na tyle subtelne, że w ogóle nie zwracał na nie uwagi) tutaj poszukiwano i ceniono. Nauczył się bardzo szybko i bez oporów wykorzystywać swoje atuty. Porzucając dzienny kostium (trampki, obcisłe dżinsy i biały podkoszulek), ubierał się jak biedny angielski chłopak, którym był, i ten numer zawsze okazywał się skuteczny. Rzadko wracał do pustego łóżka, chyba że sam tego chciał, i w ciągu kilku miesięcy przeżył trzy romanse, z których dwa zakończył definitywnie. Ostatni był jego pierwszym i najboleśniejszym przykładem nieodwzajemnionej miłości. Jej obiektem był niejaki Laurence Mueller, producent telewizyjny, o dziewięć lat starszy od Willa. Jasnowłosey, szczupły homo, Larry wciągnął Willa w żarliwy romans, który zakończył w brutalny sposób po sześciu tygodniach, jak to miał w zwyczaju. Will, ze złamanym, sercem cierpiał z powodu tej straty przez połowę lata, a balsamem na jego ranę było rzucenie się w otchłań erotycznego zapomnienia, szal zmysłów, który zapewne w pięć lat później zakończyłby się jego śmiercią. W dusznych od seksu zakamarkach Combat Zone i parnych pokoikach Fenwayu, gdzie w weekendowe noce nieustannie trwały seksualne bachanalia, odgrywał każdy erotyczny scenariusz, jaki było w stanie wymyślić jego libido, aby tylko wyrzucić z pamięci odrzucenie, jakiego doznał ze strony Larry'ego.

Do wrzeźnia ból wypalił się, wcześniej jednak Will za sprawą trawy doznał krótkiego olśnienia. Gdy siedział w saunie, rozmyślając o swej niedoli, uświadomił sobie, że odejście Larry'ego obudziło w nim podobne doznania, jak wcześniej odejście Steepa.

Zastanawiając się nad tym porównaniem, siedział, pocąc się, w wyłożonym kafelkami pomieszczeniu przez długi, bardzo długi czas (co z pewnością nie mogło wyjść mu na zdrowie), ignorując kierowane w jego stronę spojrzenia i dłonie. Co to mogło oznaczać? Że w jego przywiązaniu do Jacoba krył się podtekst seksualny? A może podczas swoich nocnych igraszek w Shrubbery spodziewał się spotkać mężczyznę, który spełni obietnice złożone mu przez Steepa i przeniesie go z tego świata do miejsca wizji? Kiedy w końcu wyszedł z sauny,

pozostawiając ją miłośnikom orgii, czuł tak silne łupanie pod czaszką, że nie był w stanie zebrać myśli. Jednakże wciąż dręczyły go pytania, nie dawały mu spokoju. Odpierał je w najprostszy ze znanych mu sposobów. Jeżeli w pobliżu pojawiał się mężczyzna choć trochę podobny do Steepa – czy to w kwestii kształtu ust, czy koloru włosów – Will odrzucał go z dzikim, niepohamowanym okrucieństwem.

To nie odrzucenie przez Larry'ego Muellera skłoniło go do wyjazdu z Bostonu, lecz mroźny, śnieżny grudzień. Wychodząc z restauracji, gdzie pracował jako kelner, w kolejną szalejącą na ulicy śnieżycę, jakich w Massachusetts nie brakowało, stwierdził, że ma już serdecznie dość marznięcia na zimnie i pora przenieść się gdzieś, gdzie jest znacznie cieplej. W pierwszej chwili pomyślał o Florydzie, lecz tej nocy, debatując z barmanem z „Buddies” o potencjalnych alternatywach, usłyszał syreni śpiew San Francisco.

–Tylko raz byłem w Kalifornii – powiedział mu barman, który na ramieniu miał wytatuowane swoje imię (Danny) na wypadek, gdyby je kiedyś zapomniał – ale, stary, mówię ci, niewiele brakowało a zostałbym tam na stałe. To raj dla ciot. Serio.

–Grunt, żeby tam było ciepło.

–Są cieplejsze miejsca – przyznał Danny. – Ale co tam, kurde, jeżeli chcesz żeby było ci naprawdę gorąco, może powinieneś przenieść się do pieprzonej Doliny Śmierci, no nie? – Nachylił się do Willa i zniżył głos. – Gdybym nie miał mojej drugiej połówki (był nią długoletni kochanek Danny'ego, Frederico, który siedział za barem, pięć jardów dalej), wróciłbym tam i urządził się na nowo. Bez kitu.

To go przekonało. W niecałe dwa tygodnie później Will spakował swoje rzeczy i wyjechał, opuszczając Boston, w dniu kiedy skrzący się dokoła szron nieomal odwiódł go od tej decyzji, a miasto nigdy jeszcze nie wyglądało równie pięknie. Jednak u kresu tej podróży czekało go piękno innego rodzaju, miasto, które urzekło go w niewypowiedziany i zgoła niespodziewany sposób. Znalazł pracę w redakcji jednej z miejscowych gazet, a któregoś dnia, kiedy zabrakło fotografii do przygotowanego przezeń artykułu, pożyczył aparat, żeby zrobić je samemu. To nie była miłość od pierwszego wejrzenia. Jego pierwsze zdjęcia były tak kiepskie, że nie odważył się ich wykorzystać. Spodobał mu się jednak ten sposób postrzegania świata i zatrzymywania go w kadrze. Początkowo rejestrował wyłącznie plemię na ziemi, z którym przyszło mu zamieszkać – pedałów, cioty, homo, typów macho, lale, twardzieli w skórach i drag-queen, których kluby, domy, bary, sklepy i pralnie rozciągały się od skrzyżowania Castro i Osiemnastej, aż do Market od północy i do Collingwood Park od południa.

Ucząc się zawodu, poznawał tajniki sztuki miłosnej, aż koniec końców, zyskał sobie reputację niezłego kochanka. Obecnie rzadko już bywał anonimowy, choć w wielu miejscach miał po temu okazję. Pragnął dziesiątków nowych doznań i odnajdywał je w łózkach i ramionach dziesiątków mężczyzn, z których żaden nie zdobył jego serca, ale każdy z nich na swój sposób wydał mu się podniecający. Na przykład Lorenzo – czterdziestoletni Włoch, który zostawił żonę i dzieci w Portland, by tu przyjechać i stać się tym, kim był jeszcze przed dniem swojego ślubu. Albo Drew Dunwoody, kulturysta, który w swoim czasie kochał Willa niemal tak samo jak swoje własne odbicie. Czy też Sanders, będący w swoim czasie sponsorem Willa starszy mężczyzna (od pięciu lat twierdził, że ma czterdzieści dziewięć lat), który pożyczył mu pieniądze na

opłacenie czynszu za prawie trzy miesiące wynajmu kawalerki przy Collingwood Park, a później spłacał też jego używanego harleya. Był także Lewis, facet od ubezpieczeń, który w towarzystwie nawet słowem nie pisał, a w zaciszu czterech ścian otwierał przed Willem swą liryczno-romantyczną duszę i z wolna przeradzał się w młodego poetę. Był jeszcze Gregory, piękny Gregory, który mając dwadzieścia cztery lata, zmarł wskutek przedawkowania narkotyków. A także Jock, Mike-Meskalina i chłopak, który twierdził, że ma na imię Derrick, lecz jak się później okazało był dezenterem z piechoty morskiej i nazywał się Dupont.

W tym czarownym kręgu Will dorastał i urastał w siłę. Plaga jeszcze ich nie dosięgła i z perspektywy czasu ten okres można by określić jako Złoty Wiek hedonizmu i zmysłowości, który Will dzięki zachowaniu własnej równowagi, która nadal go zdumiewała, z jednej strony obserwował, z drugiej zaś brał w nim czynny udział. Wkrótce, choć jeszcze o tym nie wiedział, śmierć zacznie zbierać swoje żniwo i zabierze z tego świata wielu mężczyzn, których miał okazję sfotografować, zarówno tych urodziwych, jak intelektualistów i najdroższe kochające dusze. Jednak przez siedem kolejnych niesamowitych lat, zanim na nich wszystkich padł posępny cień śmierci, Will płał się każdego dnia w tej rzece homoseksualnej miłości, wierząc naiwnie, że już na zawsze tak zostanie.

To Lewis, agent ubezpieczeniowy i domorosły poeta w jednej osobie *jako pierwszy wszczął z nim rozmowę o zwierzętach*. Siedząc na tylnym ganku domu Lewisa przy Cumberland i obserwując szopa-pracza grzebiącego w koszu na śmieci, rozpoczęli rozmowę na temat tego, jak mogliby się poczuć, znalazłszy się w ciele zwierzęcia, a Lewis pisał o fokach i był zaaferowany tym tematem do tego stopnia, że jak stwierdził, ostatnio nawet o nich śnił.

–Śniły mi się wielkie, smukłe, czarne foki – powiedział. – Wylegiwały się.

–Na plaży?

–Nie, na Market Street – odparł Lewis i zachichotał. – Wiem, że to brzmi głupio, ale kiedy o nich śnię, sprawiają wrażenie, jakby to było właśnie ich miejsce. Spytałem jedną z nich, co tu robią, na co jedna odpowiedziała, że sprawdzają ukształtowanie terenu, zanim całe to miasto pogrąży się w oceanie.

Will obserwował szopa, zapamiętał grzebiącego w śmieciach.

–Ja, będąc dzieckiem, śniłem o mówiącym lisie – wyznał półgłosem. Może to haszysz Lewisa. Miał zawsze najlepszą gandzię, ale wspomnienie było krystalicznie czyste. – O Lordzie Lisie – dokończył.

–O Lordzie Lisie?

–O Lordzie Lisie – odparł Will. – Cholernie się go bałem, ale z drugiej strony wydawał mi się bardzo zabawny.

–Czemu się go bałeś?

Will nigdy z nikim o nim nie rozmawiał, i nawet teraz, choć lubił i ufał Lewisowi, wahał się, czy powinien to zrobić. Lord Lis był częścią znacznie większej tajemnicy (największego sekretu jego życia) i pragnął zachować ją dla siebie. Lewis jednak nalegał na dalsze wyjaśnienia.

–Opowiedz mi coś więcej – poprosił.

–On kogoś pożarł – odparł Will. – I to właśnie tak mnie w nim przerażało. Ale pamiętam, że później opowiedział mi pewną historię.

–O czym?

–Właściwie to była tylko anegdota. O jego rozmowie z psem.

–Naprawdę?

Lewis zaśmiał się, ale był szczerze zaintrygowany. Will powtórzył mu pokrótce, to co usłyszał od Lorda Lisa na temat jego rozmowy z psem, z jaką łatwością ją sobie przypomniał, choć od czasu, kiedy wyśnił ten sen, minęło piętnaście lat.

–Polowaliśmy dla nich, pilnowaliśmy ich stad i ich potomstwa. I dlaczego to robiliśmy? Bo uważaliśmy, że oni wiedzą jak należy wszystkim się zająć. Jak sprawić, by ten świat był zawsze pełen mięsa i kwiatów...

Lewisowi spodobało się to, co usłyszał.

–Mógłbym chyba na tej podstawie napisać wiersz – stwierdził.

–Nie sądzę.

–Dlaczego?

–On mógłby zgłosić się do ciebie po działkę z tantiemów.

–Z jakich tantiemów? – spytał Lewis. – Przecież mówimy o poezji.

Will nie odpowiedział. Obserwował szopa, który skończył grzebanie w śmietniku i oddalał się ze swoimi łupami. I gdy tak patrzył, myślał o Lordzie Lisie i malarzu imieniem Thomas, żyjącym i martwym.

–Chcesz jeszcze? – spytał Lewis, podając Willowi skręta. – Will, hej Will! Słyszysz mnie?

Will wpatrywał się w ciemność, przez głowę przelatywały mu dziesiątki ulotnych myśli. Lewis miał rację. W opowieści Lorda Lisa była swoista poezja. Ale Will nie był poetą. Nie potrafił opowiedzieć historii słowami. Miał tylko swoje oczy, i swój aparat fotograficzny.

Wyłuskał spomiędzy palców Lewisa zgaszonego skręta i ponownie zapalił, wciągając do płuc haust kwaśnego, gryzącego dymu. To była mocna trawa, a on najarał się bardziej niż zazwyczaj. Ale tego wieczoru czuł się złąkniony silnych doznań.

–Myślisz o Lisie? – zapytał go Lewis.

Will spojrzał na niego mętnym wzrokiem.

–Myślę o reszcie mojego życia.

W jego własnej mitologii życia wyprawa, która zaprowadziła go w najdalsze i najbardziej odludne zakątki świata, do miejsc gdzie kolejne gatunki wymierały tylko dlatego że ośmieliły się żyć, w miejscach w których żyły, rozpoczęła się właśnie tego wieczoru, na ganku domu Lewisa, od skręta, szopa i opowieści o Lordzie Lisie. To rzecz jasna było spore uproszczenie. Na pewien czas znudziło go tworzenie kroniki Castro i już od dawna był gotowy na zmianę. Co się tyczy kierunku, który miał obrać, Will w czasie tej rozmowy nie miał jeszcze żadnych

konkretnych ustaleń. Jednak w kolejnych tygodniach kilkakrotnie jakby od niechcienia powracał myślami do tej rozmowy i zaczął odwracać obiektyw aparatu od tłumów ludzi na Castro i koncentrować uwagę na zwierzętach koegzystujących z mieszkańcami miasta. Pierwsze eksperymenty raczej nie należały do ambitnych, można by je raczej określić mianem artystycznych wprawek. Will fotografował uchatki, gromadzące się przy pirsie 39, wiewiórki w Dolores Park i psa sąsiadów, który regularnie zatrzymywał ruch, wychodząc na środek Sanchez Street, by się wypróżnić. Jednakże podróż, która z czasem doprowadzi go daleko od Castro, wiewiórek, uchatek i wypróżniających się psów, tak czy owak, nieodwołalnie się zaczęła.

Transgresja, pierwszy album, który udało mu się opublikować, Will zadedykował Lordowi Lisowi. Przynajmniej tyle mógł zrobić.

CZTERY

1

Adrianna zjawiała się bez zapowiedzi następnego ranka po jego powrocie do miasta. Przyniosła ciasto i steki, zakupione na North Beach, gdzie mieszkała razem z Glennem. Jeszcze w korytarzu wymienili uściski i pocałunki, ponowne spotkanie wycisnęło łzy z ich oczu.

–Boże, ależ się stęskniłem – rzekł Will, dotykając dłońmi jej twarzy. – Pięknie wyglądasz.

–Ufarbowałam włosy, koniec z siwizną. Będę cieszyć się tą barwą włosów do setki, a może nawet dłużej. Co u ciebie?

–Z każdym dniem coraz lepiej – odparł Will, idąc do kuchni, by zaparzyć kawę. – Wciąż jeszcze czuję się trochę obolały, kiedy wstaję rano, a po prysznicu blizny swędzą jak jasna cholera, ale poza tym zaczynam jakoś funkcjonować.

–Wątpiłam czy to kiedykolwiek nastąpi. Bernie zresztą też.

–Sądziłaś, że mógłbym wymknąć się po angielsku?

–Przeszło mi to przez myśl. Wydawałeś się taki spokojny. Zapytałam Berniego czy śpisz. Odparł, że nie wie.

–To nie było jak sen, raczej jak cofnięcie się w czasie. Jakbym znów był chłopcem.

–A czy było chociaż zabawnie?

Pokręcił głową.

–Cieszę się, że wróciłem.

–Masz do czego wracać. To piękny dom – powiedziała, podchodząc do kuchennych drzwi i spoglądając w głąb korytarza.

Zawsze kochała ten dom, szczerze mówiąc, bardziej niż Will. Jego wielkość i interesujący rozkład pomieszczeń (nie mówiąc o tym, co działo się w tych gustownie spartańsko urządzonych pokojach gościnnych) przydawały mu znaczenia i powagi. Większość okolicznych domów mogłaby pochwalić się erotycznymi przygodami, jakie rozgrywały się w ich wnętrzach, lecz to, co się wydarzyło w tych murach, było w stanie przyćmić wszystkie inne tego rodzaju ekscesy. Zmysłowość miesza się tu z prostymi, ludzkimi emocjami – wściekłością Willa, gdy nie potrafi on odnaleźć pewnych związków; okrzykami triumfu, gdy w końcu to mu się udaje; gwarem rozmów nad mapami, na których widnieje wyjątkowo mało dróg, szeptami wieczornymi, o upadku tego co oczywiste i pełnymi zacierzawienia pijackimi dyskusjami o przeznaczeniu,

miłości i śmierci.

Z pewnością w mieście były wspanialsze domy, lecz mogła się założyć, że żaden z nich nie został lepiej zakonserwowany w erotycznej marynacie niż ten tutaj.

–Czuję się jak intruz – rzekł Will, nalewając kawę dla nich obojga. – Jakbym włamał się do czyjegoś mieszkania i żył tam, obcym życiem.

–Za kilka dni wrócisz do formy – zapewniła Adrianna, biorąc swój kubek z kawą i przechodząc do rozległego archiwum, gdzie Will zawsze rozkładał swoje zdjęcia.

Na jednej ze ścian wisiała korkowa tablica, na której przez lata Will przypinał nieudane lub źle naświetlone zdjęcia, zbyt ciemne, lub przejasnione do tego stopnia, że nie nadawały się do umieszczenia w albumie, ale mimo wszystko w jakiś sposób go zaintrygowały. Określał je mianem Odpadów i niejednokrotnie, zwykle po paru głębszych, patrząc na nie, stwierdzał, że zapewne tak właśnie będzie wyglądał koniec świata. Rozmazane nierozpoznawalne kształty pośród ziemistej szarości, pozbawione wszelkiego celu i cech osobniczych.

Przypatrywała się im, leniwie sącząc kawę. Wiele z tych zdjęć wisiało na tej ścianie od lat, wystawione na działanie światła fotografie z każdym dniem bardziej się zacierały.

–Zamierzasz coś z nimi zrobić? – spytała.

–Na przykład spalić? O to ci chodzi?

–Nie. Myślałam raczej o ich publikacji.

–To tylko nieudane fotki, Adie.

–I o to chodzi.

–Album ze zdjęciami ginących gatunków, wyblakłe fotografie przedstawiające wyblakły, wymierający świat.

–Myślę, że to mogłoby zwrócić uwagę wielu osób.

–Pieprzyć zwracanie uwagi przez kogokolwiek – mruknął Will. – Mam to czego chciałem. Powiedziałem światu. Spójrz tato, co zdołałem osiągnąć. I zaspokoilem pragnienia mojego ego. Osiągnąłem wewnętrzny spokój.

Podszedł do tablicy i zaczął zrywać z niej zdjęcia, na podłogę posypały się pinezki.

–Ejże, ostrożnie, podrzesz je!

–I co z tego? – burknął, rzucając fotografie na ziemię. – Wiesz co? To całkiem przyjemne! – Wkrótce cała podłoga została zasypana fotografiami. – Tak lepiej – powiedział, odstępując dwa

kroki do tyłu, by przyrzeć się pustej już tablicy.

–Czy mogę zatrzymać jedno, na pamiątkę?

–Jedno.

Zaczęła stąpać wśród rozsypanych zdjęć, szukając takiego, które szczególnie zwróci jej uwagę. Schyliła się i podniosła starą, poplamioną fotografię.

–Co wybrałaś? – spytał. – Pokaż mi.

Pokazała mu zdjęcie. Przypominało fotografie z XIX wieku, sporządzone podczas seansów spirytystycznych, mnóstwo bladych smug ekto plazmy, które zwolennicy parapsychologii uważali za manifestacje zmarłych osób. Will rozpoznał je natychmiast.

–Prowincja Begemder, Etiopia. To walia ibex.

Adrianna odwróciła zdjęcie i ponownie mu się przyjrzała.

–Skąd wiesz, u licha?

Will uśmiechnął się.

–Nigdy nie zapominam twarzy – odparł z dumą.

Następnego dnia wybrał się w odwiedziny do Patricka, w jego mieszkaniu u wylotu Castro. Choć dwaj mężczyźni mieszkali razem przy Sanchez Street przez blisko cztery lata z ich trwającego sześć lat związku, Patrick nigdy nie zrezygnował z tego mieszkania, ani Will go do tego nie namawiał. Dom, na swój surowy, funkcjonalny sposób był wyrazem spartańskiej natury Willa. Mieszkanie, dla odmiany w tak olbrzymim stopniu odzwierciedlało ducha Patricka – ciepłego, opiekuńczego, troskliwego – że pozbycie się go byłoby porównywalne z utratą jednej z kończyn. Na szczycie wzgórza, za pieniądze zarobione w mieście poniżej (gdzie do niedawna pracował jako inwestor bankowy) powstał prawdziwy azyl, gdzie on i garstka szczęśliwych lotofagów mogli podziwiać przyływy i odpływy mgieł.

Patrick był potężnym, barczystym, przystojnym mężczyzną, a w jego rysach można było dostrzec zarówno greckie, jak i irlandzkie cechy: miał ciężkie obwisłe powieki, ciemne oczy, wydatny nos, pełne usta i gęste czarne włosy. W garniturze wyglądał jak typowy ochroniarz, w kostiumie, podczas Mardi Gras, jak koszmar fundamentalisty, w skórze prezentował się dumnie.

Tego dnia, kiedy Rafael (który najwyraźniej skruszał i wrócił do domu) odprowadził Willa do salonu, Patrick siedział jak zwykle przy oknie, w przyciasnym, obcisłym podkoszulku i spodniach od dresu. Wyglądał nieźle. Siwiejące włosy miał obcięte na zapalną i choć znacznie schudł, uścisk wciąż miał mocny.

–Boże, spójrz na siebie – powiedział, odstępując od Willa na dwa kroki, aby mu się przyjrzeć.
– Wreszcie zaczynasz wyglądać jak na jednej ze swoich fotografii.

(Ten zawodowy komplement i powtarzany po wielokroć żarcik powstał, kiedy Will wybrał na obwolutę swojego drugiego albumu zdjęcie, skądinąd niezbyt udane, które jego zdaniem miało przydać mu odrobinę powagi).

–Chodź, usiądź – rzekł, wskazując na krzesło, które postawił obok okna, naprzeciwko swego fotela. – Gdzie u licha podział się Rafael? Napijesz się herbaty?

–Nie, Dziękuję. Dobrze o ciebie dba?

–Bywało lepiej – odparł Patrick, usadawiając się na powrót w fotelu.

Dopiero teraz w chwili zawahania, Will zorientował się jak bardzo delikatny potrafił być w tej kwestii Patrick.

–Trochę się poprztykaliśmy, rozumiesz...

–Słyszałem.

–Od Adrianny?

–Tak. Powiedziała...

–Opowiedziałem jej co ciekawsze fragmenty – wtrącił Patrick. – Nie wspomniałem przy tym, że zazwyczaj jest dla mnie naprawdę cudowny.

Will rozejrzał się po pokoju.

–Masz trochę nowych rzeczy.

–Odziedziczyłem to i owo po zmarłych pedziach – odparł. – Choć większość z nich nic nie znaczy, o ile nie zna się towarzyszącej im historii, to smutne, bo kiedy ja odejdę nikt ich już nigdy nie pozna.

–Rafaela to nie interesuje?

Patrick pokręcił głową.

–Dla niego to bajdurzenia starych przyków. Ten mały stolik ma chyba najdziwniejszą historię. Został zrobiony przez Chrisa Powella. Pamiętasz Chrisa?

–Złota rączka o wspaniałym tyłku.

–Tak. Umarł w ubiegłym roku, a kiedy weszli do jego garażu, okazało się, że w wolnych chwilach bawił się w cieślę. Robił różne meble, krzesła, stoły, nawet koniki na biegunach.

–Na zlecenie?

–Najwyraźniej nie. Zajmował się tym w wolnych chwilach, dla własnej satysfakcji.

–I zatrzymywał je?

–Tak. Sporządzał plany, rzeźbił, lakierował i wstawiał te wszystkie rzeczy do garażu.

–Miał kochanka?

–Taki przystojny robot jak on? Chyba żartujesz. Miał ich setki. – Zanim Will zdążył zaprotestować, Patrick dodał: – Wiem, o co zapytasz, i odpowiedź brzmi: nie, nie miał nikogo na stałe. To jego siostra odnalazła te wszystkie piękne rzeczy, gdy robiła porządki u niego w domu. Jakby mimochodem zapytała, czy nie chciałbym czegoś na pamiątkę, a ja odparłem, że tak. Naprawdę chciałem konika na biegunach, ale zabrakło mi odwagi, by o niego poprosić. Jego siostra to zatwardziała konserwatystka, z jakiejś zapadłej dziury w Idaho. Najwyraźniej ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było babranie się w rzeczach należących do jej wyrodnego braciszka-pedała. Bóg jeden wie co znalazła u niego pod łóżkiem. Wyobrażasz to sobie? – Spojrzał w stronę miasta. – Nieraz słyszałem podobne historie. Rodzice zjawiają się w miejscu

gdzie osiadły ich pociechy, które, jak się dowiedzieli, są umierające, i co napotykają – Miasto Ciot, jedyną enklawę rządzącej fallokracji. – Zadumał się na chwilę. – Co muszą czuć tacy ludzie? Bądź co bądź, my tu w biały dzień robimy to, o czym biedakom z Idaho się nie śniło.

–Tak uważasz?

–A nie? Sięgnij pamięcią wstecz do Manchesteru, albo tej, jak jej tam, wiochy w Yorkshire.

–Burnt Yarley?

–Cudownie. Tak. Burnt Yarley. Byłeś jedynym pedziem w Burnt Yarley, prawda? I wyjechałeś stamtąd najszybciej jak się dało. Wszyscy wyjeżdżamy. Robimy to, by móc poczuć się jak w domu.

–A czy tutaj czujesz się jak w domu?

–Od pierwszego dnia. Spacerowałem wzdłuż Folsom i pomyślałem: Właśnie tu chcę być. A potem wszedłem do „Slota” i poderwał mnie Jack Fisher.

–Nieprawda – zaprotestował Will. – Poznałeś Jacka Fishera, będąc ze mną, na wernisażu w Berkeley.

–Cholera. Nawet nie mogę cię już okłamać, co za czasy!

–Ależ oczywiście, że możesz kłamać – rzucił wspaniałomyślnie Will. – Po prostu ci nie uwierzę i tyle. Co przypomniało mi, że Adrianna sądziła, że twój ojciec...

–Nie żyje. Tak. Tak. Nieźle mnie za to zrugala. Wielkie dzięki. – Wydał wargi. – Zaczynam mieć wątpliwości co do tej imprezy – burknął. – Jeżeli zaczniesz opowiadać wszystkim, że nie jest ze mną najlepiej i w ogóle – a przecież to impreza na twoją cześć – ale że z pewnych powodów nie dane mi jest dobrze się bawić, to wówczas nikt nie będzie się dobrze bawił i wszystko weźmie w łeb...

–Jakoś temu zaradzimy. A gdybym obiecał, że nie zaprzeczę niczemu co powiesz do kogokolwiek podczas tej imprezy, o ile tylko twoje słowa nie będą szkalowały czyjegoś dobrego imienia?

–Will, przecież wiesz, że nie zrobiłbym ci tego. – rzucił Patrick z udawaną szczerością w głosie. – Mógłbym powiedzieć wszystkim, że jesteś nic niewartym, egoistycznym sukinsynem, który rzucił mnie, jak starą szmatę. Ale czyż mógłbym szkalować ciebie, miłość mego życia? Zapomnij. – Zakończywszy swój występ, pochylił się i położył dłonie na kolanach Willa. – Już to przerabialiśmy, pamiętasz? A w każdym razie ja to przerabiałem, kiedy sądziliśmy, że będziemy pierwszymi ciotami w historii, które nigdy się nie zestarzeją? Nie, to nieprawda. Może się zestarzejemy, ale bardzo, bardzo powoli, tak że nawet mając sześć krzyżyków na karku, w odpowiednim świetle nadal będziemy wyglądać na trzydziestolatków? To wszystko

tkwi w kościach, tak przynajmniej uważa Jack. Tyle tylko że czarny facet niezależnie od wieku i tak zawsze wygląda świetnie, tak więc on się nie liczy.

–Do czego zmierzasz? – Will uśmiechnął się.

–Do sedna. A sedno to ty. Siedzimy tu sobie i sądząc po wyglądzie, dla żadnego z nas los nie okazał się łaskawy.

–Ja nigdy...

–Wiem co chcesz powiedzieć. Nigdy się nad tym nie zastanawiałeś. Cóż, poczekaj, aż wybierzesz się na podryw. Spotkasz całą masę mięśniaków, którzy będą chcieli mówić do ciebie: „Tatku”. Wiem to z doświadczenia. To chyba gejowski odpowiednik rytuału dojrzewania. Hetero czują, że się starzeją, kiedy posyłają swoje dzieci do college'u. Homo starzeją się, gdy w barze podchodzą do nich dzieciaki z college'u i mówią, że chcą, by złoili im skórę. A skoro o tym mowa...

–O dawaniu w skórę dzieciakom z college'u?

–O hetero.

–Ach, tak.

–Adrianna chce w sobotę przyprowadzić Glenna, a ty się nie śmiejesz, bo ten facet miał przeprowadzoną chirurgicznie korektę plastyczną odstających uszu i trochę dziwnie przez to wygląda. Wcześniej nie zwracałem na to uwagi, ale gość ma spiczastą czaszkę. Chyba odstające uszy odwracały uwagę od tego właśnie szczegółu. Tak więc nie śmiejesz się z niego.

–Nie będę – zapewnił Will, stuprocentowo pewien, że przyjaciel powiedział mu o tym z czystej przekory.

–Czy masz dla mnie jeszcze jakieś zalecenia jeżeli chodzi o sobotę?

–Po prostu przyjdź i bądź sobą.

–To akurat da się zrobić – odparł. – W porządku. Muszę już lecieć.

Nachylił się i delikatnie pocałował Patricka w usta.

–Trafisz sam do wyjścia?

–Z zamkniętymi oczami.

–Czy mógłbyś powiedzieć Rafaelowi, że już pora, by przyniósł mi lekarstwo? Znajdziesz go w sypialni, przy telefonie.

Patrick nie pomylił się. Rafael rzeczywiście leżał na łóżku, ze słuchawką przy uchu i mówił coś po hiszpańsku. Na widok Willa błyskawicznie usiadł i zaczerwienił się.

–Przepraszam – rzekł Will – drzwi były otwarte.

–Tak, tak wiesz, to tylko jeden mój przyjaciel – wykrztusił Rafael.

–Patrick mówi, że już czas na jego lekarstwa.

–Wiem – odparł Rafael. – Już idę. Muszę tylko skończyć rozmowę z kumplem.

–Nie będę wam przeszkadzał – powiedział Will.

Zanim jeszcze zamknął za sobą drzwi, Will usłyszał, jak Rafael wraca do przerwanej tematu gorącej rozmowy o seksie. Will wrócił do salonu, by powiedzieć Patrickowi, że przekazał wiadomość, ale w ciągu minuty lub dwóch od jego wyjścia z pokoju Patrick zasnął i pochrapywał w najlepsze w swoim fotelu. Promienie południowego słońca łagodziły jego rysy, lecz nie były w stanie wymazać malującego się na twarzy mężczyzny piętna czasu, cierpienia i choroby. Jeżeli nazwanie przez młodego mężczyznę tatkiem stanowiło jeden z rytuałów dojrzewania, pomyślał Will, to ten był następnym – patrzenie na mężczyznę, w którym się zakochałeś, dawno temu, w innym życiu, kiedy czujesz, że ta miłość wciąż jest obecna i silna jak niegdyś, lecz odmieniona przez czas i okoliczności, do tego stopnia, że stała się o wiele bardziej ulotna i metafizyczna. Z przyjemnością patrzyłby na Patricka nieco dłużej, widok jego twarzy działał na niego kojąco, nie chciał jednak, by zastał go tutaj Rafael, toteż pozostawił śpiącego przyjaciela samego, wyszedł z salonu, zszedł po schodach i wyszedł na ulicę.

Dlaczego, zastanawiał się Will, skoro pisząc o miłości zużyto więcej atramentu niż na inne ważne tematy, w rodzaju wolności, śmierci i Boga Wszechmocnego, nie był w stanie ogarnąć złożoności swoich uczuć wobec Patricka? Ten związek krył w sobie liczne blizny, po obu stronach nie obyło się bez przykrych słów i niepochlebnych czynów, dokonywanych w przypływach gniewu i frustracji. Także z obu stron znalazły się przypadki pospolitych zrad i porzuceń. Wspólnie dzielili wspomnienia dzikiego seksu i spokoju domowego ogniska, owe chwile błęgiego wyciszenia, kiedy jedno spojrzenie, dotknięcie, lub zanucona półgłosem melodia stawały się istną nirwaną. I była też terażniejszość, uczucia wydobyte z przeszłości, lecz tworzące splatające się wzory, których żaden z nich nie spodziewał się ujrzeć. Och, obaj doskonale wiedzieli, że się zestarzeją, niezależnie od dumnych zapewnień Patricka. Rozmawiali na poły żartobliwie, że jesień swego życia spędzą jako szczęśliwi alkoholicy w Key West, albo przeniosą się do Toskanii i założą plantację drzewek oliwnych. Nigdy natomiast nie rozmawiali – ponieważ nie sądzili, że to w ogóle możliwe, że znajdą się tu, w tym miejscu, będąc w kwiecie wieku i będą rozmawiać jak dwaj starzy mężczyźni: wspominając zmarłych przyjaciół i zerkając na zegar, by nie przegapić pory przyjmowania lekarstw.

PIĘĆ

1

–Czy poznałeś już legendarną mistyczkę Bethlynn Reichle? – spytała Adrianna, kiedy Will opowiedział jej o Patricku.

Spotkali się na lunchu w Cafe Flore przy Market Street, następnego dnia: szpinakowe frittatas, frytki i kawa. Will odparł, że nie, nie spotkał tej kobiety ani nawet o niej nie słyszał.

–Jack widuje się z nią co drugi dzień. Uważa, że to wszystko pic na wodę. A ona za godzinę swego cennego czasu każe sobie płacić fortunę.

–Nie sądziłem, że Patrick może bawić się w tego rodzaju czary-mary.

–Bo ja wiem? To chyba ta domieszka irlandzkiej krwi. Tak czy owak, Bethlynn każe mu cztery razy dziennie mantrować. Jack uważa, że to jakieś zuluskie zaklęcia, czy coś w tym rodzaju.

–A co Jack może wiedzieć o Zulusach? Przecież urodził się i dorastał w Detroit.

–Twierdzi, że to pamięć genetyczna. – Will zrobił zbolałą minę. – Glenn ma nowe słowo, skądinąd bardzo adekwatne: normaniacy. Nazywa tak ludzi, którzy, choć szurnięci, potrafią przez swą demagogię przekonać nas, że są całkiem normalni.

–Ale tak naprawdę to świry. Ekstra. Podoba mi się. Skąd zaczerpnął to słowo?

–Sam je wymyślił. Lubi tego rodzaju zabawy. To cri de jour.

–Normaniacy – powtórzył Will z rozbawieniem. – A ona jest jedną z nich, tak?

–Bethlynn? Z pewnością. Nie miałam okazji jej poznać, ale to prawie pewne. Aha... jeszcze jedno. Nie powinnam ci tego mówić, ale Pat pytał, czy byłoby w bardzo złym guście, gdyby na imprezę zamówił tort w kształcie polarnego niedźwiedzia.

–Co mu odpowiedziałaś?

–Tak. To byłoby w bardzo złym guście.

–A on na to: świetnie.

–Właśnie.

–Dzięki za ostrzeżenie.

Tego wieczoru koło jedenastej postanowił odpuścić sobie tabletkę nasenną i wybrał się do baru na drinka. Był piątek, ulice tętniły życiem, podczas pięciominutowej przechadzki wzdłuż Sanchez do szesnastej napotkał taksujące spojrzenia tyłu facetów, że był pewien, że nie wróci do domu sam, o ile tylko zechce. Stracił nieco rezonu, gdy wszedł do Gestalt, baru, który, jak twierdził Jack (jego najzagorzalszy informator) otwarto zaledwie dwa, trzy miesiące temu, ale był tego lata najmodniejszym lokalem w mieście.

W środku panował okropny tłok, było tu paru miejscowych, którzy wpadli, żeby wypić piwo z kolegami, większość jednak, sądząc po strojach, zjawiała się tu w zgoła innym celu. W dawnych czasach na Castro istniały swoiste podziały plemienne, faceci w skórach mieli swoje miejsca spotkań, gdzie indziej zbierali się narkomani, inne lokale odwiedzali transwestyci i męskie dziwki, a pedzie, zwłaszcza starsi, nigdy nie przestępowali progę knajpy czarnych i vice versa. Tu wszelako zjawili się przedstawiciele każdego z tych, i jeszcze paru innych klanów. Czy to facet w lateksowym stroju stał opodal przy barze, sącząc burbona? Owszem, tak. A czy tamten chłopak z kolczykiem w nosie, czekający na swoją kolejkę przy stole bilardowym, był kochankiem zmierzającego w jego stronę latynosa w eleganckim garniturze? Sądząc po uśmiechach i pocałunkach, tak. W tłumie można było dostrzec całkiem sporo kobiet, stwierdził Will, tradycjonalistek, które przybyły tu ze swoimi chłopakami, by pogapić się na pedałów (to ryzykowne, każdy chłopak, który zgodził się na tę wyprawę, zapewne w duchu miał nadzieję, że padnie ofiarą zbiorowego gwałtu i zostanie zerznięty na stole bilardowym), pozostałe były lesbijkami (także w najróżniejszych odmianach, od słodkich laleczek, po takie, które miały doklejone lub domalowane wąsy). Choć to, co ujrzał, trochę go zdezorientowało, był za bardzo zaintrygowany, by stąd wyjść. Przebił się przez tłum do kontuaru i znalazł wolne miejsce przy jego drugim końcu, skąd miał dobry widok na całą salę. Wypiwszy dwa piwa, zaczął czuć się odrobinę swobodniej. Jeżeli nie liczyć kilku przelotnych spojrzeń, nikt nie zwrócił na niego uwagi – i bardzo dobrze, stwierdził Will, i bardzo dobrze. Zamówił właśnie trzecie piwo (ostatnie tego wieczoru, jak postanowił), kiedy ktoś podszedł do niego i rzekł:

–Dla mnie to samo. Albo lepiej nie. Poproszę tequilę. Czystą. On płaci.

–Ja? – spytał Will, odwracając się.

Ujrzał mężczyznę młodszego od niego o jakieś pięć lat, którego twarz wyzwoliła w nim na wpół zapomniane mgliste wspomnienia. Tamten, zmrużywszy lekko powieki, przyglądał mu się przez chwilę, po czym uśmiechnął się, kiedy Will powiedział:

–Drew?

–Cholera, powinienem był się jednak założyć. Byłem z tym gościem.

Drew spojrział w głąb lokalu, na postawnego mężczyznę w skórzanej kurtce, facet pomachał ręką, najwyraźniej zastanawiał się, czy powinien do nich dołączyć. Przeniósł wzrok na Willa.

–Powiedział, że po tylu latach na pewno mnie nie rozpoznasz. Ja mu na to: załóżmy się. A ty jednak mnie poznałeś.

–Trochę to trwało.

–No tak. Coś... linia włosów trochę mi się przesunęła – rzekł Drew.

Piętnaście lat temu kiedy się spotykali, Drew miał gęste, złocistobrązowe loki, które opadały mu na czoło, a najdłuższe kędziory sięgały nawet do nasady nosa. Teraz już ich nie było.

–Nie masz nic przeciwko temu? – spytał. – Chodzi mi o to, że zamówiłem dla siebie tequilę. W pierwszej chwili nawet nie byłem pewien, czy to ty. To znaczy... Mówiono mi... no wiesz, co. Czasami trudno mi się zorientować, w co mam wierzyć, a w co nie.

–Powiedziano ci, że nie żyję?

–Tak.

–Cóż – rzekł Will, stukając puszką piwa o kieliszek tequili Drew. – Jak widać, te wieści były mocno przesadzone.

–To dobrze – powiedział Drew, stukając kieliszkiem w puszkę Willa.

–Wciąż mieszkasz w tym mieście?

–Dopiero wróciłem.

–Kupiłeś dom przy Sanchez, zgadza się? – Romans trwał jeszcze przed finalizacją transakcji, a odkąd rozpadł się ich związek, zupełnie przestali się widywać. – Nadal go masz?

–Tak.

–Spotykałem się z kimś, kto mieszka przy Sanchez i pokazywał mi go. To tu mieszka ten słynny fotograf. – Drew wybałuszył oczy, wspominając tę scenę. – Oczywiście nie wiedziałem o kogo chodzi. Wtedy on mi powiedział, a ja mu na to...

–Ach, to o niego chodziło.

–Nie. Byłem naprawdę dumny – odparł z niezłomną szczerością Drew. – Sam wiesz, że nie interesuję się sztuką i nie jestem w tych sprawach na bieżąco, więc się nie dziw, że tego nie skojarzyłem. Wiedziałem, że robisz zdjęcia, ale pamiętałem tylko foki.

Will wybuchnął śmiechem.

–Chryste, te foki.

–Pamiętasz? Poszliśmy razem na pirs 39. Myślałem, że się upalimy i będziemy patrzeć na ocean, ale ty obsesyjnie zainteresowałaś się fokami. – Jednym haustem wypił połowę tequili. – Zabawne co czasami zostaje człowiekowi w głowie.

–Kumpel macha do ciebie – zauważył Will.

–O Boże. To straszne. Raz się z nim umówiłem i teraz stale się do mnie klei.

–Musisz do niego wrócić?

–Absolutnie nie. Chyba że chcesz zostać sam. Właściwie to jest tu parę fajnych towarów. Chcesz coś zarwać?

–Kto wie?

–Wciąż świetnie wyglądasz – stwierdził Drew. – A ja trochę się zapuściłem. – Spojrzał na swój brzuch, po kulturystycznej „tarce” nie zostało ani śladu. – Włożenie tych dżinsów zajęło mi dobrą godzinę, a drugie tyle zajmie ich ściągnięcie. – Spojrzał na Willa. – To znaczy, chciałem powiedzieć, bez pomocy. – Poklepał się po mięśniu piwnym. – Zrobiłeś mi parę zdjęć, pamiętasz?

Will pamiętał, to było upojne popołudnie, pełne żaru i miłosnych uścisków. Drew uprawiał jeszcze wtedy kulturystykę i miał naprawdę świetnie wyrzeźbione ciało. Był z tego dumny. Może nawet zbyt dumny. Zerwali ze sobą w wieczór Halloween, kiedy zastał Drew goluteńskiego i pomalowanego od stóp do głów na złoto, stojącego na podwórzu przy domu na Hancock, niczym posąg greckiego atlety, otoczonego gromadką entuzjastów.

–Masz jeszcze te zdjęcia? – zapytał Drew.

–Tak. Z pewnością. Gdzieś na pewno je mam.

–Chciałbym je zobaczyć... któregoś dnia.

Wzruszył ramionami, jakby to było mu obojętne, choć obaj doskonale wiedzieli, że dwie minuty temu, kiedy wspomniał o swoich dżinsach, Will z przyjemnością pomógłby mu je zdjąć.

Gdy szli do domu, Will zaczął się zastanawiać, czy aby nie popełnia błędu. Drew wdał się w nie mający końca monolog, skądinąd mało porywający, o swojej pracy – sprzedawał miejsca na reklamy w Chronicle – o niechcianych wizytach Ala i przygodach swego nieskutecznie wykastrowanego kota. O kilka jardów od drzwi, ni stąd, ni zowąd przerwał i rzekł:

–Gęba mi się nie zamyka, co nie? To chyba dlatego że jestem zdenerwowany.

–Jeśli to cię pocieszy – powiedział Will – wiedz, że ja również.

–Naprawdę? – spytał z powątpiewaniem Drew.

–Nie kochałem się z nikim od jakichś ośmiu albo dziewięciu miesięcy.

–Jezu. – Drew odetchnął: z wyraźną ulgą. – No dobra, wobec tego zrobimy to powolutku.

Dotarli do frontowych drzwi.

–Świetnie – rzekł Will, otwierając je i wpuszczając Drew do środka. – Może być powolutku.

W dawnych czasach seks z Drew był prawdziwym widowiskiem – mnóstwo sztuczności, pozerstwa i udawanych zapasów.

Tego wieczoru odbyło się to zgoła łagodnie. Zero akrobatyki, zero ryzyka. Ot, zwykła czysta rozkosz, po której obaj leżeli nadzy w wielkim łóżku Willa, w bladym świetle płynącym z ulicy i zalewającym ich ciała, objęci, przytuleni, ukojeni nawzajem ciepłem swoich ciał. Żądza zmysłowych doznań, którą kiedyś w podobnej sytuacji przejawiał Will, pragnienie coraz to nowych doświadczeń wydawały się nader odległe. O tak, to wciąż tam było, może innego wieczoru, z kimś innym, kogo wcześniej nie znał, to pragnienie znów by się w nim odezwało. Tej nocy jednak najważniejsze były łagodne rozkosze i skromne, satysfakcjonujące doznania. Tylko przez chwilę, kiedy obaj już byli nadzy, i Drew po raz pierwszy ujrzał blizny na ciele Willa, można było pomyśleć, że to, co zacznie się za chwilę, będzie istną orgią brutalnego, seksualnego rozpasania.

–O rany – rzekł Drew, wzdychając z podziwem. – Czy mogę ich dotknąć?

–Jeżeli naprawdę chcesz.

Drew chciał i zrobił to nie palcami, lecz ustami, przesuwając wargami po lśniącem śladzie pozostawionym przez pazury niedźwiedzicy po lewej stronie klatki piersiowej i brzucha Willa.

–Mógłbym tak zostać do rana – powiedział.

Przesunął ręce do tyłu, za plecy; najwyraźniej gdyby Will zechciał go związać, nie stawiałby oporu. Will przecesał mu włosy palcami, kusilo go, by spełnić swoje fantazje. Związać Drew, pozwolić mu całować swoje blizny i nazywać siebie panem. Jednak nie zrobił tego.

–Kiedy indziej – powiedział i pociągnąwszy Drew, zmusił go by wstał, a potem objąwszy ramionami, poprowadził go w stronę łóżka.

Obudziły go odgłosy deszczu, bębnienie kropel o świetlik powyżej. Wciąż było ciemno. Spojrzał na zegarek – kwadrans po czwartej – a potem na Drew, który leżąc na wznak, pochrapywał cichutko. Will nie był pewien, co go obudziło, ale teraz, gdy to już się stało, postanowił wstać i opróżnić pęcherz. Gdy podniósł się z łóżka, spostrzegł, a może tylko mu się wydawało, że spostrzegł, cienie poruszające się w drugim końcu pokoju. Zastygł w bezruchu. Czy ktoś włamał się do domu? Czy właśnie to go obudziło? Wlepił wzrok w ciemność, wypatrując i nasłuchując dalszych śladów intruza, ale bezskutecznie. Wśród cieni nie było nic. Przeniósł wzrok na swego partnera. Drew uśmiechał się pod nosem i delikatnie drapał się po gołym brzuchu. Will obserwował go przez chwilę, dziwnie urzeczony. Spośród wszystkich przypadkowych mężczyzn, z którymi mogłem przerwać swój seksualny celibat, padło akurat na byłego kulturystę Drew, pomyślał ze zdumieniem.

Deszcz nagle przybrał na sile, bębnienie w dach stało się głośniejsze. To przywołało go do porządku. Poczłapał do łazienki. Znał tę drogę na pamięć. Trafiłby tam nawet pogrążony w lunatycznym śnie. Wychodząc z sypialni, musiał skręcić w lewo, a gdy poczuł pod stopami chłodne płytki, wystarczyło zrobić jeszcze trzy kroki naprzód, skręcić w prawo i mógł oddać mocz, nie obawiając się, że nie trafi do muszli. Opróżnił pęcherz, po czym wrócił do sypialni, rozmyślając, jak cudownie się czuje, mogąc objąć Drew. I nagle, dwa kroki od drzwi, znów, kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie. Tym razem był na tyle szybki, by zauważyć cień intruza, gdy tamten zbiegał po schodach na dół.

–Hej! – zawołał.

Ruszył za nim, z przeświadczeniem, że to, co się stało, przypominało osobliwą grę w kotka i myszkę. Z jakiegoś powodu nie czuł się przez intruza zagrożony, zupełnie jakby wiedział, że tamten nie chce mu zrobić nic złego. Gdy znalazł się u podnóża schodów i podążył za cieniem w głąb korytarza, ku archiwum, zrozumiał co się dzieje: śnił. Cóż mogło być tego jawniejszym dowodem niż widok, który napotkał po wejściu do pokoju? O niecałe dwadzieścia stóp od niego stał, oparty leniwie o parapet okna, Lord Lis, jego sylwetka odcinała się wyraźnie na tle mokrej od deszczu szyby.

–Jesteś nagi – zauważyło zwierzę.

–Ty również – odparował Will.

–W przypadku zwierząt to coś zgola innego. My, w naszych skórkach czujemy się po prostu swobodniej. – Przekrzywił głowę. – Do twarzy ci z tymi bliznami.

–Ktoś już to mówił.

–Ten facet w twoim łóżku?

–Tja.

–Nie może z tobą zostać, chyba to rozumiesz? Zważywszy na to co się dzieje... i na to co ma się wydarzyć. Musisz się go pozbyć.

–Cóż za absurdałna rozmowa – powiedział Will, odwracając się, by odejść. – Wracam do łóżka.

Ale rzecz jasna już tam był i spał w najlepsze, jednak nawet we śnie nie chciał pozostawać dłużej w tym pomieszczeniu, marnując czas na pogawędki z lisem. Zwierzę należało do innej części jego jaźni, części, od której tej nocy znacznie się oddalił, przy wydatnej pomocy Drew.

–Zaczekaj chwilę – rzekł lis. – Popatrz na to.

W głosie lisa brzmiał tak szczery entuzjazm, że Will spojrzał na zwierzę. W pokoju zrobiło się jaśniej niż przed chwilą, ale źródłem tego blasku nie były latarnie na zewnątrz, lecz zdjęcia, jego nieszczęsne Odpady, które wciąż walały się na podłodze, tak jak je pozostawił. Opuszczając miejsce przy oknie, Lord Lis jął stąpać pomiędzy fotografiami, aż w końcu stanął pośrodku pokoju, w dziwnej poświacie zdjęć, Will dostrzegł lubieżny uśmiech malujący się na obliczu zwierzęcia.

–Są warte, by poświęcić im choć trochę uwagi, nie sądzisz? – spytał lis.

Will spojrzał. Światło bijące z fotografii było niepewne i nie bez powodu. Jasne, rozmazane kształty na zdjęciach poruszały się: trzepotały, falowały i migotały jakby pochłaniane przez powolne płomienie. I gdy tak wolno konały, Will rozpoznał je wszystkie. Odartego ze skóry lwa, zwisającego z drzewa, przypominającą żałosny namiot słoniową skórę zwieszającą się w strzępach z żerdzi nagich kości. Stado oszalałych pawianów zabijających kamieniami swoje własne dzieci. Obrazy skażonego świata, już nie przejaskrawione i odległe, lecz wyraziste i gorejące pośrodku pokoju.

–Nie chciałbyś, żeby właśnie tak wyglądały, kiedy oglądają je ludzie? – zapytał lis. – Czy to nie odmieniłoby świata, gdyby zaczęli tak właśnie postrzegać całą tę zgrozę?

Will spojrzał na lisa.

–Nie – powiedział – to niczego nie zmieni.

–Nawet to – rzekło zwierzę, zerkając na leżącą pomiędzy nimi fotografię. Była ciemniejsza od innych, i w pierwszej chwili nie rozpoznał co przedstawiała.

–Co to jest?

–Ty mi powiedz – odrzekł lis.

Will przykucnął i uważniej spojrzął na zdjęcie. Na nim także dostrzegł pewne poruszenie, potoki migającego światła zalewały siedzącą postać widoczną pośrodku fotografii.

–Patrick? – wymamrotał.

–Być może – odparł lis.

To z pewnością był Patrick. Siedział przy oknie, w fotelu, tyle tylko że jakimś cudem jego dom został pozbawiony dachu i do środka wlewały się strugi deszczu, spływając po jego głowie i ciele, błyszcząc na czole, nosie i lekko rozchylonych wargach, spod których było widać zęby. Patrick był martwy. Will zorientował się natychmiast. Martwy mężczyzna pośród deszczu. A im silniejsze strugi ulewy spływały na jego ciało, tym bardziej było ono posiniaczone i spęczniałe. Will miał ochotę odwrócić wzrok. To nie była małpa ani lew, tylko Patrick, jego ukochany Patrick. Jednak miał zbyt dobrze wyszkolone oczy. Wciąż patrzyły, jak na wzorowych świadków przystało, podczas gdy twarz Patricka pod wpływem zacinającego deszczu coraz bardziej się rozmywała, jak niedokończona, gliniana rzeźba.

–O Boże – jęknął Will.

–On nic nie czuje, o ile to może być dla ciebie jakimś pocieszeniem – zapewnił lis.

–Nie wierzę ci.

–Więc nie patrz.

–Nie mogę, to jest teraz w mojej głowie. Podszedł do zwierzęcia poczuł nagle, że ogarnia go gniew. – Czym sobie, kurwa, na to wszystko zasłużyłem?

–Oto matka wszystkich pytań, nieprawdaż? – odrzekło zwierzę, nie zważając na wybuch wściekłości Willa.

–I?

Zwierzę wzruszyło ramionami.

–Bóg pragnie, abyś to zobaczył. Nie pytaj mnie dlaczego. To sprawa pomiędzy tobą a Bogiem. Ja jestem tylko posłańcem.

Zakłopotany tym, co usłyszał, Will ponownie przeniósł wzrok na zdjęcie Patricka. Ciało zniknęło, rozmyte deszczem.

–Czasami to zbyt wiele dla ludzi – ciągnął lis, jakby od niechcienia. – Bóg mówi „spójrz na to”, a ludzie tracą rozum. Mam nadzieję, że ciebie to nie spotka, ale niczego nie gwarantuję.

–Nie chcę go stracić – wyszeptał Will.

–W tej kwestii akurat nie mogę ci pomóc – odrzekło zwierzę. – Jestem tylko posłańcem.

–Wobec tego powiedz Bogu ode mnie... – zaczął Will.

–Will?

Z tyłu, za nim, rozległ się inny głos. Will obejrzał się przez ramię i ujrzał stojącego w drzwiach Drew, owiniętego w pasie prześcieradłem.

–Z kim rozmawiasz? – zapytał.

Will spojrział w głąb pokoju i przez chwilę, mimo że przecież nie spał, wydawało mu się, że widzi na tle okna sylwetkę zwierzęcia. Wizja niemal natychmiast zniknęła, a on stał nagi i skostniały, podczas gdy Drew podszedł i zarzucił mu prześcieradło na ramiona.

–Jesteś cały mokry – zauważył Drew.

I rzeczywiście, ciało Willa było zroszone zimnym potem. Drew objął go, złączył dłonie na wysokości jego mostka i oparł głowę o kark Willa.

–Często lunatykujesz?

–Od czasu do czasu – odparł Will, wlepiając wzrok w zasłaną zdjęciami podłogę, w nadziei że na którymś z nich dostrzeże migoczący blask. Bez powodzenia.

–Wracamy do łóżka? – zapytał Drew.

–Jeszcze nie. Chciałbym zostać tu przez chwilę – powiedział Will. Miał dość snów jak na jedną noc. – Ale ty wracaj na górę. Ja mam ochotę na herbatę.

–Mogę z tobą zostać, jeśli chcesz.

–Nic mi nie jest – zapewnił Will. – Wszystko gra. Niedługo do ciebie przyjdę.

Drew oddał Willowi prześcieradło i poszedł na górę, zostawiając Willa sam na sam z Earl Greyem. Will nie miał zbytniej ochoty rozpamiętywać ostatniej wizji, ale gdy tak siedział, sącząc herbatę, mimo woli w jego umyśle pojawiały się oglądane we śnie niesamowite obrazy uwiecznione na zdjęciach. Zupełnie jakby te wszystkie odpady zawierały w sobie znaczenie, które przeoczył albo którego nie rozumiał, i pragnęły właśnie w ten osobliwy sposób mu je uświadomić. Ale co chciały mu pokazać? Że śmierć jest straszna? Wiedział o tym lepiej niż większość ludzi. Że Patrick umrze, a on nie jest w stanie temu zapobiec? To również wiedział. Zastanawiał się nad tym dość długo, ale nie potrafił odkryć większego sensu tego co go spotkało. Może szukał związków i znaczeń tam, gdzie ich wcale nie było. W jakim stopniu mógł być wiarygodny sen, w którym gadający lis twierdził, że jest wysłannikiem Boga? Raczej w niewielkim. Mimo to, pod sam koniec, kiedy Drew zawołał go po imieniu i obudził, przez jedną

krótką chwilę, mgnienie oka, miał wrażenie że lis wciąż tam jest, przy domu, w jego archiwum. Czy chciał w ten sposób zbadać jego kompetencje, a może sprawdzał jego obszary władzy, gotowy przekroczyć granicę i wejść na teren, do którego wcześniej nie miał dostępu?

W końcu wrócił do łóżka. Nad miastem przeszła silna burza, a jedynym słyszalnym w sypialni odgłosem był łagodny szept oddechu Drew. Will najdelikatniej jak potrafił wślizgnął się do łóżka, nie chcąc obudzić śpiącego, jednak ten, mimo wszystko, jakimś sposobem zorientował się, że jego partner powrócił, bowiem odwrócił się do niego twarzą i, nie otwierając oczu i zachowując równy oddech, przytulił się do niego całym ciałem. Will był przekonany, że nie uśnie, ale zasnął, i to bardzo mocno. Obyło się bez kolejnych odwiedzin. Bóg i Jego posłaniec dali mu spokój przez resztę nocy, a kiedy Will się obudził, powitały go promienie słońca i pocałunki.

SZEŚĆ

Patrick nie żartował. Pośrodku bufetowego stołu pojawił się wielki tort w kształcie korpulentnego niedźwiedzia polarnego z wielkimi kłami i lubieżnym, różowym jęzorem. To musiało wywołać lawinę pytań, Patrick zaś kierował wszystkie zapytania do Willa, skutkiem czego zmuszony był tego wieczoru kilkanaście razy opowiadać historię o tym, jak został zaatakowany przez ranną niedźwiedzicę, aż koniec końców na kolejne zaczął odpowiadać zdawkowym: „To prawda, pewien polarny misiek o mało mnie nie wtranżolił”.

–Ale dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – spytał Drew, gdy ta informacja, rozchodząca się wśród gości, dotarła w końcu do niego. – Sądziłem, że miałaś wypadek motocyklowy. Ale żeby niedźwiedź... Jezus Maria! – Uśmiechnął się lekko. – To dopiero coś.

Will wziął z talerzyka Drew kawałek pizzy z kurczakiem i karczochami i spałaszował w okamgnieniu.

–Chcesz mi w ten sposób coś zasugerować? – spytał Drew. – Na przykład: nie żryj tyle?

–Nie.

–Uważasz, że jestem za gruby, prawda? No już, powiedz to.

–Uważam, że jesteś w sam raz – odparł cierpliwie Will. – Masz moje pozwolenie, by zjeść każdy kawałek pizzy, który znajdzie się w zasięgu twoich lepkich paluchów.

–Jesteś boski – powiedział Drew i wrócił do bufetu.

–Odgrzewasz stary związek?

Will uniósł wzrok i ujrzał Jacka Fishera, eleganckiego jak zawsze, któremu towarzyszył młody, ponury z wyglądu chłopak. Wymienili tradycyjne uściski i zamienili kurtuazyjnie kilka słów, zanim Jack zechciał przedstawić swego towarzysza.

–To Casper. Chyba się nie znacie.

Casper uściśnął dłoń Willa, nie szczędząc mu wyrazów uznania.

–Gdy byłem dzieckiem, był pan moim idolem – powiedział. – Znaczy się, to co pan robi jest takie rzeczywiste, no wie pan, o czym mówię, takie realne. Przedstawia pan rzeczy takimi jakie są, no nie? Czyli popieprzone.

–Casper jest malarzem – wyjaśnił Jack. – Przyniosłem jedno z jego płócien. Maluje tylko członki. Prawda, Casper?

Chłopak wydawał się odrobinę zmieszany.

–To mały rynek – ciągnął Jack – ale za to bardzo oddany.

–Chciałbym... może kiedyś pokażę panu kilka moich prac – rzekł Casper.

–Może przyniósłbyś nam coś do picia? – spytał Jack.

Casper zasępił się, najwyraźniej nie zamierzał grać roli kelnera.

–A ja przekonam Willa, by kupił któreś z twoich płócien.

Casper, choć z wahaniem, oddalił się.

–Jego obrazy są całkiem niezłe – wyznał Jack. – I to, co powiedział, że byłeś jego idolem, to święta prawda. Słodki jest, prawda? Zaczynam poważnie myśleć o tym, by przenieść się do Luizjany i osiaść tam z nim.

–Nie zrobisz tego – zaproponował Will.

–Tak czy owak, wynoszę się z tego miasta – rzekł ze znużeniem w głosie Jack. I nieco ciszej dodał: – Prawda jest taka, że mam dość ludzi. Wiem, jak to brzmi, ale znasz mnie. Mówię to co myślę. A w moim notesie jest więcej skreślonych adresów, niż mógłbym zliczyć.

–Ile lat ma Casper? – spytał Will, patrząc na zmierzającego w ich stronę chłopaka z dwiema szklaneczkami szkockiej.

–Dwadzieścia. Ale wie wszystko co powinien wiedzieć.

Fisher uśmiechnął się dziwnie, na co Will odwrócił wzrok. Nie chciał żartować z chłopaka, który, znając Jacka, po miesiącu będzie dla niego jedynie wspomnieniem.

–Musisz wpaść do pracowni – rzekł Jack, podejmując przerwany temat, kiedy Casper znalazł się blisko nich. – Teraz ma zająć się malowaniem wytrysków... – Przerwał w pół zdania. – Uhm, hm – mruknął, zerkając w stronę drzwi, w których pojawiła się właśnie olśniewająca kobieta po pięćdziesiątce, w szarej sukni.

Obrzuciła gromadkę gości powłóczyстым, władczym spojrzeniem i zobaczywszy Patricka, skierowała się w jego stronę. Patrick przerwał rozmowę z Lewisem, który wykorzystał tę okazję, by wręczyć mu (bardzo cienki) tomik swoich wierszy, po czym podszedł, by się z nią przywitać. Straciła całą swą wyniosłość, kiedy Patrick uściskał ją i pocałował w policzek, po czym zaśmiała się głośno, gdy powiedział coś zabawnego.

–Czy to Bethlynn? – spytał Will.

–Tja – odparł Jack. – A ja nie jestem w nastroju, więc jesteś zdany wyłącznie na siebie. Tylko za bardzo się jej nie podlizuj.

To rzekłszy, oddalił się cichaczem, zabierając ze sobą Caspera.

Will z niekłamaną fascynacją obserwował Bethlynn rozmawiającą z Patrickiem. Nie ulegało wątpliwości, że przyjaciel chłonie jak gąbka każde jej słowo, mowa ciała zdradzała z jego strony niezwykłą i nietypową jak na niego pokorę oraz łagodność. Raz po raz kiwał głową, i co chwila potulnie spuszczał wzrok, wsłuchując się w słowa jej mądrości.

–A więc to ona. – Adrianna podeszła do Willa i jakby od niechcienia przyglądała się rozmawiającej parze, pogryzając kawałek polewy z niedźwiedziego tortu. – Nasza królowa śniegu.

–Czy ktokolwiek ją lubi? – spytał Will.

–Po raz pierwszy ktokolwiek z nas ma okazję w ogóle ją zobaczyć. Wątpię, by często zdarzało się jej schodzić na padół zwykłych śmiertelników, zwykle bawi w innych planach, choć Lewis twierdzi, że widział, jak kradła w sklepie oberżyny. – Zasłoniła dłonią usta, na których przez chwilę pojawił się cień uśmiechu. – Rzecz jasna, Lewis jest poetą, więc jego słowa są niewiele warte.

–Gdzie jest Glenn?

–Rzyga.

–Za dużo tortu?

–Nie. Denerwuje się, gdy musi z tej czy innej przyczyny znaleźć się wśród tłumu ludzi. Uważa, że wszyscy gapią się na niego. Z początku sądził, że to przez jego odstające uszy, ale odkąd skorygował tę wadę chirurgicznie, uważa, że teraz ludzie przyglądają mu się, aby dociec, co jest z nim nie tak.

Will usiłował się powstrzymać, lecz bez powodzenia. Wybuchnął tak głośnym śmiechem, że Patrick uniósł wzrok i spojrzał na niego. Adrianna przytuliła się do Willa, by nie zostać pominiętą podczas prezentacji.

–Will – rzekł Patrick. – Chciałbym przedstawić ci Bethlynn. – Szcherzył się jak uczeń. – To cudowne – dodał. – Dwie najważniejsze osoby w moim życiu.

–A tak na marginesie, mam na imię Adrianna.

–Przepraszam – rzekł Patrick. – Bethlynn, to Adrianna. Pracuje z Willem.

Z bliska Bethlynn wyglądała dużo starszej niż na pierwszy rzut oka, na jej twarzy o słowiańskich rysach i wydatnych kościach policzkowych było widać głębokie zmarszczki. Dłoń kobiety, kiedy ucisnęła rękę Willa, była chłodna, a głos cichy i przytłumiony, do tego stopnia, że Will musiał nachylić się odrobinę w jej stronę, by usłyszeć, co do niego mówiła. I jedyne co

usłyszał to: „...na twoją cześć”.

–Impreza – odpowiedział Patrick.

–Pat zawsze był mistrzem w ich wyprawianiu – zauważył Will.

–Ponieważ ma naturę urodzonego birbanta – odparła Bethlynn. – To wrodzona cecha, skądinąd cudowna.

–Czy są jeszcze dziś naprawdę cudowne imprezy? – wtrąciła Adrianna. – Nic mi o tym nie wiadomo.

Bethlynn zignorowała ją.

–Aura Patricka jaśnieje z każdym dniem coraz bardziej – ciągnęła. – Widzę ją. Widzę ją bardzo wyraźnie. Jest taka kolorowa. – Spojrzała na Pata. – Od jak dawna pracujemy razem?

–Od pięciu miesięcy – odrzekł Patrick, wciąż szczerząc się jak głupi do sera.

–Pięć miesięcy, a on z każdym dniem jaśnieje coraz bardziej – rzekła Bethlynn.

Will ni stąd ni zowąd wycedził:

–Żywi i umierający, podsycamy ogień.

Bethlynn zmarszczyła brwi i przymrużyła powieki, jakby wsłuchiwała się w echo słów Willa, by się upewnić, że się nie przesłyszała.

Po chwili zapytała:

–Jaki ogień masz na myśli?

Will już miał rzucić coś na odczepnego, by nie drażyć tego tematu, jeśli jednak nauczył się czegoś od mężczyzny, od którego po raz pierwszy usłyszał te słowa, to właśnie tego, by zawsze mówić to co się myśli i nie owijać słów w bawełnę. Sęk w tym, że nie znał odpowiedzi na to pytanie. Sens zdania, które nie dawało mu spokoju już od trzech dekad, niełatwo było wyjaśnić i może właśnie na tym polegała jego moc. Bethlynn jednak domagała się odpowiedzi. Obserwowała Willa dużymi, szarymi oczyma, a ten rozpaczliwie szukał adekwatnego wyjaśnienia.

–To tylko takie stwierdzenie – odparł. – Nie wiem. To znaczy chyba... no... że ten, tego... ogień to ogień, nieprawdaż?

Patrzyła na niego z nutką ironii, co go zmartwiło. Zamiast odpuścić, podjął rzuconą rękawicę.

–Nie, nie, to pani jest specjalistką od wszystkiego, co płonie silnym blaskiem. Zapewne ma pani

na ten temat lepszą teorię, niż ja.

–Nie mam żadnych teorii. Nie są mi potrzebne – odparła Bethlynn. – Jedyne co mam to prawda.

–Och, mój błąd – zachnął się Will. – Sądziłem, że tak jak my, błądzi pani po omacku.

–Cynik z ciebie, wiesz? – mruknęła. – Rozczarowałeś mnie.

–Dziękuję za psychoanalizę, ale...

–Bardzo cierpisz. Nie ma sensu tego ukrywać. Przyznaj się.

Zalazła mu za skórę i zdawał sobie z tego sprawę. Przez jej twarz przemknął wyraz błogości.

–Czemu tak zażarcie się bronisz? – spytała.

Will wyrzucił obie ręce w górę.

–Cokolwiek teraz powiem, zostanie użyte przeciwko mnie...

–Nie chodzi o wykorzystywanie czegokolwiek przeciwko komukolwiek – wycedziła.

Patrick zaspokoił głód słodczy, ponieważ wrócił i próbował przerwać ich potyczkę słowną, jednak Bethlynn całkiem go zignorowała. Podchodząc do Willa, jakby chciała w ten sposób dodać mu otuchy i odwagi, powiedziała:

–Zrobisz sobie krzywdę, jeśli nie nauczysz się wybaczać. – Położyła mu dłoń na ramieniu. – Na kogo tak się wściekasz?

–Powiem ci – rzekł półgłosem. Uśmiechnęła się, licząc, że się przed nią otworzy. – Otóż pewien lis...

–Lis? – przerwała mu.

–Doprowadza mnie do szału. Wiem, że powinienem pocałować go pod zawszoną kitę i powiedzieć, że przebaczam mu jego winy.

Zerknęła na Patricka, który przyjął to jako sygnał do jej odejścia.

–Ale z lisami nie jest tak łatwo – ciągnął Will – ponieważ tak się składa, że ich, kurwa, nienawidzę. Nie cierpię ich.

Bethlynn zrejterowała.

–Nienawidzę ich, nie cierpię, nie znoszę...

Bethlynn zniknęła, rozplynęła się w tłumie.

–Brawo – pochwaliła go drwiąco Adrianna. – Subtelny jak zawsze. Czarujący, miły i porywający. Urzekający od pierwszego wejrzenia.

–Mam ochotę się napić – powiedział Will.

–Pójdę, poszukam Glenna. Jeżeli wciąż jest mu niedobrze, odwiozę go do domu, więc, na wypadek gdybyśmy się już dziś nie spotkali, życzę udanego przyjęcia.

–Coś ty jej powiedział, u licha? – dopytywał się Jack, który dopadł Willa z butelką whisky.

–Nie pamiętam.

–Cudownie było ujrzeć ten wyraz jej twarzy.

–Patrzyłeś na nas?

–Wszyscy patrzyli.

–Powiniennem przeprosić.

–Za późno. Właśnie wyszła.

–Nie ją. Patricka.

Znalazł Pata w jednym z tylnych pomieszczeń, części zwanej przez nich cieplarnią, gdzie zgromadzono przestarzałe dekoracje, stare meble i kilka doniczek z marihuaną. Patrick palił grubego skręta, wpatrując się w ścianę.

–To było głupie – rzekł Will. – Spieprzyłem sprawę. Dałem się ponieść. Przepraszam. Przykro mi.

–Nieprawda – odciął się Pat. – Uważasz, że ona jest załganą oszustką, i chciałeś dać jej to do zrozumienia. – Głos miał posępny i cichy. – Chcesz? – spytał, zerkając na Willa i podając mu jointa. Miał zaczerwienione oczy.

–Jezu, Pat – rzekł Will, któremu na widok bólu i cierpienia przyjaciela także zrobiło się ciężko na sercu.

–Chcesz czy nie?

Patrick pociągnął nosem. Will wziął skręta i zaciągnął się mocno dymem.

–Teraz bardzo potrzebuję Bethlynn – ciągnął Pat. – Domyślam się, jakie masz o niej zdanie, zapewne będąc na twoim miejscu miałbym podobne. Ale nie jestem na twoim miejscu. Jestem tutaj, a ty tam. Dzieli nas wiele mil, cholerny szmat drogi, Will. – Wziął krótki, urywany, niemal paniczny oddech. – Umieram. I wcale mi się to nie podoba. Nie osiągnąłem wewnętrznego spokoju ani nie pogodziłem się ze sobą czy ze światem... – Odwrócił się, by odebrać skręta od Willa. – Jeszcze... nie zakończyłem swego pobytu na tym padole. Ani trochę. Bynajmniej. Wcale mi do tego nie spieszo.

Zaciągnął się dymem i oddał skręta Willowi, a ten dopalił go do końca. Wymienili spojrzenia, czując, jak w płucach ich obu powoli rozchodzi się dym, to przyszło im bez najmniejszego wysiłku. Następnie, wypuszczając dym ustami, Patrick powiedział:

–Nigdy jeszcze nie byłem tak ciekaw tego, co dzieje się poza czterema murami tego domu. Pełnię szczęścia osiągnąłem, paląc trawę i podziwiając widoki. Gdy wróciłeś ze swoimi fotografiami, pomyślałem: pieprzę to, nie chcę oglądać świata, jeżeli faktycznie właśnie tak on wygląda. Nie chcę słyszeć o wymieraniu gatunków. To przygnębiające. Wszyscy się z tym zgadzają – śmierć jest przygnębiająca. Odetnę się od tego. Ale nie mogłem tego zrobić. Ona była tu przez cały czas. Tutaj. We mnie. Nie mogłem się od niej odciąć, bo miałem ją w sobie.

Will podszedł do niego, ich twarze dzieliła odległość zaledwie kilku cali.

–Chciałbym przeprosić Bethlynn – mruknął. – Cokolwiek o niej myślę, tak czy owak, zachowałem się jak kutas.

–Fakt.

–Czy zechce spotkać się ze mną, o ile dostatecznie się ukorzę?

–Zapewne nie. Ale możesz spróbować odwiedzić ją w domu. – Uśmiechnął się. – Byłbym rad, gdybyś to zrobił.

–To jest dla mnie najważniejsze.

–Naprawdę?

–Wiesz, że tak.

–Skoro więc jesteś w tak szczodrym nastroju, czy mógłbym cię o coś poprosić? To nic pilnego. Raczej prośba na przyszłość.

–Mów, o co chodzi.

Patrick spojrział na niego z ukosa, jak zawsze kiedy był na haju, i ujął dłoń Willa w swoją.

–Chciałbym, żebyś tu był ze mną – powiedział – gdy nadejdzie mój czas... i będę musiał

odejść. Na zawsze, znaczy się. Widzisz, Rafael jest cudowny, podobnie jak Jack i Adrianna. Ale oni to nie ty. Nikt nie może się z tobą równać, Will. – W jego oczach lśnił smutek. – Możesz mi to obiecać?

–Obiecuję – powiedział Will, czując spływające mu po policzkach łzy.

–Kocham cię, Will.

–Ja też cię kocham. To się nie zmieni. Nigdy. Sam wiesz.

–Tak. Ale zawsze miło to słyszeć. – Spróbował się uśmiechnąć. Na próżno. – Chyba już czas, żebyśmy rozdali skrety potrzebującym. – Sięgnął po blaszany pojemnik na słodycze, stojący na stole. – Skrećilem ze dwadzieścia. Myślisz, że wystarczy?

–Rany, wszystko starannie sobie obmyśliłeś – rzucił Will.

**–Jestem urodzonym organizatorem – odparł Patrick, kierując się do salonu, by rozdać skrety.
– Tak o mnie mówią.**

SIEDEM

Niemal wszyscy się upalili, z wyjątkiem Jacka, który rok temu zarządził, że zostanie abstynentem (po dwóch dekadach eksperymentów z najróżniejszymi środkami odurzającymi) i Caspera, który, skoro Jack nie palił trawy, także musiał zachować wstrzeźliwość. Pod wpływem ziała Drew nabrał ochoty na flirty, ale zdając sobie sprawę, gdzie obecnie ma największe szanse, wszedł za Willem do kuchni i obrazowo opisał mu, co zamierza zrobić, gdy wróci na Sanchez Street. Po zakończeniu imprezy okazało się, że Drew nadużył piwa i trawy i w efekcie stwierdził, że musi wrócić do domu, żeby się przespać. Will zaproponował, by pojechali do niego, ale odmówił. Oznajmił, że nie chce, by ktokolwiek, a przede wszystkim Will, widział go wymiotującego w toalecie. To prywatny rytuał, jak stwierdził. Will odwiózł go do domu, dopilnował, by bezpiecznie dotarł do mieszkania, i wrócił do siebie. Jednak gra wstępna Drew mocno go podnieciła i zastanawiał się przez chwilę, czy nie wybrać się na nocny podryw do „Penitenta”. Jednak na myśl, że musiałby się specjalnie przebierać, a pora była dość późna, odeszła mu ochota. Bardziej niż dotyku dłoni nieznanego potrzebował snu. A Drew jutro wytrzeźwieje.

Znów wydawało mu się, że się obudził, obudziły go syreny na Market albo krzyki dobiegające z ulicy. Wydawało mu się, że wszedł i zlustrował wzrokiem pokój tonący w ciemnościach, tak jak dwie noce temu. Tym razem jednak gładko przejrzał sztuczki swego uśpionego umysłu. Zwalczywszy w sobie pragnienie lunatycznego marszu do łazienki, pozostał w łóżku, czekając, aż iluzja jawy przysnie.

Po kilku minutach zaczęło go to nużyć. Stwierdził, że najwyraźniej jego podświadomość domagała się spełnienia jakiegoś rytuału i dopóki go nie zrealizuje, nie będzie mógł wyśnić czegoś spokojniejszego. Zrezygnowany, poddał się regułom gry; wstał i wyszedł na podest. Tym razem nie było cienia na ścianie, który zwabiłby go na dół, ale i tak zszedł po schodach, pokonując tę samą drogę co ostatnio, w towarzystwie Lorda Lisa, przez korytarz do archiwum. Tej nocy wszelako z rozsypanych na podłodze fotografii nie biło żadne światło. Najwyraźniej zwierzę chciało odbyć tę rozmowę po ciemku.

–Czy moglibyśmy skończyć to możliwie jak najszybciej? – zapytał Will, wstępując w półmrok.
– Muszą być lepsze sny niż...

Przystanął. Powietrze wokół niego zafalowało, wzburzone jakimś poruszeniem w pomieszczeniu. Coś sunęło w jego stronę i było znacznie większe od lisa. Zaczął się cofać, usłyszał syk, zobaczył wznoszącą się przed nim wielką bryłę szarego cielska i spiczasty łeb, z rozdziawioną paszczą sięgającą ku niemu...

Niedźwiedź! Chryste Panie! A raczej niedźwiedzica, ta sama, która go zraniła. Sunęła na niego, brocząc krwią z własnych ran, poczuł na twarzy jej cuchnący oddech.

Instynktownie zrobił to samo co wtedy: osunął się na kolana i pochylił głowę, by stać się jak najmniejszym celem. Deski z tyłu za nim zaskrzypiały pod ciężarem i impetem rozjuszonego zwierzęcia; rany Willa zapłonęły nagle żywym ogniem w hołdzie dla ich sprawczyni. Z trudem pohamował krzyk cisnący mu się na usta, choć wiedział że to wszystko było tylko kretyńskim snem, z trudem pohamował się, by nie zacząć błagać, żeby to się wreszcie skończyło, żeby dano mu w końcu spokój. Mimo to milczał, z dłońmi opartymi o podłogę, i czekał. W jakiś czas potem skrzyp uginających się desek ucichł. Will wciąż trwał w bezruchu, policzył do dziesięciu i dopiero wtedy odważył się nieznacznie odwrócić głowę. Ani śladu niedźwiedzicy. Ale po drugiej stronie pokoju, przy oknie stał jak zawsze w nonszalanckiej pozie Lord Lis.

–Zapewne można by wyciągnąć z tego całe mnóstwo nauk – powiedziało zwierzę – ale dwie są najważniejsze.

Will podniósł się powoli, podczas gdy lis wyjaśnił mu kolejną ze swych mądrości:

–A mianowicie, kiedy masz do czynienia z duchami zwierząt, a czy tego chcesz czy nie, tak właśnie jest w twoim przypadku, Willy, warto pamiętać, że wszyscy stanowimy jedną, szczęśliwą rodzinę, i skoro ja tu jestem, to zapewne nie przyszedłem w odwiedziny samotnie. To pierwsza nauka.

–A... druga?

–Okaż mi odrobinę szacunku! – warknął lis. I nagle ton jego głosu złagodniał. – Przychodzisz tu, mówiąc, że chcesz mieć to jak najszybciej za sobą. To mnie uraziło, Willy.

–Nie nazywaj mnie Willy.

–Poproś mnie, ale uprzejmie.

–Och na miłość boską. Proszę, nie mów do mnie Willy.

–Teraz lepiej.

–Muszę się czegoś napić. Całkiem zaschło mi w gardle.

–Weź sobie coś – rzekł lis. – Pójdę z tobą.

Will poszedł do kuchni, a lis podreptał za nim, polecając, by nie zapalał światła.

–Wolę półmrok – oznajmiło zwierzę. – To pozwala mi zachować ostrość zmysłów.

Will otworzył lodówkę i wyjął z niej karton mleka.

–Chcesz coś?

–Nie jestem spragniony – odparł lis. – Ale dziękuję.

–Może coś zjesz?

–Wiesz, co lubię jeść – odparł lis.

W umyśle Willa pojawił się nader wyraźny obraz Thomasa Simeona, martwego i rozciągniętego na trawie.

–Jezu – wyszeptał Will, zamykając drzwiczki lodówki.

–Daj spokój – rzucił lis – co z twoim poczuciem humoru?

Wyłonił się spośród cieni, by stanąć w słabym świetle wpływającym przez okno. Will uznał, że wygląda jeszcze bardziej złowieszczo niż podczas ich ostatniego spotkania.

–Wiesz, wydaje mi się, że powinieneś zapytać sam siebie – powiedział – z pełną powagą, czy czasem nie rozłazisz się w szwach. A jeżeli tak, jaki skutek może to wywrzeć na osoby z twojego otoczenia. Zwłaszcza na twojego nowego kochasia. Chodzi mi o to, że on nie jest za bardzo zrównoważony, prawda?

–Mówisz o Drew?

–Tak. O Drew. Nie wiem dlaczego wydawało mi się że on ma na imię Brad. Szczerze mówiąc, uważam, że powinieneś go zostawić, po prostu odejść, w przeciwnym razie pociągniesz go za sobą. I to będzie twoja wina. Chyba nie chcesz, by odpowiedzialność za to spadła na twoje barki? Zwłaszcza biorąc pod uwagę resztę tego szajsu, z którym musisz się uporać.

–Czy mógłbyś mówić nieco bardziej konkretnie?

–To nie jest jego wojna, Will. Ona jest twoja i tylko twoja. Zaciągnąłeś się na nią w dniu, kiedy pozwoliłeś, by Steep zabrał cię na tamto wzgórze.

Will odstawił karton z mlekiem i ukrył twarz w dłoniach.

–Chciałbym wiedzieć o co ci naprawdę chodzi – powiedział.

–Generalnie – zaczął lis – chcę tego, czego w głębi serca pragnie każde zwierzę – może z wyjątkiem psów – chcę, aby twój gatunek odszedł. Ku gwiazdom – o ile zdołacie tam dotrzeć. Ale, co bardziej prawdopodobne, czeka was raczej upadek i całkowite unicestwienie. Szczerze mówiąc, niewiele nas obchodzie. Chcemy tylko pozbyć się was. Jesteście dla nas jak uciążliwa pchła, którą nie sposób usunąć.

–I co potem?

–Potem? Nic – odparł lis, wzruszając ramionami. Jego głos przeszedł w tęskny szept. – Planeta wciąż będzie się kręcić, a gdy na niebie pojawi się słońce, to będzie dzień, a gdy go nie będzie, to będzie noc, a nad wszystkim zapanuje prosta błogość rzeczy.

–Prosta błogość rzeczy – powtórzył Will.

–Ładny zwrot, nieprawdaż? Chyba zaczerpnąłem go od Steepa.

–Jeśli nas zabraknie, będziesz za nimi tęsknił.

–Za słowami? Za mową? Może... przez dzień lub dwa. Ale to minie. Po tygodniu zapomnę, ile dla mnie znaczyła miła rozmowa i w moim sercu znów zapanuje radość. Znów będę taki jak tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczył mnie Steep.

–Wiem, że to tylko sen, ale, skoro już tu jesteś... co wiesz o Steepie?

–Nic, czego ty byś nie wiedział – odparł lis. – Bądź co bądź masz w sobie sporą jego część. Któregoś dnia powinieneś baczej się sobie przyjrzeć. – Lis podszedł do stołu i zniżył głos do szeptu. – Czy naprawdę uważasz, że marnowałbyś większą część przeznaczonego ci czasu na robienie zdjęć ginącym gatunkom, gdyby nie wcisnął ci do ręki tego noża? On cię ukształtował, Will. Zasiał w tobie nadzieje i rozczarowania, zasiał w tobie poczucie winy i tęsknotę.

–A także ciebie?

–Na dobre i na złe. Widzisz, ja jestem mało ważny. Jestem tylko niewinnym liskiem, który pożarł intymną część ciała Thomasa Simeona. Steep ujrzał, jak stamtąd odchodzę, i stwierdził, że jestem potworem. Nawiasem mówiąc, z jego strony było to bardzo nieuczciwe. Robiłem tylko to, co zrobiłby na moim miejscu każdy głodny lis, ujrzawszy darmowy posiłek. Nie wiedziałem, że zjadam kogoś ważnego.

–Czy Simeon był kimś ważnym?

–Dla Steepa na pewno. Jacob bardzo wziął sobie do serca to, że zżarłem tego kutasa. Pobiegł za mną, jakby chciał urwać mi łeb. Więc zacząłem uciekać, biegłem i biegłem, najszybciej jak potrafiłem...

Will nie pamiętał tego fragmentu zdarzenia, oglądanego oczyma Steepa, ale Lord Lis kontynuował swój monolog i Will nie śmiał mu przerywać.

–I wciąż mnie ściga. Nie sposób mu uciec. Powiadam ci, że jego umysł jest jak stalowe siła. Gdy mnie w nim uwięził, nie potrafiłem się już uwolnić. Nawet śmierć nie była w stanie przynieść mi ukojenia. – Zwierzę westchnęło przeciągle. – Coś ci powiem, to nic w porównaniu z obecnością w twojej głowie. To znaczy, przyznaję, że z twoją jaźnią jest coś nie tak, ale to pestka w porównaniu z jego umysłem. Słowo daję. To pestka.

Will wiedział, że rzucono mu przynętę, ale i tak dał się na nią złapać.

–Opowiedz mi o tym – poprosił.

–Jaki on jest? Cóż... jeżeli przyjąć, że moja głowa to jama w ziemi, a twoja to szalas – bez urazy, ma się rozumieć – to jego można by przyrównać do pieprzonej katedry. Rozumiesz o czym mówię – mnóstwo iglic, wieżyczek, przypór itp. Coś niesamowitego.

–To tyle, jeżeli chodzi o prostą błogość rzeczy.

–Szybko chwytasz, prawda? – pochwalił go lis. – Gdy tylko dostrzeżasz najdrobniejszą słabość w argumentach strony przeciwnej, uderzasz.

–A więc on ma umysł jak katedra?

–To za mało powiedziane. Albo może zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Jego umysł degeneruje się z roku na rok, z dnia na dzień. Staje się coraz mroczniejszy i coraz chłodniejszy. Steep nie wie jak ma zachować ciepło, nie licząc zabijania istot żywych, a i to nie przynosi już takich efektów jak kiedyś.

Palce Willa przypomniały sobie aksamitny dotyk owadzich skrzydeł i żar ognia, który wkrótce je pochłonał. Choć nie powiedział tego głośno, lis i tak go usłyszał.

–Naturalnie, znasz jego metody działania. Zupełnie o tym zapomniałem. Miałeś okazję na własne oczy ujrzeć bezmiar jego szaleństwa. To powinno uzbroić cię przeciwko niemu, a przynajmniej do pewnego stopnia ochronić przed jego wpływem.

–Co się stanie, jeśli on umrze?

–Ucieknę z jego głowy – odparł lis. – Wydostanę się stamtąd. i będę wolny.

–Czy dlatego wciąż mnie nawiedzasz?

–Ja cię nie nawiedzam. Nawiedzają duchy, a ja nie jestem duchem. Właśnie... czym jestem? Wspomnieniem, które Steep przetworzył w legendę. W mit. Zwierzęciem, które pożera ludzi. Oto czym jestem. Jako zwykły lis, byłem pospolitym zwierzęciem. Dlatego obdarzył mnie głosem. I pozwolił stanąć na tylnych łapach. Nazwał mnie Lordem Lisem. Stworzył mnie, podobnie jak ciebie – przyznał z goryczą. – Obaj jesteście jego dziećmi.

–A jeżeli pozwoli ci odejść?

–Jak już mówiłem, będę wolny.

–Ale w realnym świecie nie żyjesz już od stuleci.

–I co z tego? Kiedy żyłem, miałem liczne potomstwo. Trzy mioty, o ile dobrze pamiętam. A każde ze szczeniąt spłodziło swoje dzieci i dzieci ich dzieci także miały młode. Wciąż istnieję, w tej czy innej postaci. Nawiasem mówiąc, ty także powinieneś spłodzić potomstwo, by pozostawić po sobie jakiś ślad, nawet jeśli klóci się to z twoimi preferencjami. Bądź co bądź,

masz po temu odpowiedni sprzęt. – Spojrzał na krocze Willa. – Czymś takim można by wykarmić pięcioro szczeniąt.

–Myślę, że powinniśmy już zakończyć tę rozmowę.

–Z całą pewnością teraz czuję się znacznie lepiej – odparł lis, jakby właśnie uciął sobie szczerą pogawędkę z kumplem od serca.

Will wstał.

–Czy to znaczy, że mogę już przestać śnić? – zapytał.

–Ty nie śnisz – odrzekł lis. – Nie śpisz już co najmniej od pół godziny.

–Nieprawda – zaproponował Will.

–Niestety, prawda – mruknął lis. – Tamtej nocy, gdy byłeś ze Steepem, w twojej głowie powstał mały otwór i teraz przez tę dziurę wdziera się wiatr. Ten sam wiatr, który hula w twojej głowie, szaleje także w twoim szalasiu...

Will miał już tego dość.

–Wystarczy! – rzucił, kierując się ku drzwiom. – Nie będziesz pogrywał ze mną w mentalne gierki.

Unosząc łapy w ironicznym geście poddania, Lord Lis odstąpił na bok, pozwalając, by Will wyszedł na korytarz. Lis podążył za nim, jego pazury zgrzytały o deski podłogi.

–Och, Will – stęknął – tak dobrze było nam razem...

–Ja śnię. To tylko sen...

–Wcale nie.

–Śnię.

–Nie!

U podnóża schodów Will odwrócił się na pięcie i zawołał:

–Dobra! Nie śpię! To nie sen! Jestem szalony. Odbiło mi! Jestem kompletnie szurnięty!

–Doskonale – powiedział ze spokojem lis – nareszcie do czegoś dochodzimy.

–Chcesz, abym do walki ze Steepem stanął w kaftanie bezpieczeństwa?

–Nie. Chciałbym, żebyś odrzucił niektóre ze swoich zdroworozsądkowych poglądów.

–Na przykład?

–Chciałbym, żebyś pogodził się z myślą, że ty, William Rabjohns, i ja, na wespół mityczny lis, możemy współistnieć i współistniejemy.

–Gdybym się z tym pogodził, musiałbym pogodzić się ze swoim szaleństwem i z faktem, że naprawdę jestem obłąkany.

–No dobrze. Zacznijmy od tego. Pamiętasz te rosyjskie lalki, matrioszki?

–Nie zaczynaj znowu...

–Ależ to bardzo proste. Wszystko pasuje do wszystkiego i wszystko zawiera się we wszystkim.

–Chryste... – mruknął Will.

Zaczęła kielkować w nim myśl, że jeżeli to faktycznie był sen – a przecież musiał nim być – to może cała reszta, włącznie z jego przebudzeniem, także była snem – może on wcale się nie obudził, lecz nadal leżał pogrążony w śpiączce, na oddziale szpitala w Winnipeg. Jego ciałem wstrząsnęły dreszcze.

–Co się stało? – spytał lis.

–Zamknij się! – zawołał Will i zaczął wspinać się po schodach.

Zwierzę pospieszyło za nim.

–Bardzo zbladłeś. Źle się czujesz? Zaparz sobie miętowej herbaty. To dobrze robi na żołądek.

Czy ponownie kazał lisowi zamilknąć? Nie był pewien. Tracił kontrolę nad zmysłami. W jednej chwili osunął się na schody, a w następnej leżał rozciągnięty jak długi na podeście; jeszcze później, w łazience, rzygał jak kot, podczas gdy lis stojący z tyłu za nim radził mu, by na siebie uważał, bo jego umysł jest w bardzo delikatnym stanie (jakby o tym nie wiedział) i byle drobiazg może sprawić, że podda się obłędowi.

Następnie znalazł się pod prysznicem, dłoń, która nie wiedzieć czemu wydała mu się dziwnie obca, kurczowo chwyciła się gałki. Był słaby jak dziecko, ale w końcu pokręcił gałką i poczuł, jak jego ciało zalewa struga lodowatej wody. Przynajmniej jego zakończenia nerwowe funkcjonowały bez zarzutu, choć umysł wciąż odmawiał posłuszeństwa. Nim minęły dwa uderzenia serca, jego ciało pokryło się gęsią skórą, a skóra na czaszce zapiekła go od zimna.

Pomimo paniki, a może właśnie ze względu na nią, jego umysł stał się niewiarygodnie sprawny, serwując mu przeskoki do miejsc, gdzie czuł podobne odrętwienie i chłód. W Balthazar, ma się

rozumieć, gdy leżał ranny na lodzie i na wzgórzach nad Burnt Yarley, gdzie zagubił się podczas lodowatej ulewy. A także nad brzegiem Newy, we wnętrzu lodowego pałacu.

Chwileczkę, pomyślał. To nie moje wspomnienie.

Martwe ptaki spadające z nieba.

To fragment życia Steepa, a nie mojego.

Rzeka skuta lodem na kamień i Eropkin – nieszczęsny, zgubiony Eropkin, budujący swe monumentalne dzieło z lodu i światła...

Potrząsnął głową, aby pozbyć się natrętnych wspomnień. One jednak nie chciały odejść. Obrócony w kamień przez skutą lodem wodę, mógł jedynie stać w bezruchu i patrzeć, podczas gdy niechciane wspomnienia Steepa napłynęły do jego głowy.

OSIEM

Stał na zatłoczonej ulicy w Sankt Petersburgu i gdyby chłód nie zaparł mu tchu, niewątpliwie stałoby się to za sprawą widoku, jaki ujrzał: miał przed sobą pałac Eropkina, wznoszący się na czterdzieści stóp w górę, jego mury błyszcząły w świetle rozpalonych dookoła ognisk i pochodni. Ogniska roztaczały spory żar, ale murów pałacu nie zrosiła nawet kropla wody, gdyż ciepło płomieni nie mogło równać się z panującym mrozem.

Zlustrował wzrokiem tłum napierający na barykady, obsadzone przez bojarów, którzy powstrzymywali tłuszcę groźbami i kopniakami. Na Boga, ależ oni cuchnęli. Śmierzące ubrania narzucone na niedomyte ciała.

–Motłoch... – wycedził.

Po lewej stronie Steepa, siedząca u ojca na barana, umorusana jak nieboskie stworzenie dziewczynka z gilami pod nosem wrzeszczała na całe gardło. Po prawej, pijak z zeszywniałą od brudu brodą chwiał się na nogach, podtrzymując kobietę jeszcze bardziej pijaną od niego.

–Nie cierpię tych ludzi – rozległ się czyjś głos tuż przy jego uchu. – Wrócimy tu, jak się trochę uspokoi.

Obejrzał się na osobę mówiącą te słowa i zobaczył Rosę, jej niezwykle oblicze, zaróżowione od mrozu, było okolone futrzanym kapturem. Jakże cudnie dziś wyglądała, z refleksami tańczących płomieni odbijających się w jej oczach.

–Proszę, Jacobie – powiedziała, ciągnąc go za rękaw, jak mała dziewczynka. To w przypadku Steepa zawsze skutkowało. – Moglibyśmy postarać się dziś o dziecko, Jacobie. Naprawdę, uważam, że to mogłoby się nam udać.

Przyłgnęła do niego całym ciałem i poczuł jej oddech, z którego aromatem nie mogły się równać najlepsze francuskie perfumy. Nawet tu, w samym sercu mroźnej zimy roztaczała wokół siebie zapach wiosny.

–Przyłóż dłoń do mego brzucha, Jacobie – powiedziała, ujmując jego dłoń w swoje i przykładając do łona. – Czyż nie jest ciepłe? – Było. – Nie sądzisz, że moglibyśmy dziś stworzyć życie?

–Może – mruknął.

–Wobec tego chodźmy stąd, z dala od tych zwierząt – powiedziała. – Proszę, Jacobie. Proszę.

Musiał przyznać, że umiała być przekonująca na swój kokieteryjny sposób. A poza tym te ich zabawy.

–Zwierzęta, powiadasz.

–Nie są od nich lepsi – odparła. – A z naszej miłości powstałaby nowa rasa doskonałych ludzi, aby objąć świat w posiadanie, zgodnie z wolą Boga.

Gdy to usłyszał, nie mógł się powstrzymać przed pocałowaniem jej, choć ulice Sankt Petersburga nie były takie jak ulice Paryża czy Londynu i wszelkie okazywanie uczuć, zwłaszcza tak gwałtownych jak w ich przypadku, było niemile widziane i mogło przysporzyć im kłopotów. Nie przejął się tym, ani trochę. Była jego drugą połową, jego dopełnieniem, jego spełnieniem. Bez niej był nikim i niczym. Ujmując jej cudowną twarz w dłoń, przywarł ustami do jej warg, jej tchnienie uniosło się jak wonna mgiełka pomiędzy ich twarzami. Słowa, które poniosły się wraz z tym oddechem, zaskoczyły go, mimo że słyszał je niezliczoną ilość razy.

–Kocham cię – rzekła. – I będę kochać po kres swoich dni.

Znów ją pocałował, tym razem mocniej, widział, że przyglądają się im zazdrosne oczy, ale było mu to obojętne. Niech tłum gapi się, cmoka i kręci głowami. Przez całe nędzne życie żaden z tych ludzi nie doświadczy tego, co obecnie czuli on i Rosa – najwyższego zjednoczenia dusz.

I nagle, gdy tak się całowali, tłum z wolna zaczął się rozrzedzać, aż w końcu zniknął zupełnie. Jacob otworzył oczy. Nie stali już na ulicy przed barykadami, lecz u progu pałacu. Ulica za nimi była pusta. W czasie, którego potrzebował na zaczerpnięcie tchu, minęło pół nocy. Było już dobrze po północy.

–Nikt nas nie będzie szpiegował? – spytała Rosa.

–Opłaciłem strażników, aby opuścili swoje stanowiska i upili się do nieprzytomności – zapewnił. – Mamy cztery godziny, zanim o świcie znów się zjawią tłumy gapiów. Możemy tu zrobić co tylko zechcemy.

Zsunęła kaptur i rozczesała włosy palcami, by rozsypały się na ramiona.

–Czy jest tu sypialnia? – zapytała.

Uśmiechnął się.

–O, tak. Jest. I wielkie łóżce wykute z lodu.

–Zaprowadź mnie tam – poprosiła, ujmując go za rękę.

Weszli do pałacu, przez komnatę z misternie rzeźbionym kominkiem i eleganckimi meblami, przez salę balową z błyszczącym stalaktytem kandelabru, przez ubieralnię z olbrzymią szafą pełną płaszczy, kapeluszy i butów, a wszystko to było po mistrzowsku wyciosane z lodu.

–To niesamowite – powiedział Jacob, spoglądając w stronę frontowych drzwi i dostrzegając delikatną refrakcję światła.

Choć weszli daleko w głąb budowli, poświata z rozmieszczonych wokół niej pochodni wciąż była bardzo silna, blask przesączał się przez półprzezroczyste mury. W innych oczach widok ten mógłby wzbudzić zdumienie i podziw, ale Jacob czuł się dziwnie zmieszany, zbity z tropu. Coś w tym miejscu obudziło w nim wspomnienie, którego nie potrafił nazwać.

–Byłem już kiedyś w takim miejscu – zwrócił się do Rosy.

–W innym lodowym pałacu?

–Nie. W miejscu gdzie na zewnątrz jest równie jasno jak w środku. – Zamyśliła się na chwilę.

– Tak. Widziałam takie miejsce – stwierdziła. Odstąpiła od niego i powiodła dłonią po kryształowej ścianie. – Ale ona nie była z lodu – powiedziała. – Jestem pewna, że nie...

–W takim razie, co to mogło być?

Zmarszczyła brwi.

–Nie wiem – odparła. – Czasami, gdy próbuję przypomnieć sobie różne rzeczy, całkiem się gubię.

–Ja również.

–Dlaczego tak się dzieje?

–Może to efekt zadawania się z Rukenauem.

Na dźwięk tego nazwiska, splunęła na podłogę.

–Nawet o nim nie wspominaj – syknęła.

–Ale musi istnieć jakiś związek, kochanie – rzekł Steep. – Przysięgnęłbym, że istnieje.

–Nie życzę sobie, abyś o nim mówił Jacobie – powiedziała i ruszyła przed siebie, szeleszcząc spódnicą, przesuając się po lodowej podłodze.

Pospieszył za nią, zapewniając, że już nigdy nawet nie wspomni nazwiska Rukenaua, skoro ją to tak drażni. Była wściekła, wpadała w gniew nagle, czasami przeradzał się on w wybuchy brutalnej furii, ale on postawił sobie za cel ułagodzenie jej, zarówno dla jej równowagi, jak i dla swojej własnej. Gdy tylko doprowadził ją do łóżka, ukoił jej gniew pocałunkami, co nie było trudne, obnażył jej gorące ciało mimo panującego chłodu i lizał jej skórę, aż z ust Rosy dobył się jęk rozkoszy. Naturalnie, skarżyła się na zimno i zażądała, by kupił jej futro, żeby nie musiała trząść się na mrozie, ale to wszystko było tylko sprytną gierką. Iluzją. Słyszała, jak inne kobiety żądały podobnych rzeczy od swoich mężów, i powtarzała to samo wobec Steepa. Zupełnie jakby powinnością żony było dąsanie się, tupanie nogą i uciekanie przed nim w przyływie bardziej lub mniej uzasadnionego wybuchu złości, tak jak do niego należało gonić za

nią i usiłować ją ułagodzić, a koniec końców osiąść ją, nawet siłą, jeśli to było konieczne, dopóki nie wyzna mu, że jego jedynym błędem były błędy miłości i właśnie dlatego tak mocno go kochała. To było absurdalne puste gadanie i oboje mieli tego świadomość. Skoro jednak mieli grać role męża i żony, musieli powtarzać pokutujące wśród ludzi rytuały, tak jakby były dla nich czymś zgoła naturalnym. Po części faktycznie tak było. Na przykład to, gdy dopadł ją i przytrzymał, mówiąc, by nie zachowywała się jak cnotka, bo zerznie ją jeszcze brutalniej. Wiła się w jego ramionach, ale nie próbowała się wyrwać. Powiedziała tylko, żeby zrobił z nią co zechce. Niech pokaże na co go stać.

–Nie boję się ciebie, Jacobie Steep – powiedziała. – Ani twojego rżnięcia.

–No i dobrze – mruknął, po czym wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Łoże wyglądało jak doskonała replika prawdziwego mebla, na poduszce było widać nawet wgłębienie, jakby zaledwie przed chwilą z tego łóżka podźwignął się jakiś lodowy śpioch. Położył ją na nim delikatnie, jej włosy rozsypały się na lodowej pościeli, po czym zaczął rozpinać guziki jej sukni. Wybaczyła mu już jego wzmiankę o Rukenaule, a przynajmniej tak mu się wydawało. A może zapomniała o tym pod wpływem gorzących w niej żądz, chciała już, teraz, zaraz, znów poczuć Steepa w sobie, a pożądanie było dla niej czymś równie nagłym, jak wybuch wściekłości, i niekiedy równie brutalnym.

Obnażył jej piersi i dotknął wargami sutka, omiatając go swym gorącym oddechem. Zadrżała z rozkoszy i przycisnęła głowę Jacoba do swego ciała, a potem zaczęła go rozbierać. Był równie twardy jak łoże, na którym leżeli. Odrzucając pozory delikatności, zadarł jej spódnice, odnalazł miejsce, do którego tak boleśnie dążył jego członek, i wsunął w nią palce, szepcząc jej do ucha komplementy, zgodnie z którymi była najlepszą dziwką w całym Chrześcijańskim Świecie i zasługiwała, by tak ją właśnie potraktowano. Chwyciła jego twarz w dłonie i rozkazała, by obszedł się z nią najbrutalniej jak potrafił, na co wysunął z niej palce i wprowadził w nią swoją męskość, zrobił to tak gwałtownie, że okrzyk skargi, jaki dobył się z ust Rosy, rozbrzmiał gromkim echem wśród lodowych ścian.

Nie spieszył się, tak jak tego sobie życzyła, zmierzając do szczytu powoli, wysuwał się z niej i wchodził, napierając całym ciężarem ciała. Brał ją zdecydowanie i brutalnie, a kiedy jej okrzyki rozkoszy powróciły doń, odbite echem od sufitu i ścian, znów poczuł to dziwne doznanie, którego doświadczył w korytarzu – że był już kiedyś w miejscu, w porównaniu z którym ten pałac pomimo swego niezwykłego uroku i splendoru w żaden sposób nie mógł się równać.

–Ta jasność – rzekł, widząc tę światłość w głowie.

–O czym ty mówisz? – szeptała Rosa. – Jaka jasność?

–Im głębiej wchodzimy – powiedział – tym bardziej przybiera na sile...

–Spójrz na mnie! – rozkazała. – Jacobie! Spójrz na mnie!

Dźgał ją mechanicznie. Raz za razem, jego pożądanie nie miało już na celu zapewnienia rozkoszy jemu lub jej, lecz podsyćcenie wizji. Im głębiej w nią wchodził, tym jasność stawała się silniejsza i mogło się wydawać, że w momencie ejakulacji przeniesie się w samo serce tego niezwyklego, chwalebego fenomenu. Kobieta wiała się pod nim, ale nie zwracał na nią uwagi; napierał raz po raz, a jasność pod jego czaszką narastała, wraz z nią zaś narastała nadzieja, że rozpozna to miejsce i stopniowo, krok po kroku, nada mu imię, a następnie zdoła je zrozumieć. Ta chwila była już bliska; znajdował się o krok od zidentyfikowania tajemnicy. Jeszcze kilka sekund, kilka głębokich pchnięć w pustkę jej ciała i dozna objawienia.

I wtedy zaczęła spychać go z siebie, napierając z całej siły. Trzymał ją mocno, nie chcąc, by w ten sposób pozbawiono go wizji, ona jednak nie zamierzała mu ulec. Pomimo łez i jęków zawsze tylko udawała uległość, tak jak odgrywała rolę zagubionej dziewczyny lub spragnionej żony, a teraz, gdy chciała się od niego uwolnić, musiała jedynie użyć swej, skądinąd niepośledniej siły. Niemal od niechcenia wypchnęła Jacoba ze swego wnętrza i zrzuciła go z siebie, tak że przetoczył się po lodowym łożu. Zamiast ejakulować i doznać niezapomnianego w swej wspaniałości objawienia, wystrzelił, żałościwie, na lód, zbyt zdezorientowany wybuchem przemocy z jej strony, by w pełni doświadczyć wizji, która go nawiedziła.

–Znów myślałeś o Rukenaule! – wrzasnęła, ześlizgując się z łoża, i zasłaniając piersi. – Przecież cię ostrzegałam, prawda? Ostrzegałam, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

Jacob zamknął oczy w nadziei, że dostrzeże to co mu umknęło. Był tak blisko, tak bardzo blisko. Ale wizja prysła, zgasła jak dogasający na niebie fajerwerk.

Ciemność, szum wody ściekającej po jego ciele. Otworzył oczy i stwierdził, że kuli się pod prysznicem, a strugi lodowatej wody wciąż rozbryzgują się o jego czaszkę.

–Chryste – wymamrotał, sięgając ręką i zakręcając kurek.

W chwilę potem rozciągnął się na mokrej podłodze, kompletnie wyczerpany i zziębnięty. Co się z nim działo, u licha? Najpierw sny w snach. Teraz wizje w wizjach? Albo niebawem dozna największego z możliwych załamań nerwowych, co w najlepszym razie było niezbyt zachęcającą perspektywą, albo... Właśnie? Co stanowiło potencjalną alternatywę? Czy możliwe, że to zwierzę, czymkolwiek było, symptomem czy duchem, chciało przekazać mu swoistą metafizyczną prawdę i wszystko, co zawierało się w jego głowie, było niczym rosyjska lalka matryoszka, zamknięte w sobie nawzajem? A może raczej zawartość jego umysłu, a w tym także wspomnień Steepa i lisa z okrwawionym pyszczkiem, paradoksalnie zostały otoczone fragmentami tej zawartości; czy to możliwe, że Steep zindoktrynował go poprzez swoją własną mitologię, w której podniósł tego samego lisa z okrwawionym pyskiem do rangi Lorda?

–W porządku – rzekł do zwierzęcia, zbyt wyczerpany, by dłużej się z nim spierać. – Przyjmijmy, że dla świętego spokoju zgodzę się z tobą i ze wszystkim o czym mi mówisz. Czy

to oznacza, że nie będę już musiał myśleć o pieprzeniu się z Rosą? Bo, wybaczyć, ale nie jest to dla mnie wymarzony sposób na spędzenie upojonej, sobotniej nocy. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Lis nie odpowiedział.

Podźwignął się na nogi, sięgnął po ręcznik, by owinąć nim drżące ciało, i chwiejnym krokiem wyszedł na podest. Nie było na nim żywego ducha. Zszedł na dół. W archiwum, ciemni i kuchni także nikogo nie było. Lis zniknął.

Usiadł przy kuchennym stole, na którym wciąż stał otwarty karton mleka, i nagle, ni stąd, ni zowąd, wybuchnął śmiechem. Cóż za absurdalna sytuacja: spędzał noce na dysputach metafizycznych z lisem, którego jedynym celem, jak się zdawało, było otwarcie umysłu Willa na aspekty jego własnej rzeczywistości. Cóż, to mu się udało. Czy śnił, czy też był śniony; czy Steep był w jego głowie, czy na odwrót; czy lis był mitem, żartem, czy zapchlonym dowodem jego szaleństwa, wszystko to stanowiło elementy podróży, w którą, chcąc nie chcąc, musiał się udać. Pocieszało go, że miał tego świadomość i akceptował to, rzecz jasna, na swój sposób. W swoim życiu odwiedził tak wiele niezwykłych miejsc, że te podróże w końcu całkiem zabiły w nim wiarę. Może jednak musiał je odbyć, aby móc teraz w ten osobliwy sposób wrócić do domu i wybrać się na kolejną wyprawę, w którą nie mógł wyruszyć, dopóki wszystkie inne oglądane przez niego miejsca nie przyprawiły go o rozpacz i zwątpienie.

Opróżnił karton mleka i – wciąż uśmiechając się na myśl o absurdalności i prostocie sytuacji, w jakiej się znalazł – wrócił do łóżka. Miękką pościel, po lodowatym zimnie łoża w pałacu Eropkina, wydawała mu się istnym luksusem. Will przykrył się kocem po samą szyję, po chwili zapadł w głęboki, kojący sen.

DZIEWIĘĆ

Z werandy rezydencji należącej do portugalskiego dowódcy w Suhar, w Omanie, Jacob miał wspaniały widok, poprzez zatokę na Jask i wzdłuż wybrzeża na cieśninę Ormuz. Upłynęło wiele stuleci, odkąd okupanci opuścili ten kraj, i skromna rezydencja popadła przez ten czas w ruinę. Mimo to on i Rosa czuli się w niej wyśmienicie przez ostatnie dwadzieścia dwa lata. Choć od czasów imperialnych miasto także mocno podupadło, słynęło ono z pewnej osobliwości – zamieszkującej je grupy transwestytów znanych w okolicy jako Xanici, którzy rzekomo mieli być opętani przez pomniejsze żeńskie bóstwa. Jak zawsze, Rosa najlepiej czuła się w obecności mężczyzn udających, że należą do jej płci, i gdy tylko usłyszała o tej niezwyklej grupie, zażądała, by Steep towarzyszył jej w poszukiwaniach, gdyż, jak sama stwierdziła, należało się to jej za dokonane ostatnio w jego imieniu liczne morderstwa. Miał sporo pracy przy swoich dziennikach, nadając ostateczną formę notatkom sporządzonym na miejscu zabójstw, ale zgodził się pójść z nią, zaznaczając przy tym, że kiedy wznowi przerwana pracę, zajmie się nią na dobre, ruszy pełną parą i, co za tym idzie, będzie oczekiwał pełnego poparcia i pomocy z jej strony. Ostatnio sprawy, jak dla niego, układały się pomyślnie. Kilkanaście niemal pewnych egzekucji w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy, co prawda osiem spośród ostatecznie zlikwidowanych przez niego gatunków stanowiły południowoamerykańskie owady, ale tak czy owak Steep skutecznie kontynuował swoje dzieło. Każdy z tych zabitych owadów trafił za jego sprawą do legendy. To jego ręka je unicestwiła.

Dziś wszelako te sukcesy wydały mu się nader odległe. Ani razu nie tknął atramentu i pióra, ponieważ za bardzo trzęsły mu się ręce. Tego dnia nie mógł myśleć o niczym innym prócz Willa Rabjohnsa.

–Skąd u ciebie ta obsesja na jego punkcie? – dopytywała się Rosa, gdy ujrzała Jacoba, siedzącego w posępnym nastroju na werandzie.

–Wprost przeciwnie – odparł – od bardzo dawna w ogóle o nim nie myślałem. – Ale najwyraźniej on wciąż myśli o mnie.

–Wydawało mi się, że czytałam gdzieś, że został zamordowany? – wtrąciła, zabierając z jego nietkniętego talerza kawałek mandarynki i żując gorzką pestkę.

–Nie. Nie został zamordowany, ale zaatakowany. Przez niedźwiedzia.

–Ach, tak, racja – przyznała. – Fotografuje martwe zwierzęta. Miałeś jego album. Cisnęła przeżutą pestkę precz i wybrała nową. – Śmiem twierdzić, że robi to pod twoim wpływem.

–Na pewno – rzekł Jacob. Najwyraźniej ta myśl go nie zachwyciła. – Kłopot w tym, że ten wpływ działa w obydwie strony.

–Och, zamierzasz zostać fotografem?

Rosa zachichotała. Jacob spojrział na nią w taki sposób, że pestka, którą żuła, wydała się jej nagle słodka.

–Nie chcę go w moich myślach – mruknął. – A on tam jest. Możesz mi wierzyć.

–Wierzę – zapewniła. I po krótkiej przerwie dodała: – Czy możesz mi powiedzieć, jak się tam znalazł?

–O pewnych rzeczach między nim a mną nigdy ci nie mówiłem – odparł Steep.

–Masz na myśli tamtą noc, na wzgórzu – stwierdziła beznamytnie.

–Tak.

–Co mu zrobiłeś?

–Raczej, co on zrobił mnie.

–No, co? Powiedz mi.

–On ma zdolności paranormalne, Roso. Jest jasnowidzem. Zajrzał w głąb mnie. Głębiej, niż ja sam kiedykolwiek odważyłem się zapuścić. Zabrał mnie do Thomasa...

–O, Boże – jęknęła Rosa.

–Nie patrz tak na mnie! I nie wywracaj oczami!

–No dobrze, już dobrze, uspokój się. Uporamy się z tym dzieciakiem. To nie powinno być trudne.

–On już nie jest dzieckiem.

–Z mojego punktu widzenia jest zaledwie niemowlęciem – rzekła Rosa uspokajającym tonem.

Podeszła do fotela Jacoba, delikatnie rozchyliła mu kolana i przykucnęła między nimi, wpatrując się weń pożądliwie.

–Czasami pozwalasz, by sprawy wymknęły się spod kontroli – powiedziała. – A więc on miesza ci w głowie...

–Sankt Petersburg – rzekł Jacob. – Wspominał Sankt Petersburg. I nasz pobyt w pałacu. To było coś więcej aniżeli tylko wspomnienia. Zupełnie jakby szukał we mnie jakiejś słabości.

–Nie przypominam sobie, byś tamtej nocy choć przez chwilę okazywał jakąkolwiek słabość – odrzekła Rosa śpiewnym tonem.

Jacob nie dał się ułagodzić tym pochlebstwem.

–Nie chcę, żeby dłużej tak mnie sondował – poskarżył się.

–Wobec tego zabijemy go – odparła Rosa. – Czy wiesz, gdzie on jest teraz?

Jacob pokręcił głową, na jego twarzy malował się dziwny, niemal zabobonny wyraz.

–Na miły Bóg, znalezienie go nie powinno być trudne. Uważam, że powinniśmy wrócić do Anglii i rozpocząć poszukiwania tam, gdzie spotkaliśmy go po raz pierwszy. Jak nazywała się ta zapadła dziura?

–Burnt Yarley.

–Ach, tak. Oczywiście. To właśnie tam Bartholomeus wybudował ten kretyński Sąd.

–Wbiła wzrok w przestrzeń, oczy miała dziwnie przeszkłone. – Ten jego orli nos. O mój Boże.

–Był naprawdę groteskowy – rzekł Jacob.

–Ale on tak kochał wszystko co żyje. Uwielbiał zwierzęta i był taki czuły jak ten chłopiec.

–Will Rabjohns nie wie co to czułość – wymamrotał Steep.

–Naprawdę? A co ze zdjęciami w jego albumie?

–To nie czułość, to poczucie winy. A także umiłowanie okropieństwa. Ten mężczyzna ma serce z kamienia. A ja chcę, by ono przestało bić.

–Zajmę się tym – rzekła Rosa. – Z przyjemnością.

–Nie. To moje zadanie.

–Cokolwiek zechcesz, ukochany. Zróbmy to co trzeba i zapomnijmy o tym. Kiedy umrze i odejdzie na zawsze, będziesz mógł umieścić jego imię na kartach któregoś ze swoich dzienników. – Sięgnęła po ostatni i przekartkowawszy odnalazła wolną stronę. – O, choćby tutaj – powiedziała – Will Rabjohns. Wymarły gatunek.

–Wymarły gatunek – wymamrotał Steep. – Tak. – Uśmiechnął się. – Wymarły gatunek, wymarły gatunek, wymarły gatunek.

To brzmiało jak mantra; pustka, w której znikają myśli, do której odchodzi życie.

–Lepiej pójdę się pożegnać – powiedziała Rosa i zostawiła go samego na werandzie. Zamierzała spędzić ostatnią godzinę w towarzystwie Xanitów.

Wróciła do rezydencji, spodziewając się zastać Jacoba w fotelu, pogrążonego w chmurnym zamyśleniu. Tak jednak nie było. Pod jej nieobecność Steep nie tylko spakował wszystkie ich rzeczy, ale zajął się też innymi, równie ważnymi sprawami – przed główną bramą stał już samochód, który miał dowieźć ich wzdłuż wybrzeża do Masquat, a tym samym pozwoli im pokonać pierwszy etap powrotnej podróży do Burnt Yarley.

DZIESIĘĆ

1

Will spał jak zabity do dziewiątej rano, a kiedy się obudził, od razu był rześki i ożywiony. Wstał i przez chwilę zastanawiał się, czy powinien wziąć prysznic. Ostatecznie wszedł do kabiny i odkręciwszy zimną wodę, stał przez kilka chwil w jej lodowatych strugach. Nie miał nowych wizji i po niemal minucie tych masochistycznych doznań odkręcił ciepłą wodę i wyszorował się do czysta.

Wytarty i ubrany, sącząc drugą filiżankę kawy, zadzwonił do Adrianny. Odebrał Glenn. Mówił przez nos.

–Przypętała mi się jakaś alergia – rzucił gwoili wyjaśnienia. – Wciąż cieknie mi z nosa. Chcesz pogadać z Adrianną?

–Mogę?

–Nie, bo akurat jej nie zastałeś. Wyszła w sprawie pracy.

–Dokąd?

–Do wydziału planowania miasta. Spotkałem tę kobietę na imprezie u Patricka; szukała pracowniczki, więc Adrianna poszła, by z nią porozmawiać.

–W takim razie zadzwonię później – mruknął Will. – Uważaj na tę alergię.

Następnie zatelefonował do Patricka, którego pierwsze pytanie brzmiało:

–Jak się czujesz dziś rano?

–Całkiem nieźle, dziękuję.

–Zero wyrzutów sumienia, co? Cholera. Tego się obawiałem. Kompletna klapa.

Dobre parę minut zajęło Willowi przekonanie go, że impreza wcale nie była nieudana tylko dlatego, że nikt się podczas niej nie zakochał ani nie wyskoczył przez okno. Patrick z pewnym wahaniem skonstatował, że może po prostu tego ranka dopadła go chandra, był w nostalgicznym nastroju, gdy tak siedział wśród całego tego pobojuwiska, ale w dawnych dobrych czasach imprezy nie uważano za udaną, o ile ktoś nie rznął się na całego w wannie, śpiewając na oczach gości arię z Aidy.

–Chyba tę imprezę sobie odpuściłem – powiedział Will.

Patrick zapewnił go, że nie, obaj na niej byli, ale Willowi szwankowała pamięć, odkąd zagotował mu się mózg, sprażony słońcem po wielogodzinnym wyczekiwaniu na dogodną okazję pstryknięcia fotki rodzinie wodnych bawołów.

–Wracając do... – zaczął Will.

–Chcesz, żebym podał ci adres Bethlynn – wtrącił Patrick.

–Tak. Bardzo proszę.

–Mieszka w Berkeley, przy Spice Street.

Will zapisał adres i raz jeszcze został ostrzeżony, by nie dzwonił do niej, gdyż bez wątpienia natychmiast odłoży słuchawkę.

–Ona nie znosi wokół siebie złej aury – wyjaśnił Patrick.

–A ja ją roztaczam?

–Cóż, kochany, spójrzmy prawdzie w oczy, patrząc na zdjęcia w twoich albumach, nikt nie zachwyci się pięknem planety, na której żyjemy. Będę wobec ciebie szczery Will – i nie wkurzaj się na mnie – ale Bethlynn tylko raz rzuciła okiem na jeden z twoich albumów i kazała mi natychmiast wynieść je z mieszkania.

–Co takiego?

–No, mówiłem ci, nie złość się. To jej sposób myślenia. Postrzegać wszystko na zasadzie dobrych i złych wibracji.

–A więc jednak mieliście na Castro palenie książek.

–Nie, Will...

–Co jeszcze poszło z dymem? Nagi Lunch? Król Lir? Ten „Lir” emanuje złą energią, trzeba go sfajczyć!

–Zamknij się, Will – rzucił półgłosem Patrick. – Nie powiedziałem, że się z nią zgadzam, tłumaczę ci tylko jej sposób rozumowania. I jeśli naprawdę chcesz się z nią pogodzić, będziesz musiał wziąć pod uwagę, to co ci mówię.

–No dobra – rzekł Will i nieco się uspokoił. – Postaram się być miły, o ile to będzie możliwe. Może obiecuję jej, że zrobię album ze zdjęciami samych słoneczników, aby zrównoważyć całą tę złą aurę. Wielkie, żółte słoneczniki na każdej stronie, a u dołu pod zdjęciami cytaty z Bhagawad-gity.

–Nie zaszkodziłoby – wtrącił Patrick. – W naszych czasach ludziom przydałaby się odrobina

światłości w życiu.

Ale w moich zdjęciach jest światłość, pomyślał Will, przypominając sobie, jak migotały pod łapami lisa, ślepia ściganych i kości, jakie po nich pozostały, zdawały się lśnić własnym, wewnętrznym blaskiem. To światło było bardzo silne. Tyle tylko że Bethlynn raczej nie chodziło o tego rodzaju oświecenie.

Później, gdy taksówka przewiozła go przez most, obejrzał się na wzgórza tonące wśród mgieł i promieni słońca i po raz pierwszy od wielu lat pomyślał, jak wspaniałym miastem jest San Francisco, jak cudownie jest tu mieszkać, to jedno z niewielu miejsc na ziemi, gdzie eksperyment ludzki jest prowadzony w atmosferze żarliwej namiętności, z zachowaniem wszelkich obowiązujących praw.

–Pan w odwiedzinach? – spytał kierowca.

–Nie. Czemu pan pyta?

–Bo ogląda się pan za siebie, jakby nigdy wcześniej nie widział tego miasta.

–Po prostu tak właśnie dziś się czuję – odparł Will, deprymując kierowcę do tego stopnia, że do końca kursu nie odezwał się ani słowem.

Niezależnie jak mogło to zabrzmieć, Will mówił szczerze. Miał wrażenie, jakby od lat nie postrzegał wszystkiego, co go otaczało, równie wyraziście, i to zarówno w przenośni, jak i dosłownie. Nie tylko krajobraz wokół wydawał mu się krystalicznie czysty, Will rozkoszował się także szczegółami, na które wcześniej nie zwracał uwagi. Gdziekolwiek spojrzał, dostrzegał subtelne niuanse barw i odcieni, które go urzekały. Widział je w cedrach, witrynach sklepowych i popękanych skórzanych obiciach foteli na wprost niego. Na ulicy przez mgnienie oka oglądał twarze, których nie miał ujrzeć już nigdy więcej, a każda z nich jawiła mu się w całej swej nieopisanej wspaniałości. Nie wiedział, skąd wzięła się w nim ta nieznaną dotąd ostrość widzenia, ale miał wrażenie, jakby przez większość swego życia patrzył na świat przez zabrudzone soczewki i przywykł do tego brudu na tyle, że teraz, gdy szkła w cudowny sposób zostały oczyszczone, doznał prawdziwego objawienia. Czy to właśnie miał na myśli lis, mówiąc o prostej błogości rzeczy?

Postanowił wysiąść z taksówki o dwie przecznice od domu Bethlynn po części dlatego, że przed spotkaniem z nią chciał jeszcze trochę porozkoszować się tym osobliwym doznaniem, po części zaś dlatego, że w myślach przygotowywał mowę pojednawczą. Tę drugą czynność przerwał jednak, gdy tylko zaczął maszerować chodnikiem. Ciasne wnętrze taksówki stanowiło ograniczenie dla jego złaknionych nowych obrazów oczu. Teraz, gdy znalazł się sam jeden na pustej ulicy, odniósł wrażenie, że cały otaczający go świat stara się możliwie jak najszybciej ujawnić przed nim wszystkie swe wspaniałości. Wiatr rozwiewał na strzępy białe, kłębiaste chmury wiszące na niebie, oblażące z farby deski niszczonego domu po drugiej stronie ulicy ukazywały mu się w całej swojej krasie. Stada gołębi wyjadających okruchy z porzuconego, niedojedzonego pączka odgrywało niezwykle taniec, to wzbijając się w powietrze, to lądując na chodniku, aż w końcu z głośnym trzepotem ptaki raz jeszcze poderwały się w górę i odleciały.

Nie spodziewał się, że w takim stanie przyjdzie mu spotkać się z Bethlynn, ale dopóki nie pojmie mylnie uśmiešku, którego nie potrafił zmazać ze swoich ust, może nie będzie to aż

takie straszne. Jeżeli faktycznie była osobą wrażliwą, jak twierdził Patrick, powinna wyczuć, że jego euforia nie jest udawana. Skupił całą uwagę na prostej czynności przebycia dwóch przecznic dzielących go od jej domu, stwierdził jednak, że jest to trudniejsze, niż przypuszczał. Gdziekolwiek skierował wzrok, pojawiały się obrazy, które pragnął kontemplować możliwie najdłużej. Widoki pochłaniały go bez reszty. Dach, mur, odbicie w szybie. Każda z tych rzeczy zdawała się domagać od niego, by przystanął i poświęcił jej choć chwilę uwagi. Ile dni, tygodni, miesięcy swego życia czekał w błotnistej jamie, lub na drzewie, gdzieś na innym kontynencie, w nadziei że ujrzy to, co pragnął zarejestrować na kliszy fotograficznej, i jakże często opuszczał miejsce swego czuwania, nie zaspokoiwszy trawiących go pragnień? Podczas gdy tu, na tej ulicy, zaledwie dziesięć mil od miejsca, gdzie mieszkał, jego oczom jawiły się niezliczone wspaniałości? Gdyby tak wykorzystał ten czas na nauczenie swego aparatu, by postrzegał to samo, co on widział swoimi oczami, w taki sposób, w jaki oglądał to teraz – wystarczyłoby, żeby obiektyw aparatu posiadał choć maleńką cząstkę jego daru; czy udałoby mu się dotrzeć do serc i dusz ludzi, tych wszystkich którzy zobaczyliby choć jedno jego zdjęcie? Czy nie przysłużyłby się w ten sposób dobrej sprawie? Czy ludzie nie zdziwiliby się na widok jego dzieł i nie zaczęliby pytać, czy tak wygląda świat? A uświadamiając sobie, że tak, czy nie staliby się jego żarliwymi obrońcami?

O Boże, dlaczego lis nie otworzył jego głowy przed piętnastu laty, aby cały ten czas nie musiał pójść na marne?

Przebycie dwóch przecznic zajęło mu dwie godziny. Dopiero po tym czasie dotarł do niezbyt imponującego domu Bethlynn, ale gdy stanął na ganku bungalowu, znów sprawiał wrażenie w pełni opanowanego, przestał uśmiechać się jak głupi do sera i był gotów odegrać rolę skruszonego grzesznika. Bethlynn dopiero po dłuższej chwili odpowiedziała na jego pukanie – wykorzystał ten czas na kontemplowanie skomplikowanego układu pęknięć na stopniach ganku, a kiedy w końcu otworzyła drzwi, uniósł wzrok i spojrzał na nią, z kretyńskim uśmiechem na ustach.

–Czego pan chce?

Odpowiedział zdawkowo:

–Przyszedłem, żeby panią przeprosić.

–Naprawdę? – spytała z niedowierzaniem.

–Ja... ee... tego... oglądałem pęknięcia na stopniach – powiedział, usiłując wyjaśnić przyczynę uśmiechu malującego się na jego twarzy.

Spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem.

–Dobrze się pan czuje? – spytała.

–Tak... i... nie... – odparł.

Wciąż przyglądała mu się z drwiącym wyrazem twarzy, którego nie potrafił zinterpretować. Najwyraźniej coś w nim wyczuwała, i nie chodziło jedynie o miętowy zapach pasty do zębów, jakiej użył dziś rano. Cokolwiek to było, aura, wibracja, emanacja, najwyraźniej Bethlynn postanowiła zaufać swoim odczuciom, ponieważ w pewnej chwili rzekła:

–Możemy porozmawiać w środku.

Odsuwając się od drzwi, wpuściła go do mieszkania.

JEDENAŚCIE

Wnętrze nie wyglądało tak, jak się tego spodziewał. Nie było tu map astrologicznych, kadzidełek, ani leczniczych kryształów na biurku. Duży pokój, do którego go wprowadziła, był urządzony skromnie lecz z gustem, ściany miały mdły beżowy kolor, na jednej z nich wisiała rodzinna fotografia. Dekoracji dopełniał wazon z kameliami na parapecie. Okno było lekko uchylone i podmuchy powietrza niosły ze sobą delikatny aromat kwiatów.

–Proszę usiąść – powiedziała. – Napije się pan czegoś?

–Wody, jeśli można prosić. Dziękuję.

Wyszła, zostawiając go sadowiącego się wygodnie na sofie. Ledwie usiadł, a na podłokietnik wskoczył wielki, bury kocur – zwinność zwierzęcia kontrastowała z jego tuszą – po czym, mrużąc przyjaźnie, ruszył w stronę Willa miękkiem, zalotnym krokiem.

–Boże, ale z ciebie pieszczoch – rzekł Will.

Kot przechylił łebek i zaczął łąsić się do niego.

–Dżyngis, nie bądź natrętny – rzuciła Bethlynn, wracając ze szklanką wody.

–Dżyngis? Jak Dżyngis Chan?

Bethlynn pokiwała głową.

–Bicz Boży. Plaga Chrześcijańskiego Świata. – Postawiła szklankę Willa na stole i napiła się odrobinę ze swojej. – Poganin do szpiku kości.

–Kot czy Chan?

–Jeden i drugi – odrzekła Bethlynn. – Proszę sobie nie pochlebiać. On lubi wszystkich.

–To dobrze – mruknął Will. – Proszę posłuchać, jeśli chodzi o imprezę Pata, to była moja wina. Byłem w nastroju do kłótni. Naprawdę jest mi przykro. Przepraszam.

–Jedne przeprosiny w zupełności wystarczą – rzekła Bethlynn ciepłym tonem. – Wszyscy popełniamy błędy. Tak bywa, gdy oceniamy ludzi po pozorach. I po pierwszym wrażeniu jakie na nas wywierają. Ze mną było podobnie, jeżeli chodzi o pana. Mogę przyznać, że moje zdanie na pański temat także nie było zbyt pochlebne.

–Ze względu na moje zdjęcia?

–I pewne artykuły, które miałam okazję przeczytać. Może źle pana oceniłam, ale wydał mi się pan niemal zawodowym pesymistą.

–To nie było mylne spostrzeżenie, a jedynie... konsekwencja tego co miałem okazję widzieć.

Mimo że bardzo się starał, poczuł, że na jego twarz powraca ten sam kretyński uśmieszek. Nawet tu, w tym spartańsko urządzonym pokoju to, co widział, stawało się dziś istnym objawieniem. Światło słoneczne na ścianie, kwiaty na parapecie, kot na podółku, wszystko to lśniło, falowało i skrzyło się kolorami. Z trudem hamował się, by nie zacząć bełkotać jak dziecko o tym, co ukazywało się jego oczom.

–Zapewne uważa pan związek, który łączy mnie i Patricka, za głupi i sentymentalny – ciągnęła Bethlynn – ale dla mnie leczenie to prawdziwe powołanie. Nie ma to nic wspólnego z pracą czy pieniędzmi. Robię to, co robię, ponieważ pragnę pomagać ludziom.

–Uważa pani, że można go uzdrowić?

–Nie w sensie medycznym. Ma wirusa. Nie mogę sprawić, by ten wirus nagle zniknął. Mogę jednak pomóc mu odnaleźć prawdziwego, zdrowego Patricka. Takiego Patricka, który nigdy nie podda się chorobie, ponieważ jest ponad to.

–Cząstkę Boga?

–Jeżeli właśnie tego słowa pragnie pan użyć – rzekła Bethlynn. – Dla mnie to trochę trąci Starym Testamentem.

–Ale ma pan na myśli Boga?

–Tak. Mam na myśli Boga.

–Czy Patrick wie, co się dzieje? Albo czy uważa, że wyzdrowieje?

–Nie musi pan mnie o to pytać – odparła Bethlynn. – Zna pan go znacznie lepiej niż ja. To bardzo inteligentny człowiek. Tylko dlatego, że jest chory, nie oznacza to, że będzie okłamywał samego siebie.

–Z całym szacunkiem – wtrącił Will – ale nie o to pytam.

–Jeżeli pyta pan, czy go okłamuję, odpowiedź brzmi: nie. Nigdy nie zapewniałam go, że z tego wyjdzie, że przeżyje. Ale może odnaleźć dzięki temu siebie. Stać się pełniejszy.

–Co chce pani przez to powiedzieć?

–To, że jeśli uda mu się odnaleźć w wieczności siebie, nie będzie już bać się śmierci. Zacznie postrzegać siebie takim jakim jest. I tym kim jest. Cząstką pewnego procesu. Ani mniej ani więcej.

–Skoro to tylko cząstka pewnego procesu, to jakie ma znaczenie, czy Pat oglądał moje zdjęcia, czy nie?

–Zastanawiałam się, kiedy do tego dojdziemy – rzekła Bethlynn, sadowiac się w fotelu. – Po prostu... nie uważam, by miały one na niego pozytywny wpływ... to wszystko. Obecnie jest bardzo wyczulony, wyjątkowo podatny na dobre i złe wpływy. Twoje fotografie mają niezwykłą moc, Will, to nie ulega wątpliwości. Gdy ujrzałam je po raz pierwszy, poczułam się jak urzeczona, nieomal mnie zahipnotyzowały, są doprawdy niezwykle. Posunęłabym się jeszcze dalej i powiedziała, że stanowią pewną szczególną odmianę magii.

–To tylko fotografie zwierząt – zaproponował Will.

–Są czymś więcej. Dużo więcej. A także – wybacz jeśli to, co powiem, cię urazi – są czymś o wiele mniej.

Innego dnia, będąc w innym nastroju, Will obruszyłby się i próbował bronić swojej twórczości. Teraz jednak tylko słuchał w ciszy i pokorze.

–Zgadza się pan ze mną?

–Nie, jeżeli chodzi o magię.

–Mówiąc o magii, nie mam na myśli czegoś, o czym czyta się w bajkach. Chodzi mi o sposób powodowania zmian w świecie. Temu ma właśnie służyć twoja sztuka, nieprawdaż? To próba – choć muszę przyznać, że idąca w niewłaściwym kierunku – wywołania takich właśnie, głębokich przemian. Możesz powiedzieć, że cała sztuka jest podporządkowana temu celowi, i być może to prawda, ale ty znasz moce, z którymi igrają twoje dzieła. Chodzi o coś więcej aniżeli o sfotografowanie mostu Golden Gate. Innymi słowy, uważam, że masz w sobie instynkt szamana. Pragniesz być posłańcem, kanałem, za pośrednictwem którego pewne wizje, niedostępne dla przeciętnych ludzi, wizje pochodzące być może od samego Boga, a może od jakichś innych demonicznych istot, są przekazywane do reszty plemienia. Czy rozumiesz, o co mi chodzi, czy po prostu siedzisz tu i uważasz, że za dużo gadam?

–W ogóle o tym nie myślę – odparł Will.

–Czy ktoś inny rozmawiał kiedyś z tobą na ten temat?

–Jedna osoba. Kiedy byłem dzieckiem. Ten mężczyzna...

–Nie – ucięła Bethlynn, unosząc obie ręce przed sobą, jakby nie chciała tego usłyszeć. – Wolalabym, żebyś mi o tym nie opowiadał.

–Dlaczego?

Wstała, podeszła do okna i delikatnie oderwała z kamelii uschnięty listek.

–Im mniej wiem o tym, co tobą powoduje, tym lepiej dla wszystkich – odparła. W jej głosie zabrzmiała nuta sztucznego spokoju. – Dość mam moich własnych cieni, nie potrzebuję

dodatkowo twoich. Te rzeczy się przenoszą, Will. Są jak wirusy.

Niezbyt miła analogia.

–Czy jest aż tak źle? – spytał Will.

–Wydaje mi się, że znalazłeś się w niezwykłym miejscu. Gdy na ciebie patrzę, widzę mężczyznę zdolnego czynić wielkie dobro albo... – Wzruszyła ramionami. – Może niepotrzebnie wszystko upraszczam – mruknęła. – Być może wcale mi nie chodzi o dobro i zło. – Spojrzała na niego, jej oblicze przypominało beznamiętną maskę, jakby nie chciała ukazać mu swoich odczuć. – Jesteś kłębkiem sprzeczności, Will. Tak bywa z większością gejów. Pragną czegoś innego niż to, czego ich nauczono, by pragnęli, i to w pewien sposób – jakby to powiedzieć – mąci ich umysły. – Znów spojrzała na Willa, jej oblicze pozostawało nieprzeniknione. – Ale w twoim przypadku chodzi o coś więcej – dodała. – Prawdę mówiąc, nie potrafię stwierdzić, co widzę, gdy na ciebie patrzę, i to mnie niepokoi. Mógłbyś zostać świętym, Will, choć w gruncie rzeczy wątpię, by do tego doszło. Cokolwiek w tobie siedzi... powiem szczerze, to co w tobie siedzi naprawdę mnie przeraża.

–Może na tym powinniśmy zakończyć tę rozmowę – rzekł Will, strącając Dżyngisa na podłogę i wstając – nim zaczniesz pani poddawać mnie egzorcyzmom.

Zaśmiała się cichutko, choć bez większego przekonania.

–Miło było z tobą porozmawiać – stwierdziła, choć tak formalnym tonem, iż nie ulegało wątpliwości, że Will nie może już oczekiwać z jej strony dalszych wyjaśnień.

–Nadal będzie pani pracować z Patrickiem?

–Oczywiście – odparła, odprowadzając go do drzwi. – Chyba nie sądzisz, że go opuszczę z powodu drobnych niesnasek między nami? Jestem osobą odpowiedzialną i zrobię dla niego to co będę mogła. Nie tylko dla niego, także dla mnie samej. Ja również podążam własną drogą. I dlatego spotkanie na niej kogoś takiego jak ty tak bardzo mnie zdeprymowało. – Stanęli przy drzwiach. – Cóż, życzę powodzenia – dodała, uściskawszy dłoń Willa. – Może jeszcze się kiedyś spotkamy.

To rzekłszy, nieomal wypchnęła go za próg i nie czekając na odpowiedź, zatrzasnęła za nim drzwi.

DWANAŚCIE

1

Wrócił do domu pieszo. Zajęło mu to prawie pięć godzin, energii do marszu dodawały mu batony hersheya i pączki, popijane mlekiem z kartonu. Albo stopniowo przyzwyczajał się do widoków, które pokazywały mu oczy, albo umysł (zapewne dla jego ochrony) ograniczał liczbę przyjmowanych informacji. Tak czy owak, nie musiał już tak obsesyjnie przypatrywać się wszystkiemu, po prostu szedł, maszerował, robiąc krok za krokiem mentalne fotografie magicznych miejsc. Rozmowa z Bethlynn okazała się bardziej oświecająca, niż przypuszczał i gdy tak szedł, przypominał sobie jej fragmenty.

Czy istniała boska cząstka Patricka, ta która nigdy nie zachoruje i nie umrze, czy też nie, Bethlynn sprawiała wrażenie, że szczerze w to wierzy, a jeśli ta możliwość przynosiła Patrickowi ulgę, to niech tak będzie. Inaczej natomiast rzecz miała się z dokonaną przez nią analizą Willa. Wydawało się, że zrobiła to instynktownie, opierając się po części tylko na tym, co usłyszała od Patricka, częściowo na artykułach, które widziała, a także na jego pracach. Uznała, że jest mężczyzną o czarnym sercu, który pragnie skalać innych swoim mrokiem. Ot i wszystko. Jak dotąd, to wydawało się proste. Czy miała rację, czy nie, była to teoria, którą mogła wyśnić osoba o zgoła przeciętnej inteligencji. Tyle że w jej teorii zawierało się coś jeszcze, czego, jak sądził, nie chciała mu wyznać i czym nie chciała się z nim podzielić. Był nieświadomym szamanem, tyle mu powiedziała. Wymuszał zmiany, przywoływał wizje. Ale po co? Ponieważ ktoś, w przeszłości (ktoś, o kim nie chciała, by nawet wspominał) zasiał w nim ziarno.

To mógł być tylko Jacob Steep.

Cokolwiek jeszcze uczynił Jacob, dobrego i złego, był pierwszą osobą, która choć na kilka minut sprawiła, że poczuł się kimś niezwykłym. Nie byle nieudacznikiem, nie umiejącym dorównać zmarłemu bratu, popaprańcem niedorastającym mu do pięt – aniołka – Nathaniela, lecz dzieckiem niezwykłym – wybrańcem. Ile razy w ciągu ostatnich trzydziestu lat, które minęły od owej nocy na wzgórzu, odwiedził zimowy las, czując wibrację noża kiedy zbliżał się do swoich ofiar? I czuł wyływającą z nich krew? A także słyszał za sobą szept Jacoba: „A gdyby były ostatnie? Naprawdę ostatnie?”.

Całe jego życie było po dziś dzień naznaczone piętnem wydarzeń tamtej nocy: próbą zadośćuczynienia za małe śmierci, zbrodnie popełnione za namową Steepa. A może raczej za nieuzasadnioną radość, jaką odczuwał, kształtując w ten sposób świat? Jeżeli faktycznie tkwiło w nim pragnienie bycia kimś więcej aniżeli tylko świadkiem wymierania gatunków, jak twierdziła Bethlynn, zostania inicjatorem przemian, to tylko dlatego że Steep zaszczerpił w nim to pragnienie. Czy uczynił to celowo, czy nie, to całkiem inna sprawa. Czy to możliwe, że cała inicjacja została zaaranżowana, by uczynić go mężczyzną? A może Jacobowi chodziło o uczynienie z dziecka mordercy, i po prostu nie dokończył tego procesu, pozostawiając Willa,

zagubionego, by sam odkrył swój cel w życiu? Zapewne nigdy się tego nie dowie. Pod tym względem był podobny do większości mężczyzn, którzy w to popołudnie wędrowali po Folsom, Polk i Market. Mężczyzn, których rodzice, niezależnie jak bardzo kochający i liberalni, nigdy nie zrozumieją tak, jak rozumieli swoje pociechy hetero, ponieważ synowie homo stawali się rodzajem genetycznej ślepej uliczki. Mężczyzn, którzy będą musieli sami tworzyć własne rodziny: ze swoich przyjaciół, kochanków i znajomych. Mężczyzn, którzy lepiej lub gorzej tworzyli samych siebie, kształtowali siebie, tworzyli własne style i mitologie, odrzucając je, jedna po drugiej z niecierpliwością typową dla dusz niepotrafiących opisać własnymi słowami tego, czego naprawdę pragną. Był w tym wszystkim smutek, lecz także osobliwa bluzniercza radość.

Nieomal pragnął, by Steep był tutaj, aby mógł mu pokazać co ciekawsze widoki i miejsca. Zaprowadziłby go do Gestaltu i postawił piwo.

Zanim wrócił do domu, była prawie szósta. Na sekretarce miał trzy wiadomości: od Drew, od Adrianny i od Patricka, który donosił, że odbył właśnie wielce interesującą rozmowę z Bethlynn.

–Nie mam pojęcia, czy cię polubiła, czy nie, ale z pewnością zrobiłeś na niej spore wrażenie. I twierdzi, że między nami jest wszystko okej. Tak, więc, dobra robota, stary. Wiem, jakie to było dla ciebie trudne. Dzięki. To wiele dla mnie znaczy.

Wysłuchawszy nagranych wiadomości, poszedł zmyć z siebie pot po podróży, po czym wytarłszy całe ciało, powędrował do sypialni i się położył. Pomimo zmęczenia już od dawna nie czuł się tak doskonale, od wielu lat, na długo przed wydarzeniami w Balthazar. Odczuwał lekkie drżenie mięśni i osobliwy, niemal nabożny spokój pod czaszką.

Był tak spokojny, że zaczęło go to niepokoić.

–Gdzie jesteś, lisie? – zapytał półgłosem.

W pustym domu było słycać typowe dla takich miejsc ciche odgłosy, ale żaden trzask, stukot czy skrzypnięcie nie zdradzało obecności Lorda Lisa. Nie było słycać skrobania jego pazurów o podłogę ani szelestu kity ocierającej się o ścianę.

–Wiem, że gdzieś tam jesteś.

To nie było kłamstwo. Naprawdę w to wierzył. Lis już dwukrotnie przekroczył granicę pomiędzy światami snu i jawy, a teraz Will był gotów dołączyć do niego w tym miejscu, by móc je ujrzeć i choć przez chwilę napawać się niecodziennymi widokami. Najpierw jednak zwierzę musiało mu się pokazać.

–Nie zgrywaj nieśmiałego – rzekł Will. – Obaj tkwimy w tym po uszy. – Usiadł. – Chcę być z tobą – powiedział. – To zabrzmiało jak propozycja, nie uważasz?

Może tak właśnie miało być? Może to faktycznie propozycja? Zamknął oczy i spróbował wywołać pod powiekami obraz zwierzęcia. Jego lśniące futro, błyszczące zęby, bluźnierczą postawę i dumny, zawadiacki krok. To było jego zwierzę, nieprawdaż? Najpierw dręczyciel, potem mistrz, ukazujący mu prawdę kawałek po kawałku, pożeracz intymnych części ciała, często złośliwy, drwiący i ironiczny.

–Gdzie się, kurwa, podziewasz? – pytał, ale lis wciąż się nie pojawiał.

No cóż, pomyślał Will, czyż to nie cudowny paradoks? Tak długo odrzucał mądrość lisa, a kiedy w końcu zaczął pojmować swoje miejsce w życiu, to cholerne zwierzę odmawiało współpracy. Wstał z łóżka i już miał spróbować szczęścia w innym pokoju, gdy zadzwonił

telefon. To był Drew.

–Co się z tobą dzieje? – zapytał. – Dzwonię i dzwonię, a ciebie nie ma.

–Byłem w Berkeley, by zakopać topór wojenny z Bethlynn. Wróciłem stamtąd pieszo, a teraz rozmawiam z tobą, i to jest jeszcze wspanialsze.

–Zachowujesz się, jakbyś był w euforii. Łyknąłeś jakieś prochy?

–Nie. Po prostu jest mi dobrze.

–Masz ochotę trochę się dziś rozerwać?

–To znaczy?

–Dajmy na to, przyjadę do ciebie, zamkniemy drzwi na klucz, a potem trochę się pokochamy.

–Byłoby świetnie.

–Jadłeś coś?

–Czekoladę i pączki.

–To stąd ta euforia. Wywołuje ją duża ilość cukru w organizmie. Przyniosę coś do jedzenia i urządzimy sobie miłosną ucztę.

–To zabrzmiało z dekadencja.

–I tak właśnie będzie. Gwarantuję ci to. Będę za godzinę.

–Czyli za dwie.

–Jak ty mnie dobrze znasz – mruknął Drew.

–Ależ skąd. Muszę się jeszcze wiele nauczyć – odparł Will.

–Na przykład czego?

–Na przykład tego, jaki masz wyraz twarzy, kiedy się Kochamy?

Adrianna zadzwoniła akurat kiedy przyrządził sobie ceremonialne martini. Zapytał, jak poszła jej rozmowa w sprawie pracy. Odparła, że do kitu. Gdy tylko weszła do biura, zrozumiała, że po tygodniu pracy tam zacznie dostawać świra.

–Kiedy taplałam się w błocie, w jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu – powiedziała

– kiedy moskity wypijały z nas krew, jedynym, czego pragnęłam, była normalna, zwykła praca i schludny, sterylny gabinet z widokiem na Bay Bridge. Ale dziś coś sobie uświadomiłam: to nie dla mnie. Skończyłoby się na tym, że rozwalilibym komuś łeb maszyną do pisania. W tej sytuacji sama już nie wiem co robić. Pewnie kiedyś znajdę sobie coś odpowiedniego, ale szczerze mówiąc, trochę trudno za tobą nadażyć Will. Co to za brząk?

–Robię sobie martini.

–To przywołuje wspomnienia, – Westchnęła. I dodała: – Pamiętasz, co powiedziałaś w Balthazar, o tym że twoim zdaniem wszystko zaczyna się walić? Teraz wiem, co czujesz.

–To minie – zapewnił ją. – Znajdziesz sobie coś innego.

–A więc przeszło ci już to znużenie? Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie? Albo może kto? Drew?

–Niezupełnie...

–Nawiasem mówiąc, on jest słodki, kiedy sobie popije, co przynajmniej w moim mniemaniu dobrze rokuje na przyszłość. Cholera, spóźnię się na kolację. – Krzyknęła do Glenna, że już idzie, i wyszeptala do słuchawki: – Idziemy na kolację z pozostałymi członkami jego kwartetu smyczkowego. Przysięgam, jeśli przy zupie zaczną grać czteroczęściową suitę, zostawię go. Na razie, kochanie.

Zakończywszy rozmowę, zabrał drinka do archiwum i w końcu pozbierał rozsypane na podłodze zdjęcia. Lord Lis tchnął w nie widmowe życie. To była prosta, nieomal prozaiczna czynność, lecz tak jak wszystko inne, co dzisiaj robił, zdawało się być elektryzujące, przepełnione sekretnym znaczeniem. A może nie było ono wcale takie sekretne? Właśnie tu, od tych zdjęć zaczęła się jego inicjacja, poznanie tajemnic jego nowego istnienia. Stanowiły mapę terytorium, które miał zbadać, zgłębiać, poznać. Teraz można już było złożyć tę mapę. Jego podróż właśnie się zaczęła. Poskładawszy fotografie, wrócił na górę, by się ogolić, i wtedy, w lustrze potwierdziły się jego wcześniejsze przypuszczenia. Przeczucie, które ogarnęło go w archiwum. Twarz, którą ujrzał, wydała mu się nieznaną, jakby nigdy jej wcześniej nie widział. Fizjonomia się zgadzała, kości, blizny, zmarszczki, ale to, jak na siebie patrzył – i jak spoglądało nań jego odbicie – w osobliwy, subtelny sposób się zmieniło, a jeżeli chodzi o męskie spojrzenie, subtelność oznacza wszystko. Oto była najrzadsza istota w jego wszechświecie, wielka bestia, którą był, a która do tej pory skrętnie się przed nim ukrywała, za drzewami w zagajniku, za pobliskim wzgórzem. Prawdę mówiąc, odnalezienie jej okazało się prostsze, niż przypuszczał, i to wszystko z jego strony było swego rodzaju grą, udawaniem, ale strach powstrzymał go przed uważniejszym przyjrzeniem się nieznanemu odbiciu. Teraz zastanawiał się, dlaczego. Przecież nie było tam nic strasznego, nic niezgłębionego. Tak jak chłopiec staje się mężczyzną, tak włosy z czasem zaczynają siwieć, a od nadmiaru słońca skóra staje się brązowa i szorstka.

Pomyślał o lisie, zachwalającym walory heteroseksualizmu, tego, że jego dzieci będą miały dzieci i dzieci jego dzieci też będą mieć młode. Will nie mógł liczyć na tę łaskę. Nie spłodzi potomstwa, które poniesie w przyszłość część jego samego. Był jednoosobowym gatunkiem.

A gdyby on był ostatni?

Cóż. Był ostatni. Ta myśl zawierała w sobie coś więcej, jakiś żar i moc, ukryte, głębsze znaczenie. Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Rozmyślał o życiu, umieraniu i śmierci w płomieniach własnego ognia.

–Niech tak będzie – powiedział i zaczął się golić.

TRZYNAŚCIE

Drew spóźnił się zaledwie trzydzieści pięć minut, co mówiło o jego entuzjazmie dla planowanego upojnego wieczoru wymowniej niż zaczerwienione policzki i wypukłość w kroczu. Przyjechał taksówką i przywiózł, ni mniej, ni więcej, tylko sześć toreb z produktami żywnościowymi z pobliskiego sklepu. Will zaproponował, że mu pomoże, na co Drew odparł, że nie chce, by podglądał i dyskretnie cmoknąwszy Willa w policzek, powiedział mu, że by pooglądał sobie telewizję, a tymczasem on zajmie się wszystkim. Choć Will nie przywykł do tego, by mu rozkazywano, postanowił tańczyć, jak Drew mu zagra, i posłusznie zasiadł przed telewizorem.

Na żadnym z kanałów nie było nic, co przykułoby jego uwagę na dłużej niż pół minuty. Siedział, wpatrując się w ekran, przyciszywszy dźwięk, w nadziei że odgłosy dochodzące z kuchni i sypialni zdradzą, co się tam szykuje, jak dziecko dotykające przez papier prezentów znalezionych pod choinką próbuje domyślić się co jest w środku. W końcu Drew wrócił, wziął prysznic (włosy zaczesał do tyłu) i przebrał się w nieco bardziej prowokacyjny strój – luźną, choć dobrze skrojoną kamizelkę, podkreślającą jego pulchne ramiona, oraz bawełniane spodnie od dresu, które na pierwszy rzut oka ściągało się bardzo łatwo.

–Chodź ze mną – powiedział i poprowadził Willa na górę.

Zapadła już noc, sypialnię oświetlał blask kilku strategicznie rozstawionych świec. Łóżko było rozesełane, znajdowały się na nim chyba wszystkie poduszki zebrane z całego domu, a na podłodze leżało prześcieradło, na którym Drew starannie porozkładał zakupy.

–Można by tym nakarmić cały Naród Wybrany – zauważył Will. – I to nie siląc się na cud.

Drew rozpromienił się.

–Od czasu do czasu miło jest zaszaleć – powiedział, obejmując Willa w pasie. – To dobre dla duszy. Poza tym zasłużyliśmy na to.

–Naprawdę?

–No, w każdym razie ty. Ja jestem tylko skromnym niewolnikiem. Twoją własnością na tę noc.

Will dotknął wargami policzków, czoła, podbródka i ust Drew.

–Najpierw zjedzmy – zaprotestował niewolnik. – Mamy gruszki, brzoskwinie, truskawki, jagody, kiwi – nie kupiłem winogron, są zbyt oklepane – są także homary, krewetki, ser brie, chardonnay, chleb, naturalnie, mus czekoladowy i ciasto z marchewką. A, byłbym zapomniał, mamy również krwisty befsztyk, na wypadek gdybyś naprawdę zgłodniał, i ostrą musztardę do tego. Coś jeszcze? – Przyjrzał się produktom. – Z pewnością było coś jeszcze.

–Znajdzie się – zapewnił Will.

Zabrali się do pałaszowania. Rozciągnięci wśród przepychu żywności niczym para rzymskich patrycjuszy, jedli, całowali się, znów jedli, rozebrali się, zjedli jeszcze trochę, soki ściekały im po brodzie, wypełniały usta, jeden apetyt gasł, podczas gdy inny rozpalał się w najlepsze. Wino wprawilo ich w dobry nastrój i wdali się w długą, ożywioną rozmowę, Drew otworzył się przed nim, opowiadając o rozczarowaniach, jakich doznał od życia przez ostatnie dziesięć lat. Nie próbował użalać się nad sobą. Po prostu rzeczowo i konkretnie relacjonował swoje niepowodzenia, opisywał utracone nadzieje, innymi słowy, zdradził Willowi jak bardzo pragnął stanąć na szczycie świata, a ostatecznie skończył jako bankrut z rosnącym mięśniem piwnym.

–Nie sadzę, by pedzie byli wobec siebie nawzajem w porządku – powiedział z głupia frant – a przecież powinniśmy trzymać się razem. Bądź co bądź siedzimy w tym samym gównie, no nie? A tu, jak na złość, w barze słyszę tylko: „Nienawidzę czarnych, albo nienawidzę drag-queens, albo nienawidzę mięśniaków, bo to bezmyślne tępe osiłki”, i myślę sobie: Kurwa, cały świat nas nienawidzi...

–Nie w San Francisco.

–Ale to getto. Ono się nie liczy. Wracam do Kolorado, a rodzina dzień i noc ciosa mi kołki na głowie, mówiąc, że wolą Boga jest, abym był hetero, i jeśli się nie zmienię, pójdę do piekła.

–Co im wtedy mówisz?

–Mówię tak: „Równie dobrze moglibyście kazać mi, żebym przestał oddychać, bo jestem pedziem do szpiku kości”. – Przyłożył palec do piersi. – Całym sercem i całą duszą – dodał. – Wiesz, czego pragnę?

–Czego?

–Aby mogli nas teraz zobaczyć moi rodzice. Spędzających razem czas, rozmawiających, szczęśliwych. Właśnie teraz, gdy naprawdę jesteśmy ze sobą. – Przerwał i wbił wzrok w podłogę. – Czy jesteś szczęśliwy?

–Teraz?

–Tak.

–Jasne.

–Bo ja jestem. Jeszcze nigdy nie byłem równie szczęśliwy. A pamięć mam dobrą. I długą. – Zaśmiał się, – Pamiętam, jak zobaczyłem cię po raz pierwszy.

–Niemożliwe.

Drew uniósł wzrok i spojrzął na niego z czułą zuchwałością.

–Ależ tak. Oczywiście – powiedział. – To było u Lewisa. Jadł lunch i wtedy pojawiłem się ja z Timothyem. Pamiętasz Timothy'ego?

–Jak przez mgłę.

–To był potężny facet, drag-queen, który wziął mnie pod swoje skrzydła. Zabrał mnie ze sobą, małego Drew Trávisa z Pipidowa Górnego w Kolorado, chyba chciał się mną pochwalić. Bardzo się denerwowałem, bo było tam mnóstwo miejscowych ciot, z koneksjami, znających się nawzajem i w ogóle...

–Albo twierdzących, że wszystkich znają...

–Fakt. Wypluwali z siebie imiona z szybkością karabinu maszynowego, a od czasu do czasu któryś z nich spoglądał na mnie i dotykał, jakbym był połciem mięsa. Pamiętam, że się spóźniłem.

–Och – mruknął Will. – A więc nauczyłeś się tego ode mnie.

–Jak wszystkiego innego. Wszystkiego, czego chciałem. Poświęciłem mi całą swoją uwagę, jakby nic więcej się nie liczyło. Aż do tego momentu nie byłem pewien czy chcę tam zostać. Myślałem sobie: To nie dla mnie. Nie pasuję do tych ludzi. Nie ma tu dla mnie miejsca. Zamierzałem wrócić do domu pierwszym samolotem i oświadczyć się Melissie Mitchell, która poślubiłaby mnie bez chwili wahania i patrzyła przez palce na moje pokątne romanse. Taki miałem plan, na wypadek gdyby mi się nie udało. Ale ty sprawiłeś, że zmieniłem zdanie.

Will delikatnie pogładził Drew po twarzy.

–Nie – powiedział.

–Tak – odparł Drew. – Może ty pamiętasz co innego, ale nie byłeś w stanie stwierdzić, co działo się w mojej głowie. A tak właśnie było. Nawet nie poszliśmy od razu do łóżka. Timothy zrobił się dziwnie rozdrażniony i stwierdził, że nie jesteście w porządku. Miał wam wiele do zarzucenia. Zwłaszcza tobie.

–Naprawdę?

–Powiedział, że jesteście szajbnięci, no wiesz, jako Anglicy musicie być sztywni, pretensjonalni i niedostępni.

–Nie byłem niedostępny. Co do reszty, może i masz rację.

–Tak czy owak, nie zadzwoniłeś do mnie, a ja bałem się zadzwonić do ciebie, żeby nie rozzłościć Timothy'ego. Byłem od niego zależny. Opłacił mój przelot, a poza tym mieszkałem u niego. Aż w końcu do mnie zadzwoniłeś.

–A cała reszta jest historią.

–Nie spłycaj tego. Przeżyliśmy kilka miłych chwil.

–To akurat pamiętam.

–Naturalnie, kiedy zerwaliśmy ze sobą, o moim powrocie do Kolorado nie było już mowy. Złapałem bakcyła.

–Co się stało z Melissą?

–Ha! To ci się spodoba. Wyszła za faceta, któremu w liceum trzepałem kapucyna.

–A więc musi mieć chyba słabość do pedziów – skonstatował Will, stając za Drew i pozwalając by się do niego przytulił.

–Może i tak. Czasami się z nią widuję, kiedy wracam do domu. Jej dzieciaki chodzą do tej samej podstawówki co dzieci mojego brata, toteż spotykam się z nią, kiedy odbiera je ze szkoły. Wciąż nieźle wygląda. Jest całkiem atrakcyjna. I tak – mruknął, odchyłając głowę, by pocałować Willa w podbródek – przedstawia się w skrócie historia mojego życia.

Will objął go mocno.

–A co się stało z Timothyem? – spytał. – Mamy wobec niego dług wdzięczności.

–Och, nie żyje od siedmiu, może ośmiu lat. O ile wiem, jego kochanek opuścił go, kiedy Timothy zachorował, umarł więc właściwie w samotności. Dowiedziałem się o tym po Bożym Narodzeniu, a on zmarł w Święto Dziękczynienia. Pochowano go w Monterey. Bywam tam od czasu do czasu, by położyć kwiaty na jego grobie. I powiedzieć, że wciąż o nim myślę.

–To dobrze. Porządny z ciebie człowiek, wiesz?

–Czy to ważne?

–Tak. Zaczynam wierzyć, że tak.

Potem kochali się. To nie był szaleńczy, pozbawiony wszelkich reguł seks, jaki łączył ich przed osiemnastu laty, ani pełne czułości, trwożliwe zespolenie sprzed kilku nocy. Tym razem obyło się bez próby sił czy sztuczek. Byli po prostu kochankami. Niespiesznie badali wzajemnie własne ciała, wymieniali pocałunki, lecz stopniowo stawali się coraz bardziej ożywieni, coraz bardziej zachłanni i coraz bardziej ustępliwi zarazem. Chłonęli się nawzajem falami, dążąc do celu, który sobie zamierzali i zaplanowali.

Will nie kochał się z nikim od czterech lat, a Drew, choć wcześniej był istnym demonem seksu,

z uwagi na coraz większe ryzyko z tym związane musiał znacznie pohamować swoje popędy. Nawet wcześniej, w prostszych, lepszych czasach nigdy nie było to czymś naturalnym i oczywistym, pomimo opowieści o farmerach ze środkowego zachodu, którym wystarczała odrobina śliny i niepohamowanej chuci. To był świadomy akt pożądania, zwłaszcza teraz, w czasie zabójczej Plagi, kiedy kondom i lubrykant musiały być zawsze pod ręką, a każdej erekcji towarzyszył rodzący się w głębi serca niepokój. Kochali się czule i delikatnie, w gnieździe usłanym z poduszek, dając sobie nawzajem odrobinę rozkoszy.

Kiedy skończyli, Drew poszedł pod prysznic. Pan Czyścioszek, jak go nazywał Will. To nie było niczym nowym, zawsze po ejakulacji musiał zmyć z siebie ślady seksu. „To ten tkwiący we mnie ministrant”, powiedział gwoli wyjaśnienia, na co Will spytał: „Właśnie miałeś w sobie Angola. Ilu masz tam jeszcze facetów?”.

Odpowiedział mu wybuch śmiechu. Drew wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Will wsłuchiwał się w szum płynącej z pryszniczaka wody, rozbryzgującej się o kafelki a potem o plecy, ramiona i pośladki stojącego w jej strugach Drew. Zawołał coś, ale Will nie zrozumiał jego słów. Pławił się w błogim zmęczeniu i zaspokojeniu, balansując na granicy drzemki. Ja też powinienem wziąć prysznic, pomyślał. Jestem spocony, tłusty i cuchnący. Drew nie położy się do łóżka i nie przytuli do mnie, dopóki się nie umyję. Dlatego starał się nie zasnąć, choć nie było to łatwe. Dwukrotnie zapadł w lekką drzemkę. Gdy obudził się po raz pierwszy, stwierdził, że szum wody ucichł, a Drew, który wyszedł spod pryszniczaka, nuci coś atonalnie i wyciera ciało ręcznikiem. Kiedy obudził się powtórnie, usłyszał, jak Drew schodzi na dół.

–Idę po wodę! – zawołał. – Przynieść ci coś?

Will usiadł niepewnie. Był dziwnie otepiały. Ziewnął i spojrzał na winowajcę między udami.

–Ciężka noc? – zapytał, kołysząc trzymanym dwoma palcami członkiem. Zwiesił nogi za krawędź łóżka, strącając jedną ze świec. – Kurwa – zaklął i schylił się, by ją podnieść.

W nozdrza uderzyła go woń gasnącego knota. Kiedy wstał, pokój wokół niego zaczął pulsować. Stwierdziwszy, że podniósł się zbyt energicznie, zamknął oczy. Pod powiekami pojawiły się mu pulsujące białe powidoki. Willowi zrobiło się niedobrze. Przez kilka chwil kołysał się, stojąc przy łóżku i czekając, aż nieprzyjemne uczucie minie, ono jednak się wzmogło i pojawiły się mdłości. Znów otworzył oczy i ruszył w stronę korytarza, nie chcąc zakończyć wieczoru puszczeniem pawia w miejscu, gdzie przed chwilą tak cudownie się kochali. Oddalił się zaledwie na jard od łóżka, gdy dojmujący ból w trzewiach sprawił, że zgiął się w pół. Osunął się na kolana, otoczony resztkami miłosnej uczyty, a jego zmysły stały się upiornie przeczulone. Poczował woń gnijących owoców, które jeszcze trzy godziny temu były świeże, ser i śmietana, niedawno słodkie, nagle skwaśniały, jakby panujący w pokoju żar i to, co się tu wydarzyło, przyspieszyło rozkład produktów. Woń okazała się zgubna. Zaczął wymiotować, jego żołądkiem targały silne skurcze, powidoki wirowały pod jego czaszką, pokój

rozmywał się...

A pośród tej fali bieli pojawiły się wizje, fragmenty wydarzeń minionego dnia – nieba, muru, Bethlynn, Drew w ubraniu, Drew nagiego, kota, kwiatów, mostu – przesuwały się przed jego oczami niczym fragment filmu wrzuconego do ognia gorejącego w jego głowie, pulsującego białego ognia, płonącego u kresu wszystkiego.

Próbował wykrztusić: „Pomóż mi Boże”, nie obawiał się już, że Drew mógłby zobaczyć go w tym stanie, chciał tylko ugasić ogień...

Uniósł głowę i spojrzał poprzez blask w stronę drzwi. Płomień w jego głowie hulały w najlepsze, wspomnienia pojawiły się i były delikatnie pochłaniane jak skrzydła ciem, trzepoczące żałośnie wśród jęzorów ognia...

Wody zatoki, chłostane wiatrem, kwiaty na parapecie u Bethlynn Reichle, twarz Drew – spocona, wykrzywiona w grymasie ekstazy...

I nagle pożoga zniknęła, zgasła w mgnieniu oka. Klęczał w odległości trzech, czterech jardów od drzwi, ciemność miała odcień szarości, podobnie było ze światłem; jedzenie, w którym klęczał, było całkiem bezbarwne, jego dłonie, nogi, członek i brzuch wydawały się szare, odarte z wszelkich kolorów. To było dziwnie przyjemne – po nagłym, potwornym ataku torsji znaleźć się w chłodnej celi, odciętej od wszystkiego co działało na zmysły. Uznał, że jego umysł musiał stwierdzić, że ma już dość, i wyłączył się, odbierając jedynie najbardziej podstawowe bodźce. Will nie czuł już odrażającej woni zepsutej i skwaśniałej żywności, nawet tekstura tego, co zostało z ich uczyty, wydawała mu się w dużej mierze złagodzona.

Mdłości ustały, nie chciał jednak ryzykować gwałtownych ruchów, dopóki nie upewni się, że całkiem mu przeszło, toteż pozostał na czworakach, jeszcze przez dłuższą chwilę klęcząc w świetle jedynej palącej się jeszcze świecy. Już niedługo Drew wróci na górę, pomyślał. Spojrzy na Willa i zrobi mu się go żal, podejdzie do niego, utuli i ukoi. Musiał zachować cierpliwość. Umiał być cierpliwy. Mógł całymi godzinami trwać w jednej pozycji. To nie było trudne. Wystarczy oddychać miarowo i opróżnić umysł z bezużytecznych myśli. Wypocić je i czekać. No i proszę! Jego czekanie dobiegło końca. Na ścianie pojawił się cień. Drew wchodził po schodach. Jeszcze pół minuty i stanie na podeście, a w chwilę później pomoże Willowi powrócić do normalności. Był tam, ze szklanką wody w dłoni, ubrany w spodnie od dresu, które zsuwały się mu z bioder, na ciele miał ślady pozostawione przez Willa podczas ich karesów. Ciało wokół jego sutków zaczerwieniło się. Na szyi było widać przypominające elder ślady zębów Willa. Twarz pokrywały czerwone plamy. Uniósł głowę, powoli, bardzo powoli (w tym szarym świetle nie było pośpiechu), a na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania, gdy skierował wzrok ku drzwiom sypialni. Wydawało się, że nie dostrzega oblicza Willa w półmroku, a jeżeli nawet, to zapewne nie rozumiał tego, co widzi. Poczł natomiast z pewnością woń wymiocin. Skrzywił się z odrazą, a ten wyraz jawnej dezaprobaty wprowadził Willa w zakłopotanie. Nie taką minę swego wybawcy spodziewał się ujrzeć. Pragnął współczucia, czułości.

Drew zawahał się, lustrując sypialnię przez otwarte drzwi. Jego odraza przerodziła się w trwogę. Oddech miał przyspieszony, a kiedy wyrzucił z siebie: „Will?”, ledwie go było słychać.

Do cholery, pomyślał Will, nie stój tam tak. Wejść do środka. Nie ma się czego bać, u licha. No jazda. Właź. Ale Drew stał jak wryty. Will w przypiływie frustracji podparł się jedną ręką, zanurzając ją w kałuży wymiocin, i spróbował się podnieść. Chciał wymówić imię Drew, ale z jakiegoś powodu z jego gardła dobyło się tylko głuche szczeknięcie. Drew upuścił szklankę z wodą. Szkło rozprysło się u jego stóp.

–Jezu! – krzyknął.

Zaczął wycofywać się ku schodom. Co to ma być, zastanawiał się Will. To jakiś absurd. Potrzebował pomocy, a mężczyzna, na którego liczył, zwijał żagle?

Ruszył chwiejnie w stronę drzwi sypialni, usiłując zawołać go powtórnie, ale i tym razem krtań go zawiodła. Chwiejnym krokiem wyszedł na podest, by stanąć w świetle, tak aby Drew mógł go zobaczyć. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, podobnie jak struny głosowe. Przy schodach potknął się i upadłby na potłuczone szkło, gdyby nie schwycił się framugi. Zakołysał się, a głos w myślach nie wiedzieć czemu podpowiedział mu, że znów mu stanął, zeszywniały członek uderzył o jego brzuch, gdy Will wyszedł na podest.

Dopiero teraz w świetle płynącym z holu poniżej Drew ujrzał swego prześladowcę.

–Jezu Chryste – wyszeptał, a strach na jego twarzy przerodził się w niedowierzanie. – Will? – wychrypiał.

Tym razem Will zdołał wykrztusić:

–Tak.

Drew pokręcił głową.

–W co ty pogrywasz? – spytał. – Napędziłeś mi niezłego stracha.

Will przeszedł boso po rozbitym szkłe, ale nie zważał na to. Musiał zatrzymać Drew. Zacisnął dłoń na poręczy barierki i zaczął się podciągać w stronę szczytu schodów. Całe ciało wydawało mu się dziwnie obce, jakby jego mięśnie dopiero uczyły się swoich całkiem nowych funkcji. Chciał osunąć się na kolana, by ich nie obciążać, chciał miękko ruszyć w pościg za stojącym przed nim zwierzęciem. Był dostatecznie cierpliwy, nieprawdaż? Czekał wśród szarości, dopóki jego ofiara się nie pokaże. Teraz nadszedł czas na pościg.

–Przestań, Will – mówił Drew. – Na miłość boską. Ja nie żartuję!

Strach sprawił, że jego głos stał się wysoki i piskliwy. To zabrzmiało komicznie. Will wybuchnął śmiechem. Krótkim, ostrym, ochryplym. Ten śmiech zabrzmiał jak szczeknięcie.

Dla Drew tego już było za wiele. Stracił resztki odwagi i zaczął tyłem schodzić po stopniach, pokrzykując coś bez ładu i składu do Willa, na koniec zaś podniósł swoją kurtkę, leżącą u podnóża schodów. Był półnagi i bosy, ale nie dbał o to. Chciał jedynie opuścić ten dom. Nic innego się nie liczyło. Will dotarł tymczasem do szczytu schodów i zaczął po nich schodzić. Jednakże odłamki szkła w podeszwach stóp sprawiały mu spory ból i po dwóch krokach – wiedząc, że w tym stanie nie zdoła dopaść swojej ofiary – osunął się na jeden ze stopni i obserwował stamtąd Drew, który rozpaczliwie starał się odblokować zamki przy drzwiach. Dopiero gdy Drew otworzył drzwi na oścież i ujrzał ulicę, odwrócił się i zawołał na całe gardło:

–Pieprz się, Willu Rabjohns!

W chwilę potem już go nie było. Rozpłynął się pośród nocy. Will siedział na schodach przez kilka minut, radując się chłodnymi podmuchami powietrza wpływającymi do domu przez otwarte drzwi. Gęsia skórka w żaden sposób nie wpłynęła na jego erekcję. Czuł pulsowanie nabrzmiałego członka, które przypominało mu, że dla wielu innych rozkosze tej nocy dopiero się zaczynały. A skoro dla wielu innych, czemu nie dla niego?

CZTERNAŚCIE

1

Przy Folsom znajdował się klub pod nazwą „Penitent”. W okresie swojej świetności w połowie lat siedemdziesiątych nazywał się „Wężowy Kieł” i był dla San Francisco tym, czym „Mineshaft” dla Nowego Jorku. W tym miejscu nic nie było *verboten*, jeżeli naprawdę bardzo tego chciałeś. Podczas szalonych nocy, przemierzający Castro tłum bywalców odzianych w skóry mógł na palcach jednej ręki wyliczyć pięć najpopularniejszych lokali i zawsze jednym z nich był „Kieł”. Właściciele klubu, Chuck i Jean-Pierre, dawno już nie żyli, zmarli w pierwszych latach rozwoju Plagi, w odstępie zaledwie trzech tygodni, jeden po drugim, i przez pewien czas miejsce to pozostawało zamknięte, jakby przez pamięć o mężczyznach, którzy spotykali się tam, a których nie było już na tym świecie. Jednak w roku 1987 Synowie Priapa, grupa onanistów, która wyniosła prostą czynność masturbacji do rangi rękodziela artystycznego, zajęła budynek i zapoczątkowała w nim cotygodniowe, erotyczne spotkania. Obecne w lokalu duchy musiały najwyraźniej być im przychylnie, niebawem bowiem fama o poniedziałkowych spotkaniach zaczęła się rozchodzić, a grupie przybyło nowych członków. Zainicjowano także spotkania w czwartki, a gdy i wówczas w lokalu zaczęło robić się zbyt tłoczno, zorganizowano imprezy również w piątki. Niemal codziennie lokal stawał się peanem na część pięciu palców. Spotkaniom czwartkowym i piątkowym zaczęły z wolna towarzyszyć elementy fetyszystyczne i niebawem Synowie przerodzili się w biznesmenów; wynajęli budynek i obecnie prowadzili najbardziej popularny klub erotyczny w San Francisco. Chuck i Jean-Pierre byliby dumni. I tak właśnie narodził się „Penitent”.

2

W klubie nie było wielkiego tłoku. We wtorki zazwyczaj było tu pusto, i tak samo przedstawiała się sytuacja tej nocy. Jednak dla około trzydziestu osób, które przemierzały nagie, ceglane korytarze „Penitenta”, gawędziły przy barze (bezalkoholowym, bo w głównej sali, w przeciwieństwie do zaplecza, nie piło się mocniejszych trunków) lub przesiadywały w sali telewizyjnej – oglądając – z czysto sentymentalnych pobudek jakiegoś pornosa, ta noc miała okazać się niezapomniana. Tuż przed wpół do dwunastej w holu pojawił się mężczyzna, którego poszczególne osoby rozmawiające na temat wydarzeń, jakie się tu wówczas rozegrały, będą opisywać każda na swój sposób. Przystojny, bez wątpienia, sądząc po wyglądzie, z niejednego pieca jadł chleb. Włosy zaczesane do tyłu, albo przerzedzone – w zależności od tego kto opowiadał tę historię. Oczy ciemne, głęboko osadzone, byli też tacy, co twierdzili, że nosił ciemne okulary. Nikt nie pamiętał szczegółów jego ubioru. Nie był nagi, w przeciwieństwie do niektórych bywalców klubu, to akurat nie ulegało wątpliwości. Na pewno też nie nosił typowego w pewnych kręgach kostiumu. Nie był przebrany za motocyklistę, kowboja, robotnika w kasku ani gliniarza. Nie miał przy sobie bicza ani pałki. Usłyszawszy to, niektórzy z pewnością zapytają: „To o co mu chodziło, u licha?”, na co niezależnie od opowiadającego tę historię usłyszą jedną odpowiedź. O seks. To znaczy nie w ogólnym tego słowa znaczeniu. Osoby

bardziej pretensjonalne odpowiedziałyby krótko: „O pieprzenie”, ale ogólnie rzecz biorąc, na jedno wychodzi. Ten mężczyzna, który w ciągu pół godziny wywołał zamieszanie tak duże, że już następnego dnia będą o nim krążyć legendy, stał się ucieleśnieniem ducha tego miejsca, istotą gotową sprostać każdemu partnerowi dostatecznie rozpalonemu, by stawić czoło żarowi jego pragnień. W tym dumnym bractwie było zaledwie trzech lub czterech członków, którzy mogli poddać temu wyzwaniu i, zgoła nie przypadkiem jedynie oni spośród wszystkich uczestników nocnych wydarzeń, nie pisnęli później na ten temat ani słowem. Zachowali milczenie, a wraz z nim niezmacone wspomnienie swoich fantazji, pozostawiając innym snucie bardziej lub mniej prawdziwych opowieści na temat tego, co zdarzyło się w klubie. Prawdziwych świadków było nie więcej niż kilkunastu. Jak to często zdarzało się w przeszłości – a co obecnie występuje nadzwyczaj rzadko – obecność w grupie jednej osoby obdarzonej wybujałą wyobraźnią spowodowała, że także inne zdecydowały się popuścić wodze fantazji. Mężczyźni, którzy przychodzili dotąd do klubu tylko, by popatrzeć, odważyli się tej nocy na dotknięcie, a może nawet coś więcej. Zawiązały się dwa romanse i oba wciąż trwają, cztery mężczyźni nabawili się menda, a jeden trypra, kiedy, jak twierdzili, dali się ponieść emocjom na zdezelowanej sofie w sali telewizyjnej.

Co się tyczy mężczyzny, który zainicjował tę orgię, doszedł kilka razy i zniknął, pozostawiając kopulujące pary, by kontynuowały to szaleństwo aż do zamknięcia lokalu. Kilka osób upiera się, że do nich przemówił, choć nie odezwał się ani słowem. Jeden miał jakoby rozpoznać w nim byłego gwiazdora porno, który wycofał się z interesu i przeniósł do Oregonu. Rzekomo wrócił na stare tereny łowieckie z czysto sentymentalnych pobudek, po czym rozplynął się jak we mgle – ale tak to już zazwyczaj bywa z zawodowcami z branży erotycznej. Jedno nie ulega wątpliwości. Mężczyzna zniknął i już nie powrócił, choć każda z trzydziestu osób, które były tam owej nocy, wracała do lokalu jeszcze przez wiele kolejnych dni (a nawet już następnego wieczoru), nie zważając na mendy i trypra, w nadziei że znów go spotka. Gdy się nie pojawił, kilku śmiazków postawiło sobie za cel odnalezienie go w jakimś innym równie popularnym miejscu, lecz mężczyznę widzianego tylko raz, w sekretnym miejscu, w słabym świetle pojedynczej lampy, niełatwo byłoby rozpoznać gdzie indziej. Im więcej o nim myśleli i mówili, tym bardziej mgliste stawało się jego wspomnienie i już po tygodniu nie było dwóch osób, które zgodziłyby się pod względem szczegółów dotyczących jego wyglądu.

Co się zaś tyczy wspomnianego mężczyzny, on sam prawie nie pamiętał wydarzeń owego niezwykłego wieczoru i dziękował Bogu, że tak było.

Po incydencie na schodach Drew natychmiast pobiegł do domu i wzięwszy paczkę papierosów, które trzymał na wypadek nagłej i wyjątkowej sytuacji (choć nigdy nie spodziewał się, że przytrafi mu się coś takiego), usiadł i zaczął pisać, rozmyślając o tym, co go właśnie spotkało. Od czasu do czasu po policzku spływała mu łza lub przeszył go dreszcz, tak gwałtowny, że musiał podkulić nogi i podciągnąć kolana pod samą brodę, dopóki atak nie minął. Wiedział, że próba racjonalnego wyjaśnienia tego, co się stało, mija się z celem, musiał poczekać z tym do jutra i doskonale wiedział, dlaczego. Nim wyruszył do domu Willa, łyknął coś, co uznał za tabletkę ecstazy, aby wprawić się w nieco bardziej zmysłowy nastrój. Pod wieczór, nim prochy zaczęły działać ogarnęło go poczucie winy, że nie powiedział Willowi, co zrobił, ale szczycił się opinią człowieka, który czasy narkotycznych ekstaz ma już za sobą, i obawiał się, że wyjawiając prawdę, mógłby popsuć atmosferę. Potem ecstazy zaczęło go nakręcać i poczucie winy prysło – a wraz z nim pragnienie przyznania się do popełnionego czynu. Co zatem poszło nie tak? Musiało mu zaszkodzić jakieś świństwo w tabletkach. To nie ulegało wątpliwości. Miał zły odlot. Ale to nie wszystko, a przynajmniej tak mu podpowiadał instynkt. Miewał już złe odloty, przeżył ich całkiem sporo. Widział rozmywające się ściany, rozbiegające się robaki i fruującą odzież. Te omamy były inne, i to pod takim względem, którego nie potrafił opisać słowami. Może jutro zdoła opowiedzieć klarowniej, jak jego zdaniem Will wszedł w układ z chemicznym jadem krążącym w jego żyłach i dodał doń odrobinę własnego szaleństwa. Być może jutro uda mu się także zrozumieć, dlaczego, gdy mężczyzna, z którym się dopiero co kochał, wyszedł z sypialni, ze spuszczoną głową i ciałem lśniącym od potu, przez chwilę (a może nawet ciut dłużej) odniósł wrażenie, że twarz Willa rozmywa się, gałki oczne są całkiem pozbawione białek, a zęby wydłużają się i stają ostre jak szpilki. Krótko mówiąc, dlaczego mężczyzna ten został pozbawiony wszelkich oznak człowieczeństwa i na kilka uderzeń serca zamienił się w zwierzę. Zbyt dziki jak na psa i zbyt nieśmiały na wilka, przez kilka chwil wyglądał jak lis i przez cały czas chichotał nieludzko, do siebie jakby obmyślał jakiś wyjątkowo paskudny numer.

PIĘTNAŚCIE

1

Hugo nigdy nie był sentymentalny. To jeden z przymiotów filozofa, którym zawsze się szczylił, umiejętność odrzucenia maski taniej emocjonalności na rzecz odnalezienia czystszej miejsca, gdzie rzeczywistość można było badać i poznawać bez narażania się na jakiegokolwiek wewnętrzne uprzedzenia. To wszelako nie czyniło go zimnym i bez serca. Zdarzały mu się chwile słabości. Kiedy Eleanor opuściła go przed dwunastu laty, okazało się, że jest podatny na wszelkie frazesy, które wcześniej nie robiły na nim żadnego wrażenia. Zdał sobie sprawę, jak bardzo popkultura lansowała tęsknotę jako taką – w radiu puszczano piosenki o nieszczęśliwej miłości, popołudnia zaś zajmowały pełne tragizmu telenowele, w których tak lubowała się Adele. Nawet jego rówieśnicy – szacowni mężczyźni i kobiety – często poddawali się tego rodzaju trywialnościom i badali semantykę romansu. Oglądanie takich zjawisk wprawiało go w głęboką konsternację. Mierziło go, że nie potrafi obronić się przed tak banalnymi emocjami. I sprawiło, że stał się zimny jak gład. Odtąd miał serce jak z kamienia. To pomogło mu utrzymać dystans w stosunku do wiarołomnej żony. Kiedy w styczniu następnego roku próbowała się z nim pogodzić (odeszła od niego w lipcu), odmówił z odrazą, którą wznieciła w nim nienawiść wobec jego własnych słabości. Miłość pozostawiła po sobie blizny i nienawidził się za to. Nigdy już nie podda się tej zaślepiającej słabości.

Jednakże pamięć wciąż spiskowała w nim przeciwko zdrowemu rozsądkowi. Co roku, pod koniec sierpnia, gdy pojawiały się pierwsze oznaki nadchodzącej jesieni, chłodne wieczory i woń dymu unosząca się w powietrzu, wspominał najlepsze chwile spędzone wspólnie z Eleanor. Jaki był dumny, mając ją u swego boku, jaki był szczęśliwy, widząc owoce ich związku, przyjmując rolę ojca synów, którzy, w co święcie wierzył, mieli dorastać, darząc go miłością i uwielbieniem. W pierwszych latach małżeństwa siadywali razem wieczorami, on i Eleanor, snując plany na przyszłość. Wyobrażał sobie, że obejmie stanowisko na jednej z prestiżowych uczelni i będzie prowadził tam wykłady, dwa, trzy razy w tygodniu, a resztę wolnego czasu poświęci na pisanie książek, których treść odmieni sposób zachodniego myślenia. Eleanor tymczasem zajmie się wychowaniem synów, a kiedy ci już się usamodzielnia (co stanie się szybko, za sprawą genialnych rodziców), powróci do swojego hobby, czyli genealogii. Zapewne ona także napisze książkę i zyska sławę, której po cichu łaknęła.

Takie mieli plany. I nadzieje. Aż tu nagle Nathaniel zginął w wypadku i wszystkie ich zamierzenia prysły jak mydlane bańki. Eleanor, która zawsze była słaba psychicznie, musiała przyjmować coraz więcej leków, książki, które Hugo zamierzał napisać, nijak nie chciały przelać się z jego umysłu na papier. A przeprowadzka z Manchesteru – która podówczas wydawała się w pełni uzasadniona i racjonalna – także spowodowała niemiłe w skutkach reperkusje. Pierwsza jesień to był kompletny nadir. Choć później zdarzały im się trudne chwile, to właśnie szaleństwo tamtego października i listopada odarło go do cna z optymizmu. Nathaniel, zawierający w sobie najlepsze cechy obojga rodziców (współczucie i grację Eleanor,

oraz chłodny pragmatyzm i dążenie do prawdy Hugona), odszedł na zawsze. Will tymczasem stał się nicponiem i psotnikiem, jego nieznośne zachowanie i umiłowanie tajemnic tylko upewniło Eleanor, że to co najlepsze zniknęło z jej życia, toteż nie miała oporów przed wprawianiem się za pomocą lekarstw w stan permanentnego otępienia.

Same złe wspomnienia. A mimo to, kiedy myślał o Eleanor (co zdarzało mu się dość często), odzywała się w nim sentymentalna tęsknota i natychmiast czuł nieprzyjemny ucisk w żołądku i krtani. Nie chodziło o to, że pragnął jej powrotu (od tej pory ułożył sobie życie, choć w nowym związku nie było krzty romantyzmu), lata, które wspólnie spędzili – te dobre i złe, i nijakie – przeszły już do historii, a kiedy ją wspominał, oczyma duszy widział twarz Eleanor, jej oblicze z najlepszych, złotych lat ich małżeństwa, kiedy wciąż wierzył, że wspólnie osiągną wszystko i spełnią swoje najskrytsze marzenia. Wówczas, wbrew sobie, czuł olbrzymią tęsknotę. Nie tęsknił za byłą żoną ani za życiem, które wspólnie prowadzili, a już na pewno nie za ich jedynym, pozostałym przy życiu synem – tęsknił za Hugonem, który w owym czasie był tak egoistycznie dumny i arogancki, że wierzył, iż może cokolwiek znaczyć.

Teraz już za późno. Nie odmieni świata myśli filozoficznej błyskotliwie sformułowanymi tezami. Nie był nawet w stanie wzbudzić zainteresowania studentów podczas swoich wykładów, ich tępy wyraz twarzy pozostawał niezmienny aż do końca zajęć; co tu mówić o rozpaleniu w nich płomienia inspiracji, nawet nie próbował się wysilać.

Przestał czytać prace swoich kolegów po fachu – w większości i tak nadawały się jedynie na śmietnik – a dzieła będące ongiś jego bibliami, głównie autorstwa Heideggera i Wittgensteina od dawna pokrywały się kurzem. Upłynęło sporo czasu od dnia, gdy sięgnął po nie po raz ostatni. Wyczerpał je do cna lub co bardziej prawdopodobne wyczerpał swoją z nimi interakcję. Nie chodziło o to, że nie mógłby już nic z nich zaczerpnąć, po prostu on nie miał już ochoty niczego się z nich dowiedzieć. Miał dość nauki. Filozofia nie uczyniła go ani odrobinę szczęśliwszym. Jak w przypadku niemal całego życia, filozofia oferowała wartości mające z pozoru głębokie znaczenie i wiodące ku oświeceni, które po bolesnym przyjrzeniu się, okazywały się jałowe i puste.

To jedna z przyczyn, dla której po odejściu Eleanor nie wrócił do Manchesteru. Nie miał ochoty wracać na stare śmieci, by publikować artykuły, których treść nie zainteresowałaby nawet jego samego. Drugim powodem była Adele. Jej mąż Donald zmarł na postępującego, złośliwego raka dwa lata przed odejściem Eleanor, a gdy Adele owdowiała, zaczęła bardziej niż kiedykolwiek dbać o potrzeby domu państwa Rabjohns. Hugo polubił jej proste maniery, prostą kuchnię, proste emocje i choć daleko jej było do urody Eleanor, nie zawahał się jej uwieść. Może zresztą „uwiedzenie” nie było w tym przypadku adekwatnym słowem. Adele nie należała do osób potrafiących docenić zalety wykwintnych umizgów i koniec końców Hugo zaciągnął ją do łóżka, mówiąc wprost, że potrzeba mu towarzystwa kobiety, i wmawiając, że zapewne i ona zatęskniła już za bliskością mężczyzny. Owszem, odparła, od czasu do czasu brak jej kogoś, do kogo mogłaby się przytulić, zwłaszcza w chłodne noce. W tydzień po tej rozmowie, gdy noc była wyjątkowo mroźna, Hugo powtórzył swoją propozycję. Posłała mu w odpowiedzi uśmiech, który zapewne w jej mniemaniu miał być zmysłowy, na jej policzkach pojawiły się zabawne

dołączki, a potem oboje wylądowali w łóżku. Z czasem to stało się dla nich swoistym rytuałem. Adele spędzała cztery noce w tygodniu w swoim domu, ale w piątki, soboty i środy zostawała z Hugonem. Po sfinalizowaniu rozwodu z Eleanor Hugo zaproponował jej nawet, aby się pobrali, na co ona odparła, że obecny układ w pełni jej odpowiada. Stwierdziła, że ma już dość bycia żoną. Wystarczy jej tego do końca życia. Tym sposobem nie byli ze sobą związani i tak było najlepiej dla nich obojga.

Tak oto życie toczyło się dalej na swój pospolity, codzienny sposób i, pomimo rozczarowań, Hugo na dobre zadomowił się w Burnt Yarley. Nie sądził, że to może go spotkać. Nie był miłośnikiem przyrody (teoria nawet przypadła mu do gustu, ale praktyka miała inne, lepkie i cuchnące oblicze), lecz cykl zachodzących w niej zmian był w stanie ukoić jego z gruntu mieszczańską duszę. Orka, zasiew, czas dojrzewania i pora żniw, narodziny żywego inwentarza, ich dorastanie, ubój i przetwarzanie na mięso i wędliny, które były potem zjadane. Hugo przestał zajmować się domem, który za duży jak na niego z wolna popadał w ruinę. Nie przejmował się tym, że należałoby naprawić uszkodzone rynny czy butwiejące framugi okien. Kiedy ktoś w Płow wspomniał, że zawałiła się część frontowego muru w ogrodzie, stwierdził, że jest z tego zadowolony. Owce będą mogły wejść do środka i zrobić porządek z trawnikiem. W wiosce miał wśród większości mieszkańców opinię ekscentryka i wcale nie starał się temu zaprzeczać. Niegdyś chełpił się swoim zamiłowaniem do elegancji i wystawnego ubioru. Teraz nosił to, co wpadło mu w ręce, i często były to nader osobliwe kombinacje. W zatłoczonych miejscach, jak na przykład w pubie, jego głuchota (nieco słabsza w przypadku lewego i poważna, jeżeli chodzi o prawe ucho) sprawiała, że krzyczał do swoich rozmówców, co jedynie wzmagало jego opinię jako nieszkodliwego, ekscentrycznego dziwaka. Godzinami siedział przy barze, sącząc brandy i dyskutując na różne tematy. Słyszając, jak donośnym głosem wyklócał się o swoje racje, nikt nigdy by nie pomyślał, że ten człowiek do reszty utracił wiarę i wyznawane wcześniej przekonania. Zażarcie dyskutował o polityce (gdy go pytano, stwierdzał, że jest marksistą), religii (która rzecz jasna stanowiła opium dla mas), rasizmie, rozbrojeniu czy Francuzach, wciąż był na tyle dobrym demagogiem, by zwyciężyć w dwóch z trzech potyczek słownych, choć często odgrywał rolę adwokata diabła, lub bronił racji, w które sam nie wierzył.

Nie rozmawiał jedynie o Willu, choć rzecz jasna, w miarę jak rosła popularność i reputacja Willa, ludzie coraz bardziej interesowali się jego osobą. Od czasu do czasu, gdy Hugo wypił o parę brandy za dużo, odpowiadał obojętnie na rzuconą przez kogoś uwagę czy wyrażoną mimochodem opinię, lecz ci co go znali, szybko zorientowali się, że ojciec nie jest dumny ze swego syna. Ci, którzy mieli dobrą pamięć, wiedzieli dlaczego. Chłopak Rabjohnsów brał udział w najpóźniejszym chyba wydarzeniu w całej historii Burnt Yarley. Od dwudziestu dziewięciu lat, córka Delberta Donnelly'ego w pierwszą niedzielę każdego miesiąca przynosiła kwiaty na grób ojca i wciąż można było zgarnąć nagrodę za informacje mogące doprowadzić do ujęcia jego zabójców (ufundował ją producent mięsa i wędlin z Halifaxu, na spółkę z którym Delbert produkował swoje kielbasy i pasztety). W dniu, kiedy zginął, grał rolę Dobrego Samarytanina, poszukując wśród zamieci zagubionego dziecka, które uciekło z domu i które, jak wierzyli ci, co wciąż usiłowali rozwikłać tę zagadkę, było w jakiś sposób powiązane z zabójcami. Nic nigdy nie zostało udowodnione, ale wszyscy śledzący drogę ku sławie Willa Rabjohnsa byli w większym lub mniejszym stopniu poruszeni perwersyjnością jego prac. Nikt w całej wiosce nie użyłby rzecz jasna tego określenia, może z wyjątkiem Hugona. Powiadali jedynie, że to „trochę dziwne, coś jest z tym nie tak” lub, gdy ogarniał ich zabobonny nastrój, dodawali, że „diabeł musiał maczać w tym palce”. Z całą pewnością nie było normalne, że Will jeździł po świecie, fotografując umierające zwierzęta. To stanowiło jeszcze jeden dowód dla wszystkich

zainteresowanych, że Will Rabjohns urodził się pod złą gwiazdą. I był czarną owcą, przez co wypierał się go nawet własny ojciec. Milczenie Hugona nie oznaczało, że nie myślał o Willu. Choć rzadko rozmawiał z synem – gdy nawet się to zdarzało, ich rozmowy były oschłe i zdawkowe – to tajemnice wydarzeń owej zimy sprzed trzech dekad (i udział w nich jego syna) niepokoiły go, w miarę upływu czasu coraz bardziej, choć nigdy nie przyznałby się nikomu, dlaczego tak było. Zawiodła go filozofia, miłość, a także ambicje i własne ego. Jego jedyną nadzieją pozostało nieznanie. Rzecz jasna, nieznanie było wszędzie. We współczesnej fizyce, w chorobach, w oczach sąsiadów. Jednak jego najbliższe spotkanie z nieznanym ograniczało się do wydarzeń owej odległej, burzliwej nocy. Gdyby zdał sobie wówczas sprawę, że wydarzy się coś niezwykłego, zwróciłby na to baczniejszą uwagę, zapamiętałby towarzyszące temu symptomy, by móc później oddzielić drogę do Tajemnicy. Był jednak wtedy zbyt zajęty własną osobą, by na to zważać. Dopiero teraz, kiedy wszystkie inne interesujące go elementy usunęły się w cień, dostrzegł tkwiącą w tle Tajemnicę – błyszczącą, zimną i odległą jak gwiazda na niebie.

Przeczytał w Newsweeku wywiad, w którym jego syn zapytany o wartości, które cenił sobie najbardziej, wymienił cierpliwość. Ma to po mnie, pomyślał Hugo. Ja potrafię czekać. Tak właśnie spędził kolejne dni, odkąd opuścił Manchester. Siedział w swoim gabinecie, paląc francuskie papierosy i czekając. Kiedy Adele przynosiła mu kanapki albo herbatę, udawał, że z przejęciem czyta jakiś artykuł w gazecie, kiedy jednak opuszczała pomieszczenie, natychmiast znów kierował wzrok za okno, obserwując cienie chmur przesuwające się po stoku wzgórza za domem. Nie wiedział, na co konkretnie czeka, ale ufał swoim przeczuciom i był pewien, że gdy nadejdzie ten dzień, będzie gotowy, by stawić czoło wyzwaniu.

SZESNAŚCIE

Lato było deszczowe, a ulewy na początku sierpnia tak silne, że zniszczyły większość zbóż, jeszcze przed żniwami. Teraz, w ostatnim tygodniu sierpnia, pola wciąż były rozmyte, a zboże, które przetrwało deszcze,gniło.

–Wam to dobrze – rzucił Ken Middleton, właściciel największej polaci pól uprawnych w dolinie, rozmawiając z Hugonem w pubie. – Tacy ja ty nie muszą się martwić o żniwa i wszystko, co jest z nimi związane, jak my, ludzie pracujący.

–Myśliciele to także ludzie pracujący, Kenneth – odparował Hugo. – Tyle tylko że nie pocimy się zbyt przy tej robocie.

–Nie chodzi tylko o ulewy – wtrącił Sauls. – Chodzi ogólnie o całokształt. Sauls był kumplem Middletona, wspólnie wychylili niejeden kufelek. – Nawet mój tatko twierdzi, że wszystko się sypie.

Geoffrey, tatko Matthewa, próbował rozmawiać o tym z Hugonem kilka miesięcy temu, kiedy Hugo nieroztropnie zgodził się towarzyszyć Adele na jednym z dorocznych festynów, na którym brała udział w konkursie wyrobu domowych pikli. Zjawiała się tam także żona Geoffreya i podczas gdy kobiety wdały się w pogawędkę (z typową dla rywalek rezerwą), Hugo znalazł się w towarzystwie Starego Saulsa. Mężczyzna rozpoczął bez ostrzeżenia ożywiony monolog na temat morderstwa, dokonanego w Newcastle przez dziecko zabójstwa na innym dziecku. Świat bardzo się zmienił, powtarzał raz po raz. Już nie jest taki jak niegdyś. To, co kiedyś było nie do pomyślenia, stawało się codziennością. Świat bardzo się zmienił.

–Wiesz, na czym polega problem z twoim tatką, Matthew? – spytał Hugo.

–Jest kompletnie szurnięty – wtrącił Middleton.

–To akurat nie ulega wątpliwości – odparł Hugo. – Ale nie o to mi chodziło. – Dopił swoją brandy i odstawił szklaneczkę na bar. – Jest stary. A starym zawsze się wydaje, że wszystko nieuchronnie zbliża się ku końcowi. Tym samym łatwiej im rozstać się z tym światem.

Matthew nie odpowiedział. Wlepił wzrok w swoje piwo. Middleton zapytał:

–Mówisz tak na podstawie własnego doświadczenia?

Hugo uśmiechnął się.

–Myślę, że mam przed sobą jeszcze ładne parę lat – stwierdził. – Cóż, panowie. Ja na dziś mówię już: pas. Na razie. Być może do jutra. Czas na mnie.

Rzecz jasna, to było kłamstwo; nie potrzebował więcej czasu, by pojąć punkt widzenia starego Saulsa. Czuł, jak ta świadomość narasta w nim samym. Głoszenie złych wieści zdawało

się przysparzać ludziom ponurej satysfakcji. Któż, będąc przy zdrowych zmysłach, świadom, że nie pozostało mu już wiele czasu, nie cieszyłby się z jego rychłego upadku? Może jego proroctwa brzmiałyby zgoła inaczej, gdyby miał wnuki i udałoby mu się odnaleźć choć krztę optymizmu w zalewie złych wieści, nowin dotyczących zbrodni i klęski nieurodzaju.

Nathaniel jednak, który z pewnością dałby mu wspaniałe wnuki, nie żył już od trzydziestu lat, Will zaś był odszczepieńcem. Dlaczego Hugo miałby życzyć temu światu wszystkiego najlepszego, skoro po jego odejściu nie pozostanie tu nikt, kogo kochał? Było coś przyjemnego w odgrywaniu proroka zagłady, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Gdy wracał tej nocy do domu (zawsze wracał pieszo, nawet w srogą zimę, bo za bardzo lubił brandy, by odważyć się zasiać za kółkiem), w jego marszu pojawiła się sprężystość i zadziorność, której by nie było, gdyby wieczorna debata okazała się trochę bardziej optymistyczna. Wymachując laseczką, którą nosił nie po to, by się na niej wspierać, lecz dla szpanu, znalazł się na milowej długości nieoświetlonym odcinku drogi pomiędzy wioską a domem. Nie czuł lęku, wędrując w ciemnościach. Nie było tu żadnych zabudowań, ani złodziei, którzy mogliby czyhać na podpitego, samotnego mężczyznę. Rzadko spotykał kogoś na drodze.

Tej nocy jednak stało się inaczej. W odległości jednej trzeciej mili od wioski dostrzegł zmierzającą w jego stronę parę – mężczyznę i kobietę. Choć nie było księżyca, gwiazdy rzucały dość silne światło i znalazłszy się w odległości kilkunastu jardów od nich, stwierdził, że to jacyś obcy. Czy byli parą turystów rozkoszujących się nocnym spacerem? Uciekinierami z miasta, dla których nie było nic bardziej urzekającego niż oglądanie pejzażu ciemnych wzgórz i bezmiaru rozgwieżdżonego nieba? Jednak, im bardziej się do nich zbliżał, tym większą miał ochotę zawrócić. Spróbował się uspokoić. Nie mogę zachowywać się jak stary głupiec, pomyślał. Po prostu powie im dobry wieczór, a oni go miną i na tym całe spotkanie się zakończy. Nieznacznie przyspieszył kroku i już miał się odezwać, kiedy mężczyzna – w srebrzystym świetle gwiazd uderzająco przystojny – spytał:

–Czy to ty, Hugonie?

–Tak, to ja – odparł. – Czy my się...

–Byliśmy w twoim domu – powiedziała kobieta – ale cię nie zastaliśmy.

–Więc wyszliśmy ci naprzeciw – ciągnął mężczyzna.

–Czy my się znamy? – zapytał Hugo.

–Minęło sporo czasu – rzekł mężczyzna.

Wyglądał na jakieś trzydzieści dwa lub trzy lata, ale w jego wyglądzie i postawie było coś, co Hugo uznał za sztuczkę światła.

–Nie był pan moim studentem, prawda?

–Nie – odparł mężczyzna. – Bynajmniej.

–Wobec tego proszę wybaczyć, ale nie przypominam sobie – powiedział Hugo, odrobinę skonfudowany.

–Znamy twojego syna – wtrąciła kobieta. – Znamy Willa.

–Ach – mruknął Hugo. – W takim razie życzę szczęścia. I pomaszerował dalej.

–Gdzie on jest? – zapytała kobieta, zwracając się do mijającego ją Hugona.

–Nie wiem – odrzekł Hugo, nie patrząc na nią. – Może być wszędzie. Jak zapewne wiecie, błąka się to tu, to tam. Jeżeli jesteście jego przyjaciółmi, powinniście wiedzieć, że on nie potrafi usiedzieć dłużej w jednym miejscu.

–Zaczekaj! – rzucił mężczyzna i podążył za Hugonem. W jego zachowaniu nie było agresji, ale Hugo ścisnął mocniej laskę, na wypadek gdyby został zmuszony jej użyć. – Gdybyś mógł mi pomóc...

–Pomóc?

Hugo odwrócił się do mężczyzny; czuł się niezręcznie, mając go za sobą. Wolał raczej stawić mu czoło. Im szybciej ta dziwna para pójdzie w swoją stronę, tym lepiej.

–Znaleźć Willa – powiedział przyjaznym tonem mężczyzna.

Aż dziw bierze, pomyślał Hugo, jacy nieznośni są obecnie ludzie. Bez wątpienia to Amerykanie. Pół minuty rozmowy i już uważają się za twoich serdecznych przyjaciół. To okropne. Do czego zmierza ten świat!

–Jeżeli życzy pan sobie przekazać mu wiadomość – rzekł Hugo – sugeruję, aby skontaktował się pan z jego wydawcą...

–Jest pan jego ojcem...

–To moje brzemię – uciął Hugo. – Ale jeśli podziwiacie państwo jego dokonania...

–Oczywiście – wtrąciła kobieta.

–W takim razie muszę państwa ostrzec, że przy bliższym poznaniu z pewnością się rozczarujecie.

–Wiemy, jaki on jest – rzekł mężczyzna. – Wszyscy wiemy, jaki on jest, Hugonie. A zwłaszcza ty i ja.

Hugo miał już dość tej sztucznej zażyłości. Machnął laską przed nosem tamtego.

–Nie mamy sobie nawzajem nic do powiedzenia – stwierdził. – A teraz proszę, żebyście dali mi spokój.

Zaczął się wycofywać, choć w głębi duszy spodziewał się, że mężczyzna podąży za nim. Ale nieznajomy stał bez ruchu, z rękoma w kieszeniach, obserwując cofającego się Hugona.

–Nie wierzę – zaproponował mężczyzna. – Jesteś filozofem. Wiesz, jak jest.

–Nie jestem filozofem – odparował Hugo. – Jestem trzeciorzędnym nauczycielem trzeciorzędnych uczniów, których nie interesuje wiedza, jaką staram się im przyswoić. To moja droga życiowa i jestem z niej dumny, bo mogłem przecież trafić znacznie gorzej. Moja żona mieszka w Paryżu z mężczyzną o połowę młodszym ode mnie, mój ukochany syn nie żyje i od trzydziestu lat gnije w ziemi, drugi natomiast jest zdeklarowanym pedałem, a jego ego jest odwrotnie proporcjonalne do osiągnięć. Ot i wszystko! Zadowolony? Czy wyraziłem się dostatecznie jasno? Innymi słowy: Czy mogę już odejść?

–Och – jęknęła kobieta. – Tak mi przykro.

–Dlaczego?

–Straciłeś dziecko – powiedziała. – My także straciliśmy kilkoro naszych, Jacob i ja. Nigdy się z tego nie otrząsnęłam.

–Jacob? – mruknął Hugo i w jednej chwili zorientował się z kim rozmawia. Ogarnęło go dziwne uczucie, którego nie zdołał zidentyfikować.

–Tak, to my – rzekł łagodnym tonem mężczyzna, czując, że zostali rozpoznani.

Ulga, pomyślał Hugo. Oto co czuję. Odczuwam ulgę. Czekanie dobiegło końca. Tajemnica znajduje się o krok ode mnie, a w każdym razie jest bardzo blisko. Odrobina wysiłku i zdołam ją zgłębić.

–To, rzecz jasna, Rosa – dodał Hugo.

Rosa dygnęła jak mała dziewczynka.

–Czy teraz możemy wreszcie zostać przyjaciółmi?

–Sam... nie... wiem...

–Och, doskonale wiem o czym myślisz. O Delbercie Donnellym. To jej robota, i nie zamierzam cię oszukiwać. Ona potrafi być okrutna, niekiedy nawet niebezpieczna, zwłaszcza gdy jest podniecona. Ale zapłaciliśmy za to. Spędziliśmy trzydzieści lat na odludziu; każdej nocy nie byliśmy pewni dokąd trafimy i gdzie przyjdzie nam spędzić kolejny dzień.

–Czemu więc postanowiliście tu wrócić? – spytał Hugo.

–Mamy swoje powody – odparł Jacob.

–Powiedz mu – poprosiła Rosa. – Wróciliśmy po Willa.

–Nie mogę...

–Tak, wiemy – mruknął Jacob – ponieważ z nim nie rozmawiasz i wcale ci na nim nie zależy.

–Zgadza się.

–Cóż, miejmy nadzieję, że jemu zależy na tobie bardziej, niż tobie na nim.

–Co to ma znaczyć?

–Miejmy nadzieję, że przybędzie w te pędy, gdy usłyszysz o twoich kłopotach.

–Oby to nie były pogrożki – mruknął Hugo. – Bo jeżeli tak...

Nie zauważył ciosu, który go dosięgnął. Żaden błysk w oku Jacoba ani zmiana w jego postawie nie zasugerowały Hugonowi, że czas eleganckiej i kulturalnej rozmowy dobiegł końca. W jednej chwili uśmiechał się pogodnie, a w następnej rąbnął Hugo tak mocno, że ten wylądował na ziemi pięć jardów dalej.

–Nie rób tego – odezwała się Rosa.

–Zamknij się – warknął Jacob.

Podchodząc do leżącego bezwładnie Hugona, podniósł laskę, którą mężczyzna wymachiwał przed dwiema minutami. Podczas gdy Hugo wił się i jęczał u jego stóp, Jacob starannie obejrzał laskę, wodząc dłońmi po całej jej długości. Wreszcie uniósł ją nad głowę i zadał kilka mocnych szybkich ciosów rozciągniętemu na ziemi Hugonowi. Pierwsze uderzenie wycisnęło z ust tamtego krzyk bólu i cierpienia. Drugi tylko jęk. Po trzecim wokół zapanowała cisza.

–Chyba go nie zabiłeś? – spytała Rosa, podchodząc do Jacoba.

–Jasne, że nie – odparł Jacob, ciskając laskę na ziemię, obok jej właściciela. – Chcę, żeby jeszcze trochę pożył. – Przykucnął obok rannego. Z troską sięgnął ręką i dotknął wierzchem dłoni policzka Hugona. – Słyszysz mnie, przyjacielu? – wycedził. Musnął lekko palcami jego skórę. – Hugonie? Słyszysz mnie?

Hugo jęknął żałośnie.

–Zakładam, że tak – powiedział Jacob. Mężczyzna ponownie jęknął. – No to posłuchaj. Plan jest taki – ciągnął Jacob. – Niedługo stąd odejdziemy i jeżeli nie powiadomimy kogoś, by tu przyjechał i cię zabrał, jest prawie pewne, że nie doczekasz świtu. Rozumiesz, o czym mówię? Pokiwaj głową, jeśli rozumiesz. – Hugo prawie niedostrzegalnie skinął głową. – Dobrze, teraz

wszystko zależy od ciebie. Czy chcesz umrzeć, tu, pod gwiazdami? Podejrzewam, że nikt tej nocy nie będzie tędy przechodził, tak więc masz to miejsce wyłącznie dla siebie. – Hugo spróbował coś powiedzieć. – Wybacz, nie rozumiałem. Co mówisz?

Hugo zaszlochał cichutko.

–Och, ty płaczesz. Spójrz, Roso, on płacze.

–Nie chce zostać sam – stwierdziła Rosa. – To typowe dla was, mężczyzn – poskarżyła się. – Zazwyczaj zachowujecie się jak dzieci.

Jacob skoncentrował się na Hugonie.

–Słyszałeś? – spytał. – Ona uważa nas za dzieci. Nie ma o niczym pojęcia, zgadza się? Nie wie, przez co przechodzimy. Ale zakładam, że ma rację. Nie chcesz zostać sam. Chciałbyś, żebyśmy zadzwonili z najbliższej budki telefonicznej po pomoc dla ciebie. Chcesz, by ktoś się tu zjawiał i cię znalazł, prawda?

Hugo pokiwał głową.

–I tak się stanie – zapewnił go Jacob. – Osobiście tego dopilnuję. Ale nie ma nic za darmo. W zamian musisz mi coś obiecać. Ani słowa Willowi o tym, co cię spotkało. Rozumiemy się? Jeżeli przyjedzie cię odwiedzić, a ty piśniesz mu choćby słówkiem, to co teraz czujesz – ból, panika, samotność – będzie niczym w porównaniu z tym co z tobą zrobimy. Słyszysz mnie? To będzie niczym. Skiń głową, jeżeli rozumiałeś.

Hugo pokiwał głową.

–Doskonale. Nie przejmuj się tym tak bardzo. Przecież on jest tylko... Jak go nazwałeś? Zdeklarowanym pedałem? Nie ulega wątpliwości, że nie jesteś jego najzagorzalszym wielbicielem. W przeciwieństwie do mnie. Ja go ubóstwiam. Na swój sposób, ma się rozumieć. Czyż to nie dziwne? Nie widziałem go od trzydziestu lat, więc rzecz jasna moje odczucia mogły się nieco zmienić...

Nie dokończył, westchnął i podniósł się powoli.

–Leż spokojnie – poradziła Rosa. – Jeżeli masz złamane żebro, nie powinieneś się ruszać, bo możesz uszkodzić płuco. – Po czym zwróciła się do Jacoba: – Idziesz?

–Tak. – Steep spojrział z góry na Hugona. – Spójrz, niebo gwiazdziste nad tobą. Miłej kontemplacji.

SIEDEMNAŚCIE

1

Następnego ranka po miłosnej uczcie Will obudził się na podłodze w salonie – najwyraźniej ześlizgnął się z sofy, gdzie zalegało zdjęte przez niego wczoraj ubranie. Czuł się fatalnie. Bolało go całe ciało, nawet zęby i język. Jego oczy zdawały się płonąć. Wstał niepewnie i pomaszerował do łazienki. Tam obmył twarz zimną wodą i przejrzał się w lustrze. Spokój i jasność umysłu z poprzedniego popołudnia prysły. Twarz, na którą patrzył dzień wcześniej, była teraz mapą znużenia i cierpienia – skóra blada jak płótno, oczy zaczerwienione, niesmak w ustach. Co on u licha mógł zrobić? Jak przez mgłę pamiętał sprzeczkę z Drew, ale nie miał pojęcia, o co konkretnie poszło, a tym bardziej, jak się wszystko skończyło. Najwyraźniej miał za sobą burzliwą noc, a sądząc po tym, w jakim stanie było jego ciało, załapał się na nielichą imprezkę. Miał zadrapania na plecach i klatce piersiowej, ślady zębów na ramionach. Bardziej obciążający dowód zwieszał się pomiędzy jego udami, członek i jądra były pocierane niemal do krwi, jakby potraktowano je papierem ściernym.

–Pytanie numer jeden – rzekł, przyglądając się swemu kroczu – cośmy u licha wspólnie narozrabiali? I pytanie numer dwa, kogo powinniśmy za to przeprosić?

Naturalnie, kiedy wrócił do sypialni, zastał tam potworny bałagan. Powietrze było przesycone odorem zepsutej żywności i zeschniętych rzygowin, podłoga wyglądała fatalnie. Stał w drzwiach, lustrując wzrokiem nieszczęsne resztki, podczas gdy w jego myślach pojawiły się przebłyski tego, jak zakończyło się ich wczorajsze upojne spotkanie. – Pełzł na czworakach przez walające się na podłodze resztki, rzygając jak przejezdony rzymski patrycjusz w vomitorium, zgadza się? A na zewnątrz, na podeście było pełno krwi i potłuczonego szkła, rozciął sobie na nim stopę, zanim dowlókł się do barierki.

Co było potem? Umysł nie chciał mu tego zdradzić. Nie zmuszając się do dalszego poszukiwania odpowiedzi, pozostawił fragmenty wspomnień razem ze śmieciami tam, gdzie leżały, i zamknawszy drzwi do sypialni, poszedł wziąć prysznic. Był w tym pewien schemat, stwierdził, sen, przebudzenie z wizjami, prysznic i ponowne przebudzenie, jakby cykl jego dziennych obowiązków został podporządkowany celom Lorda Lisa. To całkiem sprytna sztuczka – wykorzystał najbezpieczniejsze rytuały domowego życia, by wyzbył się wszelkich przypuszczeń. Kąpiel okazała się bardzo bolesną czynnością, mydło i woda odnajdowały na jego skórze skaleczenia, których wcześniej nie dostrzegał, ale gdy wyszedł spod prysznica, czuł się już trochę lepiej. Właśnie wycierał się ręcznikiem, kiedy ktoś natarczywie zapukał do frontowych drzwi. Will owinął się ręcznikiem w pasie i ruszył w stronę schodów, ostrożnie przestępując rozsypane na podeście odłamki szkła. Pukanie powtórzyło się, a po chwili rozległ się głos Adrianny.

–Hej, Will? Will? Jesteś tam?

–Jestem – rzekł, otwierając drzwi.

–Twój telefon nie działa – stwierdziła. – Wydzwaniam do ciebie od godziny. Mogę wejść? – Otaksowała go wzrokiem, przestępując próg. – Chłopie, chyba miałeś naprawdę ciężką noc.

Zaprowadził ją do kuchni.

–Co się stało z twoimi plecami? – spytała, idąc za nim.

–Nic. Nieważne. Nie mów mi. Chcesz kawy czy...?

–Ja się tym zajmę. Ty za to powinieneś zadzwonić do Anglii.

–Po co?

–Coś się stało z twoim tatą. Żyje, ale ponoć jest z nim kiepsko. Nie chcieli powiedzieć mi o co chodzi.

–Kto nie chciał ci tego powiedzieć?

–Twoi agenci z Nowego Jorku. Najwyraźniej ktoś próbował cię odnaleźć i ktokolwiek to był, przekonał ich, by się z tobą skontaktowali, a gdy im się nie udało, zadzwonili do mnie. Staralam się przez godzinę do ciebie dodzwonić, ale, jak wiesz, bezskutecznie...

Wciąż mówiła, podczas gdy Will wszedł do salonu i stwierdził, że telefon jest odłączony. To bez wątpienia była robota Drew, by nikt im nie przeszkadzał podczas wieczornej orgietki. Will podłączył aparat.

–Czy wiesz, kto próbował się ze mną skontaktować?

–Jakaś Adele.

–Adele?

–Przy telefonie.

–To ja. Will.

–O Boże. Mój Boże, Will... Próbowałam się do ciebie dodzwonić...

–Tak, wiem...

–On jest w strasznym stanie. Naprawdę. W okropnym stanie.

–Co mu się stało?

–Nie wiemy. Chyba ktoś próbował go zabić. Wszystko na to wskazuje.

–W Manchesterze?

–Nie, nie, tutaj. O pół mili od domu.

–Jezu.

–Strasznie go pobito. Ma wstrząśnienie mózgu, a poza tym trzy złamane żebra i pogruchotaną rękę.

–Czy policja wie, kto to zrobił?

–Nie, ale wydaje mi się, że ON wie, tylko nie chce tego wyjawić. To bardzo dziwne. I właśnie to mnie przeraża, naprawdę, bo gdyby ten ktoś – ktokolwiek to był – wybuchnęła płaczem – wrócił... nie wiedziałabym, do kogo jeszcze mogłabym się zwrócić... wiem, że on i ty nie rozmawiacie od dłuższego czasu, ale... myślę, że powinieneś się z nim zobaczyć.

Sens jej słów był jasny, choć nie potrafiła wyrazić go w prosty sposób. Bała się, że Hugo nie przeżyje.

–Przyjadę – powiedział.

–Naprawdę?

–Oczywiście.

–Och, to cudowne. – Sprawiała wrażenie naprawdę szczęśliwej, najwyraźniej jego szybka decyzja dodała jej otuchy. – Wiem, że to może zabrzmieć egoistycznie, ale spadł mi kamień z serca.

–To wcale nie zabrzmiało egoistycznie – odparł Will. – Zaraz poczynię niezbędne przygotowania, a gdy tylko zjawię się w Londynie, natychmiast zadzwonię do ciebie.

–Czy mam go powiadomić?

–O moim przyjeździe? Nie, raczej nie. Całkiem możliwe, że w ogóle nie zechce się ze mną zobaczyć, lepiej niech to będzie dla niego niespodzianka.

Na tym rozmowa dobiegła końca. Will pokrótce opowiedział Adriannie, co się wydarzyło, i spytał, czy mogłaby zarezerwować dla niego bilet na samolot do Anglii, najlepiej na najbliższy lot. Pozostawiając ją w gabinecie na dole, poszedł na piętro, by się spakować. Musiał znów stawić czoło bałaganowi w sypialni, co nie było zbyt przyjemne, ale posprzątał cały ten bajzel w prześcieradło, na którym walały się resztki jedzenia, poupychał wszystko do plastikowych

worków i wyniósł je na podest, by później znieść na dół i wyrzucić do śmietnika. Następnie otworzył okno, żeby trochę przewietrzyć sypialnię, wyciągnął z szafy walizki i zajął się ich pakowaniem.

Adrianna zarezerwowała mu bilet na wieczorny samolot z San Francisco. Tym sposobem powinien jutro koło południa znaleźć się na lotnisku Heathrow w Londynie.

–Jeżeli nie masz nic przeciwko temu – rzekła Adrianna – chciałabym tu zajrzeć pod twoją nieobecność i poprzeglądać te zdjęcia, które pozdejmowałeś z tablicy...

–Odpady?

–Tak. Może uznasz, że mi odbiło, ale z tych fotografii można by złożyć całkiem niezły album. Albo przynajmniej urządzić wernisaż.

–Proszę bardzo. Na razie nie mam ochoty na oglądanie jakichkolwiek zdjęć. Możesz wziąć je wszystkie. Są twoje.

–Czy ty aby nie przesadzasz? To dość ekstremalne posunięcie.

–Tak się właśnie czuję. Ekstremalnie.

–Z jakiegoś konkretnego powodu?

Było to nieco zbyt skomplikowane i wyjaśnienia zajęłyby za dużo czasu, o ile w ogóle znalazłby odpowiednie słowa, w co szczerze wątpił.

–Może pomówimy o tym gdy wrócę – powiedział.

–Długo tam zostaniesz?

Will wzruszył ramionami.

–Nie wiem. Jeżeli faktycznie stan ojca jest beznadziejny, zostanę, dopóki nie umrze. Czy nie tak powinienem zrobić?

–To dziwne pytanie.

–Tja. Tylko pamiętaj, że nasze relacje też są nietypowe. Nie rozmawialiśmy od dziesięciu lat, nie zapominaj o tym.

–Ale przecież często o nim mówisz.

–Nieprawda.

–Naprawdę, Will. Bardzo często o nim wspominasz. Zwykle są to tylko rzucone mimochodem dygresje, ale powstał z nich całkiem udany portret jego osoby.

–Wiesz, to w zasadzie niezły pomysł. Powinienem zrobić mu zdjęcie. Jego portret. Coś dzięki czemu zostanie zachowany dla potomności.

–Mężczyzna, który był ojcem Willa Rabjohnsa.

–O nie – rzucił Will, wracając na górę po aparat. – To nie Hugo.

Kiedy Adrianna zapytała go, kim właściwie nie był Hugo, naturalnie, odmówił odpowiedzi.

Przed wyjazdem na lotnisko odwiedził jeszcze Drew i Patricka. Kilkakrotnie telefonował do Drew, ale że nikt nie podniósł słuchawki, złapał taksówkę i udał się do domu przy Cumberland. Przez metalową kratę w sieni dostrzegł stojący na korytarzu rower Drew, niemal jawny dowód, że jego właściciel jest w mieszkaniu, ale, mimo że Will kilkakrotnie naciskał przycisk dzwonka, nikt mu nie otworzył. Będąc przygotowanym na taką ewentualność, wsunął krótki liścik w szczelinę pomiędzy kratą a murem; napisał tylko parę słów, informując Drew, że musi pilnie wyjechać do Anglii i ma nadzieję wkrótce się z nim skontaktować. Następnie wrócił od taksówki i pojechał na Castro, gdzie mieszkał Patrick. Tym razem został wpuszczony, drzwi otworzył nie Patrick, lecz Rafael. Mężczyzna miał katar i przekrwione oczy.

–Alergia? – spytał Will.

–Nie – odparł Rafael. – Pat właśnie wrócił ze szpitala. Nie jest dobrze.

–Czy to Will? – z salonu dobiegł głos Patricka.

–Wejdz – rzucił półgłosem Rafael i wciąż kichając i pociągając nosem, udał się do kuchni.

Patrick siedział – a jakżeby inaczej? – przy oknie, choć panoramę miasta przesłaniał gęsty smog.

–Przystaw sobie krzesło – rzekł do Willa, a ten natychmiast wypełnił polecenie. – Widok jest do bani, ale co mi tam.

–Rafael mówi, że byłeś w szpitalu.

–Przedstawiłem ci na imprezie mojego lekarza Franka Webstera, prawda? Małego grubaska, który używa w nadmiarze wody kolońskiej? Spotkałem się z nim dziś rano, a on całkiem szczerze wyznał, że zrobił dla mnie wszystko, co mógł. – Z kuchni znów dobiegło głośne kichanie. – Jezu, biedny Rafael. Gdy się zdenerwuje zaraz zaczyna kichać. Ten stan trwa zwykle kilka godzin. Byłem z nim na pogrzebie jego matki i cała jego rodzina – ma trzech braci i trzy siostry – wszyscy kichali. Nie słyszałem ani słowa z tego, co mówił ksiądz. – To brzmiało coraz bardziej jak jedna z opowieści Patricka, ale niech tam, grunt, że na jego ustach znów pojawił się uśmiech. – Pamiętasz tego ślicznego Francuzika, z którym spotykał się Lewis? Mervina? Miałeś z nim romans.

–Nieprawda.

–W takim razie jesteś jedyny. Tak czy owak, ten facet kichał za każdym razem, gdy dochodził, kichał jak z armaty. U Lewisa omal przez to nie skręcił sobie karku, kiedy kichając zwał się ze schodów, przysięgam.

–To straszne.

–Nie wierzysz w to co mówię.

–W ani jedno słowo.

Pat spojrział na Willa i uśmiechnął się ironicznie.

–No więc – rzucił – czemu mam zawdzięczać ten zaszczyt?

–Opowiadałeś o Websterze.

–To może poczekać. Widzę wyraz determinacji na twojej twarzy. Co jest grane?

–Muszę wyjechać do Anglii. Wylatuję jeszcze dziś wieczorem.

–Nagła sprawa.

–Z ojcem jest kiepsko. Ktoś nielecho go potraktował.

–Mogę przysiąc, że tej nocy byłeś u mnie – stwierdził Patrick.

–To naprawdę poważne, Pat. Źle z nim.

–Bardzo źle?

–Nie wiem. Dowiem się na miejscu. I to tyle. A teraz wróćmy do Webstera.

Patrick westchnął.

–Odbyłem z nim dziś poważną rozmowę. Zachował się wspaniale. Zawsze trzymamy rękę na pulsie, na wypadek gdyby ktoś gdzieś wynalazł jakieś nowe lekarstwo. Ale – wzruszył ramionami – chyba zabrakło nam pomysłów i środków. – Znowu spojrział na Willa. – Koniec pieśni, Will. Wiesz, coś ci powiem. Choroba to paskudna sprawa. Nieraz mieliśmy okazję oglądać jej przebieg, obaj wiemy jak to wygląda. Ale ze mną tak nie będzie.

To było jak typowa reakcja Patricka, zawsze dumnego, nieugiętego i zuchwałego, w jego słowach jednak brakowało ognia i gniewu, pobrzmiewała w nich jedynie nuta porażki.

–Kilka nocy temu miałem sen. Byłem w lesie, w ciemnym lesie, i byłem nagi. Nie było w tym żadnych erotycznych skojarzeń czy podtekstów. Po prostu byłem nagi. I wiedziałem, że wszystkie te stworzenia zbliżają się do mnie. Jedne szły po moje oczy. Inne po moją skórę. Wszystkie chciały uszczknąć choć kawałek mego ciała. Kiedy się obudziłem, pomyślałem: Nie dopuszczę do tego. Nie zamierzam tak siedzieć i znikać, kawałek po kawałku.

–Rozmawiałeś o tym z Bethlynn?

–O tym, co usłyszałem od Franka, jeszcze nie. Mam z nią sesję jutro po południu. – Oparł potylicę o zagłówek i zamknął oczy. – Sporo o tobie rozmawialiśmy, co cię zapewne ucieszy. Miała o tobie całkiem niezłe mniemanie, dopóki cię nie poznała. Teraz wszystko wzięło w łeb. Tak jak my wszyscy, zastanawia się, skądinąd bez rezultatu, co cię tak naprawdę nakręca.

–To żadna tajemnica – rzekł Will.

–Któregoś dnia – kontynuował leniwie Patrick – doznam objawienia dotyczącego twojej osoby i wszystko, co się z nią wiąże, nagle nabierze sensu. Dlaczego byliśmy przez pewien czas razem. I dlaczego się rozstaliśmy. – Otworzył jedno oko i spojrzał na Willa. – Nawiasem mówiąc, czy byłeś ubiegłej nocy w „Penitencie”?

Will nie był pewien.

–Być może – odparł. – Czemu pytasz?

–Przyjaciel Jacka mówił, że widział cię, jak stamtąd wychodzisz. Miałeś taką minę, jakbyś niezłe narozrabiał. Naturalnie, broniłem twojego honoru jak lew. Ale to nie byłeś ty, prawda?

–Szczерze mówiąc, nie pamiętam.

–Mój Boże, nieczęsto słyszy się coś takiego. Wszyscy są zbyt czyści i trzeźwi. Nie pamiętasz? Jesteś dinozaurem, Will. Homo Castro, rocznik tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt pięć. – Will zaśmiał się. – Prymitywny małpolud o przerośniętym libido i nieustannie przeszkłonym wzroku.

–Bywały takie szalone noce.

–Pewno, że tak – mruknął Patrick i lekko się uśmiechnął. – Ale nie chciałbym do tego wracać, a ty?

–Szczерze?

–Szczерze. Robiłem w swoim życiu różne szalone rzeczy i było naprawdę cudownie. Ale to już minęło. Przynajmniej dla mnie. Teraz szukam więzi z czymś innym, całkiem nowym.

–I jakie to uczucie?

Patrick znów zmrużył powieki. I odparł ciepło:

–Wspaniale. Bywa, że czuję obecność Boga. Jest tu, obok mnie. Przy mnie.

Zamilkł. Cisza, jaka wówczas zapadła, zwykle poprzedza słowa o szczególnym znaczeniu. Will milczał. Cekał na to, co miało nastąpić.

Wreszcie Patrick powiedział:

–Mam pewien plan, Will.

–Kiedy zamierzasz go zrealizować?

–Niedługo. Kiedy mój stan znacznie się pogorszy. – Znow zapadła cisza. Will czekał cierpliwie.

– Chcę, żebyś był tutaj, Will – rzekł Patrick. – Chciałbym umrzeć, patrząc na ciebie i żebyś ty patrzył na mnie.

–Skoro tego chcesz, to tak właśnie będzie.

–Kto wie – mruknął Patrick. – Może tak się jednak nie stanie. – Głos miał spokojny, opanowany, ale spod opuszczonych powiek chorego spłynęły na policzki łzy. – Któż to wie. Może będziesz wtedy na pustkowiach Serengeti. Albo w dalszym ciągu przebywać w Anglii.

–Nie zamierzam...

–Cii – syknął Patrick. – Pozwól mi dokończyć. Chcę powiedzieć ci wszystko. Nie chcę, żeby ktoś inny opowiadał ci o tym, co się wydarzyło lub nie, żebyś musiał się zastanawiać, w co masz wierzyć, a w co nie. Musisz to wiedzieć – zamierzam umrzeć tak jak żyłem. Komfortowo. I w pełni świadomy tego, co się dzieje. Jack będzie wówczas przy mnie. I Rafael ma się rozumieć. Jak już wspomniałem, chciałem, żebyś ty także tu wtedy był. – Przerwał, wierzchem dłoni starł łzy z policzków i ze spokojem podjął przerwany monolog. – Jeżeli cię jednak nie będzie i gdyby wystąpiły jakieś komplikacje, gdyby Rafael albo Jack mieli jakieś problemy – staramy się załatwić zawczasu wszystkie kwestie natury prawnej, aby temu zapobiec, ale mimo to, jak wiesz, wszystko może się zdarzyć – chciałem, żebyś osobiście zajął się wszystkim i dopilnował, by wszystkie sprawy zostały załatwione jak należy. Jesteś w tym dobry, Will. Nigdy się nie poddajesz. Nie pozwalasz sobą pomiatać.

–Gdyby pojawiły się jakiegokolwiek problemy, zajmę się nimi. Nie musisz się niczego obawiać.

–Świetnie. Od razu mi ulżyło. Teraz jestem naprawdę szczęśliwy.

Nie otwierając oczu, wyciągnął rękę i dotknął dłoni Willa.

–Jak twoim zdaniem sobie radzę?

–Doskonale.

–Nie lubię się rozczulać.

–Masz do tego pełne prawo.

Znow zapadła cisza, tym razem nieco swobodniejsza, co zawdzięczali zawartemu przed chwilą paktowi.

–Racja – stwierdził Patrick. – Mam do tego prawo.

Will spojrzął na zegarek.

–Muszę już iść.

–Leć, słonko, leć. Nie obraź się, że nie wstaję. Trochę słabo się dziś czuję.

Will podszedł i uściskał go.

–Kocham cię – powiedział.

–Ja też cię kocham. – Mocno ścisnął obejmującego go Willa. – Wiesz o tym, prawda?

Rozumiesz, że to nie są tylko słowa?

–Wiem.

–Chciałbym, żebyśmy mieli więcej czasu, Will.

–Ja też – mruknął Will. – Jest wiele rzeczy, o których chciałbym ci opowiedzieć, ale muszę zdążyć na samolot.

–Nie o to mi chodziło, Will. Chciałbym, żebyśmy mogli być dłużej razem. Chciałbym, żebyśmy mieli ten czas tylko dla nas, abyśmy mogli lepiej poznać się nawzajem.

–Będzie jeszcze czas – zapewnił Will.

Pat jeszcze przez chwilę przytrzymał dłońmi ramiona Willa.

–Zawsze jest go za mało – stwierdził, po czym z wyraźnym wahaniem opuścił ręce, pozwalając Willowi odejść.

CZEŚĆ

PIĄTA,

W KTÓREJ

NADAJE IMIĘ

TAJEMNICZY

JEDEN

1

Powrót do domu, do Anglii, lato ma się ku końcowi. Sierpniowe gwiazdy już spadły, a wkrótce po nich przyjdzie czas na liście. Szybko następujące po sobie etapy więdnienia, usychania i gnicia.

„Im będziesz starszy, tym szybciej będą ci upływały lata, Marcello” – powiedział mu kiedyś pewien stary, mądry pedał z Bostonu. Rzecz jasna, Will w to nie uwierzył. Dopiero mając trzydzieści jeden albo trzydzieści dwa lata zdał sobie sprawę, że w tym stwierdzeniu jest sporo prawdy. Czas nie grał na jego korzyść, wręcz przeciwnie, przyspieszał z miesiąca na miesiąc, z roku na rok. Will ani się obejrzał, jak stuknęło mu trzydzieści pięć lat, a już na karku czuł oddech czterdziestki; to, co w młodości uważał za maraton, przerodziło się w obłąkańczy wyścig na sto metrów. Postawiwszy sobie za cel osiągnięcie czegoś znaczącego, zanim wyścig dobiegnie końca, poświęcił każdą minutę życia na robienie zdjęć, ale to nie przynosiło mu większej pociechy. Albumy ukazywały się drukiem, recenzje były wycinane z prasy i zapełniały jego teczkę, a zwierzęta, których ostatnie dni rejestrował, trafiły w ręce wypychaczy. Życie charakteryzowała jedna zasadnicza cecha – nieodwracalność. Stworzenia umierały, odchodziły, by już nigdy nie powrócić. Tę cechę istot żywych podzielały również nadzieje i lata. Mimo to, gdy tak jak teraz odczuwał znudzenie, niczego nie pragnął bardziej niż położenia kresu tej udreće. Siedząc w pomieszczeniu pierwszej klasy, podczas jedenastogodzinnego lotu, wielokrotnie pragnął by jego cierpienia wreszcie się zakończyły. Zabrał ze sobą torbę książek, a nawet tomik poezji, egzemplarz którego Lewis rozdawał podczas imprezy u Patricka, ale nic nie było go w stanie zainteresować na dłużej i już po przeczytaniu kilku stron przerywał lekturę. Jeden z wierszy Lewisa zaintrygował go przede wszystkim dlatego, że Will zaczął się zastanawiać, kogo miał dotyczyć:

Teraz, gdy związek już skończony, zar wygrał, trudno bywa tak.

Niby olśnienie coś mnie naszło, niepodważalny, zimny fakt.

Ból widzę oto doskonały, co wzajem mógłby ranić nas,

Gdyby ta miłość tak fałszywa przetrwała trudnej próby czas.

Ten wiersz bez wątpienia był dziełem Lewisa, poruszał jego ulubione tematy: ból, związek i problem niemożności kochania, a wszystko raptem w czterech wersach.

Dotarł na miejsce w południe, dzień był parny, duszny, to bynajmniej nie poprawiło jego i tak już nie najlepszego nastroju. Odebrał bagaż i bez problemu wynajął samochód, ale kiedy znalazł się na autostradzie, pożałował, że nie wynajął auta z kierowcą. Po dwóch prawie nieprzespanych nocach był obolały i podenerwowany, w ciągu pierwszej z czterech godzin jazdy na północ kilkakrotnie omal nie doszło do wypadku – i to za każdym razem z jego winy. Zatrzymał się, by wypić kawę, łyknąć parę aspiryn i rozprostować zeszytywniałe kości. Upał i duchota stopniowo mijały. Ktoś mówił, że za Birmingham trochę kropi, ale to nic w porównaniu z zapowiedzianą ulewą. Willowi było w to graj, solidne oberwanie chmury sprawi, że jeszcze bardziej się ochłodzi.

Wrócił do auta w nieco pogodniejszym nastroju i kolejny etap jego podróży upłynął bez żadnych przygód. Ruch na drogach zmalął, trochę popadało i choć widok z szosy rzadko bywał inspirujący, od czasu do czasu zawierał w sobie odrobinę angielskiego wdzięku. Łagodne wzgórza wyrastające z gliny, jedwabiste od porastającej je trawy lub porośnięte lasami; kombajny wzbijające rdzawy pył podczas prac na polach. A tu i ówdzie obrazy znacznie wspanialsze – masyw nagiej, sprażonej słońcem skały odcinający się na tle pochmurnego nieba, tęcza wznosząca się nad wilgotną od rosy łąką. Przywodziło mu to na myśl tamten dzień przy Spruce Street, kiedy przejście paru przecznic, za sprawą doświadczonego przez niego objawień, zajęło mu kilka godzin. Bogu dzięki, te obrazy nie pochłaniały go tak bardzo, ale podobnie jak wtedy czuł, że jego spojrzenie było oczyszczone, chłonał piękno nieznanego krajobrazu i postrzegał je znacznie wyraźniej aniżeli kiedykolwiek przedtem. Zastanawiał się, czy tak samo będzie, kiedy dotrze do Burnt Yarley. Miał nadzieję, że tak. Chciał zobaczyć to miejsce na nowo, o ile to było możliwe, dlatego też starał się nie dumać o tym co go czekało na miejscu, lecz koncentrował się na wydarzeniach danej chwili, na szosie, niebie i migającym krajobrazie. Stało się to jednak znacznie trudniejsze, kiedy zjechał z autostrady i skierował się ku wzgórzom. Chmury rozproszyły się i, jak na komendę, stoki zalały strugi słonecznego blasku, światło było tak piękne, że Will poczuł łzy napływające do oczu. Zdumiał się, że po tak wielu podróżach, które odbył, opuściwszy to miejsce, po dwudziestu z okładem latach morderczej pracy, w której nie było miejsca na sentymenty, piękno tych okolic wciąż wywierało nań tak silny wpływ. A chmury coraz bardziej się rozwiewały. Słońce tknęło swój złocisty kilt kawałek po kawałku. Mijał teraz wioski, które znał przynajmniej z nazwy. Herricksthwaite, Raddlesmoor, Kemp's Hill. Znał zakola i zakręty na tej drodze, wiedział też, jak dotrzeć do najwyższego położonego miejsca, skąd mógłby podziwiać jaworowy zagajnik, strumień i pofałdowane wzgórza. Zmierzch zbliżał się nieubłaganie, ostatnie promienie zachodzącego słońca wciąż jeszcze ogrzewały wierzchołki wzgórz, lecz w dolinach, które przemierzał, zalegały już granatowo-szare, gęstniejące z każdą chwilą cienie. To był krajobraz ze wspomnień, pora również. Nic już nie wydawało się pewne, kształty zacierają się do tego

stopnia, że nie sposób było je rozpoznać. Czy to owca, czy może głąz? A to – opuszczona chata czy raczej skupisko drzew?

Jeżeli chodzi o Willa, to starał się nie myśleć o tym, jak obecnie mogło wyglądać Burnt Yarley, ale w głębi serca przygotowywał się na szok. Jego obawy okazały się jednak płonne. Zmiany, jakie zaszły w wiosce, były prawie niedostrzegalne. Zmodernizowano budynek poczty, rozbudowano kilka domów, w miejscu, gdzie znajdował się sklep spożywczy, stał teraz nie duży garaż. Poza tym, w świetle latarni wszystko wyglądało raczej znajomo. Jechał dalej i dopiero przy moście zatrzymał się na parę chwil. Rzeka wezbrała, nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek osiągnęła równie wysoki poziom, kusilo go, żeby wysiąść z auta i posiedzieć kilka minut, zanim pokona ostatnią milę. Miał nawet ochotę zawrócić trzysta jardów i przed wizytą w domu pokrzepić się kufelkiem guinnessa. Stawił jednak opór swojemu tchórzostwu (bo nie było to nic innego) i po minucie lub dwóch bezczynnego stania nad rzeką pojechał do domu.

Do domu? Nie, to miejsce nigdy nim nie było. To nigdy nie był jego dom. Jak zatem miałby nazwać to miejsce, z którego uciekł? Może tak właśnie brzmiała definicja domu dla mężczyzn należących do jego orientacji seksualnej – dom to trwałe, solidne miejsce, z którego prowadzą wszystkie drogi.

Adele otworzyła frontowe drzwi, gdy tylko wysiadł z auta. Usłyszała, że nadjeżdża – powiedziała – i Bogu dzięki, że się zjawił, jej modlitwy zostały jednak wysłuchane. Sposób, w jaki to powiedziała (kilkakrotnie), pozwolił Willowi przypuszczać, że mówiła dosłownie i że faktycznie modliła się o jego bezpieczeństwo i rychły przyjazd. Ale wreszcie dotarł na miejsce, a ona miała mu do przekazania dobrą wiadomość. Stan Hugona ustabilizował się. Powoli wraca do zdrowia, jak stwierdzili lekarze, choć zapewne przyjdzie mu pozostać w szpitalu jeszcze co najmniej przez miesiąc.

–Jest twardy. Stara szkoła – powiedziała czule Adele, krzątając się po kuchni, by poczęstować Willa herbatą i kanapką z szynką.

–A jak ty to znosisz? – zapytał Will.

–No cóż, miałam kilka nieprzespanych nocy – przyznała niemal ze wstydem, jakby nie przysługiwało jej prawo do bezsenności.

Wyglądała na bardzo wyczerpaną. Nie była już tą wspaniałą, rzeczową kobietą z Yorkshire, którą znał dwadzieścia pięć lat temu. Choć oceniał, że nie miała jeszcze siedemdziesiątki, wyglądała na znacznie starszą, krążyła po kuchni z wahaniem i co chwila przerywała swój monolog. Nie powiadomiła Hugona o przyjeździe Willa (na wypadek gdyby w ostatniej chwili zmienił zdanie – wyjaśniła), ale wspomniała o tym lekarzowi, który zgodził się na ich dzisiejszą rozmowę w szpitalu, mimo że pora odwiedzin już dawno minęła.

–Bywa uciążliwy – rzekła z ciężkim sercem. – Chociaż nie jest w pełni świadomy, zawsze umiał dogryźć ludziom, potrafił ranić innych, niezależnie od tego, czy był zdrowy, czy chory. To sprawia mu przyjemność.

–Przykro mi, że musiałaś sobie sama z tym radzić. Wiem, jaki on potrafi być męczący.

–Cóż, gdyby nie był męczący – odparła z lekkim oburzeniem – nie byłby tym, kim jest, i nie zależałoby mi na nim. Tak więc, jakoś sobie z tym radzę. Nauczyłam się z tym żyć. To wszystko, co możemy zrobić, nieprawdaż?

Prosta i oczywista prawda. W każdym związku istniały pewne wady. Jeżeli jednak zależało ci na drugiej osobie, brałaś ją taką, jaka była, ze wszystkim jej wadami i niedociągnięciami. Adele uparła się, że to ona poprowadzi wóz. Znała drogę do szpitala i dzięki temu, jak stwierdziła, będzie znacznie szybciej. Naturalnie, jechała w żółtym tempie i zanim dotarli na miejsce, było

już po wpół do dziesiątej. Całkiem wcześnie jak na standardy zewnętrznego świata, lecz szpitale były samodzielnymi królestwami, z własnymi strefami czasowymi i równie dobrze mogła być teraz druga w nocy. Na pustych korytarzach panowała cisza, oddziały tonęły w ciemnościach.

Pielęgniarka, która odprowadziła Willa i Adele do pokoju Hugona, okazała się nader rozmowna.

–Gdy ostatnio do niego zaglądałam, nie spał, ale od tamtej pory mógł się zdrzemnąć. Środki przeciwbólowe trochę go otępiają. Pan jest synem?

–Tak.

–Aha – mruknęła z lekkim filuternym uśmiechem. – Stale o panu mówi. Opowiada o panu bez końca. Często są to, niestety, majaczenia, ale tak to już bywa. Nie ulega wątpliwości, że ojciec bardzo chce pana zobaczyć. Ma pan na imię Nathaniel, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, zaczęła opowiadać, jak Hugo został przeniesiony do pokoju dwuosobowego. Jego współlokatora wypisano, tak więc Hugo ma cały pokój dla siebie. Cóż za niebywale szczęście, prawda? O tak, doprawdy niebywale, potwierdził Will.

–Jesteśmy na miejscu.

Drzwi były uchylone.

–Chciałby pan wejść do środka i zrobić mu niespodziankę? – spytała pielęgniarka.

–Raczej nie – odrzekł Will.

Pielęgniarka wyglądała na zakłopotaną, uznała jednak, że się przesłyszała, i uśmiechnąwszy się pod nosem, zniknęła w głębi korytarza.

–Zaczekam tu – rzekła Adele. – Powinniście mieć tę chwilę tylko dla siebie.

Will pokiwał głową i przestąpił próg, by po raz pierwszy od dwudziestu jeden lat ponownie spotkać się z ojcem.

DWA

Przy łóżku Hugona paliła się nieduża lampka, jej słabe światło rzucało na ścianę cień mężczyzny. Pacjent na wół leżał pośród prawdziwej góry poduszek, oczy miał zamknięte.

Zapłacił brodę, która wyglądała teraz całkiem okazale. Miała dziesięć cali długości i przypominała brody, jakimi mogli poszczycić się wielcy, nieżyjący już mężczyźni – Kant, Nietzsche, Tołstoj. To wedle ich sposobu myślenia Hugo zwykle oceniał współczesną sztukę i filozofię, by stwierdzić, że jest ona do niczego. Broda była bardziej siwa niż czarna, białe smużki biegły od kącików ust, jakby powalał się śmietanką. Włosy dla odmiany miał obcięte na krótko, co podkreślało dostojny, rzymski kształt jego czaszki. Will obserwował go przez jakieś dwadzieścia sekund, zastanawiając się, jak srogo i dumnie wygląda ojciec. Nagle usta Hugona rozchyliły się i Will usłyszał jego cichy głos:

–A więc wróciłeś.

Mężczyzna otworzył oczy i odnalazł wzrokiem Willa; choć na nocnym stoliku leżały okulary, patrzył na gościa tak jakby widział go doskonale, jego spojrzenie było jak zawsze niewzruszone, taksujące i krytyczne.

–Cześć, tato – powiedział Will.

–Stań w świetle – rzekł Hugo, przywołując Willa bliżej łóżka. – Chcę cię zobaczyć.

Will posłusznie wszedł w krąg światła lampy, aby chory mógł mu się przyjrzeć.

–Czas nie był dla ciebie łaskawy – stwierdził Hugo. – To przez to słońce. Jeżeli już musisz włóczyć się po świecie, noś przynajmniej kapelusz.

–Będę o tym pamiętał.

–Gdzie się ukryłeś tym razem?

–Nie ukryłem się, tato. Byłem...

–Myślałem, że mnie opuściłeś. Gdzie Adele? Jest tutaj? – Sięgnął po leżące na stoliku nocnym okulary. Zrobił to tak niezdarnie, że strącił je na podłogę. – Niech to szlag!

–Nie stłukły się – powiedział Will, podnosząc je z podłogi.

Hugo nałożył je jedną ręką. Will nie próbował mu pomóc.

–Gdzie ona jest?

–Czeka na korytarzu. Chciała dać nam parę chwil, żebyśmy mogli porozmawiać w cztery oczy.

Teraz, paradoksalnie, Hugo nie patrzył na Willa, lecz beznamiętnie przyglądał się pościeli i swoim dłoniom.

–Parę chwil. Jak to ładnie brzmi.

–To prawda.

–Ale parę chwil, to znaczy, ile konkretnie?

–Och... – Will westchnął. – Czy musimy zagłębiać się w takie niuanse?

–Nie, ale to naprawdę mnie zaciekało – rzekł Hugo. – Parę chwil. – Wydął wargi.

–Tak się tylko mówi – stwierdził Will. – Zwykły zwrot jakich wiele. Nie powinienesz czepiać się słówek.

Hugo wbił wzrok w sufit. Po chwili odezwał się:

–Może powinienesz poprosić Adele, żeby tu przyszła. Potrzebuję przyborów toaletowych.

–Kto to zrobił?

–Pasty do zębów i...

–Kto to zrobił, tato?

Hugo przerwał, ale cały czas poruszał szczękami, jakby przeżuwał kawałek chrząstki.

–Skąd przypuszczenie, że mógłbym to wiedzieć? – zapytał.

–Dlaczego tak się zachowujesz? Po co ta cała dyskusja? To nie seminarium. Nie jestem twoim studentem, lecz synem.

–Czemu wracasz dopiero teraz? Dlaczego tak długo cię nie było? – zapytał Hugo, spoglądając na Willa. – Wiedziałaś, gdzie mnie możesz znaleźć.

–Czy przyjąłbyś mnie z otwartymi ramionami?

Spojrzenie Hugona pozostało niewruszone.

–Ja niekoniecznie – odparł z rozbijającą szczerością. – Ale twoje milczenie bardzo raniło matkę.

–Czy Eleanor wie, że jesteś w szpitalu?

–Ja jej o tym nie powiadomiłem. I wątpię, by Adele to zrobiła. One się nienawidzą.

–Czy nie powinna o tym wiedzieć?

–A po co?

–Bo na pewno będzie się martwić.

–Wobec tego, po co w ogóle jej mówić? – uciął Hugo. – Nie chcę jej widzieć. Nie chcę, żeby tu przyjeżdżała. Nasza miłość już nie istnieje. Wypaliła się. Ona ma swoje życie. Ja mam swoje. Jedyne, co mamy wspólnego, to ty.

–To zabrzmiało jak oskarżenie.

–Nie. Po prostu ty tak to odbierasz. Czasem dzieci pomagają scalić rozpadający się związek. Z tobą tak nie było. Wcale cię za to nie winię.

–Czy zatem moglibyśmy wrócić do tematu?

–To znaczy?

–Kto to zrobił?

Hugo znów wbił wzrok w sufit.

–Czytałem twój artykuł w Timesie, sprzed półtora roku.

–Co to ma u licha...?

–Coś o słoniach. Czy to ty go napisałeś?

–Był podpisany moim nazwiskiem.

–Pomyślałem, że może napisała go za ciebie jakaś opłacona małpa. Co prawda, zawsze uważałeś się za niespełnionego poetę, ale, Chryste Panie, jak mogłeś podpisać się pod czymś tak oburzającym?

–Opisywałem swoje uczucia.

–Otóż to – rzekł Hugo tonem pełnym znużenia i rezygnacji. – Skoro coś czujesz, to musi być prawda.

–Rozczarowałem cię.

–Nie. Nie. Nigdy nie robiłem sobie co do ciebie żadnych nadziei, jak zatem mógłbyś mnie rozczarować? – W jego głosie było tak wiele goryczy, że Willowi na chwilę zaparło dech. – Ale to już i tak bez znaczenia. Wszystko i tak jest gównem warte.

–Doprawdy?

–Jasne, że tak. – Spojrzał na Willa z udawanym zdziwieniem. – Czy nie to próbowałeś wykrzyknąć przez te wszystkie lata?

–Ja nie krzyczę.

–Ale tak to odbieram. Dla większości ludzi twój przekaz jest jak ochrypły wrzask. Może dlatego nic ci z tego nie wychodzi. Może dlatego twoje poczynania nie przynoszą żadnych skutków, a twoja ukochana Matka Ziemia...

–Pieprzyć Matkę Ziemię...

–Nie, najpierw siebie. Takie jest moje zdanie.

Will uniósł ręce w geście poddania.

–Dobra, wygrałeś. Nie mam na to ochoty. Naprawdę. Dlatego...

–Och, dajże spokój!

–Poproszę Adele – rzekł, odwracając się od łóżka.

–Zaczekaj...

–Na co? Nie przyszedłem tu, żeby się z tobą kłócić ani wysłuchiwać uszczypliwych uwag. Jeżeli nie jesteś w stanie porozmawiać ze mną normalnie, to w ogóle nie będziemy rozmawiać. Koniec dyskusji. – Był prawie przy drzwiach.

–Powiedziałem: zaczekaj – powtórzył rozkazującym tonem Hugo.

Will przystanął, ale się nie odwrócił.

–To był on – rzekł półgłosem Hugo.

Will obejrzał się przez ramię. Jego ojciec zdjął okulary i wpatrywał się w przestrzeń.

–Kto?

–Nie udawaj głupca – rzekł monotonnym głosem Hugo. – Wiesz kto.

Will poczuł, że jego serce zaczyna bić żywszym rytmem.

–Steep?

Hugo nie odpowiedział. Will znowu podszedł do łóżka.

–Steep to zrobić?

Cisza. A potem cicho, niemal nabożnie:

–To twoja zemsta. Zatem raduj się nią.

–Dlaczego?

–Bo drugiej takiej okazji już nie będzie.

–Nie, chodziło mi o to: Dlaczego to zrobił?

–Żeby dotrzeć do ciebie. Z jakiegoś powodu jesteś dla niego ważny. Twierdzi, że cię ubóstwia. Myśl o tym co chcesz.

–Dlaczego nie powiedziałeś policji? – Hugo znów milczał jak zakłęty. Will stanął przy łóżku. – Powinieneś był im powiedzieć.

–Co miałbym im powiedzieć? Nie chcę mieć nic wspólnego, ani z tobą ani z tymi... istotami.

–Ten związek nie ma podtekstów seksualnych, jeżeli o to ci chodzi.

–Nie interesują mnie sekrety twojej sypialni. Humani nil a me alienum puto. Terencjusz...

–Znam ten cytat, tato – odparł ze znużeniem Will. – Nic co ludzkie nie jest mi obce. Ale te słowa nie za bardzo tu pasują, nie uważasz?

Hugo przymrużył podpuchnięte oczy.

–Oto chwila, na którą czekałeś, prawda? – mruknął. – Czujesz się jak mistrz ceremonii. Zjawiasz się tu, udając, że pragniesz zakopać topór wojenny, ale jedyne, czego naprawdę pragniesz, to zemsta.

Will otworzył usta, by odeprzeć zarzut, ale zmitygował się i powiedział prawdę.

–Może, troszeczkę.

–No i proszę. Ciesz się tą chwilą – rzekł Hugo, wpatrując się w sufit. – Masz rację. Słowa Terencjusza są w tym przypadku nieadekwatne. Te... istoty nie są ludźmi. Uff. A jednak to powiedziałem. Sporo o tym myślałem odkąd się tu znalazłem.

–I co?

–Najogólniej mówiąc, nie ma to większego znaczenia.

–Uważam, że się mylisz.

–Tak uważasz?

–W tym wszystkim jest coś niezwykłego. Całe to czekanie. To jak wyczekiwanie na koniec.

–Mówiąc z punktu widzenia mężczyzny, który czeka na wspomniany koniec, nie widzę w tym niczego, prócz doskonale znanego, nużącego okrucieństwa i starego, nudnego bólu. Czymkolwiek są te istoty, nie są aniołami. Nie ukażą ci żadnych cudów. Nie doświadczysz z ich strony objawień. Co najwyżej pogruchoczą ci kości, jak mnie.

–Może nie wiedzą, kim są naprawdę – odparł Will i gdy to powiedział, stwierdził, że szczerze w to wierzy. – O Jezu – mruknął. – Tak... Oni, podobnie jak my, też nie wiedzą kim są.

–Czy mam to potraktować jako objawienie? – rzucił oschle Hugo. Will nie pokwapił się, by odpowiedzieć. – No, co? – naciskał Hugo. – Odpowiedz mi. Bo jeżeli tak, jeżeli wiesz o nich coś, czego ja nie wiem, chętnie bym to usłyszał.

–A po co, skoro i tak masz to?

–Bo, wiedząc, z kim mam do czynienia, miałbym większe szanse na przeżycie drugiego spotkania z nimi.

–Już ich więcej nie zobaczysz – zapewnił Will.

–Powiedziałeś to z wielkim przekonaniem.

–Mówiłeś, że Steepowi chodzi o mnie – odparł Will. – Ułatwię mu zadanie. Pójdę do niego.

Przez oblicze Hugona przemknął wyraz nieskrywanego niepokoju.

–On cię zabije.

–To nie będzie takie proste.

–Nie wiesz, jaki on jest.

–Owszem, wiem. Uwierz mi. Wiem. Przez ostatnie trzydzieści lat byliśmy nierozłączni. – Dotknął palcem skroni. – On był w mojej, a ja w jego głowie. Jak dwie matrioszki.

Hugo spojrział na niego z konsternacją.

–Skąd ty się wziąłeś? – wycedził, patrząc na Willa spojrzeniem pełnym jadu.

–Przypuszczam, że raczej nie znalazłeś mnie w kapuście, tato.

–Bóg mi świadkiem, że próbowałem skierować cię na właściwe tory. Ale teraz widzę, że moje starania od początku były skazane na niepowodzenie. Zawsze byłeś szurniętym, chorym

pedałem.

–Byłem pedałem już w łonie matki – rzekł ze spokojem Will.

–Nie mów tego z taką dumą!

–To właśnie jest najgorsze, czyż nie? – odparował Will. – Jestem pedziem i lubię to. Jestem szalony, ale to mi pasuje. W dodatku jestem chory, bo tak się składa, że umieram, by przeistoczyć się w coś nowego. Ty tego nie rozumiesz i zapewne nigdy nie zdołasz pojąć. Ale taka jest prawda. Nie zamierzam jej ukrywać ani cię oszukiwać.

Hugo spojrział na niego. Wargi miał zaciśnięte tak mocno, że wydawało się, że nigdy już się nie odezwie, a z całą pewnością nie do Willa. Skądinąd nie było to konieczne, przynajmniej na razie, bo właśnie w tej chwili rozległo się ciche pukanie do drzwi.

–Mogę wam przeszkodzić? – zapytała Adele, uchylając drzwi i zaglądając do pokoju.

–Wejdz – powiedział Will. I zerkając, na Hugona, dodał: – Spotkanie po latach właśnie dobiegło końca.

Adele podeszła do łóżka i pocałowała Hugona w policzek. Przyjął pocałunek bez słowa komentarza czy odwzajemnienia, lecz Adele się tym nie przejęła. Will zastanawiał się, ile było takich pocałunków, które Hugo przyjmował jak coś, co mu się zwyczajnie należało?

–Mam dla ciebie pastę do zębów – rzekła.

Sięgnęła do torebki, wyjęła tubkę i położyła ją na nocnym stoliku. Will dostrzegł błysk wściekłości w oczach ojca, czuł się głupio, prosząc o coś czego zażyczył sobie już wcześniej. Adele nie dostrzegała tego wszystkiego, pogrążona w błogiej nieświadomości. Jedyne, co się dla niej liczyło, to obecność i bliskość Hugona. Gdy była przy nim, stwierdził Will, nie zważała na nic, cieszyło ją, że mogła wykonywać najprostsze czynności, aby sprawić mu przyjemność. Wygładzić koc na jego łóżku, poprawić mu poduszkę, choć za swój trud nie doczekała się nigdy nawet słowa podziękowania.

–Pójdę już, żebyście mogli porozmawiać na osobności – rzekł Will. – Mam ochotę zapalić. Zaczekam na ciebie przy samochodzie, Adele.

–Dobrze – powiedziała, nie odrywając wzroku od ukochanego. – Niedługo przyjdę.

–Żegnaj, tato – rzekł Will.

Nie spodziewał się odpowiedzi i jej nie uzyskał. Hugo znów wpatrywał się w sufit szklistym wzrokiem, jak mężczyzna mający na głowie ważniejsze rzeczy niż niechciany syn – dokuczliwe brzemie, które wolałby, żeby nigdy się nie narodziło.

TRZY

Wyjście z sali, w której leżał jego ojciec, skojarzyło się Willowi z dezercją z pola bitwy. Starcie zakończyło się patem, ale ta rozmowa, choć bolesna, zobligowała go, by wyraził słowami to, co kołatało mu się w głowie, a co przed wydarzeniami ostatnich dni wydawało się właściwie bezsensowne: Jacob i Rosa, pomimo swych niezwykłych zdolności nic o sobie nie wiedzieli. Nie mieli pojęcia, kim ani czym są, jak również, czemu zawdzięczają swoje istnienie. Nie wiedzieli, skąd pochodzą, dokąd zmierzają ani co jest celem ich życia. I to właśnie, jak się domyślał, stanowiło zasadniczą zagadkę i zarazem sedno jego osobliwej, pełnej udręki więzi ze Steepem. Jacob nie był jedynym mężczyzną, lecz wieloma. Nie wieloma, lecz żadnym. Był nikim, istotą stworzoną przez Willa, tak samo jak Will i Lord Lis zostali stworzeni przez Steepa, istnieli na skutek różnych procesów tworzenia, ale tak właśnie było. I to w nieuchronny sposób prowadziło ku kolejnej zagadce: Skoro w tym kręgu nie było nikogo, kto w jakiś sposób nie byłby uzależniony od pozostałych, to czy można powiedzieć, że byli oni oddzielnymi istotami, czy może raczej jednym rozdartym duchem: Steep ojcem, Will synem, a Lord Lis Duchem Nieświętym? Rola Marii Dziewicy pozostawała dla Rosy i na samą tę bluźnierczą myśl na jego ustach wykwitł słaby uśmiezek.

Gdy tak wędrował posępными korytarzami w stronę głównego wyjścia, zdał sobie sprawę, że Steep już na samym początku przyznał mu się, że nie wie nic o swojej naturze i pochodzeniu. Czy nie mówił o sobie jak o mężczyźnie, który nie pamięta swoich rodziców? A później, gdy opowiadał o chwili uniesienia, przedstawił doskonały na swój sposób opis rozkładu: jego ciała rozpuszczającego się w wodach Newy: Jacob w wilku, Jacob w drzewie, Jacob w ptaku...

Na dworze panował chłód, powietrze było czyste i wilgotne. Will zapalił papierosa i zaczął zastanawiać się, co ma robić dalej. Niektóre słowa Hugona wydały mu się ważne. Steep faktycznie był teraz niebezpieczny i Will musiał bardzo na niego uważać. Tyle tylko że nie mógł uwierzyć, że Steep rzeczywiście pragnie jego śmierci. Łączyła ich zbyt silna i bliska więź, ich losy i przeznaczenie splatały się ze sobą. I Will wcale sobie tego nie wymyślił – usłyszał to od Lisa. Jeżeli to zwierzę było agentem Steepa w tym osobliwym kręgu, a to wydawało się oczywiste, stawał się on zatem orędownikiem nadziei Jacoba; a o cóż mogło chodzić, gdy zwierzę opowiedziało Willowi o wyzwoleniu, jeżeli nie o pragnienie, by rozwikłał on zagadkę istnienia Jacoba i Rosy?

Zapalił drugiego papierosa, wypalił do końca i natychmiast przypalił trzeciego, łaknąc nikotynowego pobudzenia, które pomogłoby mu uzyskać klarowność myśli. Wiedział, że jedynym sposobem na rozwiązanie tej zagadki jest bezpośrednio spotkanie ze Steepem, musiał pójść do niego – co zresztą zapowiedział ojcu i mógł jedynie modlić się, by pragnienie poznania przez Steepa prawdy o jego pochodzeniu przemogło w nim żądzę mordu. Znał tę żądzę, pragnienie krwi i zabijania, wiedział, jak bardzo wyostrza ona zmysły. Ta sama dłoń, którą unosił teraz papierosa do ust, została kiedyś, dawno temu, zainspirowana przez nóż, który trzymała, pławiła się w możliwościach zadawania bólu, śmierci i cierpienia, rozkoszowała się tym, czego była w stanie dokonać. Wyobraził sobie ptaki, widział je nawet teraz, kulące się w

szczelinie przy zamarznętej gałęzi, widział ich mrugające oczy.

„Widzą mnie”.

„Ty także je widzisz”.

„Zgadza się”.

„Patrz na nie”.

„Patrzę”.

„A teraz skończ z nimi”.

Poczuł dreszcz rozkoszy spływający w dół kręgosłupa. Nawet po tylu latach, po tym wszystkim, co ujrzał, a widział naprawdę okrutne i przerażające rzeczy, przy których błędy dokonane przezeń zabójstwa, na myśl o nich wciąż czuł smak zakazanego owocu i euforię towarzyszącą świadomości tego, czego dokonał. Ale były także inne wspomnienia, które na swój sposób dysponowały równie wielką mocą. Przywołał jedno z nich i przedzielił nim siebie oraz nóż i wspomnienie Thomasa Simeona, stojącego wśród kwiatów i pokazującego pojedynczy płatek.

Masz tu Największą Świętość, Arkę Przymierza, Świętego Graala, Wielką Tajemnicę, jest tu, na czubku mego palca. Spójrz! To także było częścią zagadki, nieprawdaż? Nie tylko metafizyczne idee Simeona, lecz również treść prostych rozmów pomiędzy dwoma mężczyznami. Odmowa Simeona, gdy Jacob usiłował nakłonić go do powrotu do Rukenaua, obietnica jaką złożył Steep, zgodnie z którą miał bronić artystę przed mecenasem; rozmowa o próbie sił pomiędzy Rukenauem i Steepem, która, o ile Will sobie przypominał, zakończyła się paroma nieostrożnymi, zuchwałymi słowami o rzekomej niezależności Steepa. Co wtedy powiedział? Że nie wie, kto go stworzył? Znów to samo wyznanie; wspomnienie rozmowy pomiędzy Steepem a Simeonem miało w przypadku Willa więcej luk niż wspomnienie o nożu, ale zdawał sobie sprawę, że Rukenau dysponował pewną wiedzą o pochodzeniu Jacoba i Rosy, której oni nie posiadali. Czy mógł przypomnieć sobie coś więcej na ten temat?

Zaprzagnął przywołać Lorda Lisa i spytać go o to. Nie dlatego, że wierzył, że zwierzę mogło znać odpowiedź na jego pytania dotyczące Rukenaua, ale dlatego że pomimo zagadkowych uwag i kąśliwych przytyków rudzielec był dla Willa najbliższą i najbardziej wiarygodną istotą, na jaką mógł liczyć w całym tym zamieszaniu. To jawny dowód mojej desperacji, pomyślał Will. Kiedy ktoś zwraca się po radę do wymyślanego lisa, to znaczy, że jest z nim niedobrze.

–Nie zimno ci?

Odwrócił się i ujrzał Adele, idącą przez parking w jego stronę.

–Nie – odparł. – I jak tam Hugo?

–Szykuje się do snu – powiedziała, wyraźnie zadowolona, że to ona miała okazję zadbać, by mu było możliwie jak najwygodniej, i nawet sama otuliła go kocem.

–Wracamy do domu?

–Tak. Wracamy do domu.

Był za bardzo zaaferowany, by w drodze powrotnej wdać się z Adele w dłuższą rozmowę, ale ona najwyraźniej w ogóle na to nie zważała. Trajkotała jak nakręcona, twierdząc, że Hugo wyglądał tego dnia lepiej niż wczoraj, mówiąc, jaki jest silny i wytrzymały – zawsze był taki (jej zdaniem w ogóle rzadko chorował). Była pewna, że bardzo szybko powróci do zdrowia, zwłaszcza gdy już wypuszczą go ze szpitala. Kiedy tylko wróci do domu, Adele zajmie się nim jak należy, tu mu będzie lepiej i wygodniej. Od razu mu się polepszy. Przecież w szpitalu nikt nigdy nie czuje się dobrze, nieprawdaż? Jej przyjaciółka, nawiasem mówiąc pielęgniarka, powiedziała, że szpital to najgorsze miejsce dla chorego, bo przecież roi się tam od rozmaitych zarazków. Nie, w domu będzie mu o wiele lepiej, tu miał swoje książki, whisky i wygodne łóżko.

Przejeżdżali przez Hallards Back, gdzie na dystansie około dwóch mil droga biegła prosto jak strzełił, przez rozległe, nagie trzęsawiska. Nie było tu żadnego oświetlenia, farm ani nawet drzew. Tylko czarna jak smoła połać moczarów po obu stronach drogi. Podczas gdy Adele kontynuowała swój monolog o Hugonie, Will wpatrywał się w ciemność, zastanawiając się, z jaką, grzeszną rozkoszą, jak blisko mogli znajdować się Jacob i Rosa. Być może byli teraz gdzieś tam, pośród nocy: Rosa polowała na zające; Jacob wpatrywał się w mroczne niebo. Nie musieli przesypiać nocy, nie odczuwali zmęczenia jak zwykli ludzie. Nie starzeli się, nie tracali swej osobliwej doskonałości. Należeli do rasy lub gatunku, który w jakiś bliżej niepojęty sposób był uodporniony na wszelkie choroby, a kto wie, może nawet oboje byli nieśmiertelni.

To powinno wzbudzić w nim niepohamowany strach, ponieważ nie był w stanie obronić się przed nimi. A mimo to Will nie czuł lęku. Niepokój owszem, ale nie strach. I pomimo rozważań, jakie snuł na parkingu, pomimo wszystkich pytań, na które nie znał odpowiedzi, w głębi serca cieszył się, że ta zagadka jest tak bardzo złożona. Co za pociecha, twierdził głos w jego wnętrzu, z odkrycia tkwiącej w źródle jego życia tajemnicy tak banalnej, że nawet prosty umysł zdoła ją z łatwością rozwikłać. Może lepiej umrzeć w niepewności, ze świadomością że wciąż jeszcze istnieją sekrety czekające na ujawnienie, aniżeli poświęcić cały swój czas na pogoń za nimi i uzyskanie tak bulwersującej i przygnębiającej pewności.

CZTERY

1

Spał smacznie w tym samym pokoju, który należał do niego w dzieciństwie. W oknie zawieszono nowe zasłony, na podłodze leżał nowy dywan, lecz poza tym pokój ani trochę się nie zmienił. Ta sama szafa z lustrem po wewnętrznej stronie drzwi, w którym przeglądał się niezliczoną ilość razy, aby obserwować postępujący proces dorastania, pojawianie się włosów na ciele i powiększanie się członka. Ta sama komódka, gdzie trzymał swoje zbiory czasopism kulturystycznych (zwędzonych z kiosku w Halifaxie). To samo łóżko, gdzie nieraz tchnął życie w te zdjęcia i śnił, że obok niego leżą żywe, gorące, prężne ciała. Krótko mówiąc, miejsce erotycznego dorastania. Inny element przeszłości pojawił się następnego ranka na dole.

–Pamiętasz, mego syna, Craiga? – zapytała Adele, przywołując mężczyznę naprawiającego kolanko pod zlewem, żeby przerwał pracę i przyszedł się przywitać.

Rzecz jasna, Will doskonale go pamiętał; wspominał Craiga, gdy był pogrążony w śpiączce: spoconego nastolatka, który na kilka godzin obudził w Willu nieznane dotąd uczucie – pożądanie, naturalnie. To jednak, co tak pociągało go u Craiga, nastolatka – skrzywiona mina, pot, niezgrabny chód, u dorosłego wydawało się minusem i czyniło go nieatrakcyjnym. Mruknął coś niezrozumiale na przywitanie.

–Craig wykonuje sporo różnych prac w całej wiosce – wyjaśniła Adele. – Naprawia kolanka, przepycha zlewy, łąta dachy. Całkiem nieźle mu to wychodzi i przynosi niezły grosz, mam rację?

Craig znów mruknął coś pod nosem. To było dziwne – widzieć dorosłego mężczyznę (o głowę wyższego od Adele) przestępującego z nogi na nogę i czerwieniącego się jak burak, podczas gdy matka wylicza jego zalety. Wreszcie burknął do Adele: „Skończyłaś?” i wrócił do pracy.

–Pewnie zgłodniałeś – rzekła Adele. – Usmażę jajecznicę na kielbasie. A może masz ochotę na pudding i cynaderki?

–Nie, dziękuję. Poproszę tylko o herbatę.

–Pozwól, że zrobię ci kilka tostów. Nie możesz tak pościć. Powinieneś przybrać trochę na wadze. Strasznie wychudłeś. – Will wiedział, co zaraz usłyszy. – Nie masz kobiety, która by dla ciebie gotowała?

–Jakoś sobie radzę.

–Żona Craiga, Mary, wspaniale gotuje, prawda, Craig? – Ciche mruknięcie w odpowiedzi. – Nigdy nie pomyślałeś o tym, żeby znaleźć sobie żonę? No wiesz, ożenić się, ustatkować... Choć

pewnie, biorąc pod uwagę twoją pracę, to czym się zajmujesz, ciężko byłoby prowadzić normalne życie.

Parząc herbatę, paplała w najlepsze. Powiedziała, że zadzwoniła dziś do szpitala i dowiedziała się, że Hugo spał tej nocy bardzo spokojnie. To był dobry znak. Jego stan zaczął się poprawiać.

–Pomyślałam, że może pojechalibyśmy tam dziś wieczorem, aby go odwiedzić?

–Czemu nie?

–Masz jakieś plany na dzisiaj?

–Chciałem pokręcić się trochę po Burnt Yarley.

–Odnówić stare znajomości? – spytała Adele.

–Coś w tym rodzaju.

Kiedy wyszedł z domu parę minut przed dziesiątą, był nieco wzburzony. Rzecz jasna, wiedział dokąd się uda – do gmachu Sądu. O ile się nie pomylił, powinien zastać tam Jacoba i Rosę, czekających na niego. Ta myśl wzbudziła w nim mieszane uczucia. Ogarnął go lekki niepokój, może nawet strach. Steep brutalnie zaatakował Hugona i bez wątpienia był zdolny zrobić to samo z Willem, a kto wie, może nawet potraktowałby go jeszcze gorzej. Jednak tkwiący w nim niepokój przemogła ciekawość i wyczekiwanie. Jak to będzie ponownie stanąć oko w oko ze Steepem, po tylu latach? Stanąć przed nim nie jako chłopiec, lecz mężczyzna, dumnie stawić mu czoło?

Przez lata swoich wędrówek miał okazję kilkakrotnie przeżyć przedsmak tego wydarzenia, spotykał kobiety i mężczyzn obdarzonych częstką mocy, która otaczała Jacoba i Rosę. Kapłankę z Etiopii, która pomimo mnóstwa symboli religijnych, jakie nosiła na szyi, przemówiła w formie poetyckiego strumienia świadomości, sugerującego, że czerpała inspirację z bliżej nieokreślonego źródła. Szamana z San Lazan, którego Will obserwował kołyszącego się i śpiewającego przed ołtarzem obsypanym nagietkami i który poczęstował go sporą porcją świętych grzybków – teonanactal boskiego ciała, mających pomóc mu w podróży. Obie te osoby dysponowały niezwykłą osobowością i, jak wyobrażał sobie Will, z ich ust mógł usłyszeć prawdę zbliżoną do posępanej mądrości Steepa.

Dzień był spokojny i chłodny, pokrywa chmur pozostawała nienaruszona. Dotarł do rozstajów, skąd kiedyś można było ujrzeć gmach Sądu. Kiedyś. Teraz już nie. Drzewa, przed trzydziestu laty niskie i chwiejne, wyrosły potężne i rozłożyste, przesłaniając budowlę koronami. Przystanął na chwilę, by zapalić kolejnego papierosa, i ruszył w dalszą drogę. Pokonał chyba połowę dystansu, kiedy stwierdził, że chyba zablądził. Choć drzewa wydawały się wyższe i bardziej rozłożyste, a żywopłoty potężniejsze, z całą pewnością powinien już chyba ujrzeć gmach Sądu? Szedł dalej, a gdy dotarł na miejsce, przeczucie przerodziło się w pewność. Budynek został zburzony. Will nie musiał przedzierać się przez żywopłot, żeby wejść na pole, gdzie kiedyś stał Sąd. Odnalazł bramę, przez którą, jak uznał, wywożono gruz. Pole nie zostało jednak wykorzystane, ani nawet ogrodzone. Pozostawiono je odłogiem. Przelazł przez bramę, która, sądząc z wyglądu, nie była otwierana od lat, i przemaszerował przez gęstą trawę do wciąż jeszcze widocznych fundamentów. Żdźbła trawy i polne kwiaty wyrastały spomiędzy korzeni, ale obchodząc fundamenty, był w stanie rozpoznać rozkład budynku. Tu znajdował się korytarz wiodący do sali sądowej. Tu stał fotel sędziego, a tu, och, tutaj, stał stół Jacoba...

Żywi i umierający...

Boże, dopomóż mu, dopomóż im obu...

Podsycamy ogień.

To było tak dawno, a jednak kiedy tam stał, niemal znów poczuł się małym chłopcem i nieruchome powietrze wokół niego pociemniało, jakby przetrwanie światła zależało wyłącznie

od kremacji ciem. Łzy napłynęły mu do oczu, smuciło go to, co zrobił, i oplakiwał sam siebie, gdyż w głębi serca nie czuł się rozgrzeszony za swój czyn. Nie odpowiedział za to co zrobił. Wiedział, że jeśli nie powstrzyma łez, nie zdoła nad sobą zapanować.

–Nie rób tego – rzekł, ocierając łzy. Dziś nie mógł sobie pozwolić na chwilę słabości. Może jutro, kiedy spotka się ze Steepem i zagra w przygotowaną przez niego, mroczną, bliżej nieokreśloną grę, będzie mu to dane. Ale nie dziś, nie teraz, nie tutaj, na otwartej przestrzeni, gdzie ktoś mógł go zobaczyć.

Uniósł wzrok, lustrując pobliskie wzgórza i żywopłoty. Może już było za późno. Może nawet teraz Steep go obserwował, niczym padlinożerny ptak, oszacowujący stan rannego zwierzęcia, oczekujący – jak to niejednokrotnie czynił Will – na chwilę prawdy, moment, kiedy w chwili rozczulenia lub desperacji obserwowany obiekt ukaże swe prawdziwe, ostateczne oblicze. Poszukując tytułu do swego drugiego albumu, sporządził listę słów i zwrotów kojarzących mu się ze śmiercią i obcował z nimi przez ponad miesiąc, powtarzając je w myślach tak często, że znał je na pamięć. Nawet teraz pamiętał je doskonale.

Koń trupio blady, Totentanz, Zimne Mięso, Padlina, Ostatnia Przystań, Sosnowa Jesionka, Długi Powrót do Domu... Ostatecznie wybrał ten ostatni zwrot. Spodobało mu się opisanie grobu jako domu, do którego ostatecznie powracasz po długiej podróży. Ciężko mu było teraz o tym myśleć, gdy tak stał o niecałą milę od domu ojca. Czuł się jak skazaniec. Dość tej czarnej rozpacz i użalania się nad sobą, złażał się w myślach. Musiał się od tego uwolnić, i to możliwie jak najszybciej. Przelazł przez bramkę i nie oglądając się, ruszył z powrotem, maszerując różnym, zdecydowanym krokiem, jak ktoś, kto zrobił w danym miejscu, co miał do zrobienia, i spieszy, by zająć się czymś innym. Skończyły mu się papierosy, toteż wybrał się do wioski, żeby kupić kolejną paczkę. Na ulicach było sporo ludzi. Ich widok dodał mu otuchy. Ucieszyło go, gdy ujrzał, jak zajmują się całkiem prozaicznymi sprawami – kupują warzywa, rozmawiają, ponaglają ociągające się dzieci. W kiosku przysłuchiwał się przez chwilę rozmowie na temat nadchodzących dożynek, kobieta za ladą (bez wątpienia córka pani Morris, która prowadziła kiosk, gdy Will był jeszcze dzieckiem) uważała, że zbliżający się festyn ma na celu ściągnięcie do kościoła jak najwięcej osób, ale właściwie nie miała nic przeciwko temu. Drażniła ją tylko forma, w jakiej miało to zostać osiągnięte.

–Co komu szkodzi odrobina dobrej zabawy? – spytała klientka.

–Uważam, że to jak staczanie się po równi pochyłej – odparła panna Morris. – Ani się obejrzymy, jak zaczniemy tańczyć w przejściach między ławkami.

–To lepsze niż przysypianie w nich – zauważyła kobieta, uśmiechając się.

Pozbierawszy zakupione batony, wyszła z kiosku. Rozmowa najwyraźniej nie była tak wesoła, jak mogła się wydawać, gdyż panna Morris miała dość ponurą minę, gdy podeszła, by obsłużyć Willa.

–Co jest z tym festynem z okazji dożynek? – zapytał. – Czy wzbudza aż takie kontrowersje?

–Nieee – odparła z lekkim rozdrażnieniem, była zła sama na siebie – tyle tylko że Frannie zawsze potrafi mnie zdenerwować.

–Frannie?

–Tak.

–Frannie Cunningham? Wrócę po papierosy...

Wypadł z kiosku, rozglądając się na prawo i lewo w poszukiwaniu kobiety, która przed chwilą go minęła. Była już po drugiej stronie ulicy. Szła, pałaszując jeden z batoników.

–Frannie?! – zawołał i przebiegł przez ulicę, by ją dogonić.

Usłyszała wołanie i odwróciła się. Po wyrazie twarzy zorientował się, że go nie poznała, choć teraz, gdy mógł się jej przyjrzeć, on rozpoznał ją bez trudu. Była odrobinę pulchniejsza, kasztanowe włosy miała poprzetykane pasmami siwizny. Jednakże na jej twarzy wciąż widniał wyraz skupienia; no i te piegi.

–Czy my się znamy? – spytała, gdy stanął obok niej.

–Owszem. – Uśmiechnął się. – To ja, Frannie. Will.

–O Boże – wyszeptała. – Ja nie... to znaczy... ty byłeś...

–W kiosku. Tak. Minęliśmy się w drzwiach.

Rozłożyła ręce, a Will rzucił się jej w ramiona i uściskał niemal równie mocno, jak ona jego.

–Will, Will, Will – powtarzała. – To cudowne. Przykro mi z powodu tego co się stało z twoim tatą.

–Wiesz o tym?

–Wszyscy wiedzą – odparła. – W Burnt Yarley nie sposób zachować niczego w tajemnicy. No... może to nie do końca prawda... – Posłała mu łobuzerskie spojrzenie.

–Poza tym twój tato jest dość znaną postacią. Sherwood często go widuje w pubie. To straszne co go spotkało. Jak on się czuje?

–Lepiej. Dziękuję.

–To dobrze.

–A Sherwood?

–Raz lepiej. Raz gorzej. Wciąż mieszkamy razem. W tym samym domu, przy Samson Street.

–A co z waszymi rodzicami?

–Tato nie żyje. Zmarł sześć lat temu. To znaczy sześć lat minie w listopadzie. W zeszłym roku oddaliśmy mamę do hospicjum. Ma Alzheimera. Przez kilka lat opiekowaliśmy się nią w domu, ale jej stan szybko się pogarszał. To było okropne, nie sposób było na to patrzeć, a poza tym Sherwooda strasznie to przygnębiało... popadał z tego powodu w coraz większą depresję...

–To brzmi, jakbyś brała udział w wojnie.

–No cóż – mruknęła Frannie. – Walczymy każdego dnia. Może wstąpisz do nas? Zjemy coś. Sherwood na pewno się ucieszy.

–O ile tylko to nie będzie dla was kłopotliwe.

–Za długo wojażowałaś po świecie – zrugła go Frannie. – To Yorkshire. Tu przyjaciele zawsze są na pierwszym miejscu. I prawdziwy przyjaciel nigdy nie bywa dla drugiej osoby niewygodny. No... – dodała z łobuzerskim błyskiem w oku – prawie nigdy.

PIĘC

Do domu Cunninghamów było piętnaście minut na piechotę, ale zanim znaleźli się przy furtce, porzucili już wszelkie oznaki dystansu i rezerwy, i rozmawiali jak starzy przyjaciele. Will opowiedział Frannie skróconą wersję wydarzeń w Balthazar (o wypadku – jak go nazwała – przeczytała w którymś z pism przyniesionych przez Sherwooda), ona zaś przygotowała go na ponowne spotkanie z Sherwoodem, streszczając pokrótce jego historię choroby.

Zdiagnozowano u niego formę ostrej depresji, na którą cierpiał zapewne od dzieciństwa. Stąd jego huśtawki nastrojów, stany przygnębienia i wybuchy wściekłości, a także kłopoty z koncentracją. Choć miał teraz leki, które to łagodziły, nie był zdrowy i nigdy nie będzie.

–To pomaga, gdy myślę o tym jak o próbie – dodała. – Bóg chce, abyśmy pokazali mu, jak jesteśmy silni i twardzi.

–Ciekawa teoria.

–Jestem pewien, że On ma w tobie upodobanie – powiedziała, na wpół żartem. – Bo jeżeli ktokolwiek przeszedł na tej ziemi prawdziwe Piekło, to właśnie ty. Te wszystkie okropne miejsca, w których byłeś.

–Ale to nie to samo, jeżeli robisz to z własnej woli, prawda? – spytał Will. – Tobie i Sherwoodowi nie pozostawiono wyboru.

–Nie sądzę, by ktokolwiek z nas miał w ogóle wybór – odparła i zniżyła głos. – Zwłaszcza my. Gdy pomyślę o tym, co się stało... wtedy... przed laty... Byliśmy dziećmi. Nie wiedzieliśmy z czym mamy do czynienia.

–Czy teraz to wiemy?

Spojrzała na niego z powagą i przejęciem.

–Pomyślałam sobie – i to może zabrzmieć dla ciebie absurdalnie – ale tak sobie myślałam, że spotkaliśmy na swojej drodze diabła w ludzkiej skórze. – Wybuchnęła nerwowym śmiechem. – To brzmi głupio, prawda?

Śmiech Frannie ucichł niemal natychmiast, gdy zorientowała się, że Will nie podziela jej rozbawienia.

–Prawda?

–Nie wiem, kim ani czym on jest – odparł Will.

–Raczej, kim był. – dodała półgłosem.

Pokręcił głową.

–Jest – poprawił ją.

Dotarli do furtki.

–O Boże – jęknęła. W jej głosie wyczuwało się lekkie drżenie.

–Może nie powinienem wchodzić?

–Nie, nie, musisz – odparła. – Tylko nie rozmawiajmy już o tym. Nie przy Sherwoodzie. To mogłoby go zdenerwować.

–Rozumiem.

–Sporo o tym myślę. Mimo że od tamtych wydarzeń upłynęło dużo czasu, wciąż kołacze mi się to po głowie. Parę lat temu podjęłam nawet pewne kroki, usiłując dotrzeć do sedna tej tajemnicy.

–No i co?

Pokręciła głową.

–Poddałam się – odparła. – Sherwood źle to znosił i jego stan bardzo się pogorszył. Postanowiłam, że będzie lepiej, jeżeli to sobie odpuszczę.

Otworzyła furtkę i ruszyła wzdłuż ścieżki otoczonej po obu stronach lawendą ku frontowym drzwiom.

–Zanim wejdziemy – powiedział Will – czy mogłabyś powiedzieć mi, co się stało z gmachem Sądu?

–Został zburzony.

–To akurat zauważyłem.

–Zrobiła to Marjorie Donnelly. Jej ojciec...

–Został zamordowany.

–Walczyła jak lwica, aby do tego doprowadzić. Komitet Dziedzictwa Narodowego nie chciał się na to zgodzić. Ostatecznie wynajęła tuzin mężczyzn, rzeźników z Halifaxu – a w każdym razie tak mi mówiono – i przyszli tam którejs nocy uzbrojeni w młoty kowalskie, dokonując tak poważnych zniszczeń, że budynek, z uwagi na zagrożenie, jakie stwarzał, musiał zostać zburzony.

–Dobra robota.

–Tylko już o tym nie wspominaj, bardzo proszę.

–Nie będę.

–Wiem, że jeśli chodzi o stan Sherwooda, trochę przesadzam – stwierdziła, sięgając do torebki po klucze. – Zazwyczaj nie jest z nim najgorzej. Jednak od czasu do czasu coś mu odpala pod kopułą i pogrąża się w tak głębokiej depresji, że sama nie wiem, czy uda mu się z tego wykaraskać.

Znalazła klucze, otworzyła drzwi i przestępując próg, zawołała Sherwooda. Bez odpowiedzi. Will wszedł za nią do domu, gdy Frannie udała się na górę w poszukiwaniu brata.

–Musiał chyba wyjść na spacer – stwierdziła, schodząc na parter. – Często mu się to zdarza.

Rozmawiali przez następną godzinę przy kurczaku na zimno, z pomidorami i domowym sosem korzennym. Zakres podejmowanych tematów okazał się szerszy, niż przypuszczali. Impulsywność i życzliwość Frannie ujęły Willa do cna, stwierdził, że jego dawna przyjaciółka stała się rozmowną, elokwentną i pełną głębokiego współczucia kobietą. Gdy opowiadała swoją historię, w jej słowach niejednokrotnie wyczuwał żal, że nie mogła wyprowadzić się z domu, i rozpocząć nowego życia, z dala od Sherwooda i jego problemów. Nigdy jednak nie przyznałaby się do swoich wewnętrznych odczuć i zapewne rozżłościłaby się, gdyby wiedziała, że udało mu się ją przejrzeć. Po prostu wypełniała swój chrześcijański obowiązek, troszcząc się o Sherwooda. Jeżeli to faktycznie była próba, jak stwierdziła przy furtce, zdała ten test celująco.

Rozmawiali nie tylko o tym co wydarzyło się w Burnt Yarley. Z przejęciem chłonęła wieści o perypetiach – także uczuciowych Willa i choć z początku wahał się przed wyznaniem jej całej prawdy, ostatecznie uległ jej namowom. Otworzył się przed nią, opowiadając cokolwiek skróconą wersję swoich przygód erotycznych, przeplatanych wzmiankami o przebiegu kariery zawodowej: o Drew, Patricku, Castro, albumach, niedźwiedziach i Balthazar.

–Pamiętasz, że zawsze chciałeś stąd uciec? – spytała. – Pierwszego dnia, gdy się spotkaliśmy, powiedziałeś, że to zrobisz. i zrobiłeś.

–Trochę to trwało.

–Ale grunt, że to zrobiłeś – dodała z błyszczącymi oczami. – Będąc dziećmi, wszyscy mamy jakieś marzenia, większość jednak nigdy ich nie realizuje. Tobie się udało. Wyruszyłeś w świat, tak jak powiedziałeś.

–A ty? Wyjechałaś choć raz z Burnt Yarley?

–Właściwie nie. Sherwood nie znosi podróży, bardzo się denerwuje. Byliśmy kilka razy w Oxfordzie i jeździmy do Skipton, by odwiedzić mamę w hospicjum, ale on jest najszcześliwszy,

spędzając całe dnie w wiosce. Nie lubi stąd wyjeżdżać.

–A ty?

–Jestem szczęśliwa, kiedy on jest szczęśliwy – odparła krótko.

–I nigdy nie mówiłaś nikomu o tym co się stało?

–Bardzo, naprawdę bardzo rzadko. Ale tak naprawdę nigdy się od tego nie uwolnimy, prawda? To zawsze będzie w nas. – Zniżyła głos, jakby się obawiała, że ściany, zasłyszawszy tę rozmowę, mogłyby zdradzić jej treść Sherwoodowi. – Wciąż śnię o gmachu Sądu – powiedziała. – Te sny są żywsze i bardziej wyraziste od innych. Czasami jestem tam sama i szukam jego dziennika. Przechodzę z jednej sali do drugiej, wiedząc, że on niedługo wróci, i muszę się pospieszyć. – Wyraz twarzy Willa musiał zdradzić to, o czym w tej chwili myślał, ponieważ powiedziała: – Ale to tylko sen, prawda?

–Nie – odparł półgłosem. – Nie sędzę.

Przyłożyła dłoń do ust.

–O Boże – wyszeptała.

–To nie twój kłopot – zapewnił. – Nie mieszajcie się w to, a nic się wam nie...

–Czy on tu jest?

–Tak.

–Jesteś pewien?

–Tak.

–Skąd wiesz?

–To dlatego Hugo trafił do szpitala. Steep tak go skatował.

–Ale dlaczego?

–Chciał przekazać mi w ten sposób wiadomość. Chciał, żebym tu wrócił, żebyśmy dokończyli to co zaczęliśmy.

–Odzyskał swój przeklęty dziennik – wycedziła Frannie. – O co jeszcze mu chodzi?

–O rozdzielenie – odparł Will.

–Z czym?

–Z kim. Ze mną.

–Nie rozumiem.

–Trudno to wytłumaczyć. Jesteśmy połączeni, on i ja. Wiem, że to brzmi absurdalnie, gdy tak siedzimy, rozmawiając i popijając herbatę, ale tak naprawdę on nigdy nie uwolnił się ode mnie.
– I nieco ciszej dodał: – Być może ja również nigdy nie zdołam uwolnić się od niego.

–Czy dlatego poszedłeś do Sądu? Aby go odnaleźć?

–Tak.

–Na Boga, Will. On mógł cię zabić.

–Myślę, że jesteśmy zbyt mocno związani, by mógł to zrobić – stwierdził z wahaniem.

Frannie zastanawiała się przez chwilę nad jego słowami.

–Zbyt mocno związani?

–Jeżeli spróbuje mnie dotknąć, może się zdarzyć, że zobaczy więcej, niż chciałby ujrzeć.

–Jest jeszcze Rosa. Nie zapominaj, że ona zawsze może go wyręczyć.

–To prawda – przyznał.

Szczerze mówiąc, tej ewentualności nie brał dotąd pod uwagę, ale była ona jak najbardziej możliwa.

Zaledwie pół mili stąd Rosa udowodniła, że jest wprawna i bezlitosną zabójczynią; jeżeli Steep chciał trzymać się od swego nemezis na bezpieczny dystans, wystarczyło, żeby rozkazał kobiecie, by zabiła Willa, w ten sposób uniknąłby ponownego z nim zetknięcia.

–Wiesz, Rosa wywarła na Sherwoodzie olbrzymie wrażenie – ciągnęła Frannie. – Jeszcze przez wiele następnych lat miał związane z nią koszmary. Nigdy nie zdołałam wyciągnąć od niego, co się właściwie wydarzyło, ale z całą pewnością wycisnęła na nim swoje piętno.

–A ty? – spytał Will.

–Co ja?

–Ja miałem Steepa. Sherwood Roseę.

–Ach, tak... rozumiem. Moją obsesją stał się jego dziennik.

–Naprawdę?

Skinęła głową, patrząc na wskroś niego, jakby oczyma duszy wyobrażała sobie utracony przedmiot.

–Nigdy nie udało mi się rozwikłać związanej z nim tajemnicy i to przez lata nie dawało mi spokoju. Wiesz, co zawierał?

–Nie.

–To było piękne.

–Serio?

–O, tak – odparła, wzdychając z podziwem. – Znajdowały się tam sporządzone jego ręką szkice zwierząt. Były po prostu doskonałe. A przy każdym rysunku, na sąsiedniej kartce – wykonała gest, jakby otwierała dziennik i utkwiała wzrok w jego wyimaginowanych stronach – widniały gęste, zwarte linijki tekstu, jedna pod drugą, na całej stronie.

–Co tam było napisane?

–Tekst nie był po angielsku. Nie wiem po jakimu. Nie udało mi się znaleźć innych przykładów tej odmiany alfabetu i tego języka. To nie była greka, sanskryt ani nawet hieroglify. Skopiowałam niektóre z tych znaków, ale nie udało mi się ich rozszyfrować.

–Może te symbole nic nie znaczyły. Może sam je wymyślił.

–Nie – zaproponowała. – To był język.

–Skąd wiesz?

–Ponieważ znalazłam takie same znaki w innym miejscu.

–Gdzie?

–Cóż... to dość dziwne. Mniej więcej sześć lat temu, tuż po śmierci taty, zapisałam się do szkoły wieczorowej w Halifaksie, aby uwolnić się od marazmu, w jakim tkwiłam. Zapisałam się na zajęcia z włoskiego i francuskiego. Myślę, że zrobiłam to ze względu na ten dziennik, w głębi duszy wciąż usiłowałam rozszyfrować jego treść. Właśnie wtedy spotkałam tego faceta i zaprzyjaźniliśmy się. Był po pięćdziesiątce, bardzo uprzejmy i w ogóle, po zajęciach przegadaliśmy wiele godzin. Miał na imię Nicholas. Interesował się wszystkim, co miało związek z osiemnastym stuleciem, ale naturalnie ja nie podzielałam jego pasji. Któregoś dnia zaprosił mnie do siebie, i to było naprawdę niezwykle. Zupełnie jakbym cofnęła się w czasie o dwieście pięćdziesiąt lat. Lampy, tapeta, obrazy, wszystko, no wiesz, z tamtej epoki. Chyba facet był trochę szurnięty, ale w zasadzie niegroźny. Twierdził, że urodził się w niewłaściwym stuleciu. – Skwitowała te słowa śmiechem. – W sumie byłam u niego trzy albo cztery razy, najwięcej czasu spędzałam w bibliotece, uwielbiałam oglądać te stare woluminy, miał olbrzymi zbiór książek,

pamfletów i czasopism z osiemnastego wieku, aż któregoś dnia natknęłam się na tę małą książeczkę z rysunkami, a na jednym z nich widniały hieroglify, takie same jak te z dziennika Steepa.

–Z objaśnieniami?

–Niestety, nie – powiedziała przygaszonym tonem. – To było naprawdę frustrujące. Podarował mi tę książkę. Nabył ją na jakiejś aukcji, za grosze, a ponieważ nie podobały mu się rysunki, stwierdził, że mogę ją zatrzymać.

–Masz ją jeszcze?

–Tak. Na górze.

–Chciałbym ją zobaczyć.

–Ostrzegam, rozczarujesz się – rzekła, wstając od stołu. – Ślęczałam nad nią godzinami. – Ruszyła w stronę schodów. – A koniec końców pożałowałam, że w ogóle miałam w rękach ten cholerny dziennik. Zaraz wracam.

Wspięła się po schodach na piętro, a Will tymczasem zlustrował wzrokiem cały pokój. W przeciwieństwie do świeżo odmalowanej kuchni to pomieszczenie wyglądało jak kapliczka ku czci zmarłych rodziców. Meble były proste, funkcjonalne, roślinki (geranium na parapecie i hiacynty w doniczce na stole) dobrze utrzymane, wzory i kolory na dywaniku przed kominkiem, tapecie i zasłonach, delikatnie mówiąc, wydawały się niezbyt dobrane. Na obramowaniu kominka po dwóch stronach masywnego zegara stały oprawione w ramki zdjęcia całej rodziny; zatrzymany w kadrze słoneczny letni dzień i radosne uśmiechy. Za ramkę jednej z fotografii zatknięto połówką karteczkę z modlitwą. Była dość krótka:

Jednością z ziemią, po której stąpam, Boże,

Jednością z niebem powyżej,

Jednością z ziarnem, które sieję, Panie,

Jednością z sercami, które kocham.

Uczyń z pyłu mego ziemię, Boże,

Uczyń powietrze z mego tchnienia,

Uczyń miłość z moich żądz, Panie,

I życie z mojej śmierci.

Było coś pocieszającego w prostocie tej modlitwy, zawartej w niej nadziei na zjednoczenie i

przymierze. W pewien sposób to go poruszyło.

Odstawiał właśnie fotografię na miejsce, kiedy usłyszał trzask otwieranych i cicho zamykanych frontowych drzwi. Chwilę potem w drzwiach pokoju pojawił się niedogolony mężczyzna, o wynędzniałym, zbolalym obliczu, mocno przerzedzonych, lecz długich do ramion włosach, który spojrzał na niego przez okrągłe szkła okularów.

–Will – powiedział, z takim przekonaniem, jakby był pewien, że go tu zobaczy.

–Na Boga, naprawdę mnie poznałeś!

–Oczywiście – odparł Sherwood, podchodząc i wyciągając do niego rękę na przywitanie. – Śledziłem twoją drogę do sławy. – Uścisnął dłoń Willa, miał spoconą skórę, a palce długie i wychudzone. – Gdzie Frannie?

–Na górze.

–Byłem na spacerze – rzekł Sherwood, choć wcale nie musiał się tłumaczyć. – Lubię spacerować.

Wyjrzał przez okno.

–W ciągu godziny zacznie padać. – Podeszedł do barometru w drzwiach pokoju i postukał weń. – Może nawet lunie – dodał, zerkając na urządzenie.

Will stwierdził, że Sherwood wygląda na mężczyznę znacznie starszego, niż jest w rzeczywistości, przerodził się z nastolatka w staruszkę, pomijając zupełnie wiek średni.

–Długo tu zabawisz?

–To zależy od tego, jak szybko mój ojciec wyzdrowieje.

–Co z nim?

–Nabiera sił.

–To dobrze. Od czasu do czasu widuję go w pubie. Twój tatko lubi się kłócić. I zwykle to on prowokuje wszelkie sprzeczki. Dał mi do poczytania jedną ze swoich książek, ale nie byłem w stanie przez nią przebrnąć. Tak też mu powiedziałem: „Niestety, nic nie kumam z tej całej filozofii”. A on mi na to: „To dobrze, bo w takim razie jest jeszcze dla ciebie nadzieja”. Chciałem mu ją oddać, ale on powiedział, że mogę ją wyrzucić. I tak zrobiłem. – Uśmiechnął się. – Powiedziałem mu o tym przy następnym spotkaniu: „Wyrzuciłem pańską książkę”. A on postawił mi drinka. Zwykle w takich sytuacjach ludzie mówią, że jestem głupi, że brak mi piątej klepki; gdybym ja tak postąpił, powiedzieliby, że mam nierówno pod sufitem, no nie? Zresztą i tak ciągle to mówią: „Patrzcie, idzie Głupek Cunningham”. A mnie w to graj.

–Naprawdę?

–O, tak. Przecież tak jest bezpieczniej, nieprawdaż? Ludzie dają ci spokój, bo uważają, że masz coś nie tak pod kopułą. Tak czy siak... jeszcze się pewnie spotkamy, co nie? Muszę wymoczyć nogi.

Gdy odwrócił się, by odejść, z tyłu za nim pojawiła się Frannie.

–Czyż to nie cudownie – zwróciła się do Sherwooda – móc znów zobaczyć Willa po tylu latach?

–Cudownie – powtórzył Sherwood, bez większego entuzjazmu.

–To na razie. – Na twarzy Frannie pojawił się promienny uśmiech. – Nie zostaniesz, żeby pogadać?

–W zasadzie powinienem już iść – rzekł Will, spoglądając na zegarek. I faktycznie tak było. Obiecał Adele, że dziś wybierze się do ojca nieco wcześniej.

–To ta książka. Weź ją – rzekła Frannie, podając Willowi niewielką książeczkę.

Tymczasem Sherwood wspiał się na piętro.

–Trafisz sam do wyjścia, Will? – spytała Frannie, najwyraźniej zaniepokojona melancholijnym nastrojem brata. – Zadzwoń jutro do ciebie. Może umówimy się na wspólne spotkanie, kiedy Sherwood będzie w nieco bardziej towarzyskim nastroju.

To rzekłszy pospieszyła za bratem na górę, żeby się dowiedzieć, co było przyczyną jego dziwnego zachowania.

Will opuścił dom Cunninghamów. Chmury na niebie zgęstniały i pociemniały, zapowiadana przez Sherwooda ulewa była chyba bliższa, niż mu się wydawało. Will przyspieszył kroku, przeglądając po drodze książkę, którą dała mu Frannie. Stronice były sztywne jak z kartonu, druk zbyt mały, aby mógł czytać podczas marszu. Czarno-białe reprodukcje okazały się kiepskiej jakości. Jedynie tytuł, wykonany grubą czcionką, był wyraźnie czytelny, a tworzące go słowa sprawiły, że Will stanął jak wryty. Tytuł brzmiał: TRAGEDIA MISTYCZNA, poniżej zaś widniały słowa: ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ THOMASA SIMEONA.

SZEŚĆ

1

Gdy tylko wrócił do domu, zajął się lekturą książki. Była to właściwie monografia, w sumie sto trzydzieści stron tekstu, z dziesięcioma reprodukcjami szkiców i sześcioma tablicami, mającymi wedle autorki, Kathleen Dwyer, stanowić krótki wstęp do historii życia i twórczości niemal całkiem zapomnianego artysty.

Urodzony w pierwszej dekadzie XVIII stulecia Thomas Simeon był cudownym dzieckiem. Dorastał w Suffolk, w ubóstwie, jego talent artystyczny odkrył miejscowy pastor, który, wiedziony pragnieniem, aby dany od Boga dar przyniósł radość możliwie jak największej liczbie ludzi, zaaranżował w Londynie wystawę prac młodego Simeona. Dwie akwarele, dzieła piętnastoletniego chłopca nabył par Chesterfield, a Thomas Simeon wkroczył na drogę ku sławie. Pojawiły się pierwsze zamówienia – cykl płócien przedstawiających londyńskie teatry został przyjęty nader przychylnie, pojawiły się także próby portretowe (te spotkały się ze znacznie słabszym aplauzem), a kiedy do ukończenia osiemnastego roku życia pozostał Simeonowi zaledwie miesiąc, podjął on pracę nad dziełem, które przyniosło mu sławę artysty – wizjonera, dyptyku na ołtarz kościoła Św. Dominika w Bath. Obrazy te nie zachowały się, ale, sądząc po reakcji, jaką wywołały, musiały być naprawdę olśniewające.

„Dzięki listom Johna Gallowaya” – pisała Dwyer – „możemy śledzić narastające kontrowersje dotyczące odsłonięcia tych płócien. Ich tematyka była dość tradycyjna – panel po lewej przedstawiał scenę z Edenu, ten po prawej wzgórze Golgoty.

»Wszyscy, którzy widzieli te dzieła«- donosi Galloway w liście do ojca, z dnia 5 lutego 1721 r. – »odnieśli nieodparte wrażenie jakby Thomas miał możliwość stąpać po Rajskim Ogrodzie i odmalował to wszystko, co ujrzał na własne oczy, a następnie udał się do miejsca, gdzie umarł Nasz Zbawiciel, i stworzył dzieło tak przejmujące i bolesne, jak pierwsze wypełnione było blaskiem Bożej obecności«. Jednak w niecałe cztery miesiące później ton wypowiedzi Gallowaya uległ zmianie. Nie był już tak przekonany, że wizje Simeona były w pełni zdrowe i normalne.»Wielokrotnie uważałem, że mój drogi Thomas był natchniony przez Boga«- pisał Galloway -»może jednak te same drzwi, które otworzył w swym sercu, by wpuścić do środka Boga, pozostały uchylone, odnoszę bowiem wrażenie, że w jego duszy zagnieździł się diabeł i walczy on, dzień i noc z tym, co ma w sobie najlepszego. Nie wiem, kto zwycięży w tej wojnie, lękam się wszakże o stan umysłu Thomasa«".

Pojawiły się tu również wzmianki o pogorszeniu stanu zdrowia Simeona w okresie, gdy pracował nad dyptykiem, ale Will skrzętnie je pomiął. Do zaplanowanego przez Adele wyjazdu do szpitala miał jeszcze godzinę i zamierzał w tym czasie przeczytać tę ciekawą książeczkę. Jednakże, gdy dotarł do kolejnego rozdziału, okazało się, że styl Dwyer nieco się zmienił, stał się bardziej opisowy, trudniej było omijać całe akapity, w obawie by nie stracić poprowadzonego przez nią wątku, zwłaszcza że autorka opisywała problemy, na jakie natknęła

się podczas swoich poszukiwań. Najogólniej rzecz biorąc, sprawy przedstawiały się następująco: późną wiosną 1722 r. Simeon przeszedł poważne załamanie psychiczne, powiązane z jego utratą wiary i być może (choć dokumentacja na ten temat jest dość niejasna) podjął próbę samobójstwa. Odciął się od Gallowaya, swojego towarzysza z dzieciństwa, i zaszył w niewielkiej pracowni na przedmieściach Blackheath, gdzie w bardzo szybkim tempie uzależnił się od opium. Jak dotąd wszystko to było dość przewidywalne. I nagle w monografii Dwyer Will natknął się na następujący fragment:

„Postać, która dzięki swym subtelnym podszeptom i schlebaniu coraz bardziej rozpasanym nałogom malarza sprawiła, że ów młody geniusz jął coraz częściej wykorzystywać swój kunszt w osobliwych celach. Człowiek ten nazywał się Gerard Rukenau i opisywany był przez jemu współczesnych jako »transcendentalista o nadzwyczajnej wiedzy i umiejętnościach«, o którym sam sir Robert Walpole pisał, że »stanowi dla niego przykład do naśladowania i chciałby choć w części móc być takim jak on, u schyłku tego stulecia«. Jeden ze świadków opisuje, że »słuchając jego przemówień, odnosi się wrażenie, jakby słuchało się kazania na Górze głoszonego przez satyra, człowieka ogarnia odraza i uniesienie równocześnie, jakby umiał on pobudzić pospołu naszą wyższą jaźń i najniższe instynkty«".

Oto człowiek – teoretyzuje Dwyer – który potrafił pojąć sprzeczne impulsy odzywające się w kruchym jak jajko umyśle Simeona. Ojciec – spowiednik, który rychło stał się jego jedynym mecenasem, pomagając mu wydzwignąć się z otchłani samoupodlenia, w którą runął i równocześnie uwolnić się od wpływu racjonalnie myślących przyjaciół, jacy mu jeszcze pozostali". Will na chwilę odłożył książkę, by zastanowić się nad tym, czego się właśnie dowiedział. Choć dysponował kilkoma charakterystykami Rukenaua, wszystkie one były wobec siebie sprzeczne, a przynajmniej tak mu się wydawało. Rukenau był człowiekiem zamożnym i wpływowym, to nie ulegało wątpliwości, i najwyraźniej miał olbrzymi wpływ na Steepa. Czy „żywi i umierający podsycamy ogień" nie brzmiało jak cytat z kazania satyra? Nie miał jednak pojęcia, co mogło stanowić źródło jego władzy i potęgi ani jaka była natura jego wpływów.

Powrócił do tekstu, opuszczając kilka akapitów, w których autorka starała się opisać dzieła Simeona w kontekście estetycznym, aby wrócić do wątku o wpływie Rukenaua na życie artysty. Wkrótce odnalazł to czego szukał. Najwyraźniej Rukenau miał pewien plan, pragnął wykorzystać zapomniany kunszt genialnego malarza i postanowił wyjawić mu go. Chciał, aby artysta stworzył cykl płócien „przywołujących", jak to określiła Dwyer, transcendentalną wizję Rukenaua więzi ludzkości i Dzieła Stworzenia, w formie czternastu obrazów stanowiących kronikę powstania budynku – dzieła istoty znanej jako Nilowiec – o nazwie Mundi Domus, co w dosłownym tłumaczeniu znaczy Dom Świata. Znany jest tylko jeden z tych obrazów i być może wyłącznie on się zachował, zważywszy, że przyjaciółka Rukenaua, Dolores Cruishank, która zgodziła się z własnej woli napisać egzegezę jego tezy i teorii, poskarżyła się w marcu 1723 r., że – za sprawą skrupulatnej troski Gerarda o prawdziwą refleksję nad jego filozofią, a także wskutek estetycznej neuralgii Simeona, pozostałe obrazy – a było ich niezliczenie wiele – zostały zniszczone, czy to przez drobny błąd wynikły przy procesie ich tworzenia, czy też niedociągnięcia w ujęciu tego co miały przedstawiać.

W książce zaprezentowano reprodukcję ocalałego płótna, ale była ona kiepskiej jakości. Obrazek był czarno-biały, rozmyty, ale widoczne mimo wszystko szczegóły na dobre zaintrygowały Willa.

Obraz przedstawiał wczesne stadium budowy: nagą, bezpłciową istotę, która na reprodukcji wydawała się czarnoskóra (ale równie dobrze mogła być zielona lub niebieska), nachylającą się ku ziemi, z której wystawały długie pręty, zdające się oznaczać granicę fundamentów planowanej budowli. Za postacią rozciągało się pustkowie, ziemia była jałowa, niebo opustoszałe. W trzech miejscach, ze szczelin w ziemi buchał ogień i kłęby czarnego dymu, ale to jedynie wzmagало wrażenie pustki i osamotnienia. Co się tyczy opisywanych przez Frannie hieroglifów, były one wyryte na kamieniach walających się po całym pustkowi, jakby spadły z nieba, stanowiąc ślady dla samotnego budowniczego. „Co możemy wywnioskować z tej ilustracji?” – zapytywano w tekście. – „Jej hermetyczność jest doprawdy frustrująca, poszukujemy wyjaśnień, lecz nie znajdujemy odpowiedzi na nurtujące nas pytania”.

Najwyraźniej nawet Dwyer ich nie znała. W kilku kolejnych akapitach pojawiły się porównania z ilustracjami widniejącymi w niektórych traktatach alchemicznych, ale Will czuł, że jej wywody prowadzą donikąd. Dotarł do kolejnego rozdziału, nie zamierzał marnować czasu na amatorskie okultystyczne wyjaśnienia, i był już w połowie pierwszej strony, kiedy usłyszał wołanie Adele. Przez chwilę miał ochotę czytać dalej. Nie chciał przerywać lektury ani tym bardziej nie było mu spieszno do ponownych odwiedzin u ojca w szpitalu, ale jak skonstatował, im szybciej się z tym upora, tym prędzej będzie mógł powrócić do burzliwego świata Thomasa Simeona. To go przekonało. Czym prędzej odłożył książkę na krzesło i zszedł na dół, gdzie już czekała Adele.

Hugo czuł się ospały. Po lunchu trochę cierpiał. Nic niezwykłego, jak zapewniła Adele pielęgniarka, ale to wystarczyło, by zaserwować mu na deser kilka pigułek na uśmierzanie bólu. Proszki wprawiły go w stan otępienia i przez całą czterdziestopięciominutową wizytę Willa i Adele mówił wolno, bełkotliwie i miał kłopoty z ostrością widzenia. Prawie nie zdawał sobie sprawy z obecności Willa w pokoju, ale to akurat Willowi nie przeszkadzało. Wprost przeciwnie, było mu to na rękę. Dopiero pod koniec odwiedzin Hugo popatrzył na syna.

–Co dziś robiłeś? – zapytał, jakby zwracał się do dziewięciolatka.

–Widziałem się z Frannie i Sherwoodem.

–Podejdź trochę bliżej – rzekł Hugo, niezdarnym ruchem ręki przywołując Willa do siebie. – Nie uderzę cię.

–Nie spodziewałem się, że to zrobisz – odparł Will.

–Nigdy cię nie uderzyłem, prawda? Był tu policjant i mówił, że cię biję.

–Nie ma tu żadnego policjanta, tato.

–Ale był. O tu. Dokładnie tutaj. Gbur i prostak. Mówił, że cię biję. A ja nigdy nie podniosłem na ciebie ręki.

Oskarżenie, jakie przeciw niemu wysunięto, bardzo nim wstrząsnęło.

–To przez te leki, które dostajesz, tato – wyjaśnił łagodnym tonem Will. – Sprawiają, że masz przywidzenia. Nikt cię o nic nie oskarża.

–Nie było żadnego policjanta?

–Nie.

–Mógłbym przysiąc... – powiedział, rozglądając się z niepokojem dokoła. – Gdzie Adele?

–Poszła po wodę, żeby wstawić kwiaty, które przynieśliśmy.

–Jesteśmy sami?

–Tak.

Podparł się na poduszce.

–Czy... robię z siebie durnia?

–W jakim sensie?

–No wiesz... że mówię... bez sensu... że bredzę...

–Nie, tato, wszystko w porządku.

–Powiedziałbyś mi, gdyby było inaczej, prawda? – spytał. – Oczywiście, że tak. Powiedziałbyś mi, ponieważ w ten sposób sprawiłbyś mi ból, a ty to lubisz.

–Nieprawda.

–Lubisz patrzeć na cierpienie innych. Masz to po mnie.

Will wzruszył ramionami.

–Wierz w co chcesz, tato. Nie zamierzam się z tobą kłócić.

–Nie, bo wiesz, że byś przegrał. – Postukał się palcem wskazującym w skroń. – Widzisz, że może nie jest ze mną aż tak źle. Zdołałem cię przejrzeć. Zrozumiałem w co grasz. Wróciłeś dopiero teraz, kiedy jestem słaby i dezorientowany, bo sądziłeś, że uda ci się ze mną wygrać. Ale to ci się nie uda. Nawet w tym stanie i tak zdołam cię pokonać. Nie jesteś dla mnie przeciwnikiem. – Znow osunął się na poduszkę. – Nie chcę, żebyś tu więcej przychodził – rzekł półgłosem.

–Och, na miłość boską.

–Nie żartuję – rzekł Hugo, odwracając głowę od Willa. – Wrócę do zdrowia szybciej bez twojej opieki i troski, wielkie dzięki.

Will był zadowolony, że ojciec na niego nie patrzy. Nie chciał, by Hugo dostrzegł, jakie wrażenie zrobiły na nim jego słowa. Will poczuł je w piersiach, trzewiach i krtani.

–Dobrze – mruknął Will. – Skoro tak sobie życzysz.

–Właśnie tak.

Will przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, łudząc się na próżno, że być może Hugo powie coś, co złagodzi trawiący go ból. Ale on powiedział już wszystko, co miał mu do przekazania.

–Zawołam Adele – rzucił Will, odchodząc od łóżka. – Na pewno będzie chciała się pożegnać. Uważaj na siebie, tato.

Hugo nie odpowiedział. Milczał, pogrążony w całkowitym bezruchu. Will, wstrząśnięty, pozostawił go w stanie osobliwej konsternacji i wyszedł by odnaleźć Adele. Nie streścił jej przebiegu swojej rozmowy z Hugonem, powiedział tylko, że zaczeka na nią na zewnątrz. Powiedziała, że właśnie rozmawiała z lekarzem i był on bardzo zadowolony z tego, jak szybko

Hugo wraca do zdrowia. Jeszcze tydzień, powiedziała i najprawdopodobniej wypiszą go, będzie mógł wrócić do domu, czyż to nie cudowne?

Rozpadało się. Nie była to co prawda ulewa, ale mimo to nieźle kropiło. Will nie próbował schronić się przed deszczem. Stał przy wejściu do budynku, z twarzą uniesioną ku niebu, pozwalając, by padające krople chłodziły jego rozpalone powieki i pokraśniałe policzki.

Adele, gdy się pojawiła, jak zawsze po wizycie u Hugona, była cała w skowronkach. Will zaproponował, że poprowadzi, przekonany, że zdoła dotrzeć do domu o kwadrans szybciej, niż gdyby ona zasiadła za kółkiem, a co za tym idzie, będzie mógł jeszcze przed zmierzchem powrócić do lektury książki o Simeonie. Po drodze Adele paplała w najlepsze, głównie na temat Hugona.

–Dał ci wiele szczęścia, prawda? – spytał Will.

–To dobry człowiek – odparła – i wobec mnie też był w porządku. Po śmierci mojego Donalda nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś zaznam choć odrobiny szczęścia. Byłam przekonana, że mój świat legł w gruzach. Ale wiesz co, nawet po największej tragedii zwykle podnosisz się i uczysz się żyć dalej. Po prostu idziesz naprzód. Z początku to wydaje się trudne, bo masz wyrzuty sumienia, dręczy cię to, że ty żyjesz, podczas gdy ta druga osoba odeszła. Myślałam wówczas, że to nie w porządku. Ale po jakimś czasie pogodziłam się z tym, Hugo mi w tym pomógł. Siedzieliśmy, rozmawialiśmy, on uczył mnie cieszyć się różnymi drobiazgami. Nie chodziło o to, by starać się zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, bo to jedynie strata czasu. Zabawne, usłyszeć takie słowa z jego ust. Zawsze myślałam, że filozofowie debatują godzinami i rozmyślają nad sensem życia, a tu Hugo twierdzi, że szkoda na to fatygi.

–Ucieszyło cię, gdy to powiedział?

–Na pewno mi to pomogło – odparła. – Zaczęłam cieszyć się drobnostkami, tak jak mnie tego uczył. Za życia Donalda tak bardzo się starałam... tak ciężko pracowałam...

–Nadal się starasz. I wciąż ciężko pracujesz.

–Ale teraz jest zupełnie inaczej – odparła. – Jeżeli coś nie jest zakurzone, nie zawracam sobie tym głowy. Któregoś dnia sama obrócę się w pył.

–Zaprowadziłaś go do kościoła? Chodźcie tam razem?

–Nie. Już nie chodzę do kościoła.

–Ale przecież chodziłaś. W każdą niedzielę. I to dwukrotnie.

–Nie czuję takiej potrzeby.

–Czy to Hugo cię do tego namówił?

–Nikt mnie do niczego nie namawiał – odparowała Adele, nieco zbyt gwałtownie.

–Ja nie chciałem...

–Nie, nie. Wiem o co ci chodziło. Hugo to bezbożnik i już się raczej nie zmieni. Ale widziałam to co przeżywał mój Donald. Tak strasznie cierpiał. To było okropne, naprawdę potworne, oglądać go w takim stanie. Wiem, że ludzie w takich sytuacjach mówią zwykle, że ich wiara została wystawiona na ciężką próbę. Być może w moim przypadku też tak było, tyle tylko że moja wiara najwidoczniej nie okazała się dość silna, ponieważ od tej pory kościół nie znaczył dla mnie tak wiele jak dotychczas.

–Uznałaś, że Bóg cię zawiódł?

–Donald był zdolnym człowiekiem. Nie tak byстрыm jak Hugo, ale w głębi serca bardzo porządnym. – Zamilkła na kilka chwil, po czym zakończyła swój monolog Kodą.

–Musimy sami radzić sobie z tym, co nas spotyka, zgadza się? Na tym świecie nie ma nic pewnego.

SIEDEM

Will spędził resztę wieczoru z Thomasem Simeonem; pragnąc uciec przed swoim własnym, zaczął się grzebać w jego życiu. Rozmyślanie nad tym, co wydarzyło się w szpitalu, miało się z celem; zachowując odrobinę dystansu (i po kilku serdecznych rozmowach z Adrianną) zdoła spojrzeć na to, co go spotkało, z rozsądniejszej perspektywy. Na razie najlepiej było to zignorować. Zrolował skręta przystawił krzesło do otwartego okna i usiadł, pogrążając się w lekturze; delikatne bębnienie kropel deszczu o dach i parapet koło jego skołatanę nerwy.

Przerwał czytanie na rozdziale monografii, w którym Dwyer skończyła swe okultystyczne dywagacje, najwyraźniej ją przerastające, i powróciła do relacjonowania dalszej części biografii artysty. Pojawił się w niej stary dobry przyjaciel Simeona – Galloway, który wiedziony „głosem przyjaźni” (Will zastanawiał się, co łączyło tych dwóch?) postanowił uwolnić Simeona od jego mecenasa Rukenaua, „którego złowrogi wpływ dostrzegalny był zarówno w wyglądzie, jak i w zachowaniu Thomasa”. Galloway, jak się zdawało, zawiązał spisek, aby uwolnić duszę Simeona ze szponów Rukenaua, która to próba zgodnie z relacją Dwyer zaowocowała fizycznym uprowadzeniem. Z pomocą dwóch kompanów Piersa Varty'ego i Edmunda Maupertiusa – ten ostatni był dawnym, zgorzkniałym, rozgorzonym i zawiedzionym akolitą Rukenaua – Galloway opracował plan „uwolnienia” Simeona, z precyzją i dopracowaniem wskazującym na jego wojskowe wykształcenie. Najwyraźniej realizacja planu powiodła się bez najmniejszych przeszkód. Simeona odnaleziono w jednym z pokoi na piętrze w należącej do Rukenaua rezydencji w Ludlow, gdzie, jak stwierdził Galloway: „Odnależliśmy go w fatalnym stanie; ten, który niegdyś promieniował energią, był obecnie wrakiem człowieka.

Nie dał się jednak przekonać do odejścia, twierdząc, że obecne wspólne, jego i Rukenaua dzieło było zbyt ważne, aby mógł pozostawić je niedokończone. Spytałem, co to za dzieło, on zaś odparł, że nadchodzi pora Domus Mundi, on zaś będzie świadkiem i kronikarzem tego wydarzenia, przenosząc całą jego chwałę na płótno, by papież i królowie pojęli, jak pretensjonalne były ich codzienne sprawy, i by odrzucili precz swe nieczne machinacje, przzerwali toczony wojny i by nastał wreszcie czas pokoju. Jak to się stanie? – zapytałem. On odpowiedział, bym spojrział na jego płótna, tam bowiem wszystko zostanie dokładnie wyjaśnione.

Znaleziono jednak tylko jeden obraz i, jak wszystko na to wskazuje, Galloway zabrał go ze sobą, kiedy on i jego współnicy odeszli. W jaki sposób zdołali przekonać Simeona, by poszedł z nimi, nie wiadomo. Istnieją jednak dowody, że Rukenau starał się nakłonić Simeona do powrotu, na co Galloway wysunął przeciwko niemu tak poważne oskarżenia, że ten zmuszony był skryć się w jakiejś sekretnej kryjówce. Cokolwiek się wydarzyło, odtąd postać Rukenaua znika z tej opowieści, a w życiu Simeona, które potrwa jeszcze trzy lata, nastąpił ostatni, zgoła niespodziewany zwrot”.

Will wykorzystał koniec rozdziału i zrobił sobie przerwę, by zejść na dół i zajrzeć do lodówki, ale myślami pozostawał w dziwnym świecie, który opuścił przed chwilą. Żadna z prozaicznych czynności – parzenie herbaty, robienie kanapki ani nawet ochryply śmiech dobiegający z włączonego gdzieś w sąsiednim domu telewizora (ktoś oglądał serial komediowy) – nie były w stanie oderwać go od obrazów, o których wciąż myślał. Pomogło mu to, że widział Simeona na własne oczy, żyjącego i martwego. Widział rozpaczliwe piękno mężczyzny, na punkcie którego Galloway miał obsesję do tego stopnia, że postanowił odrzucić wszelkie racjonalne rozwiązania i podjął próbę ocalenia przyjaciela. Było coś cudownie romantycznego w jego oddaniu wobec Simeona, którego umysł najwyraźniej nadawał na całkiem innych falach. Galloway nie potrafił go zrozumieć, nikt nie był do tego zdolny, ale to nie miało znaczenia. Więzy między nimi nie miała nic wspólnego z ich poziomem intelektualnym. Ani, jak można by początkowo przypuszczać, z podtekstami natury homoseksualnej. Galloway był po prostu przyjacielem Simeona i nie chciał, by temu, którego kochał, przytrafiło się coś złego. Ot i wszystko. Proste i jakże poruszające w swojej prostocie.

Will, przygotowawszy dla siebie małą przekąskę, ponownie zasiadł do lektury. Zajął miejsce przy oknie (zamknąwszy je uprzednio, gdyż noc była chłodna) i podjął opowieść w miejscu, w którym ją przerwał. Wiedział, a przynajmniej wydawało mu się, że wie, jak skończy się ta historia. Ciałem w lesie, bezlitośnie napoczętym przez zwierzęta. Ale jak ono się tam znalazło? Spodziewał się znaleźć odpowiedź na to pytanie na trzydziestu kolejnych stronach.

Jak dotąd Dwyer powstrzymywała się od osobistych osądów, na rzecz cytatów innych osób, wypowiadających się choćby na temat Rukenaua, ale nawet wówczas skrupulatnie zachowywała równowagę pomiędzy jego zwolennikami i przeciwnikami. I nagle, zgoła niespodziewanie, w tekście zaczęły się pojawiać jej prywatne krytyczne komentarze.

„W tych ostatnich latach” – napisała – „po uwolnieniu się od bluźnierczego wpływu Gerarda Rukenaua możemy ujrzeć pełną moc odkupieńczej wizji Simeona. Oczyszczony przez swój bliski kontakt z szaleństwem powrócił do pracy z nową werwą i ambicjami, aby odkryć, że zaspokoivszy swój głód wielkiego taumaturgicznego planu, jego wyobraźnia rozkwitła jeszcze bardziej. W jego późniejszych pracach, z których wszystkie były pejzażami, widać rękę artysty służącego Dziełu Stworzenia. Obraz zatytułowany »Żyzny Akr«, choć na pierwszy rzut oka wygląda na melancholijną nocną sielankę, po bliższym przyjrzeniu się ukazuje istny korowód żyjących postaci...”

Will przerzucił kilka stron, by spojrzeć na reprodukcję wspomnianego obrazu. Nie dorównywał niezwykłością poprzedniemu, a przynajmniej tak mogło się wydawać na pierwszy rzut oka: pole na stoku i jak okiem sięgnąć rzędy snopów, skąpanych w blasku księżyca. Ale nawet ta kiepskiej jakości reprodukcja ukazywała mistrzowski kunszt Simeona. Malarz wszędzie, gdzie tylko mógł, ukrył zwierzęta: były w snopach, w ich cieniu, w koronie dębu i w odzieniu żniwiarza śpiącego pod drzewem. Nawet na rozgwieżdżonym niebie widać było ukryte kształty, zwinięte w kłębek jak uśpione dzieci gwiazd.

„Oto” – pisała Dwyer – „łagodniejsza postać Simeona, odtwarzająca z niemal dziecięcą

radością sekretne życie świata; wciągająca nas do gry polegającej na wypatrywaniu kolejnych przedstawicieli jego na wpół zakamuflowanego bestiariusza". Ale obraz zawierał w sobie coś więcej. Dużo więcej. Will wyczuł, że nie chodziło tylko o stronę wizualną. Całość zdawała się być przepełniona atmosferą osobliwego wyczekiwania, wszystkie przedstawione tu żywe istoty (za wyjątkiem zmęczonego żniwiarza) pozostawały w ukryciu, wstrzymując oddech, jakby w obawie przed tym, co ma niebawem nastąpić.

Will na chwilę powrócił do tekstu Dwyer, ona jednak przez kilka kolejnych akapitów przytaczała porównania dzieł Simeona z innymi mistrzami pędzla i ostatecznie znów zajął się kontemplacją szczegółów reprodukcji obrazu. Co tak bardzo go zaintrygowało? Z całą pewnością nie zainteresowałby się nim, gdyby natknął się nań przypadkiem (nie był w jego guście), nie wiedząc nic o twórcy dzieła. Było zbyt nieśmiało, z mnóstwem namalowanych zwierząt wyzierających ze swych sekretnych kryjówek. Nieśmiało i nienaturalnie schludne snopki zboża stały w niemal wojskowym szyku, liście na drzewie układały się w spiralne bukiety. Natura taka nie była. Nawet najbardziej spokojna scena, zaobserwowana chłodnym okiem, ukazywała brutalny świat pełen brutalnych postaci zaangażowanych w brutalną, nie mającą końca walkę. A mimo to obraz wydawał mu się dziwnie bliski, jak gdyby on i jego twórca, wbrew pozorom dzielili tę samą wizję świata.

W przypiływie fantazji, wynikającej z faktu, że nie był w stanie zrozumieć swojej reakcji na płótno, powrócił do tekstu Dwyer, opuszczając fragment tekstu dotyczący porównań z innymi twórcami – na szczęście był on krótki – i odnalazł dalszy ciąg biografii Simeona. Niezależnie od jej wzmianki, jakoby Simeon miał „złagodnieć”, kolejne fakty z jego życia nie wskazywały, że w jego duszy panował wewnętrzny spokój.

„Pomiędzy sierpniem 1724 i marcem 1725 przeprowadził się on, ni mniej, ni więcej tylko jedenaście razy, najwięcej czasu – listopad i grudzień – spędził w jednym miejscu, a ściślej rzecz biorąc, w klasztorze w Dungeness. Nie jest jasne, czy udał się tam z zamiarem złożenia ślubów. Jeżeli tak, był to jedynie krótkotrwały kaprys. W połowie stycznia pisze on do Dolores Cruikshank – niegdyś wyznawczyni Rukenua, a teraz, jak sama stwierdziła, osoby wolnej od jego wpływu: *Zastanawiam, się, czy nie opuścić tego przeklętego kraju i nie wyjechać z Europy, gdzie jak przypuszczam, mógłbym odnaleźć dusze, które potrafiłyby pojąć naturę mojej wizji lepiej niż którykolwiek z mieszkańców tej nazbyt racjonalnej wyspy. Szukałem wszędzie nauczyciela, który mógłby mnie poprowadzić, lecz natrafiłem jedynie na ciemne umysły i przestarzałą, demagogiczną retorykę. Uważam, że w każdym momencie musimy wymyślać religię, tak jak świat wymyśla sam siebie, bowiem jedyną stałą jest tu brak stałości. Czy spotkałaś kiedyś teologa, który znalazłby tę prostą prawdę, a jeżeli nawet, czy ośmieliłby się ją głosić? Nie. Jest to uważane wśród uczonych za herezję, ponieważ przyznanie się do tego równałoby się odrzuceniu wszystkiego, co uważali za pewne, a co za tym idzie, utraciliby oni władzę nad nami i nie mogliby mówić nam, co jest, a czego nie ma, oraz że coś jest takie czy inne. Mam wrażenie, że celem religii jest stwierdzenie: Wszystko jest jakie jest. Wszystko, co zostało wymyślone, co uważamy za prawdę, istoty żywe i te, które nazywamy martwymi, rzeczy widzialne i te, które dopiero się nimi staną: wszystkie są takie, jakie są. Był ktoś, kogo oboje znaliśmy, kto nauczał tej prawdy, ja wszelako byłem zbyt arogancki, aby ją sobie przyswoić.*

Żałuję mojej nieostrożności każdego dnia, w każdej chwili. Siedzę tu, w tym małym miasteczku i spoglądam na zachód, ku wyspom, tęskniąc za nim jak psiak, który zgubił pana. Ale nie odważę się do niego wrócić. Zabiłby mnie za moją niewdzięczność, a przynajmniej tak mi się wydaje. Właściwie nie mógłbym go za to winić. Zbłądziłem przez swych przyjaciół, którzy chcieli dla mnie jak najlepiej, ale to żadna wymówka, nieprawdaż? Powinienem był poodgryzać im palce, gdy przyszedli mnie zabrać. Powinienem był zadusić ich modlitewnikami. A teraz jest już za późno. Błagam, napisz jeśli masz o nim jakieś nowe wiadomości, abym spoglądając ku wyspom, mógł go sobie wyobrażać i choć przez chwilę poczuć kojący spokój". Mocne słowa, lecz Willowi jakoś trudno było z nimi sympatyzować. Odnalazł swoje miejsce w świecie, głównie dlatego że nie miał własnych nauczycieli, tak więc wyrażana przez Simeona tęsknota za mistrzem wydała mu się cokolwiek absurdalna. Dwyer była podobnego zdania. Napisała: „To jawny przykład zachodzących w Simeonie dramatycznych zmian natury psychologicznej. A to nie wszystko, o nie. W drugim liście do Cruikshank, wysłanym z Glasgow niecały tydzień później daje on w pełni upust swoim chorym fantazjom: *Dowiedziałem się z pewnego źródła, że człowiek z Wysp Zachodnich nakłonił w końcu złotego architekta do swoich celów i położył fundamenty Niebios. Co to za źródło, zapytasz? Powiem ci, choć możesz ze mnie zadrwić. Wiatr jest mym posłańcem. Przyznaję, otrzymuję wieści także z innych źródeł, żadnemu jednak nie ufam tak jak wiatrowi, który nocą przyniósł mi nowiny o dokonaniach Wiesz Kogo i które sprawiły, że zacząłem chorować z braku snu i musiałem ukryć się w tym plugawym kaledońskim miasteczku, dokąd nie docierają z wiatrem żadne wieści.*

Cóż mi jednak po śnie, skoro budzę się w tym samym stanie, w jakim kładę się na spoczynek? Muszę zdobyć się na odwagę i udać do niego. Tak przynajmniej uważam w tej chwili. W następnej mogę zmienić zdanie. Widzisz, jak to ze mną jest? Dręczą mnie sprzeczne myśli, czuję się równie podzielony jak ów architekt. Oto sztuczka, dzięki której udało mu się nakłonić tę istotę do swoich celów, i zastanawia mnie, czy także we mnie zasiał ziarno podobnego podziału, jako karę za moją zdradę. Myślę, że mógł to zrobić. Zapewne czerpałby z tego przyjemność, wiedząc, że w końcu do niego wrócę, a im bliżej będę niego, tym bardziej będę musiał walczyć z samym sobą".

„To pierwsza wzmianka" – pisała Dwyer – „o dręczących go myślach samobójczych. Nie zachował się żaden zapis odpowiedzi ze strony Cruikshank, toteż musimy przyjąć, że uznała, iż nie jest w stanie w żaden sposób pomóc Simeonowi. Tylko raz, w ostatnim z czterech listów, który napisał do niej podczas swego pobytu w Szkocji, nawiązuje do swojej twórczości. *Dziś opracowałem plan, który, jak sądzę, może okazać się cudownym. Stworzę portret Wiesz Kogo, na jego wyspie. Słyszałem, że zwą ją Spichlerzem, tak więc na obrazie namaluję go wśród zbóż. A potem udam się z portretem do niego, modląc się, aby ten dar zdołał ułagodzić jego gniew. Jeżeli tak się stanie, zastanę przyjęty do jego domu i z radością będę służył memu panu, aż do dnia mojej śmierci. Jeżeli go nie przyjmie, zapewne zginę z jego ręki. Tak czy owak, już o mnie więcej nie usłyszysz".*

„Ten żaloszny list" – pisała Dwyer – „był ostatnim. Ale wbrew jego przypuszczeniom jeszcze o nim usłyszeliśmy. Zostało mu siedem miesięcy życia, podczas których Simeon podróżował do Bath, Lincoln i Oxfordshire, korzystając ze wsparcia przyjaciół. Nadal malował obrazy, z

których trzy ocalały. Żaden z nich nie pasuje do opisu Spichlerza, o którym pisał w liście do Dolores Cruikshank. Nie ma także żadnych zapisów świadczących, że udał się na Hebrydy w poszukiwaniu Rukenaua.

Wydaje się wielce prawdopodobne, że całkiem porzucił swoje plany i wyjechał z Glasgow na południe w poszukiwaniu bardziej odpowiadającego mu miejsca, gdzie mógłby osiaść. Na którymś etapie tej podróży odnalazł go John Galloway i zlecił namalowanie domu, w którym zamieszkiwał obecnie ze swoją żoną (poślubił ją we wrześniu 1725) Jak donosi Galloway w swoim liście do ojca: *Mój przyjaciel Thomas Simeon pracuje obecnie nad dziełem unieśmiertelniającym dom i mam ogromną nadzieję, że będzie to zaiste wspaniały obraz. Wierzę święcie, że Thomas ma w sobie zadatki na artystę popularnego, gdyby tylko zdołał odrzucić swoje zadęcie i wygórowane aspiracje. Gdyby mógł, zapewne namalowałby anioła błogosławiącego każdy liść i każde źdźbło trawy, bo, jak sam powiada, dzień i noc usilnie stara się je dostrzec. Moim zdaniem to geniusz i zapewne także obłąkany. To wszelako najgorsza forma szaleństwa, która ani trochę nie deprymuje Louisy. Powiedziałem jej, że Thomas wypatruje aniołów, na co odparła, że nie dziwi się, iż Simeon nie może ich zobaczyć, roztacza bowiem silniejszy blask niż one, więc, zawstydzane, skrzętnie się ukryły”.*

Anioł błogosławiący każdy liść i każde źdźbło trawy to obraz, który przemawia do wyobraźni, pomyślał Will. Znużony prozą Dwyer – jej przypisami i domysłami – ponownie skupił się na „Żywnym Akrze” i raz jeszcze przyjrzał się reprodukcji. Równocześnie zdał sobie sprawę z podobieństwa pomiędzy tym obrazem a jego własnymi fotografiami. To były sceny z przeszłości i przyszłości, następstwo czasów, wstęp i epilog, księgi zatytułowanej Holokaust. A kto był autorem jej treści? Naturalnie, Jacob Steep. Simeon namalował obraz przedstawiający pejzaż na chwilę przed pojawieniem się Steepa, wszystko, co żyje, drżało z trwogi przed jego niechybnym, rychłym nadejściem. Will uchwycił moment po jego odejściu, czas in extremis, kiedy żywny akr staje się ziemią jałową. Byli poniekąd współtwórcami, to dlatego raz po raz wracał wzrokiem do tego obrazu. Było to dzieło jego nieznanego brata, z którym nie łączyło go jedynie pokrewieństwo krwi.

Rozległo się ciche pukanie i w drzwiach pojawiła się Adele, by zawiadomić Willa, że zamierza się położyć. Spojrzał na zegarek i zdziwił się, bo była już za dwadzieścia jedenasta.

–No to dobrej nocy – powiedział – przyjemnych snów.

–Dziękuję – odparła. – I nawzajem.

Wyszła, pozostawiając go sam na sam z ostatnimi trzema, czterema stronami biografii Simeona. Nie napotkał tu niczego ciekawego. Poszukiwaczom zatrudnionym przez Dwyer musiało zabraknąć werwy mniej więcej na miesiąc lub dwa przed śmiercią Simeona.

„Zmarł około 18 lipca 1730 r.” – napisała – „wskutek połknięcia zabójczej dawki własnych farb. Tak w każdym razie brzmi wersja oficjalna. Istnieją wszakże inne teorie na ten temat. Anonimowy nekrolog w The Review, na przykład, opublikowany w cztery miesiące po śmierci

Simeona sugeruje, że artysta nie miał powodów, by ze sobą skończyć, i to raczej pewnym osobom zależało, by go uciszyć. Dolores Cruikshank w napisanym w tym okresie liście do Gallowaya wspomina, że doszły ją plotki, jakoby ciało uległo częściowo uszkodzeniu, co mogło świadczyć, że jego śmierć nie była wynikiem samobójstwa: *Pomyślałam o „niewidzialnych” których twoim zdaniem tak bardzo się lękał, kiedy zabrałeś go z domu Rukenaua. Czy to możliwe, że padł ofiarą napaści? Niestety, lekarz, doktor Shaw także zniknął. Nikt nie wie co się z nim stało.*

I jeszcze jedna dziwna rzecz. Prawdziwa zagadka. Mimo że John Galloway poczynił niezbędne kroki, aby jego wysłannicy mogli odebrać ciało i przewieźć je do Cambridge, gdzie miano pochować je z zachowaniem należytej czci i ceremonii, okazało się, że zwłoki w tajemniczy sposób zniknęły. Tak więc miejsce ostatniego spoczynku Thomasa Simeona pozostaje po dziś dzień nieznanie, choć zdaniem autorki jego zwłoki przewieziono zapewne drogą lądową, a następnie morską na Hebrydy, gdzie miał swoją kryjówkę Rukenau. Wydaje się mało prawdopodobne, głównie z uwagi na obrazoburcze przekonania Rukenaua, aby zwłoki Simeona złożono w poświęconej ziemi. Najprawdopodobniej spoczywa w jakimś nieoznakowanym miejscu. Pozostaje mieć nadzieję, że spoczywa tam w spokoju, gdyż jego życiowa wędrówka dobiegła końca, zanim jeszcze zdołał on odcisnąć swe piętno na twórczości tamtego okresu.

John Galloway został zabity w roku 1742, przypadkowo postrzelony podczas manewrów wojskowych w Dartmoor. Piers Varty i Edmund Maupertius, którzy towarzyszyli Gallowayowi podczas uprowadzenia Simeona z domu Rukenaua, umarli młodo: Varty zmarł na suchoty, a Maupertius, aresztowany pod zarzutem przemytu do Paryża, skonał na atak serca w policyjnym areszcie. Jedynie Dolores Cruikshank zmarła śmiercią naturalną, w podeszłym wieku, mając lat dziewięćdziesiąt jeden, większość cytowanych tu listów pochodziła z jej zbiorów.

Co do Gerarda Rukenaua, choć autorka przez cztery lata starała się odkryć prawdę kryjącą się za tą mistyczną postacią, nie odnalazła nic prócz tego, co zostało zamieszczone w niniejszej monografii. Nie ma najmniejszego śladu po domu w Ludlow, skąd rzekomo Galloway wyswobodził Simeona, nie istnieją także żadne listy, notatki, testament ani inny dokument prawny sygnowany jego nazwiskiem.

Innymi słowy, choć nie ma to większego znaczenia, dziedzictwo Simeona...”.

Will przestał skupiać się na tekście, gdy Dwyer podjęła próbę przedstawienia dzieł Simeona w kontekście estetycznym. Simeon – prorok surrealizmu, Simeon – metaficzny symbolista, Simeon – malarz pejzażysta. Piewca piękna natury. Na tym właśnie Dwyer poprzestała, jakby zabrakło jej osobistego stosunku do prezentowanej postaci i nie pozostało jej nic innego jak tylko zakończyć tę skądinąd krótką monografię.

Odłożył książkę i spojrzął na zegarek Było piętnaście po pierwszej. Nie czuł się szczególnie zmęczony, pomimo trudów minionego dnia. Zszedł na dół i zaczął przetrząsać kuchnię w

poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Znalazłszy miseczkę puddingu ryżowego, jednej ze specjalności kucharskich Adele, wrócił do salonu z łyżką i miską w dłoniach i spałaszował całą zawartość. Przepis, nawet po tylu latach, pozostał niezmieniony, pudding był kremowy i puszysty, jak zawsze. Taki, jakim go pamiętał. Patrick na pewno dostałby bzika na jego punkcie, pomyślał, a chwilę później sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do niego. Jednak to nie Patrick, lecz Jack odebrał telefon.

–Sie masz, Will – powiedział. – Jak leci?

–Nieźle.

–Dzwonisz w samą porę. Mamy tu małe spotkanie.

–W związku z czym?

–No wiesz... chodzi o... parę spraw. Jest tu Adrianna. Chcesz z nią pogadać?

Zastanawiająco szybko oddał jej słuchawkę. Głos Adrianny brzmiał odrobinę nieswojo.

–Wszystko w porządku?

–Jasne. Odbywamy tu właśnie bardzo poważną rozmowę. A co u ciebie? Zakopaliście z ojcem topór wojenny?

–Nie. I raczej nie ma na co liczyć. Powiedział mi wprost, że nie chce, abym go odwiedzał. Nie życzy sobie moich wizyt.

–A zatem wracasz do domu?

–Jeszcze nie. Bez obawy, dam ci znać, kiedy to nastąpi, żebyś mogła urządzić na moją cześć wielkie przyjęcie powitalne.

–Sądziłam, że masz już dość wszelkich przyjęć – odparła.

–Bynajmniej. Z kim rozmawiałaś?

–Zgadnij.

–Z Drew.

–Strzał w dziesiątkę.

–Co ci powiedział?

–Uważa, że oszalałeś.

–Ty, naturalnie, próbowałaś mnie bronić?

–Możesz to zrobić sam. Chcesz porozmawiać z Patem?

–Tak. Jest gdzieś w pobliżu?

–Owszem, ale... nie czuje się najlepiej.

–Choroba?

–Nie. Raczej nadmiar emocji. Naprawdę odbyliśmy bardzo poważną rozmowę, a on nie bardzo ma na to siły. Ale jeżeli to coś pilnego, jeżeli bardzo chcesz, mogę przekazać mu słuchawkę.

–Nie, nie. Zadzwoń jutro. Ucałuj go ode mnie, dobrze?

–A ja też dostanę od ciebie całusa?

–Jak zawsze. Jesteś kochana.

–Tęsknimy za tobą.

–To dobrze.

–Do zobaczenia niebawem.

Kiedy odłożył słuchawkę, poczuł tak wielką i przejmującą tęsknotę, że aż zakłuło go w piersi. Wyobraził ich sobie – Patricka, Adriannę, Jacka, Rafaela, a nawet Drew – rozmawiających o różnych istotnych sprawach, podczas gdy wokół wzgórza położyły się opary mgieł, a od zatoki niosło się wycie okrętowych syren. Tak łatwo byłoby spakować manatki i zniknąć, pozostawiając Hugona, by powoli, pod czujnym okiem Adele wracał do zdrowia. Już jutro mógłby znaleźć się wśród swoich, gdzie go kochano. Ale nie byłby tam bezpieczny. Mógłby na kilka dni zapomnieć o bólu tego miejsca, szaleć tak, że narkotyczny stupor i pijackie otępienie wyprałyby jego umysł z wszelkich wspomnień. Tylko jak długo mogłoby trwać takie zapomnienie? Tydzień? Miesiąc? Aż któregoś dnia, w trakcie kąpieli albo w chwili, gdy zwyczajnie spoglądałby na ćmę w oknie, to znów by się stało. Ta niedokończona historia powróciłaby, żeby go nękać. Był jej niewolnikiem. To prawda, której nie odważył się wypowiedzieć na głos. Jego umysł i emocje zbyt zaangażowały się w rozwikłanie tej zagadki, aby teraz pozwoliły mu zrejterować. Może z początku był tylko przewodnikiem, jak go określił Jacob, beznamiętnym sensytywnym kanałem, przez który przepływały wspomnienia Steepa. Przez lata jednak ten stan uległ zmianie. Był teraz kimś więcej. Stał się echem Simeona – dzięki swym zatrzymanym w kadrze obrazom ukazywał ogrom dzieła Niszczyciela. Nie sposób jednak było uciec przed tą rolą, nie mógł dłużej udawać, że jest zwyczajnym, przeciętnym człowiekiem. Wraz z wizją przyjął na siebie sporą odpowiedzialność.

Skoro tak miało być, to niech będzie. Nie zamierzał z tym walczyć. Będzie obserwował, tak

jak zawsze to czynił, aż do zakończenia tej historii. Jeżeli wyjdzie z tego cało, będzie mógł dokonać czegoś, co mu się jeszcze nigdy nie udało – da świadectwo, opowie historię niemal całkowitej zagłady z punktu widzenia tego, który ocalał. Jeśli to mu się nie uda, jego ciało zostanie złożone do grobu, przez tę samą rękę, która uczyniła go owym świadkiem, ale przynajmniej odejdzie z tego świata, znając naturę swego zabójcy, i być może ta świadomość pozwoli mu spoczywać w spokoju.

OSIEM

Środki przeciwbólowe, które zaaplikowano Hugonowi, nie pozwoliły mu zapaść w spokojny sen. Leżał jak na katafalku, w słabo oświetlonym pokoju, odwiedzany przez kolejne wspomnienia. Jedne były mgliste niczym szepty i ulotne cienie. Większość jednak była wyrazista, bardziej realna dla jego szklistych oczu niż kretyńskie pielęgniarce, które od czasu do czasu sprawdzały jego stan. W większości były to przyjemne wizyty i wspomnienia świetlanych lat po wojnie, kiedy jego gwiazda świeciła najsilniejszym blaskiem. Przez trzy lub cztery lata, po opublikowaniu swojej pierwszej książki „Sofizmat Myśli”, w 1949 r. Hugo był bożyszczem wszystkich ikonoklastów w kręgach angielskich filozofów. Mając zaledwie dwadzieścia cztery lata, wydał książkę, która nie tylko podważała doktryny logiki pozytywistycznej (wszystkie rozważania metafizyczne są błędne, ponieważ nigdy nie da się ich zweryfikować), lecz również egzystencjalizmu (zasadniczymi imperatywami badań filozoficznych są istnienie i wolność). Później wypierał się większości tego, co napisał w swojej pierwszej książce, teraz wszakże nie miało to znaczenia. Zapomniał o swoich wątpliwościach i wspominał jedynie dobre czasy. Dyskusje z Sartrem na Sorbonie (tej wiosny poznał Eleanor), to jak zmieszał z błotem Ayersa podczas przyjęcia w Oksfordzie, jak jeden z jego niegdysiejszych wykładowców stwierdził, że jego przeznaczeniem jest sława i wielkość, i że jeśli tylko nie odstąpi od swoich celów, z czasem zdoła odmienić całą europejską filozofię. To rzecz jasna stek bzdur, ale tej nocy łapczywie chłonał każdy nonsens, radując się złocistymi widzeniami, które zjawiały się przy jego łożu boleści. (Sartre też tam był, wyglądał jak żaba, czyli tak jak zwykle, towarzyszyła mu Simone). Niektórzy z jego gości tylko uśmiechali się i kiwali głową, jeden czy dwóch było zbyt pysznych, by odezwać się choć słowem, ale wielu po prostu ucięło sobie z nim dłuższą lub krótszą pogawędkę, na różne, skądinąd przyziemne i banalne tematy. Mimo to słuchał ich z uwagą, wiedząc, że przyszli tu specjalnie dla niego. Musiał to uszanować. I wtedy, ciszej niż ktokolwiek inny spośród tego tłumu gości, pojawił się ten, z którym nie wiązały go żadne przyjemne wspomnienia, a wraz z nim jego towarzyszka, i stanęli w nogach łóżka, przyglądając się Hugonowi.

–Odejdźcie – powiedział Hugo.

Kobieta – jej towarzysz nazwał ją chyba Rosą, tamtej nocy na drodze – przypatrywała mu się ze współczuciem.

–Wyglądasz na zmęczonego – stwierdziła.

–Chcę, by powróciły inne sny – rzekł z naciskiem. – Do kroćset, wystraszyliście je. Rzeczywiście tak było. W pokoju, prócz tej dwójki nie było nikogo, jedynie ta uśmiechnięta piękność i jej szczupły, posępny oblubieniec. – Kazałem wam odejść.

–Nie jesteśmy wytworem twojej wyobraźni – powiedziała Rosa.

O Boże, pomyślał.

–No chyba że wszyscy jesteśmy iluzjami. Wyobraź sobie nas wyobrażających sobie siebie...

–Daruj... sobie... – rzucił Hugo. – Nawet studentowi pierwszego roku nie puściłbym płazem takiej sofistyki. – Pożałował swoich słów, ledwie je wypowiedział. Leżał w łóżku, słaby, obolały i oszołomiony. To nie czas na protekcjonalność. – Choć z drugiej strony... – zaczął.

–Na pewno masz rację – rzekła kobieta. Uszczypnęła się. – Czuję się bardzo realna. – Uśmiechnęła się i dotknęła swojej piersi. – Chcesz to sprawdzić?

–Nie – rzucił pośpiesznie.

–A ja myślę, że chcesz – odparła, podchodząc do niego. – Dotknij tylko...

–Twój facet jest bardzo cichy – powiedział Hugo w nadziei, że to ją zbije z tropu.

Obejrzała się na Steepa, który odkąd tu weszli, nawet nie mrugnął. Dłonie przyobleczone w rękawiczki oparł na poręczach w nogach łóżka i w słabym świetle wydawał się tak wątki i blady, że Hugo, im dłużej mu się przyglądał, tym mniej się go obawiał. Hipnotyczna moc, którą emanował wtedy na drodze, całkiem zeń odpłynęła i choć świdrował Hugona wzrokiem, sprawiał wrażenie bezwolnego, jak stary wilk pozbawiony kłów. Może wcale nie muszę się bać, pomyślał Hugo. Może uda mi się przekonać ich, by powiedzieli prawdę.

–Czy on chce usiąść? – zapytał Hugo.

–Może powinien. Jacobie – rzekła Rosa, na co Steep chrząknął cicho i wycofawszy się, usiadł na krześle przy drzwiach.

–Jest chory? – spytał Hugo.

–Nie, po prostu się boi.

–Jest po temu jakiś konkretny powód?

–Powrót do tych miejsc – odparła kobieta. – Oboje staliśmy się trochę za bardzo przeczulenii. Przypominamy sobie różne rzeczy, a gdy już zaczniemy wspominać, nie możemy przestać, To po prostu się dzieje, czy tego chcemy, czy nie. Wracamy i już...

–Wracacie... ale dokąd? – zapytał Hugo, niejako mimochodem, udając, że odpowiedź na to pytanie nie jest dla niego szczególnie ważna.

–Nie wiemy dokładnie – odrzekła Rosa. – To martwi Jacoba bardziej niż mnie. Myślę, że wy, mężczyźni, musicie wiedzieć takie rzeczy lepiej niż my, kobiety. Mam rację?

–Nie zastanawiałem się nad tym – przyznał Hugo.

–No cóż, tak właśnie jest. On całymi dniami zastanawia się nad tą sprawą, innymi słowy,

zastanawia się, kim i czym byliśmy, zanim staliśmy się tym, kim jesteśmy obecnie. Rozumiesz, o co mi chodzi?

–Dogłębnie – przyznał z uśmiechem Hugo.

–Jakiś ty męski – odpowiedziała.

–Drwisz sobie ze mnie? – zjeżył się Hugo.

–Bynajmniej. Zawsze mówię to co myślę. Spytaj jego.

–Czy to prawda? – Hugo zwrócił się do Steepa.

–Tak, to prawda – odparł tamten beznamietnym tonem. – Ona jest wszystkim, czego mężczyzna mógłby kiedykolwiek pragnąć u kobiety.

–A on jest wszystkim, czego kiedykolwiek pragnęłam u mężczyzny – dodała Rosa.

–Jest pełna współczucia, opiekuńcza, matczyna...

–On jest okrutny, ojcowski...

–Ona lubi wyduszać życie...

–Ty także – wtrąciła Rosa.

Steep uśmiechnął się.

–Jeżeli chodzi o krew, jest lepsza ode mnie. A także jeżeli chodzi o dzieci. I ogólnie pojętą medycynę.

–On jest lepszy, jeżeli chodzi o poezję, noże i geografię.

–Ona lubi księżyc. Ja wolę światło dnia.

–On lubi grać na perkusji. Ja preferuję śpiew.

Rzuciła mu czułe spojrzenie.

–On za dużo myśli – stwierdziła.

–Ona odczuwa więcej, niż powinna – odparł i popatrzył na Rosę.

Ich spojrzenia spotkały się i oboje zamilkli. Obserwując ich, Hugo poczuł pod sercem ukłucie zazdrości. Nigdy nie poznał nikogo tak, jak znało się tych dwoje, ani sam przed nikim nie otworzył do tego stopnia swego serca. Właściwie szczyił się tym, że jest dla innych

nierozpoznawalny, że zachowuje dystans wobec ludzi, że nie zdradza nikomu swoich tajemnic. Boże, ależ był głupi.

–Widzisz? – rzuciła Rosa. – On jest po prostu niemożliwy – dodała z udawanym rozdrażnieniem, ale równocześnie uśmiechnęła się czule do ukochanego. – Jedyne, czego chce, to odpowiedź, pragnie poznać odpowiedź. A ja mu na to: spróbuj choć przez chwilę płynąć z prądem, daj mu się ponieść, ciesz się tą przejażdżką, ale nie, on dalej swoje, musi dotrzeć do ukrytej prawdy, poznać tajemnicę rzeczy. Po co istniejemy, Roso? W jakim celu przyszliśmy na świat? – Zerknęła na Hugona. – Nic tylko sofistyka, nieprawdaż?

–Nie – warknął Steep i wydał wargi. – Nie mów tak. Wiesz, że to nieprawda. – Podniósł się z krzesła i popatrzył na Hugona. – Może nie zechcesz się do tego przyznać, ale również ciebie dręczą te pytania. Nie próbuj zaprzeczać. Każda żyjąca istota zadaje je sobie, prędzej czy później.

–W to akurat wątpię – wtrącił Hugo.

–Nie widziałeś świata naszymi oczami. Nie słyszałeś tego, co my mieliśmy okazję słyszeć. Nie znasz tych jęków, ryków i szlochów.

–Powinieneś spędzić tu noc – odparował Hugo. – Na tym oddziale słyszałem tyle jęków i szlochów, że wystarczy mi tego do...

–Gdzie jest Will? – zapytał nagle Steep.

–Co?

–Chce wiedzieć, gdzie jest Will – powiedziała Rosa.

–Odszedł – powiedział Hugo.

–Odwiedził cię?

–Owszem. Ale nie mogłem znieść jego obecności i go odprawiłem.

–Czemu tak bardzo go nienawidzisz? – spytała Rosa.

–Nie pałam do niego nienawiścią – zaoponował Hugo. – On mnie po prostu nie interesuje. Wiesz, miałem jeszcze jednego syna...

–Już o nim wspominałeś – przypomniała mu Rosa.

–Był całym moim życiem. Nigdy nie widziałeś takiego chłopaka. Miał na imię Nathaniel. Czy to też mówiłem?

–Nie.

–No to teraz mówię.

–Jak Will to zniósł? – wtrącił Steep.

Hugo wydawał się lekko rozdrażniony tym, że nie pozwolono mu kontynuować przyjemnych dla niego wspomnień.

–Co jak zniósł?

–To, że go odprawiłeś?

–Bóg raczy wiedzieć. Zawsze był skryty. Nigdy nie wiedziałem, co mu chodzi po głowie.

–Ma to po tobie – zauważyła Rosa.

–Być może – przyznał Hugo. – Tak czy owak, już tu nie wróci.

–Wróci, by cię zobaczyć, jeszcze jeden raz – powiedział Steep.

–Nie wydaje mi się.

–Uwierz mi, wróci – rzekł Steep. – To jego obowiązek. – Spojrzał na Rosę, która usiadła delikatnie na łóżku obok Hugona. Miękkim ruchem oparła dłoń na piersi mężczyzny.

–Co robisz? – zapytał.

–Zachowaj spokój. – rzekła.

–Jestem spokojny. Co robisz?

–To może być całkiem przyjemne. Jak błogie zapomnienie.

Hugo zwrócił się do Steepa:

–O czym ona bredzi?

–On przyjdzie by się z tobą pożegnać, Hugo... złożyć ci wyrazy szacunku... – odparł Steep.

–Co to ma znaczyć?

–I będzie słaby. Chcę, żeby był słaby. Musi być słaby.

Hugo słyszał pod czaszką leniwy, kojący rytm pulsującej krwi.

–Już jest słaby – powiedział bełkotliwym głosem Hugo.

–Jak ty mało o nim wiesz – odrzekł Steep. – Prawie go nie znasz. To wszystko co widział. To

czego się nauczył. Stał się niebezpieczny.

–Dla ciebie?

–Dla mojego celu – wyjaśnił Steep.

Nawet w obecnym, rozmarzonym, sennym stanie Hugo zorientował się, że dotarli do sedna sprawy – był nim cel Steepa.

–A... co... nim... jest? – zapytał.

–Poznanie Boga. – odrzekł Steep. – Kiedy poznam Boga, zrozumie, po co się narodziliśmy, ona i ja. A wówczas zostaniemy włączeni do wieczności i odejdziemy.

–A Will ci w tym przeszkadza?

–Rozprasza mnie – uciął Steep. – Sugeruje, że jestem diabłem...

–Dajże spokój, przestań – odezwała się Rosa, jakby usiłowała go ułagodzić. – Znów popadasz w paranoję.

–Ale taka jest prawda! – zagrzmiał Steep w przypływie wściekłości. – Czymże są jego cholerne albumy, jeśli nie zawołowanymi ostrzeżeniami? Każde zdjęcie, każde słowo, jak nóż! Jak cios nożem, o tu! O tak! – Uderzył się pięścią w tors. – A przecież mógłbym go pokonać. Mógłbym, prawda?

–Mógłbyś – zapewniła Rosa.

–Byłby moim skarbem, moim ukochanym, doskonałym dzieckiem. – Steep wstał z krzesła, podszedł do łóżka i spojrzał na Hugona. – Nigdy go nie dostrzegalesz. Szkoda. Żal mi i ciebie, i jego. Byłeś tak zaślepiony osobą zmarłego syna, że nie widziałeś tego, co dorastało pod twoim bokiem. Ten mężczyzna jest tak dzielny i wspaniały, że muszę go zabić, nim on do reszty unicestwi mnie. – Steep spojrzał na Rosę. – Kończ już – powiedział. – On nie jest tego wart. Szkoda strzępić sobie język.

–Kończ już? – spytał Hugo.

–Ciii – powiedziała Rosa. – Oczyść umysł. Tak będzie łatwiej.

–Może dla ciebie – odparł, usiłując usiąść.

Ale jej dłoń, którą dotykała jego piersi, nie pozwoliła mu na to. Równocześnie bicie jego serca stało się głośniejsze, a powieki ciężkie jak z ołowiu.

–Ciii – szepnęła, jakby zwracała się do rozbrykanego dziecka – ucisz się...

Nachyliła się ku niemu, a jej ciepło i oddech sprawiły, że zapragnął, by utuliła go w swych ramionach.

–Mówiłem ci – rzekł półgłosem Steep – że on cię jeszcze zobaczy. Po raz ostatni. Ale ty już go nie zobaczysz, Hugo.

–O Boże... nie...

–Nie zobaczysz go.

Hugo znów spróbował podnieść się z łóżka i tym razem pozwoliła mu lekko się unieść, po czym objęła go jedną ręką i przyciągnęła ku sobie. Zaczęła nucić cicho piękną, melodyjną kołysankę.

Nie słuchaj jej, powiedział sobie, nie poddawaj się. Lecz ten dźwięk był taki łagodny, taki spokojny i kojący, że zapragnął znaleźć się w ramionach tej kobiety, zapomnieć o swoich kruchych kościach, o sercu jak z kamienia, pragnął westchnąć i przyssać się do jej piersi...

Nie! To była śmierć! Musiał stawić jej opór. Nie miał dość sił, by się uwolnić. Jedyne, na co mógł liczyć, to odnalezienie jakiejś ważnej myśli, którą mógłby odgradzić się od tej pieśni, potrzebował czegoś istotnego, czegokolwiek, co zapobiegnie rozplynięciu się w jej ramionach.

Książka. Tak, będzie myślał o książce, którą mógłby napisać. Jej treść będzie tak głęboka, że poruszy i zmieni sposób myślenia ludzi. Może będzie to rodzaj intymnego wyznania, pełnego jadu i ironii. Coś naprawdę ostrego i przejmującego, co odgradzało go od tej słodkiej, syreniej pieśni. Opowie całą prawdę: o Sartrze, Eleanor, o Nathanielu. Nie, o Nathanielu nie, nie chcę myśleć o Nathanielu.

Za późno. W jego myślach pojawił się obraz chłopca, a wraz z nim napłynęła kołysanka, pełna słodkiej melancholii. Nie rozumiał słów, ale instynktownie pojmował jej treść. Te słowa, które miały przynieść mu ukojenie, nakazywały, by zamknął oczy i odpłynął, do miejsca poza snem, gdzie odchodzą w poszukiwaniu zabawy wszystkie grzeczne dzieci tego świata.

Powieki miał tak ciężkie, że jedynie przez wąskie szparki, ale wciąż widział Steepa, który przyglądał mu się, stojąc w nogach łóżka, i czekał, czekał...

Nie dam ci satysfakcji tym, że umrę, pomyślał Hugo i z taką myślą skierował wzrok na oblubienicę Steepa. Nie widział jej twarzy, ale czuł przy twarzy dotyk jej okrągłych piersi i jął ludzić się, że jest jeszcze dla niego jakaś nadzieja. Będzie rznął ją w myślach, wyobrazi sobie, że ją gwałci, właśnie tak, odgradzi się od śmierci erekcją. Rozbierze ją oczyma duszy, a potem weźmie siłą, tak brutalnie, że kobieta zacznie jęczeć i będzie krzyczeć aż do zdarcia gardła, a wówczas nie zdoła nucić tej swojej piekielnej kołysanki. Zaczął poruszać biodrami pod kocem.

Przestała śpiewać.

–Ojej – szepnęła – a co ty wyprawiasz?

Rozchyliła bluzkę, obnażając się przed nim, a jego niepoprawne wargi rozchyliły się, odnalazły jej sutek i zaczęły ssać. Sięgnęła pod koc, wsunęła dłoń pod gumkę spodni od piżamy i dotknęła go czule. Zadygotał. Nie tak to sobie zaplanował. Ani trochę. Wciąż był dzieckiem, pomimo że go pieściła, wciąż był dzieckiem i topił się w jej uścisku jak masło.

Może coś innego! Szybko, musiał przywołać w sobie jakąś dojrzałą, szczytną myśl, która przyspieszy bicie jego serca, w przeciwnym razie będzie po nim. Etyka? Nie. Holokaust? Nie. Demokracja, sprawiedliwość, upadek cywilizacji: nie, nie, nie. Nic nie było dostatecznie posępne ani na tyle wspaniałe, by uchronić go przed piersią, pieszczotami i spokojem, jaki go ogarniał, kiedy tak leżał, pogrążając się w coraz większym śnie i ciemności.

Usłyszał łomot serca, pod czaszką, jak odgłos syropu lejącego się na kocioł orkiestry. Poczul, jak krew w jego żyłach gęstnieje i krąży coraz wolniej. Nie mógł zrobić nic. Zupełnie. A zresztą wcale nie chciał. Jego powieki zatrzepotały, opadły, wargi zwiotczały i przestały obejmować stwardniały sutek, a w chwilę potem Hugo runął w bezdenną otchłań mroku. Spadał, zdawałoby się bez końca, lecz w rzeczywistości trwało to znacznie krócej.

DZIEWIĘĆ

Obudził go dźwięk telefonu, ale zanim Will zdołał przebić się przez woal snu, uporczywe brzęczenie ucichło. Usiadł na łóżku i sięgnął po zegarek. Było parę minut po czwartej: zimno, ciemno i spokojnie. Nasłuchiwał przez chwilę, usłyszał głos Adele i nagle jej słowa przerodziły się w zduszony szloch. Zapalił lampkę, znalazł slipki, włożył je i wyszedł na podest, by ujrzeć jak odkładała słuchawkę. Wiedział, co usłyszy, zanim jeszcze odwróciła zapłakaną twarz w jego stronę. Hugo umarł.

Jeżeli mogło to być dla nich jakimkolwiek pocieszeniem, rzekł lekarz dyżurny, gdy zjawili się w szpitalu, to zmarł we śnie, nie cierpiał. Zapewne doszło do zatrzymania akcji serca, cóż, właściwie to trudno się dziwić, mężczyzna w jego wieku, po tak ciężkim pobiciu, ale jutro będą wiedzieć więcej. Czy tymczasem chcieliby zobaczyć zmarłego?

–Oczywiście, że chcę go zobaczyć – rzekła Adele, ściskając dłoń Willa.

Hugo wciąż leżał na łóżku, w pokoju w którym rozmawiali z nim przed dwunastu godzinami, głowę miał opartą na poduszkach, jego gęsta broda spoczywała na piersi, rozłożona jak serweta lub taca.

–Ty pierwszy powinieneś się z nim pożegnać – powiedziała Adele.

Została z tyłu, kiedy Will zbliżył się do łóżka. Nie miał nic do powiedzenia, ale zrobił to mimo wszystko. Było coś sztucznego i fałszywego w całej tej scenie – prześcieradło zbyt wygładzone, ciało ułożone zbyt symetrycznie, czemu on sam nie miałby odegrać swojej roli? Pochylić głowę, udać smutek i żal? Kiedy jednak tam stał, wpatrując się w wymanikiurowane dłonie i żyłki na powiekach słyszał jedynie pogardliwe stwierdzenia, jakimi przez lata raczył go ojciec, drwiące obelgi i bolesne słowa krytyki. Już nigdy ich nie usłyszy, ale nie dane mu będzie doczekać się kiedykolwiek pochwały czy przeprosin za wcześniejsze docinki i to także zacznie z czasem sprawiać mu ból.

–A więc tak się to kończy – rzekł półgłosem.

Nawet teraz, choć wiedział, że to absurdalne, w głębi duszy spodziewał się, że ojciec otworzy jedno oko i nazwie go idiotą. Ale Hugo odszedł, dokądkolwiek odchodzą rozgoryczeni ojcowie, pozostawiając syna w głębokiej konsternacji.

–Dobranoc, tato – wymamrotał Will i odszedł od łóżka, pozwalając, by Adele zajęła jego miejsce.

–Chcesz, żebym został z tobą? – zapytał.

–Wolałabym nie, o ile nie masz nic przeciwko temu. Chciałabym powiedzieć mu parę słów od siebie.

Zostawił ją samą, zastanawiając się, co mogła powiedzieć mu na osobności. Czy było to łzawe wyznanie miłości, szczere i gorące, bo nie poddane jego krytyce? A może cicha pogawędka, gdy trzymając jego dłoń w swoich, wyrazi zdziwienie, że odszedł tak nagle i szybko, a potem delikatnie pocałuje go w policzek na pożegnanie? Myśl o tym poruszyła go znacznie bardziej niż widok ciała. Lojalna Adele, która zbudowała swoje życie wokół jego ojca, dla której najważniejszą rzeczą było jego dobro, a najcenniejszą nagrodą jego uczucie, szepcząc cichutko przy zwłokach tego, którego ukochała.

Uznawszy, że pożegnanie z Hugonem zajmie jej trochę czasu, nie skierował się na jasno oświetlony parking, lecz bocznymi drzwiami wyszedł do skromnego, niedużego ogrodu. Mimo słabego światła dostrzegł przez okno ławkę pod jednym z drzew i dotarłszy tam, usiadł na niej, by przemyśleć w spokoju i ciszy to i owo. Po wielu minutach usłyszał szelest w koronie drzewa, a potem rozległ się świergot ptaków witających nadejście nowego dnia. Na niebie od wschodu pojawiła się srebrzysta, zimna poświata. Obserwował ją jak przesuwającą się minutową wskazówkę zegarka, ale nie był w stanie dostrzec zbyt subtelnie zachodzących zmian. Natomiast wokół niego działo się całkiem sporo, i było na co popatrzeć – krzewy róż i hortensji, mur porośnięty gęstą winoroślą, półmrok był jeszcze zbyt gęsty, aby mógł dostrzec barwę kwiatów, lecz rozwiewał się z każdą chwilą jak rozpuszczana wodą farba, której odcień staje się coraz delikatniejszy i łagodniejszy. Innego dnia, zapewne byłby urzeczony tym widowiskiem, a jego oczy łapczywie chłonęłyby każdy szczegół. Teraz jednak nie radowały go kolory ani cyzelujące je światło budzącego się dnia.

–Co teraz?

Spojrzał na drugi koniec ogrodu, skąd dobiegł głos. Przy porośniętym winoroślą murze stał mężczyzna. Nie, nie mężczyzna... Steep.

–On nie żyje i już nigdy się z nim nie pojednasz – rzekł Steep. – Wiem... zasłużyłeś na coś lepszego. Powinien był cię pokochać, ale on nie potrafił odnaleźć tego uczucia w swoim sercu.

Will nawet nie drgnął. Siedział, obserwując Steepa, zbliżającego się ku niemu. Czuł strach, ale równocześnie dziwną błogość. Po to tu wrócił, nieprawdaż? Nie chodziło, mu o pojednanie, lecz o to.

–Ile czasu minęło? – spytał Steep. – Rosa i ja próbowaliśmy to sobie przypomnieć.

–Czy nie zapisałeś tego w swoim dzienniku?

–On jest dla umarłych, Will. Ty jeszcze się do nich nie zaliczasz.

–Prawie trzydzieści lat.

–Naprawdę? Tak bardzo się zmieniłeś, a ja wcale. Oto tragedia nas obu.

–Ja po prostu dorosłem. To żadna tragedia. – Wstał, jego ruch sprawił, że Steep nagle się

zatrzymał.

–Powiedział ci.

–Tak.

–Wobec tego powiedział ci, czemu go to spotkało.

–Nie wierzę, że mogłeś posunąć się do czegoś takiego. Stać cię na więcej. To był tylko bezbronny starzec.

–Gdybym nigdy nie tknął bezbronnej istoty, w efekcie nie tknąłbym nikogo ani niczego – odparł Steep. – Nie wątpię, że pamiętasz, jak szybki potrafi być mój mały nóż.

–Pamiętam.

–Żadna żyjąca istota nie jest w stanie uchronić się przede mną.

–Tym razem przesadziłeś – wtrąciła Rosa, wyłaniając się z czerni za plecami Steepa. – Ja nie muszę się ciebie obawiać. Nic byś mi nie zrobił.

–Nie bądź taka pewna – burknął Steep.

–Posłuchaj go – rzuciła Rosa. – Przykro mi z powodu twojego ojca. Potrzebował odrobiny czułości, to wszystko...

–Roso... – powiedział Jacob.

–Dlatego postanowiłam go ukołysać. Był taki spokojny. – Powiedziała to tak łagodnie, że w pierwszej chwili Will nie zrozumiał sensu jej słów. I wtedy doznał olśnienia.

–Zamordowałaś go.

–Nie – zaproponowała Rosa. – Morderstwo jest okrutne, a ja nie potraktowałam go okrutnie. – Uśmiechnęła się, rozpromieniona nawet w półmroku. – Widziałeś, jak wyglądał – rzekła. – Odszedł zadowolony.

–Ze mną nie pójdzie ci tak łatwo – warknął Will – jeżeli o tym myślałaś.

Rosa wzruszyła ramionami.

–To będzie przyjemne. Przekonasz się.

–Zamilcz – rzucił Steep. – Miałeś swój czas z ojcem, ale syn jest mój.

Rosa posłała mu zjadliwe spojrzenie, ale się nie odezwała.

–Jeżeli chodzi o Hugona, powiedziała prawdę – ciągnął Steep. – Nie cierpiał. I ty też nie będziesz. Nie przybyłem tu, żeby cię dręczyć, choć Bóg mi świadkiem, jak wiele udręk ty mi przysporzyłeś...

–Ty to zacząłeś, nie ja.

–Ale ty nie chciałeś odpuścić – rzucił Steep. – Każdy inny dałby sobie spokój. Znalazłby sobie żonę, spłodził dzieci, kupił psa, cokolwiek, a ty nie, ty przedłużałeś to, nie chciałeś sobie darować, nawiedzałeś mnie, wykrwawiałeś. To się musi skończyć. Tu i teraz. To się skończy tutaj. – Rozpiął kurtkę. Przy pasku miał nóż, czekający na dotyk jego dłoni. Właściwie to nie było w tym nic dziwnego, że Steep zjawił się tu w roli kata. Willa zdziwiła raczej jego własna obojętność. Owszem, Steep był niebezpieczny, ale on również. Jedno dotknięcie, kontakt ciał i mógł przenieść Steepa z tego szarego poranka w przeszłość, być może do lasu, gdzie z wydziobanymi oczami leżał trup Thomasa Simeona. Gdzie krążył lis. Lord Lis. Zwierzę, które tak wiele go nauczyło. Ta mądrość była teraz w nim. Stał się dzięki niej sprytny i szczwany.

–W takim razie dotknij mnie – rzekł do Steepa, wyciągając rękę do swego wroga, jak Simeon pragnący pokazać mu cudowny płatek. – No jazda. Zrób to. Dotknij mnie. Zobaczymy dokąd tym razem nas przeniesie.

Steep znieruchomiał i z kwaśną miną przyglądał się Willowi.

–Mówiłeś, że będzie słaby – zauważyła wyraźnie rozbawiona Rosa.

–Kazałem ci zamilknąć – uciął Steep.

–Mam prawo...

–Zamknij się! – ryknął Steep.

–Dlaczego nie porozmawiamy jak rozsądni ludzie? – spytał Will. – Mam dość tego nawiedzenia, podobnie jak ty. Chciałbym pozwolić ci odejść. Naprawdę. Nie żartuję.

–Nie jesteś w stanie tego kontrolować – rzekł Steep. – W twojej głowie ziele dziura, przez którą do środka wlewa się świat. Zapewne masz to po swojej szalonej matce. Dar jasnowidzenia. To byłoby nieistotne, gdybyś miał do czynienia ze zwykłym człowiekiem...

–Ale nie mam.

–Otóż to.

–Nie jesteście ludźmi. Ani ty ani ona.

–Zgadza się.

–Ale nie wiecie, czym jesteście, prawda?

– Jesteś bardziej podobny do ojca, niż ci się wydaje – zauważył Steep. – On też poszukiwał odpowiedzi, mimo że balansował na granicy życia i śmierci.

– To jak? Wiecie, kim jesteście, czy nie?

To Rosa, a nie Steep, odpowiedziała na jego pytanie.

– Powiedz mu, Jacobie – rzekła. – Przyznaj się, że nie wiemy tego.

– Może mógłbym wam pomóc – rzekł Will.

– Nie – zaproponował Steep. – Nie przekonasz mnie, bym cię oszczędził, więc możesz przestać strzępić sobie język. Szkoda twojej fatygi. Nie lękam się swoich wspomnień aż tak, by nie móc znieść ich przez te kilka chwil, kiedy poderżnę ci gardło. – Wysunął nóż ze skórzanej pochwy. – To nie ty popełniłeś błąd, lecz ja. Przyznaję. Byłem sam i potrzebowalem towarzystwa. Wybrałem cię nieroztropnie. Byłem nieostrożny. Ot i wszystko. Gdybyś był zwyczajnym dzieckiem, zapewne przeżyłbyś swoją przygodę i ruszył dalej w swoją stronę. Ale zbyt wiele zobaczyłeś. Zbyt wiele poczułeś. – W jego głosie pobrzmiwało wiele różnych emocji, nie tylko gniew. – Wciągnąłeś mnie... do swego serca... Will. A to nie miejsce dla mnie.

Zrobiło się jaśniej. Steep był bardzo blisko, Will widział wyraz ekscytacji i wyczekiwania na jego twarzy. Jego oblicze było blade i delikatne, piękne – pomimo brody i mocnego czoła – niemal kobiece, niemal soczyste, podczas gdy cała reszta, wargi, oczy, krzywizna szczęki wydawały się surowe i wynędzniałe.

Uniósł nóż, błysk ostrza przypomniał Willowi dotyk zabójczej broni. Przypomniał sobie, jaka była poręczna i doskonale wyważona. Jak zdawała się nakłaniać jego dłoń do dokonania krwawego dzieła. Jeżeli Steep znajdzie się w zasięgu ciosu, nie będzie dla Willa żadnej nadziei. Nóż odnajdzie życie Willa i odbierze mu je, w okamgnieniu. Spojrzał w lewo, szukając wzrokiem furtki, przez którą mógłby wydostać się z ogrodu. Znajdowała się jakieś dziesięć, dwanaście jardów od niego. Gdyby spróbował do niej dotrzeć, Steep dopadłby go w dwóch, może trzech krokach. Jego jedyną nadzieją było zatrzymanie Steepa i mógł tego dokonać tylko w jeden sposób. Musiał zagrać swoją ostatnią atutową kartą.

– Opowiedz mi o Rukenaule – powiedział.

Steep zatrzymał się, na jego obliczu, które w obecnym stanie nie było zdolne do ukrywania emocji, malowało się zdumienie. Otworzył usta, lecz nie wypłynął z nich żaden dźwięk. Rosa zwróciła się do Willa.

– Znasz Rukenaua?

Dopiero teraz Steep doszedł do siebie na tyle by warknąć:

– Niemożliwe.

–Wobec tego, skąd...?

–Nieważne – rzucił Steep, skoncentrowany na swoim celu. Nic nie mogło powstrzymać go przed dokonaniem tego, co sobie zamierzył.

–Nie chcę o nim słyszeć.

–Ja chcę – powiedziała Rosa, podchodząc do Steepa. – Jeżeli on coś wie, powinniśmy to z niego wydobyć.

Minęła Jacoba i stanęła pomiędzy nim a nożem. To, że nie widział ostrza, nie stanowiło dla Willa żadnego pocieszenia.

–Co wiesz o Rukenaule?

–To i owo – odparł Will z udawaną nonszalancją.

–Widzisz? – warknął Steep. – On nic nie wie.

Will dostrzegł wyraz powątpiewania na twarzy Rosy.

–Lepiej mi powiedz – rzekła półgłosem. – I to szybko.

–Wówczas on mnie zabije – zauważył Will.

–Mogłabym go przekonać, by darował ci życie – wyszeptała. – Gdybyś mógł przekazać Rukenauowi wiadomość, powiedzić mu, że chciałabym do niego wrócić...

Will dostrzegł ponad jej ramieniem twarz Steepa, który najwyraźniej nie zamierzał dłużej tolerować tej dyskusji. Jeżeli Will w miarę szybko nie zdoła przekonać Steepa, że posiada wartościowe informacje, nóż już wkrótce odbierze mu życie. Wziął głęboki oddech i zagrał ostatnią kartą, jaka mu została.

–To znaczy, chcesz wrócić do domu? – spytał. – Do Domus Mundi?

Oczy Rosy rozszerzyły się.

–O, Boże – jęknęła. – A więc on jednak coś wie. – Spojrzała na Steepa. – Słyszałeś, co powiedział?

–To kolejna z jego sztuczek – warknął Steep. – Odnalazł tę nazwę w mojej głowie.

–Nigdy nie dopuściłeś mnie aż tak daleko – odparował Will.

Rosa obrzuciła go gorejącym spojrzeniem.

–Chcę tam wrócić – rzekła. – Chcę zobaczyć...

Nie zdążyła dokończyć zdania. Steep chwycił ją za ramię i odciągnął od Willa. Reakcja kobiety była natychmiastowa. Wyrwała się z jego uścisku i niemal od niechcienia uderzyła Jacoba w twarz. Cios wytrącił go z równowagi. Zatoczył się do tyłu, bardziej zaskoczony niż zraniony.

–Nie waż się mnie tknąć! – rzuciła mu prosto w twarz i odwróciła się, by dokończyć przesłuchanie Willa. – Powiedz mi szybko co wiesz! – rzuciła. – Ty pomożesz mnie, a ja tobie. Obiecuję!

Will zorientował się, że Rosa mówi prawdę.

–Mówiłam ci, że nie jestem okrutna – ciągnęła. – To Jacob pragnął śmierci twego ojca, nie ja. Chciał, by smutek pozbawił cię mocy.

Z tyłu, za nią Jacob parsknął gniewnie. Zignorowała go i mówiła dalej.

–Nie musimy być wrogami. Obojgu nam chodzi o to samo.

–To znaczy?

–O uzdrowienie – odparła.

W tej samej chwili Steep ponownie ją chwycił, tym razem mocniej, i odciągnął na bok. Nie uderzyła go, lecz odwróciła się i rzuciła mu w twarz siarczyste przekleństwo. Co stało się później? To wydarzyło się tak szybko, że nie potrafił tego stwierdzić. Will dostrzegł błysk noża pomiędzy ich ciałami, przecinający powietrze jak zabójczy, srebrzysty piorun. Zaraz potem zniknął, przesłonięty ciałem Rosy. Gdy się odwróciła, ostrze noża zatopiło się w jej piersi. Usłyszał głuche westchnienie kobiety, które przerodziło się w szloch, a potem ujrzał jak odwróciła się twarzą do Steepa, który w tej samej chwili spuścił wzrok i skierował go ku miejscu, w które zagłębił się nóż. Rosa wzięła kolejny, urywany oddech i odepchnęła od siebie napastnika. Runął, z pustymi rękami, a ona przez kilka chwil chwiała się na nogach, unosząc dłonie, by wydobyć nóż, po rękojeść zatopioną w jej piersi. Odnalazła palcami uchwyt i z okrzykiem, który z pewnością obudził wszystkich pacjentów w szpitalu, wydobyła go z ciała i cisnęła na ziemię. Z rany wypłynął gęstą strugą dziwny płyn, ściekając po jej bluzce i spódnicy. Z wyrazem głębokiego zdumienia przyjrzała się wypływającej z niej posoce. Następnie, unosząc głowę i potykając się, ruszyła w stronę Steepa.

–Och, Jacobie – zaszlochała. – Cóżeś uczynił?

–Nie, nie – rzekł, kręcąc głową, po jego policzkach spływały łzy. – To nie ja... Ja tego nie zrobiłem.

–Przytul mnie! – poprosiła, rozkładając szeroko ręce, i zatoczyła się ku niemu.

Wyraz jego twarzy świadczył wyraźnie, że Steep nie chciał jej dotknąć, ale nie miał wyboru. Jego ciało postąpiło naprzód, aby ją pochwycić, ramiona rozwarły się, powtarzając jej gest, po czym oplotły ją, a impet, z jakim na niego wpadła, był tak wielki, że oboje osunęli się na kolana. Nie próbował już dowodzić swej niewinności. Po prostu oparł głowę na jej ramieniu i szlochając, raz po raz powtarzał jej imię.

Will nie chciał czekać i patrzeć, jak to się skończy. Miał tylko chwilę na ucieczkę i wykorzystał ją, szerokim łukiem ominął klęczącą parę i skierował się ku furtce. W pewnej chwili jego wzrok padł na zabójczą broń, leżącą na wilgotnej od rosy trawie, w miejscu gdzie kobieta upuściła nóż. Instynkt okazał się szybszy niż wątpliwości. Jednym płynnym ruchem schylił się i podniósł nóż; gdy poczuł w dłoni znajomy ciężar, całe jego ciało przeszył rozkoszny dreszcz. Dopiero gdy przeszedł przez furtkę i poczuł się w miarę bezpieczny, odwrócił się i spojrzał na Rosę i Jacoba. Żadne z nich się nie poruszyło. Nadal klęczeli na trawie, Steep tulił do siebie kobietę. Czy płakał? Will odniósł wrażenie, że tak. Jednak ptaki oznajmiające swym śpiewem świt kolejnego dnia hałasowały tak bardzo, że skutecznie zagłuszyły jego szloch.

DZIESIĘĆ

Will przez tak wiele lat zmuszony był kłamać – aby dostać się do miejsc gdzie nie chciano go wpuścić i zrobić zdjęcia – że doprowadził tę umiejętność do perfekcji. To mu się przydało w ciągu kilku następnych godzin po wydarzeniach w ogrodzie. Najpierw w szpitalu, kilka chwil po zranieniu Rosy, kiedy podpisywał dokumenty niezbędne do odebrania zwłok ojca, a potem w samochodzie z Adele, w drodze do domu – przez cały ten czas udawał niewzruszony spokój i opanowanie.

Rzecz jasna nie powtórzył Adele tego, co usłyszał od Rosy, bo i po co? Lepiej niech wierzy, że jej ukochany Hugo zmarł spokojnie we śnie, niż miałaby zdręzczać się prawdą, w całej jej niesamowitości, zwłaszcza że prawda nasuwała wiele pytań, na które Will nie znał odpowiedzi. Przynajmniej na razie. W ogrodzie usłyszał dość, by wierzyć, że jest w stanie rozwikłać tę zagadkę. Wzmianka Rosy o Rukenaule jako żyjącej istocie (najwyraźniej, podobnie jak ona i Steep, niepodatnej na upływ czasu), która mogła złagodzić jej ból (czyżby spodziewała się, że zostanie ranna?), stanowiła nowy element w tej historii. Jeszcze nie potrafił poskładać poszczególnych ogniw w jedną całość, ale robi to. Nadal czuł to samo, co wcześniej, w ogrodzie: Lord Lis wciąż w nim pozostawał, jego duch strasznie się miotał. I lis zwęszy prawdę, niezależnie od tego, ile trupów było pod nią zakopanych.

Bez wątpienia będzie to bardzo niebezpieczne i mordercze żądze Steepa od świtu zwielokrotniły się zapewne po tysiackroć. Will nie był już zwyczajną pomyłką, chłopcem z dziurą w głowie, który wyrósł na słabego, zagubionego mężczyznę. Nie tylko dysponował informacjami (nie było ich wiele, ale Steep o tym nie wiedział), lecz był również świadkiem zranienia Rosy. A jakby tego było mało, teraz miał jeszcze nóż. Jadąc, czuł dotyk broni tuż przy piersi – nóż tkwił w wewnętrznej kieszeni jego kurtki. Jacob wróci chociażby po to, by go odzyskać.

Między innymi dlatego Will chciał możliwie jak najszybciej rozstać się z Adele. Steep nie miał żadnych oporów, jeżeli chodziło o krzywdzenie ludzi, którzy stali na drodze pomiędzy nim a wybraną ofiarą; gdyby Adele spróbowała przeszkodzić mu w osiągnięciu zamierzonego celu, jej chwile byłyby policzone. Na szczęście znów była w pragmatycznym nastroju, już nie płakała, przynajmniej na razie, sporządziła listę rzeczy, które musiała zrobić. Czekają ją spotkania z przedsiębiorcą pogrzebowym i z pastorem ze św. Łukasza, w celu omówienia ceremonii. Ona i Hugo znaleźli całkiem miłe miejsce – poinformowała Willa – przy zachodnim murze cmentarza. To dziwne, pomyślał Will, że ten człowiek, który uważał się za żarliwego ateistę, nie zdecydował się na kremację, lecz wybrał pochówek wśród innych, bogobojnych mieszkańców wioski. Może Hugo podjął tę decyzję z uwagi na Adele, ale gdyby nawet, i tak było to rzeczą niezwykłą, rzadko, jeżeli w ogóle, robił coś przez wzgląd na drugą osobę. Zwłaszcza gdy chodziło o taką decyzję. Może czuł do niej coś więcej, aniżeli przypuszczał Will.

–Wiem, że sporządził testament – mówiła Adele. – Znajduje się u jego doradcy prawnego w Skipton. U pana... ee... Napiera. Tak. Właśnie tak. Napiera. Chyba powinieneś się z nim

skontaktować, bo jesteś przecież najbliższym członkiem rodziny.

Will odparł, że zajmie się tym.

–Ale najpierw śniadanie – powiedziała Adele.

–Może pojedziesz na parę godzin do siostry – zaproponował Will. – Wątpię, żebyś miała chęć pichcić, teraz...

–Właśnie teraz mam ochotę zrobić coś pysznego – odrzekła stanowczo. – W tym domu – podjeżdżali akurat pod bramę – przeżyłam najszcześniejsze chwile mego życia. I właśnie tu chcę być.

Najwyraźniej nic nie mogło skłonić jej do zmiany zdania, a Will znał ją na tyle, by wiedzieć, że była uparta i gdyby naciskał, mógłby ją jedynie rozsierdzić. Lepiej zje śniadanie i później z pełnym żołądkiem oszacuje sytuację. Miał, jak przypuszczał, jeszcze kilka godzin, zanim Steep wykona kolejny ruch. Jacob musi coś zrobić z ciałem Rosy – zakładając, że pani McGee umarła. Jeżeli wciąż żyła, zapewne spróbuje się nią zająć. Rana wyglądała na bardzo poważną, zwłaszcza że zadało ją ostrze znane ze swej morderczej skuteczności. Tyle tylko że Rosa żyła już bardzo długo (była wszak nad brzegiem Newy dwieście pięćdziesiąt lat temu), tak więc nie podlegała upływowi czasu jak zwykła istota ludzka, a kto wie, może była również nieśmiertelna. Może właśnie teraz powracała do zdrowia.

Krótko mówiąc, wiedział niewiele, a jeszcze mniej potrafił przewidzieć. W tej sytuacji powinien coś zjeść. Tak brzmiała jedna z dobrych rad Adele i okazała się skuteczna. Nastroje ich obojga poprawiły się, gdy zaserwowała śniadanie dla prawdziwych obżartuchów: boczek, kielbasę jajka, nereczki, pieczarki, pomidory i grzanki.

–O której się wczoraj położyłeś? – spytała, gdy jedli. Odparł, że około wpół do drugiej. – Powinieneś uciąć sobie po południu krótką drzemkę – powiedziała. – Dwie godziny to za mało, nawet jak dla ciebie.

–Może później – odparł, choć wiedział, że czeka go nie lada przeprawa. Zmęczenie walczyło z potrzebą zachowania czujności.

Wzmocniony posiłkiem, herbatą i paroma papierosami, zadzwonił do doradcy prawnego pana Napiera. Chciał mieć to już za sobą.

Napier przekazał mu wyrazy współczucia i odparł, że tak, wszystkie dokumenty zostały złożone w jego kancelarii już dwa lata temu, i o ile Will nie zechce podważyć treści ostatniej woli ojca, wszystkie pieniądze Hugona i rzecz jasna dom staną się własnością Adele Bottrall. Will odparł, że nie zamierza tego robić, i podziękowawszy Napierowi, poszedł, by niezwłocznie przekazać tę wiadomość Adele. Zastał ją przed drzwiami gabinetu Hugona.

–Pomyślałam, że może ty powinieneś przejrzeć jego papiery, a nie ja – rzekła. – Na wypadek,

bo ja wiem, gdyby tam były jakieś rzeczy po twojej matce. Jakieś prywatne rzeczy.

–Nie musimy robić tego dzisiaj, Adele – rzekł łagodnym tonem Will.

–Nie, no wiem. Ale byłabym spokojniejsza, gdybyś jednak ty to zrobił.

Odparł, że zajmie się tym, i opowiedział jej o swojej rozmowie z Napierem.

–Nie wiem, co zrobię z domem – zarzekała się.

–Nawet o tym teraz nie myśl – powiedział Will.

–Nigdy nie byłam dobra w kwestiach prawnych – poskarżyła się cichym, nietypowym dla niej głosem. – Gdy słyszę głos doradcy prawnego, natychmiast się gubię.

Ujął ją za rękę. Jej chude palce były zimne, ale skóra delikatna i miękka, pomimo lat zmywania i sprzątania.

–Adele – powiedział – posłuchaj mnie. Tata był zawsze dobrze zorganizowany.

–Tak – przyznała. – I to w nim kochałam.

–Wobec tego nie powinnaś się martwić...

–Wiesz, ja go kochałam – powiedziała nagle. Te słowa zdumiały ją tak samo, jak Willa, a potem w jej oczach pojawiły się łzy. – Uczynił mnie... naprawdę... szczęśliwą.

Will objął ją i przytulił, a ona nie próbowała się opierać. Szlochała, wtulona w jego pierś. Nie próbował kłać jej smutku frazesami, kochała tego mężczyznę całym sercem, a teraz on odszedł i ona została sama. Żadne słowa nie mogły opisać tego, co czuła. Jedyne pocieszenie, jakie mógł jej zaoferować, to bliskość, i właśnie teraz to robił, delikatnie kołyszając w ramionach płaczącą kobietę.

W swoim życiu widział śmierć i smutek u dziesiątków różnych gatunków. Fotografował słonie przy zwłokach swoich krewniaków, smutek wyrażał się w każdym najdrobniejszym ruchu ich ogromnych ciał; małpy, oszalałe z żalu, wyjące jak szalone wokół swoich zmarłych, zebłą, szturchającą niepewnie źrebię zagryzione przez dzikie psy i czuwającą przy nim z pochylonym w wyrazie rozpaczony łbem. To życie nie było łaskawe dla istot czujących więź z innymi, gdyż więzi te prędzej czy później były zrywane. Miłość mogła być drastyczna, lecz życie było kruche. Rozsypywało się, waliło w gruzy, podczas gdy ziemia wciąż kręciła się dalej, jak gdyby nigdy nic.

Wreszcie Adele odsunęła się od niego, otarła oczy starą chustką, wysiakała nos i rzekła:

–To na nic, prawda? To i tak niczego nie zmieni. – Wzięła głębszy oddech. – Przykro mi, że między tobą a Hugonem jednak się nie ułożyło. Wiem, jaki on potrafił być, możesz mi wierzyć.

Był naprawdę cudowny, o ile tylko nie musiał udawać ani popisywać się przed innymi. Przy mnie niczego nie musiał udawać. Świata poza nim nie widziałam, a on o tym wiedział. I lubił to. Jak większość mężczyzn. – Pociągnęła nosem i już miała znów się rozplakać, ale zdołała się opanować. – Zadzwoń do pastora – powiedziała, siląc się na słaby uśmiech. – Musimy zastanowić się nad doborem hymnów.

Kiedy wyszła, Will otworzył drzwi gabinetu i zajrzał do środka. Zastłony były na wpół zaciągnięte i promienie słońca padały na zagracony blat biurka i wyświechtany dywan. Will wszedł do pokoju i odetchnął pełną piersią: poczuł w nozdrzach zapach książek i woń papierosowego dymu. To był bastion Hugona: pokój wielkich ludzi i świetlanych myśli, jak zwykł mawiać. Na regałach zajmujących od podłogi aż po sufit przestrzeń całych dwóch ścian stały rzędy książek. Autorzy – łatwo przewidzieć – Hegel, Kierkegaard, Hume, Wittgenstein, Heidegger, Kant. Will w młodości zajrzał do wielu z tych książek – w próżnej nadziei na zaskarwienie przychylności Hugona – ale ich treść okazała się dlań prawdziwą czarną magią. Na antycznym biurku stojącym na lewo od okna znajdowała się druga, zgromadzona w tym pokoju, wielka kolekcja – ponad tuzin butelek najlepszej słodowej whisky, same najrzadsze gatunki, którymi Hugo raczył się w samotności, w zaciszu tego miejsca. Will wyobraził sobie ojca, siedzącego w starym, skórzanym fotelu za biurkiem, sączącego whisky i rozmyślającego. Ciekawe czy whisky pozwalała mu łatwiej pojąć filozoficzne doktryny – zastanawiał się Will czy jego umysł napędzany alkoholem gładko i sprawnie pokonywał meandry teorii Kanta lub Heideggera?

Podszedł do biurka, gdzie była zgromadzona trzecia kolekcja – zbiór mosiężnych przycisków do papieru – w sumie siedem lub osiem sztuk, rozstawionych na kilku plikach notatek. Jeżeli zachowała się choć cząstka jego prywatnej korespondencji z Eleanor, zapewne znajdowała się w którejś z szuflad, chociaż Will szczerze w to wątpił. Nawet zakładając, że jego rodzice kochali się kiedyś na tyle, by wymieniać namiętne billet-doux, nie wyobrażał sobie, aby po rozstaniu Hugo postanowił je zatrzymać.

Pośrodku biurka leżał plik jakichś papierów. Will podniósł je i przewertował. Wyglądały na notatki do wykładu, każde słowo dobrane uważnie, pojawiły się liczne skreślenia i poprawki, a przypisów na marginesach było tak wiele, że tekst stawał się miejscami nieczytelny. Odśloniwszy okno na tyle, by promienie słońca oświetliły całe biurko, usiadł w fotelu ojca i zaczął studiować notatki, usiłując możliwie jak najlepiej zrozumieć ich treść.

Każdego dnia spotykamy się z gorzkimi przejawami naszej zwierzęcości – napisał Hugo – stosując (nieczytelne) autocenzury w tak subtelnej postaci, że przestajemy ją w ogóle dostrzegać. Nie badamy już ekskrementów w muszli, ani flegmy na chustce, z powodu natury moralnej lub etycznej (początkowo w miejsce etycznej napisał duchowej, ale skreślił to słowo). Następny akapit wykreślił w całości. Dalszy ciąg tekstu, choć bez tak wielu skreśleń, brzmiał jeszcze bardziej zagadkowo.

Na łzy możemy sobie pozwolić, o ile wyrażają one nasze emocje. W pewnych (nieczytelne) pot może być... (nieczytelne). Jednak w miarę rozwoju metodologii naukowych oraz związanych z

nim technik badawczych coraz pełniejsze staje się poznawanie niuansów fizycznego świata z dokładnością, która jeszcze przed dziesięciu laty byłaby nie do pomyślenia, a co za tym idzie, jesteśmy zmuszeni do przewartościowywania naszych przekonań. Substancje chemiczne – ową żywicę wysączającą się z naszych ciał i organów wskutek zachodzących w nich reakcji emocjonalnych – można znaleźć we wszystkich naszych wydzielinach. Tu Hugo umieścił aż trzy znaki zapytania, jakby powątpiewał w to, co sam napisał. Mimo to kontynuował swoją tezę.

Innymi słowy, emocje zawierają się w najplugawszych wydzielinach naszych ciał i zapewne już niebawem zostaną opracowane urządzenia o tak wyjątkowej czułości, że na skutek odpowiednich badań uda się odnaleźć ich emocjonalne źródło. Krótko mówiąc, będziemy w stanie wyselekcjonować śluz zawierający ślady zazdrości, próbkę potu przesyconą gniewem, czy miłość w wydalanych przez nas nieczystościach.

Ta niesamowita teoria, zwłaszcza że spisana ręką jego ojca, sprawiła, że na ustach Willa wykwitł lekki uśmieszek. Podobało mu się to niezwykle ujęcie tematu i napięcie stopniowane z wyrachowaną przemyślnością aż do końca tego akapitu. Czy Hugo naprawdę miał zamiar podzielić się swoją teorią ze studentami? Jeżeli tak, byłoby to nie lada wydarzenie, pomyślał Will; żałował, że nie będzie mu dane tego zobaczyć. Kolejne dwa i pół akapitu było wykreślone, a teza Hugona została skierowana na nowe tory, zaś ton jego wykładu nabrał nowego, sarkastyczno-ironicznego charakteru.

Jak mamy odbierać i interpretować te radosne pływy? – napisał - ową osobliwą zależność pomiędzy emocjami, którymi się chlubimy i które szanujemy a brudami wydzielanymi przez nasze ciała? Przenosząc te substancje chemiczne do żywej i czującej matrycy świata, który lubi charakteryzować nas jak istoty obojętne, czy możemy doświadczać ich w sposób, którego wcześniej nie zaobserwowała żadna z nauk czy filozofii? I co więcej, czy spożywając ponownie produkty tej skażonej już rzeczywistości, w formie jedzenia, nie sycimy się zarazem tkwiącymi w nim emocjami? Przyjmijmy przeto, że nasze ciała są swego rodzaju targowiskiem, w którym emocje są zarówno monetą przetargową, jak i produktem konsumpcji. A może spróbujemy pokusić się o jeszcze bardziej zuchwałą teorię, zgodnie z którą nasze życie wewnętrzne, którego nie potrafimy jak dotąd zmierzyć ani zanalizować, wpływa na zewnętrzny świat, w którym żyjemy na tyle subtelnie i dogłębnie zarazem, że nie da się ich rozdzielić. Co gorsza, podział ten, uzależniony od wyraźnej definicji braku odczuwania, materialności i nas samych, z naszymi emocjami i myślami, staje się problematyczny. Być może wyzwanie, przed którym stajemy, nie polega na tym, jak twierdzi Yeats, że „środek nie wytrzyma”, ale że zaczynają zacierać się granice. Wszystko, co zawiera się w zazdrośnie sformułowanej definicji naszego człowieczeństwa – nasze osobiste, pełne namiętności jaźnie – jest w rzeczywistości publicznym spektaklem, tak wyraźnym i pospolitym, że nigdy nie będziemy w stanie osiągnąć niezbędnego dystansu, by oddalić się od zupy, w której pływamy.

Dziwne, pomyślał Will, odkładając kartki na biurko. Choć słowo „duchowe” zostało skrzątnie wykreślone z tekstu, jego obecność wciąż była wyczuwalna. Pomimo ironii i chłodnego słownictwa tekst ten był dziełem człowieka, który stał o krok od olśniewającej wizji, uświadamiając sobie być może z pewną nieśmiałością, że wyznawana przezeń filozofia goni w

piętkę i pora pozwolić jej wyzionąć ducha. A może pisał te słowa, mając nieźle w czubie?

Will zmarnował już zbyt wiele czasu. Pora zająć się niezbędnymi sprawami, na początek musiał skontaktować się z Frannie i Sherwoodem. Powinni dowiedzieć się o wydarzeniach w szpitalu, na wypadek gdyby Steep postanowił ich odnaleźć. To było mało prawdopodobne, ale niewykluczone.

Powróciwszy do salonu, Will zastał Adele rozmawiającą przez telefon. Podejrzał, że negocjowała z pastorem. Czekając, aż skończy, zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej, gdyby pofatygował się do Cunninghamsów i przekazał im tę wiadomość osobiście. Zanim Adele załatwiła niezbędne sprawy z pastorem, Will podjął decyzję. To nie była rozmowa na telefon. Musiał się z nimi spotkać twarzą w twarz.

„Pogrzeb odbędzie się w piątek” – poinformowała go Adele, za cztery dni, o czternastej trzydzieści; teraz, kiedy znała już datę ceremonii, mogła zająć się zamówieniem kwiatów, samochodów oraz cateringu. Sporządziła listę osób, które zamierzała zaprosić. Czy Will chciałby dodać kogoś od siebie? Powiedział, że lista jest z całą pewnością dokładna i pełna, a skoro ona ma teraz na głowie mnóstwo innych spraw, nie będzie jej przeszkadzał i wybierze się na godzinkę do wioski.

–Kiedy wyjdę, zamknij, proszę, drzwi na zasuwę – powiedział.

–Po co?

–Nie chcę, żeby... weszli tu jacyś obcy.

–Ale przecież ja znam tu wszystkich – odparła ze zdumieniem. Widząc jednak, że nie zdołała go przekonać ani tym bardziej uspokoić, zapytała. – Czym się martwisz?

Spodziewał się tego pytania i przygotował sobie zawczasu gładkie kłamstewko. Wyjaśnił, że w szpitalu podsłuchał rozmowę dwóch pielęgniarek. W okolicy pojawił się obcy mężczyzna, który próbował wdrzeć się do wielu domów. Opisał jej w kilku słowach wygląd Steepa, co miało potwierdzić prawdziwość tej historii. Nie był pewien, czy jego fortel się powiedzie, ale nie dbał o to. O ile tylko udało mu się zasiać w Adele ziarno niepewności i niepokoju i tym sposobem powstrzymać ją przed wpuszczeniem Steepa do domu, spełnił swoje zadanie. Nic więcej nie był w stanie uczynić.

JEDENAŚCIE

1

Nie poszedł prosto do domu Cunninghamów, po drodze wstąpił do kiosku po papierosy. Najwyraźniej Adele, podczas gdy Will przebywał w gabinecie, rozmawiała nie tylko z pastorem, ponieważ panna Morris wiedziała już o śmierci Hugona.

–Był dobrym człowiekiem – powiedziała. – Kiedy pogrzeb?

Odparł, że w piątek.

–Zamknę sklep – oznajmiła. – Chcę być na tej uroczystości. Będzie nam brakowało twojego ojca.

Frannie była w domu, w fartuchu i ze spiętymi włosami, robiła porządki, odkurzała i polerowała. Przywitała Willa jak zawsze ciepło, zaprosiła go do środka i zaproponowała kawę. Odmówił.

–Muszę z wami porozmawiać. – stwierdził. – Gdzie Sherwood?

–Wyszedł – odparła. – Zniknął wczesnym rankiem, jeszcze zanim wstałam.

–Czy to takie niezwykle?

–Nie, zwłaszcza kiedy nie najlepiej się czuje. Idzie wtedy na wzgórze i spaceruje po nich, niekiedy nawet do wieczora. Czemu pytasz? Coś się stało?

–Obawiam się, że sporo. Może usiądziesz?

–Jest aż tak źle?

–Na razie nie wiem, czy jest źle, czy dobrze – odrzekł.

Frannie zdjęła fartuch, po czym usiedli w fotelach stojących po dwóch stronach nieczynnego kominka.

–Będę się streszczał – stwierdził i w pięć minut opowiedział jej o wydarzeniach w szpitalu. Złożyła mu wyrazy współczucia z powodu śmierci Hugona, po czym w milczeniu wysłuchała, jaki efekt wywarło na Rosie i Jacobie nazwisko Rukenau.

–Pamiętam je – rzekła. – Pojawia się w tej książce, prawda? To Rukenau wynajął Thomasa Simeona. Ale co może go łączyć z tą szczęśliwą parą?

–To już nie jest szczęśliwa para – sprostował Will i opowiedział jej całą resztę.

Z każdą chwilą na jej twarzy odmalowywało się coraz większe zdumienie.

–Zabił ją? – spytała, gdy skończył.

–Nie wiem, czy ona nie żyje. Ale jeżeli nie umarła, to chyba tylko cudem.

–Boże. I co teraz będzie?

–Steep z pewnością zechce skończyć to co zaczął. Może zaczeka do zmierzchu, możliwe...

–Że zjawi się lada chwila.

Will pokiwał głową.

–Powinnaś naszykować niezbędne rzeczy i przygotować się do wyjazdu, kiedy tylko Sherwood wróci do domu.

–Sądysz, że Steep tu przyjdzie?

–To możliwe. Był tu już wcześniej.

Frannie spojrzała w stronę frontowych drzwi.

–Och, tak – szepnęła. – Wciąż mi się to śni. Tato w kuchni, Sher na schodach, ja z dziennikiem w dłoni, pełna wahania, bo nie chcę mu go zwrócić. – Przez te kilka chwil mocno pobladła. – Mam okropne przeczucie, Will. Związane z Sherwoodem. – Wstała, złączyła palce dłoni i ścisnęła je mocno. – A jeśli on jest z nimi?

–Skąd to przypuszczenie?

–Ponieważ on nigdy nie zdołał uwolnić się od Rosy. Stale o niej myśli. Nie ma co do tego wątpliwości. Przyznał się do tego zaledwie raz czy dwa, ale ona jest bardzo bliska jego sercu.

–Tym bardziej powinnaś się spakować i przygotować do wyjazdu – rzucił Will, wstając z fotela. – Chcę, żebyśmy wynieśli się stąd, kiedy tylko wróci Sherwood.

Wyszła do holu, ale przez cały czas mówiła do Willa, który ruszył za nią.

–Wcześniej wspomniałaś, że nie wiesz, czy jest dobrze, czy źle – zauważyła. – Moim skromnym zdaniem jest gorzej niż źle.

–Nie dla mnie – odparł Will. – Od trzydziestu lat żyłem w cieniu Steepa, a teraz wreszcie uwolnię się od niego.

–Jeżeli cię nie zabije – wtrąciła Frannie.

–Tak czy owak, będę wolny.

Spojrzała na niego.

–Jesteś aż tak zdesperowany? – spytała.

–Jest jak jest – odrzekł, wzruszając lekko ramionami. – Wiesz, wcale nie żałuję, że go poznałem: Uczynił mnie tym, kim jestem, czyż mogę żałować tego, że jestem sobą?

–To problem wielu osób. Mają kłopoty z pojednaniem się z własną tożsamością. Nie akceptują tego kim są.

–Ze mną jest inaczej – stwierdził. – Wziąłem od życia więcej, niż się spodziewałem.

–A teraz?

–Teraz muszę zrobić kolejny krok. – I czuł, że ta chwila jest bliska. – Czuję, jak coś się we mnie porusza. To coś pragnie zrobić ten krok.

–Opowiedz mi o tym.

–Obawiam się, że nie potrafię opisać tego słowami. – Uśmiechnął się. – A po chwili, ujrzawszy pytający wyraz jej twarzy, powiedział: – Jestem... podekscytowany. Wiem, że to może dziwnie zabrzmieć, ale tak się właśnie czuję. Obawiałem się, że to wszystko nigdy się nie skończy. Ale teraz już wiem, że to nastąpi, w ten czy inny sposób.

Frannie spuściła wzrok i pospieszyła na piętro; gdy znalazła się na podeście powyżej, zawołała do Willa:

–Czy jesteś w stanie jakoś się przed nim obronić?!

–Owszem.

–Powiedz mi, na czym to polega?

–Mam to – powiedział.

Sięgnął za pazuchę, dotykając noża, czego nie robił od chwili, kiedy go podniósł. Poczuł przenikający przez palce dreszcz płynący z zabójczej broni i zrozumiał, że nie powinien go dotykać. Jednak ciało zdecydowało inaczej. Palce zacisnęły się wokół lepkiej rękojeści, co natychmiast spowodowało wzmożenie emocji. Och, jakich szkód mogło dokonać to ostrze...

Nie byłoby trudno zabić Steepę, wbić ostrze głęboko w jego nieszczęsne ciało i zatrzymać pracę serca. A gdyby nie miał serca, które można by uciszyć, nóż po prostu pociąłby jego ciało

na strzępy, podziurawiłby je jak sito, a przez powstałe otwory wysączyłoby się zeń życie.

–Will?!

Frannie wołała go z góry.

–Tak?

–Nie słyszałeś mnie? Wołałam cię.

Zatracony w brutalnych obietnicach ostrza, nie słyszał ani jednego jej słowa.

–Coś się stało?! – odkrzyknął, rozchylając poły kurtki. Jego dłoń wciąż była zaciśnięta wokół rękojeści noża, kłykcie Willa zbieleły.

–Napiałabym się herbaty! – zawołała Frannie.

Kontrast był absurdalny – nóż w jego dłoni, umazany sokami Rosy, i chęć Frannie, aby napić się herbaty – że Will w jednej chwili otrząsnął się z mrocznego rozmarzenia. Nie dobywając noża, wyciągnął rękę spod kurtki i poprawił jej poły, zapięcie kurtki było dlań niczym zamknięcie Puszki Pandory.

–Zaraz zaparzę – powiedział i poszedł do kuchni.

Bolało go całe ciało. W pierwszej chwili nie pojmował dlaczego. Dopiero kiedy obmył rękę zimną wodą, zdał sobie sprawę, że odnowiły się w nim rany zadane przez niedźwiedzicę, blizny dawały mu o sobie znać, jakby w ten sposób całe ciało karało go za odmówienie mu rozkoszy krwawego ostrza. Stwierdził, że będzie musiał zachować daleko posuniętą ostrożność. Tego noża nie można lekceważyć. Każde dobyte go miało swoją cenę. Oczyszczywszy dłoń, zajął się przygotowaniem herbaty, podczas gdy Frannie krzątała się na piętrze. Zburzył jej domowy mir, ale sądząc po spokoju, z jakim przyjęła jego słowa, musiała się chyba tego spodziewać. Podobnie jak on, była naznaczona; Sherwood również. Może nie aż tak bardzo, ale kto mógł to stwierdzić? Gdyby Sherwood nie padł ofiarą Rosy, być może jego stan z czasem by się ustabilizował, a nawet poprawił, a Frannie uwolniłaby się od odpowiedzialności za niego. Zapewne poznałaby jakiegoś miłego faceta, może wyszła za mąż. Tak czy owak, jej życie stałoby się pełniejsze i szczęśliwsze niż to, które wiodła obecnie.

Gdy napełniał emaliowany dzbanek wrzątkiem, usłyszał trzask otwieranych i zamykanych frontowych drzwi, a w chwilę potem dobiegający z góry głos Frannie:

–Sherwood, to ty?!

Sherwood nie odpowiedział i Frannie zeszła na dół.

–Martwiłam się o ciebie. – Sherwood mruknął coś pod nosem. – Okropnie wyglądasz – dodała

Frannie. – Co się stało?

–Nic...

–Sherwood?

–Po prostu nie czuję się najlepiej – odburknął. – Muszę się położyć.

–Nic z tego. Wyjeżdżamy.

–Nigdzie nie jadę.

–Musimy, Sherwood. Steep wrócił.

–Nic nam nie robi. To o Willa... – Nie dokończył i spojrzał w stronę drzwi do kuchni, w których pojawił się Will.

–Czy Rosa jeszcze żyje? – zapytał Will.

–Nie wiem o czym mówisz – odparł Sherwood. – Frannie, o czym on mówi? Nie musimy wyjeżdżać. To Will jak zawsze przysparza nam kłopotów.

–Kto ci to powiedział? – spytała Frannie.

–To oczywiste – odrzekł Sherwood, wbijając wzrok w podłogę. – Zawsze to robi.

–Gdzie ona jest, Sherwood? – warknął Will. – Czy on ją pochował?

–Nie! – warknął Sherwood. – To moja pani i ona żyje!

–Gdzie?

–Nie powiem ci. Skrzywdziłbyś ją.

–Nie – rzekł Will. – Nic jej nie zrobię.

Wyszedł z kuchni. To zaniepokoiło Sherwooda. Odwrócił się na pięcie i pognął ku drzwiom frontowym.

–Już wszystko dobrze! – krzyknęła Frannie.

Nie zdołała go jednak przekonać. Sherwood wybiegł z domu. Will popędził za nim. Wzdłuż ścieżki do furtki, która była otwarta, i dalej na chodnik, w lewo i jeszcze raz w lewo, nie przebiegając na drugą stronę, aby ruch uliczny go nie spowolnił, aż znalazł się na otwartej przestrzeni za domem. Will pobiegł za nim po wąskiej pylistej ścieżce, na próżno nawołując, by się zatrzymał, ale Sherwood był zbyt szybki. Will wiedział, że jeśli tamten zdoła dotrzeć na

rozległe pole opodal, wymknie się mu. Frannie okazała się szybsza. Wyłoniła się zza domu i rzuciła na Sherwooda, by go zatrzymać, chwytając tak zaciekle i mocno, że brat nie zdołał się uwolnić z jej uścisku, zanim zjawił się przy nich Will.

–Spokojnie, spokojnie – powiedziała do Sherwooda.

Zignorował ją i cały gniew obrócił przeciwko Willowi.

–Dlaczego musiałeś wrócić?! – wrzasnął. – Wszystko zepsułeś! Wszystko!

–Zamilcz! – uciszyła go Frannie. – Weź głęboki oddech i uspokój się, zanim kogoś skrzywdzisz. A teraz proponuję... abyśmy wrócili do domu i porozmawiali jak cywilizowani ludzie.

–Najpierw mnie puśćcie – zażądał Sherwood.

–Ale nie będziesz próbował uciec? – dopytywała się Frannie.

–Nie – odparł Sherwood. Miał kwaśną minę.

–Obiecujesz?

–Frannie, nie jestem dzieckiem. Skoro powiedziałem, że nie będę próbował, to znaczy, że nie będę i już.

Will puścił go, Frannie również. Sherwood się nie poruszył.

–Zadowolona? – burknął z przekąsem, po czym wolno poczłapał do domu.

Gdy znaleźli się w środku, Will pozostawił zadawanie pytań Frannie. Najwyraźniej Sherwood uważał go za wroga i nie odpowiadałby na żadne z jego pytań. Zaczęła od powtórzenia w skrócie tego, co usłyszała od Willa. Sherwood przez cały czas milczał, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, kiedy jednak powiedziała mu, że Hugo został zamordowany przez Steepa i McGee, który to fakt sprytnie zachowała na koniec swojego monologu (wcześniej wspomniała tylko, że Hugo nie żyje), Sherwood nie potrafił ukryć swoich emocji. Był wstrząśnięty. Bardzo lubił Hugona, jak wynikało z jego ostatniej rozmowy z Willem, a gdy Frannie opisała mu udział Rosy w tym, co się stało, rozplakał się, zaś jego ciałem wstrząsnęły niekontrolowane dreszcze.

–Chciałem tylko ocalić ją przed Steepem – powiedział w końcu. – Sama sobie nie poradzi.

Spojrzał na siostrę, oczy miał pełne łez.

–Dlaczego miałby ją zranić, skoro nie próbowała się uwolnić? A ona tylko tego pragnie.

–Może moglibyśmy jej pomóc – rzekł Will. – Gdzie ona jest? – Sherwood ponownie zwiesił głowę.

–Powiedz nam przynajmniej, co się stało? – zaproponowała łagodnie Frannie.

–Spotkałem ją kilka dni temu na wzgórzach, podczas spaceru. Powiedziała, że mnie szukała, potrzebowała mojej pomocy. Spytała, czy mógłbym znaleźć jej jakieś miejsce do spania, bo przecież Sądu już nie ma. Wiedziałem, że powinienem się jej bać, ale nie czułem strachu. Często wyobrażałem sobie, że znów ją zobaczę. Śniłem o spotkaniu jej, właśnie w takich warunkach, w świetle dnia. Wydawała się taka samotna. W ogóle się nie zmieniła. I powiedziała, jak bardzo jest szczęśliwa, że znów mnie widzi. Byłem dla niej jak stary przyjaciel – tak powiedziała i liczyła, że ja również myślę o niej w podobny sposób. Odparłem, że tak. Zaproponowałem, że wynajmę dla niej pokój w hotelu w Skipton, ale odmówiła, Steep nie chciał zatrzymać się w hotelu, w obawie by ktoś nie zamknął drzwi do jego pokoju na klucz, gdy będzie spał. Nie zrozumiałem dlaczego, ale tak właśnie mi powiedziała. Od tej pory nie wspomniała ani słowa o Steepie, a ja poczułem się zawiedziony i rozczarowany. Chyba sądziłem, że wróci tu sama. Kiedy jednak zaczęła błagać, bym jej pomógł, zrozumiałem, że się go obawia. Odparłem, że znam miejsce, gdzie mogliby się udać. I zabrałem ją tam.

–Widziałeś Steepa? – zapytała Frannie.

–Tak. Później.

–Groził ci?

–Nie. Był milczący i wyglądał na chorego. Prawie zrobiło mi się go żal. Widziałem go tylko raz.

–A dziś rano? – spytał Will.

–Dziś rano go nie widziałem.

–Ale Rosę widziałeś?

–Słyszałem, lecz jej nie widziałem. Leżała w ciemności, kazała mi odejść.

–Jaki miała głos?

–Bardzo słaby. Ale nie sprawiała wrażenia umierającej. Gdyby umierała, poprosiłaby mnie o pomoc, prawda?

–Nie, o ile uznała, że jest już na to za późno – odparł Will.

–Gdzie ona jest, Sher – spytała Frannie. Sherwood znów gapił się w podłogę. – Dajże spokój, na miłość boską! Przecież nie zrobimy jej nic złego. O co chodzi?

–Nie chcę się nią dzielić – rzekł półgłosem Sherwood. – Ona stanowiła mój mały sekret. I chciałbym, żeby tak zostało.

–W takim razie ona umrze – rzekł Will z rozdrażnieniem. – Ale przynajmniej z nikim nie będziesz musiał się dzielić. Czy tego właśnie chcesz?

Sherwood pokręcił głową.

–Nie – wymamrotał. A potem nieco ciszej dorzucił: – Zaprowadzę was do niej.

DWANAŚCIE

Uczucie szczęścia zawsze wzbudzało w Jacobie nieodparte wrażenie zgola przeciwnych doznań. Radując się z dokonania zabójstwa, Steep nieodmiennie udawał się do któregoś z większych miast, centrów kultury, aby obejrzeć dramat w teatrze lub jeszcze lepiej operę, lub któreś z wielkich dzieł malarskich, i w ten sposób wzbudzić w sobie całą gamę ponurych odczuć, które zazwyczaj starannie tłumił. Potem zaś znów oddawał się w pełni swoim pasjom, jak alkoholik, który po długoletniej abstynencji, pozostawiony w piwniczce z zapasem brandy, upija się do nieprzytomności.

W przeciwieństwie do szczęścia, u Jacoba rozpacz nie poszukiwała przeciwieństw, kiedy go ogarniała tak jak tego dnia; natura skłaniała go do lepszego poznania odczuć, które sprawiały mu ból. Inni mogli poszukiwać balsamu na jątrzące się rany. On wybierał raczej inny gatunek soli, grubiej zmielonej, by wetrzeć ją w bolące miejsce.

Aż do teraz zawsze dysponował lekarstwem na tę dolegliwość. Gdy rozpacz stawała się dla niego nie do zniesienia, miał zawsze Roseę, która pomagała mu podźwignąć się na nogi, wspierała w trudnych chwilach i przywracała równowagę. Zwykle dokonywała tego za pomocą seksu; gdy była w rubasznym nastroju, określała te ich gierki mianem zabawy w „chowanie paróweczki”. Dziś wszakże to Rosa była powodem jego rozpaczki i nie mogła przynieść mu ukojenia, którego tak łaknął. Dziś Rosa umierała, w dodatku z jego ręki, jej rana była zbyt głęboka, by mogła się zagoić. Złożył ją w cieniu ich sekretnego domu i tak jak tego pragnęła, pozostawił ją samą.

–Nie chcę, żebyś się do mnie zbliżał – powiedziała. – Precz mi z oczu.

Odszedł więc. Opuścił wioskę i ruszył na wzgórze, wypatrując miejsca, gdzie jego rozpacz mogłaby zostać spotęgowana. Stopy wiedziały, dokąd mają go zaprowadzić – do lasu, w którym ten przeklęty dzieciak ukazał mu wizje. Wiedział, że właśnie tam znajdzie dość opału, aby podsycić gorejący w nim ogień niedoli. Niczego tak nie żałował jak tego, że jego stopa stanęła w tym zagajniku. Z perspektywy czasu stwierdził, że pierwszym błędem, jaki popełnił, było wręczenie Willowi noża. A drugim? To, że nie zabił chłopaka, kiedy tylko uświadomił sobie, że jest on przewodnikiem. Jakież osobliwe współczucie natchnęło go owej nocy, że pozwolił dzieciakowi ujść z życiem? Wiedział przecież, że umysł Willa przepelniły skradzione wspomnienia.

Nawet te błędy nie musiały okazać się zgubne w skutkach, gdyby tylko chłopak nie wyrósł na pedała. Ale tak właśnie się stało. I, nie mając instynktu posiadania potomstwa, Will stał się dla niego o wiele groźniejszym wrogiem, nie, nie wrogiem, kimś bardziej wymyślnym, niż gdyby ożenił się i spłodził dzieci. Steep nigdy nie czuł się swobodnie w towarzystwie pedałów, ale niejako wbrew swojej woli czuł względem nich swoistą empatię. Podobnie jak Steep, oni również tworzyli się sami, tak jak on spoglądali na resztę swego plemienia z dystansu, który sami sobie wyznaczyli. Trzymali się na uboczu. Steep z radością przyjąłby wieść o zagładzie

całego ich klanu, o ile tylko, dzięki temu, ścieżki jego i Willa nigdy by się nie przecięły.

Przystanął o pięćdziesiąt jardów od lasu i unosząc wzrok, zlustrował rozciągającą się przed nim panoramę. Nadchodziła jesień, czuł w powietrzu jej niechybne tchnienie. O tej porze roku zwykle wybierał się na wędrowkę, przerywając na tydzień lub dwa swoją pracę, by wałęsać się po bezdrożach Anglii. Pomimo że było ich coraz mniej, w tym kraju wciąż jeszcze można było napotkać święte miejsca, o ile tylko wędrowiec był dostatecznie uważny, ostrożny i spostrzegawczy. Wspólnie z duchami heretyków i poetów od lat przemierzał ten kraj, od krańca do krańca; wędrował prostymi szlakami uczęszczanymi przez Behemitów i słyszał ich, jak nazywają Ziemię obliczem Boga; zabawił czas jakiś w Malvern Hills, gdzie Longland śnił o Piersie Płowmanie, wspinał się na szczyty kurhanów, gdzie pośród gleby i spżu spoczywali pogańscy władcy. Nie wszystkie te miejsca mogły poszczycić się szlachetną historią. Były wśród nich miejsca przesycone bólem i smutkiem, pola i zagajniki, w których wierni umierali za Chrystusa. Jak choćby Altham Common, gdzie Rowland Taylor, proboszcz z Hadleigh został spalony na stosie – w miejscu, gdzie spłonął, po dziś dzień rośnie wysoki, zielony żywopłot. Albo w Colchester, gdzie co najmniej kilkanaście osób spalono na jednym stosie, za to, że próbowały się modlić. Modlitwa była ich grzechem. Były jeszcze inne, mniej znane miejsca, do których trafił tylko dlatego, że czuwał z uchem przy ustach konających ludzi, nie dając im spokoju niczym natrętna mucha. Miejsca, w których bluźniercy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, zginęli za miłość, wiarę, a niekiedy za jedno i drugie. Zazdrościł umarłym, i to nawet często. Gdy któregoś wrześniego dnia stał na zaoranym polu, wsłuchując się w krakanie wron na pobliskich, odartych z liści drzewach, pomyślał przez chwilę o prostocie, tych których pył mieszał się teraz z glebą na jego butach, i żałował, że nie przyszedł na świat jako istota o znacznie prostszym sercu.

Nie odwiedzi już tych miejsc, ani tej jesieni, ani później. Nigdy tu nie powróci. Jego życie, stabilne na swój osobliwy sposób, zmieniało się z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Choć z całą pewnością uciszy Rabjohnsów, zlikwidowanie ich nie naprawi szkód, które się dokonały. Rosa tak czy owak umrze, a on pozostanie sam, coraz bardziej pogrążając się w otchłani rozpacz. Zważywszy, że nie było nikogo, kto mógłby powstrzymać go przed upadkiem, należało przypuszczać, że stoczy się aż na samo dno. A wówczas umrze. Zapewne popełni samobójstwo, zaś jego wizja nagiej ziemi trafi w inne, mniej godne ręce.

Nieważne, pomyślał, ruszając w dalszą drogę w stronę lasu. Było wielu mężczyzn, służących nieświadomie tym samym ideałom. Miał wątpliwą przyjemność spotkania w swoim czasie niektórych z nich – wielu z nich było szalonymi wojskowymi, kilku wykazywało objawy głębokiej paranoi, nieliczni doskonale znali imię swojego demona i pławili się z rozkoszą w złu, które czynili, większość jednak – i z tymi właśnie rozmowa była najciekawsza – wcale nie wydawała się nieludzka. Osoby te przesiadywały w swoich zacisznych gabinetach niczym cisi, dobrotliwi księgowi i właśnie stamtąd kierowały programami oraz czystkami etnicznymi, organizowanymi z pobudek finansowych i politycznych. Jakakolwiek była ich natura, wszyscy co do jednego byli jego sprzymierzeńcami, gdyż podobnie jak on, w imię własnych, bardziej lub mniej skrywanych ambicji dążyli do zagłady ras i gatunków. Jedni czynili to dla zysku, inni w imię wolności, jeszcze inni tylko dlatego, że po prostu mogli. Powody tak naprawdę nie miały

dla niego znaczenia. Liczyły się skutki. Pragnął ujrzeć, jak całe Dzieło Stworzenia obraca się w niwecz, niszczeje, ród za rodem, jedno plemię po drugim, od bezmiaru po najmniejszą ilość, i aby osiągnąć swój cel zawsze potrzebował autokratów oraz technokratów. Podczas jednak, gdy oni wszyscy byli prymitywni i niewybredni – częstokroć nieświadomi czynionych przez siebie szkód, Steep zawsze z największą precyzją obmyślał swoje spiski przeciwko życiu – poznając ofiary z dokładnością zawodowego zabójcy, aby wiedzieć o nich możliwie jak najwięcej, poczynawszy od zwykłych nawyków, po kryjówki, w których się zaszywały.

Niewielu z tych, których wziął na celownik, zdołało mu uciec. Nie znalazł przyjemniejszego uczucia ponad to, które go ogarniało, kiedy siadał przy kolejnych zwłokach i opisywał je szczegółowo w swoim dzienniku, świadom, że gdy ciało już zgnije, jedynie on będzie dysponował zapisem, kiedy i w jakich okolicznościach dany gatunek przeszedł do historii.

„Tego już więcej nie będzie. Ani tego. Ani tego”.

Dotarł do skraju lasu. Podmuch wiatru zakołysał konarami drzew, sprawiając, że słoneczne monety widniejące na ziemi niejako się po niej przeturlały. Wszedł ochoczo pomiędzy drzewa i nagle znów powiał wiatr, strącając z gałęzi kilka pierwszych, węższych listków. Steep udał się od razu do miejsca, gdzie tamtej zimy gnieździły się dwa niewielkie ptaki. W rozwidleniu gałęzi pojawiło się nowe, założone ostatniej zimy gniazdo, teraz gdy spełniło już swoje zadanie i nie było w nim piskląt, wyglądało na opuszczone, ale nadal pozostawało nietknięte. Stając w miejscu, gdzie usiadły ptaki, przypomniał sobie wizję, którą Will ukazał mu z tak upiorną łatwością... Simeona skąpanego w blasku słońca, na dzień przed śmiercią, pomimo trawiącej go rozpaczki odmawiającego powrotu do swego mecenasa. A potem tę drugą scenę rozgrywającą się dzień i chwilę później. Simeona martwego, leżącego pod drzewami, jego ciało, które stało się już żerem dla...

Steep wydał z siebie cichy jęk i zakrył oczy dłońmi, jakby to mogło uwolnić go od przerażającej wizji. Nic z tego. Obraz nie zniknął. Pulsował mu pod powiekami, jakby dopiero teraz, po raz pierwszy Steep miał okazję ujrzeć go we wszystkich najokrutniejszych szczegółach: ślady pazurów na policzku i czole Thomasa, w miejscach gdzie ptaki wczepiły się w jego skórę szponami, aby wylupić mu oczy; ślad łajna na udzie malarza, gdzie jakieś zwierzę wypróżniło się, obwąchując zwłoki, pukiel włosów przy jego kroczu, cudownie nietknięty, pomimo że jego męskość została brutalnie odgryziona, i prócz tego, tych kilku drobnych kosmyków żółtych włosów między nogami mężczyzny, ziała krwawa rana. Nie łudził się, że zabicie przekaźnika ukoi tkwiący w nim coraz głębszy ból i dojmującą udrękę. Znajdował się teraz w ich mocy i niebawem cierpienia pochłoną go bez reszty. Kiedy jednak się w końcu podda, uczyni to w pełni świadomie. To będzie jego decyzja. W jego myślach nie będzie żadnego intruza stąpającego tam, gdzie jego smutek i żal były najdelikatniejsze. Umrze samotnie, w trzewiach bestii własnej rozpaczki, i nikt nie dowie się jaka była ostatnia myśl, która go tam zaprowadziła.

Pora ruszać w drogę. Odwlekał ten moment dostatecznie długo, obawiając się swych słabości. Schodząc ze wzgórza, wolałby dźwżyć w dłoni swój nóż – ta broń lepiej od niego znalazła się na

zabijaniu. Ale to nieistotne. Zabójstwo było starą sztuką; dużo starszą aniżeli wykuwanie stalowych ostrzy. Gdy nadejdzie właściwy moment, znajdzie sposób, by dokonać zamierzonego dzieła: mógł użyć w tym celu sznura, młotka lub poduszki. A gdyby wszystko inne zawiodło, zawsze miał jeszcze ręce. Tak, może najlepiej będzie, jeżeli zrobi to właśnie rękami. To było proste, uczciwe i szczere, niczym naprawienie popełnionego przez siebie błędu – własnoręcznie go popełnił, a teraz własnoręcznie go naprawi. Bliski kontakt dwóch ciał. Na samą myśl o tym zrobiło mu się błogo, a w jego obecnym stanie, nawet najdrobniejsza przyjemność, niezależnie od przyczyny, która ją wywołała, była mile widziana.

TRZYNAŚCIE

Od śmierci Delberta Donnelly'ego w Burnt Yarley nie było sklepu mięsnego, a od zburzenia Sądu nie było także Donnellych. Córka Delberta, Marjorie, przeniosła się z rodziną do Easdale, a wdowa po rzeźniku wyjechała do Lytham St. Annes. Sklep przechodził z rąk do rąk – był tam zakład fryzjerski, punkt usługowy, warzywniak i znowu fryzjer. Dom Donnellych jednak nigdy nie został sprzedany. Właściwie nie było po temu żadnych konkretnych powodów – nie zauważono, by duch Delberta błąkał się z tasakiem w dłoni po tamtejszych korytarzach, po prostu cena tego skądinąd szpetnego, mało urokliwego domu była zbyt wysoka dla potencjalnych nabywców. Jednakże każdy, kto pragnąłby odrobiny ciszy i odosobnienia, byłby nim zachwycony, dom bowiem był otoczony wysokim na siedem stóp ligustrowym żywopłotem, dumą i chlubą Delberta. Gdyby rzeźnik poświęcał tyleż uwagi swojemu wyglądowi, co żywopłotowi, twierdzili niektórzy, byłby najbardziej bystrym i pożądanym mężczyzną w całym Yorkshire. Cóż, Delbert prawdopodobnie obecnie wyglądał jeszcze gorzej, gnijąc w ziemi na cmentarzu przy kościele pod wezwaniem św. Łukasza, a jego żywopłot rozrastał się w najlepsze, zaniedbany. Od strony drogi dom Donnellych był teraz prawie całkiem niewidoczny.

–Co cię podkusiło, by tu przyprowadzić Rosę? – zwróciła się do Sherwooda Frannie, gdy pchnięciem otworzył furtkę.

Spojrzał na nią z pokorą.

–Przychodzę tu, odkąd ten dom stoi pusty – wyznał. – Niezbyt często, ale jednak tu zaglądam.

–Po co?

–Nie wiem – odparł. – Aby побыć trochę samemu.

–A więc za każdym razem, gdy sądziłam, że poszedłeś na wzgórze, ty byłeś tutaj?

–Nie zawsze. Ale często. – Przyspieszył kroku, by wysforować się przed Frannie i Willa, po czym odwrócił się i rzekł: – Muszę tam wejść sam. Nie chcę, żebyście ją wystraszyli.

–Frannie i tak powinna zostać tutaj – powiedział Will. – Ale samego cię nie puszczę. Tam może być Steep.

–Wejźmy tam wszyscy – ucięła Frannie. – Bez dyskusji.

To rzekłszy, pomaszerowała po żwirowej ścieżce do frontowych drzwi, obaj mężczyźni nie mieli innego wyjścia, jak tylko ją dogonić. Drzwi były otwarte, wewnątrz jasno oświetlone. Źródłem światła nie były zapalone lampy, lecz dwie ziejące dziury w dachu, większa miała prawie sześć stóp średnicy, skutek burz szalejących ubiegłej zimy, w lutym. Wichry wiejące z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę zdarły gonty z dachu, a lodowate deszcze połamały deski jak zapalki. Promienie słońca wpływały teraz do wnętrza budynku.

–Gdzie ona jest? – wyszeptał Will do Sherwooda.

–W jadalni – odparł, wskazując głową sieni.

Było tam troje drzwi, ale Will nie musiał zgadywać. Zza najdalszych spośród nich dobiegł głos Rosy. Brzmiał słabo, ale nie pozostawiał wątpliwości co do treści, jakie zawierał.

–Nie zbliżaj się do mnie. Nie chcę, by ktokolwiek do mnie podchodził.

–To nie Jacob – rzekł Will, podchodząc do drzwi i uchylając je szeroko.

Okiennice były niemal całkiem zamknięte, tak więc w pokoju panował półmrok. Usiadła, kiedy wszedł, choć sprawiło jej to wiele wysiłku.

–Sherwood? – spytała.

–Nie. To ja, Will.

–Kiedyś miałam lepszy słuch – stwierdziła. – A więc jeszcze cię nie znalazł?

–Jeszcze nie. Ale jestem na to przygotowany.

–Nie oszukuj się. On cię zabije.

–Na to też jestem gotowy.

–To głupie – mruknęła, kręcąc głową. – Słyszałam kobiecy głos...

–To Frannie... Siostra Sherwooda.

–Przyprowadź ją – powiedziała Rosa. – Musi się mną zająć.

–Ja mogę to zrobić.

–Nie – zaproponowała. – To musi zrobić kobieta. Idź – warknęła gniewnie.

Will wrócił do sieni. Sherwood stał przy drzwiach, gotowy wejść do pokoju. Will zwrócił się do niego:

–Ona chce, żeby Frannie do niej przyszła.

–Ale ja...

–Taka jest jej wola – odparł Will i zwrócił się do Frannie: – Twierdzi, że ktoś musi się nią zająć. Nie sądzę, by pozwoliła się zabrać do lekarza. Mimo to spróbuj ją do tego namówić.

Na twarzy Frannie pojawiło się powątpiewanie, ale po chwili wahania kobieta minęła Willa i

Sherwooda i weszła do pokoju.

–Czy ona umrze? – zapytał niemal szeptem Sherwood.

–Nie wiem – odparł Will. – Żyła bardzo długo. Może nadszedł jej czas.

–Nie pozwolę jej odejść – powiedział Sherwood.

Frannie podeszła do drzwi.

–Potrzebuję gazy i bandaży – oznajmiła. – Idź do naszego domu, Sherwood i przynieś tyle, ile znajdziesz. Czy w tym domu jest bieżąca woda?

–Tak – odparł Sherwood.

–Nie udało ci się jej przekonać, żebyśmy zabrali ją do lekarza?

–Nie. Zresztą wątpię, by jakikolwiek lekarz był w stanie jej pomóc.

–Jest aż tak źle?

–Właściwie to nie. Ale jest... dziwnie. Nigdy nie wiedziałam takiej rany. – Wzdrygnęła się. – Nie wiem, czy będę w stanie jeszcze raz jej dotknąć. – Spojrzała na Sherwooda. – Może łaskawie pofatygujesz się i przyniesiesz to, o co cię proszę?

Spojrzał na nią jak zbity pies i wyszedł.

–Co zrobimy, kiedy już założę jej opatrunek? – spytała Frannie.

–Pozwól mi z nią porozmawiać – rzekł Will.

–Mówiła, że nie życzy sobie, by którykolwiek z was tam wchodził.

–Będzie musiała jakoś to znieść – mruknął Will. – Przepraszam.

Frannie odsunęła się, a Will wszedł do pokoju. Było w nim ciemniej niż przed kilkoma minutami, a także znacznie cieplej – obie zmiany, jak sądził, były efektem obecności Rosy. W pierwszej chwili w ogóle jej nie zauważył, tak gęste były cienie zalegające przy kominku. Kiedy starał się przeniknąć mrok i zorientować się, gdzie jest Rosa, rzuciła szorstko:

–Wyjdź.

Głos zdradził miejsce, w którym się znajdowała. Skryła się w odległym kącie pokoju. Okiennice na lewo od niej były lekko uchylone, ale promienie słońca nie przenikały mrocznego miazmatu, którym się otoczyła.

–Musimy porozmawiać – rzekł Will.

–O czym?

–O tym, czego ode mnie chcesz – odparł pojednawczym tonem.

–Zabiłam twojego ojca – rzekła półgłosem. – A ty chcesz mi pomóc? Wybacz, że jestem podejrzliwa, ale chyba mam do tego prawo.

–Byłaś pod wpływem Steepa – odparł Will, postępując krok ku niej.

Nawet ten jeden krok wystarczył, by powietrze wokół niego zgęstniało. Choć wbił wzrok w otaczające ją szare cienie, panujący tam półmrok przywodził mu na myśl niedoświetlone, rozmazane zdjęcie.

–Pod wpływem Steepa? Ja? – Wybuchnęła śmiechem. – Zastanów się co mówisz! On potrzebuje mnie bardziej niż ja jego.

–Naprawdę?

–O, tak. Naprawdę. Beze mnie on oszaleje. O ile już nie popadł w obłąd. To ja zawsze utrzymywałam go w ryzach.

Will zmniejszył mniej więcej o połowę dystans pomiędzy drzwiami a narożnikiem pokoju, lecz w dalszym ciągu nie mógł dostrzec Rosy.

–Na twoim miejscu nie podchodziłabym bliżej – ostrzegła.

–Dlaczego?

–Rozlatuję się w szwach – odparła. – Rozszczepiam się. To nie jest bezpieczne miejsce, lepiej, żeby cię tu teraz nie było.

–A Frannie?

–Ona to co innego. Kobiety są mniej podatne. Jeżeli uda się jej mnie pouszczelniać, może przeżyje jeszcze dzień, dwa.

–Ale nie zdołasz się uzdrowić?

–Nie chcę tego! – odparła. – Pragnę znaleźć drogę powrotną do Rukenaua i być szczęśliwą... – Wzięła głęboki, urywany oddech. – Pytałeś, czego od ciebie chcę...

–Tak...

–Zabierz mnie do niego.

–Czy wiesz, gdzie on jest?

–Na wyspie.

–Na której?

–To ty wiesz, gdzie on jest...

–Nie. Nie wiem.

–Ale przecież w ogrodzie...

–Blefowałem.

W kącie pokoju coś się poruszyło: fala żaru omiotła twarz Willa. Zrobiło mu się niedobrze i przez chwilę kusiło go, by wycofać się do drzwi. Mimo to nie ruszył się z miejsca, podczas gdy półmrok na wprost niego rozproszył się i Will ujrzał Rosę. Przypominała ducha samej siebie – jej wspaniałe niegdyś włosy okalały blade oblicze o pustych oczach. Przyciskała dłonie do rany, lecz nie zdołała w pełni ukryć jej niezwykłości. Po palcach kobiety prześlizgiwały się drobiny bladej materii. Niektóre z nich skrzyły się złościście. Inne ulatywały w górę jak iskry z ogniska i gasły w powietrzu.

–A więc nie możesz doprowadzić mnie do Rukenaua? – spytała.

–Nie mogę doprowadzić cię do niego bezpośrednio – wyznał Will – ale to nie oznacza...

–Jeszcze jeden łgarz...

–Nie miałem wyboru.

–Wszyscy jesteście tacy sami.

–Zabiłby mnie.

–Niewielka strata – rzekła oschle. – Byłoby o jednego kłamcę mniej. Wynoś się. Nie chcę cię widzieć!

–Posłuchaj...

–Usłyszałam już wszystko, co chciałam usłyszeć – warknęła, odwracając się do niego plecami.

Bez namysłu podszedł do niej, w nadziei że jednak zdoła ją przekonać, by go wysłuchała. Dostrzegła go kątem oka i być może sądząc, że Will chce ją zaatakować, odwróciła się jak fryga. W tej samej chwili błyszczące drobiny na jej dłoni zaczęły zachowywać się w bardziej przemyślany sposób. Przecięły powietrze i, w czasie jaki zajmuje jedno uderzenie serca, połączyły się, tworząc jedną cienką nić. Świetliste pasmo pomknęło w stronę Willa tak szybko,

że nie zdołał się uchylić. Nić musnęła jego ramię i wystrzeliła ku sufitowi. Kontakt trwał zaledwie mgnienie oka, ale to wystarczyło, by stracił równowagę. Zachwiał się i osunął na kolana, podczas gdy całe jego ciało przeniknęła niezwykła euforia, której źródłem było miejsce dotknięte przez nić. Poczuł – a może tak mu się tylko wydawało – że fala energii przepłynęła przez całe jego ciało, a wszystkie mięśnie, ścięgna i szpik kostny, które omiotła, zaczęły emanować silnym blaskiem, krew w jego żyłach pojaśniała, zmysły roziskrzyły się...

Dostrzegł nić na suficie, pasmo znowu się rozszczepiło jak rozerwany sznur pereł, pękając i opadając powoli, jakby opierało się prawu grawitacji. Jasne drobiny potoczyły się we wszystkie strony, te słabsze zgasły natychmiast, silniejsze natomiast najpierw uderzyły w ścianę a dopiero potem wypaliły się.

Will patrzył na to zjawisko jak na deszcz meteorów, z odchyłoną głową i rozdziawionymi ustami. Dopiero kiedy wszystkie zgasły, spojrzął na ich źródło. Rosa wycofała się w kąt, ale oczy Willa wciąż przepelniał niezwykły blask i zanim świetlisty dar minął, zdołał ujrzeć ją, jak jeszcze nigdy dotąd. W jej wnętrzu kryła się istota utkana z gorejących cieni, ciemna, smukła i zmiennokształtna. Istota utrzymywana w ryzach przez to, czym stała się na przestrzeni wielu lat, niczym płótno zniszczone przez zalegającą na nim warstwę kurzu, brudu, werniksu i nieudolne zabiegi konserwatorów, do tego stopnia, że nie sposób było dostrzec jego wcześniejszego piękna. I kiedy Will wejrzał do jej wnętrza, ona również przez chwilę była w stanie widzieć coś niezwykłego i cudownego w nim samym.

–Powiedz mi – rzekła półgłosem. – Kiedy stałeś się lisem?

–Ja? – spytał.

–On porusza się w tobie – odparła, patrząc na Willa. – Widzę go bardzo wyraźnie.

Przyjrzał się sobie, nieomal spodziewając się, że emanująca z niej moc dokonała w nim jakichś zmian fizycznych. To rzecz jasna było absurdalne przypuszczenie, ujrzał jedynie swoje blade, spocone zwyczajne ciało. Bardziej rozczarował go fakt, że gasły w nim resztki bajecznego blasku. Czuł, jak dar odchodzi, i już teraz tego żałował.

–Steep miał rację co do ciebie – oznajmiła. – Jesteś niezwykłą istotą. Mieć w sobie ducha poruszającego się w taki sposób i nie zwariować... to ci dopiero.

–Kto mówi, że nie oszalałem? – odparł, wspominając drogę przez mękę, która zaowocowała tym opętaniem. – Wiesz, że ja też widzę coś w tobie, prawda?

–Jeżeli coś widzisz, to lepiej już nie patrz – poradziła.

–Ale ja chcę patrzeć. To jest naprawdę piękne.

Gorejąca istota była widoczna jeszcze tylko przez chwilę i koniec końców zniknęła skryta pod zranioną powłoką cielesną Rosy.

–O, Boże – mruknął. – Właśnie zdałem sobie sprawę, że już wcześniej widziałem coś takiego. Mam na myśli istotę, która jest w tobie.

Milczała przez chwilę, jakby nie bardzo wiedziała, czy powinna podjąć ten temat. Nie mogła się jednak oprzeć.

–Gdzie? – spytała.

–Na obrazie – wyjaśnił. – Namalowanym przez Thomasa Simeona. Nazwał tę istotę Nilowcem.

Wzdrygnęła się na to słowo.

–Nilowcem? – spytała. – A co to takiego?

–To istota, która żyje nad Nilem.

–Nigdy tam nie byłam – odrzekła. – Pamiętam wyspę, ale rzeki sobie nie przypominam. A w każdym razie nie tę rzekę. Amazonkę tak. Byłam kiedyś ze Steepem w dorzeczu Amazonki, by zabijać motyle. Ale nie byłam nad Nilem... – jej głos zaczął słabnąć, tkwiąca w niej istota przestała być widoczna. – A jednak... w tym, co powiedziałaś, jest sporo prawdy. Ty masz w sobie lisa, a ja... tę istotę. Ona też się we mnie porusza.

–Chciałabyś wiedzieć, co to za istota?

–Jedynie Rukenau to wie – odparła. – Zabierzesz mnie do Rukenaua? Jesteś lisem. Możesz go wywęszyć.

–Uważasz, że on będzie w stanie to wszystko wyjaśnić?

–Jeżeli nie on, to nikt nie zdoła tego uczynić.

Zastał Frannie siedzącą u podnóża schodów i czytającą pożółkłą, pomiętą gazetę, którą odnalazła w jednym z pokoi.

–Co z nią? – spytała.

Will odpierał się o framugę, nogi wciąż miał jak z waty.

–Chce odnaleźć Rukenaua. To jedyne, na czym jej obecnie zależy.

–A gdzie on jest?

–Jeżeli gdzieś jest, to zapewne na Hebrydach, dokąd udał się, zgodnie z tym, co jest w książce. Sęk w tym, że ona nie wie, która to wyspa.

–Chcesz, żebyśmy ją tam zabrali?

–Nie my. Ja. O ile tylko zdołasz jakoś opatrzyć jej ranę, zajmę się nią i spróbuję dostarczyć tam, gdzie będzie chciała.

Frannie złożyła gazetę i cisnęła na zakurzoną podłogę.

–Jak sądzisz, co jest na tej wyspie?

–W najgorszym razie, mnóstwo ptaków. W najlepszym? Rukenau i Domus Mundi, cokolwiek kryje się pod tą nazwą.

–Sugerujesz zatem, że powinnam sobie odpuścić i pozwolić, żebyś pojechał z nią sam? – Frannie uśmiechnęła się pod nosem. – Miałabym przepuścić okazję ujżenia czegoś tak wyjątkowego? Nie, Will. Ja także powinnam mieć w tym swój udział. Siedzę w tym od samego początku. I zamierzam na własne oczy zobaczyć, jak to się wszystko skończy.

Zanim Will zdążył odpowiedzieć, frontowe drzwi otworzyły się i do środka wszedł Sherwood, z apteczką w ręku.

–Przyniosłem wszystkie bandaże, jakie udało mi się znaleźć – rzekł, podając apteczkę Frannie.

–W porządku – powiedział Will. – Plan jest następujący: wrócę teraz do domu ojca i poinformuję Adele, że muszę pilnie wyjechać...

–Dokąd się wybierasz? – dopytywał się Sherwood.

–Frannie ci wyjaśni – odparł Will, wprawiając w ruch odporne kończyny.

Wciąż czuł się osłabiony. Wyminął Sherwooda i skierował się ku drzwiom.

–Pospiesz się – poprosiła Frannie. – Nie chcę być tutaj, gdyby...

–Nawet o tym nie mów – uciął Will. – Wrócę najszybciej, jak będę mógł, obiecuję.

Powłócząc nogami, wyszedł z domu, przeczłapał po ścieżce i znalazł się na ulicy. Miał ochotę pobiec, boso lub nago, tak jak przed laty, kiedy wyobrażał sobie swój powrót do Jacoba w gmachu Sądu, kiedy płonący w nim ogień miał zamieniać padający śnieg w parę. Jednak przez całą drogę do domu trzymał w ryzach zarówno swoje marzenia z dzieciństwa, jak i tkwiącego w nim lisa. Wiedział, że ich czas nadejdzie. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie.

CZTERNAŚCIE

1

Adele nie była sama. Przed domem stał nieskazitelnie wypolerowany samochód, a w środku siedział jego właściciel, energiczny, wręcz tryskający żywiołowością i humorem przedsiębiorca pogrzebowy, nazwiskiem Maurice Shilling. Will odprowadził Adele na stronę i wyjaśnił, że musi wyjechać na dzień lub dwa. Naturalnie, chciała wiedzieć, dokąd się wybierał. Musiał skłamać, ale zrobił to możliwie jak najsubtelniej. Wyjaśnił, że jego przyjaciółka zachorowała, i on musi pojechać do niej do Szkocji.

–Wrócisz na pogrzeb? – spytała.

Obiecał jej, że tak.

–Źle się czuję, zostawiając cię tutaj samą.

–Jeżeli faktycznie możesz komuś pomóc – odparła Adele – uważam, że powinieneś pojechać. Mam wszystko pod kontrolą.

Adele wróciła do pana Schillinga, a tymczasem Will poszedł na górę, żeby się przebrać. Siedząc na łóżku i sznurowując buty, wyjrzał przez okno, słońce przebierało przez chmury, złociste promienie kładły się na pobliskim stoku. Nie dokończył sznurowania i patrzył jeszcze kilka chwil, czując, jak serce w jego piersi przepelnia nieposkromiona energia. To nie jest sen o życiu, pomyślał, teoria, ani fotografia. To samo życie. I cokolwiek się wydarzy, mieliśmy swoją chwilę prywatności. Słońce i ja. Wreszcie chmury znów zasnuły niebo i złociste promienie zniknęły, a kiedy Will powrócił do sznurowania butów, stwierdził, że oczy ma pełne łez, wywołanych przez chwilę uniesienia, która została mu dana. Wizja w Berkeley, odwiedziny lisa, dotyk świetlistej nici Rosy: to wszystko było swego rodzaju przebudzeniem, jakby wybudził się ze śpiączki, głodny zmysłowych doznań, których nie była w stanie zaspokoić pojedyncza przemiana. Ile razy musiał się jeszcze budzić, aż osiągnie właściwy poziom świadomości? Tuzin? Sto? A może będzie tak w nieskończoność przeżywać ożywienie ducha i zrzucać wylinki kolejnych snów tylko po to, by stwierdzić, że znajduje się w następnym? Na dole pan Shilling mówił o kwiatkach, trumnach i cenach. Will nie przeszkadzał w negocjacjach, wiedział, że Adele doskonale da sobie radę, lecz zakradł się po cichu do gabinetu ojca, w poszukiwaniu atlasu. Wszystkie książki niewymiarowe ułożono na jednej półce, toteż nie musiał długo szukać. Pamiętał ten podniszczony atlas jeszcze z dzieciństwa, korzystał z niego, odrabiając prace domowe z geografii. Atlas był w dużej mierze nieaktualny. Pozmieniały się granice, nazwy geograficzne, niektóre miasta przestały istnieć. Ale Wyspy Zachodnie istniały nadal. Jeżeli nawet kiedyś toczono o nie wojny, traktaty pokojowe podpisano całe stulecia temu. Nie miały znaczenia strategicznego, były nieważne, ot kilka kolorowych kropek na papierowym morzu. Zadowolony ze znaleziska, wymknął się z gabinetu i zdjawszy z wieszaka przy drzwiach swoją skórzaną kurtkę, wyszedł z domu, podczas gdy pan Shilling zachwalał w samych superlatywach

zalety wyściełanej atlasem trumny.

–Nie ma się czego bać – powiedziała Rosa do Frannie, gdy ta wróciła z bandażami.

Instynkt mówił Frannie co innego. Duchota, nieruchome powietrze i emocje bólu Rosy, rozchodzące się falami dookoła, sprawiały wrażenie jakby nad kobietą wisiała niewidzialna chmura gradowa. Żadne słowa Rosy nie były w stanie przekonać Frannie, że w jej obecności może czuć się absolutnie bezpieczna. Strach sprawił, że uporała się bardzo szybko z tym, co miała zrobić. Poleciwszy Rosie, by przycisnęła palce do brzegów rany, aby ją zamknąć – nałożyła na ranę opatrunek z gazy, po czym przykleiła go do ciała Rosy długimi paskami plastra, choć była to, jak sama stwierdziła, drobna przesada. Kiedy jednak zakończyła swoje dzieło, przyjrzała mu się krytycznym wzrokiem. Rosa tylko położyła dłoń na ramieniu i wyszeptała jedno jedyne słowo, którego Frannie lękała się usłyszeć.

–Steep.

–O, Boże – rzekła Frannie, spoglądając na swoją pacjentkę. – Gdzie?

Rosa miała zamknięte oczy, jej gałki oczne poruszały się nerwowo pod opuszczonymi powiekami.

–Nie tutaj – odparła. – Jeszcze nie. Ale on wraca. Czuję to.

–W takim razie powinniśmy ruszać w drogę.

–Nie obawiaj się go – rzekła Rosa, otwierając oczy. – Po co ma czerpać z tego przyjemność? Nie daj mu tej satysfakcji.

–Ale ja się boję – odparła Frannie. Nagle poczuła suchość w ustach a jej serce zabiło żywszym rytmem.

–On jest taki żaloszny – dodała Rosa. – Zawsze był taki. Kiedyś dawno temu był naprawdę wspaniały. Szarmancki. Honorowy. Niekiedy nawet kochający. Zwykle jednak był małostkowy i nudny.

Pomimo że po tym, co usłyszała, coraz bardziej się jej spieszyło Frannie musiała zadać pytanie, które nasuwało się samo przez się.

–Skoro uważasz, że to była zwykła strata czasu, dlaczego pozostawałaś z nim tak długo?

–Ponieważ oddzielona od niego cierpię niewysłowione katusze – odparła Rosa. – Bycie z nim sprawiało mi mniej bólu niż porzucenie go.

Ta odpowiedź nie jest znów taka dziwna, pomyślała Frannie. Przez lata słyszała je z ust wielu kobiet.

–Tym razem od niego odejdziesz – oznajmiła. – Odejdziemy obie. I do diabła z nim.

–Będzie nas ścigał – odparła Rosa.

–Niech ściga, jeśli chce – ucięła Frannie, podchodząc do drzwi. – Przynajmniej na razie wolałabym uniknąć konfrontacji z Jacobem.

–Chcesz, żeby Will był tutaj.

–Tak, ja...

–Myślisz, że może cię ocalić?

–Może.

–Uwierz mi. Nie może. Nie uda mu się. Za bardzo zbliżył się do Jacoba. Bardziej niż przypuszcza.

Frannie odwróciła się od drzwi.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–To, że są teraz nawzajem częścią siebie. Nie może ocalić cię przed Jacobem, ponieważ nie jest w stanie uratować siebie.

To było dla Frannie zbyt trudne do przełknięcia, toteż odłożyła tę zagadkę na później. Zajmie się nią w wolnej chwili.

–Nie zostawię Willa, jeśli o to ci chodzi.

–Po prostu nie uzależniaj się od niego. To wszystko.

–Nie zamierzam.

Otworzyła drzwi, wypatrując Sherwooda. Siedział na schodach, odzierając patyk z kory. Nie chcąc go wołać – kto wie, gdzie mógł być teraz Steep? – ruszyła ku niemu. Kiedy podeszła bliżej, zauważyła, że brat ma zaczerwienione oczy.

–Co się stało?

–Rosa umiera, prawda? – spytał, ocierając wierzchem dłoni ciekący nos.

–Wylize się – zapewniła Frannie.

–Nieprawda – zaoponował Sherwood. – Czuję to w żołądku. Stracę ją.

–Nie mów tak.

Frannie wyjęła oskubany patyk z dłoni brata, po czym wzięła go za rękę i podźwignęła w górę, zmuszając, by wstał.

–Rosa uważa, że Steep jest w pobliżu.

–O, Boże.

Spojrzał w stronę ulicy. Frannie zrobiła to już wcześniej. Na ulicy nie było żywego ducha.

–Może powinniśmy wyjść od tyłu? – zaproponował Sherwood. – Przejdziemy przez ogród i furtkę i wyjdziemy na Cappers Lane.

–Niegłupi pomysł – pochwaliła Frannie, po czym oboje wrócili do holu, gdzie stała Rosa. – Wyjdziemy...

–Słyszałam – ucięła Rosa.

Sherwood tymczasem przeszedł już przez kuchnię i próbował otworzyć tylne drzwi. Bez powodzenia. Zacięły się. Zaklął siarczyście, kopnął w nie i spróbował ponownie. Być może kopniak poskutkował, a może to skutek rzuconych przez zęby inwektyw. Tak czy owak, przy wtórze zgrzytu zawiasów i skrzypu wypaczonej framugi drzwi otwarły się szeroko. Za nimi rozpościerała się ściana zieleni, krzewów, roślin i drzew, które ongiś tworzyły mały rajski ogród Donnellych, a które teraz zamieniły się w istną dżunglę. Frannie bez wahania rzuciła się w gąszcz, na łeb na szyję, strącając na ziemię chmurę leniwie opadających nasion. Rosa pospieszyła za nią, potykając się; miała przyśpieszony, urywany oddech.

–Widzę furtkę! – zawołała Frannie do Sherwooda.

Gdy była o zaledwie dziesięć kroków od niej, Rosa krzyknęła:

–Moje torby! Zostawiłam moje torby!

–Zapomnij o nich! – ucięła Frannie.

–Nie mogę – odparła Rosa, odwracając się w kierunku domu. – Jest w nich moje życie.

–Przyniosę je! – zawołał Sherwood, zadowolony, że może się na coś przydać, i pobiegł co sił w nogach w stronę domu. Frannie zawołała do brata, żeby się pospieszył.

Kiedy zniknął, zapadła chwila dziwnego spokoju. Dwie kobiety stojące w altance, otoczone przez słoneczniki i hortensje, pszczoły uwijające się wśród róż, kosy siedzące na gałęziach jaworów. Przez tę krótką chwilę czuły się bezpiecznie, nic nie mogło ich dosięgnąć w tej oazie spokoju.

–Zastanawiam się... – zaczęła Rosa.

Frannie spojrziała na nią. Rosa wpatrywała się w tarczę słońca.

–Nad czym?

–Czy nie byłoby lepiej po prostu położyć się tu i umrzeć? – Na jej wargach pojawił się uśmiech. – Lepiej nie wiedzieć, ani nawet nie zadawać takich pytań...

Zaczęła zrywać bandaż.

–Lepiej popłynąć... – powiedziała.

–Nie! – zawołała Frannie. – Na miłość boską! – Chwyła Rosę za rękę, zanim zdążyła zerwać opatrunek – Nie rób tego.

Rosa wciąż wpatrywała się w słońce.

–Nie? – spytała z niedowierzaniem.

–Nie – odparła Frannie.

Rosa wzruszyła ramionami, jakby ta myśl była jedynie chwilowym kaprysem, i nie próbowała ponownie zerwać z ciała założonego opatrunku.

–Obiecuj, że więcej tego nie zrobisz – zażądała Frannie.

Rosa pokiwała głową, jak posłuszne dziecko. Boże, cóż to za dziwna istota, pomyślała Frannie. W jednej chwili budząca grozę, posepna jak gradowa chmura, w następnej pełna rozgoryczenia kobieta mówiąca o bratniej więzi pomiędzy Jacobem a Willem, a w jeszcze jednej niewinna ptaszyna, potulna i uległa jak dziecko. Każda z nich była prawdziwą Rosą, oczywiście na swój sposób, a przynajmniej tak podejrzewała Frannie. Wszystkie stanowiły części kobiety, którą stała się przez lata, choć być może ta najprawdziwsza z nich kryła się pod bandażami i boleśnie pragnęła się stamtąd wydostać, popłynąć z prądem.

Dopiero teraz, gdy zażegnała ten drobny kaprys, Frannie przypomniała sobie o Sherwoodzie. Czemu się guzdrał? Co tam robił tak długo? Nakazując Rosie, by została na zewnątrz, wróciła do domu, nawołując Sherwooda. Bez odzewu z jego strony. Przemierzyła kuchnię i weszła do sieni. Frontowe drzwi wciąż były otwarte. Z parteru ani z piętra nie dochodziły żadne dźwięki. I wtedy go zobaczyła – wypadł z pokoju Rosy, z rozdziawionymi ustami i wybaluszonymi oczami, pomiędzy jego warg dobyteł się cichy jęk. Tuż za nim szedł Steep, jedną ręką trzymał Sherwooda za kark. Pojawili się tak szybko i niespodziewanie, że Frannie cofnęła się gwałtownie o dwa kroki.

–Puść go! – zawołała do Steepa.

Na dźwięk jej głosu beznamiętna maska na twarzy Steepa prysła i ku zdziwieniu Frannie mężczyzna spełnił jej polecenie. Jęk Sherwooda urwał się, a on sam runął do przodu. Nie był w stanie ustać na nogach. Ona także nie zdołała go podtrzymać. Upadli oboje.

Dopiero teraz Steep przemówił.

–To nie on – powiedział półgłosem.

Frannie spojrzała na niego, z wyrzutem, nawet teraz, przepełniona zgrozą i dezorientowana, pomyślała, że chyba źle go zapamiętała. Nie był diabłem w ludzkiej skórze, którego przypominała sobie za każdym razem, gdy wspominała jego dziennik i okoliczności, w jakich zwróciła go właścicielowi. Był piękny.

–Kim jesteście? – spytał, patrząc z góry na rodzeństwo.

–Willa tu nie ma – odparła Frannie. – Odszedł.

–O Jezu – jęknął Steep, wycofując się w głąb sieni.

Pokonał jakieś trzy, cztery jardy, kiedy rozległ się głos Rosy:

–Kolejna pomyłka?

Frannie nie odwróciła głowy. Skupiła swą uwagę na Sherwoodzie, który wciąż leżał na podłodze, z trudem chwytając powietrze. Wsunęła mu dłoń pod głowę i lekko uniosła.

–Jak się czujesz? – spytała.

Spojrzał na nią, jego usta poruszyły się, chciał odpowiedzieć, ale nie mógł. Oblizwał kilka razy wargi i spróbował ponownie. Bez powodzenia. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

–Już dobrze – zapewniła. – Nic ci nie będzie. Wyniesiemy cię na świeże powietrze.

Nawet teraz sądziła, że dzięki swojej interwencji uratowała mu życie. Na jego ciele nie dostrzegła śladów krwi ani żadnych innych oznak napaści. Musiał po prostu opuścić to przeklęte miejsce, znaleźć się wśród słoneczników, hortensji i róż. Steep ich nie powstrzyma. W ciemnym pokoju popełnił błąd, biorąc Sherwooda za Willa. Teraz, gdy uświadomił sobie pomyłkę, z pewnością puści ich wolno. Pozwoli im odejść.

–Chodź – powiedziała do Sherwooda – pomogę ci wstać.

Wsunęła mu ręce pod plecy, by go posadzić. On jednak wciąż leżał jak kłoda, wpatrując się w jej oblicze i raz po raz oblizując wargi.

–Sherwood – powiedziała i ponowiła próbę.

Tym razem poczuła dreszcz przenikający całe jego ciało, delikatny, łagodny, pozornie bez znaczenia. Lecz w tej samej chwili jej brat po prostu przestał oddychać.

–Sherwood! – Zaczęła nim potrząsać. – Nie rób mi tego.

Wysunęła dłonie spod jego ciała i rozchyliła mu usta, do sztucznego oddychania. Z tyłu za nią, Rosa coś powiedziała, ale nie dosłyszała słów i akurat w tym momencie było jej to obojętne. Tchnęła powietrze do płuc brata. Nacisnęła na mostek, by je stamtąd wypchnąć, po czym ponownie przyłożyła wargi do jego ust i zrobiła głęboki wydech. Powtórzyła tę czynność kilkakrotnie. Bez powodzenia. Żadnych oznak życia. Nawet najmniejszej iskiej. Nic. Zero. Płomyk jego życia zgasł jak zdmuchnięta świeca. Sherwood odszedł. Tak po prostu. W jednej chwili.

–To niemożliwe – rzekła, unosząc głowę. – Nie może tak być.

Poczuła pieczenie oczu, ale łzy jeszcze do nich nie napłynęły.

Widziała wyraźnie zabójcę Sherwooda, stojącego w holu, o kilka jardów od niej. Gdyby miała pistolet, bez wahania wpackowałaby Steepowi kulę prosto w serce.

–Ty draniu – wycedziła przez zęby. – Zabiłeś go. Zabiłeś.

Steep nie odpowiedział. Po prostu patrzył na Frannie tępym wzrokiem, co tylko jeszcze bardziej ją rozdrażniło. Przeszła ciało Sherwooda, powoli ruszyła w stronę Jacoba, lecz nagle Rosa chwyciła ją za ramię.

–Nie – powiedziała i pociągnęła ją w stronę kuchni.

–On go zabił...

–Ciebie też zabije – ucięła Rosa. – Oboje będziecie martwi i co w ten sposób osiągniesz? Co chcesz przez to udowodnić?

Frannie nie miała ochoty na kierowanie się z zdrowym rozsądkiem. Spróbowała wyrwać się z uścisku Rosy, ale ranna kobieta wciąż dysponowała sporą siłą i jej nie puściła. Nastąpiła chwila niezwyklej, niesamowitej ciszy, kiedy żadne z nich nawet nie drgnęło. A potem usłyszeli odgłos kroków na żwirowanej ścieżce i w chwilę potem w drzwiach pojawił się Will.

Steep odwrócił się leniwie w jego stronę.

–Nie podchódź! – zawołała Frannie do Willa. – On... – z trudem wykrztusiła te słowa – on zabił Sherwooda.

Will przeniósł wzrok z twarzy Steepa na ciało Sherwooda, po czym znów spojrział na Jacoba. Równocześnie sięgnął pod kurtkę i wyciągnął nóż.

–Wychodzimy – rzekła Rosa do Frannie. – Nic tu po nas. Zostawmy to... mężczyznom. Niech oni rozstrzygną to między sobą.

Frannie nie chciała odejść. Nie teraz, gdy Sherwood leżał na zakurzonej podłodze, nieruchomy, z otwartymi niewidzącymi oczami. Chciała zamknąć mu oczy i przenieść go w jakieś inne, wygodniejsze miejsce, a przynajmniej czymś go przykryć. W głębi duszy czuła jednak, że Rosa ma rację. Frannie nie powinna mieszać się do tego, co za chwilę rozegra się w korytarzu.

Nie miała do tego prawa. Will jasno dał jej do zrozumienia, że to, co łączy go ze Steepem, jest jego prywatną sprawą i zamierza sam uporać się z tym problemem, nawet gdyby miał przyplacić to życiem. Mimo wahania pozwoliła, by Rosa odprowadziła ją do tylnego wyjścia i na zewnątrz, gdzie otoczyła je soczysta, żyzna zieleń.

Naturalnie, pszczoły wciąż unosiły się brzęcząc nad barwnie ukwieconymi klombami. Naturalnie, kosy wciąż kontynuowały swe słodkie trele wśród gałęzi jaworów. I rzecz jasna, nic już nigdy nie będzie takie samo jak przed trzema minutami.

PIĘTNAŚCIE

To było bardzo proste. Sherwood, nieszczęsny Sherwood, leżał martwy na podłodze, a jego zabójca stał przed Willem, zaś tkwiący w dłoni Willa nóż aż dygotał z pragnienia, by dokonać swego dzieła. Nożowi było obojętne, że należał kiedyś do Steepa, chciał tylko, by go użyto. I to już, teraz, zaraz, natychmiast! Nieważne, że ciało, które rozplata, należało do mężczyzny, który traktował go jak relikwię. Liczyło się tylko to, by zrobił swoje, stał się lśniący i ociekający posoką, aby został uniesiony i opadł, zanurzając się w miękkie tkanki i śliską czerwień.

–Przyszedłeś, by mi go oddać? – zapytał Steep.

Will mruknął coś w odpowiedzi, jego umysł był zaprzątnięty reklamami zawierającymi walory noża. Jakże sprawnie i szybko mógłby pozbawić Steepa nosa oraz uszu, zmieniając jego śliczną buźkę w krwawą ranę! On jeszcze cię widzi? Wyłup mu oczy! Masz dość jego krzyków? Obetnij mu język!

To były straszne myśli, niepokojące myśli. Will wcale ich nie chciał, ale wciąż powracały.

Steep nagi, leżący na wznak. Ostrze otwierające jego klatkę piersiową, raz, dwa odsłaniające jego bijące serce! Chcesz jego sutki na pamiątkę? Proszę bardzo. Ciach, ciach! Ciach! A może coś bardziej osobistego? Żer dla lisa...

I zanim Will zdążył się zorientować, uniósł rękę, a tkwiący w niej nóż śmignął do przodu. Ostrze rozplatałoby twarz Steepa aż do kości, gdyby Jacob w ostatniej chwili nie pochwycił go i nie zacisnął dłoni. Nawet Steepa musiało to zabołec. Jego doskonale usta wykrzywił grymas bólu, a spomiędzy doskonałych zębów dobył się przeciągły syk, który przerodził się w krótkie westchnienie.

Will spróbował wyrwać nóż z jego uścisku. Bez wątpienia ostrze wyslizgnie się z dłoni Jacoba, rozcinając skórę i tkanki. Nóż był dostatecznie ostry, by tego dokonać. A jednak ani drgnął. Will znów szarpnął. Nadal nic. Pociągnął jeszcze mocniej, ale Steep trzymał nóż z całej siły.

Will przeniósł wzrok z noża na twarz swego wroga. Steep wstrzymywał oddech, wpatrując się z lekko rozchylonymi ustami w Willa, jakby miał zamiar coś powiedzieć.

I nagle wziął głęboki oddech. To było coś więcej niż zwykłe zaczerpnięcie tchu. W ten sposób Steep wziął na Willu odwet za to, co wydarzyło się na wzgórzu, trzy dekady temu, lecz tym razem to on sprawował władzę nad tą chwilą, rozsypując otaczający ich świat. Wszystko wokół nich zgasło w okamgnieniu, podłoga pod ich stopami jakby się zapadła, a Will i Steep, zdawałoby się, zawisnęli pośród bezmiaru atramentowej czerni, połączeni jedynie ostrzem noża.

–Chcę, żebyś dzielił to ze mną – rzekł półgłosem Steep.

Wyglądało to tak, jakby Jacob znalazł butelkę wybornego wina i zapraszał Willa, by napił się z nim, z tego samego pucharu. Mrok pod ich stopami zaczął gęstnieć, falujące tumany kurzu wirowały w szaleńczym tańcu. Wokół nich jednak wciąż rozciągała się ciemność. Nic tylko ciemność. Mrok dookoła i nad nimi. Żadnych chmur, gwiazd ani księżyca.

–Gdzie jesteśmy? – zapytał Will, spoglądając na Steepa.

Twarz Jacoba nie wyglądała tak trwale jak zazwyczaj. Gładka niegdyś skóra na czole i policzkach stała się ziarnista, zdawałoby się, że otaczający go mrok przesączał się przez oczy Steepa.

–Słyszysz mnie? – dopytywał się Will.

Jednakże twarz przed nim wciąż traciła spójność. Nagle, mimo że Will wiedział, że to tylko wizja, poczuł narastającą panikę. A jeżeli Steep pozostawi go tu, w tej pustce?

–Zostań – poprosił jak dziecko, które nie chciało pozostać samo w ciemnościach. – Proszę cię, zostań...

–Czego się boisz? – spytał Steep. Mrok niemal całkiem pochłonął jego twarz. – Możesz mi powiedzieć.

–Nie chcę się zgubić – odrzekł Will.

–Nie możesz na to nic poradzić – powiedział Steep. – Chyba że poznasz drogę do Boga. A to chyba będzie trudne. To zamieszanie piekielnie mąci umysł. Wsłuchaj się w ten hałas...

–Nie odchodź.

–Posłuchaj.

Will słyszał hałas, o którym mówił Steep. To nie był jeden, lecz tysiąc dźwięków, tysiąc tysięcy dźwięków dobiegających ze wszystkich stron naraz. Nie był ostry, słodki ani melodyjny. Był po prostu natarczywy. A jego źródło? Ono także zdawało się być wszędzie dookoła. Niezmacone fale białych, nierozpoznawalnych postaci pełzły w jego stronę. Nie, nie pełzły – rodziły się. Istoty rozprostowywały kończyny, uwalniając się od noworodków, które już od chwili swych narodzin rozkładały pozlepiane śluzem nogi, by można je było zapłodnić, i zanim jeszcze ich partnerzy stoczyli się z nich, rozsuwały nogi w inną stronę, by wydać na świat potomstwo. I tak to trwało – przyprawiający o mdłości bezmiar rodzących się stworzeń, których skomlenia, westchnienia i szloch tworzyły kakofonię dźwięków, zagłuszającą, jak twierdził Steep, nawet głos samego Boga. Will bez trudu zorientował się, czego był świadkiem. To właśnie widział Steep, patrząc na żyjące istoty. Nie ich piękno czy osobliwość, lecz niepojętą, nienasyconą zagłuszającą wszystko bezmyślną ruję. Ciała rodzące się jedne z drugich, hałas rodzący się z siebie nawzajem. Nietrudno to było zrozumieć, gdyż w najmroczniejszych czasach on także pojmował świat w ten właśnie sposób. Widział falę ludzi zbliżającą się do

ukochanych przezeń gatunków zwierząt, zbyt dzikich, lub zbyt roztropnych, by pójść na ugode z najeźdźcą – i pragnął, by plaga dotknęła łona wszystkich kobiet, aby nigdy już żadna z nich nie urodziła dziecka. Słyszał hałas i marzył o tym, jak łagodna dłoń śmierci ucisza wszystkie ludzkie głosy. A nieraz wcale nie musiałyby być łagodne. Zrozumiał to. Na Boga, oczywiście, że rozumiał.

–Jesteś tu jeszcze? – spytał Steepa.

–Tak!

–Zrób coś, żeby to się wreszcie skończyło.

–Właśnie to starałem się robić przez wszystkie minione lata – odparł Steep.

Wzbierająca fala życia zbliżała się do nich nieuchronnie, kolejne postacie rodziły się i wydawały na świat następne; wyjące, szlochające kształty wały się u stóp Willa.

–Dość – powiedział Will.

–Rozumiesz mój punkt widzenia?

–Tak...

–Głośniej!

–Tak! Rozumiem doskonale.

To stwierdzenie wystarczyło, by odegnąć koszmar. Fala zaczęła się cofać, a w chwilę potem zniknęła zupełnie, pozostawiając Willa samego pośród ciemności.

–Czy to nie wspanialsze miejsce? – zapytał Steep. – W takiej ciszy moglibyśmy łudzić się nadzieją, że dowiemy się, kim naprawdę jesteśmy. Nie ma tu miejsca na błędy czy niedoskonałości. Nie ma niczego, co mogłoby nas odciągnąć od Boga.

–Taki właśnie chcesz ujrzeć świat? – mruknął Will. – Pusty?

–Nie pusty. Oczyszczony.

–Żeby zacząć wszystko od nowa?

–O, nie.

–Ale tak będzie. Może uda ci się zmusić istoty, by ukryły się w trudno dostępnych miejscach, ale zawsze znajdzie się jakieś bajorko, które przeoczysz, jakiś kamień, pod który nie zajrzysz. I życie powróci. Może nie ludzkie życie. Może jakieś inne, lepsze. Ale tak czy owak, życie. Nie możesz uśmiercić całego świata, Jacobie.

–Zredukuję je do jednego płatka – odparł łagodnie Steep. Słyszając jego głos, Will wyobraził sobie, że Jacob się uśmiecha. – I będzie w nim Bóg. Po prostu tam będzie. Jasno i wyraźnie. A ja go zobaczę. Też jasno i wyraźnie. I zrozumiem, po co zostałem stworzony.

Jego twarz znowu zaczęła nabierać kształtów. Pojawiło się blade, wysokie czoło, głęboko osadzone posępne oczy, szlachetny nos i piękne zmysłowe usta.

–A jeżeli się mylisz – rzekł Will. – Jeżeli Bóg pragnął, żeby ten świat był pełen wszystkiego? Żeby było w nim dziesięć tysięcy odmian jaskrów? Milion gatunków żuków? Tak aby nie było wśród nich dwóch jednakowych? Przypuśćmy, że tak właśnie jest. Przypuśćmy, że jesteś Adwersarzem Boga, Jacobie. Przypuśćmy... że jesteś diabłem, tylko o tym nie wiesz?

–Wiedziałbym. Chociaż jeszcze go nie mogę ujrzeć, Bóg porusza się we mnie.

–No cóż – mruknął Will – we mnie też się porusza.

Słowa, których nigdy nie spodziewał się wymówić, były jak najbardziej prawdziwe. Bóg rzeczywiście był teraz w nim. Teraz i od zawsze. Steep miał w swoim wzroku srogość Boga Izraelitów, ale boskość tkwiąca w ciele Willa ani trochę jej nie ustępowała, choć Bóg przemówił do niego za pośrednictwem lisa i miłował życie bardziej, aniżeli zdaniem Willa można było ukochać życie. Ten Bóg przez lata ukazywał mu się pod różnymi postaciami. Jedne wydawały się żalodne i patetyczne, inne dumne i wymarłe. Ślepy niedźwiedź polarny na wysypisku śmieci, dwoje dzieci w malowanych maskach, Patrick pogrążony we śnie, Patrick uśmiechnięty, Patrick mówiący o miłości, kamelie na parapecie i niebo nad Afryką. Jego Bóg był wszędzie, w każdym z tych miejsc i ciał, zapraszając go, by ujrział duszę wszechrzeczy, całe piękno Dzieła Stworzenia.

Wyczuwając, że Will odzyskuje pewność siebie, Steep użył swego ostatniego atutu.

–Natchnąłem cię pragnieniem śmierci – powiedział. – To sprawia, że należysz do mnie. Jesteś mój. Może obaj tego pożałujemy, ale taka jest prawda.

Jak Will mógłby zaprzeczyć, skoro wciąż trzymał w dłoni ten nóż? Odrywając wzrok od twarzy Steepa, powiódł spojrzeniem w stronę zabójczej broni, poprzez bark Jacoba, jego ramię, aż do palców, które wciąż ścisnęły ostrze, i swojej własnej dłoni, zaciśniętej na rękojeści.

Puścił ją. To było proste. Zrobił to bez namysłu. Nie zada kolejnych ran. Konsekwencje tego, co zrobił, były natychmiastowe. Ciemność w jednej chwili zniknęła, ponownie ze wszystkich stron otoczył go świat materialny: korytarz, ciało, schody prowadzące na dach, przez który wpływały złote promienie słońca.

Przed nim zaś pojawił się Steep, patrzący na niego z osobliwym wyrazem twarzy. W pierwszej chwili Will zadygotał i rozwarł palce, na tyle, by ostrze wyslizgnęło się z jego uścisku. Nóż głęboko rozciął mu wnętrze dłoni, rana ociekała posoką. Nie była to jednak zwykła krew, lecz

ta sama substancja, która wypływała z ciała Rosy, ponieważ rana była mniejsza, nitki wydawały się cieńsze, ale rozciągały ten sam świetlisty blask; jej smużki owijały się leniwie wokół jego palców a Will, nie zastanawiając się ani chwili, wyciągnął rękę, by ich dotknąć. Nitki wyczuły go i wyszły mu na spotkanie, wysuwając się ku jego dłoni. Usłyszał, jak Steep mówi „nie” lecz już było za późno. Kontakt został nawiązany. Ponownie poczuł, jak materia wnika w niego i poprzez niego. Tym razem jednak był przygotowany na objawienie, które miało zostać mu dane, i się nie rozczarował. Oblicze przed nim zostało odsłonięte, a ciało rozszczepiło się, ukazując znajdującą się pod nią tajemnicę. Już to znał. To samo osobliwe piękno, które ujrzał, czające się w głębi Rosy, kryło się także w Steepie: postać Nilowca, coś co wydawało się być wyciosane z materii wieczności.

–Co wam obojgu uczynił Rukenau? – spytał półgłosem Will.

Ciało w ciele Steepa patrzyło na niego jak rozpaczliwe błagający o uwolnienie więzień.

–Powiedz mi – naciskał Will.

Istota nadal milczała. Mimo to chciała coś powiedzieć. Will dostrzegał to pragnienie w jej oczach; jak usilnie chciała opowiedzieć mu swoją historię. Nachylił się nieznacznie ku niej.

–Spróbuj.

Istota przechyliła głowę w jego stronę, tak że ich usta dzielił dystans zaledwie trzech lub czterech cali. Spomiędzy rozchylonych warg nie dobył się żaden dźwięk – zapewne nie mógł, jak podejrzewał Will. Więzień zbyt długo pozostawał niemy, aby móc tak szybko znów przemówić. Skoro jednak byli tak blisko, a ich spojrzenia się spotkały, stwierdził, że nie wolno mu tego zmarnować. Zbliżył się do istoty jeszcze o cal, a Nilowiec, wiedząc, co się zaraz stanie, uśmiechnął się. Wówczas Will delikatnie, z namaszczeniem pocałował tę istotę w usta.

Istota oddała pocałunek, przyciskając chłodne usta do jego warg. W następnej chwili, tak jak w przypadku Rosy, nitka światła wypaliła się na nim i zgasła. Woal natychmiast opadł i Will ujrzał, że twarz, którą całował, jest twarzą Steepa.

Jacob odsunął się od niego z okrzykiem odrazy i obrzydzenia, jakby przez krótką chwilę podzielał trans Willa, i dopiero teraz uświadomił sobie, do czego dopuściła tkwiąca w nim istota.

Zatoczył się na ścianę, mocno zaciskając palce na zranionej dłoni, aby już nie wypłynęła z niej ani jedna nitka zdradzieckiej substancji, a wierzchem drugiej otarł wilgotne usta. Równocześnie z jego twarzy zniknął dobrotliwy wyraz. Zniknął także grymas niepewności, powątpiewania i zaskoczenia. Posyłając Willowi wściekłe spojrzenie, schylił się i podniósł leżący pomiędzy nimi nóż. Will wiedział, że czas rozmów bezpowrotnie dobiegł końca, Steep nie będzie już dłużej perorował o Bogu czy przebaczeniu. Jedyne, czego pragnął, to zabić mężczyznę, który go właśnie pocałował.

Mimo że wiedział, że to, co zrobił, było jawnym wypowiedzeniem wojny, Will powoli

wycofywał się w stronę drzwi, nie odrywając wzroku od Steepa. Kiedy spotkają się ponownie, jeden z nich będzie musiał umrzeć, i najprawdopodobniej właśnie teraz miał okazję po raz ostatni przyjrzeć się mężczyźnie, którego apetyty tak bardzo pragnął podzielać. Pocałunek, jaki przed chwilą wymienili, był niczym dla mężczyzny niezłomnego i pewnego siebie. Steep jednak nigdy taki nie był. Jak wielu mężczyzn, których Will obserwował i pożądał, Jacob żył w strachu, że ktoś zdoła postrzec jego męskość taką jaka była, czyli jako morderczą fikcję, iluzję buty i arogancji, skrywającej dalece bardziej obcego ducha.

Nie mógł patrzeć dłużej, jeszcze pięć sekund i nóż znajdzie się w jego gardle. Odwrócił się i przestąpił próg, wypadł na zewnątrz i znalazł się na ulicy. Steep nie pospieszył za nim.

Zapewne będzie przez jakiś czas pogrążony w głębokiej zadumie, debatował Will, aby obudzić w sobie morderczą pasję i pozbierać myśli, zanim wyruszy w swój ostatni pościg.

Wiedział, że Steep będzie go ścigał. Will pocałował tkwiącego w nim ducha, a takiej zbrodni iluzja nie mogła wybaczyć. Przyjdzie po niego, z nożem w ręku. To było bardziej niż pewne.

CZEŚĆ
SZÓSTA,
W KTÓREJ
WCHODZI DO
DOMU ŚWIATA
JEDEN

Will wyszedł z domu Donnellych oszołomiony i pozostał w tym stanie przez kolejną godzinę z okładem. Wiedział, że wsiada do samochodu Frannie, że na tylnym siedzeniu na wpół siedzi, na wpół leży Rosa i że opuszczali wioskę, jakby ścigała ich gromada upadłych aniołów, ale na pytania Frannie odpowiadał monosylabami i oburzał się na podejmowane przez nią próby wyrwania go z głębokiej fugi. „Czy był ranny?” – spytała. Odparł, że nie. „A Steep, co ze Steepem?”. „Żyje” – odpowiedział. „Jest ranny?”. „Tak”. „Czy na tyle poważnie, że ta rana może go zabić?”. Odparł, że nie. „Szkoda”, skonstatowała.

Niedługo potem zatrzymali się przy stacji benzynowej, a Frannie wysiadła, by skorzystać z automatu telefonicznego. Nie zapytał, dokąd chciała zadzwonić. Mimo to i tak mu powiedziała, gdy wróciła do samochodu. Zatelefonowała na policję, aby powiadomić ich, gdzie mogą znaleźć ciało Sherwooda. Uznała, że głupio postąpiła, nie robiąc tego wcześniej. Może udałoby im się schwytać Steepa.

–Nigdy w życiu – zaoponował.

Dalej jechali w milczeniu. Krople deszczu zrosiły przednią szybę, rozbryzgując się po szkle. Opuścił boczną szybę do połowy i podmuch wiatru omiół mu twarz, przynosząc ze sobą strugi deszczu oraz jego metaliczny, kwaśny zapach. Chłód powoli zaczął wyzwalać go z transu. Odrętwienie w prawej ręce stopniowo mijało, a w jego miejsce, w jego palcach i wnętrzu dłoni zagnieżdżył się ból. W miarę upływu kolejnych minut zaczął zwracać uwagę na drogę, którą pokonywali, choć wcale nie była ona interesująca. Panował na niej niewielki ruch, od czasu do czasu z ołowianych chmur spływały strugi deszczu, po czym na niebie pojawiał się kawałek nieskalanego błękitu. To wszystko było tak zwyczajne, wręcz pospolite, że Will z przyjemnością uwolnił się od wspomnień wizji Steepa, odgrywając rolę baczego obserwatora pejzażu oraz zjawisk towarzyszących ich podróży. Po lewej pojawił się samochód z dwiema zakonnicami i dzieckiem, jakaś kobieta, prowadząc auto, równocześnie robiła sobie makijaż, Widzieli, jak burzono most, a nieco dalej na równoległym do szosy odcinku biegły tory kolejowe, po których jechał pociąg, w oknach można było dostrzec zapatrzone twarze mężczyzn i kobiet o szklistych oczach. Pojawił się drogowskaz skierowany na północ – do

Glasgow było stąd sto osiemdziesiąt mil. Nagle, ni stąd, ni zowąd, Frannie powiedziała:

–Przepraszam. Muszę stanąć.

Zatrzymała wóz na poboczu szosy, po czym wysiadła. Will z początku poruszył się tylko niespokojnie na siedzeniu, ale w końcu on także wysiadł z samochodu. Znow się rozpadało, a Willa rozboleła czaszka w miejscach, na które spadły krople deszczu.

–Źle się czujesz? – zapytał.

Po raz pierwszy, odkąd opuścili wioskę, odezwał się do niej pełnym zdaniem i kosztowało go to odrobinę wysiłku.

–Nie – odparła Frannie, ścierając krople deszczu z oczu.

–W takim razie, co się stało?

–Muszę wracać – powiedziała. – Nie mogę... – Pokręciła głową, najwyraźniej zła na samą siebie. – Nie powinnam go była zostawić. Co mi przyszło do głowy? Przecież to mój brat.

–On nie żyje – stwierdził Will. – Nie możesz mu pomóc.

Zakryła usta dłonią, wciąż kręciła głową. Po jej twarzy spływały zmieszane z deszczem łzy.

–Jeżeli chcesz wracać – rzekł Will – to wrócimy.

Frannie opuściła dłoń.

–Nie wiem czego chcę – powiedziała.

–Czego zatem mógłby chcieć Sherwood?

Frannie spojrzała tęsknym wzrokiem na żalosalną, zabandażowaną postać na tylnym siedzeniu.

–Zrobiłby co w jego mocy, żeby tylko Rosa była szczęśliwa. Bóg jeden wie dlaczego, ale tak właśnie by uczynił. – Spojrzała na Willa. – Czy wiesz, że przez większość mojego dorosłego życia robiłam wszystko z myślą o nim? – spytała. – Cóż, myślę, że mogę zrobić dla niego jeszcze to jedno. – Westchnęła. – Ale to już będzie ostatnia rzecz, którą dla niego zrobię.

Na kolejny etap podróży Will przejął od niej kierownicę.

–Dokąd jedziemy? – zapytał.

–Do Oban – odrzekła Frannie.

–A co tam jest?

–Przystań promowa. Odchodzą stamtąd promy na wyspy.

–Skąd to wiesz?

–Ponieważ pięć lub sześć lat temu omal sama nie wypłynęłam w taki rejs z grupą modlitewną z kościoła. Popłynęli na Ionę. Ja w ostatniej chwili odwołałam rezerwację.

–Ze względu na Sherwooda?

–Oczywiście. Nie chciał zostać sam, więc nie popłynęłam z nimi.

–W dalszym ciągu nie wiemy, na którą wyspę zmierzamy – zauważył Will. – Zabrałem z domu stary atlas. Czy zechciałybyś przejrzeć nazwy wysp wspólnie z Rosą, może któraś z nich wyda jej się znajoma. – Obejrzał się przez ramię. – Nie śpisz?

–Nigdy nie śpiam – odparła Rosa. Głos miała bardzo słaby.

–Jak się czujesz?

–Zmęczona.

–Bandaż trzyma? – zapytała Frannie.

–Jeszcze jak. Bez obawy, nie zamierzam jeszcze umierać. Wytrzymam, przynajmniej dopóki nie zobaczę się z Rukenauem.

–Gdzie jest ten atlas? – zapytała Frannie.

–Na podłodze, za tobą – odparł Will. Sięgnęła za siebie i podniosła atlas. – Czy wzięłaś pod uwagę, że ten Rukenau może już nie żyć? – zwrócił się do Rosy.

–Nie zamierzał umrzeć – odparła Rosa.

–Ale mimo wszystko mogło się tak stać.

–Wówczas odnajdę jego grób i położę się tam razem z nim – stwierdziła. – I może jego prochy przebaczą moim.

Frannie odnalazła w atlasie Wyspy Zachodnie i zaczęła wymieniać ich nazwy, począwszy od Hebrydów Zewnętrznych.

–Lewis, Harris, North Uist, South Uist, Barra, Benbecula, Arran. – Potem przyszła kolej na Wewnętrzne: – Mull, Coll, Tiree, Islay, Skye...

Rosa nie знаła żadnej z tych wysp. Frannie zwróciła uwagę, że było kilka wysepek zbyt małych, aby w atlasie podano ich nazwy, może tą poszukiwaną była właśnie któraś z nich. Gdy dotarli do Oban, kupili bardziej szczegółową mapę i powtórzyli próbę. Rosa nie miała w tym względzie większych nadziei. Stwierdziła, że nigdy nie była dobra w zapamiętywaniu nazw. To zawsze stanowiło domenę Steepa. Ona zazwyczaj zapamiętywała twarze, podczas gdy on...

–Nie mówmy o nim – rzuciła Frannie, a Rosa zamilkła.

Pojechali przez Lake District do granicy szkockiej i dalej, tego popołudnia minęli jeszcze stocznie Clydesbank, Loch Lomond i pokonawszy Luss i Crianlarich, dotarli do Tyndrum. Will na kilka mil przed Oban przeżył krótką chwilę przyjemnej zadumy, kiedy podmuch wiatru przyniósł ze sobą woń morza. Żył na tej planecie od czterdziestu lat z okładem, a mimo to chłodny, ostry zapach soli, wciąż poruszał go do żywego, przywodząc na myśl odległe wspomnienia z dzieciństwa i towarzyszące im marzenia. Naturalnie, dawno już urzeczywistnił te marzenia, widział więcej świata niż przeciętny mieszkaniec naszego globu. Mimo to obietnica morza i horyzontu wciąż chwytala go za serce, a tego wieczoru, kiedy ostatnie promienie słońca gasły na zachodzie, zrozumiał dlaczego tak jest. Te marzenia o doskonałych wyspach, gdzie można było napotkać doskonałą miłość, stanowiły maski czegoś znacznie bardziej monumentalnego i potężniejszego. Czyż można się zatem dziwić, że czuł, jak budzą się w nim nadzieje i ukryte marzenia, gdy długa droga wiodła ich nieodparcie ku miastu nad zatoką? Tu właśnie, po raz pierwszy odniósł wrażenie jakby świat fizyczny kroczył ramię w ramię z jego głębszym znaczeniem, a trawiąca go tęsknota przybrała konkretne kształty. Dotarli do hałaśliwej, zatłoczonej przystani, skąd odpłyną w dalszy rejs, mieli przed sobą cieśninę Hull, której nieprzychylne wody łączyły się z otwartym morzem. To, co znajdowało się dalej, poza granicami tej niewielkiej, skądinąd pospolitej zatoczki, było czymś więcej aniżeli wyspą. Była to możliwość, że jego duchowa wędrówka dobiegnie wreszcie końca, a dotarłszy do kresu swej drogi, być może dowie się, dlaczego Bóg zasiał w nim ziarno tęsknoty.

DWA

Sądził, że Oban będzie małym, zapyziałym portem promowym, lecz przeżył przyjemne zaskoczenie. Choć, nim dotarli na nabrzeże, zapadła już noc, zarówno miasteczko, jak i port tętniły życiem, ostatni turyści odwiedzali sklepy i robili zakupy, lub przesiadywali w kafejkach, spożywając posiłki i sącąc drinki, grupka młodzieży grała w piłkę na esplanadzie, niewielka flotylla łodzi rybackich wyruszyła z nocnym przypiływem w morze. Kiedy dotarli na przystań, prom właśnie odpływał, mieniając się istną feerią świateł. Will zaparkował samochód przy kasie biletowej, którą właśnie zamykano na noc. Dość posępna z wyglądu kobieta powiedziała mu, że następny prom odpływa o siódmej rano i że nie muszą rezerwować biletów.

–Może pan wejść na pokład już o szóstej – dodała.

–Z samochodem?

–Oczywiście, że może pan zabrać swoje auto. Ale poranny prom pływa nie tylko na wyspy Wewnętrzne. Dokąd konkretnie się pan wybiera?

Will odparł, że nie podjął jeszcze decyzji, kobieta dała mu ulotkę z rozkładem kursów promu i cennikiem, oraz niewielką broszurą opisującą wyspy odwiedzane przez promy firmy przewozowej Caledonium MacBrayne. Kobieta raz jeszcze powtórzyła, że pierwszy prom odpływa punktualnie o siódmej rano, i zamknęła okienko kasowe.

Will wrócił do samochodu z broszurami i informacją, lecz auto było puste. Zastał Frannie siedzącą na przystani, wpatrującą się w odpływające łodzie. Poinformowała go, że Rosa wybrała się na przechadzkę i chciała być sama.

–Dokąd poszła? – spytał Will.

Frannie wskazała na falochron biegnący w głąb cieśniny.

–Przypuszczam, że nie musimy się o nią martwić – rzekł Will. – Ona umie o siebie zadbać. Mimo to jednak...

Skierował wzrok na Frannie, gapiącą się na ciemne wody rozbryzgujące się o falochron, siedem lub osiem stóp niżej.

–Wydajesz się zamyślona – zauważył.

–Niespecjalnie – odparła bez większego przekonania, jakby nie chciała przyznać się do tego.

–Przestań Frannie, powiedz mi, co cię gryzie.

–No dobrze, myślałam o kazaniu.

–O kazaniu?

–Tak. Trzy niedziele temu w kościele św. Łukasza mieliśmy rekolekcje. Pastor był naprawdę niezły. Opowiadał o... jak on to powiedział – szerzeniu bożego dzieła w świeckim świecie. – Spojrzała na Willa. – Tak właśnie odbieram tę podróż. Jakbyśmy byli na pielgrzymce. Czy twoim zdaniem to brzmi głupio?

–Słyszałem głupsze rzeczy.

Uśmiechnęła się, wciąż patrząc w wodę.

–Nie przejmuję się tym – stwierdziła. – Zbyt długo postępowałam aż za rozsądnie. – Znów na niego spojrzała. Jej refleksyjny nastrój prysnął. – Wiesz co? Umieram z głodu.

–Może powinniśmy wynająć pokój w hotelu?

–Nie – odparła. – Jestem za tym, abyśmy zjedli i spędzili tę noc w samochodzie. O której odpływa prom?

–Punkt siódma – odrzekł Will. I wzruszając ramionami w fatalistycznym geście, dodał: – Naturalnie, nie wiemy, czy ten prom płynie tam, dokąd zmierzamy.

–Mimo to uważam, że powinniśmy popłynąć właśnie tym – rzekła Frannie. – Odpłynąć stąd i już nigdy nie wrócić.

–Czy nie jest tak, że pielgrzymi zawsze wracają do swoich domów?

–Tylko jeżeli mają dokąd wrócić.

Szli wzdłuż esplanady w poszukiwaniu baru lub restauracji. W pewnej chwili Frannie powiedziała:

–Zdaniem Rosy nie można ci ufać.

–A to dlaczego?

–Bo tobie zależy tylko na Steepie. A raczej na tobie samym i Steepie.

–Kiedy to powiedziała?

–Kiedy zakładałam jej opatrunek.

–Ona nie wie co mówi – uciął Will.

Szli przez kilka chwil w całkowitym milczeniu, minęli parę kochanków, którzy opierali się o falochron, szepcząc czułe słówka i wymieniając pocałunki.

–Powiedz mi, co się wydarzyło w domu? – spytała w końcu Frannie.

–To chyba oczywiste, nieprawdaż? Próbowałem go zabić.

–Ale nie zrobiłeś tego?

–Jak już mówiłem, próbowałem. I wtedy on chwycił za ostrze noża, a ja... przez mgnienie oka dostrzegłem to, czym jak sądzę był, zanim stał się Jacobem Steepem.

–I czym on był?

–Tym co namalował Simeon. Istotą, która zbudowała dla Rukenaua Domus Mundi. Nilowcem.

–Czy Rosa też nim jest?

–Któż to wie? Staram się poskładać w jedną całość elementy tej układanki. Co wiemy? Na pewno to, że Rukenau był kimś w rodzaju mistyka. I podejrzewam, że odnalazł te istoty...

–Nad Nilem?

–Tyle można wywnioskować z nazwy. Nie ma ona żadnego mistycznego znaczenia.

–I co potem? Uważasz, że naprawdę zbudowały dom?

–A ty nie?

–Niekoniecznie – odparła Frannie. – Kościół może być budowlą z kamieni lub cegieł, ale może równie dobrze być nim fragment pola lub brzegu rzeki. Może nim być każde miejsce, w którym zbierają się ludzie, by oddawać cześć Bogu.

–Nie ulegało wątpliwości, że dokładnie to sobie przemyślała, jej refleksje spodobały się Willowi.

–Zatem Domus Mundi – rzekł, usiłując ubrać swoje myśli w słowa – może być miejscem gdzie zbiera się świat?

–Szczerze mówiąc, w tym, co powiedziałaś, nie ma za wiele sensu, a przynajmniej ja tak to odbieram.

–Postaram się nie być tak cholernie dosłowny – odparł Will. – O co tu może chodzić? Na pewno nie o ściany i dach. Więc o co... – Znów szukał właściwych słów. I tym razem je odnalazł. Zacytował słowa Bethlynn: – Wymuszanie zmian i przywoływanie wizji.

–Sądysz, że Steep właśnie to stara się robić?

–Na swój pokrętny sposób, tak. Właśnie tak.

–Żal ci go?

–Czy to opowiedziała ci Rosa?

–Nie, staram się tylko zrozumieć zależności pomiędzy wami.

–On zamordował Sherwooda. To czyni go moim wrogiem. Gdybym jednak miał teraz w ręku nóż, a on stanąłby przede mną, nie mógłbym go zabić. Już nie.

–Spodziewałam się, że to powiesz – rzekła Frannie. Zatrzymała się i wskazała na bar po drugiej stronie ulicy. – Zobacz, sprzedają tu smażone ryby z frytkami.

–Zanim coś zamówimy, chciałbym dokończyć tę rozmowę. To ważne, żebyś rozumiała, że możesz mi zaufać.

–Ufam ci. Chyba. Tak mi się wydaje. Choć wolałabym, po tym co ci zrobił, żebyś jednak był w stanie go zabić. Nie jestem dobrą chrześcijanką, prawda? Sęk w tym, że jesteśmy tylko ludźmi. Zwykłymi ludźmi...

–Nieprawda.

–Ja taka jestem.

–Nie byłoby cię tutaj...

–Ja naprawdę taka jestem – powiedziała z naciskiem. – Jestem zwykłą kobietą, Will. Uwierz w to. Kiedy myślę o tym, co robię, wpadam w przerażenie. Nie jestem na to przygotowana. Boję się Boga i w ogóle. Co niedzielę chodzę do kościoła, słucham kazań i staram się być przez sześć kolejnych dni dobrą, prawą chrześcijanką. To cały zakres moich religijnych doświadczeń.

–Ale tym to właśnie jest – skonstatował Will. – Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Spojrzała w przestrzeń.

–Tak. Wiem, że to jest właśnie tym. Nie wiem tylko, czy jestem na to gotowa.

–Gdybyśmy byli gotowi, nie spotkałoby nas to. Myślę, że musimy odczuwać strach. Przynajmniej do pewnego stopnia. Musimy się bać. Mieć wrażenie, że to nas przerasta.

–O, Boże. – Westchnęła z przejęciem. – Dokładnie tak jest.

–Kiedy zaczęliśmy tę rozmowę, byłem głodny. Teraz po prostu konam z głodu.

–A więc możemy wreszcie coś zjeść?

–Możemy.

W barze stanęli przed trudnym, smakowitym wyborem. Świeży łupacz czy świeża scaithe. Frytki średnie czy duże? A może jeszcze chlebek z masłem? Sól? Ocet? I najważniejsze – czy mają zjeść to, co zamówili, na miejscu (pod ścianą ozdobioną lustrem z wizerunkiem namalowanej ryby stał rząd stolików z plastikowymi blatami), czy wziąć porcje na wynos i spałaszować je, siedząc przy falochronie? Wybrali pierwsze rozwiązanie, ze względów czysto praktycznych. Łatwiej było im przeglądać otrzymane broszury, siedząc przy stoliku. Zapomnieli o nich jednak na kolejny kwadrans, podczas którego byli zajęci jedzeniem.

Dopiero kiedy Will przestał odczuwać ssanie w żołądku, przejrzał „Przewodnik po wyspach”. Broszura nie była zbyt olśniewająca, jak można się tego spodziewać, w przesadnie ubarwiony sposób opisywała uroki Wysp Zachodnich, nieskałane plaże, niezrównane połowy ryb i zapierające dech w piersiach krajobrazy. W broszurze pojawiły się maleńkie szkice przedstawiające każdą z wysp, w kilku przypadkach zamieszczono też fotografie. Skye była „wyspą sławioną w pieśniach i legendach”, Bute chełpiło się „najwystawniejszą wiktoriańską rezydencją w całej Brytanii”, Tiree „której nazwa oznacza spichlerz, to istny raj dla ornitologów”.

–Coś ciekawego? – spytała Frannie.

–To co zwykle. Sieczka – odparł Will.

–Masz keczup w kącikach ust.

Will otarł wargi, po czym ponownie skupił się na broszurze. Co napisano w niej o Tiree, co przykuło jego uwagę? „Tiree to najbardziej żyzna z wysp wchodzących w skład Wewnętrznych Hebrydów, prawdziwy spichlerz”.

–Ale się najadłam – rzekła Frannie.

–Spójrz na to – powiedział Will, przesuwając broszurę w jej stronę.

–Na co konkretnie? – spytała.

–Na ten fragment o Tiree. – Przejrzała go pobieżnie. – Czy to ci coś mówi?

Pokręciła głową.

–Nie. Chyba nie. Raj dla ornitologów, białe piaszczyste plaże. Wszystko to brzmi bardzo zachęcająco ale...

–Spichlerz wysp! – wykrzyknął nagle Will, sięgając po broszurę. – To jest to! Spichlerz! – Wstał.

–Dokąd idziemy?

–Do samochodu. Potrzebujemy biografii Simeona!

Zanim skończyli posiłek, ulice wyludniły się; turyści wrócili do swoich hoteli, by udać się na spoczynek, a kochankowie zapewne kontynuowali swe miłosne karesy w zaciszu czterech ścian. Rosa także wróciła. Siedziała na chodniku oparta plecami o falochron.

–Czy mówi ci coś nazwa „Wyspa Tiree”? – zwrócił się do niej Will.

Pokręciła głową, po czym wyjęła z samochodu książkę i zaczęła ją kartkować.

–Pamiętam sporo odniesień dotyczących wyspy Rukenaua – powiedziała – ale nie przypominam sobie żadnych konkretów. – Podała książkę Willowi. Podszedł do falochronu i usiadł.

–Zapach was zdradza – zauważyła Rosa. – Jesteście zadowoleni. Jedliście coś?

–Tak – odparł. – Przynieść ci coś?

Pokręciła głową.

–Poszczę. Choć kusily mnie ryby, które akurat wyciągano z jednego z kutrów.

–Surowe? – spytała Frannie.

–Na surowo są najlepsze – wyjaśniła Rosa. – Steep zawsze był dobry w łapaniu ryb. Wchodził do rzeki i łechtał je tak, że popadały w stan odrętwienia...

–Mam! – krzyknął Will, wymachując książką. – To ten fragment!

Przytoczył go, dla wiadomości Frannie. W nadziei na ponowne zaskarwienie względów Rukenaua Simeon zamierzał namalować symboliczny obraz przedstawiający jego byłego mecenasa, stojącego wśród stert ziarna będącego „skarbem tej wyspy”.

–To jest to, czego szukaliśmy! Związek jest oczywisty! Wyspa Rukenaua to Tiree. Spójrz! To spichlerz, tak jak zamierzał go namalować Simeon.

–Marniutkie te twoje dowody – zauważyła Frannie.

Will nie dał się łatwo zbyć.

–To jest to miejsce. Wiem, że to ta wyspa. – Podał Frannie monografię Simeona i wyjął z kieszeni ulotkę z godzinami kursowania promów. – Ten jutrzejszy poranny płynie do Coli i Tiree, przez Tobermore. – Uśmiechnął się. – Nareszcie – mruknął. Mamy szczęście.

–Czy należy założyć, że się tak cieszysz, bo wiesz już dokąd się udajemy? – spytała Rosa.

–Chyba tak – odparł Will. Przykucnął obok niej.

–Może wrócisz teraz do auta? Siedzenie tu na pewno nie wyjdzie ci na zdrowie.

–Zakładam, że wiesz, iż pewien dobry Samarytanin chciał dać mi parę groszy na nocleg – powiedziała.

–A ty je przyjęłaś – odparł Will.

–Jak ty mnie dobrze znasz – rzekła drwiąco Rosa i otworzywszy zaciśniętą pięść, pokazała mu garść monet.

Rosa dała się w końcu przekonać i wróciła do samochodu, gdzie we trójkę przesiedzieli do rana. Will wyspał się bardziej, niż się spodziewał, zgięty wół na siedzeniu kierowcy. Obudził się tylko raz, z pełnym pęcherzem i najciszej, jak umiał, wyszedł z auta, aby sobie ulżyć. Było piętnaście po czwartej i do przystani właśnie przybił prom „Claymore”, którym mieli rano popłynąć na wyspy. Na pokładzie i na przystani praca wrzała w najlepsze, trwał załadunek towarów i przygotowywanie jednostki do porannego rejsu. Jeżeli nie liczyć ruchu na nabrzeżu miasteczko było pogrążone w błogiej ciszy, na esplanadzie nie zauważył żywej duszy. Will odlał się do rynsztoka, obserwowany jedynie przez trzy lub cztery mewy siedzące na pobliskim falochronie. Niedługo powinny wrócić łodzie rybackie, skonstatował, ptaki czekały na śniadanie, konkretnie na resztki ryb przywiezionych przez kutry. Przed powrotem do auta zapalił papierosa i przeprosiwszy mewy, usiadł na falochronie, wbijając wzrok w czarny bezmiar wód poza obrębem świateł przystani. Czuł dziwne, bliżej niewyjaśnione zadowolenie. Było mu dobrze. Zimna woń wody, gorący gryzący dym w płucach. Marynarze szykujący prom do porannego rejsu – to wszystko sprawiało, że czuł się naprawdę szczęśliwy. Tak samo czuła się tkwiąca w nim istota, kiedy tak siedział, obserwując wodę – duch lisa, wyostrzający jego zmysły i doradzający mu bez słów: „Ciesz się tym, stary. Raduj się fajką, ciszą i jedwabistą wodą. Ciesz się tym nie dlatego, że są to ulotne przyjemności, ale dlatego że w ogóle są”.

Dopalił papierosa, wrócił do auta i zajął miejsce na fotelu, nie budząc Frannie, która przez sen opierała się policzkiem o szybę, a jej oddech regularnie spowijał chłodne szkło delikatną mgiełką. Rosa także sprawiała wrażenie pogrążonej w głębokim śnie, choć Will nie był pewien, czy nie udawała, jego podejrzenia potwierdziły się, gdy, balansując na granicy snu i jawy, usłyszał z tyłu, za sobą, jej cichy szept. Nie potrafił zrozumieć, co mówiła, i był za bardzo zmęczony, by się nad tym zastanawiać, kiedy jednak zapadł w drzemkę, przez poprzedzającą ją krótką chwilę wyostrzonej świadomości wychwycił wypowiedane przez nią słowa. A raczej imiona. Rosa recytowała całą litanie imion. Sposób, w jaki je wypowiadała, niemal nabożna cześć i słodycz słów, oraz westchnienia i wtrącone od czasu do czasu „och”, „moje kochane”, „moje maleństwo”, pozwoliły mu przypuszczać, że nie chodziło o osoby, które spotkała w swoim długim życiu. To były imiona jej dzieci. Z tą myślą pogrążył się we śnie. Zrozumiał, że Rosa w ciemnościach nocy niecierpliwie wyczekiwała wschodu słońca, recytując imiona swoich

zmarłych dzieci; powtarzała je jak pozbawioną tekstu modlitwę, listę bóstw, do których ją kierowała.

TRZY

Gdy chodziło o zabijanie par rozmaitych zwierząt, Steep zwykle zaczynał swoje dzieło od zlikwidowania samca. Gdy miał do czynienia z ostatnimi dwoma przedstawicielami danego gatunku – co stanowiło trzon jego wiekopomnej i chwalebnej pracy – usunięcie przedstawicieli obu płci stawało się kwestią czysto akademicką. Musiał jedynie zabić jedno z dwojga stworzeń, by upewnić się, że ich gatunek przeminie na zawsze. Lubił wszakże, żeby wszystko było dopięte na ostatni guzik, toteż zabijał zwykle oba stworzenia, począwszy od samca. Istniały po temu ważne, praktyczne powody. U większości gatunków samiec był agresywniejszy i dla swego własnego bezpieczeństwa Steep wołał uśmiercić najpierw męża, potem dopiero żonę. Zauważył przy tym, że samice częściej i boleśniej wyrażały smutek po stracie partnera, a gdy pogrążały się w rozpacz, łatwiej je było uśmiercić. Samiec natomiast dla odmiany pałał zwykle żądzą zemsty. Dwie poważniejsze i jedyne rany, jakie odniósł przez te wszystkie lata, otrzymał właśnie od samców, których nieroztropnie pozostawił przy życiu, decydując się najpierw na usunięcie ich partnerek, i które zaatakowały go z iście samobójczą furią. Upłynęło prawie sto pięćdziesiąt lat odkąd na stoku St. Kilda's zadbał, by alka olbrzymia stała się wymarłym gatunkiem, i wciąż miał na przedramieniu bliznę, pamiątkę po dziobie samca.

A kiedy nadchodziły chłodne dni, czuł ból w udzie, po kopnięciu rozjuszonego blauboka, który zaatakował go, widząc, jak jego partnerka na jego oczach wykrwawia się i kona.

Były to dwie nader bolesne lekcje. Jednak boleśniejsze niż blizny czy źle zrosnięte kości było wspomnienie samców, którym wskutek popełnionych przezeń błędów udało się go przechytrzyć, zmylić i uciec. Zdarzało się to nader rzadko, gdy jednak już nastąpiło, Steep podejmował heroiczne próby dopadnięcia uciekiniera, doprowadzając Rosę do szaleństwa swoim uporem, zaciętością i nieustępliwością. „A niech sobie ucieka” – powtarzała wtedy, jak na wieczną pragmatystkę przystało – „niech zdechnie z tęsknoty i osamotnienia”.

Ale to właśnie było dla niego najgorsze. I głównie to nie dawało mu spokoju. Myśl o samotnym zwierzęciu blakającym się gdzieś na wolności, krążącym po swoim terytorium, szukającym innych przedstawicieli swojego gatunku i powracającym w końcu do miejsca, gdzie zginęła jego wybranka, poszukującym po niej jakichkolwiek, choćby najdrobniejszych śladów – woni, pióra, odłamka kości – była dlań nieomal nie do zniesienia. Kilka razy właśnie w takich okolicznościach udało mu się dopaść zbiega – czekał, aż uciekinier powróci w feralne miejsce, i uśmiercał go tam, wciąż pogrążonego w rozpacz po stracie partnerki. Były jednak zwierzęta, które wymknęły mu się na zawsze, których ostatnie godziny stanowiły dla niego zagadkę, ponieważ to nie on decydował o ich losie, i właśnie te stanowiły dla niego największe zmartwienie. Później jeszcze całymi miesiącami śnił o nich i je sobie wyobrażał. Widział je oczyma duszy, blakające się po lasach, coraz bardziej dzikie, coraz bardziej wynędzniałe. A kiedy przez jeden lub dwa sezony nie zdołały napotkać samic ze swego gatunku, stworzenia te traciły wolę życia i wychudłe, zapchłone, z zapadniętymi bokami stawały się duchami sawanny, puszczy lub lodowych pustkowi, aż w końcu do reszty porzucały wszelką nadzieję i umierały.

Zawsze wiedział, kiedy następował ten chlubny moment, a w każdym razie tak mu się wydawało. Śmierć zwierzęcia wyczuwał w trzewiach, niczym proces fizjologiczny równie realny jak trawienie. Kolejna poźarta istota trafiała do zakamarków jego przepastnej pamięci (i na karty dziennika), aby nigdy więcej nie pojawić się na tym świecie. „Tego już więcej nie będzie. Ani tego... Ani tego...”.

Wędrując na północ, nie przypadkiem rozmyślał o zwierzętach samotnikach. Czuł się teraz, jakby był jednym z nich – Jedną z tych żałosnych, pozbawionych nadziei istot, powracającą na tereny przodków. W jego przypadku rzecz jasna nie wchodziło w grę wypatrywanie pamiątek po utraczonej partnerce. Rosa wciąż żyła (bądź co bądź nadal podążał jej śladem) i z całą pewnością nie zamierzał ronić łez nad truchłem, kiedy pani McGee wreszcie skona. A jednak, mimo nieprzepartego pragnienia pozbycia się jej, na samą myśl o tym ogarniało go uczucie dojmującej samotności.

Noc miał fatalną. Samochód, który ukradł w Burnt Yarley, zepsuł się parę mil od Glasgow i Steep zostawił go przy drodze, zamierzając zwinąć mniej zawodną brykę na najbliższej stacji benzynowej. Czekala go niezła przeprawa, dwie godziny marszu wzdłuż szosy, w strugach lodowatego deszczu. Następnym razem muszę ukraść japońskie auto, skonstatował. Lubił japońskie wozy, również Rosa podzielała w tym względzie jego entuzjazm. Ona uwielbiała ich subtelność i fortele, on ich samochody i okrucieństwo. Podziwiał także ich obojętność na krytykę ze strony hipokrytów. Mieli ochotę na zupę z płetwy rekina? Wystarczyło go złowić i odciąć żądany fragment, a resztę truchła wrzucali do morza. Potrzebowali tranu do lamp? Sprawa była prosta – natychmiast wyruszano na polowanie na wieloryby, a obrońcy praw waleni mogli do woli wyplakiwać się komuś w mankiet.

Na najbliższej stacji paliw i obsługi pojazdów znalazł nowiutkie, lśniące Mitsubishi i zadowolony z nabytku, wyruszył w drogę. Mimo to melancholijny nastrój wciąż go nie opuszczał, nadal powracał myślami do wspomnień o zabójstwie. Istniał całkiem prosty powód, dlaczego jego umysł krążył wokół tych posępnych obrazów – to pomagało utrzymać na dystans o wiele bardziej mroczne wspomnienie. Ten szczęśliwy obraz nie chciał ukryć się w zakamarkach jego czaszki. Mimo że wypełniał umysł krwią i rozpaczą, myśl uparcie powracała, pojawiała się raz po raz...

Will go pocałował. Boże w Niebiesiech. Pedał go pocałował, a on pozostał przy życiu, by móc o tym opowiadać. Jak to możliwe? Otóż to – jak? I czemu, mimo że do bólu ocierał potem usta wierzchem dłoni, z każdym kolejnym muśnięciem coraz lepiej i bardziej szczegółowo pamiętał ten czuły pocałunek? Czyżby jakaś jego wstydliva część czerpała rozkosz z tego zdarzenia?

Nie, nie, przecież nie miał w sobie takiej części. Inni, słabi mężczyźni być może tak, ale nie on. Will po prostu go zaskoczył, Jacob spodziewał się z jego strony wybuchu przemocy, a nie próby czułego zbliżenia. Mężczyzna prymitywniejszy od niego mógłby odpowiedzieć za taki pocałunek splunięciem mu w twarz. Lecz dla kogoś tak czystego jak On, nie trawionego dwuznacznością czy wątpliwościami, pocałunek był gorszy niż najsilniejszy cios. Czyż można mu się dziwić, że wciąż go odczuwał? I nie wątpił, że będzie tak nadal, dopóki nie rozgniecie

warg swego wroga pomiędzy palcami, odciąższy je uprzednio od jego twarzy.

O szóstej rano, kiedy dotarł do Dumbarton, niebo na wschodzie zaczęło się właśnie przejaśniać. Wstawał nowy dzień, zaczynał się kolejny etap trywialnego kieratu prymitywnej, ludzkiej trzódki. Przejeżdżając kolejnymi uliczkami, obserwował przebieg typowych, porannych rytuałów. Rozsuwano zasłony, by obudzić śpiące dzieci, zabierano pozostawione na progu mleko, by dolać je do porannej herbaty, kilka wciąż jeszcze na wpół zaspanych osób maszerowało wolnym krokiem na przystanek autobusowy lub dworzec kolejowy. Nie mieli pojęcia, dokąd zmierza ich świat, a gdyby nawet ktoś im to powiedział, nie zrozumieliby tego ani niespecjalnie się tym przejęli. Było im to po prostu obojętne. Jedyne, czego pragnęli, to przeżyć kolejny dzień i wieczorem po pracy wrócić bezpiecznie do domu.

Gdy Jacob ich tak obserwował, jego nastrój nareszcie się poprawił. Steep uśmiechnął się pod nosem. Ludzie byli tacy głupi. Rozbawiali go do łez. Zresztą, czyż mogło być inaczej? Gdy przejechał przez Helensburgh i Garelochhead, na wąskiej drodze zrobiło się dość tłoczno, na tym odcinku było znacznie więcej aut i ten stan się nie zmienił, ale w końcu Jacob dotarł do miasta, które, jak stwierdził, jakiś czas temu było jego punktem docelowym: do Obanu. Była za piętnaście ósma. Prom, jak mu powiedziano, wypłynął w rejs o czasie, zgodnie z rozkładem.

CZTERY

Will, Frannie i Rosa weszli na pokład „Claymore'a" o wpół do siódmej. Choć ranek był chłodny, z ulgą opuścili wnętrze samochodu, gdzie zaczęło im się robić duszno, i wyszli na świeże powietrze. Dzień był piękny, na bezchmurnym niebie jasno świeciło słońce.

–Nie można se wyobrazić lepszego dnia, coby wypłynąć w morze – powiedział marynarz, który sztauował ich samochód. – Morze przez całą drogę na wyspy będzie gładkie jak stół.

Frannie i Will poszli do promowych toalet, by oplukać zaspane twarze. Toalety były skromne, ale oboje choć trochę się odświeżyli, a po wyjściu na pokład odnaleźli Rosę siedzącą na dziobie „Claymore'a". Z ich trójki to właśnie ona sprawiała wrażenie najmniej zmęczonej podróżą. Jej blade oblicze tryskało świeżością, a błysk w oczach zdawał się przeczyć temu, że całkiem niedawno odniosła poważną ranę kłutą.

–Posiedzę tu, to mi dobrze zrobi – rzekła, niczym staruszka, która chce sprawić jak najmniej kłopotów towarzyszom podróży. – A może tymczasem wy zjecie śniadanie?

Will zaproponował, że coś jej przyniesie, ale odmówiła, nie potrzebowała niczego. Zostawili ją samą i po krótkiej wycieczce na rufę, by popatrzeć na oddalającą się zatokę – w promieniach słońca miasteczko wyglądało jak z pocztówki – zeszli do mesy, by spałaszować śniadanie składające się z owsianki, tostów i herbaty.

–Jeżeli jeszcze kiedyś wrócę do San Francisco, nikt mnie nie pozna – poskarżył się Will. – Masło, śmietanka, owsianka... czuję, jak od samego patrzenia zamykają mi się arterie.

–A co faceci robią w San Francisco, gdy chcą się zabawić?

–Nie pytaj.

–Nie. Chcę wiedzieć, może kiedyś przyjadę do ciebie w odwiedziny.

–Naprawdę?

–Jeżeli tylko zechcesz. Dajmy na to, na Boże Narodzenie – odparła. – Czy w święta jest tam ciepło?

–Ciepłej niż tutaj. Rzecz jasna często pada. I są mgły.

–Ale lubisz to miasto?

–Kiedyś uważałem je za Raj na Ziemi – odparł. – Naturalnie, bardzo się zmieniło, odkąd przyjechałem tam po raz pierwszy.

–Opowiedz mi – poprosiła.

To go zdeprymowało.

–Nie wiem od czego miałbym zacząć.

–Opowiedz mi o swoich przyjaciółach, o swoich... kochankach? – poprosiła niepewnie, jakby nie wiedziała, czy to odpowiednio dobrane słowa. – To tak bardzo różni się od wszystkiego z czym miałam styczność.

I tak oto przy herbacie i tostach opowiedział jej o swoich perypetiach w Mieście Chłopców. Początkowo trochę się wahał, ale po krótkim wstępie opowiedział jej o domu przy Sanchez Street i swoich znajomych. O Adriannie, rzecz jasna (napomknął też o Corneliusie), Patricku, Rafaelu, Drew, Jacku Fisherze, nie zapomniał nawet o Bethlynn.

–Wspomniałeś na początku, że wszystko się zmieniło – przypomniała Frannie.

–To prawda. Sporo ludzi, których poznałem na początku, już nie żyje. Mężczyźni w moim wieku, niekiedy nawet młodszy. Było wiele pogrzebów. Wielu mężczyzn okryło się żałobą. To zmienia punkt widzenia. Człowiek zaczyna się zastanawiać. Może to wszystko nie jest warte funta kłaków.

–Sam w to nie wierzysz – stwierdziła Frannie.

–Nie wiem w co wierzę – odparł. – Nie mam w sobie tej samej wiary co ty.

–To musi być trudne, kiedy otacza cię tak wiele śmierci. To jak wymieranie gatunku.

–Nigdzie się nie wybieramy – rzekł Will z niezachwianą pewnością w głosie. – Ponieważ znikąd nie przychodzimy. Jesteśmy spontanicznymi zjawiskami. Pojawiamy się w wielu rodzinach zniecka. I wciąż będziemy się pojawiać. Nawet gdyby plaga zabiła wszystkich gejów na całej planecie, nie można byłoby tego nazwać wymieraniem gatunku, ponieważ w każdej chwili, gdzieś tam na świecie rodzi się dziecko – homoseksualista. To jest magia. – Uśmiechnął się, wypowiadając te słowa. – Właśnie tak. To magia.

–Obawiam się, że trochę się pogubiłam.

–Tak się tylko bawię. – Wybuchnął śmiechem.

–Co cię tak śmieszy?

–To – powiedział, powoli rozkładając ręce, w stronę Frannie i reszty mesy. – My, siedzący i rozmawiający na takie tematy. Pedaly i owsianka. Świetny temat. Idealny do śniadania. Rosa, siedząca tam, na górze, ukrywająca swoje prawdziwe ja. No i ja, tu na dole, rozprawiający o sobie, o tym kim i czym jestem. – Pochylił się. – Czy to nie wydaje ci się zabawne?

Spojrzała na niego tępym wzrokiem.

–Nie. Wybacz. Jakoś mnie to nie bawi.

Ich rozmowę przerwał kelner, mężczyzna o rumianym obliczu i tak silnym akcencie, że Will w pierwszej chwili w ogóle nie był go w stanie zrozumieć. Zapytał, czy życzą sobie czegoś jeszcze. Odparli, że nie. Pozostawiwszy go, by posprzątał ze stołu, wyszli na pokład. W ciągu ostatniej godziny, którą spędzili w mesie, wiatr znacznie przybrał na sile, szaro-białe wody zatoki, choć jeszcze nie wzburzone, pokryły się tu i ówdzie pióropuszcami piany. Po lewej stronie mieli wzgórze wyspy Muli, mieniające się fiołkowo od wrzosów, po prawej zaś brzegi Szkocji, znacznie bardziej zalesione – to tu, to tam było widać, zwłaszcza w wyższych partiach stoków, ludzkie siedziby, jedne skromne, inne bardzo wystawne. Promowi wciąż towarzyszyło stadko skrzeczących mew, raz po raz pikujących w dół, by pozbierać z wody wyrzucone z kuchni okrętowej odpadki. Kiedy ptaki zaspokoily głód, przyfrunęły na prom i przycupnęły na relingach i tratwach ratunkowych. W milczeniu obserwowały pasażerów.

–Mają nieskomplikowane życie – zauważyła Frannie, gdy kolejna, najedzona mewa przysiadła obok swoich pobratymców. – Złapią poranny prom i śniadanie mają z głowy, a powrotnym zabierają się do domu.

–Mewy to bardzo praktyczne ptaszyska – przyznał Will. – Spójrz na tamtą. Co ona je?

–Zbryloną owsiankę.

–No tak. Faktycznie. Spójrz tylko!

Frannie nie obserwowała mewy, lecz Willa.

–Ten twój wyraz twarzy... – powiedziała.

–Jaki?

–Sądziłam, że znudziło cię obserwowanie zwierząt.

–Bynajmniej.

–Czy zawsze taki byłeś? Chyba nie.

–Nie. Zawdzięczam to Steepowi. Oczywiście on miał w tym ukryty cel. Najpierw coś obserwujesz, a potem zabijasz.

–A następnie opisujesz to w dzienniku – dodała Frannie. – I odtąd jest schludne i czyste.

–I ciche.

–Czy cisza jest ważna?

–O, tak. Jego zdaniem, gdy jest cicho, można lepiej usłyszeć głos Boga.

Frannie zamyśliła się na chwilę.

–Czy twoim zdaniem on już urodził się szalony?

Znów zapadła cisza. Wreszcie Will odparł:

–Nie sądzę, aby w ogóle się urodził.

Prom zawiął do Tobermory, miejsca pierwszego i ostatniego postoju, zanim opuszczą cieśninę i wyjdą na otwarte morze. Obserwowali dokowanie z dziobu promu, gdzie wciąż siedziała Rosa. Tobermory było niewielką osadą, ot przystań i kilka domów, prom cumował na przystani zaledwie dwadzieścia minut (dostatecznie długo, by z pokładu zjechały trzy auta i na ląd zeszło kilkunastu pasażerów). Gdy pozostawili za sobą północny kraniec Muli, grzbiety fal pokryły się pióropuszcami białej piany.

–Mam nadzieję, że gorzej nie będzie – zauważyła Frannie – bo nabawię się choroby morskiej.

–Znajdujemy się na zdradliwych wodach – stwierdziła Rosa. To były pierwsze słowa, jakie wypowiedziała, odkąd Will i Frannie przyłączyli się do niej. – Cieśniny między Coli i Tiree z tego słyną.

–Skąd wiesz?

–Rozmawiałam z tym oto młodzieńcem, Hamishem – odrzekła, wskazując głową w stronę marynarza opierającego się o reling, o dwadzieścia jardów od miejsca gdzie siedziała Rosa.

–Toż to jeszcze gołowąs – mruknął Will.

–Jesteś zazdrosny? – Rosa zachichotała. – Bez obaw. Nie zamierzam zachowywać się wobec niego lubieżnie. Nie w moim obecnym stanie. Choć Bogiem a prawdą przyznam, że jest całkiem przystojny, nieprawdaż?

–Jak dla mnie, trochę za młody.

–Nie uznaję czegoś takiego – ucięła Rosa. – Jeżeli mu staje, to znaczy, że jest dostatecznie dojrzały. To tyle na ten temat.

Twarz Frannie poczerwieniała z wściekłości i zakłopotania.

–Jesteś odrażająca, zdajesz sobie z tego sprawę? – rzuciła i oddaliła się o kilka kroków, by stanąć przy relingu.

Will podszedł, by ją ułagodzić, lecz bez powodzenia.

–Właśnie tak pochwyciła w swoje szpony Sherwooda – rzekła. – Zawsze to podejrzewałam. I proszę, jeszcze ma czelność się tym chlubić.

–Nie wspomniała o Sherwoodzie.

–Nie musiała. Boże, jest ohydna. Siedzi tam i ślini się do jakiegoś piętnastolatka. Nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

–Wytrzymaj jeszcze kilka godzin – poprosił Will. – Jesteśmy na nią skazani, dopóki nie odnajdziemy Rukenaua.

–Ona nie wie, dokąd zmierzamy, podobnie jak my sami – stwierdziła Frannie.

Will nie przyznał jej racji, choć kusilo go, by to zrobić. Miał nadzieję, że stan Rosy do tej pory nieco się poprawi, że rejs w jakiś sposób ożywi w niej uspięne wspomnienia, które przygotowują ich na dalszy etap podróży. Jeżeli jednak coś czuła, skutecznie to ukrywała.

–Może już czas, żebyśmy odbyli z nią poważną rozmowę – zastanawiał się Will.

–Ona jest bez serca – powiedziała Frannie. – To tylko plugawa, stara... zresztą nieważne. Nie obchodzi mnie, kim ona jest. – Spojrzała na niego. – Idź, porozmawiaj z nią. Nie uzyskasz żadnej odpowiedzi. Tylko niech się nie zbliża do mnie.

To rzekłszy, ruszyła w stronę dziobu. Will miał chęć pójść za nią, by w dalszym ciągu próbować ją uspokoić, ale czy to by coś dało? Wcale się nie dziwił, że Rosa ją mierzyła. Jego samego nie przerażało to, kim i czym była Rosa, pomimo tego, że to właśnie ona pozbawiła życia Hugona. Zastanawiał się nad tym, wracając na dziób. Czyżby jakaś skaza w jego naturze powstrzymywała go przed odczuwaniem podobnej odrazy, jak Frannie?

Przystanął gwałtownie, kiedy dwie mewy wylądowały przed nim na pokładzie, by powalczyć o okruch rozgniecionego chleba, który upuściła jedna z nich. Walka, podczas której ptaki cały czas dziobały się i machały skrzydłami, była krótka i zażarta. Will obserwował ją jakby od niechcena i w tej samej chwili uzyskał odpowiedź na swoje pytanie. Patrząc na mewy, równocześnie obserwował Rosę. Robił to tak, jak przez całe lata obserwował zwierzęta. Nie próbował jej oceniać, ponieważ nie podlegała tym samym zasadom moralnym i etycznym. Nie mógł oceniać jej jak innej istoty ludzkiej. Nie była człowiekiem, podobnie jak te walczące mewy. Może na tym polegała jej tragedia, a może tak jak w przypadku tych mew to było właśnie najwspanialsze.

–To był tylko żart – powiedziała Rosa, kiedy podszedł, by usiąść obok niej. – Ta kobieta nie ma za grosz poczucia humoru.

„Claymore” wchodził właśnie w łagodny skręt i ich oczom ukazała się płaska wyspa.

–Hamish mówi, że to Coli – rzekła Rosa, wstając i opierając się o reling.

Płaska, nieciekawa wyspa stanowiła ostry kontrast dla żyznych, zalesionych stoków Muli.

–Podejrzewam, że ten widok nic ci nie mówi? – zwrócił się do Rosy Will.

–Nie – odparła. – Ale nie tam płyniemy. Ta siostrzana wyspa Tiree jest znacznie bardziej żyzna. Nazywają ją krainą kukurydzy.

–Dowiedziałas się tego od Hamisha?

Rosa skinęła głową.

–Przydatny młodzieniec – skostatował Will.

–Mężczyźni bywają użyteczni – przyznała. – Ale ty też to wiesz. – Spojrzała z ukosa na Willa.
– Mieszkasz w San Francisco, prawda?

–Tak.

–Uwielbiam to miasto. Przy Castro Street był bar dla gejów, który często odwiedzałam, gdy przebywaliśmy w mieście. Nie pamiętam nazwy, ale jego właścicielem był cudny pedzio o imieniu Lenny, czy jakoś tak. Czy to cię bawi?

–Poniekąd. Myśl, że ty i Steep odwiedzaliście bary.

–Och, Steep nigdy mi nie towarzyszył. To byłoby ponad jego siły. Ale ja zawsze lubiałam towarzystwo facetów przebranych za kobiety. Moi cudowni Viados z Mediolanu, niektórzy z nich byli naprawdę piękni.

Jeżeli rozmowa przy śniadaniu była dziwna, to ta bije ją pod tym względem na głowę, pomyślał Will. Ostatnią rzeczą, jaką spodziewał się usłyszeć od Rosy podczas tego rejsu, było wychwalanie przez nią zalet transwestytów.

–Ja nigdy nie potrafiłem zrozumieć, co jest w tym takiego ciekawego – przyznał Will.

–Po prostu zawsze uwielbiałam istoty nie będące tym czym się wydają – odparła Rosa. – Mężczyzna wypierający się swojej płci, wkładający gorset, malujący się i nie będący tym, kim jest tylko dlatego, że to go rani... powiem szczerze, że według mnie jest w tym coś poetyckiego. – Uśmiechnęła się. – Od niektórych z tych mężczyzn wiele się nauczyłam... jeżeli chodzi o udawanie, iluzję i grę pozorów.

–Masz na myśli udawanie kobiety?

Rosa pokiwała głową.

–Ja też udaję i gram – odparła z lekkim wahaniem. – Nie nazywam się Rosa McGee. Usłyszałam to nazwisko na ulicy w Newcastle; ktoś wołał: „Rosa, Rosa McGee”, a ja pomyślałam: „To nazwisko jak w sam raz dla mnie”. Steep zapożyczył swoje z jednego szyldu. Prawdziwy Steep był kupcem korzennym. Jacobowi spodobało się brzmienie tego nazwiska,

więc je sobie przywłaszczył. A tego kupca chyba później zamordował.

–Zamordował go dla nazwiska?

–Raczej dla samej przyjemności zabijania. W młodości był bardzo okrutny. Uważał, że okrucieństwo to nieodłączna cecha przedstawicieli jego płci. Wystarczy, że sięgniesz po gazetę, a po przeczytaniu paru artykułów zrozumiesz, jacy naprawdę są mężczyźni.

–Nie każdy mężczyzna zabija dla przyjemności.

–Och, on nie tego się nauczył – rzekła Rosa z jawną frustracją, wywołaną niezrozumieniem ze strony Willa. – Mnie zabijanie sprawia taką samą przyjemność jak jemu. Nie, on nauczył się udawać, że jest w tym pewien cel.

–Kiedy się tego nauczył? Czy byliście wtedy dziećmi? Ile mieliście lat?

–O nie. Nigdy nie byliśmy dziećmi. A przynajmniej ja sobie tego nie przypominam.

–A więc, kim byłaś, zanim postanowiłaś zostać Rosą?

–Nie wiem. Byliśmy z Rukenauem. Chyba nie potrzebowaliśmy nazwisk. Byliśmy jego narzędziami.

–Budując Domus Mundi?

Pokręciła głową.

–Nie pamiętasz tego?

–Czemu miałabym to pamiętać? Czy ty pamiętasz, kim byłeś, zanim stałeś się Willem Rabjohnsem?

–Pamiętam jak przez mgłę, że byłem niemowlęciem. A przynajmniej tak mi się zdaje.

–Może podobnie będzie ze mną, gdy dotrę do Tiree.

„Claymore” znajdował się teraz o piętnaście jardów od przystani w Coll, a szyper, z wprawą osoby, która wykonywała tę czynność niezliczoną ilość razy, przybił do nabrzeża. Później zapanował spory ruch, samochody zjeżdżały z promu, pasażerowie schodzili na ląd. Will nie zwracał na to uwagi. Miał do Rosy więcej pytań i zamierzał je zadać, dopóki była w nastroju do zwierzeń.

–Wspomniałaś, że Jacob nauczył się, jak być mężczyzną.

–Doprawdy? – spytała z udawaną nonszalancją w głosie.

–Ale przecież już nim był. Sama tak powiedziałaś.

–Mówiłam tylko, że nie był dzieckiem. To nie to samo. Musiał nauczyć się tego, jak zachowują się mężczyźni i jakie jest ich miejsce w świecie, tak jak ja musiałam nauczyć się tego, jeżeli chodzi o kobiety. To nie było dla nas normalne ani zwyczajne. No... może tylko częściowo. Pamiętam, że któregoś dnia zastanawiałam się, jak bardzo lubiłam tulić dzieci i trzymać je na ręku, jak uwielbiałam ich delikatne ciała i jak śpiewałam im kołysanki. Steep tego nienawdził.

–A co kochał?

–Mnie – odparła z filuternym uśmieszkiem. – A przynajmniej – jej uśmieszek zgasł – tak to sobie wyobrażałam i to mi wystarczało. Niekiedy tak bywa. Kobiety to rozumieją, mężczyźni nie. Mężczyźni muszą być wszystkiego pewni. Wszystko musi być pewne, jasne, oczywiste, konkretne. Listy, mapy, historia. Potrzebują tego, by zrozumieć, gdzie się znajdują, do czego przynależą. Kobiety są inne. Potrzeba nam znacznie mniej. Byłabym szczęśliwa, mogąc mieć ze Steepem dzieci. Patrzeć, jak dorastają, a gdyby umarły, postaralibyśmy się o następne. Ale one zawsze umierały, niemal tuż po swoich urodzinach. Zabierał je, abym nie musiała ich oglądać, chciał oszczędzić mi tego bólu, to chyba o czymś świadczy, prawda? Musiał coś do mnie czuć.

–Chyba tak.

–Nadałam im wszystkim imiona, mimo że żyły zaledwie kilka minut.

–Pamiętasz je wszystkie?

–O tak – odparła, odwracając głowę, aby ukryć emocje. – Każde z nich. Co do jednego.

„Claymore” tymczasem był już gotowy do wyruszenia w dalszą drogę. Rzucono cumy, silniki zagrały żywszym rytmem i oto rozpoczął się ostatni etap ich podróży. Dopiero gdy znaleźli się w sporej odległości od wyspy, Rosa znów spojrzała na Willa, który siedział, paląc papierosa, i rzekła:

–Musisz coś zrozumieć, jeśli chodzi o Jacoba. On nie był przez całe życie barbarzyński. Z początku tak, zachowywał się potwornie, dopuszczał się strasznych czynów. Ale jaka mu przyświecała inspiracja? Zapytaj większość facetów, co czyni ich mężczyznami, to co usłyszysz raczej nie będzie miłe. Jednak z czasem zdołałam go trochę ułagodzić...

–Roso, on unicestwiał całe gatunki...

–To były tylko zwierzęta. Co to kogokolwiek obchodzi? Czy to ma najmniejsze znaczenie? A w jego głowie pojawiały się takie cudowne myśli, prawdziwie boskie myśli. Jest o tym napisane w Biblii. Panowaliśmy nad rybami morskimi, nad ptactwem latającym...

–I nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi[2]. [Tak, wiem. A więc chodziły mu po głowie liczne, szczytne myśli.](#)

–Co więcej, uwielbiał sprawiać mi przyjemność. Naturalnie, zdarzały mu się też gorsze chwile, ale zawsze mieliśmy czas na muzykę i taniec. A także na cyrk. Uwielbiałam cyrk. Ale po pewnym czasie Steep utracił poczucie humoru. Przestał mnie adorować. A potem zaczęliśmy się od siebie oddalać. Z każdym dniem coraz bardziej mnie tracił. Wciąż podróżowaliśmy razem, i zdarzały się dni, kiedy było jak za dawnych, dobrych czasów, ale łączące nas uczucie umierało. Tej nocy, kiedy cię spotkaliśmy, planowaliśmy rozstanie. Chcieliśmy, żeby każde z nas poszło w swoją stronę. To dlatego on szukał towarzystwa. I znalazł ciebie. Gdyby tak się nie stało, nie byłoby nas tu dzisiaj. Żadnego z nas. A więc jednak to wszystko jest w jakiś sposób połączone, nieprawdaż? Jeśli uważasz, że jest inaczej, nie masz racji.

–Lepiej pójdę po Frannie – powiedział Will. – Niedługo powinniśmy być na miejscu.

Rosa nie odpowiedziała. Pozostawiając ją przy relingu, Will przeszedł do miejsca, gdzie przy sterburcie siedziała Frannie, sącząc kawę i paląc papierosa.

–Nie wiedziałem, że palisz.

–Nie palę – odparła. – Ale potrzebowałam tego. Chcesz kawy? Wiatr jest chłodny.

Wziął od niej plastikowy kubek i upił dwa łyki.

–Chciałam kupić mapę, ale kiosk był zamknięty.

–Kupimy ją na wyspie – powiedział Will. – A skoro już o tym mowa...

Wstał i podszedł do relingu. Widać już było cel ich wędrówki. Linia brzegowa równie nieciekawa jak w Coli, fale roztrzaskujące się o skały. Frannie stanęła obok niego. Patrzyli razem, jak brzeg przybliżył się do nich, silniki „Claymore'a” pracowały teraz znacznie wolniej, aby prom mógł bezpiecznie ominąć mielizny.

–Nie wygląda zbyt gościnnie, prawda? – zauważyła Frannie.

Z tej odległości Tiree sprawiała wrażenie surowej, morze szalało wokół czarnych skał przy długim spiczastym cyplu wyspy. Kiedy jednak zmienił się wiatr, przyniósł ze sobą zapach kwiatów z lądu, miodowy aromat zmieszał się z ostrą wonią soli i wodorostów, a Frannie aż westchnęła w przypiływie nagłego uniesienia.

„Claymore” coraz wolniej, nieomal w żółtym tempie, zbliżał się do nabrzeża. Równocześnie wyspa zaczęła ujawniać przybyłym swoje uroki. Wody, przez które płynęli, nie były już ciemne i głębokie, lecz turkusowe, jak w każdej z karaibskich zatok, plażę zaś wypełniał delikatny srebrzysto-biały piasek. Na brzegu morza pasło się kilka krów, najwyraźniej karmiły się wodorostami, ale poza tym plaże były opustoszałe. Podobnie jak porośnięte trawą wydmy rozpościerające się w dali i wychodzące naprzeciw żyznym łąkom w głębi wyspy. To właśnie stamtąd napływał aromat zawciągu i koniczyny, żyzne soczyste pastwiska usiane były tu i ówdzie skromnymi domkami o bielonych ścianach i jasnych dachach.

–Cofam to co powiedziałam – rzekła Frannie. – Tu jest pięknie.

Ich oczom ukazała się teraz wioska Scannish, zaledwie parę rzędów domów. Na nabrzeżu działo się więcej niż w Coli, dwadzieścia osób czekało na przybycie „Claymore'a”; opodal stał także TIR i traktor z przyczepą pełną świń.

–Pójdę po Rosę – powiedział Will.

–Daj mi kluczyki od samochodu – poprosiła Frannie. – Spotkamy się na dole.

Will wrócił na dziób, gdzie zastał Rosę stojącą przy relingu i bacznie lustrującą przystań.

–Poznajesz coś? – zapytał.

–Moje oczy nie dostrzegają niczego znajomego – rzekła Rosa. – Ale... znam to miejsce.

Przy wtórze delikatnego kołysania i skrzypienia „Claymore” przybił do nabrzeża i zarówno na lądzie, jak i promie rozległy się powitalne okrzyki.

–Pora iść – powiedział Will.

Odprowadził Rosę do ładowni, gdzie w samochodzie czekała już Frannie. Will zajął miejsce na fotelu pasażera, a Rosa rozsiadła się z tyłu. Gdy czekali na otwarcie wrót promu, zapadła chwila krępującej ciszy. Nie trwało to długo. W kilka minut później promienie słońca zalały ładownię, a jeden z członków załogi zaczął kierować ruchem, wypuszczając kolejno czekające w ładowni pojazdy. Po raz drugi, nieco dłużej, przyszło im czekać na przystani, podczas gdy wyladowany po brzegi TIR musiał usunąć się z drogi zjeżdżającym z promu autom i robił to wyjątkowo wolno, za to z wielką pompą. Kiedy w końcu korek został rozładowany, Frannie zawiozła ich z nabrzeża do wioski. Nie była większa niż to, co widzieli od strony morza – parę rzędów niedużych, choć dobrze utrzymanych domków z zadbanymi, otoczonymi murem ogrodami, wszystkie skierowane w stronę wody, a wśród nich kilka starszych budynków, jedne zaniedbane, inne najczęściej z wolna popadające w ruinę. Było tu również kilka sklepów i punktów usługowych, poczta oraz nieduży supermarket, na którego szybach naklejono plakaty informujące o promocjach. Jak na tę cichą miejscinę, plakaty były zbyt krzykliwe.

–Może pójdziesz tam i kupisz mapę? – zaproponowała Frannie, zwracając się do Willa, gdy zatrzymała wóz przed supermarketem. – I coś słodkiego! – zawołała za nim. – I jeszcze coś do picia?

Wyszedł kilka minut później z dwiema torbami pełnymi zakupów.

Na drogę – jak to określił – nabył biszkopty, czekoladę, chleb, ser, dwie butelki wody i małą butelkę whisky.

–A mapa? – spytała Frannie, wstawiając torby na tylne siedzenie obok Rosy.

–Voila!

Wyciągnął z kieszeni małą, składaną mapę oraz dwunastostronicowy turystyczny przewodnik po wyspie, napisany przez dyrektora miejscowej szkoły i ozdobiony niezbyt udanymi rysunkami przez jego żonę. Podał broszurę Rosie, z poleceniem, by ją przejrzała. Miał nadzieję, że może któraś z nazw obudzi w niej wspomnienia. Następnie rozłożył na podółku mapę. Nie było wiele do oglądania. Wyspa miała dwanaście mil długości i trzy szerokości. Znajdowały się na niej trzy wielkie wzgórza; Beinn Hough, Beinn Bheag, Bhaile-mhuilinn i Ben Hynish, szczyt tego ostatniego był najwyższym punktem na całej wyspie. Było tu kilka małych jezior i parę wiosek (określonych na mapie jako osady) rozrzuconych wzdłuż wybrzeża. Przez te osady – największa z nich liczyła dziewięć domów – przechodziły nieliczne drogi, w możliwie najprostszy sposób, czyli z uwagi na ukształtowanie terenu, który był tu dość płaski, niemal zawsze w linii prostej.

–Od czego mamy zacząć, u licha? – zastanawiał się Will. – Połowy z tych nazw nie jestem w stanie nawet wymówić.

W tych słowach kryła się jednak jakaś osobliwa poezja: Balephuit, Balephetrish, Baile-Mheadhonach i Cornaigmore, Vaul, Gott i Kenavara. W tłumaczeniu nazwy też brzmiały imponująco: Balephuit było Miasteczkiem na Moczarach, Heylipout Świętą Osadą, Bail Udhaig Miastem nad Wilczą Zatoką.

–Jeżeli nie ma innych propozycji – rzekł Will – sugeruję, żebyśmy zaczęli stąd.

Wskazał na Baile-Mheadhonach.

–Jest po temu jakiś szczególny powód? – dopytywała się Frannie.

–Po pierwsze, to miejsce leży niemal dokładnie pośrodku wyspy. – Tak zresztą brzmiało dość surowe skądinąd tłumaczenie tej nazwy: Środkowa Osada. – Ta osada ma także własny cmentarz. – Na południe od wioski na mapie umieszczono znak krzyża, a przy nim słowa Choc a'Chlaidh, co oznaczało cmentarz chrześcijański. – Jeżeli Simeon został tu pogrzebany, może powinniśmy zacząć od poszukania jego grobu.

Obejrzał się przez ramię na Rosę. Odłożyła broszurę i wyglądała przez okno z takim napięciem na twarzy, że Will czym prędzej odwrócił wzrok, żeby nie przeszkadzać jej w medytacji.

–Ruszajmy – rzucił do Frannie.

–Pojedźmy drogą wzdłuż wybrzeża, do Crossapolu. A potem skręcimy w lewo i zjedziemy w głąb wyspy.

Frannie wyjechała na drogę, włączając się w niezbyt ożywiony ruch uliczny, innych aut było jak na lekarstwo i po niecałej minucie minęli opłotki Scarinish, by znaleźć się na otwartej

szosie, tak prostej i pustej, że można by prowadzić po niej auto z zamkniętymi oczami i którą niemal na pewno dotrą do Crossapolu.

PIĘĆ

Wśród Wysp Zachodnich były miejsca o wielkim znaczeniu historycznym i mitologicznym, miejsca gdzie rozgrywano bitwy i ukrywano ksiąząt, a opowieści z nimi związane zapierały słuchaczom dech w piersiach. Tiree się do nich nie zaliczało. Wydarzenia z nią związane mogły stanowić co najwyżej krótką notatkę do wypadków, które osiągnęły pełny rozkwit całkiem gdzie indziej.

Najbardziej oczywistym tego przykładem mogą być wyczyny św. Kolumbana, który w swoim czasie głosił Ewangelię na całych Hebrydach, zakładając na wielu wyspach ośrodki nauki i kultu religijnego. Tiree jednak nie doświadczyło takiego zaszczytu. Ten sługa boży zabawił na wyspie na tyle długo, by przekląć skałę w Gott's Bay za to, że pozwoliła, by ześlizgnęła się z niej cuma jego łódki. Od tej pory, jak oznajmił, wyspa ta miała pozostać całkiem naga. I rzeczywiście, od tamtego czasu na Mallachdaig albo Małej Przekłętej nie wyrosło nawet źdźbło trawy. Św. Brendan, towarzysz Kolumbana, był w nieco przychylniejszym nastroju podczas swej krótkiej wizyty: pobłogosławił wzgórze, jeśli jednak owo błogosławieństwo sprawiło, że ostatecznie miejsce to odznaczało się jakąś szczególną mocą, to nikt tego nie zauważył. Nie doszło tam do objawień ani nagłych ozdowień. Trzeci z odwiedzających to miejsce mistyków, św. Kenneth, sprawił, że na wydmach w pobliżu osady Kilkenneth (nazwanej tak w nadziei, że świątobliwy człek zechce pozostać tu dłużej) wzniesiono kaplicę. Fortel nie poskutkowało. Kenneth wyruszył w drogę, by stawić czoło znacznie istotniejszym sprawom, a wydmy – do których bardziej przemawiał wiatr, aniżeli metafizyka – stopniowo pochłonęły kaplicę.

W kilku opowiastkach postać św. Kolumbana i jego świty w ogóle się nie pojawia, ale i tak pozostają one elementami anegdotycznego pejzażu tego miejsca, większość z nich jednak ma charakter lokalny, jak choćby historia studni na zboczu Beinn Hough, zwanej Tobar nan Naoi, Studnią Dziewięciu Żywotów, gdyż w cudowny sposób zapewniła wdowie z ósemką dzieci dożywotni zapas skorupiaków, albo stawy w Vaul, gdzie w bezksiężycowe noce można ujrzeć ducha dziewczyny, która utonęła w jego głębinach i która wabiąc śmiertelników w odmęty, śpiewa im smętną kołysankę. Innymi słowy, nic nadzwyczajnego, wyspy o połowę mniejsze od Tiree mogły poszczycić się ambitniejszymi legendami. Dysponowała ona jednak czymś, czego nie posiadały inne wysepki, a zjawisko skrywające się w jej sercu mogłoby przemienić św. Kolumbana z łagodnego mędrca w fanatycznego trawionego obłędem proroka, gdyby tylko dane mu było ujrzeć ów fenomen. Tak się jednak złożyło, że to cudowne zjawisko nie zaistniało jeszcze w czasach, kiedy święty odwiedzał kolejne wyspy, a gdyby nawet, nie stało się ono jego udziałem, gdyż garstka wyspiarzy, która miała okazję doświadczyć tego cudu (było ich w sumie ósmioro) nigdy o tym nie rozmawiała, nawet z najbliższymi. To była wielka tajemnica ich życia, coś niespotykanego i niesłychanego, a jednak bardziej realna niż słońce i nie zamierzali umniejszać mocy tego fenomenu poprzez rozmowę na jego temat. W gruncie rzeczy wielu z nich starało się w ogóle nie myśleć o tym, co odczuwali, w obawie, że mogliby wyczerpać tę moc na samo zachwycanie się nią. Niektórzy – i to była prawda – powrócili do miejsca, gdzie zostali „dotknięci”, w nadziei że zaznają ponownego objawienia, i choć żadne z nich niczego nie zobaczyło, podczas drugiej wizyty, wielu doświadczyło uczucia prawości, które do końca życia

pozwoili im trwać w stanie permanentnego zadowolenia. Opuścili to miejsce z przekonaniem, że to, czego sami nie zdołali zobaczyć, ujrzają ich. Nie byli już słabymi śmiertelnikami, którzy przeżyją swój nędzny żywot i odejdą w niebyt. Moc na wzgórzu w Kenavara zauważyła ich, a co za tym idzie zaprosiła ich do nieśmiertelnego tańca.

Ta moc żyła bowiem w samej istocie wyspy, poruszała się w piasku plaż, trawach, pastwiskach, w falach morza i podmuchach wiatru, a dusze, które spostrzegła, stały się nieśmiertelną częścią tych skrawków wieczności. Raz przez nią dostrzeżeni, czego mieli się obawiać, tak mężczyźni, jak i kobiety? Niczego, może za wyjątkiem nieuchronnego dyskomfortu śmierci. Kiedy jednak porzucą swe cielesne powłoki, będą mogli docierać do tych samych miejsc, do których docierała owa moc, doświadczać tego wszystkiego, co ona, i w chwale radować się chwałą. Kiedy w letnie noce zorza polarna pomaluje stratosferę feerią barw, oni także się tam znajdą, gdy dumne wieloryby będą wylaniać się z odnętów, w kaskadach pary, te skoki staną się także ich udziałem. Będą towarzyszyć mewom trzypalcowym, zającom i każdej gwiazdzie migoczącej nad Loch an Eilein. Albowiem ta moc znajdowała się we wszystkim. W piaszczystych pastwiskach w pobliżu wydm (zwanym w języku gaelickim Machair) i w znacznie bardziej żyznych polach pośrodku wyspy, gdzie trawa jest bujna, a żywiące się nią bydło syte i dorodne.

Moc nie przejmowała się zbytnio smutkiem i bólem tych mężczyzn i kobiet, którzy nigdy jej nie doświadczyli, ale odnotowywała ich pojawienia się i odejścia. Wiedziała, kto został pochowany na cmentarzach w Kirkapolu i Vaul, wiedziała, ile dzieci rodziło się każdego roku. Obserwowała nawet przyjezdnych, aczkolwiek bez większych emocji, nie dlatego że byli równie ciekawi jak wieloryby czy mewy trzypalcowe (bo wcale tak nie było), ale dlatego że mogła znaleźć się wśród nich dusza, która będzie w stanie ją skrzywdzić. To wcale nie było niemożliwe. Moc istniała dostatecznie długo, by widzieć gwiazdy znikające z firmamentu. A przecież nie była trwalsza od nich.

–Zatrzymaj samochód – powiedziała Rosa.

Frannie wykonała polecenie.

–O co chodzi? – zapytał Will, odwracając się do Rosy.

Jej oczy zwilgotniały do łez, a na wargach pojawił się blady uśmiech. Wyciągnęła rękę i zaczęła mocować się z klamką, ale była tak silnie wzburzona, że nie potrafiła otworzyć drzwiczek. Will w mgnieniu oka wysiadł z auta i je otworzył. Znajdowali się na pustym odcinku drogi, z nieogrodzonym pastwiskiem po prawej, na którym pasło się kilka owiec, po lewej zaś widniało łagodne trawiaste zbocze, upstrzone tu i ówdzie barwnym kwieciami i prowadzące na plażę poniżej. Wysoko w górze kołowały mewy. A jeszcze wyżej można było dostrzec odrzutowy samolot pasażerski, lecący na zachód, od srebrnego podbrzusza maszyny odbijały się słoneczne refleksy. Will w kilka chwil ogarnął to wszystko wzrokiem, jego zmysły zostały wyostrzone przez coś, co znajdowało się w powietrzu. Lis poruszył się w jego wnętrzu, unosząc

pysk ku niebu i wyczuwając to samo, co wychwycała Rosa.

Will nie zapytał jej, co to było. Po prostu czekał, podczas gdy ona przepatrywała wzrokiem horyzont. W końcu powiedziała:

–Rukenau tu jest.

–Żyje?

–O, tak, żyje. O mój Boże, on żyje. – Jej uśmiech stał się nagle mroczniejszy. – Zastanawiam się jednak, kim się stał po tylu latach.

–Wiesz, gdzie możemy go znaleźć?

Na chwilę wstrzymała oddech. Frannie wysiadła z samochodu i zaczęła coś mówić. Will przyłożył palec wskazujący do ust. Rosa tymczasem oddaliła się od auta i weszła wolnym krokiem na pastwisko. Niebo było takie rozległe, istny bezmiar błękitnej pustki, powiększający się z każdą chwilą przed głodnymi tego widoku oczyma Willa, które pragnęły objąć je całe jednym spojrzeniem. Czym ja się zajmowałem przez te wszystkie lata? – pomyślał. Usiłowałem zamknąć świat w ciasnych ramach celuloidowej kliszy? To, co robił, było jednym wielkim kłamstwem nie sposób określić tego inaczej. Bądź co bądź miał nad sobą cudowny przestwór nieba, a miast tego rejestrował coraz to nowe mało ważne cierpienia jakiegoś mało ważnego stworzenia. Dosyć tego.

–Co się stało? – usłyszał głos Frannie.

–Nic. Czemu pytasz?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zdał sobie sprawę, że także z jego oczu, podobnie jak z oczu Rosy, płynęły łzy. Równocześnie płakał i uśmiechał się.

–Nic mi nie jest – zapewnił.

–Dobrze się czujesz?

–Nigdy nie czułem się lepiej – odparł, ocierając łzy wierzchem dłoni.

Rosa najwyraźniej zakończyła swoją medytację, bo nagle się odwróciła i ruszyła z powrotem w stronę samochodu. Gdy podeszła do auta, uniosła rękę, wskazując na południowo-zachodni kraniec wyspy.

–Czeka na nas – oznajmiła.

SZEŚĆ

Z mapą przed sobą i Rosą, stanowiącą „żywy kompas” na tylnym siedzeniu Will bardzo szybko zorientował się, dokąd zmierza. Do Ceann a'Bharra albo Kenavary, skalistego cypla na południowo-zachodnim krańcu wyspy, opisywanego pompatycznie w przewodniku jako „przepaść, która wylaniała się z oceanu, po obu stronach stroma, niemal pionowa; z głębi lądu zaś, z najwyższego punktu można było dostrzec latarnię Skerryvore, ostatni przyczółek ludzkiej obecności na tym skrawku ziemi, poza granicą którego, aż po horyzont toczą się fale majestatycznego Atlantyku”. Przewodnik ostrzegał, że to jedyne miejsce na naszej wspaniałej wyspie, które było sceną tragedii. Ptaki, tak licznie obecne na półkach skalnych i niezliczonych parowach Kenavary, od lat budziły zainteresowanie ornitologów, lecz, niestety, tutejsze skały były niebezpieczne nawet dla doświadczonych wspinaczy; wielu przyjezdnych znalazło śmierć, odpadając od stromych klifów, gdy usiłowali dotrzeć do znajdujących się na nich gniazd. Piękno Kenavary najlepiej podziwiać z bezpiecznych połączeń okolicznych plaż. Wędrówka na skały, nawet za dnia i przy sprzyjającej pogodzie, niesie ze sobą niebezpieczeństwo doznania poważnej kontuzji, a nawet utraty życia. Z całą pewnością nie było to łatwo dostępne miejsce. Jechali drogą ciągnącą się pomiędzy skupiskami małych domków (było ich z dziesięć), które na mapie oznaczono jako wioskę Barrapol, a następnie zjechali na dół, ku zachodniemu brzegowi wyspy, gdzie rozwidlała się, niecałe czterysta jardów od plaży; główna droga skręcała w prawo, ku Saundaig, podczas gdy lewa odnoga przechodziła w wąską, wyboistą i porośniętą trawą ścieżkę. Zgodnie z oznaczeniami na mapie nawet ta dróżka zniknęła kilkaset jardów dalej, ale dotarli nią najdalej jak się dało, jadąc równoległe do linii brzegowej. Ich punkt docelowy znajdował się niecałe pół mili dalej, był to pofałdowany półwysep, o ścianach poranych żlebami i parowami, do tego stopnia, że nie wyglądał jak pojedynczy fragment lądu, lecz trzy lub cztery pagórki za szczelinami w nagich skałach pomiędzy nimi, wiodącymi aż do oceanu. Ścieżka skończyła się, ale Frannie wciąż jechała w stronę skał, ostrożnie prowadząc wóz po nierównym terenie. Zajęcie pierzchały w popłochu przed nadjeżdżającym autem, zbłąkana owca, która odłączyła się od stada i dotąd ze spokojem pogryzała machair, pobiegła, becząc, w dół.

Grunt stawał się coraz bardziej piaszczysty, spod tylnych kół wozu wypryskiwały fontanny ziemi.

–Dalej już chyba nie pojedziemy – stwierdziła Frannie.

–Wobec tego pójdziemy pieszo – powiedział Will. – Dasz radę, Roso?

Odparła, że tak, oczywiście, ale gdy wysiadła, okazało się, że przez ostatni kwadrans jej stan bardzo się pogorszył. Skóra straciła blask, białka oczu nabrały żółtawego odcienia, dłonie drżały.

–Źle się czujesz? – spytał Will.

–Wytrzymam – odparła. – To... efekt... powrotu w to miejsce.

Z wielkim trudem skierowała wzrok w stronę Kenavary. Will odniósł wrażenie, że Rosa jest mocno zaniepokojona. Energiczna uśmiechnięta kobieta, którą była, gdy wsiadała do samochodu, zniknęła. Jej miejsce zajęła ta wystraszona, niepewna istota. Will nie wiedział, co było tego przyczyną. Rosa także nie zamierzała mu tego powiedzieć. Pomimo chwilowego osłabienia ruszyła w stronę klifów i Frannie.

–Niech poprowadzi – wyszeptał Will.

Kiedy tak szli przez połąć machair w stronę Kenavary, ich oczom coraz wyraźniej ukazywał się obszar, który okrył okolicę tak fatalną sławą. Fale były mocno w brzeg po prawej, ale ich zawziętość była niczym w porównaniu z furją, z jaką roztrzaskiwały się o klify. A z rozbryzgów piany – jakby rodziły się z fal i otrzymywały od nich skrzydła – wzbijały się setki ptaków; ich hałaśliwe skrzeczenie stanowiło donośny kontrapunkt dla ryku rozszalałej kipieli. Nie dla wszystkich te skały były domem. Samotna mewa pojawiła się w górze nad nimi, skrzecząc ochryple na intruzów, a gdy nie zawrócili, spikowała w dół, jakby szykowała się do ataku, by ponownie wzbić się w powietrze zaledwie o kilka cali od ich głów. Frannie próbowała ją odpędzić, pokrzykując gniewnie i energicznie machając rękami.

–Cholerne ptaszysko! – zawołała. – Daj nam spokój!

–Ona tylko broni swojego terytorium – odparł Will.

–A ja bronię mojej głowy! – ucięła Frannie. – A sio! Precz stąd! Wynocha!

Rybołówka atakowała ich jeszcze przez pięć minut, dopóki nie dotarli do podnóża stoku, gdzie rozpościerał się skalisty teren. Rosa nadal szła pierwsza, nawet się nie obejrzała, by sprawdzić, czy Will i Frannie wciąż za nią idą.

–Ciekawe dokąd ona idzie – zastanawiała się Frannie.

Na skałach nie było żadnych oznak ludzkiej obecności, płotów, kopców ani nawet znaków ostrzegawczych zakazujących wejścia na niebezpieczny teren. Mimo to Will nie wątpił, że gdzieś tu znajdował się dom Rukenaua (i najprawdopodobniej miejsce spoczynku Thomasa Simeona). Nie potrzebował Rosy, aby to potwierdziła. Czuł to w swoim ciele. Skóra mu cierpła, bolały go zęby, język i gałki oczne, a krew pulsowała tak głośno, że słyszał ten dźwięk pośród szumu morza i skrzeczenia ptaków.

Gdy opuścili obszar machair, omiółł ich wiatr, tak silny, że wszyscy troje spuścili głowy i zaczęli chwiać się na nogach.

–Chcesz się mnie przytrzymać? – zwrócił się do Frannie Will. Pokręciła głową. – W takim razie bądź ostrożna! Grunt jest bardzo niepewny.

Było to, delikatnie mówiąc, niedopowiedzenie. Cały cypel był jedną wielką pułapką, żyzna miękka gleba po obu stronach kończyła się, jak ucięta nożem, pionową, stromą skałą, ciemność

poniżej przepęśniał łoskot oceanu. Trawa śliska od mgieł wypływających ze szczelin, skrzypiała pod podszewkami ich butów, gdy szybkim krokiem podążali za Rosą. Szła ona zdecydowanie pewniej od dwójki swoich towarzyszy i pomimo swego stanu dystans pomiędzy nią a nimi z każdą chwilą się powiększał. Niekiedy Will i Frannie całkiem tracili ją z oczu, w chwilach gdy ona lub oni znajdowali się w zagłębieniach terenu. Niektóre zbocza były wyjątkowo strome i Frannie wolala pokonywać je na tyłku, przytrzymując się przy zjeżdżaniu kępek śliskiej trawy. Przez cały czas w górze nad nimi kołowały ptaki. Mewy, nurzyki, mewy arktyczne, mewy trzypalcowe, a nawet jedna wrona siwa, wszystkie te ptaki ciekawiło, co dzieje się wśród skał, na cyplu. Żaden nie próbował ich atakować, tak jak wcześniej zrobiła to rybołówka. Bądź co bądź to przecież ich terytorium, czegoż więc miały się obawiać? Ci żałośni ludzie o zbielełych kłykciach, wspinający się po gruntowych i skalnych stokach, nie mogli zagrażać ich suwerenności.

Wreszcie Frannie chwyciła Willa za ramię i przyciągnawszy do siebie, aby mógł ją usłyszeć wśród hałasu ptactwa, powiedziała:

–Gdzie, u licha, podziała się Rosa? Chyba jej nie zgubiliśmy, prawda? Will zlustrował teren przed nimi. Rzeczywiście, Rosa zniknęła. Znajdowali się niecałe pięćset jardów od krańca cypla, ale były tu dziesiątki miejsc, w których mogła zniknąć, miejsca gdzie strome stoki wiodły do podmokłych niecek, a skalne występy oznaczały ziejące w ich pobliżu szczeliny i rozpadliny.

–Zostań tu przez chwilę – powiedział Will do Frannie.

Wrócił po śladach na najwyższy punkt w okolicy, omszały głaz, wysoki na równe dziesięć stóp. Wspiął się na ów kamień. Nigdy nie przepadał za wspinaniem się na skałki, był na to zbyt chudy i wąty, w dodatku teraz niedostatek snu pozbawił go resztek sił i zdolności koordynacji. Innymi słowy, sporo go to kosztowało i nim wspiął się na głaz, był spocony i zdyszany. Zlustrował teren przed sobą powoli i metodycznie, w stopniu, w jakim pozwalały mu na to zmęczone oczy. Gdy wypatrywał śladów Rosy, raz po raz widział wirujące mroczyki. Już miał zejść na dół, kiedy dostrzegł coś jasnego, co było na wpół ukryte wśród ciemnych skał, jakieś sto jardów dalej.

–Widzę ją! – zawołał do Frannie.

Zsunął się z głazu jeszcze bardziej niezdarnie, niż na niego wpełznął, po czym poprowadził Frannie w stronę wypatrzonego przez siebie miejsca. Wzrok go nie zawiódł. Rosa leżała na ziemi, twarz miała szarą jak popiół, szczękała zębami. Jej poźółkłe białka oczu stały się niemal złociste. Kiedy skierowała na niego wzrok, jej spojrzenie nie było już całkiem ludzkie, a jakaś irracjonalna odraza, zwierzęcy strach przed czymś, co nie jest naturalne, powstrzymywały go przed zbliżeniem się do Rosy.

–Co się stało? – spytał.

–Poślizgnęłam się, to wszystko – odparła.

Czy jej głos także nieznacznie się zmienił? Chyba tak. A może tylko mu się wydawało, że

słyszysz jej szept tuż przy uchu, bo przecież leżała tylko trzy jardy od niego?

–Pomóż mi wstać – zażądała.

–Czy on tu jest?

–On, czyli kto?

–Rukenau.

–No, dalej. Pomóż mi wstać.

–Najpierw odpowiedz – uciął Will.

–To nie twoja sprawa – odparła Rosa.

–Posłuchaj. W ogóle by cię tu nie było... – zaczął Will.

Posłała mu spojrzenie, które, gdyby była w lepszej kondycji fizycznej, wstrząsnęłoby nim do głębi. To przypomniało mu solennie, że choć ostatnio widywał Rosę McGee w znacznie łagodniejszej, wręcz spolegliwej wersji, była to jedynie iluzja. Teraz miał przed sobą jej prawdziwe oblicze, taką jaką była – istotą o złocistych oczach, zimnym spojrzeniu i głosie przenikającym ciało do szpiku kości, istotą której nie obchodziło, jak się tu dostała, i która miała za nic długi wdzięczności wobec osób służących jej pomocą, aby mogła dotrzeć do celu swej wędrówki. Jedyne, czego teraz chciała, to znaleźć się w Domu Świata, lecz była za słaba, by marnować czas na zbędne kurtuazyjne gesty.

–Pomóż mi wstać – powtórzyła, wyciągając dłoń do Willa.

Nie sięgnął ręką, by jej pomóc. Przyglądał się jej twarzy, czekając na pierwszą oznakę zniecierpliwienia, która mogła ją zdradzić. Tak też się stało. Nie mogła się temu oprzeć. Odruchowo spojrzała ponad nim w stronę miejsca, w którym chciała się znaleźć, i raz jeszcze zażądała, by pomógł jej podnieść się z ziemi.

Will podążył za jej wzrokiem, poza skały znajdujące się pomiędzy nimi a murawą na końcu klifu, do miejsca które z tej odległości wyglądało zgoła zwyczajnie, ot zwykły spłachetek podmokłego gruntu. Natychmiast przejrzała jego sztuczkę i powtórnie odezwała się do niego, podnosząc głos:

–Nie waż się iść tam beze mnie! Nie zrobisz tego!

–Tak uważasz? – spytał drwiąco.

Skierowała swą nienawiść przeciwko Frannie.

–Powiedz mu, kobieto! Niech nie waży się wejść do tego domu beze mnie.

–Może powinnaś z nią zostać? – rzekł Will do Frannie.

Nie zaoponowała. Sądząc po wyrazie twarzy Frannie, atmosfera tego miejsca wprawiała ją w głębokie zaniepokojenie. Była zdezorientowana i rozdrażniona.

–Obiecuję, że nie wejdę do środka bez ciebie.

–Mam nadzieję – powiedziała Frannie.

–Gdyby próbowała jakichś sztuczek, krzycz.

–Bez obawy, na pewno mnie usłyszysz – zapewniła Frannie. Will spojrzał na Rosę. Już nie próbowała protestować, leżała na wznak, na kamieniach, ze wzrokiem utkwionym w niebo. W tym momencie wydawało się, że jej oczy były dwoma mańkami lusterkami, w których tafli odbijały się fale światła i cieni. Odwrócił wzrok, skonsternowany, i rzekł do Frannie:

–Nie zbliżaj się do niej.

W chwilę potem ruszył różnym krokiem w stronę skrawka pustej przestrzeni między skałami.

SIEDEM

Cieszył się, że nie musi podążać za Rosą, ale jeszcze bardziej cieszył się, że jest sam. Nie, już nigdy nie będzie sam. Lis towarzyszył mu w tej wędrówce jak jego drugie ja. Był od niego zwinniejszy i kilkakrotnie poczuł moc zwierzęcia ponaglącą go do marszu, gdy obolałe ciało zaczynało odmawiać mu posłuszeństwa. Był również znacznie bardziej ostrożny. Wodził wzrokiem na lewo i prawo, wypatrując potencjalnego zagrożenia, jego nozdrza stały się szczególnie wrażliwe na wszelkie niesione wiatrem wonie. Mimo to nie dostrzegł żadnych oznak niebezpieczeństwa. I choć od skał dzieliło go zaledwie piętnaście jardów, nie zauważył żadnego domu ani nawet ruin. Obejrzał się przez ramię na Frannie i Rosę, ale grunt był tak stromy i spadzisty, że nie mógł już ich zobaczyć. Po prawej, niespełna jard od jego niepewnych stóp, widniała wśród czarnych skał mroczna szczelina, niewiele szersza od ludzkiego ciała. Wiedział, że wystarczyło tylko jedno niepewne stąpanie i, gdyby się poślizgnął, byłoby po nim. Czyż nie stanowiłoby to żalosnego zakończenia podróży, która trwała tyle lat i podczas której pokonał wiele mil, od tamtego wzgórza, na którym złapał uciekającego zająca, od ognia i garści ciem, od pustkowi Balthazar i okrwawionej niedźwiedzicy, w której objęciach omal nie wyzionął ducha? Jeszcze parę jardów, jeszcze kilka sekund i znajdzie się na progu, a cała ta wędrówka dobiegnie końca. Zrozumie wszystko, dozna objawienia i trawiący go ból wreszcie minie. Na wprost niego widniał splechetek jasnozielonej trawy, lśniącej od wilgoci i upstrzonej żółtą wyką. Na znajdującym się nieco dalej skalnym występie ptaki najwyraźniej musiały rozbijać kraby, gdyż był on usłany potrzaskanymi pancerzykami skorupiaków i zasłany białym guanem. Jeszcze dalej wznosiły się skały, w które z takim przejęciem wpatrywała się Rosa. Dotarcie od miejsca, gdzie się obecnie znajdował, do celu nie było szczególnie trudne, ale nie spieszył się, jego ciało dygotało ze zmęczenia i rozbawienia zarazem. Przeszedł po trawie bez żadnych przygód, choć splechetek zieleni był śliski jak lód, po czym jął wspinać się na skalny występ. Szczelina pozostała z tyłu za nim. Początkowo znalezienie oparcia dla rąk i nóg było proste, ale im wyżej się wspinał, tym bardziej zawodziło go ciało. Zaczął gwałtownie mrugać, gdyż powierzchnia skały przed nim rozmywała się w szarą plamę. Dłonie i stopy ogarniała drętwota. Czuł, że w grę wchodzi coś więcej niż zwykle zmęczenie. Jego ciało reagowało na wpływy zewnętrzne, jakąś energią znajdującą się w ziemi i powietrzu, która kusila ciało i namawiała je, by się poddało. Mroczki przed oczami przyprawiały go o mdłości. Aby przewalczyć w sobie to uczucie, zacisnął powieki i zaufał coraz bardziej zdrętwiałym dłoniom. Było to niebezpieczne, zważywszy, że za sobą miał mroczny parów, do którego niechybnie wpadłby, osunąwszy się ze skały, ale ryzyko się opłaciło. Jeszcze trzy uchwyty dla dłoni i znalazł się na szczycie skały, gdzie otrzepał ręce z resztek pancerzyków krabów.

Otworzył oczy. Ruch gałek ocznych w ciemnościach, pod powiekami nieco osłabł. Ale gdy tylko padło na nie światło, znów zaczęły drgać spazmatycznie. Wyciągnął ręce, by chwycić się gładów znajdujących się po obu jego stronach, koncentrując się najlepiej jak potrafił na splechetku ziemi rozciągającym się pomiędzy nimi. Następnie, opierając odrętwiałe dłonie na kamieniach zaczął wślizgiwać się do wąskiego, bezwietrznego prześwitu.

Nie tylko wzrok i dotyk go zawodziły. Miał również kłopoty ze słuchem. Chór krążących w

powietrzu ptaków i odgłos fal rozbryzgujących się o skały przerodziły się w hałaśliwą kakofonię, która otoczyła jego czaszkę jak błotnista breja. Słyszał wyraźnie tylko własny, urywany oddech. Wiedział, że w tym stanie nie dotrze daleko. Jeszcze trzy, cztery kroki i ugną się pod nim nogi albo pęknie mu czaszka. Dom uruchomił swój system obronny i na razie opierał się mu całkiem skutecznie.

Will zmusił swe odrętwiałe kończyny do wykonania jeszcze jednego kroku, przytrzymując się równocześnie głazów po obu stronach, nie był bowiem pewien, czy nogi zdołają utrzymać cały ciężar jego ciała. Jak daleko było jeszcze do trawiastego splachetka, który obrał sobie za cel?

Nie wiedział. Już nie. Zresztą i tak to była czysto akademicka kwestia. Nie dojdzie tam. Mimo to wciąż tliła się w nim iskierka ambicji, zalewając jego odrętwiałe kończyny gasnącym żarem. Może uda mu się jeszcze zrobić jeden, dwa kroki i wyjść na otwartą przestrzeń.

–No dalej... – wymamrotał pod nosem. Słowa, które wypływały z jego ust, były równie urywane jak oddech. – Rusz się...

To przyniosło pożądany skutek. Nogi, choć z ociąganiem, poniosły go dwa kroki dalej. Nagle znów poczuł na trawie powiew wiatru, musiał oderwać dłonie od skał i osunął się na kolana. Ziemia pod nim była rozmyta, zimna woda opryskała mu brzuch i krocze. Kołysał się niepewnie przez kilka chwil, po czym runął do przodu. Gdyby nie podparł się rękoma, wylądowałby twarzą w błocie. To, co miał przed sobą, wyglądało jak rozmyta, niewyraźna plama: smuga zieleni oznaczała ziemię, a smuga szarości – niebo. Już miał zamknąć oczy, kiedy, ni stąd, ni zowąd, pośrodku półotwartego poletka spostrzegł coś srebrzystego i krystalicznie wyrazistego. Pasma było wąskie, ale wyjątkowo wyraźne, jakby cała ostrość jego wzroku zawarła się na tym małym skrawku przestrzeni. Z niewiarygodną dokładnością widział każde źdźbło trawy i okolone słońcem kontury chmur, które prześlizgiwały się po niebie nad jego głową.

Są otwarte, pomyślał. Drzwi są otwarte, czy może raczej lekko uchylone, a ja spoglądam przez nie, zaglądam do domu, który zbudował Nilowiec. Nogi nie chciały go tam doprowadzić, ale był pewien, że zdoła doczołgać się do celu na czworakach. Gdy zaczął pełznąć naprzód, przypomniał sobie o złożonej Frannie obietnicy i przez chwilę dręczyły go wyrzuty sumienia, że nie będzie w stanie jej dotrzymać. To nie wpłynęło jednak w żaden sposób na spowolnienie tempa, w jakim się przemieszczał. Bardziej niż czegokolwiek pragnął znaleźć się w Domus Mundi. Żadna obietnica nie była w stanie powstrzymać go przed dotarciem do tajemniczego domu. Tylko on się teraz liczył. Był dla Willa ważniejszy niż jego życie czy zdrowie psychiczne.

Nie odrywając wzroku od srebrzystej smugi otwartych drzwi, pełzł niezmordowanie przez błoto do swego celu i porzuciwszy wszelkie nadzieje, odrzuciwszy wszystko co znał, rozumiał i w co wierzył, przestąpił próg Domu Świata.

OSIEM

Ostatni raz Frannie widziała Willa, gdy usiłował wspinać się na skalisty występ na skraju parowu. W pewnej chwili jej uwagę zwróciła Rosa, która zaczęła przeraźliwie jęczeć, zrywając bandażę i kiedy Frannie ponownie spojrzała w stronę Willa, już go nie było. Początkowo uznała, że pokonał skałę i znalazł się w przesmyku, na zboczu znajdującym się po drugiej stronie, ale mimo że uważnie go wypatrywała, nie zdołała go dostrzec. Powoli w jej mózgu zrodziła się posępna myśl, że kiedy ona usiłowała powstrzymać Rosę przed ponownym otwarciem rany, Will stracił równowagę i runął w głąb parowu. Im dłużej bezowocnie wpatrywała się w skały, tym bardziej prawdopodobna wydawała się jej ta perspektywa. Nie usłyszała jego krzyku, ale mogły go zagłuszyć kołujące w powietrzu i czyniące potworny hałas ptaki. Obawiając się tego, co może zobaczyć, zostawiła Rosę i podążyła śladem Willa, wzdłuż krawędzi szczeliny, nawołując go. – Gdzie jesteś? Na miłość boską, Will! Odpowiedz! Odezwiij się! Bez odpowiedzi. – Nie otrzymała odpowiedzi i nie zauważyła żadnych oznak jego upadku. Nie było krwi na skałach ani wyrwanych z korzeniami kęp trawy. To jednak nie poprawiło jej humoru. Wiedziała doskonale, że mógł ześlizgnąć się w głąb żlebu, nie pozostawiając przy tym żadnych śladów, po prostu odpaść od skały i runąć w mroczną przepaść. Niemal dotarła do końca parowu, miejsca gdzie ostatni raz widziała Willa. Czy powinna wspiąć się na górę i sprawdzić czy jest tam, za skałami? Jasne, że tak. Coś jednak sprawiało, że raz po raz spoglądała w stronę żlebu i w końcu utkwiała wzrok w mrocznej czeluści, lecz już nie powtórzyła wołania, bała się, że mogłaby usłyszeć dochodzącą z tej czerni odpowiedź.

I wtedy go zobaczyła, a przynajmniej tak się jej wydawało, leżącego na dnie żlebu, jakieś dwadzieścia stóp niżej. Jej serce zabiło żywszym rytmem, osunęła się na kolana i podpełzła do skraju rozpadliny, by upewnić się, czy to, co zobaczyła, jest prawdą. Nie miała żadnych wątpliwości. Na skałach, na dole leżał mężczyzna. To mógł być tylko Will. Spróbowała go zawołać, może był tylko oszołomiony. Nie mogła marnować czasu, by pójść po pomoc: pół godziny marszu do samochodu, kolejne dziesięć, dwadzieścia minut na znalezienie telefonu i Bóg wie, ile jeszcze, zanim zjawią się ratownicy? Musiała coś zrobić sama, zejść jakoś na dno parowu i pomóc przyjacielowi. To była ponura perspektywa. Nigdy, nawet w dzieciństwie, nie była szczególnie zwinna, i choć, z uwagi na swą drobną budowę, zejście po skałę nie powinno przysporzyć jej większych trudności, gdyby poślizgnęła się na kamieniach i runęła głową w dół, ani chybi wylądowałyby z połamanymi kośćmi obok Willa, a to przypieczętowałoby kres ich obojga. Staliby się kolejnymi ofiarami potwierdzającymi mroczną reputację tej skalistej wyspy.

Mimo to nie miała wyboru. Nie mogła zostawić Willa na pewną śmierć. Musiała pokonać strach i zrobić co do niej należało. Po pierwsze, trzeba było znaleźć najłatwiejsze miejsce do zejścia w głąb parowu. Przeszła wzdłuż skraju rozpadliny, aż napotkała miejsce, gdzie ściany rozpadliny znajdowały się względnie blisko siebie, tak że mogła schodzić, wykorzystując oparcie dla rąk i nóg na obu skalnych ścianach. To nie było idealne rozwiązanie, idealna byłaby drabina z wielką poduszką na dole, ale nie mogła liczyć na nic innego. Usiadła na trawie, na skraju rozpadliny i zwiesiła nogi w głąb szczeliny. Po czym, nie marnując czasu na debatowanie nad słusznością tego, co zamierza zrobić, ześlizgnęła się w głąb otworu i po kilku, pełnych

niepewności, uderzeniach serca, kiedy Frannie zdawała się być zwieszona w próżni, jej palce stóp odnalazły skalną półkę na przeciwległej ścianie, o którą się zapała. Zapewne istniało dziesięć prostszych sposobów na zrealizowanie jej zamiaru, ale w tej chwili nie potrafiła wymyślić nic mądrzejszego.

Zanim wykonała kolejny ruch, spojrzała w dół. To był błąd. Jej mięśnie naprężyły się na kilka sekund i poczuła strużki potu pod pachami. Jej dłonie także zwilgotniały. Pot był kwaśny, przesiąknięty wonią strachu.

–Weź się w garść, Frannie – powiedziała do siebie. – Dasz radę!

Następnie zaczerpnęła głęboko tchu i kontynuowała schodzenie, opuszczając się powoli na dół, noga za nogą odnajdując kolejne uchwyty dla dłoni i stóp, lecz tym razem nie próbowała już patrzeć w dół, wzrok utkwiała w skalnej ścianie, wypatrując w niej głębszych szczelin i kamiennych występów. Tylko raz, kiedy wydawało się jej, że ktoś zawołał ją po imieniu, uniosła wzrok, znieruchomiała na chwilę i wyteżyła słuch, w nadziei że wołanie się powtórzy. I rzeczywiście tak się stało, lecz okazało się, że nie był to ludzki głos, a jedynie zew ptaka, tak wysoki i przenikliwy, że przypominał głos człowieka. Podjęła schodzenie, postanawiając w duchu, że nie spojrzy już w górę, nawet gdyby ponownie usłyszała wołanie. To było niesamowite i niepokojące – widzieć smugę światła, ograniczoną przez dwie skalne ściany; jasna szczelina z każdą chwilą coraz bardziej się zwężała. Frannie postanowiła, że od tej pory nie będzie patrzeć na nic innego oprócz swoich dłoni i stóp, dopóki nie znajdzie się obok Willa i nie zacznie się zastanawiać, w jaki sposób oboje zdołają wydostać się z powrotem na górę.

Rosa już dawno przestała przejmować się tym, co myśli lub robi Frannie, ale mimo to zaintrygowało ją, gdy ujrzała, jak kobieta znika w rozpadlinie. Czyżby za bardzo zbliżyła się do Domus Mundi i systemy obronne budowli wypaliły jej mózg? Jeżeli nawet, to nie było spektakularne widowisko. Cóż, nieważne. Ponownie oparła głowę na umazanych guanem kamieniach i skierowała wzrok ku niebu. Chmury całkiem przesłoniły słońce, a przynajmniej ukryły je przed ludzkimi oczami. Ona jednak wciąż je widziała, albo wyobrażała sobie, że je widzi; jasną kulę gorejącą wśród bezkresnej pustki kosmosu. Zastanawiała się, czy tam właśnie było jej miejsce. Czy kiedy przestanie być Rosą, co stanie się niebawem, gdy z jej zranionego ciała do reszty wysączy się życie, to wzbije się w górę jak dym i pofrunie ku słońcu? A może rozplynie się w mroku wśród gwiazd. Tak, to byłoby lepsze. Zatracić się po wsze czasy i bez reszty w ciemnościach. Bezimienna istota, którą była, która przetrwała na tym świecie zbyt wiele lat, utraciła pragnienie życia i nie tęskniła za światłem.

Zanim jednak odejdzie, może wykrzesze z siebie dość sił, by stanąć w progu domu Rukenua, zapukać do drzwi i zapytać:

–Po co było to wszystko? Dlaczego żyłam?

Jeżeli miała to zrobić, musiała się pospieszyć, czuła bowiem, że opuszczają ją siły. Sądziła, że ponowne otwarcie rany przepełni ją nową mocą, będzie jak chłasknięcie biczem po plecach. To jednak tylko pogłębiło jej cierpienie, pozbawiło resztek energii. Zostało jej już niewiele sił. Oderwała wzrok od słońca i usiadła. Równocześnie instynkt przekazał jej informację, którą spodziewała się otrzymać: Steep znalazł się na wyspie. Nie wątpiła w swoje przeczucia. Ona i Steep wyczuwali siebie nawzajem – przez te wszystkie lata wielokrotnie – na znacznie większą odległość. Nauczyła się wyczuwać jego bliskość, doskonale знаła to doznanie. Zmierzał w tę stronę. Kiedy tu dotrze, będzie przepełniony żądzą mordy, a ona nie zdoła się przed nim obronić. Jedyne, co mogła uczynić, to zmusić swoje ciało do ostatniego wysiłku i dotrzeć do Domus Mundi przed Steepem. Może Rukenu odegra rolę sędziego i ławy przysięgłych, a uznawszy Steepa winnym, zechce go powstrzymać. A może dom był pusty i gdy znajdą się w środku, poczują się niczym złodzieje w złupionym pałacu, spodziewający się niewysłowionych skarbów, a odnajdujący jedynie proste, zdewastowane pomieszczenia. Ta myśl przepełniła ją uczuciem perwersyjnej rokoszy. Po tak desperackim pościgu może się okazać, że oboje odejdą z pustymi rękami. Ona zapewne umrze i być może odejdzie w mroczną pustkę pośród gwiazd. A on będzie żyć bez końca, ponieważ mężczyzna, którym się stał, lękał się śmierci, i to byłoby dla niego adekwatną karą – gdyby stał się wysłannikiem śmierci, ale sam nie mógł dostąpić ostatecznego wyzwolenia i musiał trwać po wsze czasy na tym padole łez.

DZIEWIĘĆ

Jacob, krążąc wśród stoickich rybaków z Oban, miał nieodparte – i skądinąd przyjemne wrażenie, że brzegi zatoki są brzegami Galilei, a on szuka tam swoich uczniów. Po krótkich poszukiwaniach odnalazł pewnego mężczyznę po sześćdziesiątce imieniem Hugh, który zgodził się za umiarkowaną kwotę zawieźć go na Tiree. Szybko uzgodnili cenę i kwadrans po ósmej wypłynęli w rejs tym samym kursem, którym wcześniej płynął „Claymore”. Mała łódka Hugh’a rzecz jasna nie mogła się równać z dysponującym potężnymi silnikami okrętem, ale w przeciwieństwie do „Claymore’a” nie zawijała po drodze do żadnego portu, toteż przybiła do niewielkiej przystani w Scarinish niespełna dwie godziny po promie.

Rejs przydał Jacobowi sił i wigoru. Mężczyzna nie zasnął, lecz wpatrując się w morze, pogrążył się w głębokiej zadumie. Nie wiedzieć czemu, morze było uważane za typowo kobiecy żywioł. To fakt, kobiece ciało skrywało w sobie pływy, jakich nie sposób było odnaleźć u mężczyzny no i rzecz jasna było ono miejscem początku. Było także ambitne i beznamiętne i, choć wolno, to nieuchronnie kontynuowało swoją bezlitosną walkę z lądem. To przecież ziemia powinna stanowić kobiecy żywioł, ziemia, miejsce narodzin – ciepła, żyzna i urodzajna. Głębiny należały do mężczyzn.

Tak oto rozmyślał podczas całego rejsu. I zanim zszedł z pokładu łodzi na przystań, jego umysł ogarnęło przyjemne otępienie, jakby właśnie skończył kolejny zapis w swoim dzienniku i był gotów do przewrócenia następnej strony.

Zrezygnował z kradzieży auta. Wyspa była mała i choć wątpił, by mieścił się na niej posterunek policji, nie chciał ryzykować nieciekawego spotkania ze stróżami prawa. To opóźniłoby jego poczynania i wolał tego uniknąć. Na poczcie zapytał miłą urzędniczkę, gdzie mógłby znaleźć taksówkę. Dziewczyna odparła, że na wyspie jest tylko jedna taksówka – należy do jej szwagra, Angusa, i z przyjemnością zaraz do niego zadzwoni. Tak też uczyniła, po czym powiedziała Jacobowi, że samochód zjawi się pod budynkiem poczty najdalej za kwadrans. Faktycznie trwało to nieco dłużej, ale w końcu wspomniany Angus podjechał pod pocztę starym dwudziestoletnim volkswagenem i zapytał Steep’a, gdzie ma go zawieźć.

–Do Kenavara – odrzekł Jacob.

–Chyba raczej do Barrapolu?

–Nie. Chodziło mi o skały.

–Cóż, tam pana nie dowiozę. Nie ma dojazdu.

–Wystarczy, że dowiezie mnie pan możliwie najbliżej tego miejsca.

–Czyli do Barrapolu – powiedział Angus.

–Dobrze, niech będzie do Barrapolu.

Po drodze zastanawiał się, co by się z nim stało, gdyby nigdy nie opuścił tych wysp. Gdyby nigdy nie przyjął ludzkiego nazwiska, nie udawał kogoś, kim nie był, zaprzeczając w ten sposób swojej prawdziwej naturze; a miast tego osiadł gdzieś na uboczu, z dala od oczu ciekawskich, na Uist, Harris albo obmywanej przez fale morza skale, bezimiennej jak on sam? Czy odnalazłby ciszę, której pragnął? Czy odnalazłby w niej Boga? Szczerze w to wątpił. Nawet tu, w tym spartańskim miejscu było zbyt wiele życia, zbyt wiele rzeczy, które go dezorientowały. Prędzej czy później znów obudziłaby się w nim pasja niebytu. Jego kierowca, był, rzecz jasna, gadułą. Dopytywał się, skąd Jacob pochodzi i gdzie się zatrzymał. Czy znał Archiego Andersona z Barrapolu? Jacob jak umiał najlepiej odpowiadał na zadawane pytania, ale przez cały czas rozmyślał o Bogu i bezimienności, jakby był dwiema różnymi osobami. Jedna z nich – człowiek, którego udawał od tylu lat, wdała się w pogawędkę z kierowcą, druga była istotą zgoła odmienną, która opuściła tę wyspę, pałając żądzą zabijania, a teraz wracała do domu. I ten obraz znajdował się już w zasięgu jego wzroku. Znajdował się na przylądku Ceann a'Bharra, gdzie Rukenau wznosił fundament swego imperium. Pomimo rozmowy, jaką odbyli, odkąd opuścili Scarinish, Angus dopytywał się, czy jego pasażer życzy sobie, by wysadzić go przed jakimś konkretnym domem. Znał wszystkich mieszkańców Barrapolu (to nie było trudne, w osadzie znajdował się zaledwie tuzin domów) – Iaina Firchlaya z żoną, Joan, McKinnonów, Hectora Camerona.

–Dowiedz mnie tylko do końca tej drogi – powiedział Jacob – dalej pójdę pieszo.

–Na pewno?

–Na pewno.

–Cóż, to pan płaci za kurs.

Kiedy dotarli do miejsca, gdzie droga się kończyła, przechodząc w wąską ścieżkę, Jacob wysiadł i zapłacił Angusowi dwa razy więcej, aniżeli miał kosztować kurs. Angus, zadowolony z niespodziewanego zysku, podziękował mu i wręczył wizytówkę ze swoim numerem telefonu, na wypadek gdyby Jacob potrzebował taksówki w drodze powrotnej. Był taki dumny, że dysponuje własną wizytówką z nazwiskiem (wyjaśnił, że wykonano je w Oban), że Jacob przyjął ją z wdzięcznością i podziękowawszy taksjarsowi, rozpoczął wędrówkę przez machair w stronę Kenavary. Steep jeszcze długo widział oczyma duszy wyraz niespodziewanej radości na twarzy mężczyzny, gdy wyjmował z kieszeni wizytówkę, i obraz ten towarzyszył mu podczas marszu przez pola, wśród pierchających w popłochu zajęcy. Och, pomyślał Steep, jakże pragnąłby choć raz zaznać podobnego uczucia dumy i zadowolenia. Schował wizytówkę do kieszeni, ale wiedział, że i tak nie będzie mu dane z niej skorzystać. Wyprawa do Domu Świata była podróżą w jedną stronę. Stamtąd nie ma już dla niego powrotu.

DZIESIĘĆ

Lśniąca trawa zniknęła spod stóp Willa. Zniknęło także zachmurzone niebo. Wszedł do dużego pomieszczenia, którego ściany wyglądały jak zrobione z mułu i ziemi, która wciąż lśniła wilgocią. Najwyraźniej jego teorie o abstrakcyjnej lub metafizycznej naturze Domus Mundi, którymi dzielił się z Frannie, okazały się z gruntu fałszywe. Ta budowla była namacalna i rzeczywista, przynajmniej w stopniu, w jakim mógł odbierać ją spokojnymi już teraz zmysłami: ściany, ciemność, ciepłe, nieruchome powietrze, wypełniające jego czaszkę mieszanką nieprzyjemnych woni. Coś tutaj gniło, procesom rozkładu, towarzyszyła mdląca, słodkawa woń i kwaśny odór, który drażnił jego migdałki. Nie musiał szukać daleko, by odnaleźć źródło tego smrodu. W pomieszczeniu wałało się całe mnóstwo śmieci, pod ścianą po lewej tworzyły one stertę wysokości siedmiu, a może ośmiu, stóp. Podeszedł, by uważniej przyjrzeć się śmieciom, a równocześnie zastanawiał się, skąd dochodzi rozjaśniające pokój światło. Nie było tu okien, a jednak w ścianach widniały wąskie nitki pęknięć, przez które przesączał się silny blask. Nie było to, jak stwierdził, światło dnia. Wydawało się cieplejsze, choć nie mogło równać się pod tym względem z ogniem w kominku czy płomykiem świecy.

Przejrzenie zawartości sterty śmieci pod ścianą przyniosło kolejną niespodziankę – choć większość odpadków stanowiła zwarta masa o bliżej nieokreślonej zawartości, można było dostrzec wśród niej kilka dużych gałęzi drzew. Czy to wszystko zostało zmyte na skały, zastanawiał się i z jakiegoś powodu przyniesione przez Rukenua do domu? Z całą pewnością te odpadki nie pochodziły stąd, na Tiree bowiem nie rosły drzewa. A te gałęzie wcale nie były małe. Największe z nich miały grubość uda Willa.

Zostawiając górę odpadków za sobą, dotarł do łukowatego przejścia wiodącego do sąsiedniego pomieszczenia. Wyglądało równie odpychająco. Takie same ziemiste ściany i podłoga, sklepienie tak wysokie, że prawie nie było go widać, ale wykonane z tej samej błotnistej substancji. Jeżeli ów dom faktycznie stanowi odbicie obecnego stanu świata, pomyślał Will, to jest z nim naprawdę kiepsko.

Ta myśl obudziła w nim pewne podejrzenia. A jeśli jednak teoria, którą wysnuł w rozmowie z Frannie, była słuszna, a to obrzydliwe miejsce stanowi lustro, w którym Domus Mundi odbija obraz jego duszy?

Jeżeli od wyjścia ze śpiączki nauczył się czegokolwiek, to tylko tego, że relacje pomiędzy jego umysłem i odbieraną przezeń rzeczywistością nie były stałe i niezmiennie. Przypominały żarliwych kochanków przeżywających gorący romans, nieustannie modyfikujących swoje pasje w świetle tego, co ich zdaniem odczuwała druga strona. To miejsce było na tyle sprytne, że z pozoru wydawało się niewidzialne. Nie trzeba było dużej wyobraźni, aby uwierzyć, że miejsce takie jak to mogło posiadać znacznie bardziej skomplikowane sposoby obrony, a cóż było w stanie silniej przerazić potencjalnych intruzów niż konfrontacja z mrokami ich własnych umysłów?

Zastanawiał się nad sposobem sprawdzenia tej tezy – jak mógł przebić się przez otaczające go warstwy zgnilizny i odnaleźć kryjącą się pod nimi moc, zakładając, że takowa rzeczywiście istnieje. Rozmyślając, baczniej przyjrzał się zawartości pomieszczenia, w którym się obecnie znajdował. Wśród śmieci dostrzegł kilka znajomych przedmiotów codziennego użytku. W kącie wały się resztki starego krzesła, a obok nich przewrócony stół, pośrodku którego rozpalono ognisko. Ruszył ku niemu, zaciekawiony, zastanawiając się, na jakie ślady może natrafić. Ktoś spożywał tam posiłek; wśród popiołów Will dostrzegł kawałki ryby i owoce – parę jabłek, pomarańczę oraz nadgryzione, rozerwane na pół mango. A jeśli to projekcja jego umysłu – czy mogły to być spalone wspomnienia miłosnej uczty Drew?

Przykucnął, by zbadać dowody, wziął największy kawałek mango i powąchał. Sok był lepki, zapach słodki, kuszący. Jeżeli to było iluzją, to doprawdy najwyższej klasy. Cisnął owoc w popioły i wstał, lustrując wnętrze pomieszczenia w poszukiwaniu innych rzeczy, które mógłby obejrzeć. Obszedł pokój i zbadał ziemię. Tak jak przypuszczał, była ona miejscami wilgotna, jak ropiejąca rana. Dotknął jednego z bardziej wilgotnych miejsc i na jego palcach pozostały ślady brudu. Powtórzył tę czynność, zatapiając palce w błocku. Zagłębiły się na mniej więcej pół cala i zapewne udałoby mu się wsunąć je głębiej, lecz nagle jego rękę przeszło dziwne świerzbienie, przenikające przez nadgarstek aż do przedramienia. Cofnął rękę i natychmiast zorientował się, gdzie wcześniej poczuł coś podobnego: te same doznania wsączyły się w jego ścięgna, kiedy był z Rosą w domu Donnellych, i później podczas konfrontacji ze Steepem. Ta świetlista materia stanowiła esencję Rosy, Jacoba i Domus Mundi.

Znów zapragnął poddać się temu doznaniu, ale nie miał na to czasu. Musiał skupić się na swoim celu. Oddalił się od ściany i przyjrzał się jej z uwagą. Z miejsc, gdzie jego palce przebiły skorupę błota, wysączała się kojąca poświata. To nie wymysł mojego umysłu, stwierdził w duchu, z nagłym i nieuchronnym przekonaniem. Błoto i światłość, które skrywała, ryba i owoce walające się wśród popiołów, to wszystko było jak najbardziej realne. Przepelniony nową pewnością siebie podszedł do najbliższych drzwi (w pokoju było ich troje) i wszedł do wąskiego, acz bardzo wysokiego przejścia. Pokonał około dwudziestu jardów, rozmyślając po drodze, że albo dom zajmuje cały szczyt Kenavary, aż do krawędzi skał, albo w jakiś sposób konstrukcja budynku opiera się prawom fizyki i obejmuje mniej przestrzeni w świecie zewnętrznym, niż można by przypuszczać, sądząc po jego rozmiarach. Już miał wejść do kolejnego pokoju, kiedy z głębi korytarza dobiegł go czyjś szloch. Podążając w stronę źródła tego dźwięku, minął niewielki antezambur i wszedł do największego spośród wszystkich odkrytych dotąd pomieszczeń i bardziej niż pozostałe zaśmieconego. Wszędzie wały się sterty niemożliwych do rozpoznania odpadków. Napotkał jednak ślady świadczące, że ktoś próbował zaprowadzić wśród chaosu choć odrobinę porządku. W pokoju stał stół i krzesło, a w kącie ułożono prymitywne posłanie z liści i gałązek, za poduszkę służyła stara, zrolowana kurtka.

Nie musiał się zbytnio trudzić, by odnaleźć mężczyznę mieszkającego w tych prymitywnych warunkach – człowiek ten klęczał po drugiej stronie pokoju, naprzeciwko drzwi, przez które wszedł Will. Na ziemi przed mężczyzną widniała zagadkowa konstrukcja z patyków, gliny i kamieni, w którą nieznanemu wpatrywał się, szlochając i zakrywając dłońmi twarz.

Will znalazł się mniej więcej pośrodku pomieszczenia, zanim mężczyzna uniósł wzrok. Ledwie spostrzegł przybysza, poderwał się energicznie na nogi i opuścił ręce; twarz, którą nimi przesłaniał, była brudna z wyjątkiem miejsc oczyszczonych przez łyż. Trudno było określić jego wiek, ale Will ocenił, że tamten nie ma jeszcze trzydziestki. Jego ozdobione okularami oblicze było wychudzone i brudne, a pozlepiana broda i wąsy aż się prosiły o przystrzyżenie, podobnie zresztą jak włosy. Ubranie mężczyzny prezentowało się równie fatalnie jak on sam, wyświechtana koszula i dżinsy aż świeciły się z brudu, opinając sztywno jego wynędzniałe i wątłe ciało. Spojrzał na Willa z mieszaniną strachu i niedowierzania.

–Skąd przybyłeś? – zapytał.

Sądząc po akcencie, pod tą warstwą brudu krył się wykształcony Anglik.

–Przyszedłem... z zewnątrz – powiedział Will.

–Kiedy?

–Parę minut temu.

Mężczyzna wstał i podszedł do Willa.

–Którędy przyszedłeś? – zapytał. I zniżając głos dodał: – Czy mógłbyś znaleźć drogę powrotną?

–Tak, oczywiście – odparł Will.

–O Boże, Boże – powtarzał mężczyzna, oddychając coraz szybciej. – To jakaś sztuczka, prawda?

–Dlaczego miałbym mieć cię sztuczkami?

–Abym o niej zapomniał. Abym jej nie szukał. – Zmrużył powieki i zaczął przyglądać się Willowi podejrzliwie. – Chcesz mieć ją dla siebie.

–Kogo?

–Diane! Moją żonę! – Jego podejrzenia przerodziły się w pewność. – O tak, właśnie tak! O to ci chodzi, prawda? To jeden z żartów Rukenaua, próbuje mnie omamić, zmącić mój umysł. Czemu jest taki okrutny? Przecież zrobiłem wszystko o co prosił, nieprawdaż? Wszystko. Dlaczego nie pozwoli nam odejść? – Jego błagalny ton przerodził się w zuchwale rzucone wyzwanie. – Nigdzie bez niej nie pójdę, słyszysz? Nie odejdę bez niej! Odmawiam! Jeżeli będzie trzeba, zgniję w tym przeklętym miejscu. To moja żona i nie zostawię...

–Rozumiem – mruknął Will.

–Mówię poważnie...

–A ja powiedziałem, że rozumiem.

–Jeżeli wydaje mu się, że zdoła mnie zranić...

–Przymkniesz się choć na chwilę?!

Mężczyzna przestał protestować, zamrugał i lekko przekrzywiwszy głowę, spojrział zza szkieł okularów na Willa.

–Przyszedłem tu zaledwie przed trzema minutami. Przysięgam. A teraz, czy moglibyśmy porozmawiać normalnie?

Wybuch Willa najwyraźniej wprawił tamtego w zakłopotanie.

–A więc to miejsce pochwyliło także ciebie – rzekł półgłosem.

–Nie – odrzekł Will. – Nie zostałem pochwycony. Wszedłem tu z własnej woli.

–Po co?

–Żeby odnaleźć Rukenaua.

–Szukasz Rukenaua? – spytał mężczyzna, jakby to, co usłyszał, było świadectwem obłądzenia Willa.

–Tak. Wiesz, gdzie mogę go znaleźć?

–Może – odparł wymijająco mężczyzna.

Will podszedł do niego.

–Jak ci na imię?

–Theodore.

–Czy ludzie mówią do ciebie „Theodore”?

–Nie. Mówią mi „Ted”.

–Czy ja też mogę się tak do ciebie zwracać? Zgadzasz się?

–Tak. Chyba tak.

–Dobry początek. Ja jestem Will. Albo Bill. Albo Billy. Wszystko tylko nie William. Nie znoszę imienia William.

–A ja nie cierpię imienia Theodore.

–Cieszę się, że to ustaliliśmy. A teraz, Ted, chciałbym, żebyś mi zaufał. Właściwie musimy zaufać sobie nawzajem, bo obaj tkwimy w tym bagnie, zgadza się? – Ted skinął głową. – Dobrze. To może opowiesz mi teraz o... – Już miał powiedzieć „Rukenaule”, ale w ostatniej chwili zmitygował się i dokończył: – Swojej żonie.

–O Diane?

–Tak. O Diane. Jest gdzieś tutaj, prawda? – Ted znów spuścił wzrok i nieznacznie pokiwał głową. – Ale nie wiesz gdzie.

–Wiem... mniej więcej – padła odpowiedź.

Will zniżył głos.

–Czy ma ją Rukenau?

–Nie.

–No to nic już z tego nie rozumiem – przyznał Will. – Wobec tego, gdzie on jest?

Wargi Teda zacisnęły się, a oczy za brudnymi szklami okularów zwężyły się w wąskie szparki. Znów przekrzywił głowę jak ptak i spojrzał na Willa. W końcu postanowił mówić. – Nie chcieliśmy tu przyjść. Po prostu spacerowaliśmy, no wiesz, wśród skał. Przed ślubem lubiłem obserwować ptaki i przekonałem Diane, aby mi towarzyszyła. Nie robiliśmy nic niestosownego. Po prostu spacerowaliśmy i obserwowaliśmy ptaki.

–Nie mieszkanie na wyspie.

–Nie. Byliśmy na wakacjach, wędrowaliśmy od jednej wyspy do drugiej. Taki drugi miesiąc miodowy.

–Długo tu jesteście?

–Nie jestem pewien. Chyba zjawiliśmy się tutaj dwudziestego pierwszego.

–Października?

–Nie. Czerwca.

–I od tej pory nie wychodziłeś na zewnątrz?

–Tylko raz, całkiem przypadkowo udało mi się odnaleźć drzwi. Ale jak mógłbym odejść, pozostawiając tu Diane? Nie zrobiłbym tego.

–Czy jest tu ktoś jeszcze?

Głos męczyzny przerodził się w szept.

–O, tak. Jest jeszcze on...

–Rukenau?

–Są też inni. Ludzie, którzy weszli tu jak Diane i których on już nie wypuścił. Słyszę ich od czasu do czasu. Jeden z nich śpiewa hymny. Próbowałem sporządzić mapę.

Spojrzał na śmieci walające się po ziemi. Patyki, kamienie i małe kupki ziemi miały najwyraźniej odwzorowywać w miniaturze dom, w którym się znajdowali.

–Powiedz mi, co gdzie się znajduje – poprosił Will, przykucając obok mapy.

Czuł się jak więzień planujący ucieczkę z szalonym kumplem spod celi; to wrażenie jeszcze bardziej spotęgował wyraz dumy malujący się na twarzy Teda, gdy przykucnął z drugiej strony i zaczął udzielać mu wyjaśnień.

–My jesteśmy tutaj – rzekł, wskazując miejsce w mini labiryncie. – To moja baza operacyjna. Ten mały biały kamyk to facet, który śpiewa hymny. Jak już mówiłem, nigdy go nie widziałem, bo kiedy próbuję się do niego zbliżyć, zaraz ucieka.

–A co to jest? – zapytał Will, kierując uwagę Teda na duży obszar poprzecinany nakładającymi się na siebie kawałkami nici.

–To pokój Rukenaua.

–Tak blisko? Sądziłem, że będzie znacznie dalej – rzekł Will, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu drzwi, za którymi znajdzie Rukenaua.

–Nie chcesz tam wejść – stwierdził Ted. – Przysięgam.

Will wstał.

–Nie musisz iść ze mną – powiedział.

–Ale potrzebuję cię, abys pomógł mi odnaleźć Diane.

–Skoro wiesz, gdzie ona jest, dlaczego sam po nią nie pójdziesz?

–Bo tam, gdzie poszła... ja nie mogę się dostać. To zbyttno mnie przytłacza.

Wydawał się zdeprimowany tym wyznaniem.

–Czuję się zdruzgotany.

–Przez co?

–Przez emocje. Odczucia. Światło. Rzeczy, które napływają mi do głowy. Nawet Rukenau nie może tego znieść.

To zaciekało Willa jeszcze bardziej. O ile dobrze pojmował bredzenia Teda, część tego domu nadal wyglądała tak, jak opisał mu ją przed laty Jacob Steep. „Jest naprawdę cudowny” – rzekł do Simeona. „Gdybyśmy byli razem, moglibyśmy wejść bardzo daleko w głąb niego. Moglibyśmy ujrzeć Nasiono Nasion. Przysięgam”.

I zapewne właśnie tam była teraz żona Teda. Zapuściła się w głąb domu, gdzie osoby o słabym sercu nie mogły dotrzeć, nie płacąc za to słonej ceny.

–Chciałbym najpierw porozmawiać z Rukenauem – powiedział Will. – A potem pójdziemy jej poszukać. Obiecuję.

Oczy Teda wypełniły się łzami i wykonał on typowy gest będący dla przeciętnego Anglika wyrazem spontanicznego podziękowania – ujął dłoń Willa i mocno potrząsnął.

–Powiniennem dać ci jakąś broń – powiedział. – Nie mam jej za wiele, zaledwie kilka zaostrzonych patyków, ale lepsze to niż nic.

–Po co nam broń?

–Jest tu sporo zwierząt. Usłyszysz je przez ściany.

–Zaryzykuję.

–Na pewno?

–Oczywiście. Dziękuję.

–Jak chcesz – powiedział Ted. Podszedł do niedużej sterty patyków leżących przy jego łóżku. – Wezmę dwa, na wypadek gdybyś zmienił zdanie – powiedział. A potem wyprowadził Willa ze swego małego pokoiku. Sąsiednie pomieszczenie tonęło w półmroku i Will dopiero po dłuższej chwili zdołał przyzwyczać oczy do słabego oświetlenia.

–Wolniej – rzucił do Teda, który przemierzył już całą długość mrocznego pokoju i znalazł się przy łukowatym przejściu po drugiej stronie.

Chcąc go jak najszybciej dogonić, spróbował podbiec, ale potknął się o coś i runął jak długi. To, na czym wylądował, było zaopatrzone w długie, wystające kolce. Ostre zadziory podrapały mu twarz i bok, rozdarły spodnie i przebiły nogę. Krzyknął z bólu, a następnie zaklął na czym świat stoi, usiłując podnieść się z ziemi. Ted przyszedł mu z pomocą i już miał uwolnić go od raniących kolców, kiedy głośny zgrzyt, rozlegający się gdzieś w pobliżu, sprawił, że Ted zamarł

w bezruchu.

–O, Boże, nie – wyszeptał mężczyzna.

Will uniósł wzrok. Do pokoju wlewało się światło, cieplejsze niż poświata bijąca ze ścian, jej źródłem były drzwi, które otworzyły się na drugim końcu pokoju. Były dwukrotnie większe od człowieka i miały nieco ponad stopę grubości. Otwierały się dzięki skomplikowanemu systemowi lin i ciężarków. W pomieszczeniu za nimi płonęło jedno, a może nawet kilka ognisk, w powietrzu unosiły się jakieś kształty, skąpane w kłębach dymu. Zaś z samego serca tych gęstych oparów wypłynęły słowa:

–Czy masz coś dla mnie, Theodorze?

Sądząc po wyrazie twarzy Teda, mężczyzna pragnął jak najszybciej wziąć nogi za pas. Nie ulegało jednak wątpliwości, że był zbyt przerażony, wstrząśnięty lub zastraszone, by rzucić się do ucieczki.

–Chodźcie do mnie – rzekł głos. – Obaj. I odłóż te patyki, Theodorze.

Zrozpaczony Ted pokręcił głową i cisnąwszy patyki na podłogę, ruszył niepewnie w stronę drzwi, jak pies, który boi się, że zaraz dostanie burę.

Will wstał i pospiesznie oszacował swoje obrażenia. Do tej pory nie potrafił określić, czy są poważne. Okazało się, że nie. Ot, kilka zadrapań i to wszystko. Ted był już przy drzwiach, szedł wolno z nisko zwieszoną głową. Will nie przejawiał równie wielkiej pokory. Z dumnie uniesioną głową i zuchwałym spojrzeniem przemaszerował przez anteszambry i wyminąwszy Teda w progu, wszedł do środka, by stanąć przed obliczem Gerarda Rukenua.

JEDENAŚCIE

Choć teoretycznie zejście powinno być dla Frannie prostsze, zwłaszcza że im niżej się zapuszczała, tym łagodniejsza była stromizna, to jednak w niższych partiach rozpadliny kamienie były bardziej omszałe i śliskie i tym trudniej było o uchwyty dla dłoni i stóp. Nieraz była bliska osunięcia się w głąb parowu i zapewne tak by się stało, gdyby nie odwróciła się bokiem i nie zapobiegła upadkowi, zapierając się o ściany. Jeżeli to przeżyje, pomyślała, zostanie mi na pamiątkę komplet pięknych siniaków.

Był jeszcze inny problem; w głębi rozpadliny panował większy mrok, niż się spodziewała. Gdy uniosła wzrok, co uczyniła wbrew sobie i zdrowemu rozsądkowi, zorientowała się co było tego przyczyną. Podczas jej zejścia niebo zasnuło się chmurami, i miało teraz barwę ołowiu. Niedługo zacznie padać, a to stawiało pod znakiem zapytania powrót na szczyt rozpadliny. Cóż, teraz już było za późno na żale. Udało się jej zejść na dół, nie odnosząc przy tym poważniejszych obrażeń, może zdoła później znaleźć prostszą drogę na górę. Miała nadzieję, że wróci na powierzchnię z Willem.

Nie oderwała dłoni od ścian parowu, dopóki nie poczuła pod stopami twardego podłoża. Kiedy to się stało, powiodła wzrokiem w głąb żlebu, by odnaleźć Willa, ale przeszkodził jej nawis skalny powyżej. Ruszyła w stronę miejsca, gdzie ujrzała ciało, nawołując Willa i zapewniając, że już do niego idzie. Nie doczekawszy się odpowiedzi, zaczęła obawiać się najgorszego: że Will ma pękniętą czaszkę, złamany kark, że znajdzie go leżącego bez życia na zimnym kamienistym podłożu. Przygotowując się w duchu na najgorsze, schyliła się, by przejść pod nawisem, i oto jej oczom ukazało się leżące o kilka jardów dalej ciało, którego widok skłonił ją do zejścia w głąb tej rozpadliny. To nie był Will. Boże Świąty, to nie był Will! Bez wątpienia było to ciało ludzkie, ale wyglądało na to, że leży tu już od bardzo dawna. Właściwie to była mumia, owinięta w bandaże i płótna. Naturalnie, Frannie poczuła wielką ulgę, ale równocześnie złość na samą siebie, że schodząc tu, zmarnowała tyle czasu i sił. Zebrała się w sobie i nieco uważniej przyjrzała zwłokom: kilka warstw bandażu przegniło i pękło, odsłaniając skórę barwy tytoniu. Największe i najbardziej wstrząsające wrażenie wywarł na niej widok głowy nieboszczyka, wyschnięta skóra opinała ciasno kości czaszki, spod pomarszczonych, rozchylonych warg wyzierały perłowe zęby. Czy to Rukenau? – zastanawiała się. Czyżby umarł i został tu pochowany, a raczej ukryty, przez swoich uczniów, lub może przerażonych, zabobonnych wyspiarzy, którzy nie odważyli się złożyć jego kości w poświęconej ziemi? Przyglądała się ciału w poszukiwaniu jakichś wskazówek. Obeszła zwłoki dookoła. Wtem w zbutwiałych szczątkach trumny odkryła dowód, którego potrzebowała, by zidentyfikować zmarłego – kolekcję złożoną z pół tuzina pędzli, związanych szpagatem i zabezpieczonych czymś, co wyglądało jak laka. Aż westchnęła z zadowoleniem, że udało się jej rozwikłać tę zagadkę. To nie był Rukenau: miała przed sobą ciało Thomasa Simeona. Jak przez mgłę pamiętała, co napisano na ten temat w książce. Ciało zostało wykradzione, a ktoś, być może Dwyer, sugerował, że być może zabrano je na północ i pogrzebano na wyspie Rukenaua. I rzeczywiście tak było. Dziwny i w pewnym sensie żaloszny koniec dziwnego, żaloszego życia – ciało wypełnione czymś, czego wówczas używano w charakterze płynu do balsamowania,

owinięte pieczolowicie w bandażu i płótna (naturalnie najlepszej jakości), aby można było je ukryć jak sekretny skarb.

Cóż, przynajmniej poznała odpowiedź na jedno z nurtujących ją pytań. Ale w tej sytuacji ważniejsze było inne: Skoro Willa nie było tu, na dole, to gdzie się, do cholery, mógł podziać? Nie odpowiedział na jej wołanie, a zatem było całkiem możliwe, że coś mu się stało. Pytanie brzmiało: Gdzie jest teraz Will?

Zaczął padać, a sądząc po strugach wody ściekających po zboczach parowu, lało jak z cebra. Próba wejścia na górę tą samą drogą, którą zeszła, była zbyt ryzykowna; musiała znaleźć inny sposób. Do oceanu było stąd za daleko, toteż postanowiła najpierw dotrzeć na drugi koniec parowu, w nadziei że stok z tamtej strony okaże się łatwiejszy do wspinaczki. Gdyby jej przypuszczenia okazały się błędne, spróbuje szczęścia na drugim końcu żlebu, choć sądząc po odgłosach fal bijących o skały, raczej trudno byłoby jej wspiąć się po tamtym zboczu, nie ryzykując, że zostanie zmyta do oceanu. Tak czy owak, alternatywy nie wyglądały kusząco, ale cóż, skoro sama nawarzyła tego piwa, musiała teraz sama je wypić.

Z tą myślą ruszyła w stronę krańca parowu. Przeszła kilka jardów. Było tu nieco jaśniej. Odległość między ścianami wydawała się tutaj nieco większa, strugi deszczu zalewały ją niemiłosiernie. Deszcz był zimny, ale Frannie po sporym wysiłku spocona i rozpalona. W tej samej chwili usłyszała głos Steepa:

–Spójrz tylko, w jakim jesteś stanie.

Pomimo potwornego wycieńczenia Rosa nie pozostała w miejscu gdzie zostawiła ją Frannie, lecz zaczęła powoli, z mozolem pełznąć w stronę skał na krańcu parowu. Tam osunęła się ciężko, niezdolna do wykonania najdrobniejszego ruchu. Jej kończyny były jak z ołowiu. I tam właśnie odnalazł ją Steep. Trzymał się od niej na dystans, podchodząc tylko na chwilę, by odsunąć jej dłoń od trawy, po czym zaraz się cofnął, jakby w obawie, że słabość Rosy może być zaraźliwa.

–Zabierz mnie do środka – zwróciła się do niego.

–Czemu miałbym to zrobić?

–Ponieważ umieram, a chcę tam być... chcę po raz ostatni zobaczyć Rukenaua.

–On nie zechce oglądać cię w takim stanie – odparł Jacob. – Rannej i zasapanej.

–Proszę, Jacobie. Sama nie dam rady.

–Widzę.

–Pomóż mi.

Jacob zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym rzekł:

–Raczej nie. Uważam, że lepiej będzie, jeśli pójdę do niego sam.

–Jak możesz być tak okrutny?

–Jestem taki, ponieważ mnie zdradziłaś, kochanie, odchodząc z Willem. Zmusiłaś mnie, bym szukał cię jak zaginionego psa.

–Nie miałam wyboru – zaprotestowała Rosa. – Nie przywiózłbyś mnie tutaj.

–To prawda – przyznał Steep.

–Choć, Bóg jeden wie, po tym wszystkim co wspólnie wycierpieliśmy, tak wiele smutku... – Odwróciła wzrok od Steepa, drzenie jej ciała narastało. – Często tak sobie myślałam, że... gdybyśmy mieli zdrowe dzieci, być może z czasem oboje byśmy złagodnieli, miast pograżać się w coraz większym okrucieństwie.

–Chryste Panie, Roso – rzekł Steep głosem ociekającym pogardą. – Chyba nie uwierzyłaś w te bzdury? Mieliśmy zdrowe dzieci.

Nie poruszyła głową, ale jej oczy ponownie zwróciły się w stronę Steepa.

–Nie – wymamrotała. – One były...

–Zdrowe. Idealne, doskonałe, zdrowiutkie noworodki.

–Mówiłeś mi, że nie miały mózgów...

–Były w pełni ukształtowane, wszystkie, co do jednego.

–Nie...

–Zapładniałem cię, żebyś była szczęśliwa, a potem zabijałem je, żeby nie plątały się pod nogami. Naprawdę nie wiedziałaś? Myślałem, że zorientowałaś się już dawno temu.

Rosa milczała.

–Głupia z ciebie kobieta.

Dopiero teraz się odezwała.

–Moje dzieci... – wyszeptała tak cicho, że nie usłyszał jej słów.

–Co powiedziałaś? – spytał, nachylając się lekko w jej stronę.

Zamiast odpowiedzieć, wrzasnęła:

–Moje dzieci!

Siła jej głosu strzaskała skałę, na której leżała. Jacob próbował się wycofać, ale rozpacz dodała jej ściegnowi sił i Rosa dopadła go, zanim zdążył usunąć się poza zasięg jej rąk. Krzyk nie był jedyną bronią, której użyła przy tym ataku. W chwili, kiedy go pochwyciła lewą ręką, prawą zdarła bandażę i opatrunek, a z rany na jej ciele wypłynęła jasność, tak silna i żarłoczna, jakby chciała go pożreć...

W parowie poniżej, Frannie ledwie zdążyła zasłonić uszy dłońmi, by zagłuszyć wrzask, kiedy poczuła syjący się na nią grad małych kamyków i wilgotnej ziemi. Podpełzła bliżej krańca żlebu, żeby lepiej słyszeć przebieg rozmowy. Teraz pożałowała swojej ciekawości. Dźwięki wydawane przez Rosę wywołały u Frannie mdłości, nic nie było ich w stanie powstrzymać. Odwróciła się, jej ciało zareagowało instynktownie, po czym weszła chwiejnym krokiem w głąb parowu, jej stopy ślizgały się po kamieniach. Przeszła jakieś sześć, siedem jardów, kiedy spory fragment gruntu, naruszony wrzaskiem Rosy oderwał się i runął w dół.

Ujrzawszy jasność bijącą z brzucha Rosy, Steep uniósł dłonie, by osłonić twarz, obawiając się, że światło może go oślepić. Lecz jasność nie skierowała się ku jego twarzy, sercu ani nawet kroczu. Światło poszukiwało jego ręki, a raczej rany po wewnętrznej stronie dłoni, zadanej ostrzem noża.

I wtedy Jacob krzyknął, jego ryk zlał się z wściekłym wrzaskiem Rosy, tworząc tak potężną kombinację, że w całej okolicy zatrzęsa się ziemia. Doszło do osunięcia gruntu.

Ptaki przestały kołować po niebie i czym prędzej powróciły do swych bezpiecznych gniazd. W oceanie foki zanurkowały w głębinę, by nie słyszeć tego potwornego hałasu. Wśród wydm zajmujące schowały się w swoich norach, a bydło na polach oddawało z przerażenia kał.

W domach oraz pubach Barrapolu, Crossapolu i Balephuil, a także na drogach pomiędzy nimi mężczyźni i kobiety w jednej chwili przerwali swe codzienne czynności. Wymieniali zaniepokojone spojrzenia, a ci, którzy byli sami, natychmiast zaczęli szukać towarzystwa.

I nagle, równie niespodziewanie, jak się zaczęło, zjawisko dobiegło końca.

Lawina, która zeszła do żlebu, potrwała jednak nieco dłużej. Osypujące się kamienie były coraz większe, w miarę dalszego osuwania się ziemi powietrze wypełniło się kurzem i rumoszem do tego stopnia, że Frannie nic nie widziała. Wycofała się do miejsca ostatniego spoczynku Thomasa Simeona i tam zaczęła, podczas gdy całym parowem, od końca do końca wstrząsały kolejne drgania.

Wreszcie lawina ustała, a unoszący się w powietrzu pył zaczął opadać. Mimo to Frannie odczekała jeszcze kilka chwil, w obawie, że z góry znów dobiegnie ją kolejny dźwięk albo nastąpi jeszcze jedno osunięcie się ziemi. Nic takiego jednak się nie stało i po minucie lub dwóch zaczęła się wspinać po zboczu, by zorientować się w sytuacji powyżej. Pomimo wciąż unoszącego się w powietrzu kurzu wydawało jej się, że jest jakby trochę jaśniej. Ziemia otaczająca koniec żlebu całkiem się zapadła, tony potrzaskanych kamieni, ziemi i kęp trawy runęły w głąb rozpadliny, tworząc w niej chaotyczną skarpe. Przynajmniej miała jak się wydostać, gdyby zdecydowała się zaryzykować tak niebezpieczną wspinaczkę. Zlustrowała skraj otworu, wypatrując jakichś oznak życia, ale ich nie dostrzegła. Jeżeli nie liczyć osypywania się niewielkich grudek ziemi z krawędzi nowo powstałego otworu, panował tam całkowity bezruch.

U podnóża nasypu przystanęła, by opracować pospiesznie plan podejścia pod górę, po czym zaczęła się wspinać. To było prostsze niż zejście, ale mimo wszystko niełatwe. Kamienie dopiero co osiadły i przy każdym kroku obawiała się, że usuną się jej spod nóg, a tymczasem jeszcze się rozpadało i strugi deszczu zaczęły rozmywać ziemię, zmieniając ją w gęste blocko. Pokonawszy jedną trzecią dystansu, musiała piąć się dalej na czworakach, i w efekcie już po chwili była ubłocona od stóp do głów. To nieistotne, grunt, że nie musiała się teraz obawiać, że runie do tyłu, a gdyby zawiódł ją uchwyt jednej dłoni lub stopy, zawsze miała jeszcze trzy inne, na których mogła się wesprzeć.

Od szczytu osuwiska dzieliło ją zaledwie kilka jardów, gdy poczuła, że coś dotknęło jej nogi. Spuściła wzrok i zamarła z przerażenia na widok Rosy, na wpół zagrzebanej w zwałach ziemi, jej wyciągnięta ręka zaciskała się wokół kostki Frannie. Wyraz twarzy Rosy nie przypominał żadnego, jaki Frannie miała okazję widzieć u istoty ludzkiej, usta były groteskowo rozchylone, jak u wyciągniętej na brzeg ryby, złociste oczy pomimo padających na nie kropel deszczu ani razu nie mrugnęły.

–Steep? – wyszeptała.

–Nie. To ja. Frannie.

–Czy Steep spadł?

–Nie wiem. Nie widziałam...

–Podnieś mnie – zażądała Rosa, Sądząc po ułożeniu jej ciała, miała wiele złamań i pogruchotanych kości, ale nie dbała o to. – Podnieś mnie – powtórzyła. – Wejdziemy do domu, ty i ja.

Frannie nie była pewna, czy wystarczy jej sił, by wciągnąć ranną choćby na szczyt osuwiska. Jeżeli jednak mogła to dla niej zrobić, na pewno się nie zawaha. To będzie ostatnia przysługa, jaką wyświadczy Rosie. Kobieta dogorywała, była o krok od śmierci, jak można było sądzić po urywanym, przyspieszonym oddechu i gwałtownych dreszczach wstrząsających jej ciałem.

Zmieniając ułożenie stóp na kamieniach, Frannie schyliła się, by odgarnąć ziemię z ciała Rosy. Zauważyła, że Rosa zerwała bandażę i choć rana była częściowo zasklepią błotem, z jej głębi biła ta sama opalizująca, niezwykła poświata, którą po raz pierwszy ujrziała w domu Donnellych.

–Czy to dzieło Steepa? – spytała.

Rosa wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w niebo.

–Oszukał mnie co do moich dzieci – powiedziała.

–Słyszałam.

–Oszukał mnie i odebrał mi całe moje życie. Dopilnuję, żeby za to zapłacił. Będzie cierpiał jak nigdy dotąd.

–Jesteś za słaba.

–Teraz rana dodaje mi sił – odparła Rosa. – On boi się tego co we mnie zranił. – Na jej twarzy wykwitł potworny uśmiech, wyglądała teraz jak ucieleśnienie śmierci. – Ponieważ to otworzyło ranę w nim samym.

Frannie nie próbowała tego zrozumieć. Zabrała się do odgarniania ziemi z ciała, a gdy już się z tym uporała, spróbowała podnieść Rosę do pozycji, z której mogłaby podźwignąć ją w górę. Gdy wsunęła dłonie pod ramiona Rosy, ku swemu zdziwieniu poczuła napływające do jej ciała nowe siły. Stało się ono zdolne, by sprostać temu, co jeszcze przed chwilą było absolutnie niewykonalne. Wywlokła Rosę z ziemi i wciągnęła (nie bez wysiłku, ale z nadzwyczajną pewnością siebie) na szczyt osuwiska. Teren powyżej wyglądał jak pole bitwy. W ziemi otwarły się nowe rozpadliny, rozchodzące się od miejsca gdzie Rosa i Jacob stoczyli swój pojedynek.

–Teraz w lewo... – powiedziała Rosa.

–Tak?

–Widzisz ten fragment otwartej przestrzeni?

–Tak.

–Zanieś mnie tam. Dom jest właśnie tam.

–Nic nie widzę.

–To dlatego że on potrafi ukryć się przed twoim wzrokiem. Ma swoje sposoby. Ale jest tam. Możesz mi wierzyć, on tam jest. I chce, żebyśmy weszły do środka.

DWANAŚCIE

Odgłos lawiny dotarł do Domus Mundi, ale Will nie zwrócił na niego uwagi, pochłonięty widowiskowością sceny, którą miał przed, a raczej nad sobą. Albowiem to właśnie tam Gerard Rukenau, ów satyryczny kaznodzieja, założył swoją siedzibę. Olbrzymią część pomieszczenia zajmowała złożona instalacja z lin i platform, z których najniższe zwisały się na wysokości głowy rosłego mężczyzny, najwyższe zaś nikały wśród cieni kopułowego sklepienia. Węzlaste liny przeplatały się miejscami tak gęsto i były tak pozlepiane detrytusem, że tworzyły niemal solidne przepierzenia, w jednym miejscu znajdowało się coś, co sięgało aż pod sufit i przypominało komin. Osobliwości temu miejscu przydawały rozrzucone to tu, to tam antyki, zapewne pochodzące z tajemniczego domu w Ludlow, skąd Galloway wyzwolił swojego przyjaciela Simeona. Wśród tej kolekcji znajdowało się kilka foteli, zawieszonych na różnej wysokości, oraz dwa lub trzy małe stoliki. Była tu nawet platforma z kilkoma poduszkami i pościelą, gdzie prawdopodobnie Rukenau sypiał. Choć liny i konary, z których wzniesiono całą tę konstrukcję, były upiornie brudne, a meble pomimo dobrej jakości podniszczone, ta obsesyjna instalacja ze sznurów, węzłów, przepierzeń i platform wydawała się piękna w migoczącym blasku, bijącym z mis, pełnych tańczących płomieni, rozstawionych wokół sieci i lśniących niczym gwiazdy na niezwykłym firmamencie. Wtem z wysokości około czterdziestu stóp nad głową Willa, ze szczytu plecionego komina dobiegł głos Rukenaua.

–To jak, Theodore? Kogo mi przyprowadziłeś? – Jego głos brzmiał dźwięczniej niż podczas przywołania. Wydawało się, że Rukenau jest szczerze zaniepokojony, kim może być tajemniczy intruz.

–Ma na imię Will – odparł Ted.

–To akurat słyszałem – rzucił Rukenau – i nie znosi, gdy nazywa się go Williamem, co uważam za w pełni zrozumiałe. Ale słyszałem też, że mnie szukasz, Will, i to bardzo mnie zaintrygowało. Jak to się stało, że szukasz człowieka, który od tak dawna skutecznie ukrywa się przed wzrokiem śmiertelników?

–Są tacy, co do dziś mówią o tobie – powiedział Will, unosząc wzrok ku mrocznemu sklepieniu.

–Nie wolno tego robić – wyszeptał do niego Ted. – Pochyl głowę.

Will zignorował jego radę i wciąż wbijał wzrok w plugawą pajęczynę. Jego zuchwałość została nagrodzona. Ujrzał Rukenaua, schodzącego poprzez miliardy warstw podziemnego świata, prześlizgującego się od jednej wąskiej platformy do drugiej z gracją cyrkowego akrobata. Schodząc, przez cały czas mówił:

–Powiedz no, Will, czy znasz mężczyznę i kobietę, którzy tak okropnie hałasują na zewnątrz?

–Jest tam mężczyzna? – zapytał Will.

–O, tak, jest.

To mógł być tylko jeden mężczyzna, Will wiedział o tym doskonale i miał nadzieję, że Frannie zeszła mu z drogi.

–Tak, znam ich – zwrócił się do Rukenaua. – Sądzę jednak, że ty znasz ich lepiej.

–Być może. Choć upłynęło sporo czasu, odkąd ich stąd przepędziłem.

–Czy zechciałbyś powiedzieć mi, czemu to zrobiłeś?

–Ponieważ mężczyzna nie sprowadził z powrotem do mnie mego Thomasa.

–Thomasa Simeona?

Rukenau się zatrzymał.

–O Jezu. Naprawdę wiesz o mnie to i owo.

–Mimo wszystko chciałbym dowiedzieć się więcej.

–Thomas w końcu do mnie wrócił. Wiedziałaś o tym?

–Po śmierci – mruknął Will.

Ta część historii w dużej mierze opierała się na domysłach, podsycanych teoriami Dwyer, ale miał nadzieję, że jeśli chodzi o Rukenaua, to przekonanie, iż wie o nim więcej niż w rzeczywistości, skłoni tamtego do dalszych zwierzeń. Dwyer chyba miała rację, gdyż Rukenau nagle westchnął głęboko i rzekł:

–To prawda, powrócił do mnie jako nieboszczyk. I śmiem twierdzić, że gdy składałem jego ciało wśród skał, ze mnie także uszła częśćka życia. Miał więcej łaski Bożej w małym palcu, niż ja mam w całym swoim istnieniu. Albo miałem.

Przerwał na chwilę i zamyślił się. Po chwili znów zaczął schodzić po linach i stopniowo jął ukazywać się oczom Willa. Jego ubranie było kiedyś sztywne, teraz jednak, jak wszystko inne w całym domu, pokrywała skorupa brudu i nieczystości. Tylko twarz i dłonie były przeraźliwie blade, tak że mężczyzna przywodził na myśl pozbawionego krwi manekina. W jego ruchach wszakże nie było ani trochę niepewności czy mechanicznej sztuczności. Poruszał się z płynną, wężową gracją, urzekającą do tego stopnia, że Will pomimo blasku oblicza i brudnego odzienia nie był w stanie oderwać od niego wzroku.

–Powiedz mi – rzekł Rukenau, kontynuując schodzenie – w jaki sposób poznałeś osoby, które są teraz przy wejściu do domu?

–Nazywasz ich Nilowcami, zgadza się?

–To niezupełnie tak – odparł Rukenau.

Znów się zatrzymał. Znajdował się teraz o jakieś dziesięć stóp nad głową Willa, przycupnąwszy na platformie z powiązanych ze sobą gałęzi. Przykucnął i spojrzał na Willa przez płataninę sznurów, jak rybak na złowione przez siebie ryby.

–Myślę, że pomimo bystrości twojego umysłu i ostrości wzroku, wciąż nie do końca pojąłeś ich naturę. Mam rację?

–Owszem – odparł Will. – Nie udało mi się tego rozgryźć. I właśnie po to tu przyszedłem, żeby się tego dowiedzieć.

Rukenau wysunął się nieco bardziej do przodu i odgarnął pęk zeszywniałych od brudu lin, by lepiej przyjrzeć się Willowi, a tym samym Will miał okazję zobaczyć wyraźniej Rukenaua. Skojarzenie z węzłem budził nie tylko za sprawą płynności ruchów. Jego ciało lśniło jak skóra węża, a poza tym było całkowicie pozbawione owłosienia. Rukenau nie miał brwi, rzęs ani zarostu na podbródku czy policzkach. Jeżeli było to efektem jakiejś choroby, to nie przejawiał żadnych innych jej symptomów. Wprost przeciwnie, zdawał się tryskać zdrowiem, jego oczy błyszczały, a zęby lśniły śnieżną bielą.

–Przybyłeś tu z ciekawości? – zapytał.

–Po części chyba tak.

–I dlaczego jeszcze?

–Rosa... umiera.

–Szczерze w to wątpię.

–To prawda. Przysięgam.

–A ten mężczyzna? Jacob? Czy on także niedomaga?

–Nie w takim stopniu jak Rosa, ale tak, z pewnością... niedomaga.

–Wobec tego. – Rukenau zamyślił się. – Chyba powinniśmy kontynuować tę rozmowę bez młodego Theodora. Może przyniesiesz mi coś na pokrzepienie, drogi chłopcze?

–Tak jest, panie... – odparł z pokorą Ted.

–Zaczekaj – rzucił Will, chwytając Teda za ramię. – Ted chciałby cię o coś poprosić.

–Tak, wiem, chodzi o jego żonę – mruknął ze znużeniem Rukenau. – Słyszę, jak dzień i noc ją oplakujesz, Theodorze. Obawiam się jednak, że nie mogę nic dla ciebie zrobić. Ona nie chce cię już widzieć. Stałeś się jej obojętny. Tak się właśnie rzeczy mają. Nie bierz tego zbyt do

siebie. Po prostu urzekło ją to przeklęte miejsce.

–Nie podoba ci się tutaj? – spytał Will.

–Czy tu mi się podoba? – Z twarzy Rukenaua w okamgnieniu zniknęła maska dobrodusznej życzliwości. – Will, ten dom to moje więzienie. Rozumiesz o czym mówię? To mój czyściec. Nie, powinienem raczej powiedzieć: moje piekło. – Pochylił się lekko i przyjrzał twarzy Willa. – Kiedy tak na ciebie patrzę, to myślę, czy może jakiś dobry anioł nie przysłał cię tutaj, żebyś mnie uwolnił.

–Wyjście stąd chyba nie powinno być szczególnie trudne – powiedział Will. – Ted mówił, że bez żadnych problemów dotarł do frontowych drzwi...

Rukenau przerwał mu, w jego głosie brzmiało rozdrażnienie:

–Jak sądzisz, co by się ze mną stało, gdybym opuścił te mury? W tym domu zrzuciłem wiele skór, Will, a czyniąc to, oszukiwałem Posepnego Żniwiarza. Jednak z chwilą, gdy wyjdę poza granicę tego odrażającego miejsca, moja nieśmiertelność pryśnie. Sądziłem, że dla człowieka tak bystrego jak ty powinno to być oczywiste. Nawiasem mówiąc, jak w twoich czasach określa się magów? „Nekromanta” zawsze brzmiało w moim odczuciu fatalnie, a „doktor filozofii” za bardzo trąci mistyką. Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, by istniało jedno słowo, które adekwatnie określałoby to, kim jesteśmy. Po części jesteśmy metafizykami, po części zaś demagogami.

–Nie jestem ani tym, ani tym – odparł Will.

–A przecież masz w sobie ducha – wtrącił Rukenau. – Czuję, jak się w tobie porusza. To jakieś zwierzę, prawda?

–Czemu nie zejdziesz i sam tego nie sprawdzisz?

–Nie mogę tego zrobić.

–Dlaczego?

–Już mówiłem. Ten dom to jedno wielkie plugastwo. Poprzysiągłem sobie, że moja noga już nigdy w nim nie postanie. Nigdy więcej.

–Ale to przecież ty go wybudowałeś.

–Jak to możliwe, że tyle o mnie wiesz? – spytał Rukenau. – Czyżbyś dowiedział się tego wszystkiego od Jacoba? Bo jeżeli tak, to znaczy, że wie więcej, aniżeli przypuszczam.

–Powiem ci wszystko, co wiem, i skąd się tego dowiedziałem – rzekł Will. – Najpierw jednak...

Rukenau spojrzał leniwie na Teda.

–Tak, tak, jego nieszczęsna żona. Spójrz na mnie, Theodore. Tak, już lepiej. Czy na pewno chcesz mnie opuścić? Nie chcesz być już dłużej u mnie na służbie? Czy wymagam od ciebie tak wiele, prosząc, żebyś od czasu do czasu przyniósł mi kilka owoców albo ryb?

–Mówiłeś, że nigdy nie opuszczasz tego domu – rzekł Will, zwracając się do Teda.

–Och, on wcale nie musi wychodzić na zewnątrz, aby dostarczyć mi to, czego chcę – ciągnął Rukenau. – Nie będę cię zatrzymywał. Ostrzegam jednak, Theodore, twoja żona może nie podzielać twoich pragnień. Weszła w głąb duszy domu i urzekło ją to co tam odnalazła. Nie mam władzy nad takimi przejawami głupoty.

–Jeżeli jednak zdołam jakoś ją stamtąd sprowadzić? – zapytał Ted.

–Wówczas, jeżeli twój nowy czempion zechce zająć twoje miejsce, wyrażę zgodę, abys odszedł. Co ty na to Will? Czy to uczciwy układ?

–Nie – odparł Will – ale zgadzam się.

Ted rozpromienił się.

–Dziękuję – powiedział do Willa. – Dziękuję. Dziękuję. – Potem zwrócił się do Rukenaua: – Czy to znaczy, że mogę odejść?

–Oczywiście. Znajdź ją. Jeżeli zechce do ciebie wrócić, w co szczerze wątpię...

Te słowa nie starły uśmiechu z ust Teda. W chwilę potem już go nie było, pognął co sił w nogach w stronę drugiego końca pomieszczenia. Zaczął nawoływać żonę, zanim jeszcze znalazł się przy drzwiach.

–Ona do niego nie wróci – mruknął Rukenau, kiedy Ted opuścił pomieszczenie. – Domus Mundi ma ją w swojej mocy. Co Theodore ma jej do zaoferowania? Jak może ją uwieść?

–Może miłością?

–Światu miłość jest obojętna, Will. Podąża swoją drogą, nie bacząc na nasze uczucia. Wiesz o tym doskonale.

–Może jednak...

–Może co? No dalej, powiedz, co ci leży na sercu. Wyraź to.

–Może nie okazujemy sobie nawzajem dostatecznie dużo miłości.

–Czy to uczyniłoby świat łagodniejszym? – spytał Rukenau. – Czy dzięki temu morze podźwignęłoby mnie z odmętów, gdybym tonął? Czy szczur zarażony dżumą zdecydowałby się, że mnie nie ukąsi, ponieważ okażę mu odrobinę miłości? Will, nie bądź dzieckiem. Światu jest

obojętne, co Theodore czuje do swojej żony, a jego żona jest zbyt zauroczona czarem tego żalostnego miejsca, aby zechcieć jeszcze kiedykolwiek spojrzeć na niego przychylnym wzrokiem. Oto cała gorzka prawda.

–Nie rozumiem, co jest w tym miejscu czarownego i urokliwego.

–To oczywiste, że tego nie pojmujesz. Dlatego że całymi latami trudziłem się, by zniweczyć jego uwodzicielską moc. Ukryłem ją przed moim wzrokiem pod warstwami błota i ekskrementów. Nawiasem mówiąc po części są to moje nieczystości. Przez dwieście siedemdziesiąt lat człowiek może wydalić z siebie sporo fekaliów.

–A więc to ty pozasłaniałeś te wszystkie ściany?

–Początkowo robiłem to własnoręcznie. Później, kiedy zaczęli zjawiać się tu ludzie, naturalnie trafili tu przypadkiem, przez pomyłkę – i to był ich błąd – wykorzystałem ich do tej brudnej roboty. Obawiam się, że wielu z nich umarło, wykonując tę pracę...

–Przerwał i wyprostował się. – No proszę – mruknął. – Zaczyna się.

–Co się dzieje?

–Jacob Steep wszedł właśnie do domu. – W głosie Rukenua było słyhać delikatne drzenie.

–W takim razie lepiej opowiedz mi, co o nim wiesz – powiedział Will. – I zrób to szybko.

TRZYNAŚCIE

Teraz, kiedy znalazł się w Domu, Steep zrozumiał doskonałość drogi, która przywiodła go tutaj. Może, pomimo wszystko, nie powrócił do Domus Mundi, po to, by umrzeć, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Może zjawił się w tym miejscu, by dać upust swym ambicjom. Rosa miała rację, gdy oskarżyła go, że uwielbiał ranić, zawsze tak było i zawsze tak będzie. To jedno z jego męskich zamiłowań – polowanie, rozlew krwi i zabijanie były dla niego czymś równie naturalnym jak opróżnienie pęcherza. A teraz, powróciwszy do domu, będzie mógł zaspokoić te pragnienia jak nigdy dotąd. Kiedy Will i Rosa, a także Rukenau, w końcu zginą, on, Jacob, zasiądzie w samym sercu Domus Mundi i – och, cóż wtedy uczyni! Pokaże handlarzom grabiącym ten glob z sal konferencyjnych, duchownym zezwalającym, by na świat przychodziło coraz więcej głodujących dzieci, i potentatom zabijającym samotność orgiami zniszczenia, cuda, które ich zadziwią. Będzie bardziej beznamienny niż rejestr księgowego i okrutniejszy aniżeli generał w noc zamachu stanu.

Dlaczego wcześniej nie zorientował się, że to takie proste? Zapewne z głupoty. A może, co bardziej prawdopodobne, bał się powrotu tutaj i ponownego spotkania z człowiekiem, który miał nad nim tak wielką władzę. To jednak należało już do przeszłości. Przestał się bać. Od tej pory nie będzie już marnować czasu, używając noża (może za wyjątkiem Rukenaua, którego zaszlachtuje). W swoich kontaktach z resztą świata wykaże się znacznie większym sprytem. Zatruje drzewo, gdy będzie ono jeszcze nasionem, aby wszyscy, którzy zechcą później jeść jego owoce, umarli. Będzie deformować płody w łonach, aby zniweczyć zbiory, zanim jeszcze nadejdzie pora żniw. Nic nie przetrwa tego holokaustu, nic. I z czasem przerodzi się to w kres wszystkiego, aż pozostaną jedynie on i Bóg.

Zdał sobie sprawę, że całe jego życie było przygotowaniem do tego powrotu, a spiski związane przeciwko niemu przez kobietę i pedała, nawet ten pocałunek, miały na celu ponowne doprowadzenie go do Domus Mundi.

Przestąpiwszy próg, zdumiał się, ujrzawszy, jak wiele się tu zmieniło. Przykucnął i poskrobał palcem podłogę. Pokrywała ją warstwa ekskrementów, zarówno ludzkich, jak i zwierzęcych. Podobnie było ze ścianami i sufitem. Cały dom, tak transcendentny w chwili jego powstania, tak świetlisty, został starannie ukryty pod warstwami nieczystości. To bez wątpienia dzieło Rukenaua. Steepa to nie zdziwiło. Pomimo swych metafizycznych inklinacji Rukenau był w głębi serca nieroztropnym i bojaźliwym człowiekiem. Czyż nie wysłał Jacoba, żeby sprowadził Thomasa z powrotem na wyspę, ponieważ potrzebował artystycznej wizji, by zrozumieć, co właściwie stworzył? I zamiast dostąpić oświecenia, co zrobił? Zamaskował chwałę Domus Mundi fekaliami i błotem.

Nieszczęsny Rukenau, pomyślał Jacob, nieszczęsny, jakże ludzki Rukenau. W tej samej chwili ta myśl przerodziła się w okrzyk, który odbił się gromkim echem pośród ścian budowli, gdy

Steep ruszył na poszukiwanie swego dawnego mistrza.

–Nieszczęsny Rukenau! Och, nieszczęsny Rukenau!

–Woła mnie...

–Zignoruj go – powiedział Will. – Muszę dowiedzieć się, kim i czym on jest.

–Już to wiesz – odparł Rukenau. – Sam użyłeś tego słowa. Jest Nilowcem.

–To tylko nazwa, która niewiele mi mówi. Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej.

–Znam legendy. Znam modlitwy. Ale nie wiem nic, co mogłoby uchodzić za prawdę.

–Mów wszystko, co wiesz! Nieważne co o tym myślisz!

Rukenau spojrział na Willa spode łba, a potem z jego ust popłynęły słowa i już nic nie mogło ich powstrzymać. Nie było czasu na pytania. Po prostu pozbył się ciężącego mu brzemienia.

–Jestem bękartem, synem budowniczego kościołów – powiedział. – W swoim czasie mój ojciec wznosił kilka naprawdę pięknych świątyń. A kiedy trochę podrosłem, mimo że nie wychowywałem się na łonie rodziny, odnalazłem go i powiedziałem: „Myślę, że odziedziczyłem po tobie część geniuszu. Pozwól mi pójść w twoje ślady. Zostanę twoim uczniem”. Oczywiście nie przystał na to. Byłem bękartem. Nie mogłem się ujawnić, to przysporzyłoby mi wielu kłopotów, mecenas mógłby przestać patrzeć na niego przychylnym okiem. Dlatego mnie odprawił. Opuszczając jego dom, powiedziałem sobie: „Niech tak będzie. Znajdę swoje miejsce w świecie, odkryję własną drogę i wzniosę budowlę, w której Bóg zechce zdomować się na stałe, a co za tym idzie, opustoszeją wszystkie świątynie zbudowane przez mego ojca”.

Poznałem arkana magii, stałem się człowiekiem wysoko wykształconym. Podziwiano mnie. Ale ja nic sobie z tego nie robiłem. Po roku lub dwóch miałem dość wszelkiego podziwu. Wybrałem się więc w podróż dookoła świata, w poszukiwaniu sekretnej geometrii, które uświęcają święte miejsca. Udałem się do Grecji, by obejrzeć tamtejsze świątynie, a także do Indii, by poznać dokonania Hindusów. A w drodze powrotnej odwiedziłem Egipt, żeby zobaczyć piramidy. Tam właśnie usłyszałem opowieści o istocie, która, jak głosiły legendy, wznosiła świątynie, z ołtarzy których kapłani mogli jednym spojrzeniem ogarnąć całe dzieło boskiego stworzenia.

Rzecz jasna to wszystko brzmiało absurdalnie, ale mimo to udałem się w rejs po Nilu, w poszukiwaniu owego bezimiennego anioła, gotów spożytkować cały swój magiczny kunszt, by zmusić tę istotę do posłuszeństwa. Pragnąłem wykorzystać ją dla swoich celów. Któregoś dnia, w jaskini niedaleko Luksoru natknąłem się na istotę, którą nazwałem Nilowcem. Sprowadziłem ją tutaj i z pomocą Simeona opracowałem plany mistrzowskiego dzieła, które miała zbudować.

Świątynię, w porównaniu z którą wszystkie kościoły mego ojca popadną w ruinę i zapomnienie. – Zaśmiał się gorzko, ironicznie, porażony gromem własnej niefrasobliwości. – Ale rzecz jasna zadanie nas przerosło. Simeon uciekł i postradał rozum. Nilowiec stracił cierpliwość i opuścił mnie, mimo że zmaćłem jego umysł, pozbawiając go wspomnień o nim samym i jego własnej naturze, do tego stopnia, że bez mojej pomocy trwałyby w tej niewiedzy po wsze czasy. Ja zaś... zostałem tutaj, postawiwszy sobie za cel zawładnięcie tym, co stworzyłem. – Pokręcił głową. – Ale światem nie sposób zawładnąć, prawda?

Przerwał, usłyszawszy kolejne wołanie Steepa.

–On chyba nie zgodziłby się z tobą – mruknął Will.

–Czego ja się boję? – rzekł Rukenu. – Przecież nie chcę już żyć.

Spojrzał na Willa z nieskrywaną wściekłością.

–Och Jezu, nie pozwól, żeby dostał mnie w swoje ręce.

–Kontrolowałeś go wcześniej – zauważył Will. – Zrób to samo jeszcze raz.

–Jak mógłbym powtórzyć coś, co już raz uczyniłem? Musisz znaleźć własny sposób, żeby do niego dotrzeć.

To rzekłszy, zaczął znów wspinać się po linach, panika dodała mu sił i zwinności. Pokonał zaledwie kilka jardów, kiedy Will usłyszał dochodzące z drugiego końca pomieszczenia kroki Steepa, a odwróciwszy się ujrzał sunącego w jego stronę mężczyznę. Wyglądał o niebo gorzej niż w domu Donnellych. Był przemoczony od deszczu i utyłany błotem od stóp do głów, oczy nieomal wychodziły mu z orbit, a całym ciałem wstrząsały silne dreszcze. Wyglądał jak ktoś, komu nie zostało już wiele życia.

Nawet jego głos był pozbawiony typowego dlań uroku, a przecież zawsze, nawet gdy mówił bardzo cicho i monotownie, pobrzmiwała w nim dumna i władcza nuta.

–Czy opowiedział ci historię naszego życia, Will?

–Częściowo.

–A ty zapewne chciałbyś usłyszeć więcej. I najwyraźniej jesteś gotów słono zapłacić za ten zaszczyt. Nie zawahałbyś się zaryzykować własnego życia, aby poznać tę historię. – Pokręcił głową. – Obaj powinniście dać mi spokój, zostawić mnie samego. Mógłbym wówczas żyć i umrzeć w nieświadomości.

–Chciałeś, żeby cię dotykano – zaproponował Will.

–Doprawdy? – odparł Steep, jakby był gotów spierać się o to z Willem. – Może masz rację.

Wśród sieci powyżej coś się poruszyło, a Steep z teatralną powolnością majestatycznie uniósł głowę. Rukenau wrócił na sam szczyt pajęczyny.

–Nie ukryjesz się tam przede mną – rzekł do niego Steep. – Nie jesteś dzieckiem. Nie zachowuj się jak dziecko. Zejdź na dół. – Wyciągnął spod płaszcza swój stary, wysłużony nóż. – Nie zmuszaj mnie, żebym wdrapywał się tam po ciebie.

–Zostaw go – rzekł Will.

–Proszę? – powiedział urażonym tonem Jacob. – To nie twoja sprawa. Czemu nie pójdziesz i nie pooglądasz przepięknej gry świateł? No, idź. Popatrz, póki jeszcze możesz. Niedługo do ciebie dołączę.

Mówił do Willa jak do dziecka.

–No, idź! – zawołał nagle, unosząc rękę, by zacisnąć palce na linach pajęczyny. – Zejdź, Rukenau!

Brutalnie potrząsnął siecią. Grudy fekaliów i brudu posypały mu się na głowę, dosięgły także Willa; sznury zaskrzypiały i pękły w kilku miejscach, fotel zerwał się i runął, by roztrzaskać się o podłogę.

Najwyraźniej słowa Willa nie były w stanie go uspokoić, zatem Willowi pozostało już tylko jedno. Podszedł do Jacoba i chwycił go, opierając dłoń na jego karku.

Tym razem nie odniósł wrażenia, jakby cały świat wstrzymał oddech, nie nastąpiło także zagadkowe trzęsienie ziemi. Pojawiła się natomiast olśniewająca chmura kurzu jasnożółtej barwy, pośród której Will w jednej chwili ujrział tysiące rozmaitych geometrycznych kształtów, wielkich niczym katedry, poruszających się, wirujących i rozwierających jak żarłoczne kwiaty. Z ich wnętrza, wypłynęły jaśniejące glify, znaki których używał Simeon, malując swoje obrazy, i Jacob, pisząc swój dziennik. Will zdał sobie sprawę, że to nie były wspomnienia Jacoba. To były myśli Nilowca, a przynajmniej jakaś ich część; ciąg matematycznych prawdopodobieństw dalece bardziej przytłaczający niż las, lis czy pałac nad Newą. Dysząc ciężko, puścił Jacoba i odstąpił o dwa kroki od niego. Nawała kształtów nie od razu jednak opuściła jego umysł. Widział je oczyma duszy jeszcze przez dobre parę sekund. Oślepiały go. Gdyby Jacob zdecydował się go wówczas zaatakować, Will byłby bezbronny jak ciele prowadzone na rzeź, ale Steep miał inne, o wiele ważniejsze i pilniejsze sprawy. Zanim Will odzyskał wzrok, Jacob przestał potrząsać siecią i zaczął się po niej wspinać. A pnąc się coraz wyżej, zawołał do Rukenaua:

–Nie lękaj się! To nieuchronne. Nikt z nas tego nie uniknie. Żywi i umierający podsycają ogień.

CZTERNAŚCIE

Spośród wszystkich niezwykłości, jakich doświadczyła Frannie podczas tej podróży, żadna nie była równie wstrząsająca jak przestąpienie z Rosą progu Domus Mundi. W jednej chwili stała skąpana w świetle dnia, otoczona w stopniu, w jakim podpowiadały jej naiwne zmysły, połącią zieleni i nieba, w następnej zaś znalazła się w plugawym, ciemnym miejscu, gdzie nie było słońca ani morza. To było przerażające. Cieszyła się, że jest z nią Rosa, w przeciwnym bowiem razie niechybnie wpadłaby w panikę, a w tym miejscu, jak stwierdziła, lepiej było nie tracić zimnej krwi.

Rosa, gdy tylko znaleźli się w domu, zażądała, by postawiono ją na ziemi; po czym, chwiejąc się, przeszła niepewnie kilka kroków w stronę pobliskiej ściany. Przesunęła po niej dłoń, nachyliła się i powąchała.

–Gówno – stwierdziła. – Pokrył ścianę gównem. – Odwróciła się do Frannie. – Czy z innymi jest tak samo?

–O ile mnie wzrok nie myli, to tak.

–A sufit?

Frannie uniosła wzrok.

–Też. – Rosa zaśmiała się. – Jest inaczej niż w twoich wspomnieniach?

–Nie ufam im, ale wydaje mi się, że kiedy byłam tu ostatni raz, to miejsce wyglądało znacznie lepiej. To zapewne robota Rukenua.

Zaczęła sondować ścianę palcami, wbiła je głęboko w kleistą breję, odrywając ją całymi płatami. Pod warstwą fekaliów kryło się źródło światła. Frannie ujrzała poświatę, która zafalowała, kiedy Rosa rozpoczęła swoje żmudne dzieło, jakby blask wyczuwał, że ktoś stara się go uwolnić. To nie była iluzja. Im większa stawała się tworzona przez Rosę dziura w ścianie, tym wyraźniejsze były ruchy światła. W blasku tym zaczęły się pojawiać kolory, jaskrawe błyski w turkusowych i pomarańczowych odcieniach. Teraz, gdy poświata poczuła wolność, skorupa błota nie była jej w stanie dłużej powstrzymać. Grudy ziemi i nieczystości sypały się na podłogę, odrywane płaty zeschniętych fekaliów były coraz większe, w miarę jak Rosa kontynuowała czynności mające na celu uwolnienie falującego blasku. Od miejsca, w którym rozpoczęła proces wyzwolenia, rozchodziła się coraz szerzej pajęczyna pęknięć; w miarę, jak wieści o rewolucji rozprzestrzeniały się, zaskorupiały brud przegrywał nierówną walkę, toczącą się na coraz większym obszarze.

Frannie patrzyła jak urzeczona na proces, którego była świadkiem, i nie po raz pierwszy podczas tej podróży pragnęła, by mógł być przy niej Sherwood i podziwiać to samo co ona. Zwłaszcza to – jego Rosę, kobietę, którą ubóstwiał, a której dłonie dokonywały tej

niesamowitej przemiany. Frannie miała wrażenie jakby była świadkiem cudu rozgrywającego się na jej oczach.

I w miarę, jak coraz większe fragmenty tajemnicy ukrytej przez Rukenaua, ukazywały się jej oczom, Frannie zaczęła stopniowo, zrazu niepewnie uświadamiać sobie jej naturę. Barwy, które lśniły i błyszczały na powierzchni ścian, były wilgotnymi przebłyskami żyjących istot. Nie ukazywały ich w całości, stanowiły jedynie drobne aluzje, sugestie, fragmenciki, dostrzegalne przez mgnienie oka – elastyczny ruch pręgi na falującym cielsku, iskierkę tłącą się w głębi wygłodniałych ślepi, trzepot rozpościeranych skrzydeł. Nie ulegało wątpliwości, że obecności owych nie było łatwo ujarzmić. Były zbyt żywe, zbyt energiczne. Te bardziej ambitne wnikały już do wnętrza pomieszczenia, zlewając echo swych form z wypełniającym je powietrzem, niczym iskry buchające ze zbyt wielkiego ogniska.

–Podtrzymaj mnie – zażądała Rosa.

Frannie posłusznie pospieszyła jej z pomocą, choć zrobiła to, nie patrząc na Rosę, tak była urzeczona barwnym widowiskiem rozgrywającym się przed jej oczami.

–Musimy poszukać Rukenaua – rzekła Rosa, wpijając się szarymi palcami w ramię Frannie. Wyciągnęła rękę i dotknęła jej twarzy. – Patrzysz na świat? – spytała.

–Czy tym to właśnie jest?

–To Domus Mundi – przypomniała Rosa. – I cokolwiek teraz widzisz, to jeszcze nic w porównaniu z tym co możesz tu zobaczyć. Chodźmy już, jeszcze przez chwilę będziesz mi potrzebna.

Nie trzeba już było jej nieść, odkąd znalazła się w domu najwyraźniej zaczęła odzyskiwać siły. Nie odzyskała ich w pełni, ale mimo wszystko jej stan znacznie się poprawił. Nie odzyskała jednak wzroku i potrzebowała Frannie, aby ją poprowadziła, co ta uczyniła z nieskrywanym zadowoleniem. Zanim przeszły przez pierwsze pomieszczenie i dotarły do następnego, wieści o rebelii poprzedziły ich przybycie. Z sufitu powyżej na ich głowy zaczął sypać się kurz i grudki ziemi odpadającej ze sklepienia, w miarę jak otwierały się na nim kolejne pajęczne nitki szczelin. W pokoju zrobiło się jaśniej niż w pomieszczeniu, które przed chwilą opuściły, z pęknięć otaczających je ze wszystkich stron biła coraz silniejsza poświata. Widowisku temu towarzyszyły także dźwięki, choć podobnie jak obrazy, także one były z początku aluzyjne, niezrozumiałe jak cichy szept, który dopiero gdy narasta jesteśmy w stanie zrozumieć. Z nimi było tak samo, dźwięki stopniowo stawały się coraz wyrazistsze. Zawierało się w nich trąbienie słońca, pieśń wieloryba, skrzeczenie małp...

Rosa jednak usłyszała coś, co było znacznie bliższe jej sercu.

–To Steep – powiedziała.

I rzeczywiście, pośród tej narastającej fali dźwięków dał się słyszeć także męski głos. Rosa

przyspieszyła kroku, a z każdym oddechem spomiędzy jej ust wypływało jedno i to samo imię:

–Jacob. Jacob. Jacob. Jacob.

Will nie zauważył, co zaszło pomiędzy Rukenauem a Steepem – byli zbyt daleko od niego – ich walkę przesłaniała konstrukcja z lin, ale dostrzegł wyraźnie jej skutki. Sznurowa budowla, pomimo całej swej złożoności, nie została stworzona z myślą o toczeniu w niej tak zażartych jak ten pojedyneków. Liny były wrywane z mocowań w ścianach, na ziemię wraz z nimi sypały się fontanny zeschniętej gliny i nieczystości. Ich miejsce zajmowały światło i ruch, rozjaśniając swym blaskiem walącą się w gruzy konstrukcję. Jako pierwsze runęły te jej części, w których znajdowały się najcięższe, najbardziej masywne meble. Stół poleciał w dół, z głuchym trzaskiem, porywając ze sobą dwie nieco mniejsze, lecz równie masywne platformy, i spadając na ziemię, roztrzaskał je w drobny mak. Pojawiły się także pierwsze szczeliny a bijący z nich blask jeszcze bardziej rozjaśniał wnętrze pomieszczenia. To było więcej niż światło. To było życie. Oto co ujrzał Will pośród tej feerii barw – pulsujące, skrzące się i falujące żywe istoty.

Gdy kolejne fragmenty sznurowej konstrukcji posypały się w dół, Will zdołał w końcu dostrzec Jacoba i Rukenaua. Wydawało mu się, że ci dwaj wyglądają jak postacie z któregoś z obrazów Thomasa Simeona: dwa duchy toczące na wysokościach pojedynek na śmierć i życie.

Rukenau bynajmniej nie zamierzał poddać się bez walki. Wykorzystywał swoją zwinność i śmigając jak mała po linowej konstrukcji, starał się pozostawać przez cały czas poza zasięgiem ramion Steepa. Jacob jednak pragnął za wszelką cenę dopaść swoją ofiarę. W pewnej chwili niespodziewanie osunął się na kolana i schwyciwszy sznurową konstrukcję, na której obaj wisieli, szarpnął nią z takim impetem, że Rukenau poleciał do przodu, jak z procy. Will dostrzegł, jak uzbrojona w nóż dłoń Steepa unosi się, wychodząc na spotkanie piersi mistyka, i choć nie widział już ostrza, wrzask, jaki dobył się z ust Rukenaua, pozwolił mu się domyślić, że dosięgło ono celu. Rukenau zaczął osuwać się w dół, lecz równocześnie oplótł ramionami ciało swego oprawcy i w efekcie runęli obaj, spleceni w mozolnym uścisku, ich połączony ciężar sprawił, że sieć, nadwerężona już podczas długiej, zaciętej walki pękła i spadła na ziemię.

Dom zatrzęsł się w posadach. Rosa zatrzymała się i zaszlochała cichutko.

–O, nie – wyszeptała. – Cóżżeś ty uczynił?

–Co się stało? – spytała Frannie.

Nie doczekała się odpowiedzi, ale nie potrzebowała już Rosy, by zlokalizować Steepa, gdyż sama usłyszała aż nazbyt wyraźnie jego głos.

–Już po tobie, no powiedz – mówił Steep. – Przyznaj, że już po tobie.

Rosa, powłócząc nogami, wysforowała się przed Frannie, która podążyła za nią przez wąskie drzwi do zasłanego śmieciami korytarza. Rosa kilkakrotnie upadła, zмирzając do obranego przez siebie celu, ale za każdym razem szybko się podnosiła i w końcu pokonała korytarz, by wraz z depczącą jej po piętach Frannie wpaść jak burza do zdewastowanej komnaty Rukenaua.

Will dostrzegł kątem oka jakieś poruszenie i miał mglistą świadomość, że ktoś wszedł do pokoju, ale nie mógł oderwać wzroku od tego, co działo się na ziemi, by sprawdzić, kto to był.

Jacob wstał i zdierał z siebie liny, w które zaplątał się, spadając. Rukenau jednak już nigdy się nie podniesie. Żył jeszcze, ale jego ciałem wstrząsały gwałtowne konwulsje, nóż Jacoba tkwił w jego ciele wbity po rękojeść, a z rany buchały strugi krwi. Jego brudna koszula i kamizelka były całe przesiąknięte posoką, a teraz szkarłatna kałuża zaczęła z wolna rozlewać się wokół niego.

Will wciąż znajdował się poza polem widzenia Jacoba, ale zdawał sobie sprawę, że to nie potrwa długo. Kiedy tylko Nilowiec spojrzy w jego stronę, podejdzie i dokończy zapowiedzianego przez siebie dzieła. Choć nie przyszło mu to łatwo, odwrócił się i wymknął po cichu, korzystając z drzwi, przez które wybiegł Ted w poszukiwaniu swojej żony. Dopiero w progu przystanął i obejrzał się przez ramię, by stwierdzić, że osobami, które weszły do pomieszczenia, były Frannie i Rosa. Żadna z nich nie patrzyła na niego. Wzrok obu był utkwiony w targanym przedśmiertnymi skurczami ciała Rukenaua. Jacoba najwyraźniej znużył ten widok, gdyż odwrócił się i powoli skierował wzrok na Willa. Pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Sądzisz, że możesz mi uciec?”. Will nie czekał, aż istota zacznie go ścigać. Rzucił się do ucieczki.

Ten sam proces rewolucji, który rozpoczął się w komnacie Rukenaua, trwał we wszystkich innych pokojach – ściany były uwalniane od przesłaniającej je warstwy ziemi i brudu, ukazując tętniące w nich życie. Will zdał sobie jednak sprawę, że działo się tu coś o wiele bardziej zastanawiającego. Ściany, pomimo tego co w sobie zawierały, nie były solidne i trwałe. Spoglądając na prawo i lewo, był w stanie zajrzeć do pomieszczeń, których dotąd nie miał okazji odwiedzić, gdzie trwał taki sam proces uwalniania, a dom ujawniał całą swoją wielkość i chwałę. Nic dziwnego, że Jacob drżał, nękany wspomnieniami w lodowym pałacu Eropkina; przecież to właśnie wspominał jak przez mgłę w mroźnej, zimnej sypialni. Miejsce niewysłowionej światłości, w porównaniu z którym ten pałac, pomimo całej swej wspaniałości, był jedynie jego odległym echem.

Will miał teraz przed sobą miejsce, o którym z zabobonną trwogą wspominał Rukenau, mówiąc o żonie Teda. Ujrzawszy je, owo źródło, serce domu, poczuł to samo co wtedy, przy Spruce Street, lecz zwielokrotnione do setnej potęgi. Wieści ze świata zalewały go ze

wszystkich stron płynną kaskadą, niczym struga świata przesączająca się pomiędzy rozwiewającymi się chmurami i przybierająca na sile w miarę jak wiatr rozgania strzępiaste obłoki. Niebawem z całą pewnością oślepnie. Ale niechaj tak będzie. Zamierzał patrzeć dopóki oczy nie odmówią mu posłuszeństwa, będzie słuchać aż jego uszy przestaną funkcjonować.

Gdzieś z tyłu za jego plecami rozległo się wołanie Nilowca.

–Po co uciekasz? – spytał Jacob. – I tak nie masz się gdzie ukryć.

To była prawda. Nie było mowy o ukryciu się przed prześladowcą. Ale to była niewielka cena w zamian za błogość jaką przynosiło mu wędrowanie korytarzami tego cudownego miejsca. Obejrzał się za siebie, by stwierdzić, że Steep znajduje się niespełna dwadzieścia jardów za nim. Willowi wydawało się, że widzi postać Nilowca poruszającego się w ciele mężczyzny, jakby osłabione ciało Steepa złapało bakcyli rewolucji i także pragnęło odsłonić to co w nim ukryto.

Podobnie było z jego własnym ciałem; wyraźnie czuł w sobie lisa – *Vulpes Vulpes*, coraz bardziej ożywionego i próbującego wyrwać się na wolność, w ostatniej, pierwotnej transformacji, kiedy tak biegł prosto w ogień. Właściwie to dlaczego nie? Na świecie w każdej chwili dokonywały się podobne cuda – z jajka wykluwało się pisklę, z nasiona wyrastał kwiat, z poczwarki wyłaniał się motyl. Czy teraz człowiek miał przemienić się w lisa? Czy to w ogóle możliwe? „O tak”, odpowiedział Dom Świata. „Tak, tak i po wieczność tak”.

Rosa zatrzymała się w pewnej odległości od Rukenua, po czym odczekała, aż ten przestanie dygotać. Wreszcie konwulsje ustały. Leżał nieruchomo, nie licząc tego, że wciąż oddychał a jego gałki oczne przesunęły się, by skierować wzrok na kobietę.

–Nie... zbliżaj... się... do... mnie – wychrypiał.

Rosa przyjęła jego słowa jako zachętę do podejścia jeszcze bliżej i w efekcie zatrzymała się o jard od niego. Chyba obawiał się, że zamierzała go skrzywdzić, gdyż resztkami sił uniósł rękę, aby osłonić twarz... Rosa jednak nie starała się go dotknąć.

–Minęło sporo czasu – rzekła – odkąd tu byłam po raz ostatni. A mimo to mam wrażenie, jakby upłynął zaledwie rok lub dwa. Czy to dlatego że dotarliśmy do kresu dziejów? Chyba tak. Jesteśmy już u kresu i nic, co wydarzyło się wcześniej, nie ma większego znaczenia.

Jej słowa musiały poruszyć czułą strunę w Rukenaule, bo kiedy przemówiła, zapłakał.

–Cóż ja wam uczyniłem? – jęknął. – O Boże. – Zamknął oczy i zalał się łzami.

–Nie wiem co zrobiłeś – odparła Rosa. – Chcę tylko, żeby to się skończyło.

–W takim razie idź do niego – rzekł Rukenau. – Idź do Jacoba i ulecz się.

–O czym ty mówisz?

Rukenau ponownie otworzył oczy.

–O tym, że jesteście dwiema połowami jednej i tej samej duszy – odparł.

Pokręciła głową, nie pojmując sensu jego słów.

–Bo widzisz, zaufałaś mi, powiedziałaś, że czujesz się w moim towarzystwie lepiej, niż czułaś się z kimkolwiek w ciągu dwustu lat.

Odwrócił od niej wzrok i spojrzał na silną poświatę rozchodzącą się w powietrzu ponad nimi.

–A kiedy zyskałem twoje zaufanie, uśpiłem cię, odprawiłem swoje rytuały i rozszczepiłem cudowną syzygię twojej istoty. Jakże byłem z siebie dumny odgrywając w ten sposób rolę Boga. Stworzył mężczyznę i niewiastę[3].

Rosa jęknęła cichutko.

–Jacob jest częścią mnie? – zapytała.

–A ty jesteś jego częścią – mruknął Rukenau. – Idź do niego i uzdrowcie dusze was obojga, zanim uczyni więcej szkód, aniżeli nawet on sam mógłby przypuszczać.

W korytarzu, przed Willem kuczał jakiś mężczyzna i zasłaniał dłońmi oczy, by nie widzieć pojawiających się wokół niego wizji. Był to rzecz jasna Ted.

–Co ty tu robisz, u licha? – powiedzieli do niego Will i lis.

Nie odważył się odsłonić oczu, przynajmniej dopóki Will tego nie zażąda.

–Nie ma się czego bać, Ted – zapewnił.

–Żartujesz? – Ted oderwał na krótką chwilę dłonie od oczu, by się upewnić, że rozmawia z Willem. – Na miłość boską, cały ten dom lada moment na nas runie!

–Wobec tego może powinieneś pospieszyć się i odnaleźć wreszcie Diane – mruknął Will. – A nie dokonasz tego, siedząc na tyłku. Wstań i rusz się, do cholery!

Zmotywowany do działania i odrobinę zawstydzony Ted podniósł się, ale oczy wciąż miał półprzymknięte. I nadal wzdrygał się na widok obrazów wylaniających się ze ścian.

–Co to wszystko jest? – wychlipał.

–Bez gadania! – rzucił Will, świadom, że Steep jest już niedaleko.

–Ruszaj!

Nawet gdyby mieli czas na dyskusje o otaczających ich wizjach, Will wątpił, by Wiedza, którą dysponowali, była w stanie wytłumaczyć ich powstawanie oraz znaczenie. Nilowiec zbudował dom niezmiernych cudów i tajemnic, to wszystko, co wiedział Will. Środki, dzięki którym tego dokonał, wykraczały poza jego zdolności pojmowania, a poza tym nie musiał tego wiedzieć. Najważniejsze było to, że Domus Mundi stanowił dzieło istoty wyższej, świętego budowniczego, a co za tym idzie, stał się świątynią, jakiej nie miał okazji kiedykolwiek konsekrować żaden kapłan. Gdyby jego oczy zdołały kiedykolwiek rozszyfrować poruszające się wokół niego kształty, Will wiedział, co mógłby wówczas ujrzeć – całą chwałę Dzieła Stworzenia. Tygrysa i żuka gnojaka, skrzydło muchy i wodospad. Być może to nie dom sprawiał, że obrazy dookoła rozmywały się, lecz dokonywał tego jego umysł, świadom, że zostałyby niechybnie unicestwiony, przytłoczony nawałą napierających ze wszystkich stron, tętniących życiem kaskad, gdyby próbował postrzegać je dokładnie.

–To... takie... cudowne... Szaleństwo.

Podążał za Tedem w stronę źródła. I właśnie w tej chwili z tej otchłani szaleństwa wyłoniła się kobieta, trzymająca w jednym ręku gałąź ciężką od fig, a w drugiej, mocno zaciśniętej, tłustego pstrąga wijącego się i błyszczącego, jakby wyłowiła go z rzeki zaledwie przed chwilą.

–Diane? – spytał Ted.

To była ona. Na widok odzianego w łachmany, zalanego łzami męża natychmiast upuściła gałąź i rybę, i podbiegła do niego z szeroko rozłożonymi ramionami.

–Ted? – zapytała, jakby nie do końca wierzyła własnym oczom. – To ty?

W innych okolicznościach mogła wyglądać jak całkiem pospolita kobieta, ale światło wyraźnie ją kochało. Przywierało do jej ciała jak mokre ubranie, przesuwano się po jej pełnych piersiach i kroczu, igrało na ustach i w oczach. Nic dziwnego, że to miejsce ją urzekło, pomyślał Will. Uczyniło ją promienną, gloryfikowało jej ciało bez jednej skargi czy grymaszenia.

Naturalnie, była nietrwała, podobnie jak figi czy ryba. Jednak w okresie pomiędzy narodzinami a rozkładem to życie o imieniu Diane było prawdziwie cudowne.

Ted bał się wziąć ją w ramiona. Trzymał się na dystans, zdeorientowany tym, co miał przed sobą. Zdeprimowało go to, co ujrział.

–Czy jesteś moją żoną?

–Tak, jestem nią – odparła, wyraźnie rozbawiona.

–Czy wyjdiesz stąd razem ze mną? – spytał niepewnie.

Obejrzała się w stronę, skąd przyszła.

–A co, wychodzisz?

–Wszyscy stąd wychodzimy – odrzekł Ted.

Skinęła głową.

–Chyba tak... tak, pójdę z tobą – powiedziała – jeśli tylko zechcesz.

–Och... – Chwycił ją za rękę. – O, Boże, Diane. – Dopiero teraz ją objął. – Dziękuję. Dziękuję...

–Lepiej już chodźmy – mruknął lis w głowie Willa. – Steep jest już niedaleko.

–Muszę iść – powiedział Will do Teda i mijając tulącą się do siebie parę, klepnął mężczyznę po plecach.

–Nie idź dalej – rzekła do niego Diane. – Zgubisz się.

–Nie dbam o to – odparł Will.

–Nie zniesiesz tego – powiedziała. – Mówię ci, za wiele jest tego wszystkiego. Nie dasz rady. Nie wytrzymasz.

–Dzięki za ostrzeżenie – rzekł do Diane Will i uśmiechnąwszy się do Teda, ruszył różnym krokiem ku sercu domu.

PIĘTNAŚCIE

1

Frannie nie pospieszyła z Rosą za Steepem. Została w komnacie Rukenaua, patrząc w osłupieniu, jak ściany zrzucają swoje osłony. Nie było to najbezpieczniejsze miejsce, zwłaszcza że z góry wciąż sypały się bryły ziemi, liny i meble. Nie zamierzała jednak szukać schronienia, skoro tak wiele ryzykowała, by się tu znaleźć. Będzie obserwować ten proces aż do końca, niezależnie jak groźny i niebezpieczny może się on okazać. Jej obecność nie pozostała niezauważona. Mniej więcej minutę po odejściu Rosy Rukenau odwrócił głowę do Frannie i skupiwszy na niej spojrzenie coraz bardziej mętnych oczu, spytał, czy Rosa znalazła już Jacoba. Odparła, że jeszcze nie. Widziała, jak Rosa przechodzi przez objawiające się ściany, w pogoni za Jacobem, widziała także poruszającego się pośród jasności Jacoba. Jej uwagę przykuł jedynie Will, który choć najbardziej oddalony, za sprawą jakiejś optycznej sztuczki wydawał się być tuż przy niej, widziała go najostrzej i najwyraźniej z całej tej trójki. Jego postać rysowała się wręcz idealnie, gdy stąpał wśród skapanego w jasnym blasku powietrza.

Tracę go, pomyślała Frannie. Odejdzie i już nigdy go nie zobaczę.

Mężczyzna leżący przed nią na ziemi, powiedział:

–Zbliź się do mnie, proszę. Jak ci na imię?

–Frannie.

–Frannie. Dobrze, Frannie, czy mogłabyś mnie trochę unieść? Chcę zobaczyć mojego Nilowca.

Jak mogła mu odmówić? Nie był w stanie już jej skrzywdzić. Uklękła i wsunęła dłonie pod jego ciało. Był ciężki i wilgotny od krwi, ale czuła się silna i nigdy się nie poddawała, toteż uniesienie go nie okazało się trudnym zadaniem.

–Widzisz ich? – spytała.

Zmusił się do krwistoczerwonego uśmiechu.

–Widzę – odparł. – A ten trzeci? Czy to Ted, czy Will?

–Will – odrzekła.

–Ktoś powinien go ostrzec. Nie wie, jak wiele ryzykuje, zapuszczając się tak daleko w głąb domu.

W chłodnym tyglu świata, Will usłyszał, jak Steep nawołuje go po imieniu, kiedyś odwróciłby się natychmiast na dźwięk tego głosu, spragniony widoku znajomej twarzy. Ale wokół niego pojawiały się obrazy o niebo ciekawsze, istoty dotąd abstrakcyjne zaczęły w końcu ukazywać mu się w całej swej okazałości. Stado tropikalnych ryb rozprysło się, uderzając go w twarz, fala flamingów zaróżowiła niebo, stapał po kostki w żyznym polu wydr i grzechotników.

–Will – powtórzył Steep.

Nadał się nie odwracał. Jeśli ta istota zechce zaatakować mnie od tyłu, to trudno. Niech tak będzie. Umrę z głową wypełnioną życiem. Głaz przed nim rozszczepił się i wylała się z niego struga piskląt oraz małp; wokół niego urosło drzewo, jak gdyby Will był jego żywicą a rozrastając się ku górze, zakwitło przegowanymi kotami i wronami.

W chwili, gdy je ujrzał, poczuł na ramieniu dotyk dłoni Steepa, a jego gorący oddech omiół mu kark. Mężczyzna po raz ostatni wymówił jego imię. Czekał na *coup de grace*, podczas gdy drzewo rosło coraz wyżej i pozbywszy się dojrzałych owoców, zakwitło ponownie.

Zabójczy cios nie nastąpił. Miast tego dłoń Steepa zsunęła się z jego ramienia, a Will usłyszał, jak lis powiedział:

–Och, myślę, że może powinienes to zobaczyć.

Nie usłuchałby żadnego innego głosu, prócz tego. Oderwawszy wzrok od rozgrywającego się przed nim widowiska, obejrzał się przez ramię na Steepa. Mężczyzna już nie patrzył na Willa. Odwrócił się i spoglądał na postać, która ścigała go przez cały dom, aż do tego miejsca. To była Rosa, ale wyglądała inaczej niż zwykle. Will postrzegał ją jako cudowny patchwork. Naturalnie wciąż jeszcze było widać kobietę, którą się stała, piękne rysy twarzy, krągłość ciała, ale blask wysączający się z jej rany był teraz silniejszy niż kiedykolwiek, wylewał się na zewnątrz, równocześnie skłaniając tkwiącą w jej wnętrzu postać, aby stała się wyraźniejsza i bardziej widoczna.

Will usłyszał, jak Steep mówi: „Nie zbliżaj się do mnie”, ale w jego słowach nie było siły ani przekonania, że rozkaz ten zostanie wypełniony. Wciąż się do niego zbliżała, powoli z miłością, unosząc lekko ręce, otwarte dłonie odwróciła wnętrzem w jego stronę, jakby chciała go zapewnić, że nie ma wobec niego złych zamiarów. I może faktycznie tak było. Wyglądała niewinnie. Wręcz promieniała niewinnością. A może to była jej ostatnia sztuczka, sprytna iluzja, którą chciała go zwieść, odgrywając rolę pokornej oblubienicy, przyobleczonej w woal światła i zdającej się na jego łaskę. Jeżeli tak, to fortel się powiódł. Zamiast się przed nią bronić, pozwolił, by światłość otoczyła go, i w okamgnieniu został przez nią pochłonięty.

Willowi wydawało się, że ujrzał, jak postać Steepa przeszywa silny dreszcz, jak gdyby Jacob dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wpadł w pułapkę i próbował uwolnić się z opresji. Było już jednak za późno. Mężczyzna, którym był, przestał właśnie istnieć, z udręczonej powłoki odarły go strugi wszechobecnego światła, odsłaniając lustrzane odbicie twarzy, która w tym momencie

usuwała resztki oblicza Rosy. Will zauważył jeszcze delikatny uśmiezek malujący się na jej ludzkich ustach, zanim rozplynęły się zupełnie, a zaraz potem jego oczom ukazał się Nilowiec, w całej swej gorejącej doskonałości, przechodzącej przez zataczające kręgi zlewiska światła, by zjednoczyć swą postać z postacią ukrytą w Steepee. To była ostateczna zagadka i właśnie została rozwiązana. Jacob i Rosa nie byli odrębnymi istotami, lecz dwiema połowami Nilowca, rozdzielonymi i pozbawionymi wspomnień o tym, kim byli. Żyjąc pod przybranymi nazwiskami, na podstawie tego, co zobaczyli, wpoili sobie okrutne stereotypy na temat własnej płci, niezdolni do życia osobno, choć życie obok siebie sprawiało im tak wiele cierpień, bo zawsze mieli wrażenie, że nie potrafią być ze sobą dostatecznie blisko.

„No i popatrz, co narobiłeś...” – Will usłyszał w swojej głowie głos lisa.

–To znaczy?

„Uwolniłeś mnie”.

–Nie odchodź jeszcze.

„Na Boga, Will. Ja chcę już odejść”.

–Zostań ze mną. Jeszcze tylko trochę. Kilka chwil. Proszę.

Usłyszał westchnienie lisa.

„No dobrze” – rzekło zwierzę. „Ale już naprawdę króciutko”.

Rukenau zadrżał w objęciach Frannie.

–Czy stali się jednością? – spytał. – Nie widzę ich wyraźnie.

Frannie osłupiała. Czym innym było usłyszeć od Rukenaua o narodzinach Nilowca, a czym innym ujrzeć na własne oczy, jak proces ten ulega odwróceniu.

–Słyszysz? – pytał Rukenau. – Czy stali się całością? Zjednoczyli się?

–Tak...

Rukenau osunął się ciężko w jej ramionach.

–Och, Boże w Niebiesiech – powiedział. – Czy wybaczysz całe to zło, wszystkie zbrodnie, jakie popełniłem przeciwko tej istocie? Wybaczysz mi?

–Ja? – spytała Frannie. – Nie potrzebujesz mojego przebaczenia.

–Przyjmę je z każdego możliwego źródła – odparł Rukenau. – Proszę.

Nie ulegało wątpliwości, że to jego ostatnie chwile, głos miał tak słaby, że Frannie z trudem go słyszała, jego mięśnie powoli wiotczały. Wiedziała, że to ostatnia przysługa, jaką mu wyświadczy. A skoro mogło mu to dać choć odrobinę pocieszenia, czemu miałyby mu tego odmówić? Nachyliła się lekko ku niemu, żeby mieć pewność, że ją usłyszy.

–Przebaczam ci – rzekła.

Prawie niedostrzegalnie skinął głową i przez chwilę wpatrywał się w jej twarz. A potem wzrok Gerarda Rukenaua przeszklił się i uszło zeń życie.

Warkocze światła, którymi Nilowiec ponownie się zespolił, zaślubiając obie swe połowy, zaczęły się rozpraszać, a gdy to nastąpiło, istota odwróciła się i spojrzała na Willa.

Simeon całkiem udanie odmalował go na swoim obrazie, pomyślał Will. Udało mu się trafnie uchwycić grację tej istoty. Nie zdołał wszelako oddać proporcji tkwiącej w nim obcości, która sprawiła, że Will zaczął się obawiać, że istota może jednak zrobić mu coś złego.

Kiedy jednak przemówiła wszystkie jego obawy prysły.

–Przebyliśmy razem długą drogę – rzekła istota miodopłynnym głosem. – Co teraz zrobisz?

–Chcę pójść jeszcze trochę dalej – odparł Will, oglądając się przez ramię.

–Nie wątpię – powiedział Nilowiec. – Ale uwierz mi, gdy powiem ci, że to nie byłoby rozsądne. Z każdym kolejnym krokiem wchodzimy coraz dalej w głąb żyjącego serca świata. To oderwie cię od twojego ja. I w końcu się zgubisz.

–Nie dbam o to.

–Ale tym, którzy cię kochają, zależy na tobie. Będą cię oplakiwać bardziej, niż przypuszczasz. Nie chcę przysparzać więcej cierpień komukolwiek.

–Ale ja chciałbym zobaczyć coś więcej. Niedużo. Tylko trochę.

–Niedużo, to znaczy, ile?

–Pragnę, abyś ty o tym zdecydował – powiedział Will. – Pójdę z tobą, a gdy uznasz, że nie powinienem już iść dalej, zawrócimy.

–Ja nie wrócę – rzekł Nilowiec, – Zamierzam zniszczyć ten dom. I muszę rozpocząć dzieło zniszczenia od jego serca.

–A dokąd potem się udasz?

–Daleko. Tam gdzie nie ma mężczyzn ani kobiet.

–Czy są jeszcze takie miejsca?

–Zdziwiłbyś się – odparł Nilowiec i z tymi słowy minął Willa, podążając ku sercu tajemnicy.

Jako że Nilowiec otwarcie nie zabronił Willowi pójść za nim, ten uznał to za przyzwolenie. Ruszył ostrożnie za istotą, jak ryba podczas tarła płynąca przez wzburzone wody, które unicestwiłyby ją, gdyby idący przodem Nilowiec nie przyjmował na siebie całego impetu rozszalałych fal. Ale nawet teraz, bardzo szybko zdał sobie sprawę, że ostrzeżenia istoty były w pełni uzasadnione. Im dalej szli, tym bardziej odnosił wrażenie, że nie stąpa pośród ech świata, lecz wędruje przez sam świat, a jego dusza wyrywała się z ciała, urzeczona błogością tajemnic objawiających się jej ze wszystkich stron. Wylegiwał się ze stadem zdyszanych psów na wzgórzu ponad równiną, gdzie antylopy leniwie skubały trawę. Maszerował z mrówkami i ciężko pracował w ostrym rygorze mrowiska. Tańczył taniec godowy z altannikiem i spał na rozgrzanej skale z jaszczurkami. Był chmurą. Był cieniem chmury. Był księżycem, którego blask powodował pojawienie się cienia chmury. Był ślepą rybą i był ławicą ryb; był wielorybem; był oceanem. Był panem wszystkiego co obserwował. Był robakiem w odchodach kani. Nie smucił się, wiedząc, że jego życie miało potrwać jedynie dzień lub zaledwie godzinę. Nie zastanawiał się, kto go stworzył. Nie pragnął być nikim ani niczym innym. Nie modlił się. Nie żywił jakichkolwiek nadziei. Po prostu był. Tylko był i radował się tym. Bo właśnie to było najwspanialsze.

Gdzieś po drodze, wśród chmur a może pośród ryb, stracił z oczu swego przewodnika. Istota, która w swych ludzkich postaciach była zarówno jego stwórcą, jak i dręczycielem, zniknęła gdzieś w dali i na zawsze odeszła z jego życia. Jak przez mgłę zdawał sobie sprawę z jej odejścia i wiedział, że to był sygnał, iż powinien zatrzymać się i zawrócić. Ta istota zaufała mu, zawierzyła, że nie odrzuci swego przeznaczenia. Jako człowiek odpowiedzialny nie mógł nadużyć zaoferowanego mu daru. Nie chodziło o niego, lecz o tych, którzy cierpieliby z powodu jego odejścia, gdyby przyszło im go utracić.

Myśli kłębiące się w jego głowie były jasne, sensowne i oczywiste. Jak mógł odmówić sobie widoku tych wszystkich wspaniałości, skoro tak wiele pozostało jeszcze do obejrzenia?

I ruszył dalej, tam dokąd miały odwagę zapuszczać się tylko te dusze, które nosiły w sercach wspomnienie domu i znały na pamięć drogę powrotną do niego.

Jestem świadkiem, pomyślała Frannie. Oto co jest mi teraz pisane. Obserwować te wydarzenia i ich rozwój, a przede wszystkim zatrzymać je w pamięci, abym mogła o wszystkim opowiedzieć później, kiedy te cudowne obrazy przeminą.

A przeminą. To z każdą chwilą wydawało się coraz bardziej nieuniknione. Pierwszą oznaką tego, że dom zaczynał się rozpadać, były krople zimnego deszczu, które zrosiły jej głowę. Uniosła wzrok. Sklepienie komnaty Rukenua z wolna się rozpląwało, wzierające zeń żywe postacie znikają jedna po drugiej. Nie roztopiały się, po prostu przestawała je widzieć, a ich miejsce zajmowały inne, bardziej znajome obrazy. Jakże pragnęła uwierzyć, że wszystkie one pozostawały wokół niej, tyle tylko że nie była w stanie wychwycić ich swymi niedoskonałymi zmysłami. Mimo to nie czuła się nieszczęśliwa z tego powodu. Choć widok szarych chmur, z których spływały strugi szarego deszczu, był o wiele mniej imponujący niż wspaniałości, jakich doświadczała niedawno, przyjęła go z zadowoleniem. Oto coś, co znała. Nareszcie coś znajomego. Nie zamierzała poświęcać mu więcej uwagi, w obawie by nie przeoczyć jakiegoś istotnego, urzekającego widoku.

Ściany także oddaliły się od niej, podobnie jak wcześniej sufit, migotliwa poświata gasła, warstwa po warstwie, światło stawało się coraz słabsze. Wzburzona ściana, tętniąca srebrzystym życiem, przeistoczyła się w zwyczajne morze, ta druga, zielona i lśniąca stała się granicą Kenavary. Pojawiły się też ptaki, mewy trzypalcowe, kormorany, wrony siwe, podczas gdy poniżej jej oczy wychwyciły obrazy tego, co żyło w głębi ziemi – robaka, dżdżownic i nasion; aż w końcu także ta wizja wygasła i wzrok Frannie rejestrował już tylko zmieszaną z fekaliami ziemię, powłoki odarte ze ścian domu, rozmyte strugami deszczu lepkie błocko.

Pamiętaj o tym, jak jest – powiedziała do siebie, klęcząc w błocie. Pamiętaj o obecności wszystkich tych stworzeń, zarówno widzialnych, jak i niewidzialnych, dookoła nas. Przyjdą jeszcze w twoim życiu takie dni, że będziesz potrzebowała znów poczuć to w sobie, upewnić się, że to, co odeszło z tego świata, tak naprawdę nie przestało istnieć. Ono wciąż tu jest, tyle tylko że my tego nie widzimy. Na skałach prócz niej byli jeszcze inni ludzie. Było ich więcej niż się spodziewała, podejrzewała, że to nieszczęsne ofiary uwolnione z labiryntu Domus Mundi. O jakieś dwadzieścia jardów od niej w strugach deszczu stał jakiś staruszek, śpiewający hymny, a także kobieta, starsza od niej o kilka lat, która szybkim krokiem pomaszerowała w głąb wyspy, jakby się obawiała, że jeżeli nie oddali się od tych skał, może znów zostać pochwycona przez tę tajemniczą siłę. Była też para młodych ludzi, bezwstydnie wymieniających uściski i pocałunki, z namiętnością i żarem, którego nie był w stanie ostudzić lodowaty deszcz. I był także Will. Nie odszedł tam, dokąd udała się istota będąca budowniczym tego domu. Wciąż był tutaj, stojąc sztywno, jakby kij połknął, i wpatrując się szklistym wzrokiem w kierunku morza. Wstała, by do niego podejść, i równocześnie spojrzała na Rukenua. To co ujrzała niepomiernie ją zdumiało. Jego ciało, teraz, gdy nie otaczała go już kolebka ścian domu, poddało się nieubłaganemu na tym świecie upływowi czasu. Jego skóra pękła w wielu miejscach, a lodowate krople odzierały zwłoki z wysuszonych na wiór mięśni. Deszcz zmył już krew z ciała i teraz

wyglądało ono jak prymitywna rzeźba z pomalowanego farbą papier mache, dzieło jakiegoś dziecka, które znudziwszy się nim, porzuciło je, zostawiając w kałuży błota. Frannie widziała, jak klatka piersiowa nieboszczyka zapadła się, a jej zawartość zmieniła w bezkształtną, galaretowatą breję. Odwróciła wzrok od nieprzyjemnego widoku, wiedząc, że gdy ponownie spojrzy na szczątki Rukenua, już ich nie zobaczy, bo rozpląną się w rozmokłej ziemi. Są gorsze sposoby na to, by zniknąć, pomyślała i podeszła do Willa.

Nie patrzył na morze, jak początkowo przypuszczała. Choć oczy miał szeroko otwarte, a gdy wymówiła jego imię, wydał z siebie gardłowy dźwięk, który przyjęła za odpowiedź, błędził gdzieś indziej i coś innego, o wiele ważniejszego zaprzętało obecnie całą jego uwagę.

–Myszę, że powinniśmy już iść – powiedziała.

Tym razem nawet nie pokwapił się o jakąkolwiek odpowiedź, kiedy jednak ujęła go za rękę, posłusznie dał się jej poprowadzić poprzez poleć blocka, w strugach deszczu, w stronę machair. Zanim dotarli do samochodu, burza, która przeszła nad wyspą, skierowała się ku Ameryce. Nadchodziła noc; w skupisku domów składających się na wioskę Barrapol rozbłysły światła, a spomiędzy strzępiastych chmur wyłoniły się gwiazdy. Frannie bez problemu usadowiła Willa na fotelu pasażera (sprawiał wrażenie pogrążonego w transie, reagował na proste polecenia, ale poza tym przebywał w całkiem innym świecie), po czym wyprowadziła wóz na drogę i ruszyła poprzez gęstniejący zmierzch w stronę Scarinish. Nazajutrz wejdą na pokład promu, rejs potrwa do wieczora, a gdyby uparła się i była w stanie prowadzić przez całą noc, nad ranem byłaby z powrotem w Burnt Yarley. W obecnej chwili nie potrafiła skupić myśli na niczym innym prócz kuchni, dzbanka z herbatą i wygodnego, własnego łóżka. Dopiero kiedy znajdzie się w swoim domu i poczuje się naprawdę bezpieczna, zacznie zastanawiać się nad tym, co ujrzała, przeżyła i wycierpiała od chwili, gdy mężczyzna siedzący teraz obok niej ponownie zjawił się w jej życiu.

SZESNAŚCIE

Następny dzień wyglądał niemal dokładnie tak, jak Frannie się tego spodziewała. Spędzili noc w niewygodnym wnętrzu auta, pod Scarinish, a około południa znaleźli się na pokładzie promu płynącego z powrotem do Oban. Jej jedynym problemem podczas podróży było zmęczenie, które powstrzymywała morzem kawy. Mimo to znużenie wciąż usiłowało ją przemóc i kiedy o czwartej nad ranem dotarła w końcu do domu, prawie nie była w stanie pozbierać myśli. Will tymczasem nadal pozostawał w osobliwym niby-transie, który oładnął nim od czasu unicestwienia domu. Nie ulegało wątpliwości, że wiedział iż była obok niego, ponieważ odpowiadał na pytania, o ile były w miarę proste (czy chcesz kanapkę? czy chcesz kawę?), ale nie postrzegał świata tak samo jak ona. Błądził dłonią po omacku, aby odnaleźć kubek z kawą, a kiedy już wziął go do ręki, rozlał połowę, zanim zdołał się napić. Jedzenie, które w niego wmuszała, pochłaniał mechanicznie, jakby jego ciało wykonywało niezbędne ruchy bez udziału świadomego umysłu.

Wiedziała, gdzie błądził myślami. Wciąż jeszcze był urzeczony domem lub raczej jego wspomnieniami. Robiła co w jej mocy, by nie rozzłościć się na niego, za jego obojętność, ale było to nader trudne, zwłaszcza w obliczu obecnych palących problemów. Poczula się opuszczona, nie sposób było określić tego inaczej. W swoim transie Will wydawał się nietykalny, podczas gdy ona była wyczerpana, dezorientowana i przerażona. Kiedy ludzie zorientują się, że wróciła, zaczną zadawać pytania, co gorsza, trudne pytania. Chciała, by Will pomógł jej sformułować odpowiedzi na niektóre z nich. Nic jednak, co do niego mówiła, nie zdołało go wyrwać ze stanu fugi, w jakim się znajdował. Will wpatrywał się tępo w przestrzeń i śnił o Domus Mundi.

Spotkało ją coś znacznie gorszego, co można było określić mianem zdrady, kiedy obudziła się następnego ranka, spędziwszy cztery cudowne godziny we własnym, wygodnym łóżku, stwierdziła, że kanapa, na której go ułożyła, była pusta i kiedy smacznie spała, Will musiał wyjść z domu, pozostawiając frontowe drzwi otwarte na oścież. Była wściekła. Owszem, w Domus Mundi doświadczył niejednego, ale ona również, i mimo to nie wyszła w środku nocy z domu, żeby powędrować Bóg wie dokąd.

Po śniadaniu zadzwoniła na policję i powiadomiła o swoim powrocie. Zjawili się u niej trzy kwadranse później, zasypując pytaniami o wszystko co się wydarzyło w domu Donnellych. Najwyraźniej uważali jej zniknięcie po śmierci Sherwooda za dziwne, może nawet podejrzanę, ale choć mogło to świadczyć o zachwianiu równowagi umysłowej Frannie, z pewnością nie stanowiło dowodu jej winy. Policja miała już zresztą swoich podejrzanych: dwoje włóczęgów, których widziano w pobliżu domu Donnellych na dwa lub trzy dni przed morderstwem. Z przyjemnością podała stróżom prawa nazwiska domniemanych sprawców zbrodni i dodała przy tym, iż jest pewna, że to właśnie ta dwójka dręczyła Willa, ją i jej brata wiele lat temu. Zapytano ją jaki może być związek pomiędzy Sherwoodem i tą dwójką, dlaczego w ogóle jej

brat zjawiał się w domu Donnellych? Odparła, że nie wie. Poszła tam za Sherwoodem z zamiarem przyprowadzenia go do domu i dotarwszy na miejsce ujrzała Steepa, który zaatakował jej brata. Potem rzuciła się w pościg. Tak, to co zrobiła było głupie, nie miała co do tego wątpliwości. Mimo to była owładnięta gniewem i wstrząśnięta tym, co się stało, policjanci z pewnością zdołają to zrozumieć. Jedyne, o czym mogła wówczas myśleć, to odnalezienie i stawienie czoła mężczyźnie, który zamordował jej brata.

Detektywi dopytywali się, jak daleko dotarła ze swym pościgiem. Skłamała w żywe oczy. Zgubiła tych dwoje niedaleko Lake District. W końcu najstarszy z detektywów, nazwiskiem Faraday, zadał jej pytanie, na które tak długo czekała.

–Gdzie, u licha, w całej tej historii, jest miejsce Willa Rabjohnsa?

–Towarzyszył mi podczas pościgu – odparła krótko.

–A to dlaczego? – zapytał detektyw, przyglądając się jej przenikliwym wzrokiem. – Przez wzgląd na dawne czasy?

Odparła, że nie ma pojęcia, o czym Faraday mówi, na co detektyw stwierdził, że w przeciwieństwie do jego dwóch kolegów doskonale wie, co wydarzyło się przed laty, bo to właśnie on usiłował wydobyć od Willa prawdę. Przyznał, że to mu się nie udało. Jednakże dobry policjant – a za takiego się uważał – nigdy nie zamyka sprawy, w której pewne pytania pozostają bez odpowiedzi. A w aktach tej sprawy było ich więcej niż w którejkolwiek innej teczce z dokumentami z prowadzonych przez niego dochodzeń.

–Tak więc pytam raz jeszcze – oznajmił – co spowodowało, że pani i Will Rabjohns wspólnie wplątaliście się w tę aferę?

Zgrywała niewiniątko, wyczuwając, że Faraday pomimo swej nieustępliwości i uporu nie jest wcale bliższy rozwiązania zagadki niż trzydzieści lat temu. Być może miał pewne podejrzenia, ale jeżeli nawet były one zbliżone do prawdy, wątpiła, by zechciał podzielić się nimi otwarcie ze swymi kolegami. Prawda była tak odległa od codzienności, z jaką Faraday miał do czynienia podczas prowadzonych przez lata dochodzeń, że na te tereny mógł zapuszczać się jedynie w myślach, których nie zdradzał żadnemu ze swych współpracowników z wydziału. Mimo że zadawał jej kolejne pytania, udzielała na nie zdawkowych, mętnych odpowiedzi i w końcu zrezygnował, pokonany przez własne wahania i niechęć do poukładania poszczególnych fragmentów tej układanki we właściwej kolejności. Naturalnie, chciał wiedzieć, gdzie znajduje się teraz Will, na co Frannie zgodnie z prawdą powiedziała, że nie wie. Wyszedł z domu dziś rano i mógł być teraz gdziekolwiek.

Faraday, uświadomiwszy sobie, że to śledztwo będzie dlań kolejnym ciężkim orzechem do zgryzienia, zapowiedział Frannie, że jeszcze się spotkają. Na tym sprawa się nie zakończy. Trzeba będzie dokonać rozpoznania sprawców, kiedy zostaną zatrzymani. O ile to nastąpi. Frannie pożegnała się z nim, życząc rychłego zatrzymania podejrzanych i Faraday oraz dwaj

jego koledzy wyszli.

Przesłuchanie trwało prawie cały dzień, ale czas, jaki pozostał do wieczora, Frannie poświęciła na melancholijną czynność przygotowań do pogrzebu Sherwooda. Nazajutrz uda się do hospicjum w Skipton i zapyta lekarzy, czy ich zdaniem powinna przekazać matce smutną nowinę. A na razie czekało ją mnóstwo prac natury organizacyjnej.

Wczesnym wieczorem odwiedziła ją Helen Morris, by złożyć Frannie najszczerze wyrazy współczucia. Helen nigdy nie była jej bliska przyjaciółką i Frannie zaczęła domniemywać, że kobieta zjawiała się tu w nadziei na zdobycie garści najświeższych plotek, ale mimo to ucieszyła się z odwiedzin. Było na swój sposób pocieszające, że ze wszystkich mieszkańców Burnt Yarley to właśnie Helen, jedna z najbardziej konserwatywnych osób, postanowiła spędzić z nią kilka godzin. Cokolwiek myśleli mieszkańcy wioski na temat wydarzeń w domu Donnellych, z całą pewnością nie uważali Frannie za sprawczynię tej tragedii. To przywiodło jej na myśl, że być może była winna Helen i innym osobom usiłującym rozwikłać tę zagadkę choćby najogólniejsze wyjaśnienia. Kto wie, może za miesiąc lub dwa, kiedy odzyska odrobinę pewności siebie, podczas niedzielnej mszy wstanie w pewnej chwili z miejsca i wyjawi wszystkim tę smutną i cudowną prawdę. Możliwe, że gdy to uczyni, żaden z mieszkańców już nigdy się do niej nie odezwie – być może stanie się odtąd Wariatką z Burnt Yarley. I może była to cena, którą warto byłoby zapłacić.

SIEDEMNAŚCIE

Znalazłszy się wśród wzgórz, Will po prostu szedł, jego ciało pokonywało zimne zbocza, podczas gdy dusza odwiedzała znacznie dziwniejsze miejsca. Zanurzał się w głębiny rowów oceanicznych i pływał z istotami, które nie zostały dotąd odkryte ani nazwane. Unosił się jako małe owad nad szczytami gór, tak odległymi, że plemiona żyjące w dolinie poniżej wierzyły, że mieszkają tam bogowie. Ale on już teraz znał prawdę. Stwórcy świata nie ukryli się na wysokościach. Byli wszędzie. Byli kamieniami, drzewami, strugami światła i kielkującymi nasionami. Byli rannymi i konającymi istotami, a także tym wszystkim, co rodziło się z owych rannych i konających istot. A tam, gdzie byli oni, był również on. Lis, Bóg oraz istota pośrednia.

Nie był głodny ani śpiący, choć w czasie swojej wędrówki napotykał istoty odczuwające głód i senność. Niekiedy zdawał się podróżować w snach śpiących zwierząt, w snach o polowaniu i o kopulacji. Czasami sam wydawał się być snem, snem o człowieku, śnionym przez zwierzę. Być może psy szczekały przez sen, wyczuwając jego obecność, a piskłę w jajku stawało się niespokojne, kiedy przynosił mu wieści o świetle, zresztą kto wie, może nie był niczym więcej, jak tylko wymysłem własnych nawiedzonych myśli, tworzących iluzję tej wyprawy, aby już nigdy, przenigdy nie wrócić do miasta Rabjohnsa i do domu Willa.

Od czasu do czasu ścieżki – jego własna i lisa – przecinały się, ale zawsze ruszał dalej, zanim lis zdążył pożegnać się oficjalnie i odejść. Jednak w którymś momencie podczas swej wędrówki – kto wie ile dni upłynęło? – natknął się na zwierzę na tyłach domu, które wydało mu się dziwnie znajome. Lis grzebał w śmietniku, choć robił to bez większego entuzjazmu, Will wiedział, że są inne, znacznie ciekawsze miejsca, które mógł i powinien odwiedzić, i już miał ruszyć w dalszą drogę, kiedy lis odwrócił łebek w jego stronę i rzekł:

–Pamiętasz to podwórze?

Will nie odpowiedział. Już od dawna z nikim nie rozmawiał i nie miał ochoty robić tego teraz. Lis wszakże miał już gotową odpowiedź.

–To dom Lewisa – powiedziało zwierzę. – Tego poety, Lewisa – dodało zwierzę. Will przypomniał go sobie. – To tu rzekomo zobaczyłeś szopa pracza, który robił to samo co ja teraz.

Will w końcu przerwał milczenie.

–Naprawdę?

–Tak było. Ale nie dlatego jestem teraz tutaj.

–Nie... – rzekł Will, wyczuwając, że obecność zwierzęcia ma większe znaczenie, niż początkowo przypuszczał.

–Wiesz, dlaczego tu jesteś, prawda?

–Obawiam się, że tak.

To rzekłszy, opuścił podwórze i wyszedł na ulicę. Był wczesny wieczór, niebo na zachodzie wciąż jeszcze spowijały ciepłe barwy. Przeszedł wzdłuż Cumberland do Noe, potem wzdłuż Dziewiętnastej, dotarł do Castro Street. Na chodnikach było już dość tłoczno, toteż przypuszczał, że jest piątek, a może sobota wieczór, kiedy mieszkańcy po pracy zdejmują maski, jakie noszą na co dzień i rozpoczynają szalony weekend.

Nie wiedział, w jakiej postaci teraz wędrował, ale wkrótce to sobie uświadomił. Był nikim. I niczym. Nikt nie spojrzał na niego, gdy szedł wzdłuż Castro, nawet po to, by zeń zakpić. Maszerował wzdłuż „ślicznotek” i obserwatorów „ślicznotek” (czy na tej ulicy był ktoś jeszcze, kto nie zaliczał się do jednej z tych kategorii?) niezauważony, mijając turystów, którzy zjawili się tu, by zobaczyć, jak wygląda raj dla homoseksualistów, męskie dziwki popatrujące to na spodnie, to na swoje oblicze w szybie, drag queen, traktujące wszystkich z góry, i smutnych chorych mężczyzn, którzy wylegli na ulice w obawie, że mogą nie doczekać kolejnego imprezowego wieczoru. Przenikał przez ten tłum jak duch i być może stał się nim, aż w końcu dotarł do ostatniego domu, stojącego na samym końcu ulicy, na szczycie wzgórza, domu w którym mieszkał Patrick.

Przyszedłem, żeby zobaczyć, jak umiera, pomyślał. Dopiero teraz to sobie uświadomił. Rozejrzał się dookoła, wypatrując lisa, ale beczelne zwierzę, sprowadziwszy go tutaj, zniknęło. Był sam. Zdany tylko na siebie. Właśnie wspiął się po schodach i wszedł przez drzwi do holu. Tu przystanął na chwilę, żeby wziąć się w garść. To było pierwsze zamieszkanie przez ludzi miejsce, jakie odwiedził od dłuższego czasu, i odniósł wrażenie jakby znalazł się w grobowcu – ciche ściany, dach przesłaniający niebo. Chciał odwrócić się i wyjść na świeże powietrze. Kiedy jednak ruszył po schodach na górę do znajomego mieszkania, zaczęły napływać doń powracające wspomnienia. Jak wspinając się po tych schodach, rozbierał Patricka; tak bardzo chciał ujrzeć go nagiego, że nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie usłyszy szcęk klucza przekręcanego w zamku. Jak potykając się, przestępował próg, wyciągając poły koszuli ze spodni kochanka, raz po raz powtarzając, jak piękny jest Patrick, jaki doskonały, pod każdym względem, jak cudowne są jego sutki, tors, brzuch i członek. Nie było na Castro piękniejszego mężczyzny ani drugiego, który kochałby go równie mocno.

Znalazł się właśnie pod drzwiami mieszkania i pokonawszy je, skierował się do sypialni. Wewnątrz ktoś szlochał żałośnie. Zawahał się przez chwilę, nim wszedł, w obawie przed tym, co może za nimi zostać. I wtedy usłyszał głos Patricka.

–Przestań, proszę – rzekł łagodnie – to bardzo przygnębiające.

A więc nie spóźniłem się, pomyślał Will i wślizgnął się przez drzwi do sypialni.

Stojący przy oknie Rafael posłusznie zdusił w sobie szloch. Adrianna siedziała na łóżku,

przyglądając się swemu pacjentowi, przed którym stała miseczka waniliowego puddingu. Stan Patricka znacznie się pogorszył od dnia wyjazdu Willa do Anglii. Stracił sporo na wadze, jego oblicze chorobliwie pobladło, pod oczami pojawiły się ciemne sińce. Najwyraźniej potrzebował snu, jego powieki wydawały się ciężkie, mięśnie twarzy zwiótzały z przemęczenia. Adrianna jednak łagodnym tonem przekonała go, żeby najpierw dokończył posiłek, co niezwłocznie uczynił, opróżniając jak grzeczne dziecko całą miseczkę puddingu.

–Skończyłem – powiedział w końcu. Głos miał odrobinę bełkotliwy, a jego głowa opadała bezwładnie i sprawiał wrażenie, jakby mógł zasnąć z łyżką w dłoni.

–Poczekaj – rzekła Adrianna. – Pozwól, że to wezmę.

Zabrała miseczkę i łyżkę i odstawiła na nocny stolik, na którym stała cała bateria buteleczek z pigułkami.

Kilka z nich było otwartych. Will zauważył, że są puste.

W sercu Willa zaczął się rodzić niepokój. Spojrzał na Adriannę, która pomimo pozorów stoickiego spokoju także z trudem powstrzymywała łzy. Gdy namawiała Patricka do dokończenia posiłku, chodziło o coś więcej niż zwykłe jedzenie.

W miseczce prócz puddingu było coś jeszcze.

–Jak się czujesz? – spytała.

–Dobrze – odparł Patrick. – Trochę kręci mi się w głowie, ale ogólnie czuję się nieźle. To nie był najsmaczniejszy pudding, jaki jadłem, ale zdarzały mi się już gorsze. – Głos miał cichy, pełen napięcia, ale robił co w jego mocy aby nadać mu choćby odrobinę melodyjności.

–Źle robisz... – rzekł Rafael.

–Nie zaczynaj znowu – skarciła go Adrianna.

–Tego właśnie chcę – rzekł stanowczo Patrick. – Nie musisz tu być, jeśli to cię stresuje.

Rafael spojrzał na niego, na jego obliczu malowały się sprzeczne emocje.

–Jak długo... to potrwa? – spytał.

–To zależy. Różnie z tym bywa – odparła Adrianna. – Tak w każdym razie słyszałam.

–Zdązysz jeszcze napić się brandy – powiedział Patrick, na chwilę zamykając oczy, po czym je otworzył, jakby przebudził się z pięciosekundowej drzemki. Spojrzał na Adriannę. – To będzie dziwne... – rzekł z rozmarzeniem.

–Co będzie dziwne?

–Kiedy mnie zabraknie – odparł z lekkim uśmiechem. Jego dłoń, która rytmicznie wygładzała fałdę na pościeli, wsunęła się teraz pod koc i ścisnęła ją za rękę. – Przez te wszystkie lata sporo rozmawialiśmy, nieprawdaż...? O tym, co jest... po drugiej stronie?

–Zgadza się.

–Wygląda na to, że... dowiem się tego pierwszy.

–Zazdroszczę ci – odparła.

–Nie wątpię – mruknął. Zaczynał go zawodzić głos.

–Nie zniosę tego dłużej – rzekł Rafael, podchodząc do łóżka Patricka, jakby starał się go pocieszyć.

–Wszystko gra, mały – powiedział Patrick, jakby starał się go pocieszyć. – Wszystko gra. Tyle dla mnie zrobiłeś. Więcej niż ktokolwiek inny. Idź, zrób sobie przerwę na papierosa. Nie martw się. Będzie dobrze. Naprawdę... – Przerwał mu donośny, przenikliwy dźwięk dzwonka.

–A kogo tam diabli niosą? – wycedził i przez tę krótką chwilę znów zatlila się w nim isierka starego Patricka.

–Nie otwieraj – rzekł Rafael. – To mogą być gliny.

–Albo Jack – wtrąciła Adrianna, wstając z łóżka. Dźwięk dzwonka powtórzył się, tym razem był dłuższy, bardziej natarczywy. – Ktokolwiek to jest – powiedział – najwyraźniej nie zamierza odejść.

–Idź, zobacz kto to, kochanie – poprosił Rafaela Patrick. – I ktokolwiek to jest, spław go. Powiedz, że właśnie dyktuję swoje pamiętniki. – Zachichotał, rozbawiony własnym żartem. – No idź – ponaglił, kiedy dzwonek rozbrzmiewał po raz trzeci.

Rafael podszedł do drzwi, raz po raz spoglądając na mężczyznę leżącego na łóżku.

–A jeśli to gliny?

–Jeżeli tak, to nie zawahają się przed sforsowaniem drzwi, o ile sam im nie otworzysz. – rzekł Patrick. – No idź już, zrób z tym porządek.

Rafael wyszedł, a Patrick ciężko osunął się na poduszki.

–Biedny dzieciak – powiedział, zatrzepotał powiekami i zamknął w końcu oczy. – Zajmiesz się nim, prawda?

–Wiesz, że tak – zapewniła Adrianna.

–On nie jest na to przygotowany.

–Czy ktokolwiek z nas jest?

Ścisnął ją za rękę.

–Radzisz sobie doskonale.

–A ty?

Otworzył oczy, choć kosztowało go to wiele wysiłku.

–Próbowałem wymyślić coś... co mógłbym powiedzieć, gdy nadejdzie mój czas. Chciałem powiedzieć coś... zwięzłego, a jednocześnie treściwego. No wiesz, coś co można by później cytować.

Will widział, że Patrick odplywa, jego głos stał się coraz bardziej bełkotliwy, a wzrok, kiedy ponownie otworzył oczy, był wyraźnie mętny. Nie odplynął jednak do tego stopnia, by nie usłyszeć głosów dochodzących od drzwi frontowych.

–Kto przyszedł? – spytał Adriannę. – Czy to Jack?

–Nie... chyba raczej Lewis.

–Nie chcę go widzieć.

Rafael miał jednak kłopoty z pozbyciem się Lewisa. Robił, co mógł, usiłując go spławić, ale najwyraźniej nie był w stanie.

–Może powinnaś mu pomóc? – zaproponował Patrick. Adrianna nawet nie drgnęła. – No idźże – rzucił z naciskiem, choć nie miał już sił. – Nigdzie się nie wybieram. Jeszcze nie. Tylko... nie zabaw tam zbyt długo.

Adrianna wstała i pospieszyła ku drzwiom, najwyraźniej rozdarta między potrzebą pozostania z Patrickiem a koniecznością pozbycia się Lewisa, który zakłócał spokój pacjenta.

–Zaraz wracam – zapewniła i wyszła do sieni, pozostawiając drzwi nieznacznie uchylone.

Will usłyszał jej głos, gdy bezceremonialnie zaatakowała Lewisa, że śmie przychodzić bez zapowiedzi, co on sobie w ogóle wyobraża, ma stąd wyjść, ale już, bez żadnego gadania.

I nagle bardzo cicho Patrick powiedział:

–A skąd... ty się tu wzięłeś?

Will spojrzał na niego i jakież było jego zdziwienie, gdy stwierdził, że Patrick mimo

mętnawego wzroku przypatruje mu się z zakłopotaniem, a na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Will podszedł do łóżka i spojrział na chorego.

–Widzisz mnie? – spytał.

–Ależ... oczywiście... że cię widzę – odrzekł Patrick. – Czy przyszedłeś z Lewisem?

–Nie.

–Zbliź się jeszcze bardziej. Jesteś jakiś rozmazany. Zwłaszcza kontury.

–To nie wina twoich oczu. To ja.

Patrick uśmiechnął się.

–Mój biedny, rozmazany Will. – Z trudem przełknął ślinę. – Dziękuję ci, że tu jesteś – powiedział. – Nikt nie mówił, że przyjdiesz... Gdybym wiedział, że się zjawisz... zaczekałbym... Żebyśmy mogli porozmawiać.

–Sam nie wiedziałem, że tu przyjdę.

–Mam nadzieję, że nie uważasz mnie za tchórze – rzekł Patrick. – Tyle tylko że... nie mogłem znieść myśli o powolnym gaśnięciu.

–Nie. Na pewno nie jesteś tchórzem – odparł Will.

–To dobrze – mruknął Patrick. – Bo tak sobie myślałem. – Wziął głęboki, łagodny oddech. – To naprawdę ciężki dzień... tyle roboty – powiedział – a ja jestem taki zmęczony. – Jego powieki opadały powoli. – Zostaniesz ze mną przez chwilę?

–Ile tylko zechcesz – odrzekł Will.

–Wobec tego... na zawsze – powiedział Patrick i umarł.

Tak po prostu. W jednej chwili jeszcze tu był, w całej swej uroczej osobie, a w następnej już nie, pozostała po nim jedynie pusta cielesna powłoka, kryjący się w niej cud odszedł.

Will, który z rozpaczy prawie nie mógł oddychać, podszedł do ciała Patricka i pogłaskał go po twarzy.

–Kochałem cię, stary – powiedział. – Bardziej niż kogokolwiek w całym moim życiu. – I już szeptem dodał: – Nawet bardziej niż Jacoba.

Ostra wymiana zdań w sieni dobiegła końca, a Will usłyszał, jak Adrianna, przemawiając do Patricka wraca pospiesznie do sypialni. Wszystko w porządku, mówiła, Lewis poszedł do domu, żeby napisać sonet. Otworzyła drzwi i przez moment wydawało się jej, że zobaczyła Willa

stojącego przy łóżku, nieomal wypowiedziała jego imię. Jednak zdrowy rozsądek przekonał ją, że to tylko iluzja, zwodziły ją zmysły, przecież Willa nie mogło tu być, prawda? I nie wymówiła go do końca. Spojrzała na Patricka i wydała z siebie delikatne westchnienie, smutku i ulgi zarazem. A potem zamknęła oczy, zmuszając się, by zachować zimną krew, jak sądził Will, by tak jak zawsze, w najcięższych chwilach stać się oazą spokoju dla będących w potrzebie, zagubionych i pogrążonych w rozpacz.

Rafael stał w przedpokoju za drzwiami sypialni, nawołując Adriannę.

–Lepiej tu przyjdź – powiedziała. Rafael nie odpowiedział. – Już dobrze. Już po wszystkim. Po wszystkim.

Podeszła do łóżka i usiadła obok Patricka i pogładziła go po twarzy. Po raz pierwszy, odkąd wszedł do Domus Mundi, Will zatęsknił do swego ciała, chciał być w nim teraz, siedzieć obok Adrianny, móc pocieszyć ją tak, jak umiał najlepiej. Pozostawanie niematerialnym i niewidzialnym miało swoje minusy – czuł się jak podglądacz. Może lepiej będzie, jeśli teraz odejdzie, skonstatował, niech żyjący pogrążą się w żalobie, a umarli niechaj spoczywają w spokoju. Nie zaliczał się ani do jednych, ani do drugich, a przynajmniej takie odnosił wrażenie, i ten brak przynależności, który przepełniał go radością podczas wędrówki przez świat, stał się teraz dla niego uciążliwym brzemieniem. Poczul się niewiarygodnie samotny.

Wyszedł do przedpokoju, minął Rafaela, stojącego o jard od drzwi sypialni, a mimo to nie mającego sił wejść do środka, po czym opuścił mieszkanie, zszedł po schodach i znalazł się na ulicy.

Wiedział, że Adrianna zajmie się Patrickiem. Zawsze była w równej mierze czuła i pragmatyczna. Ukołysałaby Rafaela, gdyby tego pragnął, ale przede wszystkim dopilnuje, by ciało nie wyglądało podejrzanie, gdy zjawią się lekarze; usunie skrzętnie wszelkie dowody samobójstwa, a gdyby ktoś zapytał ją, co się stało, skłamię w żywe oczy, na tyle przekonująco, że nikt nie ośmieli się zaprzeczyć jej słowom.

Willowi nie było dane zająć myśli bardziej przyziemnymi sprawami. Miał przed sobą przeraźliwą pustkę ulicy, która zawsze była drogą do domu Patricka i już zawsze nią będzie, tyle tylko że teraz nie prowadziła już do miejsca, które byłoby dla niego naprawdę ważne. Co teraz? – zastanawiał się. Chciał opuścić to miasto, wrócić do rzeki, z której go wyciągnięto, a w której nie było żadnego bólu ani cierpienia, do tego cudownego nurtu, gdzie nie mogło go dosięgnąć uczucie dojmującej straty, gdzie był całkowicie nietykalny. Ale jak miał się tam dostać? Może powinienem wrócić do domu Lewisa? – pomyślał; może lis, który uknuł ten spisek, by nakłonić go do tej smutnej podróży, wciąż grzebał w śmietniku i udałoby mu się przekonać go, by odwrócił ten proces, usunął jego wspomnienia i pozwolił mu wrócić do rzeki życia.

Tak, to właśnie zrobi, wróci do Cumberland.

Na ulicach było tłoczniej niż zazwyczaj, a na skrzyżowaniu Castro i Dziewiętnastej, gdzie przechodniów było najwięcej, Will dostrzegł znajomą twarz. To był Drew. Szedł sam wśród tłumu i choć starał się robić dobrą minę do złej gry, udawanie zadowolonego z życia nie wychodziło mu najlepiej. Dotarł do rogu ulicy, ale nie potrafił zdecydować się, w którą chciałby pójść stronę. Ludzie mijali go bezceremonialnie, zmiierzając do ulubionych barów i innych znanych miejsc, kilku mężczyzn obrzuciło go powłóczytymi spojrzeniami, lecz nie doczekawszy się z jego strony przyzwalającego uśmiechu, wszyscy prędzej czy później odwracali od niego wzrok. Drew sprawiał wrażenie, jakby w ogóle ich nie dostrzegał. Po prostu stał, w tłumie mężczyzn, podążających do miejsc, w których zamierzali spędzać nadchodzący wieczór.

Will ruszył ku niemu, choć wcześniej nie planował iść w tę stronę. Z łatwością przedzierał się przez tłum. Gdy od rogu ulicy dzieliło go niespełna dwadzieścia jardów, Drew musiał najwyraźniej uznać, że nie ma ochoty na nocne ekscesy, ponieważ obrócił się na pięcie i zawrócił. Will pospieszył za nim, choć nie w stronę, z której przyszedł (w obecnym stanie nie mógł go przecież pocieszyć, ani tym bardziej przeprosić, za to co się stało), ale z jakiegoś powodu nie chciał pozwolić, by Drew odszedł. Tłum przed nim zgęstniał i choć w obecnym stanie mógł precyzyjnie się przezeń bez najmniejszego trudu, brakowało mu pewności siebie, po prostu nie czuł się w tej formie swobodnie. Szedł o wiele ostrożniej i wolniej, niż to było konieczne, i niemal stracił Drew z oczu. W końcu zmusił swego ducha, aby nieco zwawiej podążył naprzód, przebijając się przez zwartą ciżbę kobiet i mężczyzn (oraz kilku osób będących w stadium przejściowym między jedną a drugą płcią), nawołując Drew, choć wiedział, że tamten i tak go nie usłyszy. Zaczekaj! – krzyczał. Drew, proszę cię. Zaczekaj! Gdy tak biegł, a postaci wokół niego zaczęły rozmywać się w niewyraźne smugi, przypomniał sobie inny pościg, kiedy gonił lisa przez migoczący las, i gdzie u kresu drogi czekało nań światło czuwania. Tym razem nie próbował spowolnić biegu, tak jak to uczynił poprzednim razem, nie oglądał się przez ramię, na ulicę i tłum w obawie, że mógłby ich już nigdy więcej nie ujrzeć.

Drew wyłonił się ze zwartej masy ciał na skrzyżowaniu i znajdował się teraz o jakieś dziesięć jardów przed Willem. Szedł w stronę domu, ze spuszczoną głową i wzrokiem wlepionym w chodnik.

Kiedy jednak odległość między nimi zmniejszyła się, Drew jakby coś usłyszał i uniósłszy głowę, obejrzał się przez ramię, spoglądając w stronę Willa; był trzecią i ostatnią duszą, której tej nocy na moment Will zdołał się ukazać. Will ujrzał, jak Drew przepatruje wzrokiem tłum, z wyrazem radosnego wyczekiwania. I wtedy jego oblicze pojaśniało, blask narastał z każdą chwilą coraz bardziej, aż wreszcie Castro, tłum i gęstniejąca nad nimi noc odeszły ku zachodowi, a on się obudził.

OSIEMNAŚCIE

Był w lesie, leżał w tym samym miejscu, gdzie spadły ptaki. Choć w Kalifornii wciąż była noc, tu w Anglii nastał już dzień, chłodny, pochmurny jesienny dzień. Rozprostował zdętwiałe, obolale kończyny i usiadł, wzburzenie, jakie odczuwał, opuszczając Patricka, zostało nieznacznie złagodzone przez spokój i ciszę towarzyszącą jego przebudzeniu. Otaczała go sterta śmieci. Zauważył nadgryziony owoc, kilka kromek chleba leżących na ziemi i z wolna pokrywających się pleśnią. Jeżeli, jak przypuszczał, były to resztki posiłków, które spożywał, oznaczało to, że spędził tu sporo czasu. Dotknął dłonią podbródka i wyczuł niemal tygodniowy, szorstki zarost. Otarł powieki z osadu snu i wstał, lewą nogę miał odrętwiałą, trochę czasu zajęło mu odzyskanie w niej czucia. Rozmasowując ją, uniósł wzrok i spojrzął poprzez nagie konary drzew na niebie.

Dostrzegł ptaki krążące nad wzgórzami. Wiedział, jak cudownym uczuciem jest posiadanie skrzydeł. Ostatnio był w głowach orłów i kolibrów spijających nektar z kielichów kolorowych kwiatów. Niestety, czas tej błogości już minął. Wyruszył w podróż, a raczej jego duch, i teraz wrócił do siebie, by żyć w tym świecie jako człowiek.

Naturalnie, czuł dojmujący smutek i żal. Patrick nie żył, podobnie jak Sherwood. Ale pozostało jeszcze dzieło, do którego powołał go lis; święte dzieło.

Oparł cały ciężar na nodze, by sprawdzić, czy go utrzyma, a kiedy przekonał się, że tak, odkuśtykał od zaśmieconego gniazda pod drzewem i wyszedł na skraj lasu. Poprzedniej nocy był lekki przymrozek i choć spomiędzy chmur przezierало słońce, jego promienie były zbyt słabe, by roztopić szron, błyszczący biało na stokach, polach, dachach i drogach. Krajobraz przed nim przypominał pejzaż będący dziełem malarza-miniaturzysty, który w swym geniuszu odwzorował każdy, nawet najdrobniejszy szczegół, od najmniejszego liścia paproci po najbardziej fantazyjną chmurę i uczynił to tak perfekcyjnie, jakby tylko czekał, by mogły ujrzeć go czyjeś oczy i dusza.

Jak długo zabawił na skraju lasu, chłonąc to wszystko? Dostatecznie długo, by ujrzeć tuzin drobnych ceremonii rozgrywających się poniżej: wyprowadzanie krów na pastwisko, rozwieszanie prania na sznurze, listonosza roznoszącego pocztę. Aż w końcu, w jakiś czas później ujrział cztery czarne auta sunące wolno od Samson Street w kierunku kościoła św. Łukasza.

–Sherwood... – wymamrotał Will.

Wciąż kuśtykając, ruszył w dół zbocza pozostawiając ślad żywej, ostrzejszej zieleni na oszronionej trawie. Rozległo się bicie kościelnego dzwonu, a jego echo poniosło się wśród wzgórz, wypełniając dolinę posępną nowiną: Umarł człowiek. Dowiedźcie się, że oto odeszła z tego padółu dobra dusza i wszyscy staliśmy się z tego powodu ubożsi.

Will znajdował się w połowie zbocza, gdy kondukt żałobny zajechał przed kościół wzniesiony

na drugim końcu doliny. Dotarcie tam zajęłoby mu jeszcze co najmniej pół godziny, biorąc pod uwagę fakt, że utykał i był potwornie zmęczony, ale nawet gdyby się tam zjawił, w obecnym stanie, raczej nie powitano by go życzliwie. Może Frannie ucieszyłaby się na jego widok, choć nie był tego stuprocentowo pewien. Dla reszty żałobników zbliżając się niepewnym krokiem, w brudnym, ubłoconym ubraniu do przygotowanej dla Sherwooda mogiły stanowiłby jedynie niemłą sensację, odrywającą ich myśli od ponurej ceremonii i zasadniczego celu w jakim tu przybyli, czyli złożenia wyrazów szacunku rodzinie zmarłego. Później kiedy trumna zostanie złożona do ziemi, znajdzie spokojną chwilę aby pójść na cmentarz i pożegnać się ze zmarłym. Teraz bardziej przysłuży się pamięci Sherwooda, trzymając się z dala od tego miejsca.

Trumna została wyciągnięta z wnętrza karawanu, po czym wniesiono ją do kościoła. W chwilę później do przybytku weszli żałobnicy. Pierwszą osobą, która weszła za trumną do świątyni była jak przypuszczał Frannie, choć z tej odległości nie widział jej twarzy. Patrzył jak żałobnicy wchodzi do kościoła, podczas gdy kierowcy zostali na zewnątrz i stojąc przy murze zajęli się rozmową.

Dopiero teraz ruszył dalej w dół zbocza. Postanowił, że pójdzie do domu Hugona, będzie mógł się wykapać, ogolić i przebrać, aby zanim Adele wróci z pogrzebu (na który z pewnością poszła) móc pokazać się ludziom na oczy. Kiedy jednak znalazł się u podnóża pagórka, jego wzrok przykuł widok wioskowych uliczek, na których jak okiem sięgnął nie było żywego ducha. Uznał, że może na kilka minut odłożyć powrót do domu i przeszedł przez most.

Dzwon dawno już przestał bić i w całej dolinie zapanowała grobowa cisza. Kiedy maszerował ulicą, urzeczony otaczającym go spokojem i ciszą, usłyszał za sobą jakiś dźwięk. Obejrzał się przez ramię. Na moście stał lis, zwierzę nastawiwszy uszu i machając ogonem obserwowało go z uwagą. Nic w wyglądzie zwierzęcia nie sugerowało że był to Lord Lis, ani nawet jeden z jego niezliczonych potomków, świadczyła o tym jedynie jego obecność tutaj. To był niezaprzeczalny fakt. Will z pewnością widział dużo lepiej wyglądające zwierzęta, ale zdawał sobie sprawę, że sam też nie prezentował się teraz najkorzystniej. Obaj ostatnimi czasy przeżyli wiele ciężkich chwil, obaj utracili część swojej dawnej chwały, wychudli, wynędzniali i po trosze postradali rozum. Mimo to wciąż mieli swoje sztuczki i pragnienia. Wciąż żyli i byli gotowi stawić czoła wyzwaniom kolejnego dnia.

–Dokąd się wybierasz? – zwrócił się do lisa.

Dźwięk jego głosu przełamujący panującą na ulicy ciszę spłoszył zwierzę, które błyskawicznie zawróciło, przebiegło przez most i wspięło się po stoku pokonując go coraz szybszymi susami. Choć wcale nie musiał biec, lis biegł, ponieważ tego chciał. Biegł, ponieważ to sprawiało mu przyjemność. Will obserwował zwierzę aż znalazło się na szczycie wzgórza. Dopiero tam lis zwolnił kroku i po chwili oddalił się truchtem, zupełnie znikając mu z oczu.

Oto otrzymał odpowiedź na zadane przez siebie pytanie. Dokąd się udaję? To oczywiste, odchodzę stąd. Udaję się tam, gdzie będę mógł być bliżej nieba.

Will jeszcze przez chwilę kontemlował wzgórze i znajdującą się na jego zboczu ścieżkę, a w jego głowie ponownie rozbrzmiało echo słów którymi powitał go Lord Lis, kiedy pojawił się pierwszy raz przy jego łóżku.

„Obudź się”, powiedziało zwierzę. „Zrób to dla psów, jeżeli musisz, ale obudź się”.

No i wreszcie się obudził. Czas wizji dobiegł końca, przynajmniej na razie, a ten który je w nim obudził odszedł, pozostawiając Willa aby powrócił ze zdobytą wiedzą do swego plemienia. Aby opowiedział o tym co poczuł i ujrzał w samym sercu Domus Mundi. Aby radował się swoją wiedzą i wykorzystał ją w zbożnym celu.

Spojrzał w stronę domu ojca, wyobrażając sobie jednocześnie pusty gabinet, gdzie na biurku leżały żółknące kartki z treścią ostatniego nigdy nie wygłoszonego wykładu, po czym skierował wzrok ku kościołowi i cmentarzowi na którym niebawem spoczną doczesne szczątki Sherwooda, wreszcie powrócił spojrzeniem do pustych, cichych uliczek wioski.

Duch tego miejsca pozostanie w nim na zawsze. Dokądkolwiek zaprowadzi go ta pielgrzymka, będzie niósł z sobą te obrazy jak również wszystkie smutki i ambicje, które zrodziły się w nim, kiedy tu mieszkał. Lecz pomimo ich niebanalnego znaczenia nie mógł pozwolić aby powstrzymywały go choćby chwilę dłużej, przed misją która go czekała. Tak jak lis, który odszedł tam, gdzie będzie mógł istnieć w zgodzie ze swoją naturą, on musiał zrobić to samo. Odwróciwszy się plecami do opustoszałej wioski, kościoła i domu, zszedł nad rzekę i maszerując po ścieżce ciągnącej się wzdłuż brzegu wyruszył w drogę powrotną do świata, swego jedyne, pewnego i prawdziwego domu.

[\[1\] Aluzja do LSD i przeboju Beatlesów Lucy in the Sky, with Diamonds \(przyp. tłum.\).](#)

[\[2\] Cytat z Pisma Św. wg Biblii Tysiąclecia \(przyp. tłum.\).](#)

[\[3\] Fragment z Księgi Rodzaju wg Biblii Tysiąclecia \(przyp. tłum.\).](#)

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-19

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/